

JOHN LE CARRÉ



NOCNY RECEPCJONISTA



JOHN LE CARRÉ
NOCNY RECEPCJONISTA

Z języka angielskiego przełożył
Paweł Korombel

Tytuł oryginału:
THE NIGHT MANAGER

Copyright © 1993 by David Cornwell
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: © 2015 BBC All rights reserved.
Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Stocińska
Postłowie: O książkach i filmach
Copyright © David Cornwell, 2016
First published in the English language by Penguin Classics, 2016

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska Korekta: Aneta Iwan, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-7999-744-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Skład i łamanie: Monika Drobnik-Stocińska

Katowice 2016. Wydanie I

Druk: Abedik S.A. Poznań

1

W smagany śnieżną zawieją styczniowy wieczór 1991 roku Jonathan Pine, Anglik, kierownik nocnej zmiany hotelu Meister Palace w Zurychu, opuścił swoje biuro i targany uczuciami, jakich dotychczas nigdy nie zaznał, zajął stanowisko w holu, szykując się na przywitanie znamienitego gościa zapowiedzianego na tę późną godzinę. Właśnie rozpoczęła się operacja Pustynna Burza. Wiadomości o bombardowaniach dokonywanych przez siły koalicji, dyskretnie przekazane Jonathanowi w ciągu dnia przez obsługę, wywołały konsternację na giełdzie w Zurychu. Hotelowe rezerwacje - zawsze w styczniu dość skromne - spadły do poziomu krytycznego. Kolejny raz w swojej długiej historii Szwajcaria znalazła się w stanie oblężenia.

Ale Meister Palace był gotów sprostać wyzwaniu. „Nasz Meister”, jak z uczuciem mówili o nim taksówkarze i mieszkańcy Zurychu, zgodnie z tradycją i z usytuowaniem panował samotnie, spozierając ze swego wzgórze na gorączkowe szaleństwo miejskiego życia niczym stateczna edwardiańska ciotka. Im większe zmiany zachodziły w dole, tym bardziej Meister pozostawał sobą, nieugięcie broniąc swoich standardów, bastion cywilizacji i kultury w świecie chylącym się ku upadkowi.

Punkt obserwacyjny Jonathana stanowiła wąska wnęka pomiędzy dwiema eleganckimi witrynami prezentującymi modę damską. „Adele” z Bahnhofstrasse proponowała etolę z soboli prezentowaną na manekinie, którego reszta stroju składała się ze złotego dołu bikini i koralowych kolczyków. „Oferta cenowa u konsjerża”. W Zurychu równie głośno jak w innych miastach zachodniego świata protestuje się przeciwko noszeniu futer, ale Meister Palace nie poświęca tej wrzawie krzty uwagi. Druga witryna - „Cesara”, też z Bahnhofstrasse - wychodziła naprzeciw gustom Arabów, prezentując suto wyszywane szaty, turbany ze sztrasami i wysadzone klejnotami zegarki po sześćdziesiąt tysięcy franków. Oskrzydlony przez te reklamiarze

zbytku Jonathan nie odrywał baczego spojrzenia od drzwi obrotowych.

Krępy, a przy tym nieśmiały, zwykle zapobiegawczo uśmiechał się przepraszająco. Nawet jego angielskość stanowiła dobrze strzeżoną tajemnicę. Był zwinny i w kwiecie wieku. Marynarz uznałby go za kolegę po fachu, sądząc po oszczędnych ruchach, kocim kroku i czujności. Miał kręcone, starannie ostrzyżone włosy i gęste brwi. Bładość jego oczu wydawała się zaskakująca. Można by się spodziewać większej zaczepności, czegoś bardziej mrocznego.

I ta łagodność obejścia w połączeniu z muskulaturą pięściarza tworzyły aurę niepokojącej powagi. Żaden z gości hotelu nie pomyliłby Jonathana z nikim innym; ani z Herr Stripplim, kremowowłosym szefem restauracji, ani z żadnym z wyniosłych młodych Niemców Herr Meistera, którzy przemierzali hol niczym bogowie zdążający ku czekającej ich gdzieś chwale. Jako hotelarz Jonathan był ideałem. Nie zastanawiałeś się, kim byli jego rodzice albo czy jest pasjonatem muzyki; czy ma żonę, dzieci lub też psa. Wpatrywał się w drzwi nieruchomym wzrokiem snajpera. W klapie miał goździk. Jak zawsze na nocnej zmianie.

Opady śniegu nawet jak na tę porę roku były niesamowite. Gęste tumany białych płatków hulały po oświetlonym dziedzińcu niczym grzywacze w sztormie. Boye, postawieni w stan pogotowia na wieść o przyjeździe znakomitości, wyczekująco wpatrywali się w zadymkę.

Roper nie doleci za skarby świata - pomyślał Jonathan. Nawet jeśli samolot dostał pozwolenie na start, nie ma mowy, żeby wylądował w taką pogodę. Herr Kasparowi coś się pomieszało.

Ale Herr Kasparowi, głównemu konsjerżowi, nigdy nic się nie mieszało. Gdy szeptał do interkomu: „Gość w drodze”, tylko nieoprawny optymista mógłby sobie wyobrazić, że samolot gościa przekierowano na inne lotnisko. Poza tym kogo Herr Kaspar oczekiwałby o tej porze, jeśli nie wyjątkowo hojnego klienta? „Swego czasu - mówiła Frau Loring Jonathanowi - Herr Kaspar obiłby za dwa franki, a zabiłby za pięć”. Ale z wiekiem ludzie się zmieniają. Dzisiaj tylko wyjątkowe profity odciągnęłyby Herr Kaspara od wieczornego programu telewizyjnego.

„Niestety, hotel pęka w szwach, panie Roper. - Jonathan kolejny raz ćwiczył desperacką próbę zażegnania nieuniknionego. - Herr Meister jest zrozpaczony. Nowy recepcjonista popełnił niewybaczalny błąd. Jednakże udało się nam zarezerwować dla pana pokoje w Baur au Lac” i tak dalej. Ale te pobożne życzenia były daremne. Dzisiejszej nocy nie było takiego hotelu w Europie, który mógłby się

pochwalić pięćdziesiątką gości. Najzamożniejsi na tej planecie nie odrywali się od ziemi. Z jednym wyjątkiem - Richarda Onslowa Ropera, biznesmena z Nassau na Bahamach.

Jonathanowi zeszywniały dłonie, instynktownie rozprostował ręce w łokciach, jakby szykował się do walki. Samochód, mercedes, sądząc po atrapie chłodnicy, wjechał na dziedziniec, wirujące płatki zdławiły światła reflektorów. Jonathan ujrzał, jak Herr Kaspar unosi senatorską głowę, światło odbija się w napomadowanych, kunsztownie ułożonych falach włosów. Lecz samochód zaparkował po drugiej stronie dziedzińca. Taksówka, zwykła miejska taksówka, po prostu nikt. Herr Kaspar pochylił głowę okoloną aureolą akrylowego blasku, analizując kursy zamknięcia. W poczuciu ulgi Jonathan pozwolił sobie na cień uśmiechu, w chwili gdy zrozumiał, o co chodzi z tym blaskiem. Peruka, nieśmiertelna peruka, korona Herr Kaspara warta sto czterdzieści tysięcy franków, duma każdego klasycznego konsjerża w Szwajcarii. „Herr Kaspar - mówiła Frau Loring - perukowy Wilhelm Tell”. To dla tej peruki ośmielił się podnieść bunt przeciw madame Archetti, despotycznej milionerce.

Może aby skupić myśli, które rozbiegły się w różnych kierunkach, a może znajdując w tej opowieści ukryte powiązanie ze swoim kłopotliwym położeniem, Jonathan kolejny raz odtworzył ją w pamięci, używając dokładnie tych samych słów co w pierwotnej relacji Frau Loring, gospodyni, podejmującej go wówczas na poddaszu serowym *fondue*. Miała siedemdziesiąt pięć lat i pochodziła z Hamburga. Kiedyś była nianią Herr Meistra i - jak głosiła plotka - kochanką jego ojca. Stała się strażniczką legendy o peruce, jej naocznym świadkiem.

„W tamtych czasach madame Archetti była najbogatszą kobietą w Europie, mój mały. - Zabrzmiało to tak, jakby Frau Loring sypiała też z tatą Jonathana. - Każdy hotel chciał ją ściągnąć do siebie. Ona jednak najbardziej lubiła Meistra, dopóki Kaspar się nie przeciwstawił. Potem... hm... przyjeżdżać przyjeżdżała, ale to tylko tak, żeby się pokazać”.

Wedle słów Frau Loring, madame Archetti odziedziczyła fortunę, supermarkety Archettich, i żyła z zysków kwitnącego interesu. A ulubionym jej zajęciem, gdy miała pięćdziesiąt parę lat, było podróżowanie po Europie od jednego wielkiego hotelu do drugiego angielskim sportowym kabrioletem, za którym pędziła furgonetka ze służbą i garderobą. Znała z imienia każdego konsjerża i szefa sali od Four Seasons w Hamburgu, przez Cipriani w Wenecji, do Villa d'Este nad jeziorem Como. Stawiała im horoskopy, zalecała diety i leki

ziołowe. I jeśli zaskarbili sobie jej względy, nagradzała ich napiwkami niewyobrażalnej wysokości.

Herr Kaspar tych względów zdobył prawdziwe krocie, opowiadała Frau Loring. Zapewniły mu one dwadzieścia tysięcy franków szwajcarskich przy każdej dorocznej wizycie, nie wspominając o szarlatańskich lekarstwach na włosy, magicznych kamykach pod poduszkę łagodzących rwę kulszową i półkilogramowej dostawie kawioru z bielugi dowożonego na Boże Narodzenie oraz imieniny, który to dar Herr Kaspar dyskretnie zamieniał na gotówkę w wyniku porozumienia ze sławnymi delikatesami w centrum miasta. A wszystko to za wystaranie się o kilka biletów do teatru i zarezerwowanie stolika w paru restauracjach, co naturalnie i tak wynagrodzono mu zwyczajowym udziałem. I za te nabożne oznaki czci, które madame Archetti były potrzebne do odgrywania roli pani podległego królestwa.

Aż do dnia, w którym Herr Kaspar kupił sobie perukę.

Nie kupił jej na łapu-capu, mówiła Frau Loring. Najpierw idąc za radą pewnego nafcjarza, gościa Meistra, zainwestował w ziemię w Teksasie. Inwestycja okazała się zyskowna. Dopiero wtedy uznał, że podobnie jak jego dobrodziejka osiągnął w życiu etap, na którym ma prawo trochę powstrzymać upływ czasu. Po kilku miesiącach przymiarek i rozterek rzecz była gotowa - peruka cud, symulacja doskonała. Wypróbował ją w trakcie swoich corocznych wakacji w Mykenach i rankiem w pewien wrześniowy poniedziałek stanął za swoim kontuarem opalony i o piętnaście lat młodszy, pod warunkiem że nie patrzyło się na niego z góry.

Nikt tego nie zrobił, mówiła Frau Loring. A jeśli zrobił, to słowem o tym nie wspomniał. Prawdę mówiąc, zadziwiające było to, że nikt ani razu nie napomknął o peruce. Ani Frau Loring, ani André, który w tamtych czasach zasiadał przy fortepianie, ani Brandt, poprzednik maître Berriego w sali restauracyjnej, ani Herr Meister senior, który czujnie śledził wszelkie nieprawidłowości wyglądu u personelu. Cały hotel milcząco postanowił cieszyć się odmłodnieniem Herr Kaspara. Sama Frau Loring poszła na całość i włożyła letnią sukienkę ze śmiałym dekoltem oraz pończochy ze szwem. I sprawy biegły tym szczęśliwym torem aż do wieczora, kiedy to madame Archetti zjawiła się na tradycyjny miesięczny pobyt i jak zwykle jej hotelowa rodzina ustawiła się rzędkiem w holu na powitanie: Frau Loring, maître Brandt, André i Herr Meister senior, gotowy poprowadzić ją osobiście do apartamentu z widokiem.

A za kontuarem Herr Kaspar w peruce.

Na początku - mówiła Frau Loring - madame Archetti nie raczyła zauważyć zmiany w powierzchowności swojego faworyta. Mijając go, uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech księżniczki na pierwszym balu - skierowany do wszystkich i niewyróżniający nikogo. Podsta-
wiła oba policzki do pocałunku Herr Meistrowi, maître Brandtowi -
jeden. Uśmiechnęła się do Frau Loring. Ostrożnie objęła wąż rami-
ona pianisty André, który szepnął: „Madame...”. Dopiero wtedy
podeszła do Herr Kaspara.

- Co my tu mamy na głowie, Kasparze?
- Włosy, proszę pani.
- Czyje włosy, Kasparze?
- Moje własne - odparł z godnością Herr Kaspar.
- Zdejmij to - rozkazała madame Archetti. - Albo już nigdy nie
dostaniesz ode mnie ani grosza.
- Nie mogę ich zdjąć, proszę pani. Moje włosy są częścią mojej
osobowości. Jej integralnym elementem.
- To je zdezintegruj. Nie teraz, to zbyt skomplikowane, ale na
jutro rano. Inaczej figa z makiem. Na co masz bilety?
- Na *Otella*, proszę pani.
- Obejrzę cię jutro rano. Kto gra główną rolę?
- Leiser, proszę pani. To nasz najświetniejszy Maur.
- Zobaczymy.

Następnego dnia o ósmej rano, punktualnie co do minuty, Herr Ka-
spar stawiał się do pracy, skrzyżowane klucze lśniły jak wojskowe
ordery w klapach jego marynarki. A na głowie triumfalnie pysznił się
symbol insurekcji. Przez cały ranek w holu panowała niepewna cisza.
Goście hotelowi, jak sławny kaczor fryburski - mówiła Frau Loring -
byli świadomi nadchodzącego wybuchu, choć nie znali jego przy-
czyny. W południe, o zwykłej porze, madame Archetti wyłoniła się z
apartamentu i zeszła po schodach, wspierając się na ramieniu swojego
ówczesnego amanta, obiecującego młodego fryzjera z Grazu.

- Gdzież to się podział dzisiaj Herr Kaspar? - rzuciła mniej wię-
cej w kierunku Herr Kaspara.
- Na stanowisku, zawsze do usług, proszę pani - odparł Herr
Kaspar głosem, który obecnym w pobliżu zawsze będzie przypominał
bicie dzwonów wolności. - Ma bilety na Maura.
- Nie widzę żadnego Herr Kaspara - poinformowała madame
Archetti osoby towarzyszące. - Widzę włosy. Przekażcie mu, proszę,
że będzie nam go brakowało.

„To był jego dźwięk trąb apokalipsy - lubiła dodawać na koniec
Frau Loring. - Od chwili gdy ta kobieta weszła do naszego hotelu, los

Herr Kaspara był przesadzony”.

A dzisiaj zabrzmią moje trąby - pomyślał Jonathan, czekając na przyjazd najgorszego człowieka na świecie.

Jonathan martwił się o swoje ręce, nieskazitelne jak zawsze od czasów wrywkowych kontroli paznokci w szkole wojskowej. Początkowo trzymał je przy zdobnych szwach spodni, z lekko ugiętymi palcami, jak wpojono mu na placu apelowym. Ale teraz nieświadomie połączył je za plecami, miętosząc chusteczkę do nosa, gdyż doskwierała mu bolesna świadomość, że dłonie intensywnie mu się pocą.

Pomimo zatroskania oblókł twarz w uśmiech i zerknął do lustra, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wdzięczny Uśmiech Powitalny wyszlifował podczas wielu lat pracy w zawodzie; uśmiech życzliwy, aczkolwiek roztropnie powściągliwy, gdyż doświadczenie nauczyło Jonathana, że goście, szczególnie bardzo zamożni goście, bywają rozdrażnieni po uciążliwej podróży i ostatnią rzeczą, której im potrzeba do szczęścia, jest nocny recepcjonista szczerzący do nich zęby jak szympan.

Upewnił się, że uśmiech wciąż jest na swoim miejscu. Że nie zaszkodziły mu mdłości, które odczuwał. Krawat, zawiązany w pomysłowy węzeł, na pewno doceniany przez co znamienitszych gości, sygnalizował miłą swobodę. Włosy, chociaż nieporównywalne z włosami Herr Kaspara, za to jego własne, jak zwykle były idealnie przyglądzone.

To jakiś inny Roper - powtarzał sobie w duchu. Kompletnie nieporozumienie, absolutnie. To nie ma z nią żadnego związku. Jest ich dwóch, obaj są biznesmenami, obaj mieszkają w Nassau.

Ale Jonathan miotał się tak już od siedemnastej trzydzieści, gdy przejmując zmianę, niedbałym gestem sięgnął po listę nocnych przyjazdów przeznaczoną dla Herr Strippliego i wypisane wielkimi literami nazwisko Roper na wydruku poraziło mu oczy.

Roper R.O., szesnaście osób, lot z Aten prywatnym odrzutowcem, oczekiwani o 21.30. A po tym historyczna adnotacja Herr Strippliego: „WIP!”. Jonathan otworzył na ekranie plik z informacjami: Roper R.O., następnie literki OBG z wewnętrznego kodu, gdzie BG oznaczało ochroniarza, od *bodyguard*, a O pochodziło od *official*, którym to terminem oznaczano ochroniarza dysponującego pozwoleniem władz Federacji Szwajcarskiej na noszenie broni palnej. Roper, OBG, adres firmowy: Ironbrand Land, Ore & Precious Metals Company, Przedsiębiorstwo Kopalni i Metali Szlachetnych, Nassau, adres do-

mowy - numer skrytki pocztowej w Nassau, kredyt - poświadczony przez Czyjś Tam Bank w Zurychu. Więc iluż mogło być na świecie Roperów z inicjałem R. i firmami o nazwie Ironbrand? Ile jeszcze zbiegów okoliczności Bóg kryje w rękawie?

- Kim, na litość boską, jest prywatnie R.O. Roper? - spytał po niemiecku Jonathan Herr Strippliego, udając, że zajmuje się innymi sprawami.

- Jest Brytyjczykiem, jak ty.

Strippli miał irytujący zwyczaj odpowiadania po angielsku, choć władał nim gorzej niż Jonathan niemieckim.

- Prawdę mówiąc, zupełnie nie jak ja. Mieszka w Nassau, handluje metalami szlachetnymi, ma konto w Szwajcarii, gdzie tu podobieństwo? - Po wielu miesiącach wspólnego przebywania w tych samych czterech ścianach ich kłótnie nabrały cech małżeńskiej małostkowości.

- Pan Roper jest naprawdę ważnym gościem - odparł powoli śpiwnym głosem Strippli, zapinając przy tym pas skórzanego płaszcza. Szykował się do wyjścia. - W grupie gości prywatnych zajmuje piątą pozycję pod względem wydatków, najwyższą spośród Anglików. Przy ostatniej wizycie wraz z osobami towarzyszącymi generował średnio dwadzieścia jeden tysięcy siedemset franków szwajcarskich przychodu dziennie. Plus napiwki!

Jonathan usłyszał jeszcze terkot motorynki, którą Herr Strippli, nie bacząc na śnieg, odjechał do matki. Siedział przez chwilę przy biurku, kryjąc głowę w drobnych dłoniach, jak ktoś czekający na bombardowanie. Spokojnie - powiedział sobie. Roper się nie spieszy, ty też nie musisz.

Wyprostował się więc i ze spokojnym wyrazem twarzy kogoś, kto nie traci cierpliwości, zajął się pocztą. Wytwórca tekstyliów ze Stuttgartu zgłaszał zastrzeżenia co do rachunku za przyjęcie bożonarodzeniowe. Jonathan udzielił cierpkiej odpowiedzi i przekazał ją do podpisu Herr Meistrowi. Firma PR z Nigerii pytała o zaplecze konferencyjne. Jonathan odpisał, że niestety, brak wolnych miejsc.

Piękna i okazała młoda Francuzka o imieniu Sybille, która gościła w hotelu wraz z matką, kolejny raz narzekała, że Jonathan źle ją potraktował. „Zabierasz mnie na łódkę. Chodzimy po górach. Wspaniale się bawimy. Czy jesteś tak bardzo angielski, że nie możemy być czymś więcej niż przyjaciółmi? Gdy na mnie patrzysz, widzę cień na Twojej twarzy, jestem Ci wstrętna”.

Stwierdził, że musi się poruszać. Udał się na obchód prac budowlanych prowadzonych w północnym skrzydle, gdzie Herr

Meister urządzał grill room ze starego drewna limbowego pozyskanego z konstrukcji dachowej rozbieranego zabytku w centrum miasta. Nikt nie wiedział, po co Herr Meistrowi grill room, nikt nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ten zaczął go urządzać. Ponumerowane panele leżały pod ścianą skutą do gólej cegły. Jonathan wciągnął w płuca ich pizmowy zapach i przypomniały mu się włosy Sophie w tę noc, gdy weszła do jego biura w hotelu Queen Nefertiti w Kairze, pachnąca wanilią.

Trudno za to winić prace budowlane Herr Meistra. Od siedemnastej trzydziści, od chwili gdy ujrzał nazwisko Ropera, Jonathan podążał do Kairu.

Zerkał na nią, ale nigdy jej nie zagadnął: leniwa czarnowłosa piękność około czterdziestki o wąskich biodrach, elegancka i nieprzystępna. Przyciągała jego uwagę, gdy przechadzała się po butikach Nefertiti albo gdy muskularny szofer otwierał jej drzwi bordowego rolls-royce'a. Gdy przechodziła przez hol, szofer występował również w roli ochroniarza, stawał za nią z dłońmi skrzyżowanymi na podbrzuszu. Gdy popijała *menthe frappé* w restauracji Le Pavillon, podsuwając wysoko na czoło okulary przeciwsłoneczne, z francuską gazetą trzymaną w wyciągniętej ręce, szofer popijał napój gazowany przy stoliku obok. Personel zwracał się do niej „madame Sophie”, a madame Sophie należała do Freddiego Hamida, Freddie zaś był beniaminkiem w trójce szpetnych braci Hamid, do których należała spora część Kairu, w tym hotel Queen Nefertiti. Najślynniejszym postępkim dwudziestopięcioletniego Freddiego było przepuszczenie w bakarata pięciuset tysięcy dolarów w dziesięć minut.

- Pan się nazywa Pine - powiedziała z francuskim akcentem, przysiadając na brzegu fotela po drugiej stronie jego biurka. Odchyliła głowę do tyłu. Spojrzała z ukosa. - Kwiat Anglii*.

* *Pine* (ang.) - sosna [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

Była trzecia nad ranem. Madame Sophie miała na sobie jedwabny kostium, na szyi amulet z topazem. Może być podcięta - zdecydował. Zachować ostrożność.

- Hm, dziękuję - odparł uprzejmie. - Dawno nikt tak do mnie nie mówił. Czym mogę pani służyć?

Ale gdy dyskretnie wciągnął mocniej powietrze w nozdrza, poczuł tylko zapach jej włosów. Kryły jakąś tajemnicę, bo miały czarny połysk, a niosły zapach blond - ciepłą woń wanilii.

- A ja jestem madame Sophie z penthouse'u numer trzy -

kontynuowała takim tonem, jakby chciała się tego nauczyć na pamięć.
- Często pana widuję, panie Pine. Bardzo często. Ma pan nieruchome spojrzenie.

Stare pierścionki na palcach. Zmatowiałe diamenty osadzone w starym złocie.

- I ja panią widuję - odrzekł jak zawsze z uśmiechem.

- Poza tym żeglujecie pan. - Zabrzmiało to jak oskarżenie o jakąś zabawną dewiację. „Poza tym” było tajemnicą, której nie wyjaśniła. - Mój opiekun zabrał mnie w niedzielę do kairskiego jachtklubu. Gdy piliśmy koktajle, przepłynęła pańska łódka. Freddie pana poznał i pomachał ręką, ale był pan zbyt zajęty żeglowaniem, by zwracać sobie nami głowę.

- Sądzę raczej, że baliśmy się uderzyć w molo - odparł Jonathan, przypominając sobie rozwydrzoną bandę bogatych Egipcjan żłopiących szampana na tarasie klubu.

- To była śliczna niebieska łódka z angielską banderą. Należy do pana? Wyglądała królewsko.

- Och, na Boga, nie! To własność pierwszego sekretarza.

- Ma pan wielu sekretarzy?

- Nie, to drugi w hierarchii pracownik ambasady.

- Wyglądał tak młodo. Obaj wyglądaliście młodo. Byłam pod wrażeniem. Nie wiem czemu, wyobrażałam sobie, że ludzie, którzy pracują nocą, mają niezdrowy wygląd. Kiedy pan chodzi do łóżka?

- To był mój wolny weekend - odparł szybko Jonathan. Na tym wczesnym etapie znajomości nie chciał omawiać szczegółów życia osobistego.

- Zawsze żeglujecie pan podczas wolnych weekendów?

- Jeśli ktoś mnie zaprosi.

- A jakie zajęcie ma pan do wyboru?

- Trochę gram w tenisa. Trochę biegam. Rozważam nieśmiertelność mojej duszy.

- A jest nieśmiertelna?

- Mam nadzieję.

- Wierzy pan w to?

- Kiedy jestem szczęśliwy.

- A kiedy jest pan nieszczęśliwy, wątpi pan. Nic dziwnego, że Bóg jest tak kapryśny. Czemu On miałby okazywać stałość, gdy my jesteśmy tak wiarołomni?

Patrzyła groźnie na swoje złote sandaalki, jakby one również zachowywały się niegrzecznie. Jonathanowi przyszło do głowy, że jednak jest trzeźwa, tylko inaczej odczuwała świat, nadawała na innych

falach. A może skosztowała narkotyków Freddiego? Krążyły plotki, że Hamidowie handlują libańskim olejkim haszyszowym.

- Jeździ pan konno? - spytała.

- Niestety, nie.

- Freddie ma konie.

- Tak, słyszałem.

- Arabcy. Wspaniałe arabcy. Ludzie, którzy hodują konie krwi arabskiej, to światowa elita, wie pan o tym?

- Słyszałem takie opinie.

Zamyśliła się na chwilę. Jonathan wykorzystał ten moment:

- Czym mógłbym pani służyć, madame Sophie?

- A ten sekretarz, ten pan...

- Ogilvey.

- Pan Jakiś Tam Ogilvey?

- Po prostu pan Ogilvey.

- To pański przyjaciel?

- Przyjaciel od żagli.

- Chodziliście razem do szkoły?

- Nie, ja nie chodziłem do takiej szkoły.

- Ale jesteście z tej samej klasy społecznej, czy jak się to tam nazywa? Może nie hodujecie koni krwi arabskiej, ale obaj jesteście... no, mój Boże, jak się to mówi...? Obaj jesteście dżentelmenami.

- Pan Ogilvey i ja znamy się z żagli - odparł z jak najbardziej wymijającym uśmiechem.

- Freddie też ma jacht. Burdel pod żaglami. Czy nie tak ludzie na to mówią?

- Na pewno nie.

- Na pewno tak!

Zrobiła kolejną pauzę. Wyciągnęła przed siebie odzianą w jedwab rękę i przyglądała się spodniej stronie bransoletek na nadgarstku.

- Panie Pine, proszę o filiżankę kawy. Egipskiej. A potem poproszę pana o przysługę.

Mahmud, kelner z nocnej zmiany, przyniósł miedziany tygielek i z pełnym ceremoniałem napełnił dwie filiżanki. Jonathan przypomniał sobie, że przed Freddieм Sophie należała do bogatego Ormianina, a poprzednio do Greka z Aleksandrii, który prowadził szemrane interesy nad Nilem. Freddie nie dawał jej spokoju, zasypywał bukietami orchidei w najbardziej niemożliwych porach, spał w swoim ferrari przed jej apartamentem. Kolumny plotek towarzyskich były pełne niestworzonych historii. Ormianin opuścił miasto.

Usiłowała zapalić papierosa, ale ręce jej drżały. Podał jej ogień.

Przymknęła oczy i zaciągnęła się. Na jej szyi pojawiły się zmarszczki. A Freddie Hamid ma raptem dwadzieścia pięć lat - pomyślał Jonathan. Położył zapalniczkę na biurku.

- Ja również jestem Brytyjką, panie Pine - zauważyła, jakby łączył ich jakiś ból. - Kiedy byłam młoda i pozbawiona skrupułów, wysłałam dla paszportu za jednego z pańskich rodaków. Okazało się, że kocha mnie głęboko. Był uczciwy do szpiku kości. Nie ma lepszego człowieka niż dobry Anglik i gorszego niż zły. Przyglądałam się panu. Myślę, że jest pan dobry. Panie Pine, czy zna pan Richarda Ropera?

- Niestety, nie.

- Ależ musi go pan znać. Jest sławny. Bardzo przystojny. Pięćdziesięcioletni Apollo. Hoduje konie, dokładnie jak Freddie. Nawet rozmawiają o założeniu wspólnie stada ogierów. Pan Richard Onslow Roper, jeden z waszych sławnych międzynarodowych przedsiębiorców. No, proszę sobie nie żartować.

- To nazwisko nic mi nie mówi. Przykro mi.

- Ależ Dicky Roper prowadzi wiele interesów w Kairze! Jest Anglikiem jak pan, niezwykle czarujący, bogaty, olśniewający, przekonujący. Dla nas, prostych Arabów, niemal zbyt przekonujący. Ma jacht motorowy dwa razy większy niż Freddie! Jak pan może go nie znać, skoro obaj jesteście wodniakami? Na pewno go pan zna. Udaje pan, widzę.

- Skoro ma wspaniały jacht motorowy, może nie korzysta z hoteli. Zbyt rzadko przeglądam prasę. Nie jestem na bieżąco. Przykro mi.

Ale madame Sophie nie było przykro. Uspokoiła się. Ulgę widać było na rozchmurzonej już twarzy i w zdecydowanym geście, którym madame Sophie sięgnęła po torebkę.

- Chciałabym, żeby skopiował mi pan kilka osobistych dokumentów.

- Hm, cóż, dokładnie na wprost recepcji w głębi holu mamy urządzenia biurowe dla biznesmenów - wyjaśnił Jonathan. - Zwykle w nocy obsługiwane są przez pana Ahmadiego.

Sięgnął po słuchawkę, ale głos madame Sophie go powstrzymał.

- To są poufne dokumenty, panie Pine.

- Jestem przekonany, że można zawierzyć dyskrecji pana Ahmadiego.

- Dziękuję panu. Wolałabym, byśmy skorzystali z naszych urządzeń. - Zerknęła na kopiarke stojącą w kącie na stoliczku. Jonathan zrozumiał, że upatrzyła ją sobie podczas przechadzek po holu i że

dokładnie tak samo upatrzyła sobie jego. Z torebki wyciągnęła zmięty plik białych kartek i podsunęła go Jonathanowi. Palce ozdobione pierścionkami miała wyprostowane sztywno i rozpostarte.

- Niestety, to bardzo mała kopiarka - ostrzegł Jonathan, wstając. - Bez podajnika, trzeba ją obsłużyć ręcznie. Może pokażę pani, jak to robić, a potem zostawię panią samą?

- Wolałabym razem z panem obsłużyć ją ręcznie - powiedziała z aluzją niewątpliwie wypływającą z napięcia.

- Ale skoro są to dokumenty poufne...

- Musi mi pan towarzyszyć. Odrobina techniki, a ja kompletnie się gubię. Tracę głowę. - Wzięła papierosa z popielniczki i zaciągnęła się głęboko. Po szeroko otwartych oczach widać było, że sama jest wstrząśnięta swoim postępowaniem. - Niech pan to zrobi - rozkazała.

Więc zrobił.

Włączył urządzenie i wkładał do środka kartki - wszystkie osiemnaście - przelatując je wzrokiem, gdy wysuwały się z urządzenia. Robił to niemal podświadomie. A także nie podejmował świadomego wysiłku, by ich nie oglądać. Jak zawsze uważny obserwator.

Nadawca Ironbrand Land, Ore & Precious Metals Company, Nas-sau, adresat Hamid InterArab Hotels and Trading Company, Kair, data wpłynięcia 12 sierpnia. Nadawca Hamid InterArab, adresat Ironbrand, wyrazy szacunku.

Znowu nadawca Ironbrand, adresat Hamid InterArab, sprawy handlowe, pozycje od czwartej do siódmej na naszej cedule, odpowiedzialność za użytkownika końcowego przyjmuje Hamid InterArab, zjedźmy kolację na jachcie.

Listy od Ironbrand podpisane z kontrolowanym rozmachem, jak monogram na kieszeni koszuli. Kopie z InterArab bez podpisu, ale imię i nazwisko Said Abu Hamid wpisane ogromnymi literami poniżej pustego miejsca.

Następnie Jonathan ujrzał cedułę, krew mu się ścięła, ciarki przebiegły po plecach i nie był pewien, czy zapanuje nad głosem: jedna zwyczajna kartka, bez podpisu, bez miejsca nadania, z nagłówkiem: „Asortyment na dzień 1 października 1990 r.”. Piekielne zasoby z niezapomnianej przeszłości Jonathana.

- Jest pani pewna, że jedna kopia wystarczy? - spytał z nadzwyczajną lekkością, której doświadczał w sytuacjach kryzysowych. Przypominała ostrość widzenia, gdy człowiek jest pod ostrzałem.

Madame Sophie paliła papierosa, nie spuszczać wzroku z Jonathana. Jedną rękę trzymała na brzuchu, łokieć podtrzymywała dłonią drugiej ręki.

- Biegły pan jest - zauważyła. Nie powiedziała w czym.
- No cóż, nie jest to zbyt skomplikowane, kiedy człowiek już ogarnie co i jak. Byle tylko papier się nie blokował.

Oryginały złożył na jedną kupkę, kopie na drugą. Nie pozwalał sobie na myślenie. Gdyby szykował ciało do pochówku, zablokowałby myśli w podobny sposób. Odwrócił się do niej i rzucił z nadmierną niedbałością, okazując śmiałość, do której prawdę mówiąc, było mu bardzo daleko:

- Załatwione.
- W dobrym hotelu goście mają niestworzone wymagania - zauważyła. - Ma pan odpowiednią kopertę? Oczywiście, że tak.

Koperty leżały w trzeciej szufladzie biurka, po lewej stronie. Wybrał żółtą, rozmiar A4, i przesunął ją po biurku, ale madame Sophie jej nie wzięła.

- Proszę schować kopie do koperty. Potem niech pan ją starannie zaklei i włoży do swojego sejfu. Może pan użyć taśmy klejącej. Tak, niech pan zaklei taśmą. Pokwitowanie nie jest konieczne, dziękuję.

Na wypadki odmowy Jonathan miał zarezerwowany szczególnie ciepły uśmiech.

- Niestety, nie wolno nam przechowywać paczek gości. Obejmuje nawet panią. Mogę udostępnić skrytkę. Będzie pani dysponować własnym kluczem. Przykro mi, to wszystko, co mogę zrobić.

Gdy to mówił, ona już wpychała oryginały do torebki. Zamknęła ją i zarzuciła na ramię.

- Niech się pan nie bawi ze mną w biurokrację, panie Pine. Widział pan zawartość koperty. Zaklei ją pan. Napisze własne nazwisko, listy są teraz pańskie.

Jonathan, za grosz niezaskoczony swoim posłuszeństwem, wziął ze srebrnego przybornika czerwony pisak i napisał na kopercie drukowanymi literami: PINE.

To spadnie na twoją głowę - mówił jej bez słów. Ja się o to nie prosiłem. Wcale do tego nie zachęcałem.

- Jak długo zamierza pani to tu trzymać? - spytał dociekliwie.
- Może na zawsze, może przez noc. Nie mam pojęcia. To jak romans. - Kokieteryjny ton znikł i pojawił się proszący: - Sprawa poufna. Tak? Rozumie się. Tak?

Zapewnił, że tak. Zapewnił, że oczywiście. Posłał jej uśmiech sugerujący, że w ogóle jest odrobinę zaskoczony samym pytaniem.

- Panie Pine...
- Madame Sophie...
- W grę wchodzi nieśmiertelność pańskiej duszy.

- Skoro tak...

- Oczywiście wszyscy jesteśmy nieśmiertelni. Ale gdyby się okazało, że ja nie, proszę przekazać te dokumenty swojemu przyjacielowi, panu Ogilveyowi. Czy mogę panu zaufać, że tak się stanie?

- Jeśli pani na tym zależy, to oczywiście tak.

Nadal się uśmiechała, nadal w tajemniczy sposób była w innym rytmie niż on.

- Czy jest pan stałym kierownikiem nocnej zmiany, panie Pine? Zawsze? W każdą noc?

- To mój zawód.

- Wybrany?

- Naturalnie.

- Przez pana?

- A przez kogo innego?

- Ale prezentuje się pan tak korzystnie w świetle dnia.

- Dziękuję pani.

- Zatelefonuję do pana od czasu do czasu.

- Będę zaszczycony.

- Tak jak pan, jestem nieco znużona spaniem. Proszę mnie nie odprowadzać.

Znów owionął go zapach wanilii, gdy otworzył przed nią drzwi, i zamarzył, by podążyć za nią do łóżka.

* * *

Stojąc na baczność w wiecznie nieskończonym grill roomie Herr Meistra, Jonathan przyglądał się sobie, marnemu statystyce we własnym przepełnionym tajemnym teatryku, jak metodycznie zabiera się do pracy nad dokumentami madame Sophie. Wyszkolony żołnierz, choćby wyszkolony dawno temu, zawsze jest gotów do służby. Głowa przekręcała się z jednej strony na drugą wyćwiczonym ruchem automatu.

Pine na progu swojego biura w Queen Nefertiti patrzy przez wyludniony marmurowy hol na ciekłokrystaliczny wyświetlacz nad windą, wyrzucający kolejne cyfry śledzące bieg windy na poziom penthouse'ów.

Winda pusta wraca na parter.

Pine czuje mrowienie suchych dłoni, ramiona ma rozluźnione.

Pine otwiera sejf. Kombinacja zamka, ustalona przez służalczego głównego kierownika, odpowiada dacie urodzin Freddiego Hamida.

Pine wyjmuje fotokopie, składa żółtą kopertę, wsuwa do wewnętrznej kieszeni smokinga z myślą o późniejszym zniszczeniu.

Kserokopiarka jeszcze ciepła.

Pine kseruje kopie, najpierw zwiększa nieco kontrast, żeby uzyskać lepsze odbitki. Nazwy pocisków. Nazwy systemów sterujących. Techniczny bełkot, którego Pine nie rozumie. Nazwy środków chemicznych, których Pine nie potrafi wymówić, ale którymi umie się posługiwać. Inne nazwy, które zapowiadają śmierć, ale są łatwiejsze do wymówienia. Takie jak sarin, soman, tabun.

Pine wsuwa nowe kopie do bieżącego menu, składa menu wzdłuż i wsuwa do innej kieszeni. Odbitki w menu są jeszcze ciepłe.

Pine wsadza stare kopie do nowej koperty, niczym nieróżniącej się od poprzedniej: Pine wypisuje PINE na nowej kopercie i umieszczają na tym samym miejscu, na tej samej półce, tak samo napisem do góry.

Pine kolejny raz zamyka sejf i przekręca tarczę zamka. Świat pozorów wraca do normy.

Pine osiem godzin później, na innej służbie, siedzi z Markiem Ogilveyem, obaj upakowani w ciasnym kokpicie jachtu sekretarza jak śledzie w beczce, podczas gdy pani Ogilvey w kambuzie, ubrana w designerskie dzinsy, przygotowuje kanapki z wędzonym łososiem.

- Niegrzeczny Freddie Hamid kupuje zabawki od Dickiego Onslowa Ropera? - powtarza z niedowierzaniem Ogilvey, drugi raz wertując dokumenty. - O co tu, do diabła, chodzi? Lepiej by to prosię trzymało się bakarat. Ambasador wpadnie w nieziemską furję. No, kochanie, czegoś takiego jeszcze nie słyszałaś.

Lecz pani Ogilvey już takie coś słyszała. Ogilveyowie to zgrany małżeński tandem. Szpiegują zamiast mieć dzieci.

Kochałem cię - powtarzał niepotrzebnie w myślach Jonathan. Oto twój kochanek w czasie przeszłym.

Kochałem cię, a i tak cię zdradziłem. Wydałem cię nadętemu brytyjskiemu szpiegowi, którego nawet nie lubiłem.

Bo byłem na jego liście tych, którzy na dany sygnał zawsze zrobią, co trzeba.

Bo byłem Jednym z Naszych - a Nasi to Anglicy, oczywista ostoja lojalności i dyskrecji. Nasi to Równe Chłopy.

Kochałem cię, ale jakoś nigdy ci tego nie powiedziałem.

Przed oczami stanął mu list Sybille: „Gdy na mnie patrzysz, widzę cień na Twojej twarzy, jestem Ci wstrętna”.

Nie, nie, Sybille, wcale nie jesteś mi wstrętna - pospiesznie zapewnił nieproszoną korespondentkę hotelarz. Tylko obojętna. Na wstręt zasługuję wyłącznie ja sam.

2

Herr Kaspar znowu podniósł swoją sławną głowę. Warkot potężnego silnika dyskretnie przebił się przez zawrodozenie wiatru. Herr Kaspar zwinął biuletyny udręczonej zuryskiej giełdy i naciągnął na nie gumkę. Rulon wrzucił do szuflady z analizami giełdowymi, zamknął ją na klucz i skinął głową na Maria, głównego boya. Z tylnej kieszeni spodni wyjął grzebień i przeczesał włosy. Mario skierował chmurne spojrzenie na Pabla, który z kolei uśmiechnął się głupawo do Benita, absurdalnie urodziwego praktykanta z Lugano, prawdopodobnie darzącego łaskami ich obu. Wszyscy trzej poprzednio schronili się w holu, lecz teraz brawurowo stawili czoło śnieżycy, zapięli peleryny pod szyją, chwycili parasole oraz wózki bagażowe i zniknęli w śniegu.

To się w ogóle nie zdarzyło - pomyślał Jonathan, wyczekując oznak przyjazdu samochodu. To tylko śnieg szaleje po podjeździe. To sen.

Ale Jonathan nie śnił. Limuzyna była prawdziwa, nawet jeśli unosiła się nad ziemią w białej pustce. Długa limuzyna, dłuższa niż hotel, cumowała przy frontowym wejściu jak czarny transatlantyk przybijający do nabrzeża, podczas gdy boye w pelerynach biegali i skakali w pośpiechu, wszyscy poza bezczelnym Pablem, który pod natchnieniem chwili wytrzasnął nie wiedzieć skąd szczotkę na długim kiju i delikatnie oczyszczał czerwony chodnik ze śnieżnych płatków.

Przez jeden błogi moment marzenia Jonathana stały się prawdą, powiew śnieżycy ukrył wszystko i Jonathan mógł sobie wyobrazić, że fala odpływu cisnęła czarny transatlantyk na pełne morze, nadzieją na skały okolicznych wzgórz, tak że pan Richard Onslow Roper, jego ochrona osobista z oficjalnym pozwoleniem na broń i cała reszta szesnastoosobowego towarzystwa zginęli wszyscy bez wyjątku we własnym „Titanicu” podczas pamiętnej Wielkiej Zawiei w styczniu 1991 roku, wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie.

Ale limuzyna wróciła. Futra, postawni mężczyźni, piękna, długo-

noga młoda kobieta, brylanty, złote bransolety i kopce czarnych waliz od kompletu wyłaniały się z luksusowego wnętrza niczym piracki łup. Dobiła druga limuzyna, i zaraz trzecia. Cały sznur limuzyn. Herr Kaspar wprawiał w ruch drzwi obrotowe z prędkością idealnie dostosowaną do tempa napływu towarzystwa. Najpierw w szybie zamajaczył niechlujny płaszcz z wielbłądziej wełny i po kilku ostrożnych obrotach szklanych tafli nabrał pełnej ostrości. Zabrudzony jedwabny szalik zwiślał z kołnierza, a nad tym wszystkim przemoczony papieros i zmęczony wzrok podkrążonych oczu potomka angielskiej klasy wyższej. Nie był to pięćdziesięcioletni Apollo, o nie.

Po płaszczu z wielbłądziej wełny weszła granatowa marynarka w wieku dwudziestu lat, jednorzędowa, żeby łatwiej pod nią sięgnąć. Oczy martwo patrzące. OBG - pomyślał Jonathan, starając się nie zareagować na groźbę tych oczu; kolejny OBG zamknie orszak i będzie jeszcze jeden, jeśli Roper się czegoś boi.

Piękna kobieta o kasztanowych włosach nosiła wielobarwny pikowany płaszcz sięgający niemal do kostek, ale jakimś cudem sprawiała wrażenie, że jest zbyt skąpo ubrana. Było w niej coś zabawnego, jak w Sophie, a jej włosy, tak jak u Sophie, spadały z jednej strony na twarz. Żona? Kochanka? Czyja? Po raz pierwszy od pół roku Jonathan poczuł miazdzące, irracjonalne oddziaływanie kobiety, której natychmiast zapragnął. Jak Sophie olśniewała klejnotami i pomimo ubrania sprawiała wrażenie nagiej. Dwa sznury wspaniałych pereł na szyi. Diamentowe bransolety wyłaniające się z rękawów płaszcza. Ale to nieuchwytnie wrażenie chaosu, niejednoznaczny uśmiech i bezpretensjonalny sposób bycia mówiły, że ma stałą przepustkę do nieba. Drzwi znowu zawirowały, wypluwając naraz wszystkich, tak że reszta delegacji angielskiego zamożnego towarzystwa ustawiła się pod żyrandolem. Byli tak szykownie odziani, tak opaleni, że zdawali się reprezentować moralność wielkich korporacji, która zaprzecza istnieniu chorób, nędzy, ziemistych twarzy, starzenia się i pracy fizycznej. Tylko mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej wełny w haniebnie podniszczonych zamszowych butach dobrowolnie wykluczył się z tej grupy.

W centralnym punkcie towarzystwa, niemniej osobno - On. Tak, niewątpliwie On, tylko on pasował do gniewnego opisu Sophie. Wysocki, szczupły i na pierwszy rzut oka arystokratyczny. Jasne włosy przetkane siwizną, zaczesane do tyłu i wijące się nad uszami. Twarz pokerzysty, który nie przegrywa. Postawa, która aroganckim Anglikom wychodzi najlepiej - noga odstawiona, ręka wsparta o imperialną dupę. „Freddie jest tak słaby - tłumaczyła Sophie. - A Roper tak

angielski”.

Jak wszyscy utalentowani ludzie, Roper robił kilka rzeczy jednocześnie; wymieniał uścisk dłoni z Kasparem, potem tą samą dłonią poklepał go po ramieniu i wykorzystał ją do posłania pocałunku Fräulein Eberhardt, która zarumieniła się i pomachała mu jak przekwitła fanka. Wreszcie skierował pańskie oko na Jonathana, który zapewne podążał w jego kierunku, chociaż sam nie miał na to bezpośrednich dowodów poza tym, że manekina od „Adele” najpierw zastąpiło stoisko z prasą, potem zarumienione lico Fräulein Eberhardt, a wreszcie On. „On nie ma żadnych skrupułów - mówiła Sophie. - To najgorszy człowiek na świecie”.

Rozpoznał mnie - pomyślał Jonathan, czekając na zdarcie maski. Widział moją fotografię, zapoznał się z rysopisem. Za chwilę przestanie się uśmiechać.

- Jestem Dicky Roper - zabrzmiał znużony głos. Jego ręka ujęła dłoń Jonathana i zawładnęła nią na krótko. - Koledzy zamówili tu u was pokoje. Całkiem sporo. Co słyszać? - Mówił, ścinając sylaby, niewyraźnie. To moda z Belgravii, proletariacki akcent bogaczy.

Pogwałcili swoje strefy komfortu.

- Bardzo się cieszę, że mogę pana powitać, panie Roper - odrzekł cicho Jonathan, jak Anglik do Anglika. - Miło pana widzieć ponownie. Ależ musiał pan mieć koszmarną podróż. Czy lot w takich warunkach nie zakrawa na heroizm Nikt inny się na to nie zdobył. Nazywam się Pine, jestem kierownikiem nocnej zmiany.

Słyszał o mnie - pomyślał, czekając. Freddie Hamid podał mu moje nazwisko.

- Jak tam nasz drogi Meister? - spytał Roper. Obejrzał się na piękną kobietę. Wybierała czasopisma o modzie na stoisku z prasą. Bransolety zsuwały jej się z dłoni, drugą nieustannie poprawiała włosy. - Zapakował się do łóżka z ovomaltiną i książką? Bo mam nadzieję, że z książką. Jeds, jak tam, skarbie? Uwielbia czasopisma. Nałogowo. Osobiście nie cierpię tej papki.

Jonathan dopiero po chwili uświadomił sobie, że Jeds to ta kobieta. Kasztanowa głowa odwróciła się na tyle, że zobaczyli uśmiech. Psotny i pogodny.

- Świetnie, kochanie - odparła dzielnie, jakby dochodziła do siebie po ciosie.

- Z przykrością muszę powiedzieć, że Herr Meister jest dziś zajęty, proszę pana, ale z niecierpliwością oczekuje przyjemności spotkania się z panem jutro, gdy tylko pan odpocznie - powiedział Jonathan.

- Jest pan Anglikiem, Pine? Takie odnoszę wrażenie.
- Do szpiku kości, proszę pana.
- Mądra decyzja. - Spojrzenie bladych oczu znów ucieka, tym razem ku recepcji, gdzie wielbłądzie palto wypełniało formularze podsunięte przez Fräulein Eberhardt.

- Oświadczasz się tej młodej damie, Corky?! - woła Roper. - Akurat - szepcze do Jonathana. - Major Corkoran, mój sekretarz - wyznaje dwuznacznym tonem.

- Już prawie kończę, szefie! - odpowiada niedbale Corky i podciąga rękaw z wielbłądziej wełny. Ustawił równo stopy i wypiął zadek, jakby się szykował wybić piłkę do krokiet, a wychylenie bioder znamionuje naturalnie lub intencjonalnie pewną kobiecość. Przy jego łokciu spoczywa stos paszportów.

- Na litość boską, masz tylko wpisać kilka nazwisk. To nie stustronicowy kontrakt, Corky.

- Przykro mi, takie są nowe wymogi bezpieczeństwa, proszę pana - wyjaśnia Jonathan. - Zalecenia szwajcarskiej policji. Nic nie możemy na to poradzić.

Piękna Jeds wybrała trzy czasopisma, ale musi mieć więcej. W zamyśleniu opiera jeden lekko zdarty but na obcasie, czubek zadziera do góry. Sophie robiła tak samo.

Ma dwadzieścia parę lat - myśli Jonathan. I to się już nie zmieni.

- Od dawna pan tu pracuje, Pine? Ostatnio go nie widzieliśmy, no nie, Frisky? Zauważylibyśmy młodego Angola.

- Absolutnie - mówi marynarka, spozierając na Jonathana ponad wyimaginowanym celownikiem.

Jonathan zauważa u niego ucho kalafiorowate. Włosy blond, siwiejące. Łapska jak topory.

- Pracuję tu pół roku, panie Roper, prawie co do dnia.

- Gdzie pan pracował przedtem?

- W Kairze - odpowiada Jonathan lekkim tonem. - W Queen Nefertiti.

Czas mija jak w oczekiwaniu na detonację. Ale oprawione w rzeźbione ramy lustra w holu nie roztrzaskują się na wzmiankę o hotelu Queen Nefertiti, pilastry i żyrandole pozostają całe.

- Podobał się? Kair.

- Niezwykle.

- No, to czemu się pan stamtąd wyniósł, skoro było tak cudownie?

No prawdę mówiąc, ze względu na ciebie - myśli Jonathan.

Ale odpowiada tylko:

- Och, podejrzewam, że z pokusy podróżowania, proszę pana. Wie pan, jak jest. Wędrowne życie to jedna z atrakcji tej branży.

Nagle wszystko ruszyło. Corkoran oderwał się od kontuaru recepcji i z papierosem w ręce odchylonej od ciała zbliżał się, człapiąc jak bocian. Jeds wybrała czasopisma i czekała w stylu Sophie, aż ktoś coś zrobi, zapłaci za nią.

- Dopisz to do rachunku, serdeńko - powiedział Corkoran.

Herr Kaspar pakował stos poczty w ramiona drugiej marynarki, która ostentacyjnie obmacywała grubsze koperty koniuszkami palców.

- Cholera, najwyższy czas, Corks. Coś się stało z ręką sygnatariusza?

- Chyba skurcz onanisty, szefie - odparł major Corkoran. - A może zwiotczenie przegubu - dodał ze znaczącym uśmiechem pod adresem Jonathana.

- Och, Corks! - zachichotała Jeds.

Kątem oka Jonathan zauważył Maria, który wiozł stos bagażu do windy służbowej. Dreptał specjalnym kroczkiem, który w nadziei bagażowych miał utrwalić w zmiennej pamięci klientów ich wizerunek. Potem Jonathan zobaczył swoje pokawałkowane odbicie mijające go w lustrach, obok Corkorana trzymającego papierosa w jednej ręce, a czasopisma w drugiej, i pozwolił sobie na moment nadgorliwej paniki, bo nie zdołał dojrzeć Jeds. Odwrócił się, zobaczył ją i przechwycił jej spojrzenie, czego właśnie pragnął, dźgnięty zaskakującym przebłyskiem żądz. Przechwycił również spojrzenie Ropera, bo Jeds uczepliła się jego ramienia swoimi długimi rękami, nieomalże deptając mu po nogach. Ochrona i zamożne towarzystwo ciągnęło z tyłu. Jonathan zauważył pięknego blondyna z włosami związanymi na karku, a u jego boku nijaką, naburmuszoną żonę.

- Piloci dojadą później - mówił Corkoran. - Jakiś syf z nawigacją. Jak nie nawigacja, to w sraczu nie spływa woda. Jesteś tu na stałe, kochanećku, czy tylko na gościnnych występach?

W jego oddechu dało się wyczuć przyjemności dnia: martini przed lunchem, wina do i koniaki po, a na koniec paskudne francuskie papierosy.

- Och, majorze, wydaje mi się, że jestem tu tak na stałe, że bardziej w tym zawodzie się nie da - odparł Jonathan, zmieniając nieco swój sposób bycia w rozmowie ze służbą.

- To stosuje się do nas wszystkich, serdeńko, wierz mi - rzekł z żarem major. - Stale tymczasowo, Jezu.

Kolejne cięcie montażowe i przechodzili przez wielki hol do

melodii *When I Take My Sugar To Tea*, którą Maxie, pianista, grał dla dwóch dam w szarych jedwabkach. Roper i kobieta wciąż się obejmowali.

Znacie się od niedawna - powiedział do nich kąśliwie Jonathan, obserwując ich kątem oka. Albo godzicie się po kłótni. Jeds - powtórzył sobie. Potrzebował azylu swojego jednoosobowego łóżka.

Ale oto kolejne cięcie i stali w trzech rzędach przed ozdobnymi drzwiami nowej windy obsługującej Tower Suite Herr Meistra. Zamężne towarzystwo szczebiotało w tle.

- Do diabła, co się stało ze starą windą, Pine?! - spytał podniesionym głosem Roper. - Można by sądzić, że Meister ma kręcka na punkcie staroci. Cholerne Szwajcary zmodernizowałyby Stonehenge, gdyby tylko mogły. No nie, Jeds?

- Roper, nie możesz robić sceny o windę! - powiedziała z nabożną czcią.

- Zobaczmy.

Jonathan z daleka słyszał głos całkiem przypominający jego własny, wyliczający korzyści nowej windy: kwestie bezpieczeństwa, panie Roper, ale również dodatkowa funkcja wprowadzona na jesieni wyłącznie ku wygodzie naszych gości z Tower Suite... A gdy Jonathan mówił, trzymał w palcach złoty klucz uniwersalny zaprojektowany osobiście przez Herr Meistra, ozdobiony złotym frędzlem i zwieńczony dość zabawną złotą koroną.

- Ach, czy nie kojarzy się ona panu z faraonami? Jest oczywiście szokująco okropna, ale mogę pana zapewnić, że nasi mniej wyrobieni goście ją uwielbiają - wyznaje z afektowanym uśmiechem, którym uprzednio nie raczył zaszczyścić nikogo.

- No cóż, ja ją uwielbiam - odzywa się major spoza kadru. - A jestem sakramencko wyrobiony.

Roper podrzucił klucz na dłoni, jakby oceniał ciężar właściwy metalu. Ogląda go z obu stron, koronę, frędzel.

- Łap - krzyknął i ku zaniepokojeniu Jonathana cisnął kluczem w blond marynarkę z kalafiorowatymi uszami, ten zaś złapał go błyskawicznie tuż nad podłogą lewą ręką.

- Mam! - krzyczy, schylając się.

Dziewięćmilimetrowa automatyczna beretta. Odbezpieczona - zapamiętuje Jonathan. Wykończona hebanem, kabura pod prawą pachą. Leworęczny OBG. Zapasowy magazynek na biodrze.

- Och, znakomite zagranie, Frisky, serdeńko. Dobry chwyt - rzuca niedbale Corkoran i zamożni kibice śmieją się z ulgą, zwłaszcza kobieta, która ścisła Ropera za ramię i mówi: „No wiesz, kochanie”,

choć w przytkanych uszach Jonathana brzmi to najpierw: „Jak możesz, kochanie”.

Teraz wszystko toczy się w zwolnionym tempie, wszystko toczy się pod wodą. Winda zabiera jednorazowo pięć osób, reszta musi czekać. Roper wchodzi do środka, wciąga za sobą tę kobietę. Wdzięk łani i szkoła modelek - myśli Jonathan. Plus specjalny kurs, który Sophie również przeszła, by zdobyć umiejętność tego poruszania biodrami podczas chodzenia. Potem Frisky, za nim major Corkoran z papierosem, wreszcie Jonathan. Jej włosy poza tym, że są kasztanowe, są miękkie. Jest również naga. To znaczy, zsunęła płaszcz i przerzuciła go przez ramię jak płaszcz wojskowy. Ma na sobie męską białą koszulę, rękawy, jak u Sophie, podwinięte do łokci. Jonathan uruchamia windę. Corkoran zadziera głowę jak sikający mężczyźni, ma niezadowoloną minę. Biodro dziewczyny ociera się swobodnie o bok Jonathana na znak radosnej przyjaźni. Odwał się - chce jej powiedzieć. Jeśli to zaloty, nie zalecaj się. Jeśli to nie zaloty, zabieraj sobie to biodro. Pachnie nie wanilią, ale białymi goździkami z obchodów Dnia Zwycięstwa w szkole wojskowej. Roper stoi za nią, szerokie dłonie trzyma władczo na jej barkach. Frisky wzrokiem bez wyrazu wpatruje się w błędną malinkę na jej szyi, na piersi bez stanika pod drogą koszulą. Jonathan, tak jak Frisky, ma haniebną chęć ujęcia takiej piersi w dłoń.

- Może zacznę prezentację tych wszystkich nowinek, które Herr Meister wprowadził od pańskiej ostatniej wizyty - sugeruje.

„Czas chyba, żeby pan zrezygnował z dobrych manier jako sposobu na życie” - powiedziała Sophie, gdy spacerowała u jego boku o świcie.

Zabrał się więc za prezentację, wskazywał bezcenne dodatki w apartamencie: zadziwiająco intymnie oświetlony bar... z tysiącletniego drzewa owocowego... ostatni krzyk mody w dziedzinie superhigienicznych klozetów, w którym woda spływa z prędkością naddźwiękową i który robi wszystko poza szczotkowaniem zębów... Wszystkie te kapryśne zarciki, wyciągnięte z kufra i wypucowane do połysku ku uciesze pana Richarda Onslowa Ropera i tej niewybaczalnie pociągającej kobiety o smukłej sylwetce i zabawnej buzi. Jak ona śmie być tak piękna w takiej chwili?

Legendarny Tower Suite Herr Meistra wznosi się jak rozrośnięty gołębnik nad czarodziejskimi szczytami i dolinami edwardiańskiego dachu hotelu. Ten pałac z trzema sypialniami rozpościera się na

dwóch kondygnacjach, a wystrój jego pastelowych wnętrz Jonathan określa poufnie jako Styl Franka XIV Szwajcarskiego. Dostarczono bagaż, boyów szczerze obdarowano, Jeds wycofała się do głównej sypialni i z oddali dobiega kobiecy śpiew przy wtórce szumu bieżącej wody. Śpiew jest niewyraźny, lecz prowokacyjny, jeśli nie wręcz sprośny. Marynarka Frisky zajął stanowisko przy telefonie na półpiętrze i cicho wydaje rozkazy komuś, kim gardzi. Major Corkoran, uzbrojony w świeżego papierosa, ale już bez wielbłądziej wełny, mówi w jadalni po francusku do drugiego telefonu, powoli, bo francuski rozmówca jest gorszy niż jego. Policzki ma gładkie jak niemowlę, rumieńce bardzo jaskrawe. I jego francuski to prawdziwy francuski, nie ma wątpliwości. Posługuje się nim tak naturalnie, jakby był to jego język ojczysty, co a nuż jest prawdą, gdyż nic w osobie Corkorana nie sugeruje nieskomplikowanego pochodzenia.

W innych zakątkach apartamentu żyją i rozmawiają pozostali. Jak się dowiadujemy, wysoki mężczyzna z kitką nazywa się Sandy, i Sandy rozmawia po angielsku przez kolejny telefon z kimś w Pradze, kto nazywa się Gregory, podczas gdy pani Sandy siedzi w fotelu, nie zdejmując płaszcza, i wpatruje się w ścianę. Ale Jonathan nie poświęca bezpośredniej uwagi tym odtwórcom ról drugoplanowych. Egzystują, są elegancy, krążą po dalekich peryferiach wokół słońca, którym jest pan Richard Onslow Roper z Nassau na Wyspach Bahama. To chór. Jonathan zakończył prezentację wspaniałości pałacu. Czas opuścić apartament. Wdzięczne skinienie dłonią, czułe naleganie: „Proszę się czuć zupełnie jak u siebie w domu” i w normalnych okolicznościach zjechałby łagodnie na parter, a jego podopieczni zostaliby sami, by najlepiej jak się da cieszyć się swoimi przyjemnościami za piętnaście tysięcy franków za noc, w tym podatek, obsługa i kontynentalne śniadanie.

Ale dziś w nocy okoliczności nie są normalne, dziś jest noc Ropera, noc Sophie, i rolę Sophie w jakiś przedziwny sposób odgrywa dla nas kobieta Ropera, i wszyscy poza Roperem zwracają się do niej w liczbie pojedynczej - Jed. Pan Onslow Roper lubi mnożyć swoje zasoby. Śnieg pada i najgorszego człowieka na świecie ciągnie do tego śniegu jak kogoś, komu tańczące płatki przywodzą na myśl dzieciństwo. Stoi na środku pokoju wyprostowany jak kawalerzysta, twarz zwrócił w kierunku francuskich okien i przykrytego śniegiem balkonu. Trzyma przed sobą otwarty zielony katalog Sotheby's nierzym kancjonał, jakby zaraz miał zacząć śpiewać, a drugą rękę uniośł, jakby dawał znak jakiemuś milczącemu do tej pory instrumentowi na skraju orkiestry. Na nosie ma okulary do czytania „połówki” niby

jakiś szacowny sędzia.

- Żołnierz Boris i jego kumpel mówią, że poniedziałek pora lunchu im odpowiada - wola Corkoran z jadalni. - Może być poniedziałek pora lunchu?!

- Może - mówi Roper, przewracając stronę katalogu i równocześnie obserwując śnieg znad szkieł. - Spójrz na to. Przeblysk nieskończoności.

- Zachwyca mnie za każdym razem - mówi szczerze Jonathan.

- Pański przyjaciel Apetycik z Miami pyta, czemu nie zrobić tego w Kronenhalle. Lepsze jedzenie. - Znowu Corkoran.

- Za bardzo na widoku. Lunch tutaj albo niech przyniesie kanapki. Sandy, ile teraz kosztuje porządny Stubbs?

Piękna męska głowa z kitką wyłania się zza drzwi.

- Wielkość?

- Siedemdziesiąt pięć na sto dwadzieścia pięć.

Piękna twarz lekko się odyma.

- W czerwcu niezły licytowano w Sotheby's. *Protector w pejzażu*. Z tysiąc siedemset siedemdziesiątego dziewiątego. Bomba.

- *Quanta costa?*

- Siedzisz?

- Sands, daj spokój!

- Milion dwieście. Plus pełnomocnik.

- Funtów czy dolców?

- Dolców.

Z drzwi naprzeciwko narzeka Corkoran:

- Chłopcy z Brukseli chcą połowy w gotówce, szefie. Cholernie sobie pozwalają, nie ma co.

- Powiedz, że nie podpiszesz - odpowiada natychmiast z pewną szorstkością, której zapewne używa, aby trzymać Corkorana na dystans. - To hotel tam wysoko, Pine?

Wzrok Ropera nie odrywa się od czarnych szyb, za którymi płatki z dzieciństwa wciąż tańczą.

- Prawdę mówiąc, latarnia kierunkowa, panie Roper. O ile się orientuję, to rodzaj pomocy w nawigacji.

Cenny zegar Herr Meistra z połączanego brązu wybija godzinę, ale Jonathan mimo całej swojej zwykłej zwinności nie jest stanie ruszyć w kierunku wyjścia. Jego wieczorowe lakierki nadal głęboko tkwią w długim włosiu dywanu w salonie, jakby uwięzły w cemencie. Łagodny wzrok, tak niepasujący do luków brwiowych pięściarza, nie odrywa się od pleców Ropera. Ale Jonathan jest na nich skupiony tylko cząstką jaźni. W gruncie rzeczy wcale nie przebywa w Tower

Suite, lecz w penthousie Sophie, na szczycie hotelu Oueen Nefertiti w Kairze.

Sophie również stoi odwrócona plecami, piękną dorównującymi jego wyobrażeniom, ich biel prześciga biel wieczorowej sukni. Sophie wpatruje się nie w śnieg, ale w wielkie wilgotne gwiazdy kairskiej nocy i księżyc w trzeciej kwadrze, zawieszony za rogi nad zamkniętym miastem. Drzwi do ogrodu na dachu są otwarte. Sophie hoduje tylko białe kwiaty - oleandry, bugenwille, agapanty. Do pokoju wpływa woń jaśminu. Obok na stoliku stoi butelka wódki i na pewno jest w połowie pusta, nie w połowie pełna.

- Pani dzwoniła - przypomniał jej Jonathan ubawionym głosem, odgrywając unżonego sługę. Może to nasza noc - myślał.

- Tak, dzwoniłam i pan przyszedł. Jest pan uprzejmy. Na pewno zawsze jest pan uprzejmy.

Od razu zrozumiał, że to nie ich noc.

- Muszę zadać panu pytanie - mówiła dalej. - Odpowie pan szczerze?

- Oczywiście. Jeśli będę mógł.

- Chce pan powiedzieć, że w pewnych okolicznościach nie byłby pan szczerzy?

- Chcę powiedzieć, że mogę nie znać odpowiedzi.

- Och, zna pan. Gdzie są te dokumenty, które panu powierzyłam?

- W sejfie. W kopercie podpisanej moim nazwiskiem.

- Czy widział je ktoś poza panem?

- Z sejfu korzysta kilku członków personelu. Przeważnie przechowują gotówkę, zanim trafi ona do banku. O ile wiem, koperta nadal jest zamknięta.

Wzruszyła ramionami gestem zniecierpliwienia, ale nie odwróciła głowy.

- Pokazywał je pan komuś? Tak czy nie? Proszę powiedzieć. Nie chcę pana osądzać. Skierowałam się do pana wiedziona impulsem. To nie pańska wina, jeśli się pomyliłam. Sentymentalnie wyobraziłam sobie, że jest pan uczciwym Anglikiem.

Ja też tak sobie wyobrażałem - pomyślał Jonathan. Niemniej nie wpadło mu do głowy, że miał wybór. W świecie, który w tajemniczy sposób władał jego poczuciem lojalności, na jej pytanie była tylko jedna odpowiedź.

- Nie - odrzekł. I powtórzył: - Nie, nikomu.

- Jeśli powie mi pan, że to prawda, uwierzę. Bardzo chciałabym

wierzyć, że jest jeszcze na świecie jakiś džentelmen.

- To prawda. Daję pani moje słowo. Nie pokazałem ich nikomu.

Znów wyglądało na to, że zamierza zlekceważyć jego zaprzeczenie albo uważa je za pochopne.

- Freddie twierdzi, że go zdradziłam. Powierzył mi te papiery. Bardzo nie chciał, żeby leżały u niego w biurze lub w domu. Dicky Roper podsycił nieufność Freddiego do mnie.

- Czemu miałby to robić?

- Roper to drugi z tych korespondentów. Aż do dzisiaj Roper i Freddie Hamid zamierzali ubić interes. Byłam obecna przy pewnych rozmowach na jachcie Ropera. Roper nie był zachwycony tym, że ma mnie za świadka, ale ponieważ Freddie za wszelką cenę chciał się mną przed nim pochwalić, więc Roper nie miał wyboru.

Oczekiwała, że coś powie, ale się nie odezwał.

- Freddie odwiedził mnie dziś wieczór. Później niż zwykle. Gdy jest w mieście, ma w zwyczaju odwiedzać mnie przed kolacją. Z szacunku dla żony korzysta z windy w podziemnym garażu. Zostaje na dwie godzinki, potem wraca na łono rodziny. Może to zabrzmie żałośnie, ale jestem dumna, że jego małżeństwo przetrwało bez szwanku. Dziś wieczór się spóźnił. Poprzednio rozmawiał przez telefon. Wygląda na to, że Roper został ostrzeżony.

- Przez kogo?

- Przez dobrych przyjaciół z Londynu. - Nuta goryczy. - Dobrych dla Ropera, oczywiście.

- Co mówili?

- Mówili, że jego ustalenia handlowe z Freddiem są znane władzom. Roper był ostrożny przez telefon, zakomunikował tylko, że liczył na dyskrecję. Bracia Freddiego nie byli tak delikatni. Freddie nie poinformował ich o transakcji. Chciał im pokazać, że jest coś wart. Posunął się tak daleko, że unieruchomił flotę ciężarówek Hamidów pod pretekstem, że będzie potrzebna do transportu towarów przez Jordan. To też się braciom nie spodobało. A że Freddie się wystraszył, opowiedział im wszystko. Poza tym jest wściekły, że utracił szacunek swojego cennego pana Ropera. Więc „nie”? - powtórzyła, nadal wpatrując się w noc. - Zdecydowane „nie”. Pan Pine nie ma żadnych podejrzeń, jak ta informacja mogła dotrzeć do Londynu albo wpaść w ucho przyjaciół pana Ropera. Nie ma żadnych podejrzeń co do sejfu, papierów...

- Nie. Nie ma. Przykro mi.

Do tej pory nie spojrzała na niego. Teraz wreszcie odwróciła się i mógł ją zobaczyć. Jednego oka zupełnie nie była w stanie otworzyć.

Twarz po obu stronach obrzękła tak, że nie dało się jej rozpoznać.

- Byłabym panu wdzięczna, panie Pine, gdyby wziął mnie pan na przejażdżkę. Freddie traci zdrowy rozsądek, gdy jego duma jest narażona na szwank.

* * *

Nie minęła nawet sekunda. Roper nadal jest zaabsorbowany katalogiem Sotheby's. Z jego twarzy nikt nie zrobił miazgi. Zegar nadal wybija godzinę. Jonathan bezsensownie sprawdza jego dokładność wedle swojego zegarka i gdy wreszcie udaje mu się oderwać stopy od dywanu, odchyła szkło, przesuwając długą wskazówkę, aż oba czasomierze wskazują tę samą godzinę. Kryje się - mówi sobie w myśli. Padnij.

Niewidzialne radio nadaje Mozarta w wykonaniu Alfreda Brendela. Poza kadrem Corkoran znowu gada, tym razem po włosku, z mniejszą swobodą niż po francusku.

Ale Jonathan nie może się ukryć. Ta doprowadzająca do szału kobieta schodzi ozdobną klatką schodową. Początkowo jej nie słyszy, bo jest bosa i ubrana w gratisowy szlafrok kąpielowy Herr Meistra, a gdy już ją usłyszał, wręcz nie był w stanie na nią spojrzeć. Skóra długich nóg zaróżowiła się w kąpeli, kasztanowe włosy rozczesane opadają na ramiona jak u grzecznej dziewczynki. Ciepły zapach płynu do kąpeli zastąpił woń goździków z Dnia Zwycięstwa. Jonathan jest prawie chory z pożądania.

- A jeśli chodzi o dodatkowe atrakcje, pozwoli pan, że zarekomenduję mu prywatny bar - doradza plecom Ropera. - Whisky single malt, osobiście wybrana przez Herr Meistra, sześć gatunków wódek narodowych. - Co jeszcze? - Och, i całodobowa obsługa dla pana i osób towarzyszących.

- No, ja umieram z głodu - oznajmiła dziewczyna, nie dając się usunąć w cień.

Jonathan posyła jej beznamiętny uśmiech hotelarza.

- Ależ może pani żądać z kuchni czego dusza zapagnie. Karta dań służy tylko za wskazówkę i kucharze uwielbiają, kiedy zagania się ich do roboty. - Wraca do Ropera i jakiś diabeł popycha go krok dalej. - Anglojęzyczna telewizja kablowa, na wypadek gdyby chciał pan śledzić losy wojny. Proszę tylko dotknąć zielonego przycisku na tej skrzyneczce, a następnie dziewiątki.

- Naoglądałem się już, dzięki. Zna się pan na rzeźbie?

- Nie bardzo.

- Ja też nie. Czyli jest nas dwóch. Cześć, kochanie. Jak kąpiel?

- Boska.

Jed przechodzi przez pokój, opada na niski fotel, sięga po menu room-service'u i zakłada okulary, bardzo małe i - wściekły Jonathan jest tego pewien - zupełnie niepotrzebne okulary w złotych oprawkach. Sophie nosiłaby je we włosach. Idealna rzeka Brendela dopłynęła do morza. Niewidoczne kwadrofoniczne radio oznajmia, że Fischer-Dieskau wykona kilka pieśni Schuberta. Roper delikatnie szturcha ramieniem Jonathana. Kątem oka Jonathan widzi Jed, gdy krzyżuje nogi o różowitkiew skórce i z roztargnieniem zakrywa je połą szlafroka, nie przestając studiować karty. Dziwka! - krzyczy coś w głowie Jonathana. Szmata! Anioł! Skąd nagle u mnie te młodzieńcze fantazje? Zgrabny palec wskazujący Ropera opada na całostronicowe zdjęcie.

„Pozycja 236, Wenus i Adonis, marmur, wysokość sto siedemdziesiąt pięć centymetrów bez postumentu. Wenus dotyka palcem twarzy Adonisa w akcie uwielbienia, współczesna kopia Canovy, niesygnowana, oryginał w Villa La Grange w Genewie, przewidywana cena: 60 000-100 000 funtów”.

Pięćdziesięcioletni Apollo chce kupić Wenus i Adonisa.

- Co to jest rösti? - pyta Jed.

- Rösti - odpowiada tonem pełnym wyższości Jonathan - to szwajcarski przysmak ze startych ziemniaków. Placki ziemniaczane z wielką ilością masła. Idealne, kiedy umiera się z głodu. I nasza kuchnia przyrządza je strasznie smakowicie.

- Co ty na to? - domaga się odpowiedzi Roper. - Podoba się? Nie podoba? Powiedz coś konkretnego... placki ziemniaczane, kochanie, jadłem takie coś w Miami... co ty na to, panie Pine?

- Sądzę, że to przede wszystkim zależy od ekspozycji - odpowiada wymijająco Jonathan.

- W ogrodzie kwiatowym, u końca ścieżki. Nad głową pergola, widok na ocean, na stronę zachodnią, żeby podziwiać zachody słońca.

- Najpiękniejsze miejsce na ziemi - mówi Jed.

Jonathan wścieka się na nią. Dlaczego się nie zamkniesz? Dlaczego słyszę cię tak wyraźnie, choć paplesz te głupstwa z drugiej strony pokoju? Dlaczego ona zawsze musi przerywać, zamiast czytać cholerne menu?

- Słońce gwarantowane? - pyta Jonathan ze swoim najbardziej protekcyjnym uśmiechem.

- Przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku - oświadcza dumnie Jed.

- No, mów - naciska Roper. - Jesteś człowiekiem z krwi i kości. Co sądzisz?

- Z przykrością stwierdzam, że zupełnie mi nie leży - odpowiada sztywno Jonathan, nie zadając sobie trudu, żeby się zastanović.

Czemu, na Boga, to mówię? To pewnie wina tej całej Jed.

Nie miał pojęcia o rzeźbie, o posągach, nigdy nie kupił żadnego, nie sprzedał, rzadko przystawał, by któryś obejrzeć. No, z wyjątkiem okropnego pomnika z brązu przedstawiającego earla Haiga przyglądającego się Bogu przez lornetkę od strony trybuny honorowej jednego z placów apelowych jego wojskowego dzieciństwa. Usiłował tylko powiedzieć Jed, żeby nie była nachalna.

Piękne rysy Ropera nie ulegają zmianie, ale przez chwilę Jonathan się zastanawia, czy naprawdę jest człowiekiem z krwi i kości.

- Żartujesz sobie ze mnie, Jemima? - pyta Roper z idealnie miłym uśmiechem.

Menu opada i swawolna, nieskalana siniakiem twarz zerka żartobliwie znad niego.

- Czemu, na Boga, miałabym to robić?

- Coś mi się zdaje, że tobie też wcale ta rzeźba nie leżała, kiedy ci ją pokazywałem w samolocie.

Jed kładzie menu na kolanach i dwiema rękami zdejmuje niepotrzebne okulary. Przy tym ruchu, ku totalnemu oburzeniu Jonathana, krótki rękaw gościnnego szlafroka kąpielowego Herr Meistra odsłania idealną pierś, lekko naprężony sutek unosi się wraz z ramieniem w kierunku Jonathana, górną połówkę piersi oświetla padający z góry złoty blask lampy.

- Kochanie - mówi słodko. - To kompletna, zupełna, czysta bzdura. Powiedziałam, że ona ma za duży tyłek. Jeśli podobają ci się duże tyłki, kupuj ją. Twoje pieniądze, twój tyłek.

Roper wyszczerza zęby, łapie darmowego Dom Perignon Herr Meistra i wyciąga korek.

- Corky!

- Już jestem, szefie!

Chwila wahania. Głos staje się znów opanowany.

- Zadzwoń na Danby'ego i MacArthura. Szampana?

- Może być, szefie.

- Sandy! Caroline! Szampan! Do diabła, gdzie tych dwoje?

Znowu się żrą. Nudziarstwo. Za każdym razem dostaję od tego zawrotów głowy - dodaje na stronie do Jonathana. - Nie wychodź, Pine, zabawa dopiero się rozkręca. Corks, zamów jeszcze dwie butelki!

Ale Jonathan wychodzi. Wyraża ubolewanie, dociera do podestu schodów, a gdy się ogląda, widzi Jeds machającą błazeńsko na pożegnanie znad kieliszka. Odpowiada najbardziej lodowatym ze

swoich uśmiechów.

- Pa, pa, kochasiu - szepcze Corkoran, gdy ocierają się o siebie, zdążając w przeciwnych kierunkach. - Dzięki za czułą opiekę.

- Dobrej nocy, majorze.

Frisky, siwoblond OBG, usadowił się na tapicerowanym tronie obok windy i studiuje broszurowe wydanie wiktoriańskiej pornografii.

- Grasz w golfa, skarbulku? - pyta przemykającego chyłkiem Jonathana.

- Nie.

- Ja też nie.

- „Strzelam bekasa w locie” - śpiewa Fischer-Dieskau. - „Strzelam bekasa w locie”.

Podczas kolacji garstka gości jak wierni w kościele pochylała się nad stołami, na których płonęły świeczki. Jonathan siedział tam również, pławiąc się w wymuszonej euforii.

Oto cel mojego życia - mówił sobie. Te pół butelki pommard, to *foie de veau glacé* z trójbarwną jarzynką, to hotelowe srebro, porysowane i połyskujące do mnie mądrze z adamaszkowych obrusów.

Zawsze największą przyjemność sprawiała mu kolacja w samotności, a dzisiejszy odpływ klienteli spowodowany wojną skłonił maître Berriego do awansowania Jonathana z jednoosobowego stolika służbowego przy kuchennych drzwiach do przyokiennego ołtarza głównego. Wpatrując się ponad zaśnieżonymi polami golfowymi w światła miasta iskrzące się nad jeziorem, Jonathan z uporem gratulował sobie satysfakcjonującej pełni obecnego życia, porzucenia minionej brzydoty.

„Nie było ci tam za łatwo z tym potworem Roperem, mój chłopcze - chwalił siwobrody komendant najlepszego kadeta. - A ten major Corkoran to twardy orzech do zgryzienia. Dziewczyna też moim zdaniem. Mniejsza z tym. Walczyłeś mężnie, broniłeś swojej pozycji. Dobra robota”. I Jonathan faktycznie jakimś cudem posyła gratulacyjny uśmiech do swojego odbicia w rozświetlonej świeczkami szybie, gdy wspomina każdą przymilną frazę i pożądliwe myśli w kolejności ich haniebnego wystąpienia.

Nagle *foie de veau* zamieniło mu się w ustach w popiół, a pommard nabrało metalicznego posmaku. Wnętrznosci skręciły się w supeł i pociemniało mu przed oczami. Z pośpiechem wstał od stolika, wymamrotał coś maître Berriemu o zapomnianym obowiązku i ledwo

zdażył do toalety.

3

Jonathan Pine, jedyny syn zżartej przez raka niemieckiej piękności i brytyjskiego sierżanta piechoty zabitego podczas jednej z wielu postkolonialnych wojen, absolwent deszczowego archipelagu sierocińców, rodzin zastępczych, macoch, oddziałów kadetów i obozów szkoleniowych, kiedyś „wilczek” w jednostce specjalnej w jeszcze bardziej deszczowej Irlandii Północnej, pracownik firmy cateringowej, kucharz, sezonowy hotelarz, wieczny uciekinier przed uczuciowymi zobowiązaniami, ochotnik, kolekcjoner języków innych narodów, nocny stwór, który sam sobie wybrał wygnanie, żeglarz bez portu macierzystego, siedział w swoim higienicznym szwajcarskim biurze za recepcją, paląc trzeciego nietradycyjnego papierosa, i rozważał doniosłe słowa czcigodnego założyciela hotelu, wiszące w ramce obok okazałej sepiowej fotografii.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Jonathan kilkakrotnie sięgał po pióro, by wyswobodzić nauki wielkiego męża z okowów niemieckiej składni, ale jego wysiłki zawsze spełzały na niczym, natrafiając na jakieś niewzruszone zdanie podrzędne. „Prawdziwa gościnność jest tym dla całości życia, czym dobra kuchnia dla smakosza - zaczął, uwierzywszy przez moment, że mu się uda. - Jest wyrazem naszego szacunku dla fundamentalnej, podstawowej wartości każdego pojedynczego stworzenia powierzonego naszej pieczy podczas tułaczki przez życie niezależnie od jego stanu, dla pospólnej odpowiedzialności ducha ludzkości, który nawiedził...” - w tym momencie znowu, jak zawsze, utknął bezradny. Niektóre rzeczy najlepiej zostawić w oryginale.

Wrócił wzrokiem do jarmarcznego telewizora Herr Strippliego. Odbiornik stał przed nim niezgrabnie jak męska torebka. Od kwadransa grał w tę samą grę elektroniczną. Celownik bombowca namierza szary przecinek budynku w dole. Kamera robi zbliżenie. Pocisk leci do celu, trafia i spada przez kilka pięt. Parter budynku

pęka jak papierowa torba ku obłudnej satysfakcji prezentera. Strzał w dziesiątkę. Premia w postaci dwóch strzałów gratis. Nikt nie mówi o ofiarach. Z tej wysokości nie ma żadnych ofiar.

Irak to nie Belfast.

Obraz się zmienił. Sophie i Jonathan na przejeździe.

Jonathan prowadzi, a spuchnięta twarz Sophie jest częściowo zakryta chustką i ciemnymi okularami. Kair jeszcze nie ocknął się ze snu. Czerwień brzasku zabarwia przykurzone niebo. Żeby przeschmuglować Sophie z hotelu do samochodu, tajny agent zastosował wszelkie środki ostrożności. Wybrał się w kierunku piramid, nie wiedząc, że ona myśli o innym widoku.

- Nie - mówi Sophie. - Tędy.

Cuchnąca poducha brudu wisi nad popękаныmi grobowcami kairskiego cmentarza miejskiego. W oświetlonym księżycem pejzażu dymiących popiołów, wśród szalasów z plastikowych toreb i puszek po konserwach nędza tej ziemi przykucnęła jak sępy w technicolorze, grzebiąc w śmieciach. Jonathan parkuje na piaszczystym poboczu. Ciężarówki mijają ich z łoskotem, jadąc do wysypiska i z powrotem, zostawiają za sobą smród.

- Tutaj go ściągnęłam - mówi ona. Jedną stronę ust ma absurdalnie spuchniętą. Słowa wypadają przez dziurę, którą ma z drugiej strony.

- Dlaczego? - pyta Jonathan, co znaczy: „Dlaczego teraz ściągasz tu mnie?”.

- „Popatrz na tych ludzi, Freddie”, powiedziałam mu. „Za każdym razem kiedy ktoś sprzedaje broń jakiemuś operetkowemu arabskiemu tyranowi, ci ludzie głodują jeszcze bardziej. Wiesz, dlaczego tak jest? Posłuchaj mnie, Freddie. Bo zabawniej mieć śliczną armię niż nakarmić głodujących. Jesteś Arabem, Freddie. Nieważne, że my, Egipcjanie, powtarzamy, że nie jesteśmy Arabami. Jesteśmy. Czy to właściwe, żeby twoi arabscy bracia płacili ciałem za twoje mrzonki?”

- Rozumiem - mówi Jonathan z zażenowaniem Anglika, który spotyka się z emocjami politycznymi.

- „Nie potrzeba nam przywódców”, powiedziałam. „Następny wielki Arab będzie skromnym rzemieślnikiem. Doprowadzi do tego, że życie potoczy się gładko, da ludziom poczucie godności zamiast wojen. Będzie zarządcą, nie wojownikiem. Będzie jak ty, Freddie, bo możesz taki być, jeśli dorośniesz”.

- Co Freddie na to? - pyta Jonathan.

Jej zniekształcone rysy twarzy oskarżają go za każdym razem, gdy na nie patrzy. Obrzęk wokół oczu staje się sinożółty.

- Powiedział mi, żebym zajęła się własnymi sprawami. - Zachłystuje się furią i rani serce Jonathanowi jeszcze mocniej. - Powiedziałam mu, że to jest moja sprawa! Życie i śmierć to moja sprawa! Arabowie to moja sprawa! On to moja sprawa!

I ostrzegłaś go - myśli zmartwiały. Dałaś mu znać, że trzeba się z tobą liczyć, że nie jesteś słabą kobietą, którą można lekceważyć. Pozwoliłaś mu odgadnąć, że ty też masz tajną broń, i zagroziłaś zrobieniem tego, co już zrobiłem, choć jeszcze o tym nie wiesz.

- Egipskie władze go nie tkną - mówi Sophie. - Daje im łapówki, żeby trzymali się z daleka.

- Wyjedź z miasta - przekonuje ją Jonathan. - Wiesz, jacy są Hamidowie. Uciekaj.

- Hamidowie mogą mnie zabić równie łatwo w Paryżu, jak w Kairze.

- Powiedz Freddiemu, że musi ci pomóc. Niech się wstawi za tobą przed braćmi.

- Freddie się mnie wystraszył. Kiedy nie odgrywa zucha, jest tchórzem. Czemu się tak wpatrujesz w samochody?

Bo to jedyne, w co mogę się tu wpatrywać, poza tobą i nędzą tej ziemi.

Ale ona nie czeka na odpowiedź. Być może ta badaczka męskich słabości rozumie w głębi ducha jego hańbę.

- Poproszę kawę. Egipską. - I dzielną uśmiech, który rani go bardziej niż wszystkie rekryminacje świata.

Stawia jej kawę na targu, a potem odwozi na hotelowy parking. Dzwoni do domu Ogilveyów, słuchawkę podnosi służąca.

- On wyjść! - wrzeszczy kobieta.

A co z panią Ogilvey?

- On nie być!

Telefonuje do ambasady. Tam też on nie być. On popłynąć do Aleksandria na regaty.

Łączy się z jachtklubem, aby zostawić wiadomość. Bełkotliwy głos mówi, że nie ma dziś regat.

Jonathan telefonuje do amerykańskiego przyjaciela, Larry'ego Kermody, do Luksoru, pyta, czy jego mieszkanie gościnne jest puste.

Telefonuje do Sophie.

- Mój przyjaciel archeolog w Luksorze ma wolne mieszkanie - mówi. - W domu pod nazwą Chicago House. Na tydzień, dwa będziesz mile widzianym gościem. - Żartami usiłuje rozpedzić milcze-

nie. - To rodzaj klasztornej celi dla przyjezdnych naukowców. Na tyłach domu. Ma własny taras na dachu. Nikt nie musi wiedzieć, że tam jesteś.

- Pan też przyjedzie, panie Pine?

Jonathan nie pozwala sobie na moment wahania.

- Możesz pozbyć się ochroniarza?

- Sam się pozbył. Wygląda na to, że Freddie zdecydował, że nie jestem warta ochrony.

Dzwoni do biura podróży, które robi interesy z hotelem. Agentka jest Angielką; ma na imię Stella i rozlaży głos piwosza.

- Stella, słuchaj, dwoje bardzo ważnych gości chce polecieć incognito dziś w nocy do Luksoru. Koszty nie grają roli. Wiem, że całe miasto jest nieczynne. Wiem, że nie ma lotów. Co możesz zrobić?

Długa cisza. Stella jest jasnowidzem. Stella zbyt długo przebywa w Kairze.

- Cóż, wiem, że ty jesteś bardzo ważny, kochanie, ale kim jest ta dziewczyna? - I wybucha ohydny, rżącym śmiechem.

Długo po odłożeniu słuchawki Jonathan słyszy kaszel i prychnie.

Jonathan i Sophie siedzą obok siebie na płaskim dachu Chicago House, piją wódkę i wpatrują się w gwiazdy. W samolocie ledwo zamienili parę słów. Proponował jedzenie, ale odmówiła. Otulił szalem jej ramiona.

- Roper jest najgorszym człowiekiem na świecie - oznajmiła.

Jonathan ma nikłe doświadczenie, jeśli chodzi o międzynarodowych przestępców. Instynktownie najpierw wini siebie, potem innych.

- Sądzę, że każdy z tego biznesu budzi spory lęk - mówi.

- Jego nic nie usprawiedliwia - odparowuje ona, nieugłaskana jego powściągliwością. - Jest zdrowy. Jest biały. Jest bogaty. Dobrze urodzony, dobrze wykształcony. Los był dla niego łaskawy. - Złowieszczęść Ropera rośnie, w miarę jak Sophie rozwodzi się nad jego cnotami. - Jest za pan brat z całym światem. Jest dowcipny. Pewny siebie. A jednak niszczy świat. Czego brak Roperowi? - Czeka, aż Jonathan coś powie, ale na próżno. - Co sprawiło, że jest taki? Nie wychował się w parszywych zaułkach. Jest uprzywilejowany. Może ty wiesz. Jesteś mężczyzną.

Ale Jonathan już nic nie wiedział. Patrzył na jej pobitą twarz na tle nocnego nieba.

Co zrobisz? - zadawał jej w myślach pytanie. Co ja zrobię?

Wyłączył telewizor Herr Strippliego. Wojna się skończyła. Kochałem cię. Kochałem cię z twoją zmasakrowaną twarzą, gdy spacerowaliśmy ramię w ramię wśród świątyń Karnaku. „Panie Pine - powiedziałaś - czas odwrócić bieg rzek”.

Była druga w nocy, pora wymaganego przez Herr Meistra obchodu. Jonathan rozpoczął go jak zawsze od holu. Stał na środku dywanu, w miejscu, w którym uprzednio stał Roper, i słuchał niespokojnych nocnych odgłosów hotelu ginących za dnia w zgiełku: buczenia pieca, szumu odkurzacza, brzęku talerzy w kuchni room-service'u, stąpania portiera po tylnych schodach. Stał w tym samym miejscu co każdej nocy, wyobrażając sobie ją wychodzącą z windy, jej twarz przywróconą do normy, ciemne okulary wsunięte w czarne włosy. Przecina hol i zatrzymuje się przed nim, przypatrując mu się krytycznym okiem. „Pan się nazywa Pine. Kwiat Anglii. I zdradził mnie pan”. Stary Horwitz, nocny portier, śpi przy swoim stanowisku. Krótko ostrzyżoną głowę złożył na zgięciu łokcia.

Nadal jesteś uchodzącą, Horwitz - pomyślał Jonathan. Maszerujesz i śpisz. Maszerujesz i śpisz.

Odstawił pustą filiżankę starca poza zasięg jego ręki.

Przy ladzie recepcji Fräulein Vipp, siwiejąca, usługna kobieta o kruchym uśmiechu, zastąpiła Fräulein Eberhardt.

- Mogę zobaczyć dzisiejsze nocne przyjazdy, Fräulein Vipp?

Ona podaje mu formularze meldunkowe Tower Suite. Alexander, lord Langbourne, niewątpliwie alias Sandy. Adres: Tortola, Brytyjskie Wyspy Dziewicze. Zawód - według Corkorana - członek Izby Lordów. W towarzystwie żony, Caroline. Żadnej wzmianki o długich włosach związanych na karku lub o tym, co członek Izby Lordów może robić poza zasiadaniem w Izbie Lordów. Onslow Roper, Richard, zawód: prezes zarządu. Jonathan szybko przegląda resztę formularzy. Frobisher, Cyril, pilot. MacArthur, Jakiś Tam, i Danby, Jakiś Inny, dyrektorzy. Kolejni asystenci, kolejni piloci, ochroniarze. Inglis, Francis, z Perth, Australia - Francis, stąd zapewne Frisky - trener osobisty. Jones, Tobias, z Afryki Południowej - Tobias, stąd Tabby - sportowiec. Celowo zostawił ją na koniec, jak jedną dobrą fotografię w stosie nieudanych. Marshall, Jemima W. adres jak u Ropera, numer skrytki pocztowej w Nassau. Brytyjka. Zawód - wypisany ze szczególnie kunsztownym zawijaszem przez majora - woltyżerka.

- Czy może mi je pani skserować, *Fräulein Vipp*? Sprawdzamy gości z *Tower Suite*.

- Naturalnie, panie Pine - odpowiedziała kobieta i zabrała formularze do pomieszczenia biurowego w głębi.

- Dziękuję pani - rzekł Jonathan.

Ale w wyobraźni widzi samego siebie zmuszonego pracującego przy fotokopiarce w hotelu *Queen Nefertiti*, podczas gdy *Sophie* obserwuje go, paląc papierosa. „Biegły pan jest” - mówi. Tak, biegły jestem. Biegłe szpieguję. Biegłe zdradzam. Kocham, kiedy jest za późno.

Frau Merthan była telefonistką, kolejnym nocnym strażnikiem. Jej budka wartownicza to duszna dziupla za recepcją.

- *Guten Abend*, *Frau Merthan*.

- *Good morning*, mister Jonathan.

Tak sobie zawsze żartowali.

- Wojna w Zatoce grzecznie się rozwija, ufam? - Jonathan zerknął na wydruki agencji prasowych zwisające z teleksu. - Bombardowania nie słabną. Tysiąc lotów bojowych już wylatanych. Bezpieczeństwo w liczbach.

- Tyle pieniędzy wyrzuconych na jednego Araba - powiedziała z naganą *Frau Merthan*.

Jonathan zaczął porządkować papiery; nieświadomy nawyk, który wszedł mu w krew od pierwszego szkolnego internatu. Podczas tego zajęcia prześlizguje się wzrokiem po faksach. Jedna wąska taśka na przychodzące, zawartość do rozprawienia rano. Jedna wąska taśka na wychodzące, do zwrotu wysyłającym.

- Dużo telefonów, *Frau Merthan*? Panika najlepiej rozchodzącym się towarem na świecie? Musi się pani czuć jak w jądrze wszechświata.

- Księżna *du Four* musi dzwonić do kuzyna we *Władystoku*. Teraz, kiedy w Rosji się polepszyło, co noc dzwoni do *Władystoku* i rozmawia przez godzinę. Co noc połączenie jest przerywane i musi być ponawiane. Myślę, że szuka swojego księcia.

- A jak nasi książęta na wieży? - spytał. - Wygląda na to, że nie odrywają się od telefonu, ledwo tam weszli.

Frau Merthan stuka w kilka klawiszy i mruży oczy za dwuogniskowymi okularami.

- *Belgrad*, *Panama*, *Bruksela*, *Nairobi*, *Nassau*, *Praga*, *Londyn*, *Paryż*, *Tortola*, coś w Anglii, znowu *Praga*, kilka razy *Nassau*. Wszystko automatyczne. Wkrótce będą tylko automatyczne i stracę zajęcie.

- Pewnego dnia wszyscy zostaniemy robotami - zapewnił ją

Jonathan. Pochylając się nad kontuarem Frau Merthan, okazał ciekawość laika. - Czy ten pani ekran faktycznie pokazuje numery, pod które się dzwoni? - spytał.

- Rzecz jasna, w innym przypadku goście natychmiast zgłaszałyby zażalenie. To normalne.

- Proszę mi pokazać.

Pokazała mu. „Roper zna złych ludzi na całym świecie” - powiedziała Sophie.

W jadalni Bobbi, złota rączka, balansował na aluminiowej drabinie i czyścił mopem kryształą zyrandola. Jonathan przesunął się na palcach, żeby nie rozpraszać jego uwagi. W barze siostrzenice Herr Kaspara, nimfetki w koszulach drżących na biuście i w spranych dżinsach, przesadzały rośliny do nowych doniczek. Starsza z sióstr doskoczyła do niego i zademonstrowała na dłoni stos ubłoconych niedopałków.

- Czy mężczyźni robią takie rzeczy u siebie w domu? - spytała niecierpliwie, wypinając ku niemu piersi z zawadiackim oburzeniem. - Kipują w doniczkach z kwiatami?

- Tak sędzę, Renatę. Mężczyźni bez wahania robią najbardziej niewyobrażalne rzeczy. - Spytał Ogilveya, pomyślał. Był tak odczwany w tej chwili od rzeczywistości, że jej zuchwałość zirytowała go bezsensownie. - Na twoim miejscu uważałbym na ten fortepian. Herr Meister zabije cię, jak go zarysujesz.

W kuchni nocni kucharze przygotowali ucztę do sypialni niemieckich nowożeńców zajmujących Bel Etage: rumszytk dla niego, wędzony łosoś dla niej, butelka mersault dla podsylenia zapachu. Jonathan obserwował Alfreda, austriackiego nocnego kelnera, który szczupłymi palcami delikatnie poprawiał serwetki ułożone w rozetę i dodał wazonik z kameliami, żeby było romantycznie. Alfred był nieudanym tancerzem z baletu i w paszporcie podawał „artysta”.

- No i bombardują Bagdad - powiedział z satysfakcją, nie odrywając się od pracy. - Będą mieli nauczkę.

- Czy Tower Suite dzisiaj coś je?

Alfred wziął oddech i zaczął wyliczać. Jego uśmiech był już trochę młodszy niż twarz.

- Trzy razy wędzony łosoś, jedna ryba z frytkami w stylu angielskim, cztery średnio wysmażone steki z polędwicy, podwójna porcja ciasta marchewkowego i *Schlag*, na którą mówicie *Rahm*. Ciasto marchewkowe to przedmiot kultu jego wysokości. Tak mi powiedział. Od Herr majora, na polecenie jego wysokości, pięćdziesiąt franków napiwku. Wy, Anglicy, zawsze dajecie napiwek, kiedy

jestecie zakochani.

- Doprawdy? - rzekł Jonathan. - Muszę to sobie zapamiętać. - Ruszył do góry główną klatką schodową.

Roper nie jest zakochany, po prostu jest w rui. Zapewne wynajął ją z jakiejś agencji wypożyczającej dziwki. Tyle a tyle za noc.

Dotarł do dwuskrzydłowych drzwi Grand Suite. Nowożeńcy najwyraźniej nawet buty mieli nowe. On lakierki zapinane na sprzączki, ona złote sandaalki, rzucone niecierpliwie. Jonathan, kierowany wpajaną od kołyski usłużnością, pochylił się i ustawił je porządnie.

Dotarł na najwyższe piętro i przyłożył ucho do drzwi Frau Loring. Usłyszał, jak brytyjski ekspert od wojskowości tokuje w kablówce. Zapukał. Miała na sobie szlafrok świętej pamięci małżonka, nałożony na koszulę nocną. Na kuchence bulgotała kawa. Sześćdziesiąt lat w Szwajcarii nie zmieniło ani o cal *hochdeutschu* Frau Loring.

- To dzieci. Ale walczą, więc są mężczyznami - oświadczyła idealnym akcentem jego matki, podając mu kubek.

Brytyjski ekspert z zapalem neofity rozmieszczał ołowiane żołnierzyki w piaskownicy.

- Więc kto dziś wieczór zapełnił Tower Suite? - spytał Frau Loring, która wiedziała wszystko.

- Och, jakiś angielski magnat i jego kamraci. Roper. Pan Roper i jego towarzystwo. I jedna dama o połowę młodsza od niego.

- Obsługa mówi, że ona jest wyjątkowa.

- Nie patrzyłam.

- I raczej niezsępa. Naturalna.

- No cóż, powinni się znać.

Przypatrywała mu się, jak zawsze wtedy, gdy wyrażał się niedbale. Czasami wydawało się, że zna go lepiej niż on sam.

- Dziś wieczór bije od ciebie blask. Mógłbyś oświetlić miasto. Co tam w sobie tłamsisz?

- To chyba śnieg.

- Miło, że Rosjanie wreszcie są po naszej stronie. Prawda?

- To wielkie dyplomatyczne osiągnięcie.

- To cud - poprawiła go Frau Loring. - I jak w przypadku większości cudów, nikt w niego nie wierzy.

Nalała mu kawy i stanowczym ruchem usadziła w jego tradycyjnym fotelu. Telewizor był przeogromny, większy niż wojna. Zadowoleni żołnierze machali z transporterów opancerzonych. Kolejne pociski z wdziękiem leciały do celu. Z sykiem dreptały czołgi. Pan Bush przyjmował kolejną owację od pełnej podziwu widowni.

- Wiesz, co czuję, kiedy oglądam wojnę? - spytała Frau Loring.
- Jeszcze nie - odparł czule. Ale ona chyba zapomniała, co chciała powiedzieć.

A może Jonathan nie słyszy Frau Loring, bo trafność jej uwag nieodparcie przypomina mu Sophie. Radosne spełnienie miłości do niej odchodzi w niepamięć. Nawet Luksor odchodzi w niepamięć. Jonathan wraca do Kairu na ostatni potworny akt.

* * *

Stoi w penthousie Sophie ubrany... - jakie, do diabła, ma znaczenie, co miałem na sobie? - ubrany dokładnie w ten sam smoking, podczas gdy egipski oficer policji w mundurze oraz jego dwaj podwładni w cywilu wpatrują się w niego ze sztucznym, kamiennym spokojem. Krew jest wszędzie, cuchnie starym żelazem. Na ścianach, na podłodze, na dywanie. Jak wino rozlała się po toalecie. Ubrania, zegary, tapety, książki po francusku, arabsku i angielsku, oprawione w brąz lustra, pachnidła i kosmetyki - wszystko zostało roztrzaskane przez gigantyczne niemowlę w napadzie szału. Sophie jest drobiazgiem wśród tego bezładu. Czołgała się, być może w kierunku otwartego francuskiego okna wychodzącego na jej biały ogród dachowy, i leży teraz w pozycji ustalonej bocznej, jak piszą w wojskowych poradnikach pierwszej pomocy - głowa spoczywa na wyciągniętym ramieniu, kapa z łóżka jest udrapowana na dolnej części ciała, a na górnej resztki bluzki lub koszuli nocnej, której koloru nigdy się już nie rozpozna. Inni policjanci zajmują się innymi sprawami i wszystko robią bez specjalnego przekonania. Jeden wychyla się z parapetu ogrodu na dachu, zapewne szuka winnego. Następny gmera przy drzwiczkach ściennego sejfu Sophie; wiszą na naderwanych zawiasach, trzaskają, gdy otwiera je i zamyka.

Czemu oni noszą czarne kabury? - dziwi się Jonathan. Też pracują nocą?

W kuchni męski głos mówi coś po arabsku do telefonu. Dwaj policjanci pilnują frontowych drzwi wychodzących na podest schodów. Grupka pasażerek pierwszej klasy liniowca w jedwabnych szlafrokach, z twarzami pokrytymi kremem, spogląda z oburzeniem na swoich strażników. Chłopiec w mundurze spisuje zeznanie. Jakiś Francuz grozi wezwaniem adwokata.

- Nasi goście z niższego piętra skarżyli się na zakłócanie spokoju - mówi Jonathan inspektorowi. Zdaje sobie sprawę, że popełnił taktyczny błąd. W przypadku gwałtownej śmierci tłumaczenie swojej obecności nie jest naturalne ani uprzejme.

- Ty przyjaciele z tamta kobieta? - pyta inspektor. Z ust zwisa mu papieros.

Czy on wie o Luksorze? Czy Hamid wie?

Najlepiej wypadają kłamstwa wygłaszane śmiało z nutą arogancji.

- Lubiła korzystać z tego hotelu - odpowiada Jonathan, nadal siłując się na naturalny ton. - Kto to zrobił? Co się stało?

Ramiona inspektora wędrują ospale w górę na znak obojętności. „Egipskie władze nie tkną Freddiego. Daje im łapówki, żeby trzymali się z daleka”.

- Miałeś kontakt seksualny z tamta kobieta? - pyta inspektor.

Czy widziano nas w samolocie?

Śledzono do Chicago House?

Założono podsłuch w mieszkaniu?

Jonathan odzyskuje spokój. Stać go na to. Im straszliwsze wydarzenie, tym bardziej można ufać, że zachowa spokój. Okazuje pewną irytację:

- Jeśli przypadkowe wspólne wypicie filiżanki kawy można nazwać kontaktem seksualnym. Ona miała ochroniarza. Wynajętego przez pana Hamida. Gdzie on jest? Znikł? Może to ochroniarz?

Na inspektorze najwyraźniej nie robi to wrażenia.

- Hamid? Co to Hamid, proszę?

- Freddie Hamid. Najmłodszy z panów Hamid.

Inspektor ściąga brwi, jakby to nazwisko było czymś nieprzyjemnym, obojętnym lub nieznanym. Jeden z jego pomagierów jest łysy. Drugi rudy. Noszą dzinsy, krótkie skórzane kurtki i gąszcz zarostu na twarzy. Obaj uważnie słuchają.

- O czym ty mówisz z tamta kobieta? Byłeś z nią polityczny?

- Tak sobie gadaliśmy.

- Gadaliśmy?

- O restauracjach. Plotki towarzyskie. Moda. Pan Hamid czasem zabierał ją do jachtklubu, tu albo w Aleksandrii. Wymienialiśmy uśmiechy. Machaliśmy sobie na przywitanie.

- Zabiłeś ta kobieta?

Tak - odpowiada w myśli. Nie w taki sposób, jak sądzisz, ale tak. Niewątpliwie ja ją zabiłem.

- Nie - mówi.

Inspektor zatyka kciuki za czarny pas. Spodnie również ma czarne, ale guziki i insygnia złote. Uwielbia swój mundur. Podwładny mówi coś do niego, lecz inspektor nie zwraca na to uwagi.

- Ona skarżyć ci kiedyś, że ktoś chce ją zabić? - pyta Jonathan.

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego, proszę?
- Gdyby to zrobiła, zgłosiłbym wam.
- W porządku. Ty teraz iść.
- Czy skontaktował się pan z panem Hamidem? Co pan zamierza?

Inspektor dotyka daszka czarnej czapki, żeby dodać powagi swojej teorii.

- Był włamywacz. Szalony włamywacz, morderca kobiet. Może narkotyk.

Sanitariusze o kaprawych oczach, w zielonych dresach i tenisówkach, pojawiają się z noszami i workiem na ciało. Ich szef nosi ciemne szkła. Inspektor przydeptywa niedopałek na dywanie i zapala następnego papierosa. Mężczyzna w gumowych rękawiczkach błyska fleszem. Każdy włamał się do szafy z rekwizytami, żeby móc nosić coś innego. Kładąc ją na nosze, obracają ciało, a wtedy biała, o wiele teraz mniejsza pierś wysuwa się przez rozdarte okrycie. Jonathan zauważa twarz. Została prawie zupełnie zmasakrowana, być może kopniakami, być może kolbą pistoletu.

- Miała psa - mówi. - Pekinczyka.

Ale w tej samej chwili, w której to mówi, zauważa go przez otwarte drzwi kuchni. Leży na płytkach podłogi, większy niż kiedykolwiek, wyprostowany. Rana jak otwarty zamek błyskawiczny biegnie przez podbrzusze od gardła do tylnych łap. Dwaj ludzie - myśli tępo Jonathan - jeden do trzymania, drugi do cięcia; jeden do trzymania, drugi do bicia.

- Była obywatelką brytyjską - mówi Jonathan, używając czasu przeszłego, by się ukarać. - Lepiej zadzwonić do ambasady.

Ale inspektor już nie słucha. Łysy pomagier bierze Jonathana za ramię i chce poprowadzić go do drzwi. Przez chwilę, ale trwającą dosyć długo, Jonathan czuje bojowy zapach. Dreszcz przebiega przez barki, ramiona, aż do dłoni. Policjant odczuwa go również i cofa się o krok, jakby pod wpływem wstrząsu. Potem uśmiecha się groźnie na znak braterstwa. Wtedy Jonathana ogarnia panika. Nie jest to lęk, ale poczucie stałej, niepowetowanej straty. Kochałem cię. I nigdy nie przyznałem się do tego - ani tobie, ani sobie.

Frau Merthan drzemała przy centralce. Czasem nad ranem dzwoniła do kochanki i szeptała jej szeptom, ale nie dziś. Sześć faksów skierowanych do Tower Suite czekało razem z oryginałami wychodzącymi ostatniego wieczoru. Jonathan zmierzył je wzrokiem,

ale ich nie dotknął. Słuchał oddechu Frau Merthan. Na próbę przesunął dłoń przed jej zamkniętymi oczami. Zacharczała jak maciora. Niczym zręczne dziecko kradnące z torby, z którą matka wychodzi na zakupi, zwinął faksy z tacek. Czy kopiarka będzie jeszcze ciepła? Czy winda wróciła pusta z najwyższego piętra? „Zabiłeś ją?” Dotknął klawisza, potem drugiego, potem trzeciego. „Biegły pan jest”. Komputer zapiszczał i Jonathanowi kolejny raz ukazała się niepokojąca wizja kobiety Ropera schodzącej klatką schodową Tower Suite. Kim są chłopcy z Brukseli? Kim jest Apetycik z Miami? Kim Żołnierz Boris? Frau Merthan odwróciła głowę i warknęła. Zaczął przepisywać numery telefonów, gdy ona nadal chrapała.

Były kapitan drużyny młodzików, Jonathan Pine, syn sierżanta szkolony do walki w każdych warunkach, ze skrzypieniem śniegu pokonywał ścieżkę przy górskim strumyku, który ze szmerem i pluskiem torował sobie drogę między drzewami. Jonathan miał na smokingu kurtkę z kapturem, a na wieczorowych skarpetkach lekkie buty do wspinaczki. Lakierki zwisały w plastikowej torbie w lewej ręce. Wszędzie wokół na drzewach, w ogrodach i wzdłuż strumienia śnieżne ażury błyszcząły pod idealnie błękitnym niebem. Ale raz w życiu Jonathan był obojętny na te cuda. Szedł w kierunku swojego służbowego mieszkania przy Klosbachstrasse. Była ósma rano. Zjem solidne śniadanie - zdecydował - gotowane jajka, grzanki, kawa. Czasami przyjemnie jest obejść się bez obsługi. Może najpierw kąpiel dla orzeźwienia. A podczas śniadania, jeśli tylko zdoła skupić myśli, zadecyduje. Wsunął rękę do kurtki. Koperta nadal była na swoim miejscu. Dokąd się spieszę? Głupcem jest ten, który nie uczy się z doświadczenia. Skąd u mnie ten bitewny zapach?

Zbliżając się do swojego domu, Jonathan odkrył, iż wpadł w marszowy rytm. I nogi poruszane tym rytmem wcale nie spoczęły - zaniósł go na Römerhof, gdzie czekał nań tramwaj ze złowieszczo uchylonymi drzwiami. Pojechał nim bezwolnie. Obca mu brązowa koperta dźgała go w klatkę piersiową. Na dworcu głównym doznał olśnienia i z tą samą biernością poszedł dalej aż do skromnego gmachu przy Bleicherweg, gdzie liczne państwa, w tym jego własne, miały przedstawicielstwa konsularne i handlowe.

- Chciałbym mówić z podpułkownikiem lotnictwa Quayle'em - oznajmił siedzącej za kuloodporną szybą Angielce z końską szczęką. Wyjął kopertę i przesunął ją pod szkłem. - To sprawa prywatna. Może powie mu pani, że jestem przyjacielem Marka Ogilveya z Kairu.

Żeglowaliśmy razem.

Czy zajście w piwniczce z winami Herr Meistra było częściowo odpowiedzialne za to, że Jonathan zagłosował nogami? Na krótko przed przyjazdem Ropera został w niej uwięziony na szesnaście godzin i wspominał to zdarzenie jak wstępny kurs umierania.

Do dodatkowych powinności powierzonych Jonathanowi przez Herr Meistra należało przygotowanie comiesięcznej inwentaryzacji piwnicy z winami szlachtetnymi, wykutej głęboko w litej skale pod najstarszą częścią hotelu. Jonathan zwykle spełniał ten obowiązek pierwszego poniedziałku każdego miesiąca, przed sześciodniową przerwą, którą kontrakt zapewniał mu zamiast wolnych weekendów. W rzeczoney poniedziałek jego postępowanie przebiegało rutynowo.

Wina szlachtetne zostały niedawno ubezpieczone na sumę sześciu i pół miliona franków szwajcarskich. Stopień komplikacji urządzeń zabezpieczających piwnicę był proporcjonalnie wysoki do wielkości sumy ubezpieczenia. Zanim ustąpił zamek sprężynowy, czwarty z kolei, należało zwolnić zamek szyfrowy i dwa bezwładnościowe. Groźne oko kamery mierzyło każdego zbliżającego się petenta. Jonathan przystąpił do rytualnego liczenia, zaczynając jak zwykle od *château pétrus*, rocznik 1961, oferowanego tego roku w cenie cztery tysiące pięćset franków butelka, i zmierzał ku półtoralitrowym *mouton rothschild*, rocznik 1945. Był w środku obliczeń, gdy zgasło światło.

Tak się składało, że Jonathan nienawidził ciemności. Z jakiego innego powodu człowiek wybrałby pracę nocą? Jako chłopiec czytał Edgara Allana Poego i rozumiał każdą udrękę, która stała się udziałem ofiary w *Beczce amontillada*. Każda katastrofa w kopalni, każde zawalenie się tunelu lub opowieść o alpiniście uwięzionym w skalnej szczelinie miały osobną kryptę w jego pamięci.

Stał bez ruchu, straciwszy orientację. Czy leżał do góry nogami? Dostał wylewu? Wszedł na minę? Jako alpinista szykował się na uderzenie. Jako oślepiiony żeglarz przylgnął do wraku. Wyszkolony żołnierz przesuwał się z wolna ku niewidzialnemu wrogowi, pozbawiony otuchy, jaką daje broń. Jonathan, brnąc niczym nurek głębinowy, wymacywał drogę wzdłuż półek z winem, szukając wyłącznika światła. Telefon - pomyślał. Czy w piwnicy jest telefon? Nawyk obserwacji stał mu się utrudnieniem. Podsuwał zbyt wiele obrazów. Drzwi. Czy miały klamkę wewnątrz? Wysiłkiem wyobraźni przypominał sobie brzęczyk. Ale brzęczyk potrzebował dopływu prądu.

Pogubił się w geografii piwnicy i zaczął krążyć wokół półek jak

mucha wewnątrz czarnego abażura. Żaden element wykszolenia nie przygotował go na to straszliwe doświadczenie. Żaden marsz na wytrzymałość, kurs walki wręcz, ćwiczenia w przetrzymywaniu głodu lub pragnienia nie dały najmniejszego pożytku. Kiedyś przeczytał, że złota rybka ma tak krótką pamięć, iż każde okrażenie akwarium to nowe, budzące dreszcz w żyłach doznanie. Pocił się, prawdopodobnie łkał. Kilkakrotnie wrzasnął: „Pomóżcie mi! Tu Pine!”. Na próżno. Butelki! - pomyślał. Butelki mnie uratują! Rozważał, czy nie rzucić nimi w ciemność. Może to ściągnie pomoc. Ale nawet w tym stanie zidiocenia samodyscyplina zwyciężyła i nie odważył się na taki brak odpowiedzialności, by rozbijać butelkę za butelką chateau pétrus po cztery i pół tysiąca sztuka.

Kto mógłby zauważyć, że przepadł? Obsługa była przekonana, że wyjechał z hotelu na swoją comiesięczną sześciodniówkę. Inwentaryzacja, technicznie rzecz biorąc, przypadała na jego czas wolny, co było niekorzystnym warunkiem umowy wytargowanym przez Herr Meistra. Gospodyni mieszkania uzna, że zdecydował się spać w hotelu, co robił od czasu do czasu, gdy były wolne pokoje. Jeśli jakiś milioner nie przyjdzie mu przypadkiem z pomocą, zamawiając butelkę szlachetnego trunku, Jonathan Pine umrze, zanim ktoś zauważy jego nieobecność. A milionerów uziemiła groźba nadciągającej wojny.

Starając się opanować, Jonathan siadł sztywno na czymś przypominającym w dotyku kartonowe pudło i ze wszystkich sił starał się uszeregować swoje dotychczasowe życie. Robił ostatnie porządki przed śmiercią, przywołując przyjemnie spędzone chwile, wyciągnięte nauki, pozytywne zmiany charakteru, dobre kobiety. Nie znalazł niczego. Ani chwil, ani kobiet, ani nauk. Nic. Nic prócz Sophie, która nie żyła. Patrzył na siebie i widział jedynie półśrodki, przegrane i haniebne odwroty, a Sophie była wymownym świadectwem tego wszystkiego. W dzieciństwie dniem i nocą starał się zostać nieudolnym dorosłym. Jako agent do zadań specjalnych narzucił sobie ślepe posłuszeństwo i wśród przejściowych niepowodzeń wytrwał. Jego akta kochanka, małżonka i cudzołożnika były równie chude; jeden czy dwa przypadki ostrożnej rozkoszy, po których następowały lata krzywd i uniżonych przeprosin.

I stopniowo oświeciło go, jeśli oświecenie może nastąpić w totalnej ciemności, że jego życie było serią prób do sztuki, w której nie umiał zagrać. I od tej chwili winien - jeśli będzie jakieś „od tej chwili” - zrezygnować z chorobliwych poszukiwań porządku i zażyć trochę chaosu, bo skoro zostało udowodnione, iż porządek nie jest substytu-

tem szczęścia, to może chaos wskaże ku niemu drogę. Zwolni się z Meistra.

Kupi łódź, coś, co będzie mógł sam poprowadzić.

Znajdzie taką dziewczynę, na której mu będzie zależało, i pokocha ją w czasie teraźniejszym, a ona stanie się jego niezdradzoną Sophie.

Nawiąże przyjaźnię.

Znajdzie sobie dom. I z braku własnych rodziców sam stanie się rodzicem.

Zrobi wszystko, absolutnie wszystko, żeby już nie płaszczyć się w mroku służalczej dwuznaczności, w której, jak mu się teraz wydawało, marnował życie swoje i Sophie.

Wybawiła go Frau Loring. Z typową dla siebie czujnością zauważyła go przez firanki idącego do piwnicy i z opóźnieniem zdała sobie sprawę, że nie wrócił. Gdy grupa pod wodzą Meistra przyodzianego w siatkę na włosy i uzbrojonego w dwunastowatowy samochodowy reflektor uwolniła go z krzykiem: „Herr Pine! Herr Jonathan!” - ten wbrew oczekiwaniom nie wyłonił się oszalały ze strachu, lecz zupełnie spokojny.

Tylko Anglik, zapewnili się wzajemnie, prowadząc go do światła, był zdolny do takiego opanowania.

4

Rekrutacja Jonathana Pine'a, byłego tajnego żołnierza, dokonana przez Leonarda Burra, byłego oficera wywiadu, została zaplanowana natychmiast po tym, jak Jonathan stawiał się u podpułkownika lotnictwa Quayle'a, lecz zakończyła się dopiero po kilku tygodniach zażartej szarpaniny w Whitehall, wbrew rosnącemu oburzeniu Waszyngtonu, i wiecznego pragnienia Whitehall, by się zasłużyć w kapryśnych korytarzach Kapitolu*.

* Wzgórze Kapitołińskie - siedziba Kongresu USA. Whitehall - siedziba rządu Wielkiej Brytanii.

Jonathana w całym przedsięwzięciu początkowo określono mianem „Trojan”, czyli Trojański, lecz później pospiesznie zmieniono kryptonim na „Pijawka”, bo chociaż niektórzy członkowie połączonego zespołu może niewiele wiedzieli o drewnianym koniu Homera, to wszyscy wiedzieli, że „Trojan” to nazwa najpopularniejszych chyba kondomów w Ameryce. Ale „Pijawka” była znakomita. „Pijawka” przysię się do wszystkiego.

Jonathan spadł z nieba, a najlepiej wiedział o tym Burr, który od chwili gdy zaczęły lądować na biurku pierwsze raporty z Miami, walił głową w mur, szukając sposobu, jakiegokolwiek sposobu, by wśliznąć się do obozu Ropera. Ale jak? Nawet mandat Burra do prowadzenia akcji zawisł na włosku, co odkrył podczas pierwszych sondaży na temat wykonalności swojego planu.

- Szczerze mówiąc, Leonardzie, mój szef byłby nieco ostrożny - wyznał kapryśnie Burrowi przez bezpieczną linię telefoniczną szycha nazwiskiem Goodhew. - Wczoraj wszystko rozbijało się o koszty, dzisiaj nie pali mu się pogarszać stabilnej sytuacji w byłej kolonii.

Niedzielne gazety pewnego razu opisały Rexa Goodhewa jako „Talleyranda Whitehall”, tyle że o zdrowych nogach. Ale jak zwykle źle sobie to wykombinowały, gdyż w tym wypadku wyobrażenia zupełnie nie pokrywały się z rzeczywistością. Jeśli się wyróżniał, było to zasługą cnót, nie intryganctwa. Krzywy uśmiezek, czapka z dasz-

kiem i jeżdżenie na rowerze nie ukrywały nic bardziej złowieszczego niż szlachetny anglikanin o reformatorskim zapale. A jeśli miało się szczęście zajrzeć do jego prywatnego życia, to zamiast odkryć ponurą tajemnicę, poznawało się śliczną żonę i mądre dzieci uwielbiające ojca.

- Stabilna to jest może moja dupa, Rex! - wybuchnął Burr. - Bahamy to najbardziej niepewne państwo na tamtej półkuli. Trudno znaleźć wielkiego machera w Nassau, który nie siedziałby po uszy w handlu kokainą. Na tej wyspie jest więcej sprzedajnych polityków i handlarzy bronią niż...

- Uspokój się, Leonardzie - ostrzegł go z głębi pokoju Rooke. Rob Rooke miał za zadanie hamować wybuchy Burra. Pięćdziesięcioletni były żołnierz miał siwiejące włosy i ogorzałą twarz. Ale Burr nie był w nastroju do wysłuchiwanie ostrzeżeń.

- A co do reszty twojej tezy, Leonardzie - podjął nieustępliwie Goodhew - którą moim osobistym zdaniem przedstawiłeś z wielkim żarem, nawet jeśli pozwoliłeś sobie na nieco przesady w użyciu przymiotników, to mój szef nazwał ją „wrózeniem z fusów przyprawionym pobożnymi życzeniami”.

Goodhew powoływał się na swojego ministra, śliskiego politykiera, który jeszcze nie przekroczył czterdziestki.

- Z fusów? - powtórzył oszołomiony i doprowadzony do furii Burr. - Co to za belkot z tym wrózeniem z fusów? To jest pięciogwiazdkowy, drobiazgowy, weryfikowalny raport od wysoko umieszczonego informatora amerykańskiej agencji ochrony porządku publicznego. Cud, że Strelski w ogóle nam to pokazał! O co chodzi z tym wrózeniem z fusów?

Goodhew czekał, aż Burr zakończy kolejną tyradę.

- Teraz następne pytanie... znowu mojego szefa, Leonardzie, więc nie strzelaj do posłańca! Kiedy proponujesz powiadomić naszych przyjaciół z drugiej strony rzeki?

Tym razem miał na myśli byłych kolegów Burra, a obecnych rywali, zajmujących się Czystym Wywiadem w ponurym wysokościowcu na South Bank, czyli południowym brzegu Tamizy.

- Nigdy - odparł wojowniczo Burr.

- No cóż, uważam, że powinieneś to zrobić.

- Dlaczego?

- Mój szef uważa twoich dawnych kolegów za realistów. W małej, bardzo młodej i jego zdaniem idealistycznej agencji bardzo łatwo zapomnieć o całym świecie poza własnym podwórkiem. Czułby się dużo lepiej, gdybyś miał w załodze chłopaków zza rzeki.

Burrowi puściły resztki hamulców.

- Chcesz powiedzieć, że twój pan chciałby, żeby znowu ktoś został zatłuczony na śmierć pałką w jakimś kairskim mieszkaniu, o to chodzi?

Rooke zerwał się na równe nogi i stał jak policjant kierujący ruchem, unosząc prawą dłoń na znak „stop”. Nonszalancja Goodhew ustąpiła miejsca czemuś ostrzejszemu.

- Co sugerujesz, Leonardzie? Może lepiej nie tłumacz.

- Ja niczego nie sugeruję. Ja mówię. Pracowałem z realistami twojego szefa, Rex. Mieszkalem z nimi. Kłamałem z nimi. Ja ich znam. Znam Geoffreya Darkera. I znam jego Grupę Zaopatrzenia Niebezpośredniego. Znam ich domy w Marbelli i porsche stojące obok jaguarów w garażach, i ich bezgraniczne poświęcenie dla gospodarki wolnorynkowej, pod warunkiem że w grę wchodzi ich wolność, a cudza gospodarka. Bo ja tam byłem!

- Leonardzie, nie słyszę tego.

- I wiem, że w tamtej firmie jest tyle oszustwa, tyle złej woli, tyle konszachtów z wrogiem i wilków w owczej skórze, że ani moja operacja, ani moja agencja tego nie zniosą bez szkody!

- Przestań już - poradził spokojnie Rooke.

Gdy Burr cisnął słuchawkę, stara blokada okna puściła i dolna połowa spadła jak gilotyna. Rooke cierpliwie złożył używaną szarą kopertę, podniósł okno i zaklinował je.

Burr, siedząc z twarzą w dłoniach, odezwał się przez rozcapierzone palce:

- Czego on, do diabła, chce? W jednej chwili mam podstawić nogę Geoffreyowi Darkerowi i udaremnić wszystkie jego niegodziwe uczynki, a w następnej rozkazuje mi z nim współpracować. Czego on, do diabła, chce?!

- Chce, żebyś do niego zadzwonił - odrzekł cierpliwie Rooke.

- Darker to łajdak! Ty o tym wiesz i ja o tym wiem. I w dobre dni Rex Goodhew też o tym wie. Więc czemu każe się nam grać patentowanych durniów wierzących, że Darker to realista?

Niemniej Burr zadzwonił do Goodhew, choćby ze zwykłego poczucia przyzwoitości, bo - jak Rooke stale mu przypominał - Goodhew był jego najlepszym i jedynym obrońcą.

Trudno wyobrazić sobie ludzi bardziej od siebie różnych niż Rooke i Burr; Rooke w garniturach, którym doprawdy niewiele brakowało do doskonałości, miał elegancję paradnego konia, Burr był równie niechlujny w sposobie bycia jak w mowie. Gdzieś z Burra wyłaził Celt, artysta, buntownik - Goodhew mówił, że Cygan. Gdy

Burr zadawał sobie ten trud i ubierał się odpowiednio, wyglądał tylko na jeszcze większego obszarpańca niż wtedy, gdy się nie starał. Burr, jak sam to powtarzał, był typowo nietypowym mieszkańcem Yorkshire, serca Anglii. Jego przodkowie nie byli górnikami, lecz wolnymi tkaczami, co oznacza, że robili ze swoim życiem, co im się podobało, zamiast wykonywać niewolniczą pracę w korporacyjnym przedsięwzięciu. Wioska z pociemniałego piaskowca, w której Burr osiągnął wiek męski, wrosła w południowy stok wzgórza. Fasada każdej chałupy patrzyła w słońce i każde okno strychowe wyciąga się w górę, by wchłonąć jak najwięcej blasku. Przodkowie Burra samotnie tkali całymi dniami na poddaszach, nienawiedzani przez nikogo, podczas gdy ród niewieści puszczał na dole w ruch języki i wrzeczona. Mężczyźni prowadzili monotonne życie w jedności z niebem. I podczas gdy ich ręce mechanicznie wykonywały codzienny trud, myśli biegly ku najbardziej zaskakującym tematom. Z życia tego jednego miasteczka uzbierałaby się cała książka opowieści o poetach, szachistach i matematykach, których umysły dojrzewały podczas długich jasných dni w podniebnych gniazdach. I Burr podczas całej swojej wędrówki do Oksfordu i dalej był spadkobiercą ich wspólnych umiejętności, cnót i mistycyzmu.

Było więc niejako zapisane w gwiazdach, od dnia, w którym Goodhew wyrwał Burra z Domu za Rzeką i dał mu własną niedofinansowaną i niezbyt mile widzianą agencję, że Burr wybierze Richarda Onslowa Ropera na swojego osobistego Antychrysta.

Och, przed Roperem byli i inni. U schyłku zimnej wojny, zanim nowa agencja wywołała błysk w oku Goodhew, gdy Burr marzył już o postthatcherowskiej Jerozolimie i nawet jego najbardziej czcigodni koledzy w Czystym Wywiadzie rozglądali się za cudzymi wrogami i innymi zleceniami, zaledwie kilku dobrze zorientowanych nie pamiętało wendet Burra przeciwko takim sławnym przestępcom lat osiemdziesiątych, jak nienagannie ubrany milioner, „handlarz złodem” Tyler, zawsze latający z listy rezerwowej, lub monosylabiczny „księgowy” Lorimer, zawsze telefonujący z automatów, czy obmierzły sir Anthony Joyston Bradshaw, dżentelmen i okazjonalny satrapa tak zwanej Grupy Zaopatrzenia Niebezpośredniego Darkera, posiadacz rozległych włości na obrzeżach Newbury, który polował z psami, mając u boku konnego kamerdynera wyposażonego w coś na rozgrzewkę i kanapki z foie gras.

Ale to Richard Onslow Roper, zdaniem obserwatorów, był

przeciwnikiem, o którym Leonard zawsze marzył. Wszystko, czego Leonard szukał, by uspokoić swoje fabiańskie sumienie, Dicky Roper posiadał pod dostatkiem. W przeszłości nie zaznał nędzy ani przeciwności losu. Pochodzenie klasowe, przywileje, wszystko, czego Burr nie cierpiał, zostało Roperowi podane na tacy. Burr nawet mówił o Roperze innym głosem. Nazywał go „nasz Dicky”, używając przy tym rodzimego akcentu z Yorkshire, lub dla odmiany „ten Roper”.

- Ten nasz Dicky kusi Pana Boga. Wszystko, czym Bóg dysponuje, ten Roper chce mieć w dwójnasób, i to go zgubi.

Taka obsesja nie zawsze sprzyja równowadze. Burr, trapiiony kłopotami swojej niedofinansowanej agencji, miał tendencję do spiskowego widzenia świata. Niech no tylko zaginęła teczka, zwlekano z wydaniem pozwolenia, a Burr węszył długie ramię ludzi Darkera.

- Mówię ci, Rob, gdyby Roper dokonał rabunku z bronią w rękę na oczach Lorda Najwyższego Sędziego Anglii...

- Najwyższy Sędzia użyczyłby mu swojego łomu - zasugerował Rooke. - A Darker by mu go kupił. Rusz się. Idziemy na lunch.

W obskurnych biurach przy Victoria Street dwaj mężczyźni zastawiali sieci i dumali do późnego wieczora. Akta Ropera urosły do dwunastu tomów i kilkunastu tajnych aneksów, wszystko poprzedzielane zakładkami i odsyłaczami. Dokumentowały one konsekwentne przechodzenie od obszaru szarego, na poły tolerowanego handlu bronią do strefy określanej przez Burra jako „najczerniejsza czerń”.

Ale Roper miał również akta gdzie indziej: w Ministerstwie Obrony, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w Banku Anglii, w Ministerstwie Skarbu, w Instytucie ds. Pomocy Krajom Rozwijającym Się, w Urzędzie Skarbowym. Uzyskanie dostępu do nich bez wzbudzania ciekawości w kręgach, w których Darker mógł mieć sojuszników, wymagało dyskrecji i szczęścia, a czasami cichego przyzwolenia Rexa Goodhew. Należało wymyślać preteksty, zamawiać zbyteczne dokumenty dla zatarcia śladów.

Niemniej stopniowo zgromadzono archiwum. Każdego ranka córka policjanta nazywana Perelką prowadziła wózek z wykradzionymi aktami, posklejanymi i obandażowanymi jak ofiary wojny, a skromny zespół oddanych pomocników Burra podejmował pracę. Wieczorem Perelka odwoziła akta do komórki. Wózek poskrzypujący skrzywionym kółkiem na linoleum korytarza nazywano jaszczykiem Ropera.

Nawet jednak w ferworze tych wszystkich działań Burr nie zapomniał o Jonathanie.

- Nie pozwól mu teraz nadstawiać karku, Reggie - naciskał na Quayle'a przez bezpieczną linię telefoniczną, podczas gdy walczył i czekał na, jak to sarkastycznie nazywał Goodhew, oficjalną swojego szefa, być może ostateczną. - Nie wolno mu kraść więcej faksów ani podsłuchiwać przez dziurkę od klucza, Reggie. Ma płynąć z prądem i zachowywać się naturalnie. Ciągłe się złości na nas za Kair? Nie będę z nim pracował, dopóki nie zyskam pewności, że jest po naszej stronie. Znam takich facetów. - I do Rooke'a: - Trzymam gębę na kłódkę, Rob. Dla większości to pan Brown. Darker i jego kumpel Ogilvey dali mi nauczkę.

Burr podjął kolejne rozpaczliwe środki ostrożności: założył Jonathanowi teczkę-wabik, nadał jej fikcyjną nazwę, wypisał dane fikcyjnego agenta i otoczył rzucającą się w oczy tajemniczością, która powinna przyciągnąć uwagę każdego drapieznika. „Paranoja” - zawyrokował Rooke. Burr przysięgał, że to tylko rozsądne zabezpieczenie. Aż za dobrze wiedział, do czego Darker gotów się posunąć, byle wykończyć rywala - nawet tak skromnego jak marny zespolik Burra.

Tymczasem Burr wyrazistym pismem sporządzał notatkę za notatką i szybko rosły akta Jonathanana, trzymane w niepodpisanej teczce w najciemniejszym kącie archiwum. Rooke przez pośredników wyciągnął dokumentację wojskową ojca Jonathanana. Syn miał zaledwie sześć lat, gdy sierżant Peter Pine otrzymał pośmiertnie Military Medal za „wybitną odwagę w obliczu nieprzyjaciela”. Na wycinku prasowym widać było widmowe dziecko stojące na tle bramy pałacu w granatowym płaszczu nieprzemakalnym, prezentujące ów medal na piersi. Towarzyszyła mu zapłakana ciotka. Matka nie czuła się na siłach uczestniczyć w pogrzebie. Rok później również nie żyła.

- Takie chłopaki zwykle lgną do wojska całym sercem - podsumował na swój prosty sposób Rooke. - Pojęcia nie mam, dla czego zrezygnował.

Do trzydziestego trzeciego roku życia Peter Pine walczył przeciwko powstaniu Mau Mau w Kenii, ścigał Grivasa na Cyprze, walczył z partyzantką na Malajach i w północnej Grecji. Nikt nie powiedział o nim złego słowa.

- Sierżant i dżentelmen - oznajmił kwaśno Burr antykolonialista.

Wróciwszy do syna, Burr ślęczał nad raportami ze szlaku Jonathanana przez wojskowe domy opieki, cywilne sierocińce i Szkołę Wojskową Diuka Yorku w Dover. Niespójność opinii szybko go

wzburzyła. W jednej wyczytał „skromny”, w drugiej „samotnik”, „rozrabiaka”, „zamknięty chłopiec”, „kontaktowy”, „urodzony przywódca”, „brak charyzmy”, raz w jedną stronę, raz w drugą, jak wahadło zegara. I raz „bardzo chętny do nauki języków obcych”, jakby był to mrozący krew w żyłach symptom czegoś, czego lepiej nie ruszać. Ale dopiero słowo „buntownik” wzbudziło irytację Burra.

- Kto, na diabła, ustalił - pytał z oburzeniem - że szesnastoletni chłopiec bez domu, chłopiec, który nigdy nie miał szansy zakosztować rodzicielskiej miłości, powinien być posłuszny?

Rooke wyjął fajkę z ust i zmarszczył czoło. Na tyle był w stanie zaangażować się w abstrakcyjne rozważania.

- Co znaczy „oblatany”? - spytał Burr pogrążony w lekturze.

- Między innymi „cwaniak”. Arogancki.

Burr się oburzył.

- Jonathan nie jest żadnym cwaniakiem. On jest miękki. Co to jest *roulement*?

- Kilkumiesięczna służba w warunkach bojowych - odparł cierpliwie Rooke. Burr natrafił na pobyt Jonathana w Irlandii, gdzie po kilku specjalnych obozach szkoleniowych, na które zgłosił się na ochotnika, został wyznaczony do prowadzenia zwiadu bezpośredniego w krainie bezprawia South Armagh.

- Co to za operacja „Nocna Sowa”?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Daj spokój, Rob. Jesteś żołnierzem.

Rooke zadzwonił do Ministerstwa Obrony i dowiedział się, że dokumenty „Nocnej Sowy” są zbyt utajnione, by udostępnić je niewiadomej agencji.

- „Niewiadomej”?! - eksplodował Rooke. Jego rumieniec był ciemniejszy niż wąsy. - Co oni sobie myślą, u diabła? Że jesteśmy jakimś schowkiem na miotły w Whitehall? Dobry Boże!

Ale Burr był zbyt zajęty, by rozkoszować się nietypowym wybuchem Rooke'a. Skupił wzrok na zdjęciu bladego chłopczyka, który dla wygody fotografa przypiął medal ojca.

Burr w myślach kształtował już Jonathana. Był ich człowiekiem, Burr nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Żadne ostrzeżenia Rooke'a nie mogły osłabić tego przekonania.

- Kiedy Bóg skończył składać do kupy Dicky'ego Ropera - klarował z przejściem Rooke'owi nad curry w piątek wieczorem - westchnął głęboko, zadrzał i szybko stworzył Jonathana dla przywrócenia równowagi w środowisku.

Wiadomości, o które Burr prosił, przysły dokładnie tydzień później. Został z Rookiem po godzinach w oczekiwaniu na nie. Tak kazał im Goodhew.

- Leonard?

- Tak, Rex.

- Możemy przyjąć, że ta rozmowa się nie odbyła? Przynajmniej dopóki w poniedziałek nie zbierze się Połączona Komisja Koordynacyjna?

- Jeśli sobie życzysz.

- Oto istota sprawy. Musimy rzucić im kilka błyskotek albo będą grymasić. Wiesz przecież, jakie jest Ministerstwo Skarbu. - Burr nie wiedział, jakie jest Ministerstwo Skarbu. - Po pierwsze to sprawa agencji ochrony porządku publicznego. W stu procentach. Planowanie i realizacja wyłącznie twoje, Dom za Rzeką ma dostarczyć wsparcie bez żadnych „co” i „dlaczego”. Czy słyszysz okrzyki zachwytu? Nie wydaje mi się.

- Na ile wyłączna wyłączność? - spytał Burr, ostrożny chłop z Yorkshire.

- Tam gdzie korzystasz z zasobów zewnętrznych, jesteś skazany na łut szczęścia. Nie można przecież spodziewać się po chłopcach z Domu za Rzeką, że na przykład będą prowadzili podsłuch telefoniczny i nie zajrzą do koperty, zanim ją polizą przed zaklejeniem. Spodziewałbyś się tego?

- Raczej nie. A co z naszymi szarmanckimi kuzynami z Ameryki?

- Langley, Wirginia, tak jak ich odpowiednicy z drugiego brzegu Tamizy, zostaną poza czarodziejskim kręgiem. Na zasadzie analogii. Prawo Goodhew. Jeśli Czysty Wywiad w Londynie ma być trzymany na dystans, to rozumie się samo przez się, że ich odpowiednicy w Langley również muszą być trzymeni na dystans. Takie oto argumenty przedkładałem i takie oto stanowisko zajął mój szef. Leonardzie...? Leonardzie, czy ty śpisz?

- Goodhew, ależ z ciebie geniusz!

- Po trzecie, a może czwarte, mój szef w ramach swoich ministerialnych możliwości będzie formalnie trzymał cię za rączkę, ale tylko przez jak najgrubszą rękawicę, bo jego najnowszą fobią jest skandal. - Kapryśny ton znikł i odezwały się spiżowe tony prokonsula: - Więc nic, ale to nic bezpośrednio do niego. Dziękuję, Leonardzie. Do mojego szefa wiedzie tylko jedna droga: przez moje biuro. Jeśli ryzykuję swoją reputację, nie chcę, żebyś narobił bałaganu. Zgoda?

- A co z moimi wyliczeniami finansowymi?

- O co ci chodzi?
- Czy zostały zaaprobowane?

Angielski cholerny błazen powrócił:

- Och, mój Boże, nie, ty głuptasie! Nie zostały zaaprobowane. Zostały wydarte z gardła. Musiałem je podzielić między trzech ministrów i ponadto wyżebrać trochę od własnej ciotki. A ponieważ osobiście będę ślęczał nad księgami rozchodów, to bądź tak łaskaw i spowiadaj mi się równie uczciwie z pieniędzy, jak i z grzechów, dobrze?

Burr podekscytowany nie zamierzał się przejmować drobnymi niedogodnościami.

- Więc jest zielone światło - powiedział tyleż do Rooke'a, co do siebie.

- Z więcej niż sporym dodatkiem żółtego - uzupełnił Goodhew. - Koniec z szyderstwami z Zaopatrzenia Niebezpośredniego, tej ośmiornicy Darkera, i głupim gadaniem o tajnych agentach wijących własne gniazdko. Masz być słodki jak miód dla amerykańskich kolegów, ale i tak zresztą będziesz, i nie wolno ci dopuścić do tego, żeby mój szef stracił swoją ciepłą posadę albo lśniący samochód. Jak chciałbyś składać raporty? Co godzinę? Trzy razy dziennie przed posiłkiem? Tylko pamiętaj, ta rozmowa odbyła się dopiero po rozdzierających rozważaniach w poniedziałek, które tym razem będą formalnością.

Jednak dopiero gdy zespół Agencji Ochrony Porządku Publicznego z USA dotknął stopą londyńskiego bruku, Burr uwierzył w swoje zwycięstwo. Amerykańscy policjanci wnieśli ze sobą aurę działania, która zmiotła kurz międzyministerialnych targów. Spodobali się Burrowi od pierwszego wejrzenia i z wzajemnością; mniej przypadł im do gustu Rooke, któremu wojskowe nawyki kazały sztywno się wyprostować, gdy tylko zasiadł przy wspólnym stole. Bezpośredniość Burra i jego brak cierpliwości do biurokracji wzbudziły sympatię. Jeszcze bardziej spodobał się Amerykanom, gdy stało się jasne, że gardzi mdłymi konfiturami Czystego Wywiadu, uwielbia za to twarde suchary żołnierskich racji. Dla nich Czysty Wywiad oznaczał samo zło, czy rezydował w Langley, czy w Domu za Rzeką. Oznaczał przymykanie oka na największych łotrów półkuli na rzecz mglistych korzyści gdzie indziej. Oznaczał niewytłumaczalne porzucanie rozkręconych operacji i odwoływanie rozkazów przez górę. Oznaczał niedoświadczonych, konserwatywnych fantastów z Yale, którzy

wierzą, że potrafią wyprowadzić w pole najgorszych rzeźmieszków z Ameryki Środkowej, i mają stale pod ręką sześć niepodważalnych argumentów na uzasadnienie błędnego postępowania.

Jako pierwszy zjawił się sławny Joseph Strelski z Miami, Amerykanin polskiego pochodzenia. Miał zaciśnięte szczęki, adidas i skórzaną kurtkę. Gdy Burr pierwszy raz usłyszał jego nazwisko pięć lat temu, Strelski prowadził niepewną akcję Waszyngtonu przeciw nielegalnym handlarzom bronią i zdeklarowanym wrogom Burra. Podczas tej krucjaty wszedł w kolizję z ludźmi, którzy powinni być jego sojusznikami. Pospiesznie skierowany do innych obowiązków, poszedł na wojnę przeciwko kokainowym kartelom z Ameryki Południowej i ich mackom w Stanach - słono opłacanym nieuczciwym adwokatom, hurtownikom w jedwabnych koszulach, zwalczającym się firmom transportowym, pralniom brudnych pieniędzy i - jak ich nazywał - politykom nie-wiem-o-co-ci-cho-dzi, a także pracownikom administracji państwowej, którzy oczyszczali przestępcom drogę i brali swoją dolę.

Kartele narkotykowe były teraz obsesją Strelskiego. „Ameryka wydaje więcej na narkotyki niż na jedzenie, Leonardzie!” - protestował w taksówce, na korytarzu, nad szklanką 7up. „Mówimy o kosztach całej wojny w Wietnamie, Rob, rok w rok, nieopodatkowanych!” A potem wyrzucał z siebie ceny najpopularniejszych narkotyków z takim samym entuzjazmem, z jakim inni uzależnieni cytowali indeks Dow Jones. Zaczynał od surowych liści koki po dolarze za kilo w Boliwii, co rosło do dwóch tysięcy za kilo surowki w Kolumbii, dwudziestu tysięcy za kilo w hurcie w Miami i dwustu tysięcy za kilo na ulicy. Potem, jakby przyłapywał się na tym, że znów nudzi, siłił się na ponury śmiech i mówił, że za cholere nie wyobraża sobie, jak można zarobić sto dolarów na dolarze. Ale ten uśmiech bynajmniej nie gasił zimnego ognia w oczach.

Przez nieustanny gniew Strelski wydawał się niemal nie do zniesienia dla siebie samego. Każdego poranka i wieczora, bez względu na pogodę, uprawiał jogging w królewskich parkach ku udawanej zgrozie Burra.

- Joe, na litość boską, zjedz ten kawał puddingu śliwkowego i siedź spokojnie - nalegał z żartobliwą powagą. - Już od samego myślenia o bieganii dostaniemy zawału.

Wszyscy się śmiali. Wśród Amerykanów panowała męska klubowa atmosfera. Tylko Amato, bliski kumpel Strelskiego pochodzący z Wenezueli, nie dawał się rozśmieszyć. Podczas konferencji siedział z zaciśniętymi ustami, oczami koloru wina wpatrując się w przestrzeń.

We czwartek nagle zaczął uśmiechać się promiennie jak głupek. Żona urodziła córeczkę.

Drugim nieodstępnym pomagierem Strelskiego był Irlandczyk z nadwagą i mięsistą twarzą, Pat Flynn z amerykańskiego Urzędu Celnego. Burr mówił z upodobaniem Goodhew, że to taki policjant, który nie zdejmując kapelusza z głowy, wypisuje raporty na maszynie. Flynn był postacią legendarną, i nie bez powodu. To nikt inny, a właśnie Pat Flynn wymyślił podobno aparat do fotografii otworkowej, znany jako „aparat słupowy”, zamaskowany w postaci głowiczki, którą w kilka sekund można zawiesić na każdym wolno stojącym słupie telefonicznym lub wieży stalowej. To Pat Flynn był pionierem w sztuce podsłuchiwania małych jednostek spod wody. I Pat Flynn miał inne umiejętności, wyznał Strelski Biurowi, gdy we dwojkę spacerowali pewnego wczesnego wieczoru po St. James Park - Strelski w stroju do joggingu, Burr w wygniecionym garniturze:

- Pat to ten, który zna tego, który zna tego, który zna tego - rzeki Strelski. - Bez Pata nigdy nie namierzylibyśmy brata Michaela.

Strelski mówił o swoim otaczanym największym pietyzmem i czcią źródle. Tak mówi się o miejscu świętym. Jeśli Burr tam wkrażał, to wyłącznie na zaproszenie Strelskiego.

Więzy między Amerykanami z każdym dniem się zacieśniały, a szpiegokracja z Czystego Wywiadu nie traktowała lekko swojej roli obywateli drugiego sortu. Pierwsza wymiana ognia nastąpiła, gdy Strelski nieogłędnie oznajmił, że jego agencja zamierza wsadzić Ropera za kratki. Radośnie poinformował towarzystwo, jakie dokładnie więzienie ma na myśli.

- Pewnie, że wiem, sir. Mała miejscina. Nazywa się Marion, stan Illinois. Przez dwadzieścia trzy i pół godziny na dobę zamknięcie w pojedynce, żadnych współwięźniów, ćwiczenia w obręczkach, żarcie z tacki wsuwanej przez szczelinę. Na parterze najcięższe cele, bez okien. Na górze lepsze, ale smród większy.

Przyjęto te rewelacje z lodowatym milczeniem. Przerwał je kwaśnym tonem radca prawny z biura rady ministrów.

- Jest pan pewny, że powinniśmy zajmować się dyskusją o tego rodzaju problemach, panie Strelski? - spytał z prawniczą arogancją. - Byłbym raczej skłonny przyjąć, że zidentyfikowany złoczyńca jest bardziej użyteczny dla społeczeństwa, gdy pozostaje na wolności. Dopóki jest wolny, można z nim robić, co się chce; zidentyfikować jego współników, zidentyfikować ich współników,

słuchać, obserwować. Kiedy się go zamknie, trzeba zaczynać od nowa tę samą grę z kimś innym. Chyba że pańskim zdaniem da się całkowicie wypełnić tego rodzaju rzeczy. Nikt tu tak nie myśli, no nie? Nie w tym pokoju.

- Proszę pana, moim skromnym zdaniem są dwa podstawowe sposoby postępowania - odparł Strelski z pełnym szacunku uśmiechem uważnego ucznia. - Można wykorzystać gościa albo egzekwować prawo. Wykorzystanie to niekończąca się opowieść; to rekrutacja wroga, żeby złapać następnego wroga. Potem rekrutuje się następnego wroga, żeby złapać następnego, i tak bez końca. W przypadku pana Ropera planujemy egzekucję prawa. Nauczono mnie, że jeśli ktoś się ukrywa przed wymiarem sprawiedliwości, należy go zatrzymać, postawić mu zarzut łamania międzynarodowych przepisów o handlu bronią i zamknąć w więzieniu. Jeśli się decydujemy na wykorzystanie przestępcy, trzeba sobie postawić pytanie, kto jest wykorzystywany: przestępca, ogół społeczeństwa czy wymiar sprawiedliwości?

- Strelski uważa się za niezależnego - wyznał z nieskrywaną przyjemnością Burrowi Goodhew, gdy stali na chodniku pod parasolami. - Z ciebie taki sam ancymon. Nic dziwnego, że prawnicy mają wątpliwości.

- A ja mam wątpliwości co do prawników.

Goodhew rozejrzał się po zalanej deszczem ulicy. Był w wyśmienitym nastroju. Poprzedniego dnia jego córka zdobyła stypendium do South Hampstead, a syn, Julian, został przyjęty do Clare College w Cambridge.

- Mój pan zapadł na ciężkie schorzenie, Leonardzie. Znowu rozmawiał z pewnymi ludźmi. Teraz boi się czegoś gorszego niż skandal, nie chce wypaść na zbira, który znęca się nad słabszym. Jest urażony posądzeniem, że za jego podszeptem dwa potężne rządy rozwinęły na szeroką skalę intrygę przeciw samotnemu brytyjskiemu kupcowi zmagającemu się z recesją. Poczucie sprawiedliwości mówi mu, że uległy tu zachwianiu pewne proporcje.

- Zbir - cicho powtórzył Burr, wspominając jedenaście tomów akt poświęconych Roperowi, tony wymyślnego uzbrojenia hojnie udostępnianego niewymyślnym ludziom. - Kto tu jest zbir? Jezu.

- Wyłącz z tego Jezusa, poproszę. Potrzebuję riposty. Na poniedziałek. Z pierwszym świtaniami. Na tyle krótkiej, by zmieściła się na kartce pocztowej, bez przymiotników. I powiedz temu swojemu miłemu panu Strelskiemu, że jego aria wprowadziła mnie w zachwyt. Ach. Jesteśmy uratowani. Autobus.

Whitehall to dżungla, ale jak inne dżungle ma kilka wodopojów, przy których o świcie zbierają się stworzenia gotowe o każdej innej porze szarpać na strzępy, i piją do syta w nietrwalej przyjaźni. Takim miejscem był Klub Skrzypka usytuowany w górnych pomieszczeniach budynku przy Thames Embankment, zawdzięczający nazwę sąsiadowi, pubowi Łokieć Skrzypka.

- Ja uważam, że Rex jest opłacany przez obce mocarstwo, a ty co myślisz, Geoffrey? - spytał Darkera radca prawny z biura rady ministrów, gdy zasiedli w kącie i pili piwo beczkowe. - Co myślisz? Ja uważam, że bierze złoto od żabojadów za wkładanie kija w szprychy maszynierii brytyjskiego rządu. Zdrówko.

Darker był drobnym mężczyzną, jak to często bywa w przypadku obdarzonych potężną władzą, miał zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy. Ubierał się w eleganckie granatowe garnitury, a tego wieczoru nosił zamszowe buty, co przydawało szyku z Ascot jego uśmiechowi szubienicznika.

- Och, Roger, jak na to wpadłeś? - odparł z wymuszoną wesołością Goodhew, zdecydowany wziąć docinek za dobrą monetę. - Biorę pod stołem od lat, prawda, Harry? - skierował pytanie do Harry'ego Palfreya. - Jak inaczej byłoby mnie stać na lśniący nowy rower?

Darker nadal się uśmiechał. A ponieważ nie miał poczucia humoru, jego uśmiech wydawał się trochę złowieszczy, nawet szalony. Ośmiu innych mężczyzn i Goodhew siedziało przy długim stole: szycha z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, baron z Ministerstwa Skarbu, radca z biura rady ministrów, dwóch odpowiednio pękatych, średnio ważnych światowców z ław torysów i trzech szpiegokratów, z których Darker był najpotężniejszy, a biedny Harry Palfrey najbardziej opuszczony. Sala była duszna i zadymiona. Nie wyróżniała się niczym poza tym bliskim sąsiedztwem Whitehall, Izby Gmin i betonowego królestwa Darkera po drugiej stronie rzeki.

- Rex dzieli i rządzi, jeśli chcesz wiedzieć, Roger - rzekł światowiec torys, który spędził tyle czasu na posiedzeniach tajnych komisji, że często mylnie brano go za pracownika służby cywilnej. - Celowo podkopuje cytadelę od środka, prawda, Rex? Przyznaj się.

- Brednie, proszę cię - odparł lekko Goodhew. - Mojemu szefowi zależy jedynie na wprowadzeniu służb wywiadowczych w nowe czasy, chce też pomóc im w uporządkowaniu starych spraw. Powinniście być mu wdzięczni.

- Nie sądzę, żeby Rex miał szefa - ku rozbawieniu pozostałych zaoponowała szycha z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. - Czy ktoś kiedyś widział tego koszmarnego faceta? Uważam, że Rex go wymy-

ślił.

- A zresztą czemu jesteście tak przeczuleni na punkcie narkotyków? - skrzywił się osobnik ze Skarbu, składając szczupłe palce jak bambusowy most. - Towar jak każdy inny. Jedni chcą kupić, drudzy sprzedać. Spory dochód dla Trzeciego Świata, z czego trochę idzie na właściwe cele, musi iść. Akceptujemy tytoń, wódę, zatrucie środowiska, ospę. Skąd ta pruderia przy narkotykach? Ja nie miałbym nic przeciwko zamówieniu na broń wartości kilku milionów funtów szterlingów, nawet jeśli na banknotach jest trochę kokainy. Nie muszę wam tego chyba mówić.

Przepity głos przebił się przez tę ich radosną wrzawę. Należał do Harry'ego Palfreya, prawnika z Domu za Rzeką, na stałe wypożyczono do Grupy Zaopatrzenia Niebezpieśredniego Darkera.

- Burr nie żartuje - zachrypiał, niezachęcany specjalnie przez nikogo. Pił podwójną szkocką, nie pierwszą tego wieczoru. - Burr robi to, co mówi.

- Och mój Boże!!! - zawołało ze zgrozą Ministerstwo Spraw Zagranicznych. - To znaczy, że nas wszystkich czeka surowa kara! Mam rację, Geoffrey? Mam rację?

Ale Geoffrey Darker tylko słuchał, przypatrywał się i uśmiechał swoim bezbarwnym uśmiechem.

Niemniej ze wszystkich osób obecnych tego wieczoru w Klubie Skrzyпка tylko niepotrzebny nikomu prawnik, Harry Palfrey, miał jakie takie pojęcie o rozmiarach krucjaty Rexa Goodhew. Palfrey był degeneratem. W każdej brytyjskiej instytucji zawsze jest taki człowiek, który własny upadek podniósł do godności sztuki, i w tej dziedzinie Harry Palfrey był dumą i chlubą Domu za Rzeką. Cokolwiek Palfrey osiągnął w pierwszej połowie swojego życia, systematycznie zniweczył w drugiej - czy chodziło o praktykę adwokacką, małżeństwo czy o zachowanie dumy, której żalosne resztki prześwitywały w jego przepaszającym uśmiechu. Nie było żadną tajemnicą, dlaczego Darker go trzymał, dlaczego ktokolwiek chciałby go trzymać; Palfrey to nieudacznik, w porównaniu z którym każdy okazywał się człowiekiem sukcesu. Nic dla niego nie było zbyt poniżające, nic nie było zbyt małe. Jeśli groził skandal, Palfrey palił się wprost do położenia głowy pod topór. Jeśli należało popełnić morderstwo, Palfrey był na zawołanie z wiadrem i szmatą do zmycia krwi i znajdował trzech świadków gotowych stwierdzić, że nigdy się tam nie było. I Palfrey z mądrością skorumpowanego znał tak dobrze

tajemnicę Rexa Goodhew, jakby była jego własną, co w pewnym sensie zgadzało się z prawdą, gdyż dawno dokonał tych samych obserwacji co Goodhew, nawet jeśli nie miał odwagi wyciągnąć podobnych wniosków.

Tajemnica sprowadzała się do tego, że po dwudziestu pięciu latach służby pod flagą Whitehall coś w środku Goodhew dyskretnie trzasnęło. Być może spowodował to koniec zimnej wojny. Goodhew w swej skromności nie dociekał przyczyny tego zjawiska.

Tajemnica sprowadzała się do tego, że pewnego poniedziałkowego ranka Goodhew, obudziwszy się jak zwykle, uznał bez żadnych wstępnych rozważań, iż zbyt długo nadużywał imienia wolności, poświęcając skrupuły i pryncypia wielkiemu bogu oportunisty i że nie ma już wymówki, by dalej to czynić.

I że cierpi przez wszystkie złe nawyki zimnej wojny, które nie mają już żadnego usprawiedliwienia. Musi się poprawić albo grozi mu wiekiuste potępienie. Bo u bram nie stoi już żaden wróg. Zwinął obóz. Znikł.

Ale od czego zacząć? Odpowiedź przyszła podczas niebezpiecznej jazdy rowerem. Tego samego lutowego poranka - osiemnastego dnia miesiąca, Rex Goodhew nigdy nie zapomnił daty - jak zwykle pedałowal z domu w Kentish Town do Whitehall, prześlizgując się między zwartymi kolumnami samochodów wiozących ludzi do pracy, gdy doznał cichego objawienia. Wyhodził tajną ośmiornicę. Rozdzieli swoją władzę między osobne, mniejsze agencje, każdej przydzielając część odpowiedzialności. Rozparceluje, zdecentralizuje, zhumanizuje. I zacznie od straszliwego połączenia Czystego Wywiadu, Westminsteru i tajnego handlu bronią, od najbardziej skorumpowanego ośrodka rządzonego przez Geoffreya Darkera, pana Domu za Rzeką.

Skąd Harry Palfrey wiedział o tym wszystkim? Kierowany chrześcijańską przyzwyczajoną Goodhew zapraszał Palfreya w letnie weekendy do Kentish Town na szklaneczkę pima, owocowego wina, w ogrodzie i mecz miniaturowego krykieta z dziećmi, dobrze wiedząc, że markotnie uśmiechający się Palfrey jest blisko niebezpiecznej krawędzi. A po obiedzie zostawiał go przy stole ze swoją żoną, aby mógł odkryć przed nią duszę, bo rozpustni mężczyźni niczego tak nie lubią jak spowiadać się przed cnotliwymi niewiastami.

I właśnie rozpląnąwszy się w tych błogich wyznaniach, Harry Palfrey z żalną skwapliwością zgłosił chęć informowania Goodhew o machinacjach niektórych krnąbrnych szyc z Domu za Rzeką.

5

Stłoczony na brzegu jeziora Zurych dygotał pod mroźną szarą chmurą.

- Mam na imię Leonard - oświadczył Burr, dźwigając się z fotela w gabinecie Quayle'a jak ktoś zamierzający wtrącić się w bójkę. - Załatwiam kanciarzy. Palisz? Masz. Truj się.

Powiedział to tonem jowialnej rozmowy, tak że Jonathan bez wahania przyjął poczęstunek, chociaż palił rzadko i zawsze później żałował. Burr wyjął zapalniczkę i podał mu ogień.

- Uważasz chyba, że cię zawiedliśmy, co? - spytał, nacierając na ośrodek największego oporu. - Jeśli się nie mylę, ty i Ogilvey mieliście niczego sobie rozmówkę, zanim opuściłeś Kair.

Myślałem, że to ją zawiedliście - niemal odparł Jonathan. Ale trzymał się na baczności, więc przywołał na twarz uśmiech hotelarza i rzekł:

- Och, to nic ostatecznego.

Burr wcześniej starannie przemyślał ten moment i uznał, że najlepszą obroną będzie atak. Mniejsza z tym, że żywił najgorsze podejrzenia co do udziału Ogilveya w całej aferze: nie była to odpowiednia chwila, by sugerować, że przemawia w imieniu podzielonego obozu.

- Nie płaci się nam za zajmowanie miejsca na widowni, Jonathanie. Dicky Roper przerzucał bardzo zaawansowane technologicznie zabawki Złodziejowi z Bagdadu, w tym kilo uranu do użytku bojowego, które wypadło z rosyjskiego transportu. Freddie Hamid podstawił konwój ciężarówek z pomocą humanitarną, żeby przeszmuglować towar przez Jordanię. Co niby mieliśmy zrobić? Odfajkować w aktach i zapomnieć? - Burr w nagrodę za swoje wysiłki zobaczył na twarzy Jonathana rodzaj buntowniczego posłuszeństwa i poczuł się tak, jakby spojrzął w lustro. - Przeciek mógł nastąpić na kilkanaście sposobów, bez wytykania palcem twojej Sophie. Gdyby nie pyskowała Freddiemu, do dzisiaj żyłaby jak u Pana Boga za pie-

cem.

- Ona nie była moją Sophie - za szybko wtrącił Jonathan.

Burr udał, że nie słyszy.

- Pozostaje pytanie, jak przygwoździmy naszego kumpla. Jeśli jesteś ciekaw, mam kilka pomysłów. - Uśmiechnął się ciepło. - Zgadza się. Widzę, że zauważyłeś. Jestem prostakiem z Yorkshire. A nasz kumpel, szanowny Richard Onslow Roper, to jaśniepanicz. Jego pech!

Jonathan roześmiał się służbiście i Burr z ulgą wszedł na suchy grunt, zostawiając za sobą grzęzawisko z trupem Sophie.

- No, Jonathan, stawiam ci lunch. Nie przeszkadza ci to, Reggie? Bo wiesz, nie mamy za dużo czasu. Dzielný z ciebie harcerzyk. Po-wiem, komu trzeba.

Burr w pośpiechu zostawił niedopałek w popielniczce Quayle'a. Jonathan zgasił go, żałując, że ma się pożegnać. Quayle był szczera, nerwową duszą. Miał zwyczaj ocierać usta chusteczką wyciąganą z rękawa lub nagle częstował bezcłowymi herbatnikami z kraciastej puszkii. Podczas tygodni czekania Jonathan przywykł znajdować oparcie w tych dziwacznych, niemych sesjach. I uświadomił sobie, że Reggie Quayle podobnie.

- Dzięki, Reggie - powiedział. - Dzięki za wszystko.

- Mój chłopie kochany! Cała przyjemność po mojej stronie! Szczęśliwej podróży. Grzejcie dupę w promieniach zachodzącego słońca!

- Dzięki. Nawzajem.

- Macie transport? Wóz? Gwizdnąc po powozik dla was? No, niech mnie szlag. Trzymajcie się ciepło. Zobaczymy się pod Filippi*.

- Zawsze dziękujesz ludziom za to, że zrobią swoje, prawda? - spytał Burr, gdy wyszli na ulicę. - Podejrzewam, że w twoim fachu człowiek się tego uczy.

- Och, chyba lubię być uprzejmy - odparł Jonathan. - Jeśli można to tak nazwać.

* Tymi słowy duch Juliusza Cezara zwiastował klęskę Markowi Brutusowi w *Juliuszu Cezarze* Szekspira.

Jak zawsze w przypadku spotkania operacyjnego Burr podjął środki ostrożności godne warunków polowych. Wcześniej wybrał restaurację, a w wieczór poprzedzający spotkanie dokonał inspekcji; podmiejska trattoria nad jeziorem, raczej nieuczęszczana przez gości Meistra. Wybrał narożny stolik i jako ostrożny syn Yorkshire wręczył

dziesięć franków szefowi sali, rezerwując miejsce na jedno z robotycznych nazwisk, Benton. Ale czujność nie opuściła go nawet wtedy.

- Jeśli wpadniemy na kogoś, kogo ty znasz, a ja nie, co jak się pewnie orientujesz, jest pierdolonym prawem tej zabawy, nie tłumacz mojej obecności. Jak już będziesz musiał, to jestem twoim starym kumplem z koszar w Shorncliffe i zacznij gadać o pogodzie. - W ten sposób przypadkowo zademonstrował po raz drugi, że odrobił zadanie domowe z przedmiotu biografia Jonathana. - Wspinasz się ostatnio?

- Trochę.

- Gdzie?

- Głównie w Oberlandzie Berneńskim.

- Coś widowiskowego?

- Przyzwoite zimowe wejście na Wetterhorn. Ale to zależy, czy lubisz wspinaczkę po lodzie. Czemu pytasz? Wspinasz się?

Jeśli Burr wyczuł kpinę w pytaniu Jonathana, zdecydował się ją zignorować:

- Ja? Ja nawet na pierwsze piętro wjeżdżam windą. Jak z twoim zeglowaniem? - Burr zerknął w okno, za którym szare jezioro dymiło jak moczary.

- Tutaj to dziecinada - powiedział Jonathan. - Ewentualnie można by po jeziorze Thun. Ale jest zimne.

- A malowanie? Akwarele, zdaje się? Wciąż pacykujesz?

- Niezbyt często.

- Ale od czasu do czasu. Jak twój tenis?

- Średnio.

- Pytam poważnie.

- No, sądzę, że na dobrym poziomie klubowym.

- Chyba wygrałeś jakiś turniej w Kairze.

Jonathan zarumienił się skromnie.

- Och, to były tylko takie wyglupy z emigrantami.

- Najpierw cięższa robota, dobra? - zasugerował Burr. Znaczyło to: złóżmy zamówienie, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. - Trochę gotujesz, prawda? - dopytywał się, gdy skryli twarze za wielkimi płachtami menu. - Zdolny człowiek z ciebie. Podziwiam. W dzisiejszych czasach takie renesansowe okazy należą do rzadkości. Za dużo specjalistów.

Jonathan odwrócił stronę, przechodząc od ryb do deserów. Myślał nie o jedzeniu, lecz o Sophie. Stal przed Markiem Ogilveyem w jego wielkim służbowym domu na zielonym przedmieściu Kairu, otoczony podrabianymi osiemnastowiecznymi meblami zgromadzonymi przez Ministerstwo Robót Publicznych i reprodukcjami Robertsa

zgrupowanymi przez żonę Ogilveya. Jonathan miał na sobie smoking i w wyobraźni nadal widział na nim krew Sophie. Krzyczał, lecz słyszał swój głos tak jak pisk echa sonaru. Przeklinał Ogilveya na czym świat stoi. Pociły mu się dłonie. Ogilvey miał na sobie szlafrok, coś w mysiobrazowym kolorze z wystrzępionymi złotymi obszyciami tamburmajora na rękawach. Pani Ogilvey parzyła herbatę, żeby posłuchać.

- Bądź łaskaw się wyrażać, stary - powiedział Ogilvey, wskazując żyrandol i przypominając w ten sposób o zagrożeniu podsłuchem.

- Do diabła z moim wyrażaniem się! Zabiłeś ją, słyszysz? Macie chronić informatorów, a pozwoliłeś ją zatłuc na śmierć!

Ogilvey szukał ratunku w jedynej bezpiecznej odpowiedzi znanej ludziom jego profesji. Złapał kryształową karafkę ze srebrnej tacy i wywiczonym ruchem palców wyjął korek.

- Stary, łyknij kropelkę. Przykro mi, ale pretensje to nie pod moim adresem. To nie ma nic wspólnego z nami. Ani z tobą. Skąd wpadło ci do głowy, że tylko tobie się zwierzała? Pewnie powiedziała piętnastu najlepszym przyjaciółkom. Znasz stare powiedzenie? Jeśli dwoje ludzi ma dochować tajemnicy, jeden z nich musi być trupem. Tu jest Kair.

Tajemnica to coś, co znają wszyscy poza tobą.

Pani Ogilvey wybrała tę chwilę, aby wkroczyć z dzbankiem herbaty.

- Niewykluczone, że to mu bardziej pomoże, kochanie - powiedziała głosem przepelnionym rozumą. - Koniak wyprawia z człowiekiem dziwne rzeczy w takim pobudzeniu.

- Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą - rzekł Ogilvey, podając mu kieliszek. - Pierwsza lekcja życiowa.

Między stolikami restauracji kuśtykał inwalida w drodze do toalety. Używał kul i pomagała mu młoda kobieta.

Jego przejście zburzyło rytm kolacji i żaden z gości nie włożył kęsa do ust, dopóki kaleka nie zniknął za drzwiami.

* * *

- Więc naszego kumpla widziałeś właściwie tyle co w noc przyjazdu? - zasugerował Burr, zmieniając temat rozmowy.

- Tak, potem tylko mijaliśmy się w holu. Quayle mówił, żebym nie ryzykował niepotrzebnie, więc nie ryzykowałem.

- Ale zanim wyjechał, rozmawiałeś z nim przelotnie raz jeszcze.

- Roper spytał, czy jeżdżę na nartach. Powiedziałem, że tak. Spytał gdzie. Powiedziałem, że w Mürren. Spytał mnie, jaki mamy

śnieg w tym roku. Powiedziałem, że dobry. Powiedział: „Szkoda, że nie mamy czasu wyskoczyć tam na kilka dni, moja pani umiera z chęci, żeby wykorzystać taką okazję”. Koniec rozmowy.

- Więc ona też tam była? Ta... jego dziewczyna? Jemima? Jed?

Jonathan udaje, że szuka w pamięci, podczas gdy w tajemnicy fektuje jej beztroskie spojrzenie na sobie. „Strasznie jest pan w tym dobry, panie Pine?”

- On chyba nazywał ją Jeds. Używał liczby mnogiej.

- On ma imię na każdego. To jego sposób kupowania ludzi.

„Musi być absolutnie bosko” - mówi ona z uśmiechem, od którego rozplynąłby się Eiger.

- Podobno to ślicznotka - powiedział Burr.

- Jeśli ktoś lubi ten typ.

- Mnie odpowiadają wszystkie typy. Ona to jaki typ?

Jonathan udał znużenie życiem.

- Och, nie wiem. Dobrze zorientowana we wszystkim na poziomie szkoły podstawowej... miękkie czarne kapelusze... spojrzenie milionerki, urwisa... Zresztą, kim ona jest?

Wydawało się, że Burr nie wie ani go to nie obchodzi.

- Jakaś gejsza z klas wyższych, szkoła zakonna, polowania z psami. W każdym razie dogadywałeś się z nim. Nie zapomni cię.

- On nikogo nie zapomina. Ma wykute na blachę imiona wszystkich kelnerów.

- Ale nie każdego pyta o zdanie na temat rzeźby włoskiej, prawda? Uznałem to za bardzo zachęcające. - Burr nie wyjaśnił, dla kogo lub czego zachęcające, a Jonathan nie miał ochoty pytać. - A jednak ją kupił. Jeszcze nie urodził się taki mężczyzna lub taka kobieta, którzy wybiliby Roperowi z głowy kupno tego, na co ma ochotę. - Pocieszył się dużym kęsem cielęciny. - I dzięki. Dzięki za tę całą harówkę. W tych twoich raportach dla Quayle'a są wysokiej klasy obserwacje, z którymi nic nie może się równać. Twój leworęczny strzelec, zegarek na prawym przegubie, odwrotne trzymanie sztucców podczas jedzenia. Klasyka.

- Francis Inglis - uzupełnił Jonathan. - Trener osobisty z Perth, Australia.

- Nie nazywa się Inglis i nie pochodzi z Perth. To brytyjski były najemnik, ten Frisky, i za jego wredną makówkę wyznaczono nagrodę. To on nauczył chłopaków Idiego Amina, jak szybko wydobywać zeznania za pomocą elektrycznego pręta do uboju zwierząt. Nasz kumpel lubi Anglików i lubi, jak mają coś brudnego na sumieniu. Nie przepada za ludźmi, których nie może mieć na własność - dodał,

starannie krojąc bułeczkę na połowę i smarując masłem. - A właśnie - kontynuował, wskazując Jonathana ostrzem noża. - Jakim cudem znasz nazwiska jego gości? Przecież pracujesz tylko w nocy.

- Obecnie każdy odwiedzający Tower Suite musi się wpisać.

- I kręcisz się po holu wieczorami?

- Herr Meister oczekuje tego ode mnie. Kręcę się, pytam, kogo chcę. Mam być widoczny, po to tam jestem.

- Więc opowiedz nam o tych jego gościach - poprosił Burr. - Był ten Austriak, jak go nazywasz. Trzy osobne wizyty w Tower Suite.

- Doktor Kippel, adres wiedeński, chodził w zielonym lodenowym płaszczu.

- To nie Austriak, nie nazywa się Kippel. To skromny Polaczek, jeśli Polacy w ogóle bywają skromni. Mówią, że to jeden z nowych królów polskiego półświatka.

- Po co, na Boga, Roper miałby zwracać sobie głowę polskim półświatkiem?

Burr uśmiechnął się z zalem. Jego celem nie było oświecać Jonathana, ale kusić go.

- A co z tym krępy facetem z gęstymi brwiami, ubranym w błyszczący szary garnitur? Mówił, że nazywa się Larsen. Szwed.

- Po prostu założyłem, że to Szwed o nazwisku Larsen.

- To Rosjanin. Trzy lata temu był grubą rybą w sowieckim Ministerstwie Obrony. Dzisiaj rai fizyków i inżynierów z bloku wschodniego. Interes kwitnie. Niektórzy wyciągają dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie. Twój pan Larsen pobiera prowizję z obu stron. Na boku handluje wojskowym żelastwem. Jeśli chciałbyś wynieść parę setek czołgów T-72 albo kilka pocisków Scud z Rosji przez kuchenne drzwi, pan Larsen ci to załatwi. Pociski z bronią biologiczną kosztują ekstra. A co z twoimi dwoma Angolami w wojskowym typie?

Jonathan przypomniał sobie dwóch gibkich mężczyzn w tweedowych marynarkach.

- Co z nimi?

- Że przylecieli z Londynu, to się zgadza, ale nie nazywają się Forbes i Lubbock. Mają bazę w Belgii i zajmują się dostarczaniem instruktorów wojskowych czołowym świrom tego świata.

Brukselscy chłopcy - myślał Jonathan, zaczynając podążać za nimi, które Burr celowo splotał przed oczami jego pamięci. Żołnierz Boris. Kto następny?

- Tego kojarzysz? Nie opisałeś go, nie tak dokładnie jak innych, ale myślę, że to może jeden z tych dżentelmenów w garniturach,

których nasz kumpel przyjmował w sali konferencyjnej na parterze.

Przy tych słowach Burr wyjął z kieszeni małą fotografię i podsunął ją Jonathanowi do dokładniejszego obejrzenia. Przedstawiała czterdziestoletniego mężczyznę o zaciśniętych ustach, posmutniałych wylupiastych oczach, nienaturalnie falujących czarnych włosach i absurdalnym złotym krzyżu wiszącym na jabłku Adama. Fotografia została zrobiona w jasnym blasku słońca, sądząc po cieniach, świecącego prostopadle.

- Tak - powiedział Jonathan.

- Co tak?

- Był niższy o połowę od wszystkich, ale się go słuchali. Nosił czarną teczkę za dużą dla niego. Używał podkładek w butach.

- Szwed? Angol? Zaszereguj go.

- Raczej jakiś Latynos. - Oddał fotografię. - Może być kimkolwiek. Nawet Arabem.

- Wierz albo nie, nazywał się Apostoli, w skrócie Apo.

A dla niektórych Apetycik - pomyślał Jonathan, kolejny raz wspominając uwagi na stronie majora Corkorana do swojego szefa.

- Grek, Amerykanin w pierwszym pokoleniu, doktor praw na Uniwersytecie Michigan, dyplom z wyróżnieniem, kanciarz. Biura w Nowym Orleanie, Miami i Panamie, wszystkie cieszą się nienaganym szacunkiem, z czego niewątpliwie zdajesz sobie sprawę. Pamiętasz lorda Langbourne'a? Sandy'ego?

- Oczywiście - odparł Jonathan, wspominając mężczyznę niepokojącej urody, z kitką i naburmuszoną żoną.

- To kolejny cholerny prawnik. Osobisty adwokat Dicky'ego Ropera. Apo i Sandy Langbourne robią interesy. Bardzo lukratywne transakcje.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz, ale zaczynasz kojarzyć. Tak przy okazji, jak twój hiszpański?

- W porządku.

- Powinien być więcej niż w porządku, prawda? Osiemnaście miesięcy u Ritza z twoimi umiejętnościami? Powinien być, cholera, doskonały.

- Trochę leżał odłogiem, to wszystko.

W przerwie, podczas której Burr odchylił się i pozwolił kelnerowi sprzątnąć talerze, Jonathan ku swojemu zdziwieniu znów poczuł, co to podniecenie: zbliżenie się do tajemniczego centrum, wciąganie się w akcję po zbyt długim okresie oddalenia.

- Nie wyrzekniesz się chyba deseru? - spytał agresywnie Burr,

gdy kelner podał im laminowane karty.

- Dobry Boże, nie.

Ustalili, że zamówią puree z kasztanów z bitą śmietaną.

- I Corky, major Corkoran, twój żołnierski braciszek, jego chłopiec na posyłki - rzekł Burr tonem kogoś, kto najlepsze zostawił na koniec. - Co o nim sądzisz? Czemu się śmiejesz?

- Jest zabawny.

- A poza tym?

- Chłopiec na posyłki, tak jak powiedziałeś. Majordomus.

Podpisuje.

Burr podskoczył na to słowo, jakby czekał na nie przez cały lunch.

- Co podpisuje?

- Formularze meldunkowe, rachunki.

- Rachunki, listy, kontrakty, zrzeczenia się roszczeń, gwarancje, księgi rachunkowe przedsiębiorstwa, konosamenty, czekci - recytował Burr w podnieceniu. - Listy przewozowe, metryki frachtu i bardzo dużą liczbę dokumentów stwierdzających, że wszystko, co jego pracodawca kiedykolwiek zrobił złego, nie idzie na rachunek Richarda Onslowa Ropera, tylko jego lojalnego sługi, majora Corkorana. Bardzo bogaty człowiek ten major Corkoran. Setki milionów jest zapisane na jego nazwisko, tylko że przepisał je wszystkie na pana Ropera. Nie ma takiej brudnej transakcji, której Roper by nie zrobił, niepodpisanej przez Corkorana. „Corks, chodź tu! Nie musisz tego czytać, stary, podpisz. Grzeczny chłopiec, właśnie zarobiłeś kolejną dychę w Sing Sing”.

Nacisk, z którym Burr przekazał ten obraz, w połączeniu z ostrym tonem głosu, gdy parodiował Ropera, wprowadziły napięcie do łagodnego tonu rozmowy.

- Nie ma jednego śladu w dokumentach, który byłby coś wart - wyznał Burr, przysuwając bladą twarz bliżej Jonathana. - Choćbyś szukał nie wiadomo ile lat wstecz, nazwisko Ropera znajdziesz najwyżej na darowiznie na cele kościelne. Zgadza się, nienawidzę go. Przyznaję. Ty też powinieneś go nienawidzić, po tym co zrobił Sophie.

- Och, nie mam z tym problemu.

- Nie masz problemu, co?

- Nie, nie mam.

- No, to trzymaj tak dalej. Zaraz wrócę. Zaczekaj ze wszystkim.

Poprawiając spodnie w pasie, Burr poszedł się wysikać. Zostawił Jonathana w stanie tajemniczego uniesienia. Nienawidzić go? Do tej pory nienawiść była uczuciem, na które nie śmiał sobie pozwolić. Stać

go było na gniew; z pewnością potrafił pogрузić się w żalobie. Ale nienawiść, jak pożądanie, wydawała się rzeczą cudowną, pod warunkiem że miała szlachetny kontekst, a Roper z katalogiem Sotheby's i piękną kochanką jak do tej pory nie zapewniał czegoś takiego. Niemniej myśl o nienawiści uszlachetnionej śmiercią Sophie - nienawiści być może zamienionej w zemstę - zaczęła przemawiać do Jonathana. Przypominało to daleką obietnicę wielkiej miłości i Burr wyznaczył sobie rolę stręczyciela.

- Więc dlaczego? - kontynuował ciepło Burr, siadając z powrotem na krześle. - Zadaję sobie to pytanie. Dlaczego on to robi? Dlaczego pan Jonathan Pine, szanowany hotelarz, ryzykuje karierę, podprowadzając faksy i kablując na znamienitego klienta? Najpierw Kair, teraz Zurych. Zwłaszcza że pognewałeś się na nas. Całkiem słusznie. Ja też się na nas pognewałem.

Jonathan udał, że odpowiada na to pytanie po raz pierwszy.

- Tak po prostu się robi - rzeki.

- Nie, nie ma w tym żadnego „po prostu”. Nie jesteś zwierzęciem, które zdaje się na instynkt. Zdecydowałeś się to zrobić. Co cię do tego popchnęło?

- Podejrzewam, że coś we mnie drgnęło.

- Co drgnęło? Co sprawia, że przestaje drgać? Dlaczego znowu zadrga?

Jonathan wziął głęboki oddech, ale przez chwilę się nie odzywał. Odkrył, że jest zły, lecz nie wiedział dlaczego.

- Jeśli jakiś człowiek szmugluje prywatny arsenał egipskiemu kanciarzowi... i jest Anglikiem... i ty jesteś Anglikiem... i szykuje się wojna... i Anglicy będą walczyć po drugiej stronie...

- I samemu było się żołnierzem...

- ...to tak po prostu się robi - powtórzył Jonathan, czując, jak coś ścisiska go w gardle.

Burr odsunął pusty talerzyk i pochylił się nad stołem.

- Karmienie szczura, nie tak mówią alpiniści? Szczur zre od środka i każe ryzykować. Podejrzewam, że ten twój szczur to całkiem solidna sztuka, kiedy trzeba dorównać ojcu, jakiego ty miałeś. Też był tajniakiem, prawda? Zresztą wiedziałeś o tym.

- Nie, przykro mi, nie wiedziałem - odparł uprzejmie Jonathan, a żołądek wywrócił mu się na drugą stronę.

- Musieli ubrać go w mundur po tym, jak został zastrzelony. Nie powiedzieli ci?

Hotelarski uśmiech Jonathana, żelazny uśmiech od ucha do ucha. Głos hotelarza, fałszywie łagodny.

- Nie, nie powiedzieli. Naprawdę. Bardzo dziwne. Należałoby się spodziewać, że powiedzą, prawda?

Burr pokręcił głową nad dziwnym postępowaniem służby cywilnej.

- Chodzi mi o to, że dość wcześnie wykombinowałeś sobie to przejście na emeryturę - podjął rozsądnie Burr. - Nie każdy porzuca obiecującą karierę w wojsku w wieku dwudziestu pięciu lat i zostaje nocnym lokajem. Zwłaszcza kiedy się pływało pod żaglami, chodziło po górach i spędzało tyle czasu na świeżym powietrzu we wszystkich częściach świata. Na litość boską, czemu hotelarstwo? Dlaczego mogąc wybrać wszystko inne, wybrałeś właśnie to?

Żeby się podporządkować - pomyślał Jonathan.

Żeby abdykować.

Żeby złożyć gdzieś głowę.

Pilnuj, kurwa, własnych spraw.

- Och, nie wiem - wyznał z niepewnym uśmiechem. - Pewnie, żeby spokojnie żyć. Szczerze mówiąc, w głębi duszy jestem takim trochę sybarytą.

- Hm, prawdę mówiąc, nie wierzę w to, Jonathanie. W ciągu ostatnich kilku tygodni przyjrzałem ci się bardzo dokładnie i bardzo głęboko zastanawiałem się nad tobą. Pogadajmy jeszcze trochę o wojsku, zgoda? Bo pewne rzeczy z twojej służby zrobiły na mnie duże wrażenie.

Świetnie - pomyślał Jonathan, ożywiony. Rozmawiamy o Sophie, więc rozmawiamy o nienawiści. Rozmawiamy o nienawiści, więc rozmawiamy o hotelarstwie. Rozmawiamy o hotelarstwie, więc rozmawiamy o wojsku. Bardzo logiczne. Bardzo racjonalne.

Niemniej jednak nie potrafił dopatrzeć się u Burra złej woli. Ten, dziękować Bogu, miał serce na dłoni. Może i był sprytny. Może miał w małym palcu abc intrygi, dostrzegał w ludziach siłę i słabości. Ale kierował się sercem, o czym wiedział Goodhew i co wyczuwał Jonathan, i dlatego pozwalał Burrowi zajrzeć do swojego prywatnego królestwa, i dlatego przesłanie Burra zahuczało w uchu Jonathana jak werbel bitewnych bębnow.

6

Odprężyli się. Nadszedł moment na zwierzenia. Ustalili, że przepłuczą gardła po kawie kieliszkiem śliwowicy.

- Miałem kiedyś jedną Sophie - wspominał Burr nie do końca zgodnie z prawdą. - Wiesz, jak o tym pomyślę, to dziwi mnie, że się z nią nie ożeniłem. Moja obecna pani ma na imię Mary, co zawsze wydaje mi się trochę rozczarowujące. No, ale jestem już z nią... ile to?... pięć lat. Prawdę mówiąc, to lekarka. Lekarz rodzinny, taki proboszcz ze stetoskopem. Wrażliwość społeczna rozmiaru przerośniętej dyni. Wygląda na to, że nawet dobrze sobie radzi.

- I oby tak zostało - rzekł z galanterią Jonathan.

- Dodam, że Mary nie jest moją pierwszą żoną. Ani drugą, żeby nie skłamać. Nie wiem, co takiego jest między mną a kobietami. Mierzyłem za wysoko, mierzyłem za nisko, mierzyłem obok, nigdy nie trafiałem jak trzeba. Ciągle stawiam sobie pytanie, czy to moja wina czy ich?

- Rozumiem, o co ci chodzi - rzeki Jonathan. Ale obudziła się w nim czujność. Nie umiał rozmawiać o kobietach. Były zapieczętowanymi kopertami w jego biurku. To koleżanki i siostry z młodości, której nie miał, matka, której nie poznał, kobieta, z którą nie powinien się żenić, i inna, którą powinien kochać i której nie powinien zdradzić.

- Chyba za szybko dogrzebywałem się do ich wnętrza i nudziły mi się - narzekał Burr, kolejny raz usiłując otworzyć serce przed Jonathanem w nadziei, że w rewanżu zostanie obdarzony tą samą łaską. - Jest problem z dziećmi. Każde z nas ma dwoje własnych i teraz jedno wspólne. Bez dzieci życie nie ma sensu. Nie narobiłeś dzieci, prawda? Trzymałeś się od tego z daleka. Powiedziałbym, że to mądre. Sprytne. - Pociągnął łyżeczek pflümlu. - Opowiedz trochę więcej o swojej Sophie - zasugerował, chociaż jak do tej pory Jonathan nie opowiedział mu niczego.

- Ona nie była moja. Należała do Freddiego Hamida.

- Ale ją zerznąłeś - zasugerował spokojnie Burr.

Jonathan jest w sypialni małego mieszkania w Luksorze. Światło księżycy przelewa się między rozchylonymi zasłonami. Sophie leży na łóżku w białej koszuli nocnej, ma zamknięte oczy i twarz skierowaną w sufit. Znowu trochę błaznuje. Wypiła niewielką ilość wódki. On też. Butelka stoi między nimi.

- Dlaczego siedzi pan w drugiej części pokoju, daleko ode mnie, panie Pine?

- Zapewne z szacunku. - Uśmiech hotelarza. Głos hotelarza, starannie dobrana kompozycja głosów innych ludzi.

- Ale chyba sprowadził mnie pan tutaj, żeby pocieszyć.

Tym razem pan Pine nie odpowiada.

- Czy nie odpowiada panu mój obity stan? Może jestem za stara?

Pan Pine, zwykle tak wymowny, nadal zachowuje milczenie, przerażony.

- Martwię się o pańską godność, panie Pine. Może martwię się o własną. Chyba siedzi pan tak daleko ode mnie, bo czegoś się pan wstydzi. Mam nadzieję, że nie mnie.

- Sprowadziłem panią tutaj ze względu na bezpieczeństwo, madame Sophie. Potrzebuje pani chwili oddechu na zastanowienie się, co zrobić i gdzie się udać. Myślałem, że mogę pani pomóc.

- A pan Pine? Czy on nie potrzebuje niczego? Jest pan zdrowym mężczyzną towarzyszącym kalece? Dziękuję za przywiezienie mnie do Luksoru.

- Dziękuję za to, że się pani zgodziła.

Jej wielkie oczy uparcie wpatrywały się w niego w świetle księżycy. Niezwykle wyglądała na bezbronną kobietę wdzięczną za pomoc.

- Mówi pan tyloma głosami, panie Pine - podjęła po zbyt długiej pauzie. - Nie mam już pojęcia, kim pan jest. Patrzy pan na mnie i dotyka swoimi oczami. I nie jestem obojętna na pańskie dotknięcie. Nie jestem. - Na moment załamał jej się głos. Wyprostowała się i chyba przegrupowała siły. - Mówi pan coś i pański głos pasuje do pańskiej osoby. I ona mnie wzrusza. Potem ta osoba zostaje odwołana i ktoś całkiem inny zajmuje jej miejsce. Mówi pan coś całkiem innego. Znowu jestem wzruszona. Więc mamy zmianę warty. Wygląda na to, że każda osoba w panu potrafi znieść tylko trochę mnie, a potem musi odejść i odpocząć. Czy jest pan taki sam ze wszystkimi swoimi kobietami?

- Ale pani nie jest jedną z moich kobiet, madame Sophie.
- Więc skąd pan się tu wziął? Jest pan harcerzem? Nie sądzę.

Znów zamilkła. Miał wrażenie, że się zastanawia, czy porzucić udawanie.

- Chciałabym, żeby jeden z wielu pańskich ludzi został ze mną dziś w nocy, panie Pine. Czy może się pan o to postarać?

- Naturalnie. Będę spał na kanapie. Jeśli tego pani sobie życzy.

- Nie. Wcale sobie tego nie życzę. Życzę sobie, żeby spał pan ze mną w moim łóżku i kochał się ze mną. Chciałabym doprowadzić do tego, że przynajmniej jeden z was będzie szczęśliwy, a pozostałych ten przykład natchnie otuchą. Nie mogę pozwolić na to, żeby pan się tak wstydził. O wiele za dużo pan sobie wyrzuca. Wszyscy popełniliśmy złe uczynki. Ale pan jest dobrym człowiekiem. Wieloma dobrymi ludźmi. Nie odpowiada pan za moje nieszczęścia. Jeśli bierze pan w nich udział - stała przed nim z opuszczonymi rękami - to wołałabym, żeby kierował panem lepszy powód niż wstyd. Panie Pine, dlaczego tak bardzo stroni pan ode mnie?

W gasnącym świetle księżycy jej głos się podniósł, jej postać wydawała się nierzeczywista. Zrobił ku niej krok i stwierdził, że przestała ich dzielić jakakolwiek odległość. Wyciągnął ramiona, ostrożnie, ze względu na jej potłuczenia. Przytulił ją do siebie, wsunął dłonie pod koszulę nocną, rozłożył palce i lekko przycisnął dłonie do jej pleców. Oparła policzek o jego twarz, znów poczuł zapach wanilii i odkrył niespodziewaną delikatność jej długich czarnych włosów. Zamknął oczy. Lgnąc tak do siebie, przewrócili się łagodnie na łóżko. A gdy przyszedł brzask, kazała mu rozsunać zasłony, aby nie musiał już kochać się w ciemności.

- To byliśmy my wszyscy - szepnął. - Cały oddział. Oficerowie, podoficerowie, szeregowcy, dezertery, kucharze. Nikt nie został.

- Nie sądzę, panie Pine. Dysponuje pan ukrytymi posiłkami, jestem pewna.

Burr nadal czekał na odpowiedź.

- Nie - odparł Jonathan wyzywająco.

- Czemu, u licha?! Ja nigdy żadnej nie przepuściłem. Miałeś wtedy dziewczynę?

- Nie - zarumienił się.

- Mam pilnować swoich spraw, o to ci chodzi?

- Mniej więcej.

Burra chyba ucieszyło, że ktoś kazał mu pilnować swoich spraw.

- No, to powiedz nam o swoim małżeństwie. Prawdę mówiąc, to jakaś niewyraźna sprawa. Nie wiem czemu, czuję się skrępowany. Jesteś kawalerem. To się czuje. Może ja też jestem. Co się stało?

- Byłem młody. Ona była jeszcze młodsza. Ja też czuję się skrępowany.

- Była malarką, prawda? Jak ty?

- Ja byłem zwykłym pacykarzem. Ona robiła to na serio. Tak przynajmniej uważała.

- Dlaczego się z nią ożeniłeś?

- Myślę, że z miłości.

- Tak myślisz. Znając ciebie, bardziej prawdopodobne, że z uprzejmości. Czemu od niej odszedłeś?

- Żeby nie oszaleć.

Niezdolny dłużej odpychać zalewu wspomnień, wydal się na pastwę gniewnych obrazów życia małżeńskiego umierającego na ich oczach: przyjaźń, której już nie dzielili, miłość, której już nie uprawiali, restauracje, w których przyglądali się rozmowom szczęśliwych ludzi, wyschłe kwiaty w wazonie, gnijący owoc na paterze, poplamiona farbami paleta oparta o ścianę, gruby kurz na stole jadalnianym, podczas gdy wpatrywali się w siebie przez wyschnięte łyż, bałagan, nad którym nawet Jonathan nie mógł zapanować. „To moja wina” - powtarzał, usiłując ją pogłaskać i wzdrygnął się, gdy ona się wzdrygnęła. „Wydoroślałem zbyt szybko i zabrakło kobiet na mojej drodze. To moja wina, na pewno nie twoja”. Burr zrobił kolejny litościwy przeskok.

- Więc co zagnało cię do Irlandii? - podsunął z uśmiechem. - Uciekałeś od niej?

- Zadanie. Jeśli byłeś w Armii Brytyjskiej, jeśli chciałeś się przydać, być prawdziwym żołnierzem, prawdziwą amunicją po wszystkich ślepych nabojach, musiałeś jechać do Irlandii.

- A ty chciałeś się przydać?

- A ty nie chciałeś w tym wieku?

- Cały czas chcę - odparł Burr znacząco.

Jonathan nie odpowiedział na czające się w podtekście pytanie.

- Miałeś nadzieję, że zostaniesz zabity? - spytał Burr.

- Absurd.

- To wcale nie absurd. Twoje małżeństwo legło w gruzach. Byłeś jeszcze gówniarzem. Uważałeś, że jesteś odpowiedzialny za całe zło świata. Dziwię się, że nie zapolowałeś w dżungli na grubego zwierza albo nie zaciągnąłeś się do Legii Cudzoziemskiej. A zresztą, po co w ogóle tam pojechałeś?

- Mieliśmy zdobywać serca i umysły Irlandczyków. Mówić każdemu dzień dobry, głaskać dzieci po główkach. Patrolować od czasu do czasu.

- Opowiedz o patrolowaniu.

- Punkt kontrolny. Nudy. Sadowisz się na szczycie wzniesienia albo na zakręcie, a potem wyskakujesz z rowu i zatrzymujesz samochody. Od czasu do czasu trafiasz na gracza, jak nazywaliśmy tych z IRA.

- A wtedy co?

- Łączysz się przez radio i centrala mówi, jak postąpić. Zatrzymać i przeszukać. Przepuścić. Przepytać. Co mu tam wpadnie do głowy.

- A inne stałe zadania poza punktem kontrolnym?

Z równie demonstracyjną bezbarwnością jak poprzednio Jonathan wymienił:

- Patrole śmigłowcem. Każda grupa miała kawałek terenu do obskoczenia. Brało się swojego lynxa, sprzęt biwakowy, obozowało się przez kilka nocy, potem wracało do bazy i szło na piwo.

- A kontakt z nieprzyjacielem?

Jonathan uśmiechnął się z dezaprobatą.

- A czemu mieliby się pokazywać i walczyć, kiedy mogli nas wysadzić w dżipach zdalnie sterowaną bombą?

- Pewnie, czemu? - Burr nigdy nie spieszył się z odegraniem atutów. Popił drinka, potrząsnął głową i uśmiechnął się, jakby to wszystko było trochę zagadkowe. - Więc na czym polegały te specjalne zadania, które ci przydzielano? Wszystkie te specjalne szkolenia, o których wystarczyło mi poczytać, żeby mieć dość? Szczerze mówiąc, za każdym razem jak widzę, że bierzesz łyżeczkę i widelec, strach mnie oblatuje. Spodziewam się, że mnie nadziejesz.

Opór Jonathana jakby nagle zmałał.

- Były to jednostki specjalne nazywane Plutonami Zwiadu Bezpośredniego.

- Co to?

- Najbardziej doświadczony pluton w każdym pułku, specjalnie dobrany.

- Spośród...?

- Spośród wszystkich, którzy mieli ochotę do niego wstąpić.

- Myślałem, że to była elita.

Krótkie, zwarte zdania - zauważył Burr. Uważne. Powieki spuszczone, napięte usta.

- Przechodziłeś przeszkolenie. Uczyłeś się obserwacji,

rozpoznawania graczy. Szykowało się kryjówki, wchodziło i wychodziło w ciemności. Leżało się przez parę nocy. Na strychach. W zaroślach. W rowach.

- W jaką broń byliście wyposażeni?

Jonathan wzruszył ramionami, jakby mówił: „A jakie to ma znaczenie?”.

- Uzi. Hecklery. Strzelby. Uczyli posługiwać się wszystkim. Wybierało się. Patrząc z zewnątrz, to podniecające. Patrząc od środka, to po prostu zadanie.

- Co ty wybrałeś?

- Heckler daje największe szanse.

- I tak docieramy do operacji „Nocna Sowa” - podsunął Burr, nie zmieniając intonacji głosu. Opadł na oparcie i obserwował niezmiennie ten sam wyraz twarzy Jonathana.

Jonathan mówił przez sen. Miał otwarte oczy, lecz myślami był w innym kraju. Nie spodziewał się, że podczas tego lunchu odwiedzi najgorsze zakątki swojego życia.

- Ostrzeżono nas, że jacyś gracze przejdą przez granicę do Armagh, aby przenieść magazyn broni. Granatniki. Czailiśmy się przez kilka dni i wreszcie się pokazali. Zdjęliśmy trzech. Oddział był w siódmym niebie. Wszyscy chodzili, szepcząc „trzech”, i pokazywali trzema palcami na Irlandczyków.

- Zdjęliśmy? - Burr zachował się, jakby nie dostyszał. - Czyli zabiliście?

- Mhm.

- Zdejmowałeś sam? Osobiście?

- Uczestniczyłem w tym, pewnie.

- Jako członek oddziału?

- Załogi.

- Ilu was było?

- Dwóch. Brian i ja.

- Brian?

- Mój partner. Starszy szeregowy.

- Jaki ty miałeś stopień?

- Kapral. Pełniący obowiązki sierżanta. Mieliśmy za zadanie dopaść ich, kiedy będą uciekać.

Burr zauważył, że skóra na twarzy Jonathana stężała. Szczęki się napięły.

- To był czysty przypadek - rzekł Jonathan z wypraną z emocji

niedbałością. - Każdy marzy, żeby załatwić terrorystę. My dostaliśmy tę szansę. Mieliśmy po prostu straszne szczęście.

- I załatwiliście trzech. Ty i Brian. Zabiliście trzech ludzi.
- Pewnie. Mówiłem ci. Szczęście.

Sztywność - zauważył Burr. Sztywna swoboda i takie niedopowiedzenie, że aż uszy bolą.

- Jednego i dwóch? Dwóch i jednego? Który miał lepszy wynik?
- Każdy jednego i jednego razem. Z początku kłóciliśmy się o niego, a potem zgodziliśmy się po połowie. Często w ogniu walki trudno ocenić, kto kogo walnął.

Nagle Burr nie musiał już ciągnąć go za język. Wyglądało to tak, jakby Jonathan zdecydował się opowiedzieć tę historię po raz pierwszy. I może tak było.

- Dokładnie na granicy stało takie rozpadające się gospodarstwo. Właścicielem był cwaniak, wyludzał dotacje. Szmuglował krowy z jednej strony granicy na drugą i brał dotacje dla rolników z obu stron. Miał volvo, nowiutkiego merca i to małe nędzne gospodarstwo. Wywiad doniósł, że trzech graczy przyjdzie z południa po zamknięciu pubów. Znaliliśmy nazwiska. Przywarowaliśmy i czekamy. Magazyn mieli w stodole. My zaczailiśmy się w krzakach sto pięćdziesiąt metrów dalej. Na odprawie kazali nam siedzieć w kryjówce i obserwować.

To właśnie lubi - pomyślał Burr. Obserwować z ukrycia.

- Mieliśmy zaczekać, aż wejdą do stodoły i zabiorą zabawki. Potem, kiedy wyjdą, mieliśmy przekazać kierunek, w którym odeszli, i oddalić się po cichu. Inna grupa zrobiła blokadę drogową osiem kilometrów dalej, miała przeprowadzić wrywkową kontrolę, udać, że to wszystko czysty przypadek. Chodziło o ochronę źródła informacji. Potem mieli ich zdjąć. Jedyne kłopot polegał na tym, że gracze nie zamierzali nigdzie jechać z tą bronią. Zdecydowali, że zakopią ją w rowie dziesięć metrów od naszej kryjówki, wcześniej wkopali skrzynię w ziemię.

Leżał na brzuchu, dotykając rozkosznego mchu wzgórza w South Armagh, patrzył przez noktowizor na trzech zielonych ludzi dźwigających zielone skrzynki przez zielony pejzaż. Mężczyzna po lewej płynnym ruchem staje na palce, puszcza skrzynkę, rozkrzyżowuje ramiona. Ten ciemnozielony atrament to jego krew. Zdejmując go i głupi skurwiel nawet się nie poskarży - dochodzi do wniosku Jonathan, odczuwając równocześnie kopnięcia swojego hecklera.

- Więc zastrzeliliście ich - stwierdził Burr.
- Musieliśmy wykorzystać przewagę. Każdy z nas załatwił jed-

nego, potem obaj załatwiliśmy trzeciego. Cała akcja trwała sekundy.

- Odpowiedzieli ogniem?

- Nie - odparł Jonathan. Uśmiechał się. Nadal był sztywny. - Chyba mieliśmy szczęście. Jak się pierwszego trafi, to sprawa z głowy. Jeszcze cię coś interesuje?

- Wracalesz tam?

- Do Irlandii?

- Do Anglii.

- Nie za bardzo. Ani tu, ani tu.

- A rozwód?

- Wszystkim zajęto się w Anglii.

- Kto?

- Ona. Zostawiłem jej moje mieszkanie, wszystkie moje pieniądze i tych przyjaciół, których mieliśmy. Mówiła, że tak jest pół na pół.

- Zostawiłeś jej też Anglię.

- Tak.

Jonathan zamilkł, ale Burr nadal go słuchał.

- Tak naprawdę, Jonathanie, to chyba chciałbym się dowiedzieć, czy w ogóle jesteś zainteresowany jeszcze jednym podejściem - rzekł zwyczajnym tonem, którego używał przez większą część rozmowy. - Nie do małżeństwa. Do służby swojemu krajowi. - Wyrzekł na głos te słowa, ale pożytku miał z nich tyle, że równie dobrze mógłby je powiedzieć pod adresem granitowej skały. Skinieniem ręki poprosił o rachunek. A potem pomyślał: Do diabła z tym wszystkim. Czasem najgorsze chwile są najlepsze. Więc powiedział, co chciał powiedzieć, zgodnie ze swoją naturą, odliczając szwajcarskie banknoty na białe talerzyki: - Przypuśćmy, że zaproponowałbym ci, żebyś wyrzucił na śmietnik całe dotychczasowe życie na rzecz czegoś lepszego. Może nie lepszego dla ciebie, ale lepszego, jeśli chodzi o to, co ty i ja z satysfakcją nazywamy wspólnym dobrem. Pięciogwiazdkowa, czysta jak łza sprawa, która zagwarantuje poprawę losu rodzaju ludzkiego, a jak nie, to zwrot kosztów zapewniony. Żegnaj, stary Jonathanie, witaj, nowa, ulepszona wersjo. Potem przeprowadzka, nowe nazwisko, pieniądze, jak zwykle. Znam wielu ludzi, którzy uznaliby to za całkiem atrakcyjne. Szczerze mówiąc, ja sam może nie, bo chyba nie byłoby to uczciwe wobec Mary. Ale wobec kogo ty musisz być uczciwy poza samym sobą? O ile się orientuję, wobec nikogo. Będziesz karmił szczura trzy razy dziennie, trzymał się paznokciami skały przy dwunastostopniowych sztormach, zostaniesz zżuty co do kawałeczka i nie minie godzina, żebyś nie był przerażony do szpiku kości. I będziesz to robił dla swojego kraju, tak samo jak twój tato, bez względu

na to, co myślisz o Irlandii. Czy o Cyprze w tym wypadku. I będziesz to też robił dla Sophie. Powiedz mu, że potrzebuję rachunku, dobra? Na Bentona. Lunch dla dwóch osób. Ile mam dać napiwku? Jeszcze piątkę? Nie będę cię prosił, żebyś podpisał za mnie. Tak jak niektórzy. Idziemy.

Spacerowali nad jeziorem. Śnieg znikł. Popołudniowe słońce błyszczało nad dymiącą ścieżką. Nastoletni narkomani otuleni drogimi płaszczami wpatrywali się w popękany lód. Jonathan wcisnął ręce do kieszeni i słuchał Sophie gratulującej mu łagodności kochanka.

„Mój angielski mąż też był bardzo delikatny - mówiła, gładząc go z zachwytem po twarzy. - Tak zazdrośnie strzegłam dziewictwa, że dopiero po kilku dniach przekonał mnie, że lepiej mi będzie bez niego. - Ogarnięta jakimś przeczuciem, przyciągnęła go opiekuńczym gestem. - Tylko pamiętaj, że masz przyszłość przed sobą, panie Pine. Nie rezygnuj z niej za skarby świata. Ani dla mnie, ani dla nikogo innego. Obiecay”.

Więc obiecał. Tak jak obiecujemy wszystko, gdy jesteśmy zakochani.

Burr mówił o sprawiedliwości.

- Kiedy obejmę rządy nad światem - autorytatywnie oświadczył parującemu jezioru - to urządzę proces norymberski numer dwa. Dopadnę wszystkich handlarzy bronią, gnojów naukowców, wszystkich tych grzecznych sprzedawców, którzy dla dobra interesu pchają szaleńców krok dalej, niż ci chcą, wszystkich kłamających polityków, prawników, księgowych, bankierów i posadzę ich na ławie oskarżonych, niech odpowiadają za swoje czyny. Wiesz, co powiedzą? „Gdybyśmy tego nie zrobili, zrobiliby to ktoś inny”. A wiesz co ja na to? „Ach, rozumiem. Gdybyście nie zgwałcili tej dziewczyny, zgwałciłby ją jakiś inny facet. Tak wygląda wasze usprawiedliwienie gwałtu. Zaprotokołować”. Potem wielu poczęstowałbym napalmem. Wiuu.

- Co takiego zrobił Roper? - spytał Jonathan z jakąś gniewną bezradnością. - Poza... Hamidem, tym wszystkim.

- Ważne jest to, co robi teraz.

- A gdyby dziś przestał? Bardzo jest zły? Bardzo był zły?

Wspomniał ramię Ropera ocierające się o niego bez żenady. „Nad głową pergola, widok na ocean, na stronę zachodnią, żeby podziwiać zachody słońca”. Wspomniał Jed: „Najpiękniejsze miejsce na ziemi”.

- Rabuje - powiedział Burr.

- Gdzie? Kogo?

- Wszędzie i wszystkich. Jeśli transakcja jest nieuczciwa, nasz kumpel jest przy stole, kasuje swój udział i każe Corkoranowi podpisać. Ma czyste operacje, tak funkcjonuje Ironbrand: kapitał spekulacyjny, handel nieruchomościami, na taką skalę, że zatyka dech w piersiach, kopaliny, ciągniki, turbiny, towary, kilka tankowców, od czasu do czasu jakieś wrogie przejęcie firmy. Biura w najporządniejszej dzielnicy Nassau, łebscy, krótko ostrzyżeni młodzi ludzie stukający w komputery. Ta część interesu jest w kłopotach po uszy i o niej czytałeś.

- Przykro mi, nie czytałem.

- A powinieneś. Zeszłoroczne wyniki były fatalne, a tegoroczne będą jeszcze gorsze. Cena akcji spadła do siedemdziesięciu ze stu sześćdziesięciu. Trzy miesiące temu poszedł na całość z platyną, a tymczasem cena poleciała na łeb na szyję. On nie jest w poważnej sytuacji, on ma nóż na gardle. - Odetchnął głęboko i zaczął raz jeszcze. - A pod parasolem Ironbrand knuje swoje małe świństwka. W rejonie Karaibów odchodzi pięć klasyków: pranie pieniędzy, złoto, szmaragdy, drewno z lasów tropikalnych, broń i jeszcze raz broń. Podrabia się leki, podrabia paczki z pomocą humanitarną dzięki korupcji w Ministerstwie Zdrowia i podrabia się nawozy dzięki korupcji w Ministerstwie Rolnictwa. - Gniew w głosie Burra był jak z wolna tężejący sztorm i tym groźniejszy, że się nie rozładowywał. - Ale broń to jego pierwsza miłość. Zabawki, jak na nią mówi. Jeśli masz władzę, zabawki jak nic innego zaspokajają nałóg. Nie wierz w bzdury typu: „tylko zwyczajny towar, działalność usługowa”. Broń to narkotyk, a Roper jest narkomanem. Kłopot z handlem bronią polega na tym, że wszyscy myśleli, iż jest odporny na recesję, ale się mylili. Wojna iracko-irańska to było eldorado handlarzy bronią, myśleli, że będzie trwać wiecznie. Od tamtej pory zaczął się zjazd po równi pochyłej. Zbyt wielu producentów uganiało się za zbyt nielicznymi wojnami. Za dużo żelastwa rzuconego na rynek. Za dużo pokoju wokół i niedobór twardej waluty. Naturalnie nasz Dicky zarobił też trochę w wojnie na Bałkanach. Sprzedawał Chorwatom przez Ateny, a Serbom przez Polskę. Ale nie dorastał do skali wydarzeń i konkurencja była za duża. Kuba padła, to samo jest z Afryką Południową, sami produkują. Na Irlandię szkoda zachodu, bo i nią by się zajął. W Peru też wetknął swoje trzy grosze, zaopatrywał chłopców ze Świetlistego Szlaku. I przymierzał się do muzułmańskich powstańców na południowych Filipinach, ale Korea Północna go wyprzedziła i podejrzewam, że znowu rozkwasi sobie kinol.

- No, a kto mu na to pozwala? - spytał napastliwie Jonathan.

Burrowi raz przynajmniej zabrakło języka w gębie.

- Jakim cudem tak mu się, do cholery, udaje, skoro ma na karku takich ludzi jak ty?

Przez chwilę Burr nie wiedział, jak odeprzeć zarzut. Zanim się odezwał, krążyły mu po głowie haniebne odpowiedzi na to pytanie: Dom za Rzeką mu pozwala - chciał powiedzieć. Whitehall mu pozwala. Geoffrey Darker i jego kołesie z Zaopatrzenia Niebezpośredniego mu pozwalają. Pan Goodhew przystawia teleskop odwrotną stroną do swoich ślepych oczu i mu pozwala. Jeśli jego zabawki są produkcji brytyjskiej, każdy, cholera, pozwoli mu robić to, co mu się żywnie podoba.

Ale szczęście go nie opuściło i Burr znalazł sposób odwrócenia uwagi Jonathana:

- No, niech mnie szlag trafi! - wykrzyknął, łapiąc go za ramię. - A gdzie jest jej ojciec?

Obserwowana przez swojego chłopaka siedemnastoletnia dziewczyna podwinęła nogawkę džinsów. Całą łydkę pokrywały plamy jak zaropiale ślady ukłuc insektów. Wbiła igłę i ani się skrzywiła. Ale Burr skrzywił się za nią i obrzydzenie przez chwilę wpędziło go w zadumę, więc kawałek przeszli w milczeniu, podczas gdy Jonathan na moment zapomniał Sophie, a zamiast niej wspominał niekończące się nogi Jed, różowitkie, gdy schodziła ozdobną klatką schodową, i jej uśmiech, gdy przypadkiem zauważyła jego spojrzenie.

- Więc kim on jest? - spytał Jonathan.

- Powiedziałem ci, kim jest. To łajdak.

- Jaką ma przeszłość? Co nim kieruje?

Burr wzruszył ramionami.

- Ojciec to drobny marszand i rzeczoznawca w środkowej Anglii, matka to filar lokalnego kościoła. Brat. Prywatne szkoły nie na kieszeń rodziców...

- Eton?

- Czemu akurat Eton?

- Sposób mówienia. Brak zaimków. Przedimków. Zlewianie słów.

- Tylko raz go słyszałem. Rozmawiał przez telefon. Wystarczyło mi. Ma głos, od którego chce mi się rzygać.

- Roper jest starszy czy młodszy od brata?

- Młodszy.

- Poszedł na studia?

- Nie. Zapewne za bardzo mu się spieszyło orznąć świat.
- A brat?
- Tak. Nie bądź taki sprytny. Brat wszedł do rodzinnego interesu.

Splajtował podczas recesji. Teraz dorabia się na hodowli świń. I co z tego? - Spojrzał gniewnie z ukosa na Jonathana. - Tylko nie zacznij szukać mu, cholera, wymówek. Gdyby Roper poszedł do Eton i Oxfordu i miał własne pół miliona rocznie, nadal by rznął świat na potęgę! To zły człowiek i dla własnego dobra uwierz, że tak jest. Zło istnieje.

- Och, wiem, wiem - rzeki uspokajająco Jonathan. Sophie mówiła to samo.

- Więc wszystko robi na dużą skalę - podsumował Burr. - Tu w grę wchodzi zaawansowana technologia, normalna technologia, żadna technologia i jaka-chcesz technologia. Nie cierpi czołgów, bo za długo leżakują na półce, ale są tyle warte, że nagiął swoje zasady. W grę wchodzi buty, umundurowanie, gazy bojowe, bomby kasetowe, środki chemiczne, suchy prowiant, systemy nawigacyjne, myśliwce, czerwony fosfor, granaty, torpedy, okręty podwodne budowane na zamówienie, kutry torpedowe, pociski samosterujące, systemy naprowadzające, łańcuchy na nogi, kuchnie polowe, guziki mosiężne, medale i kordziki oficerskie, raketnice i laboratoria szpiegowskie udające farmy wylęgu kurcząt, opony, pasy, tuleje, amunicja wszystkich kalibrów do broni amerykańskiej i sowieckiej, redeye i inne zestawy raketowe, jak stinger, i worki na zwłoki. A raczej wchodziły, bo teraz mamy zastój, bankrutujące państwa i rządy oferujące lepsze warunki niż kanciarze. Powinieneś zobaczyć jego magazyny. Tajpej, Panama, Port-of-Spain, Gdańsk. Zatrudniał tysiąc ludzi ten nasz kumpel - tylko do konserwacji zapasów, kiedy ceny szły w górę. Zawsze w górę, nigdy w dół. Teraz zostało mu ledwo sześćdziesięciu i ceny spadły do zera.

- A co on na to?

Teraz z kolei Burr udzielił wymijającej odpowiedzi:

- Przymierza się do czegoś dużego. Ostatni kawałek tortu. Transakcja, która zakończy wszystkie inne. Chce kompletnie zmienić profil Ironbrand i odejść na emeryturę w blasku chwały. Powiedz mi coś...

Jonathan jeszcze się nie przyzwyczaił do nagłych przeskoków Burra.

- Tego ranka w Kairze, kiedy wzięłeś Sophie na przejażdżkę. Po tym, jak Freddie ją stłukł...

- No?

- Czy myślisz, że ktoś mógł cię przejrzeć, zauważyć z nią i poskładać sobie wszystko do kupy?

Jonathan tysiące razy stawiał sobie to pytanie; nocą, gdy przemierzał swoje mroczne królestwo, aby uciec przed samym sobą, dniem, gdy nie mogąc zasnąć, wspinał się na zbocza lub żeglował donikąd.

- Nie - odparł ostro.

- Masz pewność?

- Na ile się da.

- Nie popełniłeś z nią jakiegoś głupstwa? Może byliście gdzieś, gdzie zostaliście rozpoznani?

Jonathan odkrył, że kłamanie dla dobra Sophie, chociaż spóźnione, sprawia mu jakąś osobliwą przyjemność.

- Nie - odparł stanowczo.

- No to jesteś czysty, co? - stwierdził Burr, nieświadomie powtarzając znów za Sophie.

Rozkoszując się ciszą, dwaj mężczyźni popijali szkocką w kawiarni na starówce, gdzie dzień nie różnił się od nocy, wśród starszych pań niezdejmujących kapelusików przy kremówkach. Czasami katolickość Szwajcarów zachwycała Jonathana. Tego wieczoru zdawało mu się, że pomalowali cały swój kraj na różne odcienie szarości.

Burr zaczął opowiadać zabawną historyjkę o doktorze Apostole, wybitnym prawniku. Zaczęła się nieskładnie, prawie jakby mu się coś niechcący wyrwało, jakby zdradził własne myśli. Nie powinien był tego robić, z czego zdał sobie sprawę, ledwo tylko się do tego wziął. Lecz czasami, gdy taimy jakiś wielki sekret, prześladuje nas on bez przerwy.

- Apo to lubieżnik - rzekł. I już to raz powiedział. - Apo rżnie wszystko w zasięgu wzroku, nie daj się oszukać temu oschłemu zachowaniu, to jeden z tych konusów, którzy muszą udowodniać, że mają większą kuśkę niż wszyscy faceci razem wzięci. Sekretarki, cudze żony, sznury prostytutek z agencji, Apo bierze wszystko, co mu się nawinie pod rękę.

A tu pewnego dnia jego córeczka się zabija. W bardzo niemiły sposób, jeśli w ogóle bywają inne. Prawdziwy auto-mord. Pięćdziesiąt aspiryn zapitych połową butelki wybielacza.

- A dlaczego w ogóle to zrobiła?! - wykrzyknął ze zgrozą Jonathan.

- Apo dał jej złoty zegarek na osiemnaste urodziny. Wart dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów u Cartiera w Bal Harbour. Trudno

znaleźć gdzieś lepszy.

- Ale co złego w podarowaniu jej złotego zegarka?

- Nic poza tym, że dał jej taki sam na siedemnaste urodziny i zapomniał o tym. Podejrzewam, że dziewczyna chciała się poczuć odrzucona i ten zegarek był kroplą, która przepelniła czarę. - Nie zrobił pauzy. Nie podniósł głosu ani nie zmienił tonu. Chciał uciec od tej opowieści jak najszybciej: - Czy powiedziałeś „tak”? Nie słyszałem.

Ale ku udręce Burra Jonathan wołał zatrzymać się przy Apostole.

- A co on na to? - spytał.

- Apo? To, co robią wszyscy. Odrodził się. Znalazł Jezusa. Zalewał się łzami na przyjęciach. Podpisujemy czy dajemy sobie z tym spokój, Jonathanie? Nigdy nie przepadałem za długimi zalotami.

Znowu twarz chłopca, zielona, potem czerwona, gdy pęka i rozszerza się za każdym strzałem. Twarz Sophie, potłuczona po raz drugi, tuż przed śmiercią. Twarz matki, przechylona na bok, z nisko opadniętą szczęką, zanim nocna pielęgniarka zamknęła jej usta i obwiązała głowę kawałkiem gazy. Twarz Ropera nachylona zbyt blisko, gdy naruszył strefę komfortu Jonathana.

Lecz Burr też błądził myślami daleko. Wymyślał sobie, że za dużo powiedział Jonathanowi o Apostole. Kiedy wreszcie nauczę się trzymać swój głupi język za zębami? - zastanawiał się.

* * *

Byli w małym mieszkanku Jonathana przy Klosbachstrasse, pili szkocką z wodą Henniez, lecz drink żadnemu z nich nie służył. Jonathan siedział w jedynym fotelu, podczas gdy Burr wałęsał się po pokoju, szukając punktu zaczepienia. Obmacał sprzęt wspinaczkowy i dokładnie zlustrował parę ostrożnych akwarel Oberlandu Berneńskiego pędzla gospodarza. Teraz stał w alkowie i książka po książce oglądał biblioteczkę. Był zmęczony, zaczynał tracić cierpliwość, zarówno do siebie, jak i do Jonathana.

- A więc czytasz Hardy'ego - zauważył. - O czym to?

- Chyba o emigrancie z Anglii. Mój ukłon pod adresem nostalgii.

- Nostalgia? U Hardy'ego? Pieprzysz. Człowiek to mysz, a Bóg obojętny drań, tak to widzi Hardy. Co my tu mamy? Samego pułkownika T.E. Lawrence'a z Arabii. - Podniósł cienki tomik w żółtej obwolucie, pomachał nim jak zdobytą flagą. - Samotny geniusz, który chciał być tylko numerem. Zapomniany przez swój kraj. Wreszcie dochodzimy do jądra zagadki. Napisane po jego śmierci przez zakochaną w nim damę. No cóż, to bohater w twoim typie. Przy tej całej

abstynencji, niepowodzeniu, donosicielstwie jest niefałszowany. Nic dziwnego, że przyjąłeś posadę w Egipcie. - Spojrzał na kartkę przed stroną tytułową. - Czyje to inicjały? Nie twoje. - Nie dokończył tych słów, a już wiedział.

- Prawdę mówiąc, ojca. To była jego książka. Odłóż ją, proszę.

Burr dosłyszał napięcie w głosie Jonathana i odwrócił się.

- Dobrałem ci się do skóry? Chyba tak. Nie przyszłoby mi do głowy, że sierzanci czytają. - Świadomie jątrzył ranę. - Myślałem, że tylko oficerowie sięgają po książki.

Jonathan zastąpił Burrowi drogę do alkowy. Twarz miał bladą jak ściana, ręce instynktownie gotowe do działania odchylił na boki.

- Odłóż ją, proszę, z powrotem na półkę. To przedmiot osobisty.

Nie spiesząc się, Burr odłożył książkę między jej towarzyszek.

- Powiedz nam coś - zaczął, informując o kolejnej zmianie tematu i spokojnie mijając Jonathana w drodze na środek pokoju. Wyglądało to tak, jakby poprzednia wymiana zdań w ogóle nie miała miejsca. - Czy w tym hotelu w ogóle przechodzi przez twoje ręce gotówka?

- Czasami.

- To znaczy...?

- Jeśli ktoś wyjeżdża późnym wieczorem i płaci gotówką, przyjmujemy ją. Między północą a piątą rano recepcja jest nieczynna, więc obowiązki recepcjonisty pełni kierownik nocnej zmiany.

- Czyli w takiej sytuacji przyjąłbyś pieniądze, prawda, i schował do sejfów?

Jonathan zasiadł w fotelu i złożył ręce za głową.

- Niewykluczone.

- Założmy, że byś je ukradł. Kiedy by to zauważono?

- Pod koniec miesiąca.

- Ośmielę się zasugerować, że zawsze mógłbyś włożyć je z powrotem w dniu rozliczania i potem znów wyjąć - rzekł zamyślony Burr.

- Meister jest bardzo czujny. Szwajcar z krwi i kości.

- Rozumiesz, wymyślam dla ciebie legendę.

- Wiem, o co ci chodzi.

- Nie, nie wiesz. Chcę, żebyś zjrzał Roperowi do głowy, Jonathanie. Chcę, żebyś go do mnie przyprowadził. Wierzę, że cię na to stać. W innym razie nigdy go nie przygwożdżę. Może jest w rozpaczliwej sytuacji, ale nigdy nie opuści gardy. Mogę go nafaszerować mikrofonami po same gardło, rozpiąć nad nim parasol z satelitów, czytać jego pocztę i podsłuchiwać telefony. Mogę go

obwąchiwać i oglądać. Mogę załatwić Corkoranowi pięćset lat paki, ale nie mogę tknąć Ropera. Masz jeszcze przed sobą cztery dni przed powrotem do Meistra. Chcę, żebyś rano poleciał ze mną do Londynu, spotkał się z moim przyjacielem Rookiem i dowiedział się, jak wygląda umowa. Chcę, żebyś zmienił swoje życie od początku i przed końcem nauczył się miłości do samego siebie.

Rzucił na łóżko bilet lotniczy, podszedł do mansardowego okna, rozsunął zasłony. Zmierzchało. Śnieg zgęstniał. Ciemne niebo wisiało nisko.

- Nie potrzebujesz czasu na zastanowienie. Od chwili, w której machnąłeś ręką na wojsko i swój kraj, nie miałeś nic innego do roboty poza myśleniem. Można znaleźć powody, żeby powiedzieć „nie”, tak samo jak można znaleźć powody, żeby wykopać głęboką kryjówkę i żyć w niej przez resztę swoich dni.

- Jak długo to potrwa?

- Nie wiem. Jeśli nie chcesz się do tego wziąć, już tydzień jest długo. Chcesz jeszcze jednego kazania?

- Nie.

- Chcesz zadzwonić do mnie za parę godzin?

- Nie.

- Więc dokąd zaszedłeś?

Donikąd - pomyślał Jonathan, otwierając bilet i czytając datę odlotu. Nie ma czegoś takiego jak decyzja. Nigdy nie było. Jest coś takiego jak zły dzień, dobry dzień, jak marsz przed siebie, bo za sobą nie masz nic, i jest coś takiego jak bieg, bo jeśli postoisz jeszcze chwilę nieruchomo, upadniesz. Jest ruch i jest stagnacja, jest przeszłość, która daje ci napęd, i jest pułkowy kapelan, który naucza, że tylko posłuszni są wolni, i są kobiety, które mówią, że jesteś bez serca, ale nie mogą bez ciebie żyć. Jest cela więzienna, która nazywa się Anglia, jest Sophie, którą zdradziłem, jest irlandzki chłopak bez broni, który nie przestaje na mnie patrzeć, kiedy rozbijam mu pociskami twarz, i jest dziewczyna, z którą ledwo zamieniłem dwa słowa, która podaje w paszporcie „wołyżerka” i która tydzień temu doprowadziła mnie do takiej irytacji, że wciąż jestem na nią wściekły. Jest bohater, któremu nigdy nie dorównam i na którego musiano włożyć mundur, aby móc go pochować. I jest spocony Szczurołap z Yorkshire szepczący mi do ucha, bym wyruszył i zrobił to wszystko raz jeszcze.

Rex Goodhew był w wojowniczym nastroju. Poranek spędził na udanym przekonywaniu swojego pana do sprawy Burra, a resztę

przedpołudnia - prowadząc w Whitehall seminarium poświęcone nadużywaniu klauzuli tajności, zakończone rozkoszną wymianą ognia z młodym pierdołą z Domu za Rzeką, ledwo dojrzałym, by skłamać po raz pierwszy. Teraz w Carlton Gardens była pora lunchu, niskie słońce opromieniało białe fasady, a od ukochanego Athenaeum działa Goodhew krótka przechadzka.

- Twój facet, Leonard Burr, nieco nadstawia karku, Rex - powiedział z niespokojnym uśmiechem Stanley Padstow z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, doganiając Goodhew. - Szczerze mówiąc, nie za bardzo się orientuję, w co nas pakujesz.

- O rany, rany - rzekł Goodhew. - Bidulka Stanley. A dokładnie o jakie nadstawianie karku ci chodzi?

Padstow był w Oksfordzie wtedy co Goodhew, ale ten ostatni zapamiętał z tamtych czasów tylko tyle, że Padstow zawsze uderzał do co pospolitszych dziewcząt.

- Och, nic wielkiego - odparł Padstow, siłąc się na niedbałość. - Korzysta z moich pracowników, żeby wyprać swoje zamówienia na akta. Namawia rejestratorkę, żeby w jego interesie kłamała w żywe oczy. Zabiera najwyższych funkcjonariuszy policji na trzygodzinne lunche do dobrej knajpy. Prosi nas, żebyśmy poświadczyli za niego, kiedy oni zapierają się rękami i nogami. - Przez cały czas zerkał na Goodhew, ale nie zdołał zajrzeć mu w oczy. - Ale wszystko gra, prawda? Chodzi tylko o to, że z tymi facetami nigdy nic nie wiadomo. A może wiadomo?

Odpowiedź padła dopiero po dłuższej chwili. Wychodzili z zasięgu słuchu gromadki zakonnice.

- Nie, Stanley, nie wiadomo - odrzekł Goodhew. - Ale przecież posłałem ci szczegółowe pisemne wyjaśnienie, ściśle tajne, wyłącznie do twojej wiadomości.

Padstow mężnie usiłował zdobyć się na nonszalancki ton.

- I diabelskie rozróbki w West Country. Znaczy się, to też zostanie wyjaśnione, prawda? Tylko że twój list nie wyjaśnia wszystkiego do końca.

Dotarli do schodów Athenaeum.

- Według mnie wszystko było jasne jak słońce, Stanley - powiedział Goodhew. - O ile pamiętam, akapit trzeci mojego listu wyjaśnia rozróbki w West Country co do najdrobniejszego szczegółu.

- Morderstwo niewykluczone? - spytał natrętnym szeptem Padstow, gdy wchodzili do środka.

- Och, nie sądzę. Dopóki wszyscy będą zdrowi i cali, nie ma o tym mowy. - Goodhew zmienił ton. - To zostaje między nami,

prawda? Ani mru-mru chłopakom z Domu za Rzeką, nic nikomu oprócz Leonarda Burra i mnie, jeśli coś cię będzie trapić. Dasz sobie radę, prawda, Stanley? To nie będzie za duże obciążenie?

Jedli przy osobnych stolikach. Goodhew uraczył się plackiem wołowo-cynaderkowym oraz kieliszkiem bordo. Ale Padstow jadł bardzo szybko, jakby każdym kęsem odliczał czas.

7

W zimny, posępny piątek Jonathan przybył do sklepiku i agencji pocztowej pani Trethewey. Przedstawił się nazwiskiem Linden, które wymyślił sobie na prośbę Burra. Nigdy w życiu nie znał żadnego Lindena, chyba że podświadomie zapamiętał coś, co jego niemiecka matka nuciła lub recytowała na swym, zdawałoby się, wieczystym łożu śmierci. Dzień był pochmurny i wilgotny, jak wieczór ciągnący się od śniadania. Wioska leżała kilka kilometrów od przylądka Land's End. Tarnina na granitowym murze pani Trethewey przygarbiła się od południowo-zachodnich sztormów. Naklejki na zderzakach samochodów na kościelnym parkingu radziły obcym wynosić się.

Potajemny powrót do własnego kraju, gdy się go wcześniej porzuciło, ma coś wspólnego z kradzieżą. Kradzieżą jest używanie nowiutkiego nazwiska i nowej wersji samego siebie. Zastanawiasz się, komu ukradłeś ubranie, czyj cień rzucasz, czy byłeś tu wcześniej w innej skórze. Po sześćioletnim wygnaniu twojego nieokreślonego „ja” pierwszy dzień w nowej roli jest jakiś niezwykły. Trochę tej świeżości może było widać w oczach Jonathana, gdyż pani Trethewey zawsze potem utrzymywała, że zauważyła w nich jakąś buńczuczność, coś, co nazywała iskrą. A pani Trethewey nie ma ciągotek do romansowych skojarzeń. Jest mądrą kobietą, wysoką i majestatyczną, zupełnie nieprzypominającą wiejskiej baby. Czasami powie coś takiego, że aż się człowiek zastanawia, dokąd by zaszła, gdyby zakosztowała edukacji dostępnej dziś dla każdego albo gdyby jej mąż miał trochę więcej pod sufitem, niż to było udziałem biednego kochanego Toma, który padł rażony udarem w Penzance w ostatnie święta Bożego Narodzenia, po tym jak ździebełko przesadził z dobroczynnością w Masonie Hall.

- Jack Linden, ten to miał przenikliwy wzrok - mówiła w sposób typowy dla Kornwalijczyków, z moralizatorską nutką. - Oczywiście miał całkiem miluchne, jak się w nie spojrzało pierwszy raz, wesolutkie,

powiedziałabym. Ale zmierzyły cię całą od stop do głów i z lewa na prawo, i to nie tak, jak sobie pewnie wyobrażasz, Marilyn. Za jednym zamachem widziały cię całą i w kawałeczkach. Można by pomyśleć, że coś ukradł, nim w ogóle się pokazał w moim sklepie. No i ukradł. Teraz już wiadomo. Tak jak to często bywa, że wiadomo coś, czego wcześniej nie było wiadomo.

Było dwadzieścia po piątej, dziesięć minut do zamknięcia, i liczyła utarg na elektronicznej kasie przed obejrzeniem w telewizji *Sąsiadów* razem z Marilyn, swoją córką, która na piętrze zajmowała się malutką. Usłyszała jego wielki motocykl - „jeden z tych istnych wyjców” - zobaczyła, jak stawia go na nóżce, zdejmując kask i przygląda swoje ładne włosy, chociaż wcale nie było potrzeby. Pomyślała, że raczej otrząsa z siebie znużenie po podróży. I wydało się jej, że zobaczyła u niego uśmiech. Mrówczysko, i to do tego wesołe - pomyślała. W zachodniej Kornwalii „mrówczysko” oznacza obcego, a obcym jest każdy, kto przybywa ze wschodniej strony rzeki Tamar.

„Ale ten to mógł sobie być i mrówczyskiem z księżycą. Już się szykowałam odwrócić tabliczkę na drzwiach - mówi pani Trethewey - ale wstrzymała mnie ta jego uroda. I buty, bo musiał dbać o nie tak samo jak Tom; lśniły jak kasztany i starannie wytarł je na wycieraczkę przy drzwiach. Kto by się spodziewał takiego obejścia u motocyklisty”.

Więc dalej liczyła utarg, a on bez koszyka łąził między półkami, wszystkie chłopcy są takie same, obojętnie czy Paul Newman, czy byle łapserdak; wpadają po paczkę nożyków, a na końcu rąk im nie starcza do trzymania zakupów, żaden nie weźmie koszyka. I cichutko chodził, prawie bez szelestu, tak lekko. A nie sposób powiedzieć, że generalnie motocykliści są cisi.

- Pewnieś z głębi kraju, co, gołąbeczku? - zagała.

- O, tak, niestety.

- Nie ma potrzeby żałować, kochasiu. Sporo miłych ludzi żyje w głębi kraju, a tu żyje sporo takich, którzy dobrze by zrobili, gdyby się wynieśli w głąb kraju.

Brak odpowiedzi. Za bardzo zajął się herbatnikami. Ręce miał - zauważyła teraz, kiedy zdjął rękawice - doskonale utrzymane. Zawsze jej się podobały zadbane ręce.

- No to skądżeś? Z jakiegoś miłego zakątka, mam nadzieję.

- Tak naprawdę to znikąd - wyznał zuchwale że hej, biorąc dwie paczki razowych herbatników i zwyczajne krakersy. Tak czytał etykiety, jakby widział te krakersy i herbatniki pierwszy raz w życiu.

- Nie możesz być z Naprawdę Znikąd, mój rudziku - odparła surowo pani Trethewey, wędrując za nim wzrokiem wzdłuż półek. -

Możesz nie z Kornwalii, ale z nieba toś nie spadł. Skądżeś więc?

Lecz choć rozsądek kazał mieszkańcom wioski prężyć się na bacność, gdy w głosie pani Trethewey zadźwięczała sroga nuta, Jonathan tylko się uśmiechnął.

- Mieszkalem za granicą - wyjaśnił, jakby jej ustępował. - Jestem tułaczem, który powrócił.

„I jego głos taki sam jak ręce i buty - wspomina ona. - Gładki jak szkło”.

- A z jakiej konkretnie zagranicy, mój ptaszku? - pytała. - Jest więcej niż jedna zagranica, nawet tutaj to wiemy. Tacy prymitywni to nie jesteśmy, chociaż wielu sobie tak myśli.

„Ale nie mogłam się do niego dostać - mówi. - Stał sobie spokojnie, brał herbatę, tuńczyka, ciasteczka owsiane, brew ani mu drgnęła, jak kuglarzowi, i zachowywał się tak, że co zadałam pytanie, to czułam się niezręcznie, jakbym była bezczelna”.

- Cóż, to ja kupiłem tę chatę w Lanyon, wie pani - powiedział.

- To znaczy, że masz zupełnie pokręcone w głowie, kochaneczku - odetchnęła trochę Ruth Trethewey. - Nikt, kto nie ma zupełnie pokręcone w głowie, nie chciałby mieszkać w Lanyon, siedzieć cały dzień na skale.

„I ta jego nieobecność - powiada pani Trethewey. - No, oczywiście był żeglarzem, teraz to wiadomo, chociaż zrobił z tego zły użytek. Ten przyklejony uśmiech, kiedy przyglądał się owocom w puszcze, jakby uczył się napisów na pamięć. Nieuchwytny, ot, jaki był. Jak mydło w wannie. Myślisz, że je już masz, a wysmykuje ci się z palców. Coś w nim było, tyle tylko mogę powiedzieć”.

- No, ale jakieś nazwisko pewnie masz, skoroś zdecydował się wśród nas zamieszkać - powiedziała pani Trethewey z jakąś pełną wzburzenia rozpaczą. - A może zostawiłeś je za granicą, kiedyś wrócił do kraju?

- Linden - rzekł, wyjmując pieniądze. - Jack Linden.

Przez „i” i „e” - wyjaśnił. - Nie należy mylić z Lyndonem przez „y” i „o”.

Pamięta, jak starannie władowywał wszystko do sakw, część do jednej, część do drugiej, jakby rozmieszczał balast na łodzi. Potem uruchomił motor, podnosząc rękę na pożegnanie. Jesteś Linden na Lanyon - podsumowała, patrząc, jak dojeżdża do skrzyżowania i skręca płynnie w lewo. Znikąd.

- Miałam w sklepie jednego takiego pana Lindena-na-Lanyon przez „i” i „e” - powiedziała do Marilyn, gdy weszła na górę. - Motor ma większy niż koń.

- Pewnie żonaty - rzuciła Marilyn. Miała dziecko, ale nigdy nie wspomniała o ojcu małej.

I tym właśnie stał się Jonathan od pierwszego dnia aż do rozejścia się wieści - Lindenem na Lanyon, kolejną wędrowną angielską duszyczką, która jakby samą siłą ciężenia opadała coraz dalej ku krańcowi półwyspu, usiłując uciec przed swoimi tajemnicami i samą sobą.

Reszta doniesień wiejskiego wywiadu została zebrana okruszek po okruszku tymi niemal nadnaturalnymi metodami, które są dumą każdej dobrej agencji informacyjnej.

O tym, że był bogaty. Co znaczyło, że płacił gotówką, i to niemal zanim zdążył coś kupić, nowymi piątkami i dziesiątkami wykładanymi jak karty do gry na pokrywę zamrażarki pani Trethewey - no, teraz wiadomo, skąd je miał, co? Nic dziwnego, że to była gotówka.

- Proszę, niech pani powie kiedy, pani Trethewey - mówił Jonathan, wykładając banknoty. Naprawdę wstrząsające, kiedy się pomyśli, że nie były jego. Ale jak to mówią: pieniądź nie śmierdzi.

- Ale to nie moja rzecz, panie Linden - protestowała pani Trethewey. - Sam pan decyduj. Mogę wziąć wszystko, co pan ma, i więcej. - Na wsi najlepsze żarty zawsze się powtarza.

O tym, że mówił wszystkimi zagranicznymi językami świata, a przynajmniej niemieckim. Bo kiedy Dorze Harris w Count House spadła na głowę chora niemiecka turystka, Jack Linden jakoś się o tym zwiędził i przyjechał do Count House, porozmawiał z nią w towarzystwie pani Harris siedzącej na łóżku dla przyzwoitości. „Potem został aż do przyjścia doktora Madderna i przetłumaczył mu objawy, niektóre bardzo intymne - mówiła Dora - ale Jack Linden znał wszystkie odpowiednie słowa. Doktor Maddern powiedział, że on musiał mieć wyjątkową wiedzę, skoro w ogóle znał takie słowa”.

O tym, że przechadzał się po klifowych ścieżkach wczesnymi porankami jak człowiek, który nie może spać; tak że Pete Hosken i jego bracia, wybierający o brzasku z morza drewniane kosze na homary przy Lanyon Head, widzieli go, jak przemierza skraj urwiska jak strażnik, najczęściej z plecakiem na ramionach; a co, do diabła, mógł wsadzić do plecaka o tej porze? Pewnie narkotyki. No i pewnie tak było. To też wiadomo.

O tym, że obchodził nadbrzeżne łąki wzdłuż i wszerz ze swoją motyką, jakby chciał ukarać ziemię, która go nosiła. Ten facet w każdej chwili mógł uczciwie zacząć zarabiać na życie. Mówił, że okopuje warzywa, ale wcale nie zagrzebał tu tak długo miejsca, żeby je zjeść.

O tym, że sam sobie gotował, „po zapachu czuć, że wyszukane potrawy” - mówiła Dora Harris, bo kiedy południowo-zachodni wiatr

był dosyć łaskawy, człowiekowi szła ślinka, choćby był kilometr dalej, Peterowi i jego braciom na morzu też.

O tym, że był słodki dla Marilyn Trethewey, a raczej ona dla niego - no cóż, Linden był słodki dla każdego, do pewnych granic, ale Marilyn nie uśmiechnęła się przez trzy zimy, dopóki Jack Linden nie dał jej ku temu powodu.

O tym, że przywoził starej Bessie Jago zakupy spożywcze od pani Trethewey dwa razy w tygodniu na swoim motocyklu - Bessie mieszka na zakręcie przy Lanyon Lane - składnie rozmieszczał wszystko na półkach, nie rzucał puszek i opakowań na stół, żeby później sama układała. I gawędził z nią o swojej chałupie, jak to rozrzedzoną zaprawą uszczelnia dach, dopasowuje nowe okna do futryn, kładzie nowy chodnik do frontowych drzwi.

Ale to wszystko, o czym mówił; ani słowa o sobie, o tym, gdzie żył, z czego żył, więc zupełnie przypadkiem dowiedzieli się, że ma udział w łodziach w Falmouth, w firmie o nazwie Morski Kuc, specjalizującej się w czarterowaniu i leasingu jachtów. „Ale to żadna szanująca się firma - powiedział Pete Pengelly - raczej melina szmuglerów i handlarzy narkotyków z głębi kraju”. Pete zauważył go pewnego dnia siedzącego na froncie, kiedy sam jechał mikrobusem po silnik do łodzi, naprawiany w mieszczącym się obok warsztacie szkutniczym Sparrowa. „Linden siedział ci przy stole - powiedział Pete - gadał z wielkim, tłustym, spoconym skurwielem z brodą, kręconymi włosami i złotym łańcuchem na szyi”. Facet wyglądał tak, jakby prowadził ten interes. Więc kiedy Pete zajechał do stoczni, z miejsca spytał starego Jasona Sparrowa: „Co jest grane z tym Morskim Kucem, którego masz obok, Jason? Wygląda, że został przejęty przez mafię”.

Jeden to Linden, drugi Harlow - powiedział Jason Pete'owi.

- Linden jest z głębi kraju, a Harlow to ten wielki, tłusty, brodaty skurwiol, Australijczyk. Ta dwójka kupiła ten interes za gotówkę i nie ruszyła w nim palcem, tylko pali papierosy i pływają jachtami po estuarium. Ale ten Harlow, ten tłuscioch, on nie rozróżnia własnej dupy od rumpla. Przeważnie się kłóca. Przynajmniej Harlow. Ryczy, cholera, jak byk. Ten drugi, Linden, tylko się uśmiecha. Tacy z nich wspólnicy - skończył z pogardą Jason.

Wtedy pierwszy raz usłyszano o człowieku nazwiskiem Harlow. Linden & Harlow, wspólnicy i wrogowie.

Tydzień później w porze lunchu Harlow zmaterializował się w Snugu. Większej beki tłuszczu nikt jeszcze nie widział - sto dwadzieścia albo i więcej kilogramów. Wparował z Jackiem Lindenem i siadł

od razu w kącie przy tarczy do strzałek, gdzie siada William Charles. Zajął całą ławkę, cholera, i zjadł trzy porcje ciasta. I tak przesiedzieli aż do popołudniowej przerwy, głowy schylili nad mapą, szeptali jak para cholernych piratów. No, wiadomo dlaczego. Knuli swoje.

A potem człowiek nawet się nie obejrzał i Jumbo Harlow nie żył. A Jack Linden znikł i nawet, cholera, nikomu nie powiedział do widzenia.

Znikł tak szybko, że większość poznała się z nim tylko w wyobraźni. Znikł tak starannie, że gdyby nie zawiesili wycinków prasowych na ścianie w Snugu, uwierzyliby, że nigdy nie pojawił się na ich drodze; że dolina Lanyon nigdy nie została odgradzona pomarańczową taśmą pilnowaną przez dwóch młodych gliniarzy z Camborne, którzy mieli same kudłate myśli; że wywiadowcy w cywilu w ogóle nie przemierzali całej wsi od pierwszego udoju do zmierzchu – „Obdzieliliby się skurwielami trzy samochody” - mawia Pete Pengelly. Nigdy tu nie zjeżdżali dziennikarze z Plymouth, a co dopiero z Londynu, niektórzy z nich to kobiety, inni śmiało mogli uchodzić za kobiety, i bombardowali wszystkich swoimi durnymi pytaniami, od Ruth Trethewey do samego Głupiego Jasia, któremu brak piątej klepki i który przez cały dzień oprowadza swojego wilczura, pies tak samo stuknięty jak Jasio, ale ma więcej zębów: „Więc jak on się ubierał, panie Jasiu? O czym mówił? Czy nigdy nie podniósł na pana ręki?”.

- Pierwszego dnia tożęśmy prawie, cholera, nie odróżniali gliniarzy od dziennikarzy - lubi wspominać Pete ku rozbawieniu całego Snuga. - Mówiło się dziennikarzom „panie władzo”, a glinom kazało się wypieprzać: drugiego dnia tośmy kazywali im wszystkim wypieprzać.

- On, cholera, wcale tego nie zrobił - burczy skurczony William Charles ze swojego miejsca obok tarczy. - Niczego mu nie udowodnili. Jak się nie znajdzie trupa, to nie ma, cholera, morderstwa. Takie jest prawo.

- Ale za to znaleźli krew, William - powiada młodszy brat Pete'a Pengelly'ego, Jacob, który miał celujący z trzech przedmiotów na maturze.

- Pieprzyć krew - powiada William Charles. - Kropla krwi jeszcze nigdy niczego nie dowiodła. Jakiś skurwiel z głębi kraju zatnie się przy goleniu, policja wpada i nazywa Jacka Lindena mordercą. Pieprzyć ich.

- No to czemu nawiał? Czemu dał dyla w środku nocy, jak ni-

kogo nie zabił?

- Pieprzyć ich - powtarza William Charles jak śliczne amen.

A czemu to zostawił biedną Marilyn, która wyglądała, jakby ją wąż użarł, przez cały dzień wypatrywała oczy za jego motorem, a nuż wróci? Ona tam nie opowiadała policji żadnych bzdur. Powiedziała, że nigdy o nim nie słyszała i pieprzyć to! No, ona byłaby do tego chętna.

Toczy się, toczy, przewala różnokolorowy strumień pomieszanych wspomnień; w domu, kiedy siedzą przed migocącymi telewizorami umęczeni po orce jak psy, w zasnute mgłą wieczory w Snugu, kiedy popijają trzecie piwo i wpatrują się w deski podłogi. Zapada zmierzch, napływa mgła i przylega do okiennych szyb jak para, powietrze ani drgnie. Wieczorna bryza zamiera, wrony milkną. Podczas krótkiej przechadzki do pubu wchłaniasz woń ciepłego mleka z mleczarni, prymusów, żarzącego się węgla, dymu fajkowego, kiszonki i wodorostów z Lanyon. Śmigłowiec tłucze powietrze w drodze do Scilly. Tankowiec buczy w morskiej mgle. Kościelne dzwony dźwięczą ci w uchu jak gong na ringu. Wszystko jest z osobna, wszystko jest oddzielnym zapachem, dźwiękiem albo cząstką pamięci. Buty chrzęszczą na ścieżce jak skręcany kark.

- Powiem wam jedną rzecz, chłopaki - wyskakuje Pete Pengelly, jakby wtrącał się do zazartej kłótni, chociaż nikt nie powiedział słowa przez kilka minut. - Jack Linden musiał mieć jakiś sakramencko dobry powód. Jack nigdy niczego nie robił bez powodu. Niech mnie diabli porwą, jeśli było inaczej.

- Poza tym był z niego żeglarz jak się patrzy - przyznaje młody Jacob, który, jak brat, łowi ryby z małych łódek w Porthgarra. - Wypłynął ze mną raz w jedną sobotę, no nie, Pete? Ani się, cholera, słowem odezwał. Powiedział, że zabierze rybę do domu. Zaproponowałem, że mu ją sprawię, no nie? „A, sam to zrobię” - on powiada. Obrął, cholera, rybkę do ości. Łuski, łeb, ogon, mięso. Sprawił ją lepiej niż foka.

- No, jak było z żeglowaniem? Z Wysp Normandzkich do Falmouth w pojedynkę, i to w sztormie jak cholera?

- Australijski skurwiel dostał to, na co zasłużył - odzywa się głos z kąta. - Cham był z niego, Jackowi do pięt nie dorastał. Widziałeś jego ręce, Pete? Dobry Boże, wielkie jak dynie.

Trzeba Ruth Trethewey, żeby pojawił się nurt filozoficznej zadumy, chociaż Ruth nigdy nie wspomni o niczym, co by się wiązało z Marilyn, i zamyka gębę każdemu, kto by próbował tego w jej towarzystwie.

- Każdy chłop ma swojego diabła, który czeka tam gdzieś na niego - oświadcza Ruth, która od śmierci męża od czasu do czasu szydzi z męskiej płci dominującej w Snugu. - Nie ma tu chłopca, który by się nie targnął na ludzkie życie, jakby go licho podkusiło. Niechby to i był książę Karol, wszystko jedno. Jack Linden był zbyt uprzejmy, żeby mu to wyszło na zdrowie. Wszystko, co dusił w sobie, wyszło za jednym zamachem.

- Niech cię szlag, Jacku Linden - nagle wyrывa się Pete'owi Pengelly'emu, zacerwienionemu od piwa, gdy tak siedzą w pełnej szacunku ciszy, którą zawsze wywołują refleksje Ruth. - Gdybyś wszedł tu dziś, bracie, postawiłbym ci, cholera, piwo, i dał, cholera, grabę, tak jak tamtego wieczoru.

I następnego dnia Jack Linden pójdzie w zapomnienie, być może na całe tygodnie. Jego zadziwiająca morska podróż idzie w zapomnienie, podobnie tajemnica dwóch mężczyzn w roverze, o których powiada się, że składali mu wizytę w Lanyon w noc poprzedzającą zniknięcie - i kilka razy uprzednio, zdaniem tego czy owego, co to powinien wiedzieć.

A jednak wycinki prasowe wiszą na ścianie w Snugu, niebieskie stromizny doliny Lanyon nadal łkają i dymią w złą pogodę, która zawsze wydaje się tam panować, żarnowce i żonkile nadal ciasno kwitną nad brzegami rzeczki Lanyon, którą dzisiejszymi czasy rosły mężczyzna pokonuje jednym susem. Pociemniała ścieżka wije się do przysadzistej chałupy, która była domem Jacka Lindena. Rybacy nadal szerokim łukiem omijają Lanyon Head, przy której brązowe skały czyhają jak krokodyły na płyciźnie, a prądy potrafią ściągnąć cię w głębinę w najspokojniejsze dni, tak że co roku jakiś durny śmiałek z głębi kraju, z dziewczyną i gumowym pontonem, nurkując w poszukiwaniu skarbów, zejdzie pod wodę po raz ostatni albo musi wezwać na pomoc śmigłowca z Culdrose, żeby go odholował.

We wsi powiadają, że w Lanyon Bay pływało już sporo topielców na długo przedtem, zanim Jack Linden dorzucił im swojego brodatego Australijczyka do kompanii.

A Jonathan?

Jack Linden był dla niego taką samą tajemnicą jak dla wioski. Siąpiła brudna mżawka, gdy kopnięciem otworzył frontowe drzwi chaty i cisnął sakwy na nagie deski. Przejechał pięćset pięćdziesiąt kilometrów w pięć godzin. Niemniej gdy ciężkim krokiem przemierzał w wysokich butach jeden zapuszczony nagi pokój po drugim i spozierał przez wybite okna na apokaliptyczny krajobraz, uśmiechał

się do siebie jak człowiek, który znalazł pałac swoich marzeń.

Początek drogi mam za sobą - pomyślał. Drogi do pełni - wspominał przysięgę złożoną w piwnicy z winami Herr Meistra. Do znalezienia brakujących fragmentów mojego ja. Do spłacenia długu Sophie.

Szkolenie w Londynie należało do innej przegródki w jego głowie: gry pamięciowe, gry z aparatem fotograficznym, gry z łącznością, nieprzerwany strumyk metodycznych instrukcji Burra, bądź taki, nigdy siaki, bądź sobą, tylko jeszcze bardziej naturalny. Całe to planowanie fascynowało Jonathana. Rozsmakowywał się w ich pomysłowości i rozumowaniu.

- Liczymy, że Linden wystarczy na pierwszą rundę. - Słowa Burra przedarły się przez dym fajkowy Rooke'a, gdy trzech mężczyźni siedzieli razem w spartańsko urządzonej domu w Lisson Grove. - A potem znajdziemy ci kogoś innego, kim mógłbyś być. Ciągłe masz na to ochotę?

Och, miał wielką ochotę! Kierowany świeżo rozbudzonym poczuciem obowiązku, radośnie uczestniczył w swoim nieuchronnym zniszczeniu, dodawał coś od siebie, gdy uważał, że to jest bliższe oryginałowi.

- Momencik, Leonardzie. Uciekam i policja mnie szuka, zgadza się? Mówicie: wal do Francji. Ale ja jestem facetem po Irlandii. Nigdy nie zbliżyłbym się do granicy, gdybym był trefny.

I wzięli to pod uwagę, i wpisali jeden piekielny dodatkowy tydzień przywarowania, i byli pod wrażeniem, i przyznali się do tego po cichu.

- Trzymaj go na krótkiej smyczy - doradził Burrowi Rooke, pełniąc rolę opiekuna wojskowego wcielenia Jonathana. - Żadnego pobłażania. Żadnych dodatkowych racji żywnościowych. Żadnych niepotrzebnych wysyłek na linię frontu, żeby go podkreślić. Jeśli nie wytrzyma, to im prędzej będziemy o tym wiedzieli, tym lepiej.

Ale Jonathan wytrzymał. W przeszłości też zawsze wytrzymał. Pozbawiany wszystkiego czuł się jak ryba w wodzie. Tęsknił za kobietą, za taką, której jeszcze nie spotkał, obdarzoną podobną misją, nie za frywolną woltyżerką z bogatym opiekunem - za kobietą, która miałaby ciężar gatunkowy Sophie, jej serce i skończony erotyzm. Zawracając podczas spacerów na klifach, pozwalał sobie na uśmiech. Z zachwytem zdawał sobie sprawę, że ten jeszcze niepoznany wzór kobiecej doskonałości będzie na niego czekał. „Och, cześć, Jonathanie, to ty”. Lecz zbyt często, gdy dokładniej badał jego rysy, dostrzegał dokuczliwe podobieństwo do Jed; wzór miał krnąbrne, cudowne

ciało Jed, jej łobuzerski uśmiech.

Marilyn Trethewey pierwszy raz złożyła wizytę Jonathanowi, przywożąc skrzynkę wody mineralnej, zbyt wielką, by zmieściła się na jego motocyklu. Dziewczyna była dobrze zbudowana, tak jak jej matka, miała ostro zarysowaną szczękę, włosy czarne jak krucze skrzydło, tego koloru co Sophie, rumiane policzki Kornwalijszczyków i twarde, wysokie piersi, bo liczyła sobie nie więcej niż dwadzieścia lat. Widząc ją zawsze samą - pchającą wózek na ulicach wioski lub stojącą z boku przy kasie w sklepie matki - Jonathan zastanawiał się, czy w ogóle go dostrzega, a nie jedynie zatrzymuje na nim spojrzenie, podczas gdy w myślach ogląda coś zupełnie innego.

Uparła się, że zanieśie skrzynkę do frontowych drzwi, a gdy chciał ją odebrać, dziewczyna odepchnęła go. Więc stał na własnym progu, podczas gdy ona weszła do domu, postawiła skrzynkę na kuchennym stole, a potem długim spojrzeniem omiotła pokój dzienny, zanim wyszła na dwór.

- Zapuść korzenie - doradzał Burr. - Kup szklarnię, sadź jarzyny, zawrzyj przyjaźnie do grobowej deski. Niech wiemy, że musisz się oderwać. Jeśli udałoby ci się znaleźć dziewczynę, która by schła z rozpaczą za tobą, tym lepiej. W idealnym układzie zrobiłbyś jej dziecko.

- Dziękuję uprzejmie.

Na ten ton Burr szybko zmierzył Jonathana spojrzeniem z ukosa.

- O co ci chodzi? Złożyliśmy ślub czystości, czy jak? Ta Sophie naprawdę zrobiła na tobie wrażenie, co?

Parę dni potem Marilyn zjawiła się znów, tym razem bez żadnej dostawy. I zamiast wiecznych džinsów i niechlujnej koszulki włożyła spódniczkę i zakiet, jakby miała spotkanie ze swoim adwokatem. Nacisnęła dzwonek, a gdy tylko Jonathan otworzył drzwi, powiedziała:

- No, to wpuścisz mnie, nie?

Więc cofnął się i wpuścił ją do środka, a ona zatrzymała się na środku, jakby sprawdzając, czy może mu zaufać. Zobaczył, że koronkowe mankiety bluzki drżą, i wiedział, że wejście już tak daleko sporo ją kosztowało.

- No, to podoba ci się tu, nie? - spytała go wyzywająco, jak to ona. - Sam jak palec? - Miała bystre oko matki i jej wrodzony spryt.

- Jest mi tu jak u Pana Boga za piecem - odparł Jonathan, kryjąc się za swoim głosem hotelarza.

- No, to co robisz? Telewizji cały dzień nie oglądasz. Nie masz telewizora.

- Czytam. Spaceruję. Robię interesy tu i tam. - A teraz już idź, pomyślał, uśmiechając się do niej z wysiłkiem i unosząc brwi.

- O, malujesz, tak? - Przebierała w pędzlach, sprawdzała sprężystość włosia, kształt. - Byłam dobra z plastyki. Dostawałam nagrody, wiesz?

- No, to czemu już nie malujesz? - spytał Jonathan.

Było to pytanie, ale ku zaniepokojeniu Jonathana odebrała je jako zaproszenie. Wylała dzbanek do zlewu, napełniła go świeżą wodą, siadła przy stole, wzięła czysty bristol i założywszy włosy za uszy, wzięła się do pracy, zapominając o bożym świecie. I mając przed oczyma jej długie plecy, czarne proste włosy i rozświetlony słońcem czubek głowy, widział Sophie, swojego anioła oskarżyciela przybyłego z wizytą.

Przez chwilę oczekiwał z nadzieją, że podobieństwo zniknie, ale nie znikło, więc wyszedł na dwór i do zmroku przekopywał ziemię w ogródku. Gdy wrócił, okazało się, że ona ściera stół, tak jak ją nauczono w szkole. Potem oparła niedokończony obraz o ścianę. Zamiast morza, nieba czy klifów pokazywał ciemnowłosą roześmianą dziewczynę - na przykład Sophie w dzieciństwie, Sophie na długo przedtem, nim wyszła za męża dla paszportu za swojego idealnego angielskiego dżentelmena.

- To mam przyjść jutro znowu? - spytała po swojemu, ostro, agresywnie.

- Naturalnie. Jeśli masz ochotę. Dlaczego nie? - powiedział hotelarz, zapisując w pamięci, że ma pojechać do Falmouth. - Jeśli będę musiał wyjść, zostawię otwarte drzwi.

A gdy wrócił z Falmouth, zastał ukończony portret dziewczyny i oschły list informujący, że to dla niego. Potem zjawiała się prawie w każde popołudnie, a na koniec malowania siadała naprzeciwko Jonathana w fotelu przy kominku i czytała jego „Guardiana”.

- Niezły bałagan na świecie, prawda, Jack? - zagajała, szeleszcząc gazetą. I słyszał jej śmiech, który ludzie na wsi również zaczęli słyszeć. - Zupełny chlew, Jacku Linden. Słowo daję.

- No, wierzę ci - zapewnił ją, dokładając starań, by za długo nie odpowiadać uśmiechem na uśmiech. - Absolutnie, Marilyn.

Ale coraz bardziej pragnął, aby sobie poszła. Jej bezbronność, a także poczucie dzielącego ich dystansu budziły w nim lęk.

Nigdy w życiu - zapewnił w myślach Sophie. Przysięgam.

Tylko od czasu do czasu, wczesnym rankiem, bo wtedy budził się najczęściej, operacyjnej gotowości Jonathana groziła rozsyпка i przez czarną godzinę stawał się zabawką w rękach przeszłości, która sięgała znacznie głębiej niż do zdradzenia Sophie. Pamiętał szorstkość munduru na dziecięcym ciele i kołnierzyk koszuli pijący w szyję. Widział siebie śpiącego na baczność na żelaznej pryczy w koszarach, czekającego na pobudkę, i dyszkant pierwszych rozkazów dnia: „Nie stój jak cholerny lokaj, Pine, ramiona w tył, bracie! Bardziej!!! Bardziej!”. Powtórnie przeżywał wszystkie lęki: przed wyśmianiem, gdy przegrywał, i przed zazdrością, gdy wygrywał; przed placem apelowym, boiskiem i ringiem bokserskim; przed przyłapaniem, gdy kradł coś, aby dodać sobie otuchy - scyzoryk, fotografie rodziców kolegów; lęk z tego powodu, że był niezdarą, co oznaczało nieumiejętność przypodobania się; z tego powodu, że się spóźniał lub był przedwcześnie, że był zbyt czysty, nie dość czysty, za głośny, za spokojny, za posłuszny, za zuchwały.

Pamiętał, jak uczył się odwagi - przeciwieństwa tchórzostwa. Pamiętał dzień, w którym oddał cios za cios, i dzień, w którym uderzył pierwszy, pamiętał naukę przechodzenia od słabości do krzepy. Pamiętał swoje pierwsze kobiety, takie same jak późniejsze, każda bardziej rozczarowująca niż poprzednia, gdy usiłował nadać im boski status tej, której nigdy nie miał.

O Roperze myślał bezustannie - wystarczyło tylko wyjąć go z kieszeni pamięci, by znaleźć sens i kierunek działania. Nie potrafił słuchać radia ani czytać gazety, nie wyczuwając ukrytej ręki Ropera w każdym konflikcie zbrojnym. Jeśli czytał o masakrze kobiet i dzieci w Timorze Wschodnim, to karabiny Ropera dokonywały zbrodni. Jeśli samochód pułapka eksplodował w Bejrucie, to Roper dostarczył materiały wybuchowe, a zapewne i samochód: „Naoglądałem się już, dzięki”.

Ludzie Ropera też byli obiektem jego wzgardliwej fascynacji. Myślał o majorze Corkoranie alias Corky, alias Corks, w zatłuszczonym szaliku i obrzydliwych zamszakach; Corkym - sygnatariuszu, Corkym, który mógł dostać pięćset lat paki, kiedy tylko Burr sobie zażyczył.

Myślał o Friskym i Tabby'm i mgławicowej konstelacji domowników; o Sandym, lordzie Longbourne, i jego złotych włosach związanych na karku, o doktorze Apostole i jego wkładkach do butów, i córce, która zabiła się z powodu zegarka od Cartiera, o MacArthurze i Danby'm, nienagannie ubranych bliźniakach reprezentujących niemal uczciwą stronę przedsięwzięcia. Aż całość świty Ropera stała się

rodzajem koszmarnego dworu, a Jed pierwszą damą na Tower.

- Ile ona wie o jego interesach? - spytał raz Burra Jonathan. Ten wzruszył ramionami.

- Roper się nie przechwala i nie miele językiem. Każdy wie tylko tyle co trzeba. Nasz Dicky nie z tych, co gadają po próżnicy.

Wykolejeniec z klasy wyższej - pomyślał Jonathan. Edukacja w szkole klasztornej. Odrzucenie wiary. Dzieciństwo pod kluczem jak moje.

Jedynym powiernikiem Jonathana był Harlow, ale wzajemne zaufanie pracowników operacyjnych ma swoje granice. „Harlow to statysta - ostrzegł Jonathana podczas nocnej wizyty w Lanyon Rooke. - Jest tu tylko po to, żebyś go zabił. Nie zna celu i nie musi znać. Tak trzymaj.”

Niemniej na tym etapie podróży morderca i jego ofiara byli sprzymierzeńcami i Jonathan usiłował się zaprzyjaźnić.

- Jesteś żonaty, Jumbo?

Siedzieli przy wyszorowanym sosnowym stole w kuchni Jonathana po powrocie z ostentacyjnego wypadu do Snuga. Jumbo pokręcił z zalem głową i upił łyk piwa. Była z niego nieśmiała duszyczka, jak to często bywa z wielkimi mężczyznami, aktor lub wyszkolony śpiewak operowy o wielkiej klatce piersiowej. Jonathan podejrzewał, że jego czarna broda urosła w ekspresowym tempie dla potrzeb tej roli i z ulgą zostanie usunięta po opadnięciu kurtyny. Czy Jumbo był autentycznym Australijczykiem? To bez znaczenia. Wszędzie był na obczyźnie.

- Oczekuję wystawnego pogrzebu, panie Linden - rzekł z powagą Jumbo. - Kare konie, błyszczący karawan i dziewięcioletni katamita w cylindrze. Pańskie zdrowie.

- Nawzajem, Jumbo.

Po wysuszeniu szóstej puszki Jumbo wcisnął na głowę dzinsową czapkę i ciężko poczłapał do drzwi. Jonathan patrzył, jak jego przechylony land rover niezgrabnie toczy się w górę krętą dróżką.

- Kto to był, na Boga? - spytała Marilyn, zjawiając się z parą świeżych makreli.

- Och, to tylko mój współnik w interesach - odparł Jonathan.

- Mnie bardziej wyglądał na Godzillę.

Chciała usmażyć ryby, ale pokazał jej, jak się je piecze w aluminiowej folii ze świeżym koprem i przyprawami. Raz zebrała się na odwagę i założyła mu fartuch, i poczuł jej grube czarne włosy ocierające się o jego policzek, i czekał na zapach wanilii. Trzymaj się ode mnie z daleka. Ja zdradzam. Ja zabijam. Wracaj do domu.

Pewnego popołudnia Jonathan i Jumbo polecili samolotem z Plymouth na Jersey i w małym porcie St. Helier demonstracyjnie obejrzeni siedmiometrowy jacht cumujący w głębi portu. Ich podróż, tak jak wspólny wypad do Snuga, była zrobiona na pokaz. Wieczorem Jumbo odleciał z powrotem sam.

Jacht, który oglądali, nazywał się „Ariadna” i zgodnie z dziennikiem pokładowym przyplłynął z Roscoff przed dwoma tygodniami, prowadzony przez Francuza nazwiskiem Lebray. Przed Roscoff był w Biarritz, a poprzednio na otwartym morzu. Jonathan spędził dwa dni na doprowadzaniu jednostki do porządku, zaopatrzeniu i studiowaniu map. Trzeciego dnia wyprowadził jacht na morze, żeby zobaczyć, jak się sprawuje, i sam określał w rumbach kierunki, bo zarówno na morzu, jak i na lądzie ufał tylko sobie. O brzasku czwartego dnia postawił żagle. Zapowiedzi meteo były korzystne i przez piętnaście godzin miło żeglował przy prędkości czterech węzłów, pokonując dystans do Falmouth na skrzydłach południowo-zachodniego. Ale pod wieczór zjawily się szkwały, a o północy osiągnęły w porywach szóstkę lub siódmkę, wzniesając wielkie fale denne rzucające „Ariadną”. Jonathan zrefował żagle i uciekł przed sztormem pod osłonę Plymouth. Kiedy mijał latarnię Eddystone, wiatr zmienił kierunek na zachodni i przycichł, więc Jonathan kolejny raz obrał kurs na Falmouth i płynął na zachód krótkimi halsami pod osłoną wybrzeża, unikając silnego wiatru. Zanim dotarł do portu, żeglował dwie noce w trudnych warunkach. Czasem ryk wichury go ogłuszał. Czasem nie słyszał niczego i zastanawiał się, czy umarł. Gdy płynął ostro na wiatr, rozkołysane morze ciskało nim jak piłką, mięśnie mało mu nie trzaśły, a od samotności dudniło mu w głowie. Ale z całego rejsu nie zapamiętał niczego, żadnej myśli. Przynajmniej poza chęcią przetrwania. Sophie miała rację. Ma przed sobą przyszłość.

- No, to byłeś w jakimś miłym miejscu? - spytała go Marilyn, wpatrując się w ogień. Nie miała na sobie swetra. Była ubrana w bluzeczkę bez rękawów zapinaną z tyłu.

- Ot, taka podróż w głąb kraju.

Uświadomił sobie w popłochu, że czekała na niego przez cały dzień. Kolejny obraz, bardzo przypominający pierwszy, stał na kominku. Przyniosła owoce. We flakonie pojawiły się frezje.

- No cóż, dziękuję - powiedział uprzejmie. - Kapitalnie się postarałaś. Dzięki.

- To jak, chcesz mnie, Jacku Linden?

Uniosła ręce i rozpięła pierwsze dwa guziczki bluzki. Zrobiła krok ku niemu, uśmiechnęła się. Zaczęła łkać i nie wiedział, co począć.

Objął ją ramieniem, zaprowadził do furgonetki i zostawił tam łkającą, aż uspokoiła się na tyle, że mogła pojechać do domu.

Tej nocy Jonathan niemal metafizycznie odczuł swoją nieczystość. W krańcowym osamotnieniu doszedł do wniosku, że udawane morderstwo, które ma niedługo popełnić, to realny wyraz prawdziwych morderstw już popełnionych w Irlandii i morderstwa na Sophie, za które jest odpowiedzialny, i czekająca go ciężka próba to tylko przedsmak dożywotniej pokuty.

Przez te dni, które mu pozostały, jego serce, owładnięte głębokim uwielbieniem Lanyon, radowało się każdym nowym przykładem doskonałości nadmorskiej skały: oto morskie ptactwo zawsze znajdujące właściwe miejsca na lądowiska, jastrzębie szybujące z wiatrem, zachodzące słońce roztopione już w czarnej chmurze, flotylle łódek skupione wokół ławic w głębinach, podczas gdy mewy w górze zbijają się we własne ławice. A gdy zapadał zmrok, znów pojawiały się kutry, miniaturowe miasto wyrastało pośrodku morza. Z każdą przybliżającą koniec godziną to gorące pragnienie wtopienia się w krajobraz - ukryć się w nim, zakopać się w nim - stawało się prawie nie do zniesienia.

Rozpętał się sztorm. Zapaliwszy świeczkę w kuchni, Jonathan sięgał wzrokiem za okno, w nocny zamęt, podczas gdy wiatr targał skrzypiącymi okiennicami, a dachówki grzechotały jak uzi. Wczesnym rankiem, z ustaniem sztormu, wybrał się na włóczęgę po pobojowisku zeszłej nocy; i wtem, jak Lawrence z Arabii, dosiadł z gołą głową motocykla, pojechał do jednego ze starych fortów na wzgórzach i tak długo badał wzrokiem linię wybrzeża, aż ustalił punkt orientacyjny wskazujący Lanyon. To jest mój dom. Skała mnie przyjęła. Zamieszkać tu na zawsze. Będę czysty.

Ale te śluby były na próżno. Jonathan żołnierz już pucował buty na długi marsz ku najgorszemu człowiekowi świata.

Właśnie w ostatnich dniach pobytu Jonathana w chacie Pete Pengelly i jego brat Jacob popełnili ten błąd i wybrali się pokusować na lampę w Lanyon.

Pete relacjonuje tę opowieść ostrożnie, a w towarzystwie przyjezdnych w ogóle trzyma gębę na kłódkę, bo jest w niej element spowiedzi i zabarwiona skruczą duma. Chodzenie z lampą na zajęce było w tych okolicach uświęconym sportem od z górą pięćdziesięciu

lat. Jak się miało dwa motocyklowe akumulatory w torbie na biodrach, stary reflektor samochodowy rzucający wąski strumień światła i kupę luźnych sześciowoltowych żarówek, można było zahipnotyzować cały synod zajęczy na tak długo, żeby wykończyć go kilkoma salwami. Żadne prawo i żaden batalion piskliwych panius w brązowych beretach i krótkich skarpetkach nie dały rady tego zatamować i Lanyon było ulubionym terenem polowań przez pokolenia - przynajmniej do tej pory, gdy czwórka chwatów wybrała się tam pewnej nocy ze strzelbami i lampami pod komendą Pete'a Pengelly'ego i Jacoba.

Zaparkowali przy Lanyon Rose, a potem poszli wzdłuż łożyska rzeki. Pete do dziś przysięga, że byli cisi jak same zające i nie świecili sobie, bo była pełnia. Dlatego wybrali tę noc. Ale gdy weszli na klif skuleni, by nie ujawnić się na linii horyzontu, pokazał się im Jack Linden. Stał od nich zaledwie o kilka kroków, z gołymi, lekko podniesionymi rękami. Potem Kenny Thomas wciąż gadał o tych rękach, ale to pod wpływem kolejnych wydarzeń. Ci, co pamiętają, wiedzą, że Jack Linden wcale nie miał wielkich rąk. Pete woli mówić o gębie Lindena, która, powiadał, na tle nieba odbijała się jak cholerny kawałek niebieskiego porfiru. Człowiek mógłby sobie na niej rękę złamać. Dalszy bieg wypadków nie wzbudza żadnych sporów.

- Wybaczcie mi, panowie, ale gdzież to się wybieracie, jeśli mogę spytać? - pyta Linden, jak zawsze z szacunkiem, ale bez uśmiechu.

- Kłusować na lampę - mówi Pete.

- Przykro mi, ale nikt nie będzie tu kłusował, Pete - powiada Linden, który Pete'a Pengelly'ego widział na oczy zaledwie parę razy, ale jak się zdaje, miał pamięć do imion że daj Boże. - To moje pola, sam wiesz. Nie uprawiam ich, ale są moje bez dwóch zdań i chcę tu spokoju. I spodziewam się, że inni też zostawią je w spokoju. Więc przykro mi, nie ma kłusowania.

- Nie ma, panie Linden? - pyta Pete Pengelly.

- Tak, nie ma, panie Pengelly. Nie pozwolę strzelać do bezradnej zwierzyny. To nie fair. Więc bez urazy, ale, proszę, rozładujcie broń, idźcie do samochodu i wracajcie do domu.

Na co Pete mówi:

- Do diabła z tobą, chłopie. - A pozostali zbierają się u jego boku, tak że cała czwórka stoi kupą i patrzy na Lindena, cztery strzelby przeciwko jednemu gościowi, który ma tylko księżyc za sobą. Przyjechali prosto ze Snuga i jak nic zaliczyli więcej niż po jednym piwie.

- Zejdź nam, cholera, z drogi, panie Linden - powiada Pete.

A potem robi ten błąd i rusza trzymaną pod pachą bronią. Nie celuje w Lindena, przysięgał, że nigdy by tego nie zrobił, i ci, którzy znają Pete'a, wierzą mu. I strzelba była złamana; Pete nigdy w życiu nie chodziłby z zamkniętą i załadowaną strzelbą, tak powiadał. Niemniej gdy ruszył bronią, dając jasno do zrozumienia, że nie żartuje, możliwe, że omyłkowo zatrzasnął zamek, można przysiąc, że omyłkowo. Pete nie twierdzi, że zapamiętał dokładnie każdy szczegół tego, co się później wydarzyło, bo świat zawirował mu wokół głowy, księżyc spadł do morza, on sam przekopyrtnął się gębą niżej dupy, a nogami wyżej, i pierwsze, co ujrzał i co mogło mu pomóc w rozeznaniu się w sytuacji, to stojący nad nim Linden wyrzucający naboje ze strzelby. A ponieważ prawdą jest, że wielkie chłopcy upadają ciężiej niż szczyle, Pete upadł doprawdy bardzo ciężko i siła ciosu, jeśli takowy zaliczył, odebrała mu nie tylko oddech, ale i chęć do powstania.

Wedle etykiety przemocy kolejni winni wstąpić w szranki, a było ich przecież trzech. Dwaj bracia Thomasowie zawsze palili się do bitki, a młody Jacob grał na prawym skrzydle w Piratach, miał bary jak piec i był ze wszech miar zdecydowany pójść w ślady swojego brata. Dopiero rozciągnięty na wielkich paprociach Pete kazał mu się wycofać.

- Nie dotykaj go, chłopie. Nawet się do niego, cholera, nie zbliżaj. To jakiś cholerny czarownik. Wracajcie do samochodu, wszyscy - rozkazał, z wolna dźwigając się na nogi.

- Rozładujcie, proszę, najpierw broń - mówi Linden.

Na ruch głowy Pete'a Pengelly'ego trzej mężczyźni wyrzucili naboje. Potem całą grupką wrócili do samochodu.

- Zabiłbym go, cholera! - protestował Jacob, gdy tylko odjechali.
- Połamałbym skurwielowi nogi po tym, co ci zrobił, Pete!

- Nie, nie połamałbyś, mój przystojniaczku - odparł Pete. - Ale że on by ci je połamał, to pewne.

I jak powiadają we wsi, od tej nocy Pete Pengelly zmienił swój sposób bycia, chociaż może ludzie nazbyt skoro wiążą skutek z przyczyną. Przyszedł wrzesień i Pete ożenił się z niegłupią córką farmera z St. Just. Dlatego może spojrzeć na ten epizod z dystansem i opowiadać o nocy, w której Jack Linden o mało, cholera, go nie wykończył, tak jak wykończył tego tłustego Kangura.

- Powiem ci, jedną rzecz, chłopie. Jak Jack faktycznie go wykończył, to musiała to być zgrabna robótka, nie ma dwóch zdań.

Ale cała ta historia ma fajniejsze zakończenie, niż się wydaje, na-

wet jeśli Pete zatrzymuje je dla siebie jak rzecz zbyt cenną, aby się nią dzielić. W wieczór przed zniknięciem Jack Linden wszedł do Snuga, położył obandażowaną rękę na ramieniu Pete'a Pengelly'ego i, cholera, postawił mu piwo, człowieku. Pogadali przez dziesięć minut i Jack Linden poszedł do domu.

- Robił u siebie porządki - upiera się z dumą Pete. - Cholera, posłuchaj mnie, chłopie. Jack Linden doprowadzał swoją cholerną chałupę do porządku po tym, jak zamknął sprawę z Kangurem.

Tylko że wtedy nie nazywał się już Jack Linden, do czego nie mogli przywyknąć i do czego pewnie nigdy nie przywykną. Parę dni po zniknięciu Linden-na-Lanyon przez „i” i „e” okazał się Jonathaniem Pine'em z Zurychu, poszukiwanym przez szwajcarską policję pod zarzutem defraudacji w modnym hotelu, w którym był zaufanym pracownikiem.

„Żeglujący hotelarz ucieka” - głosił „Cornishman” nad fotografią Pine'a alias Lindena. „Policja poszukuje handlarza łodziami z Falmouth w sprawie zaginionego Australijczyka. «Traktujemy to jako śledztwo w sprawie o morderstwo powiązane z handlem narkotykami» - powiada szef wydziału policji kryminalnej. «Sprawca winien być łatwo zidentyfikowany dzięki obandażowanej dłoni»”.

Ale kogoś takiego jak Pine to oni w Lanyon nie znali.

Tak, obandażowanej. I zranionej. Rana i bandaż były integralnymi częściami planu Burra. Ręka Jacka Lindena, ta sama, którą położył na ramieniu Pete'a Pengelly'ego. Wielu ludzi, nie tylko Pete Pengelly, widziało tę obandażowaną rękę i policja, na nalegania Burra, narobiła zawracania głowy jak się patrzy, sprawdzając, kim byli ci ludzie, która to była ręka i kiedy ją widziano. A gdy policja sprawdziła to „kim”, „która” i „kiedy”, to nie byłyby sobą, gdyby nie zaczęła szukać odpowiedzi na „dlaczego”. Co znaczy, że zapisała sprzeczne wersje, które Jack przedstawił, tłumacząc, dlaczego ma prawą rękę owiniętą fachowo gazą i koniuszki palców ściśnięte jak szparagi. I z pomocą Burra policja postarała się, by te odkrycia trafiły do gazet.

- Chciałem wprawić nową szybę w mojej chałupie - powiedział Jack Linden pani Trethewey w czwartek, po raz ostatni, gdy wykladał gotówkę nie tą ręką co zwykle.

- Mam nauczkę, żeby nie pomagać przyjacielowi - zauważył Jack w towarzystwie starego Williama Charlesa, gdy przypadkowo wpadli na siebie w warsztacie samochodowym Penhaligona, Jack po benzynę do motoru, William dla zabicia czasu. - Poprosił mnie, żebym zajrzał do niego i pomógł mu naprawić okno. I teraz popatrz. - I

podetknął Williamowi Charlesowi pod nos obandażowaną rękę, jakby był psem z chorą łapą, bo Jack umiał wszystko obrócić w żart.

Ale dopiero Pete Pengelly sprawił, że gliny dostały istnego zajoba przez tę rękę.

- Pewnie, że to było w jego cholernej szopie! - powiedział sierżantowi z wydziału dochodzeniowego. - Przycinał tafłę cholernego szkła, a jak. Tam w Lanyon, u siebie w szopie, i krajak mu zjechał, krew wszędzie. Wziął bandaża, owinął mocno i pojechał sam do szpitala, jedną ręką prowadził motor, krew lała mu się do rękawa przez całą drogę do Truro, mówił mi! Takich rzeczy się nie wymyśli, chłopie.

Lecz gdy policja słuźbiście spenetrowała szopę, nie znalazła szkła, krajaka ani krwi. „Mordercy kłamią – tłumaczył Burr Jonathanowi. - Idealna zgodność słów z faktami jest niebezpieczna. Jeśli się nie mylisz, nie będziesz przestępcą”.

„Roper sprawdza - tłumaczy Burr. - Nawet jeśli nie ma podejrzeń, sprawdza. Więc zaopatrzmy cię w te kłamstewka mordercy, by nieprawdziwe morderstwo stało się prawdziwe”.

A ładna blizna wystarczy za furę słów.

W którymś momencie podczas tych kilku ostatnich dni Jonathan złamał wszystkie zasady i bez zgody i wiedzy Burra odwiedził swoją byłą żonę, Isabelle, szukając pokuty.

„Będę przejazdem - skłamał, telefonując do niej z budki pocztowej w Penzance - zjedźmy lunch w jakimś spokojnym miejscu”. Prowadząc motocykl do Bath, używając tylko jednej rękawicy z powodu obandażowanej ręki, przepowiadał swój tekst, aż powstał heroiczny song: Będziesz czytała o mnie różne rzeczy w gazetach, ale to nie będzie prawda, Isabelle. Przepraszam za złe dni, Isabelle, ale były też dobre. Potem życzył jej szczęścia, wyobrażając sobie, że ona zrewanżuje mu się tym samym.

W toalecie przebrał się w garnitur i znów stał się hotelarzem. Nie widział Isabelle przez pięć lat i ledwo ją poznał, gdy weszła pospiesznie, spóźniona dwadzieścia minut, zrzucając winę na cholerny ruch. Długie kasztanowe włosy, które zwykła rozczesywać na nagie plecy, zanim poszli do łóżka, były obcięte praktycznie, krótko. Miała na sobie luźne ubranie maskujące nadwagę i w dużej torbie zapinanej na zamek błyskawiczny nosiła telefon komórkowy. A Jonathan przypomniał sobie, jak pod koniec potrafiła mówić tylko do telefonu.

- Chryste! - powiedziała. - Ale ci się musi powodzić! Nie prze-

muj się. Wyłączę go.

Stała się gadatliwa - pomyślał i przypomniał sobie, że jej nowy mąż jest figurą w lokalnym kole łowieckim.

- No, niech mnie dunder świśnie! - krzyknęła. - Kapral Pine. Po tylu latach! Na Boga, co ci się stało w rękę?!

- Spuściłem na nią łódkę - odpowiedział i wyglądało, że to wystarczyło za wytłumaczenie. Zapytał, jak idą interesy. To pytanie wydało mu się odpowiednie ze względu na garnitur, który miał na sobie. Słyszał, że zajęła się projektowaniem wnętrz.

- Cholera, fatalnie - odparła z głębi serca. - A czym to zajmuje się nasz Jonathan? Och, mój Boże - westchnęła, gdy jej powiedział. - Też zasuwasz, żeby inni mogli fajnie odpoczywać. Mamy przegwizdane, kochanie. Ale nie budujesz ich, co?!

- Nie, nie. Handluję. Przerzucam. Zaczęliśmy całkiem, całkiem.

- Jacy „my”, kochanie?

- Mój kumpel, Australijczyk.

- Facet?

- Facet i o wadze stu dwudziestu kilogramów.

- A jak zapełniasz swoje życie seksualne? Zawsze myślałam sobie, że może jesteś pedałem. Ale nie jesteś, prawda?

Za dawnych dni często powtarzała to oskarżenie, ale wyglądało, że o tym zapomniała.

- Dobry Boże, nie - odpowiedział ze śmiechem Jonathan. - Jaki jest Miles?

- Wartościowy człowiek. Bardzo kochany. Bankowość i działalność charytatywna. Będzie musiał spłacić mój debet w przyszłym miesiącu, więc jestem dla niego miła.

Zamówiła sałatkę z kaczki na ciepło, wodę Badoit i zapaliła papierosa.

- Czemu rzuciłeś hotelarstwo? - spytała, dmuchając mu dymem w twarz. - Nuda?

- Po prostu pokusa czegoś nowego - powiedział. „Zdezzerterujemy - szeptała mu do ucha niepohamowana córka kapitana, przykrywając jego ciało swoim cudownym ciałem. - Jak będę musiała zjeść jeszcze jeden obiad w kantynie, jedną ręką rozwalę te wszystkie baraki. Różnij mnie, Jonathanie. Zrób ze mnie kobietę. Różnij mnie i zabierz gdzieś, gdzie będę mogła oddychać”.

- Jak idzie malowanie? - spytał, pamiętając, jak oboje czcili jej wielki talent, jak Jonathan się poniżał, żeby go wywyżżyć, jak gotował, robił zakupy, sprzątał za nią, wierząc, że będzie lepiej malowała za jego wyrzeczenie.

Prychnęła.

- Ostatnią wystawę miałam trzy lata temu. Z trzydziestu prac sprzedałam sześć, wyłącznie bogatym przyjaciółom Milesa. Pewnie potrzebowałam kogoś takiego jak ty, żeby zrobił ze mnie znakomitość. Jezu, dałeś mi w kość! Czego ty, do diabła, chciałeś? Ja chciałam być van Goghkiem, a ty?! Poza tym, że chciałeś być wojskową wersją Rambo?

Chciałem ciebie - pomyślał. Chciałem ciebie, ale ciebie nie było.

Nie mógł zdradzić z tego ani słówka. Chciałby być źle wychowany. „Złe wychowanie to wolność - lubiła powtarzać. - Pierdolenie się to złe wychowanie”. Ale spieranie się z nią nie miało już sensu. Przyszedł prosić o wybaczenie przyszłości, nie przeszłości.

- Dlaczego nie chciałeś, żebyś powiedziała Milesowi, że się z tobą umawiam? - spytała oskarżycielsko.

Jonathan nałożył stary, fałszywy uśmiech.

- Nie chciałem, żeby go to wyprowadziło z równowagi.

Przez jedną czarodziejską chwilę ujrzał ją taką, jaką posiadał po raz pierwszy w czasach, gdy była królową piękności pułkowego ośrodka szkoleniowego: wyrazistą, z buntowniczą twarzą odchyloną w podnieceniu, rozwartymi ustami, gniewnym płomieniem w oczach. Wróc - krzyczał z głębi serca - spróbujmy jeszcze raz! Młody duch znikł i pojawił się stary:

- Czemu, na Boga, nie płacisz kartą?! - spytała, gdy wyliczał banknoty lewą ręką. - O wiele łatwiej ustalić, na co rozchodzą się pieniądze, kochanie.

Burr miał rację - pomyślał. Jestem kawalerem.

8

Burr, zgarbiony obok Rooke'a na przednim siedzeniu samochodu zanurzającego się w gęstniejący kornwalijski mrok, szczerzej zasłonił uszy postawionym kołnierzem płaszcza i wrócił myślami do apartamentu bez okien na obrzeżach Miami, gdzie zaledwie czterdzieści osiem godzin temu tajny zespół do operacji „Pijawka” wyjątkowo urządził dzień otwartych drzwi.

Tajne wydziały normalnie nie dopuszczają do siebie szpiegokratów i innych sofistów, lecz Burr i Strelski mieli swoje powody. Atmosfera przypomina konferencje wydziałów sprzedaży odbywające się w Holiday Inn w warunkach bojowych. Delegaci zjawiają się pojedynczo, legitymują się, zjeżdżają w dół stalowymi windami, znowu się legitymują i ostrożnie wymieniają słowa przywitania. Każdy ma na identyfikatorze nazwisko i funkcję, nawet jeśli niektóre nazwiska zostały wybrane tylko na ten dzień, a opis niektórych funkcji jest tak niejasny, że starzy spece przystają, by je rozszyfrować. WYDZ NRK OPER KO - OKRD jest na jednym. TSPT NRK & FŚZ DOK na innym. A pomiędzy nimi jak dodające ducha jednoznaczne uśmiechy: SENATOR USA, PROKURATOR FEDERALNY, ŁĄCZNIK - W. BRYT.

Dom za Rzeką jest reprezentowany przez ogromną Angielkę, noszącą idealną trwałą i thatcherowski komplecik - wełnianą kamizelkę i sweter - znaną wszem wobec jako Kochana Katie, a oficjalnie jako pani Katherine Handyside Dulling, doradca ekonomiczny Ambasady Brytyjskiej w Waszyngtonie. Przez dziesięć lat Kochana Katie dzierżyła złoty klucz otwierający Anglikom furtkę do niezliczonych agencji wywiadowczych. Od Wojskowej przez Powietrzną, Państwową, Centralną, Narodową do wszechpotężnych mruków z gwardii pałacowej Białego Domu - od zdrowych psychicznie, przez nieszkodliwie pokręconych, do niebezpiecznie śmiesznych. Tajny

nadświat potęgi Ameryki jest folwarkiem Katie, w którym dobrym słowem, pałką, targiem i zaproszeniem do swojego sławnego stołu zbiera plony.

- Słyszałeś, Cy, jak nazwał moje poglądy ten potwór, to nie wiadomo co?! - ryczy groźnie Katie do senatora o wąsko zaciśniętych ustach ubranego w dwurzędowy garnitur, podczas gdy oskarżycielskim palcem jak lufą pistoletu dźga w skroń Rexa Goodhew. - „Babską demagogią”! Tak! „Babską demagogią”! Czy słyszałeś kiedy coś bardziej politycznie niewłaściwego? Powiedzieć coś takiego takiej myszce jak ja. Takiemu wątłemu kwiatuśkowi! Bestia! I on ma się za chrześcijanina!

Radosny śmiech wypełnia pokój. Obrazoburcze buczenie Katie to przewodni motyw muzyczny w uszach stałych bywalców. Pojawiają się następni delegaci. Grupy się dzielą, tasują.

- Patrzcie, to przecież Martha, czeeeść!... Walt, hej... Miło cię zobaczyć... Marie, co za radość!

Ktoś dał sygnał. Ostro zaszleściły papierowe kubeczki wrzucane do koszy na śmieci i delegaci całą grupą przemaszerowali do sali projekcyjnej. Najniżsi pod wodzą Amata zajęli przednie rzędy. W głębi, w drogim fotelu, zastępca Darkera w Zaopatrzeniu Niebezpośrednim, Neal Marjoram, śmieje się pogodnie z rudym amerykańskim szpiegokrątką, którego identyfikator wyjawia jedynie: „Ameryka Środkowa - Fundusze”. Ich śmiech gaśnie razem ze światłami. Jakiś dowcipniś rzuca:

- Akcja!

Burr po raz ostatni zerka na Goodhew. Siada wygodnie w swoim fotelu i uśmiecha się do sufitu jak zagorzały meloman, który dobrze zna partyturę. Joe Strelski rozpoczyna swój wykład.

I Joe Strelski w roli dostawcy dezinformacji jest wcieloną doskonałością. Burr jest oszołomiony. Przez dziesięć lat oszukiwania nigdy, aż do dzisiaj, nie wpadło mu do głowy, że najlepiej rozprawdzają zasłonę dymną nudziarze. Burr jest przekonany, że gdyby oblepić Strelskiego od czubka głowy po pięty przewodami wykrywacza kłamstw, wskaźniki by nawet nie drgnęły. Też by się zanudziły. Strelski mówi pięćdziesiąt minut i kończy w chwili, gdy każda następna minuta byłaby już nieznośna dla każdego słuchacza. Padające słowa, wcielenie monotonii, sprawiają, że najbardziej smakowite doniesienia wywiadowcze są niestrawne jak popiół. Nazwisko Richarda Onslowa Ropera prawie nie pojawia się na ustach mówcy. W

Londynie używał go bez skrupułów. Roper jest naszym celem; Roper to pajak tkający tę sieć. Ale dzisiaj w Miami, przed mieszaną publicznością Czystego Wywiadu i Amerykanów, Roper jest skazany na przemilczanie, a gdy Strelski bez przekonania prezentuje na slajdach obsadę, na piedestał gwiazdy winduje doktora Paula Apostoła, „znanego nam już od co najmniej siedmiu lat głównego pośrednika karteli i wykonawcy umów na tej półkuli...”.

Strelski wszczyną znojny proces mający wykazać, że to Apostoł był „głównym celem początkowej fazy naszego śledztwa”, i podsuwa żmudny opis „skutecznej działalności agentów Flynna i Amato”, którzy umieścili pluskwę w biurach doktora w Nowym Orleanie. Gdyby Flynn i Amato naprawiali niedrożny odpływ męskiej toalety, Strelski nie mógłby relacjonować tego z mniejszym zapalem. Idealnie nudnymi zdaniami czytany z kartki, bez interpunkcji, ale za to pełnymi sztucznej emfazy, szybko doprowadza słuchaczy do drzemki.

- Podstawą operacji „Pijawka” są dostarczane przez różnorakie techniczne źródła informacje wywiadowcze, z których wynika, że trzy główne kartele kolumbijskie podpisały pakt o nieagresji, traktując go jako konieczny wstęp do zdobycia ochrony wojskowej proporcjonalnej do istniejących możliwości finansowych i równej zagrożeniom ocenianym przede wszystkim pod kątem teoretycznym. - Oddech. - Te zagrożenia są następujące, po pierwsze - oddech - zbrojne wystąpienie Stanów Zjednoczonych na prośbę rządu Kolumbii. Do czego doszło prawie, ale nie całkiem. Po drugie: rosnąca siła karteli niekolumbijskich, przede wszystkim wenezuelskich i boliwijskich. Po trzecie: rząd Kolumbii działający na własną rękę, ale przy aktywnej zachęcie agencji rządu Stanów Zjednoczonych.

Amen - myśli skamieniały z podziwu Burr.

Tło sprawy wydaje się nie interesować nikogo, co zapewne jest powodem, dla którego Strelski je przytacza. „W ostatnich kilku latach - mówi przy kolejnym spadku zainteresowania - różnorakie strony znęcone nieograniczonymi środkami finansowymi karteli podjęły wysiłki mające wykształcić nawyk kupowania ciężkiego uzbrojenia”. Francuzi, Izraelczycy, Kubańczycy przedłożyli swoje propozycje, podobnie jak grupa niezależnych wytwórców i handlarzy, przeważnie przy dyskretnym współudziale rodzimych rządów. Izraelczykom wspieranym przez brytyjskich najemników udało się sprzedać kilka karabinów szturmowych Galii i zestawy szkoleniowe.

- Ale kartele, no cóż, po pewnym czasie kartele jakoś straciły zainteresowanie - mówi Strelski.

Publiczność dokładnie podziela odczucia karteli.

Niewyraźny slajd z doktorem Apostołem wypatrzonym na wyspie Tortola; dalekie ujęcie z drugiej strony ulicy, Apostoł siedzi w biurze karaibskiej kancelarii Langbourne, Rosen & de Souta, notariuszy niegodziwców. Przy tym samym stole zidentyfikowano dwóch wymoczkowatych szwajcarskich bankierów z Wielkiego Kajmanu. Major Corkoran siedzi między nimi i ku skrytemu zadowoleniu Burra trzyma w prawej ręce przygotowane wieczne pióro. Naprzeciwko niego siedzi niezidentyfikowany Latynos. Rozmarzona męska piękność obok, włosy ślicznie związane na karku. To nie kto inny, tylko lord Langbourne alias Sandy, radca prawny pana Richarda Onslowa Ropera z Ironbrand Land, Ore & Precious Metals Company, Nassau, Wyspy Bahama.

- Kto robił to zdjęcie, panie Strelski? - dopytuje się ostro z ciemności bardzo prawniczy głos Amerykanina.

- My - odpowiada z pełnym spokojem ducha Burr i towarzystwo od razu się rozluźnia; agent Strelski jednak nie przekroczył swoich uprawnień terytorialnych.

Ale teraz Strelski nie potrafi zapanować nad podnieceniem w głosie i na krótko nazwisko Ropera ujawnia się wszem wobec bez żadnego owijania w bawełnę.

- Podpisanie paktu o nieagresji, o czym właśnie wspomniałem, doprowadziło bezpośrednio do tego, że kartel polecił swoim przedstawicielom wysondować paru nielegalnych handlarzy bronią na tej półkuli - mówi. - Według tego, co twierdzą nasi informatorzy, mamy tu pierwszy jawny kontakt Apostoła z reprezentantami formalnej strony operacji Richarda Ropera.

Strelski siada, a Rex Goodhew zrywa się na równe nogi. Dziś nie bawi się w żadne gierki. Nie stroi żartów, nie używa żadnego z lingwistycznych ozdobników, w których lubują się Anglicy, a które doprowadzają do furii Amerykanów. Bez osłonek wyraża żal, że w całą tę aferę zamieszani są brytyjscy obywatele, w tym kilku noszących szanowane nazwiska. Żałuje, iż są chronieni prawem brytyjskiego protektoratu nad Bahamami i Karaibami. Jest podniesiony na duchu dobrymi stosunkami między agentami brytyjskimi i amerykańskimi. Chce krwi i chce, aby Czysty Wywiad mu pomógł ją wyssać.

- Naszym wspólnym celem jest ujęcie winnych i przykładowe ich ukaranie - deklaruje z trumanowską prostotą.

- Z waszą pomocą chcemy wymóc poszanowanie dla rządów prawa, zapobiec rozprzestrzenianiu się broni w niespokojnym regionie i odciąć dostawę narkotyków - w ustach Goodhew to słowo brzmi

jak łagodna aspiryna - będących naszym zdaniem walutą, w której zostanie zapłacony rachunek za broń - bez względu na to, komu zostanie ona dostarczona. W tym celu prosimy o wasze pełne, bezwarunkowe wsparcie w postaci informacji od agencji wywiadowczych. Dziękuję.

Po Goodhew występuje prokurator federalny, ambitny młody człowiek, którego głos przypomina grzmot bolidów wyścigowych testowanych w boksach. Przysięga, że „ta sprawa w rekordowym czasie wyląduje w sądzie”.

Burr i Strelski odpowiadają na pytania.

- Jak w tym przypadku wygląda kwestia ozietów, Joe? - woła do Strelskiego kobiecy głos z głębi sali. Kontyngent brytyjski jest przez chwilę oszołomiony tym wyimkiem żargonu kuzynów. „Oziety! Osobowe Źródła Informacji!”

Strelski niemal się rumieni. Jest jasne, że wolałyby w ogóle nie odpowiadać na to pytanie. Ma wyraz twarzy pokonanego, który nie chce się przyznać do porażki.

- Pracujemy nad tym, Joanne, wierz mi. Żeby trafić na dobry oziet, trzeba czekać i się modlić. Mamy plany, nadzieje, nasi ludzie tam węszą i wierzymy, że ktoś wkrótce będzie potrzebował kupić sobie prawa świadka koronnego, zadzwoni do nas pewnej nocy i poprosi o wszczęcie odpowiedniej procedury. To wkrótce nastąpi, Joanne. - Kiwa zdecydowanie głową, jakby zgadzał się z sobą w sprawie, w której wszyscy poza nim mają odmienne zdanie. - To wkrótce nastąpi - powtarza równie nieprzekonywająco jak poprzednio.

Jest pora lunchu. Zasłonę dymną rozpuszczono, chociaż nikt jej nie widzi. Nikt nie zauważa, że Joanne jest ścisłą współpracowniczką Strelskiego. Ruszyła procesja do drzwi.

Goodhew podąża wraz z Kochaną Katie i paroma szpiegokratami.

- Teraz posłuchajcie mnie, wy, mężczyźni - daje się słyszeć głos Katie. - Nie oszukacie mnie dwoma listkami sałaty bez kropli oliwy, słyszycie? Żądam mięsa, trzech rodzajów jarzyn i budyniu śliwkowego albo nigdzie nie idę. „Babska demagogia”, też mi coś, Reksie Goodhew. A potem zebrzesz u naszych drzwi. Zaraz ukręcę ci ten twój świętoszko waty łeb.

Jest wieczór. Flynn, Burr i Strelski siedzą na werandzie domku plażowego Strelskiego, patrzą, jak odbłask księżycy drży w kilwaterze powracających jachtów. Agent Flynn pieści szklanicę z whisky single

malt marki Bushmills. Ma dość zdrowego rozsądku, żeby nie odstawić butelki poza zasięg dłoni. Konwersacja się rwie. Nikt nie chce wyskoczyć z uwagą o przebiegu dzisiejszego dnia.

- Zeszłego miesiąca - mówi Strelski - moja córka była wegetarianką. W tym miesiącu jest zakochana w rzeźniku.

Flynn i Burr śmieją się zdawkowo. Znowu zapada cisza.

- Kiedy twój chłopak daje nura? - pyta cicho Strelski.

- Pod koniec tygodnia - odpowiada takim samym głosem Burr. - Wola boska i skrzypce.

- Jak będziemy mieli twojego chłopaka robiącego swoje wewnątrz i naszego chłopaka robiącego swoje na zewnątrz, to zamknijemy obieg.

Flynn śmieje się gromko, w półmroku kiwa wielką ciemną głową jak głuchoniemy. Burr pyta, o co chodzi z tym zamkniętym obiegiem.

- Zamknięty obieg, Leonardzie, to przerób całej świni z wyjątkiem kwiku - mówi Strelski.

Kolejna pauza, podczas której siedzą i obserwują morze. Gdy Strelski znów się odzywa, Burr musi się daleko wychylić, żeby dosłyszeć, co ten mówi.

- Trzydziestu trzech dorosłych ludzi - mruczy. - Dziewięć różnych agencji, siedem grup. Na pewno kilku z nich powie kartelom, że Joe Strelski i Leonard Burr gównie mają, a nie ozieta, zgadza się, Pat?

Łagodny śmiech Flynnna niemal ginie w chlupocie morza.

Ale Burr, chociaż się z tym kryje, nie do końca dzieli spokój ducha gospodarza. Czyści nie zadawali zbyt wielu pytań, to prawda. Lecz Burr z niepokojem konstatuje, że zadali ich zbyt mało.

Dwa zarośnięte bluszczem granitowe słupki wychyły się z mgły. Wyryto na nich napis: Lanyon Rose. Domu nie było. Wieśniak pewnie umarł, zanim zdążył go zbudować - pomyślał Burr.

Jechali siedem godzin. Nad granitowym murkiem i tarniną zmierzch zasłaniał niespokojne niebo. Cienie na wyboistym szlaku umykały nieuchwytnie, więc gdy samochód podrygiwał, wydawało się, że zatacza się pod ciosami. Ten rover był dumą Rooke'a. Potężne ręce zmagaly się z kołem kierownicy. Minęli opuszczone gospodarstwo i celtycki krzyż. Rooke włączył długie światła, potem wrócił do krótkich. Po przebyciu rzeki Tamar zanurzyli się w półmrok i tumany mgły.

Szlak stawał się stromy, mgła znikła. Nagle znaleźli się na dole kanyoniu z białej chmury. Tyle tylko widzieli przez przednią szybę.

Salwa kropli deszczu zagrzechotała o lewą stronę karoserii. Samochód zakołysał się i zawisł nad krawędzią, opadł swobodnie, maską do Atlantyku. Pokonali ostatni zakręt, najbardziej stromy. Skłębiony ptasi wir zatrzepotał dokoła nich. Rooke wyhamował, jechali w żółwym tempie, aż nawałnica minęła. Kolejne smagnięcie deszczu. Gdy się przejaśniło, ujrzeli zieloną chatę przycupniętą na przełęczy wysłanej czarną paprocią.

Powiesił się - uznał Burr, dostrzegając skręconą sylwetkę Jonathana, podrygującą w świetle werandy. Ale wisielec uniósł ramię na powitanie i zrobił krok w ciemność, zanim włączył latarkę. Granitowa łąka służyła za prowizoryczny parking. Rooke wysiadł i Burr usłyszał dwóch mężczyzn witających się jak para podróżników:

- Fajnie cię zobaczyć! Wspaniale! Chryste, ale wiatr!

Burr był tak zdenerwowany, że uparcie siedział w samochodzie i wznosił skrzywioną twarz ku niebu, zapinając najwyższy guzik płaszcza. Wiatr huczał wokół samochodu, potrząsał anteną.

- Wyłaż, Leonard! - ryknął Rooke. - Nos możesz przypudrować sobie później!

- Przykro mi, ale musisz wysiąść drugimi drzwiami - powiedział Jonathan przez boczną szybę od strony kierowcy. - Jeśli ci to nie przeszkadza, ewakuujemy cię na zawietrzną.

Burr uniósł prawe kolano rękoma i przeniósł nogę nad dźwignią zmiany biegów, a potem zrobił to samo z lewą nogą. Postawił na żwirze but mieszcza. Za oślepiającą latarką Jonathana Burr dojrzał wysokie buty i wełnianą czapeczkę marynarską.

- Jak się masz? - krzyknął Burr, jakby nie widzieli się latami. - Gotowy?

- No, tak, myślę, że chyba tak, prawdę mówiąc.

- Dzielny chłopak.

Rooke poszedł pierwszy, dźwigając teczkę. Burr i Jonathan szli za nim ramię w ramię po wyszczerbionej kamiennej ścieżce.

- I to poszło bez pudła, prawda? - Burr kiwnięciem głowy wskazał obandażowaną rękę Jonathana. - Nie amputowano ci nic przez pomyłkę?

- Nie, nie, znakomita robota. Przemycie, szwy, opatrunek - wszystko nie zajęło więcej niż pół godziny.

Zatrzymali się w kuchni. Burra nadal piekła twarz od wiatru. Zauważył wyszorowany sosnowy stół. Wypolerowaną kamienną podłogę. Wypolerowany miedziany imbryk.

- Nie bolało?

- Wszystko w ramach obowiązku.

Roześmieli się wstydliwie, obcy sobie.

- Musiałem przywieźć ci ten świstek. - Burr jak zwykle przeszedł wprost do tego, co ciążyło mu na sercu. - Powinieneś go podpisać. Ja i Rooke jesteśmy za świadków.

- A co to jest? - spytał Jonathan.

- Stek bzdur, ot, co to. - Burr posłużył się wygodną wymówką, obwiniając biurokrację. - Ograniczona odpowiedzialność za szkody. Ich polityka ubezpieczeniowa. Nie zmuszaliśmy cię, nie masz prawa nas ciągać po sądach, nie możesz skarżyć rządu o brak zainteresowania, nadużycie władzy czy zarażenie cię wścieklizną. Jeśli wypadniesz z samolotu, to twoja wina. I tak dalej.

- Mają pietra, co?

Burr wyczuł, że pytanie odnosi się do kogoś innego, odwrócił je.

- No, a ty, Jonathanie? O to raczej chodzi, prawda? - Jonathan zaczął protestować, ale Burr mu przerwał: - Zamknij się i słuchaj. Jutro o tej porze będziesz człowiekiem poszukiwanym. Wszyscy cię odrzucą. Każdy, kto raz widział cię na oczy, będzie powtarzał: „Spodziewałem się tego po nim”. Każdy, kto zobaczy twoją fotografię po raz pierwszy, będzie się w nią wpatrywał, szukając typowych rysów mordercy. To wyrok dożywotni, Jonathanie. Nigdy nie zostanie zaarty.

Jonathanowi na moment stanęła przed oczami Sophie wśród wspaniałości Luksoru. Siedziała na cokole, obejmując kolana rękoma, wpatrywała się w nawę między kolumnami. „Potrzebuję pocieszenia wieczności, panie Pine” - powiedziała.

- Wciąż mogę zatrzymać zegar, jeśli chcesz, i nie ucierpi nikt poza moim ego - kontynuował Burr. - Ale jeśli chcesz się wycofać i brak ci ikry, żeby się przyznać, albo żal ci biednego wujka Leonarda, czy jakieś kretynstwo w tym stylu, to pomęcz się, zbierz na odwagę i powiedz wyraźnie, czego chcesz teraz, nie potem. Możemy zjeść przyjemną kolację, pożegnać się, pojechać do domu, żadnych wyrzutów, nic się nie stało. Jutro wieczór albo pojutrze już nie możemy tego zrobić.

Jest bardziej ponury - pomyślał. Ma spojrzenie obserwatora, które wciąż czujesz na sobie, gdy już na ciebie nie patrzy. Co myśmy stworzyli?

Znów rozejrzał się po kuchni. Makatki ze statkami pod pełnymi żaglami. Trochę drewnianych pamiątek, trochę miedzianych naczyń z Newlyn. Talerz szklawiony z napisem: „Panie, widzisz duszę moją”.

- Na pewno nie chcesz, żeby przechować ci gdzieś te rzeczy? - spytał Burr.

- Nie, naprawdę. Nie ma sprawy. Po prostu sprzedaj je. Jak ci będzie najłatwiej.

- Kiedyś, kiedy będziesz chciał gdzieś założyć dom, może za nimi zatęsknisz.

- Najlepiej podróżować bez bagażu, naprawdę. I wszystko toczy się po staremu? Mam na myśli cel. Nadal robi to samo, co robił, mieszka stale w tym samym miejscu i tak dalej? Nic się nie zmieniło?

- Ja w każdym razie nic o żadnych zmianach nie wiem, Jonathanie. - Burr uśmiechnął się z lekkim zaskoczeniem. - A bardzo się staram być na bieżąco. Jeśli to jakaś wskazówka, to wiedz, że właśnie kupił sobie jednego Canalerta. I kilka następnych arabskich ogierów do swojego stada. I niebrzydką brylantową kolię dla swojej pani. Wygląda jak obróżka dla pieska salonowego. No, ale pewnie taka jest rola tej pani.

- Niewykluczone, że nie może sobie pozwolić na bycie kimś więcej - powiedział Jonathan.

Wyciągnął dłoń i przez chwilę Burr myślał, że wyciąga ją do uścisku. Potem uświadomił sobie, że Jonathan prosi o dokument, więc pogrzebał w kieszeniach - najpierw płaszcza, następnie marynarki, i wyjął zapieczetowaną kopertę.

- Mówię poważnie - rzekł. - To twoja decyzja.

Jonathan lewą ręką wyjął z kuchennej szuflady nóż do steków, trzonkiem rozbił lak, następnie przeciął kopertę wzdłuż skrzydełka. Burra zastanowiło, czemu zadał sobie ten trud i rozłukiwał lak. Być może chciał w ten sposób pokazać, że jest sprawny.

- Przeczytaj - rozkazał Burr. - Każde głupie słowo tyle razy, ile masz ochotę. W razie gdybyś nie zgadł, wiedz, że nazywałeś się pan Brown. Bezimienny ochotnik na naszej służbie. W oficjalnych dokumentach tacy ludzie jak ty zawsze nazywają się „Brown”.

Sporządzone przez Harry'ego Palfreya dla Rexa Goodhew. Doręczone Leonardowi Burrowi dla pana Browna do podpisania.

„Po prostu nigdy nie używaj jego nazwiska - podkreślał Goodhew. - Jeśli je widziałem, i tak już zapomniałem. Niech tak zostanie”.

Jonathan podesunął list do światła lampy naftowej.

Jaki on jest? - zastanawiał się po raz setny Burr, pilnie wpatrując się w na przemian twarde i miękkie zarysy twarzy Jonathana. Sądziłem, że wiem. Myliłem się.

- Przemyśl to - nalegał Burr. - Whitehall już to zrobił. Musieli dwa razy przeredagowywać. - Spróbował po raz ostatni: - Powiedz to tylko dla mnie, dobra? „Ja, Jonathan, jestem przekonany”. Wiesz, co cię czeka, przemyślałeś to. I nadal jesteś przekonany.

Znów uśmiech, pogłębiający dyskomfort Burra. Jonathan znów wyciągnął obandażowaną dłoń, tym razem po pióro.

- Jestem przekonany, Leonardzie. Ja, Jonathan. I będę przekonany jutro rano. Jak mam podpisać? Jonathan Brown?

- John - odparł Burr. - Swoim normalnym charakterem pisma.

Ujrzał w głowie obraz Corkorana sygnatariusza z wiecznym piórem, gdy patrzył, jak Jonathan starannie pisze „John Brown”.

- Załatwione - rzekł pogodnie Jonathan, by go pocieszyć. Ale Burr miał ciągły niedosyt. Ekscytacji, niezwykłości wydarzenia. Dźwignął się ze starczą powolnością i zaczął, aż Jonathan pomoże mu z płaszczem. Razem przeszli do saloniku, Jonathan wskazywał drogę.

Stół jadalniany przyszykowano do uroczystości. Burr oburzył się na widok płóciennych serwetek. Pucharki z koktajlem z homara. Srebrne sztuce jak w trzygwiazdkowej restauracji. Niezłe pommard odkorkowane, aby oddychało. Woń smażonego mięsa. Co on, do diabła, chce mi udowodnić?

Rooke odwrócony do nich plecami trzymał ręce w kieszeniach i przyglądał się ostatniej akwareli Marilyn. Rzadko zdobywał się na uprzejmość, ale tym razem rzekł:

- Wiecie, to jest całkiem niezłe.

- Dzięki - rzekł Jonathan.

Jonathan usłyszał ich na długo przedtem, zanim się pojawili. I nawet zanim ich usłyszał, wiedział, że są tam, bo w samotności nadmorskiej skały żołnierz zwiadu bezpośredniego nauczył się wychwytywać dźwięki w chwili ich narodzin. Wiatr mu sprzyjał. Gdy opadała mgła i słyhać było jedynie zawroźnienie latarni morskiej, to właśnie wiatr przynosił mu pogwarki rybaków z otwartego morza.

Więc poczuł drżenie silnika rovera, zanim jego ryk stoczył się ze skały. Jonathan zebrał się w sobie i czekał na wietrze. Gdy namierzyły go reflektory, w wyobraźni odpowiedział tym samym. Obliczał prędkość rovera wedle czasu, jaki zajmowało mu pokonanie odcinka między słupami telefonicznymi, i kalkulował wyprzedzenie, z jakim powinno się wystrzelić pocisk z granatnika. Równocześnie kątem oka obserwował wzgórze, na wypadek gdyby wysłano samochód pościgowy albo użyto rovera jako wabika.

A gdy Rooke zaparkował i Jonathan szedł uśmiechnięty w wicherze, świecąc latarką, wyobraził sobie, że strzela do swoich gości, likwiduje zielone twarze kolejnymi strumieniami ognia. Gracze

zneutralizowani. Sophie pomszczona.

Lecz teraz, gdy pojechali, był spokojny i widział inne rzeczy. Burza zostawiła po sobie strzępy chmur. Mrugało parę gwiazd. Szare przestrzeliny po kulach rozsypały się na tarczy z księżycą. Jonathan patrzył, jak reflektory rovera mijają łąkę, na której zakopał cebulki irysów. Za kilka tygodni - pomyślał - jeśli zające nie przedrą się przez siatkę, łąka stanie się fiołkoworóżowa. Reflektory minęły rozległą królikarnię i przypomniał sobie, jak pewnego ciepłego wieczoru, wracając z Falmouth, przyłapał tam Jacoba Pengelly'ego i jego dziewczynę, okrytych tylko sobą nawzajem, Jacob w ekstazie odchyłał się w tył, dziewczyna wygięła się wtulona w niego jak akrobatka.

„Następny miesiąc będzie się nazywał «niebieski», przez dzwonki, niebieskie kwiatki - powiedział mu Pete Pengelly. - Ale ten miesiąc, Jack, jest złocisty, coraz bardziej złocisty, przez żarnowiec, pierwiosnki i dzikie żonkile, z którymi nie wygrają żadni przybysze. Sam się jeszcze przekonasz, Jack. Zdrówko”.

Żebym się dopełnił - Jonathan powtarzał sobie słowa roli. Żebym znalazł brakujące części samego siebie.

Żebym stał się mężczyzną, bo takie, wedle słów ojca, jest zadanie armii. Zrobić z chłopaka mężczyznę.

Żebym stał się użyteczny. Żebym się wyprostował. Żebym odciążył sumienie.

Dopadły go mdłości. Poszedł do kuchni i wypił szklankę wody. Mosiężny zegar okrętowy wisiał nad drzwiami i nie wiedzieć czemu Jonathan bez namysłu go nakręcił. Potem poszedł do salonu, gdzie trzymał swój skarb; kupiony za bezcen u Daphne przy Chapel Street stary stojący zegar szafkowy z jednym ciężarkiem. Ciągnąc mosiężny łańcuszek, wywindował ciężarek. Wprawił w ruch wahadło.

„No, to chyba pojedę na trochę do ciotki Hilary w Teignmouth - powiedziała Marilyn, kiedy już przestała łkać. - Odpocznię sobie w Teignmouth, no nie?”

Jonathan też miał swoją ciotkę Hilary w Walii, koło klubu golfowego. Chodziła za nim po domu, gasząc światła, i po ciemku modliła się głośno do słodkiego Pana Jezusa.

Nie jedź - błagał Sophie na wszystkie świętości, gdy czekali na taksówkę, która miała ich zabrać na lotnisko w Luksorze. - Nie jedź - błagał ją w samolocie. - Zostaw go, on cię zabije, nie ryzykuj - błagał, pomagając jej wsiąść do taksówki, która miała ją zabrać do mieszkania Freddiego Hamida.

- Każde z nas ma w życiu swoje wyznaczone spotkania, panie Pine - odpowiedziała mu z uśmiechem na potłuczonej twarzy. - Dla Arabki są gorsze zniewagi niż pobicie przez kochanka. Freddie jest bardzo zamożny. Złożył mi kilka praktycznych obietnic. Muszę myśleć o starości.

9

W Dzień Matki Jonathan wkracza do Espérance. Sześćset pięćdziesiąt kilometrów pokonał ciężarówkami z cementem i trzecia z nich zostawia go na skrzyżowaniu przy avenue des Artisans. Ze śpiewem idzie chodnikiem, kołysząc bezkształtną torbą, z jaką podróżują emigranci z Trzeciego Świata, widzi napisy: MERCI MAMAN, BIENVENUE À TOUTES LES MAMANS i VASTE BUFFET CHINOIS DES MÈRES. Chłonie północne słońce jak eliksir życia. Gdy wciąga powietrze w płuca, to razem z nim wchłania światło. Jestem w domu. To ja.

Po ośmiu miesiącach śniegu to leniwe złote miasto w prowincji Quebec skocznie podryguje w wieczornym słońcu, z czego zresztą słynie wśród siostrzanych miasteczek, rozrzuconych wzdłuż najdłuższego na całym świecie pasa zielonych skał łupkowych. Podryguje skocznie, wyżej niż Timmins na zachodzie w opasłym Ontario, wyżej niż Val-d'Or lub Amos na wschodzie, o kilometr wyżej niż ponure osiedla pracowników umysłowych, inżynierów hydroelektryków na północy. Żonkile i tulipany prężą się po żołniersku w ogródku przy białym kościele z ołowianym dachem i strzelistą iglicą wieży, a mlecze wielkości dolarówek pokrywają trawiastą skarpe przed posterunkiem policji. Przezimowały pod pokrywą śniegu i teraz wybują tak samo jak miasto. Sklepy dla nowobogackich albo chociaż pełnych nadziei, Boutique Bébé z różowymi żyrafkami, pizzerie nazwane imionami górników, którym się powiodło, i poszukiwaczy złota, Pharmacie de Croyants, oferująca hipnoterapię i masaż, bary oświetlone neonowymi żarówkami nazwane na cześć Wenus i Apolla, majestatyczny burdel nazwany po przepadłych *mesdames*, japońska sauna z pagodą i plastikowym ogródkiem skalnym, banki do wyboru, do koloru, sklepy jubilerskie, w których paserzy topili kruszec ukradziony przez górników i nadal czasami topią, sklepy z sukniemi ślubnymi na manekinach dziewiczych panien młodych, polskie

delikatesy reklamujące „filmy porno upererotyczne”, jakby były to jakieś kulinarne dzieła sztuki, restauracje otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby każda zmiana mogła sobie podjeść, nawet notariaty z przyciemnianymi szybami - wszystko błyszczy w chwale złotego lata i za wszystko to *merci Maman; on va avoir du fun!**

* (fr.) Dzięki, mamusiu, będziemy mieli fun!

Gdy Jonathan spogląda na wystawy sklepowe albo z wdzięcznością podnosi wychudzoną twarz do błękitnego nieba i wystawia ją na ciepło słońca, brodaci motocykliści w ciemnych okularach przygazowują na swoich maszynach i z rykiem jeżdżą tam i z powrotem po ulicach, wabią odzianymi w skórę tyłkami dziewczyny, które piją coca-colę w ogródkach knajpianych. W Espérance dziewczęta rzucają się w oczy jak barwne papużki. Matrony w sąsiednim opasłym Ontario niech sobie wyglądają jak kanapy w domu pogrzebowym, ale tu, w Espérance, gorącokrwiste obywatelki Quebecu we wściekle kolorowych bawełnianych sukienkach i złotych bransoletach, które śmieją się do ciebie przez ulicę, co dnia urządzają karnawał.

W Espérance nie ma drzew. Dookoła są takie lasy, że miejscowa ludność uważa otwartą przestrzeń za powód do chwały. W Espérance nie ma też Indian, przynajmniej się ich nie zauważa, chyba że jak Jonathan dostrzeżesz czerwonoskórego z rodziną, ładującego na pikapa towary z *supermarché* wartości tysiąca dolarów. Jeden strzeże platformy z góry, reszta trzyma się blisko.

Miasto jest również pozbawione wulgarnych oznak bogactwa, jeśli nie liczyć jachtów motorowych za siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów na parkingu przy kuchni Château Babette lub stad harleyów otaczających Bonnie and Clyde Saloon. Kanadyjczycy - czy to frankofoni, czy inni - nie dbają o manifestowanie stanu posiadania ani uczuć. Rzecz jasna nadal ci, do których uśmiechnie się szczęście, robią fortuny. I szczęście jest prawdziwą religią tego miasta. Każdy marzy o złotej żyle w ogrodzie i paru szczęśliwców natrafiło na coś takiego. Ci mężczyźni w czapczkach bejsbolowych, trampkach i kurtkach lotniczych, którzy stoją, mówiąc do telefonów komórkowych, gdzie indziej handlowaliby na ulicy narkotykami albo byli sutenerami, ale tu, w Espérance, są cichymi trzydziestoletnimi milionerami. Starsi zjadają lunch z menażek półtora kilometra pod ziemią.

Jonathan pochłania to wszystko w ciągu pierwszych chwil po przybyciu. W swoim stanie entuzjastycznego wyczerpania ogarnia całość za jednym zamachem, podczas gdy jego serce pęka wdzięcznością podróźnego, który postawił stopę na brzegu ziemi

obiecanej. Jak tu pięknie. Pracowałem na to. Jest moje.

Opuszczał Lanyon o świcie, nie oglądając się wstecz, i udał się na tydzień do Bristolu, by tam przywarować. Zostawił motocykl na zapuszczonym przedmieściu, w miejscu, z którego Rooke obiecał go ukraść. Wsiadł do autobusu do Avonmouth, gdzie znalazł dom noclegowy dla marynarzy prowadzony przez dwóch podstarzałych irlandzkich homoseksualistów, którzy według tego, co mówił Rooke, służyli z niechęcią do współpracy z policją. Padało przez całą dobę, a trzeciego dnia, gdy Jonathan jadł śniadanie, usłyszał swoje nazwisko i rysopis podawane w lokalnym radiu; ostatnio widziany na rejonie zachodniej Kornwalii, zraniona prawa dłoń, zadzwonić pod ten numer. Zobaczył, że Irlandczycy też słuchają, zerkając na siebie porozumiewawczo. Zapłacił rachunek i wrócił autobusem do Bristolu.

Obrzydliwa chmura przetaczała się nad udręczonym krajobrazem przemysłowym. Z rękami w kieszeniach - zamienił opatrunek na zwykły plaster - Jonathan przechadzał się mokrymi ulicami. Siedząc na fotelu u fryzjera, zauważył swoją fotografię na ostatniej stronie czytanej przez kogoś gazety, tę samą fotografię, którą ludzie Burra zrobili mu w Londynie: podobieństwo celowo zatarte, ale nie do końca. Stał się widmem nawiedzającym widmowe miasto. W knajpach i salonach bilardowych był zbyt biały i zbyt się wyróżniał, na bardziej eleganckich ulicach był zbyt obszarpany. Parę razy próbował wejść do jakiegoś kościoła, ale były zamknięte. Sprawdzając swój wygląd w lustrach, przestraszył się wyrazu wrogiego napięcia na twarzy. Spreparowane morderstwo na Jumbie doskwierało mu jak wbity oścień. Wizje domniemanej ofiary, niezamordowanej i nieściganej, hulającej błogo w jakimś ukrytym azylu, dręczyły go w najbardziej niespodziewanych momentach. Niemniej drugą połowę swojego „ja” zdecydowanie zwalczał poczucie winy za wyimaginowaną zbrodnię. Nabył skórzane rękawiczki i wyrzucił bandaż. Przed kupieniem biletu lotniczego całe przedpołudnie spędził na obserwacji biur podróży, zanim wybrał najbardziej uczęszczane i najbardziej anonimowe. Zapłacił gotówką, rezerwując z dwudniowym wyprzedzeniem miejsce na nazwisko Fine. Następnie autobusem udał się na lotnisko i zmienił rezerwację na lot wieczorny jeszcze tego dnia. Zostało jedno wolne miejsce. Przy bramce urzędniczka w mundurze koloru morwy poprosiła go o paszport.

Zdjął rękawicę i wręczył go zdrową ręką.

- No, to jak pan się nazywa, Pine czy Fine?

- Jak pani woli - odrzekł z błyskiem starego uśmiechu hotelarza. Przepuściła go niechętnie. A może Rooke uprzedził obsługę lotniska?

W Paryżu nie odważył się ryzykować kontaktu z odprawą na Orly, więc całą noc spędził w strefie tranzytowej. Rano wsiadł w samolot do Lizbony, tym razem używając nazwiska Dine, bo zgodnie z radą Rooke'a starał się wyprzedzać komputery o jeden krok. W Lizbonie także udał się do portu i przywarował.

„Nazywa się «Star of Bethel», istny chlew - powiedział Rooke. - Ale kapitan jest sprzedajny i takiego właśnie szukasz?”

Ujrzał zarośniętego mężczyznę łączącego w deszczu od jednego biura okrętowego do drugiego. Sam był tym mężczyzną. Ujrzał tego samego mężczyznę płacącego prostytutce za całą noc. Położył się na podłodze, a dziewczyna zwinęła się na łóżku i chlipała wystraszona. Czy bałaby się mniej, gdybym z nią spał? Nie sprawdzał tego, zostawił ją przed świtem, wrócił do portu i znalazł „Star of Bethel”, dwunastotysięcznik, węglowiec płynący do Pugwash w Nowej Szkocji. Ale gdy zapytał w biurze okrętowym, powiedziano mu, że załoga jest skompletowana i że jednostka wyrusza z wieczornym przyplywem. Zapłacił łapówkę, żeby wejść na pokład. Czy kapitan go oczekiwał? Pewnie tak.

- Co umiesz, synu? - zapytał kapitan. Był wielkim cichym Szkotem około czterdziestki. Za nim stała bosa Filipinka, mniej więcej siedemnastoletnia.

- Gotować - odparł Jonathan i kapitan roześmiał mu się w twarz, ale wziął go jako nadliczbowego członka załogi, pod warunkiem że zapracuje na przejazd, a on zgarnie jego zarobek.

Teraz był niewolnikiem kambuza, spał na najgorszej koi i znosił wyzwiska załogi. Oficjalnie kucharzem był hinduski majtek na wpeł żywy od heroiny i wkrótce Jonathan wykonywał obowiązki za dwóch. Podczas niewielu godzin odpoczynku śnił królewskie sny więźniów i nie kto inny, tylko Jed bez gościnnego szlafroka kąpielowego Meistra grała w nich główną rolę. Potem nastał słoneczny poranek i załoga klepała Jonathana po plecach, mówiąc, że nigdy nie miała lepszego zarcia. Ale nie zszedł z nimi na ląd. Zaoopatrzony we wcześniej odłożone racje żołnierz zwiadu bezpośredniego wolał ukryć się w ładowni dziobowej i odczekać dwie noce, zanim wyśliznął się przed nosem portowej policji.

Sam na bezkresnym i nieznanym kontynencie doznał zupełnie nowego niedostatku - jego determinacja nagle zaczęła wsiąkać w olśniewającą skąpość krajobrazu. Roper jest abstrakcją, tak samo Jed, tak samo ja. Umarłem i to jest moje życie po śmierci. Wędrując obo-

jętą szosą, śpiąc w noclegowniach dla kierowców ciężarówek i w stodołach, wyprasząc jedną dniówkę za dwa dni pracy, modlił się o odzyskanie swojego powołania.

„Największe szanse masz w Château Babette” - powiedział mu Rooke. - Jest wielki, zapuszczony, prowadzi go wiedźma, u której nikt nie chce pracować. To twoja naturalna kryjówka”.

„To idealne miejsce, w którym mógłbyś zacząć szukać swojego cienia” - powiedział Burr.

Cień oznacza tożsamość. Cień oznacza rzecz namacalną w świecie, w którym Jonathan stał się widmem.

Château Babette przysiadł jak wyliniała stara kura wśród blichtrów avenue des Artisans. Był to tutejszy Meister Palace. Jonathan poznał go od razu z opisu Rooke'a i zbliżał się drugą stroną ulicy, chcąc lepiej mu się przypatrzeć. Wysoki, pokryty deskami, zniszczony jak na niedysiejszy burdel - surowy. W każdym kącie paskudnego ganku stała kamienna urna, na której luszczące się nagie dziewczęta brykały po lesie. Szacowna nazwa widniała na pionowym, nadgniłym drewnianym szyldzie. Potrząsany ostrym wschodnim wiatrem, grzechotał jak wagon kolejowy i oczy Jonathana napełnił kurz, a nozdrza woń *frites* i lakieru do włosów.

Wszedł po schodach, zdecydowanie pchnął stare wahadłowe drzwi i zanurzył się w grobowe ciemności. Z daleka, jak mu się początkowo wydawało, usłyszał męskie śmiechy i poczuł smród ostatniej kolacji. Stopniowo rozpoznał skrzynkę na listy z kutej miedzi, stojący zegar szafkowy z tarczą pomalowaną w kwiaty, przypominający mu Lanyon, potem ujrzał recepcję zasłaną korespondencją, kubkami po kawie i oświetloną podwieszanym sznurem kolorowych żaróweczek. Otoczyły go męskie postacie. To one były źródłem tych śmiechów. Najwyraźniej przybycie Jonathana zbiegło się z wizytą gromady jurnych geodetów z Quebecu, którzy chcieli zażyć trochę rozrywki przed wyprawą do kopalni na północy. Ich walizki i torby rzucono na stos, u stóp szerokich schodów. Dwaj wyglądający na Słowian chłopcy z kolczykami w uszach, w zielonych fartuchach, nachmurzeni segregowali bagaże.

- *Et vous, monsieur, vous êtes qui?** - przebił się przez zamieszanie kobiecej wrzask.

* A pan kim jest?

Jonathan dojrzał majestatyczne kształty madame Latulipe, właścicielki, stojącej za ladą, w fiołkoworóżowym turbanie i skorupie

makijażu. Odchyliła głowę, aby przyjrzeć się gościowi, i grała pod swoją męską publikę.

- Jacques Beauregard - odparł.

- *Comment, cheri?**

* Jak, kochanie?

Musiał powtórzyć, pokonując gwar. Zawołał: „Beauregard!”, nieprzyzwyczajony do podnoszenia głosu. Ale jakoś łatwiej było mu podać to nazwisko niż „Linden”.

- *Pas de bagage?**

* Żadnych bagaży?

- *Pas de bagage.*

- *Alors, bon soir et amusez-vous bien, m'sieu!** - wrzasnęła madame Latulipe, wręczając mu klucze.

* No, to dobry wieczór i życzę dobrej zabawy, proszę pana.

Jonathan zdał sobie sprawę, że mylnie wzięła go za członka grupy geometrów, ale nie widział potrzeby, aby ją wyprowadzać z błędu.

- *Allez-vous manger avec nous á 'soir, m'sieu Beauregard?** - zawołała, zauważając wreszcie jego przystojne rysy, gdy ruszył schodami.

* Będzie pan jadł z nami dziś wieczór, panie Beauregard?

Jonathan uznał, że nie, i podziękował madame - musi się trochę wyspać.

- Ale nie da się spać z pustym żołądkiem, *m'sieu Beauregard!* - zaprotestowała kokieteryjnie madame Latulipe, raz jeszcze grając pod rozochoconych gości. - Trzeba mieć siłę do spania, jak się jest mężczyzną. *N'est-ce pas, mes gars?**

* Prawda, chłopaki?

Zatrzymując się na półpiętrze, Jonathan dzielnie dołączył do ogólnego wybuchu śmiechu, jednak uparł się, że musi się wyspać,

- *Bien, tant pis, d'abord!** - zawołała madame Latulipe. Ani jego niezapowiedziane przybycie, ani niechlujny wygląd nie wzbudziły jej niepokoju. Niechlujność budzi zaufanie w Espérance i dla madame Latulipe, uzurpującej sobie rolę kulturalnego arbitra miasta, jest oznaką duchowości. Był *farouche***, ale *farouche* w jej rozumieniu znaczyło „szlachetny” i dostrzegła na jego twarzy Sztukę. Był *sauvage distingué****, jej ulubionym typem mężczyzny. Arbitralnie osądziła, że jego akcent wskazuje na Francuza. A może Belga. Nie była ekspertem, wakacje spędzała na Florydzie. Wiedziała tyle, że kiedy mówił po francusku, potrafiła go zrozumieć, ale gdy mu odpowiadała, spoglądał na nią tak niespokojnie, jak wszyscy Francuzi, gdy słuchali madame Latulipe używającej czegoś, co jej zdaniem było prawdziwą, nieskażoną wersją ich języka. Niemniej madame Latulipe powodo-

wana tymi obserwacjami popełniła wybaczalny błąd. Zakwaterowała Jonathana nie na jednym z pięter, na których można było wygodnie przyjmować panie, ale na swoim *grenier*****, w jednej z czterech ślicznych mansard, które lubiła trzymać w rezerwie dla swoich duchowych braci - artystów. I nie wzięła pod uwagę faktu - ale cóż, czemu miałyby go brać? - że jej córka, Yvonne, tymczasowo schroniła się dwa pokoje obok.

* Dobra, szkoda.

** Nieokrzesany.

*** Szlachetny dzikus.

**** Strych.

Przez cztery dni Jonathan budził nie większą porcję zachłannej ciekawości madame Latulipe niż inni goście płci męskiej.

- Ależ zostawiłeś swoją grupę! - zawołała do niego z żartobliwym przerażeniem, gdy następnego przedpołudnia zjawił się późno i sam na śniadaniu. - Już koniec z pomiarami? Zrezygnowałeś? Może chcesz zostać poetą? My w *Espérance* piszemy dużo wierszy.

Widząc go wracającego wieczorem, zapytała, czy skomponował dziś elegię lub namalował arcydzieło. Zaproponowała mu kolację, ale kolejny raz odmówił.

- Jadł pan gdzieś indziej, *m'sieu*? - spytała żartobliwie oskarżycielskim tonem.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- *Tant pis d'abord* - rzekła, co było jej zwykłą odpowiedzią niemal na wszystko.

Wyjąwszy te kontakty, był dla niej gościem z numeru 306. Żadnych problemów. Dopiero w czwartek, gdy poprosił ją o pracę, przyjrzała mu się uważniej.

- Jaką pracę, *mon gars*? - spytała dociekliwie. - Może chcesz śpiewać na naszej dyskotece? Grasz na skrzypcach?

Ale już się zaniepokoiła. Przechwyciła jego spojrzenie i po raz wtóry odniosła wrażenie, że wyróżnia się wśród tłumu. Może zbyt się wyróżnia. Przyjrzała się jego koszuli i uznała, że to ta sama, w której przyjechał.

Kolejny poszukiwacz złota przegrał ostatniego dolara - pomyślała. Przynajmniej nie płaciliśmy za jego posiłki.

- Jakąkolwiek - odparł.

- Ale w *Espérance* jest wiele rodzajów pracy, Jacques - zaproponowała madame Latulipe.

- Pytałem - odrzekł Jonathan, wspominając trzy dni wzruszania

ramionami albo czegoś jeszcze gorszego. - W restauracjach, hotelach, warsztacie szkutniczym i w przystaniach. W czterech kopalniach, dwóch tartakach, cementowni, dwóch stacjach benzynowych i piarni. Nigdzie się nie spodobałem.

- Ale dlaczego? Jesteś bardzo piękny, bardzo wrażliwy. Czemu się nie podobasz, Jacques?

- Chcą dokumentów. Numeru mojego ubezpieczenia. Dowodu, że posiadam obywatelstwo kanadyjskie. Dowodu, że jestem oficjalnym imigrantem.

- I nie masz tych rzeczy? Nic? Taki z ciebie esteta?

- Mój paszport leży u władz imigracyjnych w Ottawie. Jest sprawdzany. Nie chcą mi wierzyć. Jestem Szwajcarem - dodał, jakby to tłumaczyło ich brak wiary.

Tymczasem madame Latulipe nacisnęła już guzik wzywający małżonka.

André Latulipe urodził się nie jako Latulipe, lecz Kwiatkowski. Dopiero gdy żona odziedziczyła hotel po ojcu, zgodził się zmienić nazwisko, by zachować się w pamięci potomnych jako jedna z linii arystokracji Espérance. Był emigrantem w pierwszym pokoleniu. Miał twarz cherubina, szerokie gładkie czoło i przedwcześnie posiwiałą gęstą grzywę włosów. Drobnny, krępy i tak niespokojny, jak bywają pięćdziesięcioletni mężczyźni, którzy mało nie zapracowali się na śmierć i zaczynają się zastanawiać po co. Jako dziecko Andrzej Kwiatkowski był ukrywany w piwnicach i szmuglowany przez zaśnieżone przełęcze w środku nocy. Był zatrzymywany, przesłuchiwany i zwalniany. Wiedział, co to znaczy stać przed umundurowanymi ludźmi i modlić się. Zerknął na rachunek Jonathana i był pod wrażeniem, podobnie jak żona, bo nie było tam żadnych dodatkowych pozycji. Oszust korzystałby z telefonu, podpisywał rachunki w barze i restauracji. Oszust wymknąłby się o północy. Latulipe'om zdarzyło się spotkać kilku oszustów w swoim czasie i poznali ich sposób bycia.

Nie wypuszczając rachunku z ręki, Latulipe powoli zmierzył wzrokiem Jonathana, bardzo podobnie jak wcześniej zrobiła to żona, ale dodał do tego moment refleksji; spoglądał na wysokie brązowe buty, zdarte, ale zadziwiająco czyste, na ręce - drobne, spracowane i opuszczone na znak szacunku po bokach, na prostą postawę, udrękę na twarzy i błysk desperacji w oczach. I w monsieur Latulipie ocknęło się poczucie wspólnoty na widok mężczyzny niecierpliwie szukającego miejsca zaczepienia w lepszym świecie.

- Co umiesz? - spytał.

- Gotować - powiedział Jonathan.

Poznał rodzinę. I Yvonne.

Wiedziała natychmiast. Tak. Zupełnie jakby za sprawą jej strasznej matki sygnały, na których wymianę należałoby czekać miesiącami, zostały przekazane i odebrane w sekundę.

- To Jacques, nasza najnowsza tajemnica - oznajmiła madame Latulipe, nie zwracając sobie głowy pukaniem, lecz z rozmachem otwierając drzwi niecałe dziesięć metrów od jego pokoju.

A ty jesteś Yvonne - pomyślał, w tajemniczy sposób pozbywając się wstydu.

Na środku stało biurko. Drewniana lampka do czytania oświetlała jedną stronę twarzy dziewczyny. Pisała na maszynie, a gdy zdała sobie sprawę, że gościem jest jej matka, nie oderwała się od zajęcia, tak że Jonathan długo był skazany na napięcie, jakie rodził widok rozwichrzonej jasnej czupryny, aż wreszcie zdecydowała się podnieść głowę. Przy ścianie stało wąskie łóżko. Szeregi koszy z wypraną bielizną pościelową zajmowały resztę przestrzeni. Panował porządek, ale brakowało bibelotów i zdjęć. Tylko kosmetyczka poniewierała się obok miednicy, a na łóżku lew z rozprutym brzuchem - piżama z opuszczonym suwakiem zamka. Na jedną mdłą chwilę przypomniał Jonathanowi o pekińczyku Sophie. Psa też zabiłem - pomyślał.

- Yvonne to nasz rodzinny geniusz, *n'est-ce pas, ma chérie?** Studiowała sztukę, studiowała filozofię, przeczytała każdą książkę, jaką wydrukowano na tym świecie, *n'est-ce pas, ma chérie?* Teraz udaje naszą gospodynię, żyje jak mniszka i za dwa miesiące wyjdzie za Thomasa.

* Prawda, kochanie?

- I pisze na maszynie - powiedział Jonathan, Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

Maszyna powoli wypluwała list. Yvonne patrzyła na Jonathana i zarejestrowała do ostatniego szczegółu lewą stronę jej twarzy - spoglądające śmiało, wręcz zuchwale oczy, słowiańskie czoło ojca i wydatną szczękę, jedwabisty meszek na policzku, silną szyję znikającą w kołnierzyku bluzki. Nosila łańcuszek na klucze jak naszyjnik i gdy się wyprostowała, klucze opadły z brzękiem między piersi.

Wstała. Wysoka i na pierwszy rzut oka męska. Wymienili uścisk dłoni, z jej inicjatywy. Nie czuł wątpliwości - dlaczego miałby je czuć? Beauregard, nowy w Espérance, nowy w życiu? Dłoń miała silną i suchą. Nosila dzinsy i światło lampy odsłoniło mu lewą stronę jej ciała: zagniecenia opiętych dzinsów biegnące od krocza przez lewe

udo. Następnie poznał formalną precyzję jej dotyku.

Jesteś tygrysicą w stanie spoczynku - uznał, gdy ze spokojem przyjęła jego spojrzenie. Wcześniej miałaś kochanków. Ujarana trawą albo i czymś naćpana wskakiwałaś na tylne siodełko harleya. Teraz, osiągnąwszy dwadzieścia ileś tam, dotarłaś na płaskowyż zwany kompromisem. Jesteś zbyt wyrobiona jak na prowincję, ale zbyt prowincjonalna jak na wielkie miasto. Jesteś narzeczoną kogoś nudnego i starasz się zrobić z niego jeszcze gorszą pilę. Jesteś Jed, ale na równi pochyłej. Jesteś Jed, ale z powagą Sophie.

Pod okiem matki dobrała mu ciuchy.

Stroje dla personelu wisiały w garderobie na półpiętrze. Yvonne wskazała drogę i zanim otworzyła drzwi, spostrzegł, że mimo całego swojego sposobu bycia sportsmenki ma chód kobiety - nie buńczuczny krok trzpiotki ani ostentacyjne kołysanie biodrami nastolatki, ale prostotę i pewność siebie dojrzałej życiowo i erotycznie kobiety.

- W kuchni Jacques nosi białe i tylko białe ubrania, prane codziennie, Yvonne. Każdy wie, że dewiza mojego domu to „nigdy w tym samym stroju przez dwa dni”, Jacques. W Babette higiena jest oczkiem w głowie. *Tant pis d'abord.*

Gdy matka terkotała, Yvonne dała mu białą kurtkę, a potem powlekanie z przodu plastikiem białe spodnie. Następnie kazała mu przejść do pokoju numer 34 i przymierzyć to wszystko. Zachowywała się obcesowo, może na użytek matki, z nutą sarkazmu. Gdy wróciła, matka uparła się, że rękawy są za długie, co nie było zgodne z prawdą, lecz Yvonne wzruszyła ramionami i podpięła je szpilkami. Jej dłonie obojętnie muskały dłonie Jonathana, ciepło jej ciała mieszało się z jego ciepłem.

- Wygodnie ci? - spytała takim tonem, jakby miała to gdzieś.

- Jacques'owi jest zawsze wygodnie. On ma wielki zapas sił, *n'est-ce pas*, Jacques?

Madame Latulipe chciała znać jego upodobania w kwestii czasu wolnego. Czy lubi tańczyć? Jonathan odparł, iż jest gotów na wszystko, lecz może jeszcze nie teraz. Czy śpiewa, gra na instrumencie, uprawia sztukę aktorską, maluje?

- Wszystkie te rozrywki i jeszcze inne są dozwolone w Espérance - zapewniła madame Latulipe. Może chciałby poznać jakieś dziewczęta? - To byłoby całkiem normalne; wiele kanadyjskich dziewcząt z zainteresowaniem posłuchałoby o życiu w Szwajcarii.

Ogarnięty szalonym podnieceniem Jonathan zdobył się na coś

kurtuazyjnie wymijającego:

- Daleko bym nie zaszedł w czymś takim, prawda?! - wykrzyknął tak głośno, że mało nie wybuchnął śmiechem, nadal podsuwając Yvonne rękawy. - Policja wypatrzyłaby mnie w tym stroju na pierwszym skrzyżowaniu, co?

Madame Latulipe zarechotała sztucznie, co zdradza wszystkich ludzi pozbawionych poczucia humoru. Ale Yvonne patrzyła Jonathnowi prosto w oczy z nieskrywaną ciekawością.

Czy to był zabieg taktyczny, czy moja piekielna kalkulacja? - zastanawiał się później Jonathan. A może to samobójcza nierozwaga zadecydowała, że w pierwszych kilku chwilach od naszego spotkania powiedziałem jej, że jestem zbiegiem?

* * *

Starsi Latulipe'owie szybko zaczęli się rozkoszować sukcesami nowego pracownika. Ich sympatia rosła w miarę, jak ujawniał coraz to inne umiejętności. W zamian Jonathan, żołnierz doskonały, harował od świtu do nocy. Przeżywał niegdyś takie chwile, w których sprzedałby duszę, żeby zamienić kuchnię na elegancki smoking kierownika. To była przeszłość. Od szóstej rano wydawał śniadania dla ludzi wracających z nocnej zmiany. Czekał już na nich. Danie składające się z trzystugramowego befsztyku z polędwicy, dwóch jajek i frytek nie było czymś nadzwyczajnym. Kręcąc nosem na torby mrożonych frytek i śmierdzący olej niewiadomego pochodzenia faworyzowany przez szefową, obierał i podgotowywał świeże ziemniaki, potem smażył w mieszance olejów słonecznikowego i z orzeszków ziemnych. Wszystko musiało być najwyższej jakości. Gotując rosół, używał specjalnego gara, zorganizował półkę z przyprawami, robił potrawki, duszone mięsa, pierogi. Wyszukał zaniedbany zestaw noży kuchennych i naostrzył go idealnie - nikomu poza nim nie wolno było go dotykać. Natchnął życiem starą kuchenkę, wobec której madame Latulipe używała rozmaitych określeń: niehigieniczna, niebezpieczna, brzydka albo zbyt bezcenna, by można było jej używać. Gdy solił, robił to na sposób prawdziwych mistrzów kucharskich, unosił rękę powyżej głowy i sypał z wysokości. Jego biblią był zniszczony egzemplarz ukochanego *Le répertoire de la cuisine*, na który ku swemu zachwytowi przypadkowo natknął się w miejscowym sklepie ze starzyzną.

Wszystko to madame Latulipe obserwowała z uwielbieniem, żeby nie powiedzieć - z obsesyjnym podziwem. Zamówiła dla niego nowe stroje, nowe czapy i mało brakowało, a zamówiłyby kanarkowe

kamizelki, lakierki na obcasach i podwiązki. Kupiła mu drogie garnki i garnki do gotowania na parze, z których korzystał, kiedy tylko mógł. A gdy się dowiedziała, że wykorzystał zwyczajny palnik spawacza do przyrządzenia *creme brûlée*, to połączenie artyzmu i przyziemności robiło na niej takie wrażenie, że uparła się pokazać kuchnię swoim przyjaciółkom artystkom.

- On jest tak wyrafinowany, ten nasz Jacques, *tu ne crois pas, Mimi, ma chère?* Skryty, przystojny, utalentowany, a gdy zechce, potrafi rządzić żelazną ręką. A tak! My, starsze panie, możemy mówić takie rzeczy. Kiedy widzimy znakomitego męzczyznę, nie musimy się rumienić jak podlotki. *Tant pis d'abord, Helene?*

* Nie sądzisz, Mimi, kochanie?

Lecz ta sama powściągliwość, którą podziwiała u Jonathana, wywoływała w niej rozterkę. Jeśli Jonathan nie należał do niej, to do kogo? Początkowo uznała, że jej nowy pracownik pisze powieść, ale gdy przejrzała papiery na jego biurku, nie znalazła niczego poza brulionami zażaleń do Ambasady Szwajcarskiej w Ottawie, które żołnierz zwiadu bezpośredniego, przewidując zainteresowanie szefowej, sporządził, by miała na co trafić.

- Jesteś zakochany, Jacques?
- Nic mi o tym nie wiadomo, madame.
- Jesteś nieszczęśliwy? Samotny?
- Jestem bezgranicznie zadowolony.
- Ale zadowolony to za mało! Musisz się zatracić. Musisz ryzykować każdy dzień. Musisz zaznać ekstazy.

Jonathan zapewnił, że w ekstazę wprawia go praca.

Po lunchu mógł wziąć wolne popołudnie, lecz częściej schodził do piwnicy i pomagał wynosić na podwórko skrzynie pustych butelek, podczas gdy monsieur Latulipe robił inwentaryzację; bo niech Bóg ma w swojej opiece kelnera albo barmankę przemycających butelkę, aby sprzedać ją z marżą dyskotekową.

Trzy wieczory później Jonathan przygotował rodzinną kolację. Jedli przy okrągłym kuchennym stole. Madame Latulipe prowadziła intelektualną konwersację.

- Jesteś z Bazylei, Jacques?
- Miałem niedaleko do Bazylei, madame.
- Z Genewy?
- Tak, do Genewy było bliżej.
- Genewa to stolica Szwajcarii, Yvonne.

Yvonne nie podniosła głowy.

- Jesteś dziś szczęśliwa, Yvonne? Rozmawiałaś z Thomasem?

Musisz z nim rozmawiać codziennie. Kiedy jest się zakochanym, to normalne.

Około jedenastej, kiedy dyskoteka się rozkręcała, Jonathan zjawiał się i tam z pomocą. Występy do jedenastej ograniczały się do zwyczajnego striptizu, ale potem pokazy nabierały rumieńców i dziewczęta rezygnowały z wkładania ubrań pomiędzy numerami, zadowalały się naszywanymi cekinami fartuszkami na pieniądze i ewentualnie luźno narzucanymi szlafroczkami. Gdy rozkładały dla kogoś nogi za pięć dolarów ekstra - indywidualna usługa przy stoliku klienta, świadczona na wysokim stołku zapewnianym w tym celu przez lokal - prezentowany widok przypominał kosmatą norkę należąca do jakiegoś oświetlonego sztucznym blaskiem nocnego zwierzęcia.

- Podobają ci się nasze pokazy, Jonathanie? Uważasz, że są kulturalne? Stymulują cię trochę, nawet ciebie?

- Są bardzo skuteczne, madame.

- Cieszę się. Nie powinniśmy sobie wzbraniać uczuć.

Bójki zdarzały się rzadko i równie przypadkowo co zatargi szczeniaków. Tylko najgorsze kończyły się wyrzuceniem gościa. Krzesło szurnęło po podłodze, dziewczyna odskoczyła do tyłu, pięść spadła w twarz, zapadało głuche milczenie zmagających się mężczyzn. Potem spod ziemi wyrastał André Latulipe, rozdzielał walczących i trzymał, aż zawarli rozejm. Za pierwszym razem, gdy się to wydarzyło, Jonathan pozwolił mu załatwić sprawę po swojemu. Ale gdy wielgachny pijus zamachnął się na Latulipe'a, Jonathan wykręcił natrętowi rękę i wyprowadził go na świeże powietrze.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - spytał właściciel, gdy inwentaryzowali bar.

- W wojsku.

- W Szwajcarii jest wojsko?!

- Obowiązkowe dla wszystkich.

Pewnego niedzielnego wieczoru zjawiał się katolicki proboszcz w zabrudzonej koloratce i łatanej sutannie. Dziewczęta przerwały taniec i Yvonne zjadła z nim tort cytrynowy, za który proboszcz uparł się zapłacić pieniędzmi z traperskiej torby związanej rzemykiem. Jonathan przyglądał się temu z boku.

Innej nocy pojawił się chłop jak góra, z ostrzyżonymi krótko siwymi włosami, w miękkiej sztruksowej kurtce ze skórzanymi łatami na łokciach. Wesoła żoneczka ubrana w futro kaczkowatym krokiem dreptała u jego boku. Ukraińscy kelnerzy Latulipe'ów postawili stolik przy estradzie. Zamówił szampana, dwie porcje wędzonego łososia i

przyglądał się występom z ojcowskim pobłażaniem. Lecz gdy Latulipe chciał ostrzec Jonathana, że komisarz nie będzie płacił rachunku, okazało się, iż Jonathan znikł.

- Masz coś przeciwko policji?
- Dopóki mój paszport nie wróci, tak.
- Skąd wiedziałeś, że to policjant?

Jonathan uśmiechnął się rozbijając, ale Latulipe nie przypomniał sobie potem, by usłyszał jakąkolwiek odpowiedź.

Powinniśmy go ostrzec - powiedziała po raz piąty madame Latulipe, leżąc w łóżku męczona bezsennością. - Ona świadomie go prowokuje. Znowu próbuje tych swoich starych sztuczek.

- Przecież w ogóle ze sobą nie rozmawiają. Wcale na siebie nie patrzą - zaprotestował mąż, odkładając książkę.

- I nie wiesz czemu? Dwoje przestępców?

- Jest zaręczona z Thomasem i wyjdzie za Thomasa - powiedział Latulipe. - Od kiedy to brak przestępstwa jest przestępstwem? - dodał przytomnie.

- Mówisz jak barbarzyńca. To zresztą żadna nowość. Barbarzyńca to człowiek bez intuicji. Powiedziałeś mu, że nie powinien sypiać z dziewczętami z dyskoteki?

- Nie widać, żeby się do tego palił.

- No i masz znowu! Może lepiej, żeby było na odwrót.

- Jest sportowcem, na litość boską! - wybuchnął Latulipe. Przeważył w nim słowiański temperament. - Wyżywa się inaczej. Biega. Chodzi po lesie. Żegluj. Jeździ na motorze. Gotuje. Pracuje. Śpi. Nie każdy mężczyzna ma obsesję na punkcie seksu.

- No, to jest pedziem - orzekła madame Latulipe. - Wystarczyło mi raz na niego popatrzeć. Yvonne traci czas. Będzie miała nauczkę.

- Nie jest pedziem! Spytaj Ukraińców! Jest zupełnie normalny!

- Widziałeś wreszcie jego paszport?

- Jego paszport nie ma żadnego związku z tym, czy jest pedziem! Paszport został wysłany do ambasady szwajcarskiej. Musi być przedłużony, zanim Ottawa wbije wizę. Biurokraci przerzucają między sobą Jonathana jak piłkę.

- „Biurokraci przerzucają mnie jak piłkę”? W kółko to samo! Za kogo on się uważa? Za Wiktora Hugo? Szwajcarzy tak nie mówią!

- Nie wiem, jak Szwajcarzy mówią.

- To spytaj Cici! Cici mówi, że Szwajcarzy to prostaki. Wyszła za jednego z nich. Już ona wie. Beauregard to Francuz, jestem pewna.

Gotuje jak Francuz, mówi jak Francuz, jest arogancki jak Francuz, jest sprytny jak Francuz. I jest zepsuty jak Francuz. Oczywiście, że to Francuz! Jest Francuzem i kłamcą!

Ciężko wdychając, omijała wzrokiem męża, wpatrywała się w sufit, na którym roje papierowych gwiazd błyszczały w ciemności.

- Jego matka była Niemką. - Latulipe usiłował wprowadzić spokojniejszy ton.

- Co??? Nonsens! Niemcy to blondyni. Kto ci coś takiego powiedział?

- On sam. Wczoraj wieczorem w dyskotecie było paru niemieckich inżynierów. Beauregard rozmawiał z nimi po niemiecku jak hitlerowiec. Spytałem go. Mówi też po angielsku.

- Musisz porozmawiać z władzami. Beauregarda trzeba przywołać do porządku albo niech się wynosi. To mój hotel czy jego? On jest tu nielegalnie, jestem pewna. Za bardzo różni się od otoczenia. *C'est bien sur!**

Odwróciła się plecami do męża, wyłączyła radio i wściekła patrzyła na swoje papierowe gwiazdki.

* To pewne.

Dziesięć dni po tym, jak Yvonne ubrała go w biały strój roboczy, Jonathan podjechał harleyem pod Mange-Quick przy północnej wylotówce i odebrał ją stamtąd. Niby przypadkiem spotkali się na korytarzu poddasza. Powiedział, że ma jutro wolny dzień, ona spytała, co z nim zrobi. Odparł, że wypożyczy motocykl. Może przejedzie się nad jeziora.

- Ojciec trzyma łódź przy swoim domu letniskowym. - Zabrzmiało to tak, jakby matka nie istniała.

Następnego dnia czekała, tak jak było umówione, blada, ale zdecydowana. Pejzaż odsłaniał się z wolna, majestatycznie. Falujące niebieskie lasy i wyschłe niebo. Lecz w miarę jak posuwali się na północ, ściemniło się i wschodni wiatr przyniósł mżawkę. Zanim dotarli do domu, rozpadało się na dobre. Rozebrali się nawzajem i całe życie minęło Jonathanowi, gdy nie znajdując zaspokojenia i ulgi, nadrabiał miesiące abstynencji. Zmagala się z nim, odrywając oczy jedynie w tych momentach, gdy prezentowała mu inną siebie, gdy stawała się inną kobietą.

- Poczekaj - szepnęła.

Jej ciało westchnęło, opadło, znów się uniosło, twarz spięła się i zbrzydła, ale nie rozpadła. Wymknął jej się okrzyk poddania, ale

dobyl się z takiej dali, jakby mógł pochodzić z otaczających ich przemokłych lasów lub głębi szarego jeziora. Dosiadła Jonathana i znów zaczęli wspinaczkę, szczyt za szczytem. Utonęli wspólnie.

Leżał przy niej baczny, patrzył, jak łapie oddech, niechętny jej odpoczynkowi. Usiłował dojść, kogo zdradza. Sophie? A może jak zwykle samego siebie? Zdradzamy Thomasa. Odwróciła się do niego plecami. Jej piękno zwiększyło jego samotność. Zaczął ją pieścić.

- To dobry człowiek - powiedziała. - Zajmuje się antropologią i prawami Indian. Jego ojciec, adwokat, pracuje z plemieniem Kri. Thomas chce iść w jego ślady. - Znalazła butelkę wina i przyniosła do łóżka. Położyła głowę na piersi Jonathana.

- Na pewno bardzo by mi się spodobał - rzekł uprzejmie, wyobrażając sobie szczerego marzyciela w swetrze z Wysp Owczych, piszącego list miłosny na papierze z recyklingu.

- Jest w tobie kłamstwo - powiedziała, całując go z roztargnieniem. - Jest w tobie jakieś kłamstwo. Mówisz samą prawdę, ale kłamiesz. Nie rozumiem cię.

- Uciekam - powiedział. - Miałem kłopoty w Anglii.

Podsunęła się wyżej i położyła głowę obok jego głowy.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Muszę dostać paszport - powiedział. - Ten numer ze Szwajcaram to bujda. Jestem Brytyjczykiem.

- Co?!

Była podniecona. Wzięła jego kieliszek i piła, obserwując Jonathana nad krawędzią szkła.

- Może by się dało jakiś ukraść - powiedziała. - Zmieniłoby się zdjęcia. Jeden mój przyjaciel tak zrobił.

- Może by się dało - zgodził się z nią.

Pieściła go, jej oczy płonęły.

- Próbowałem wszystkiego, co się tylko da - powiedział. - Sprawdzałem w pokojach gości, w parkujących samochodach. Nikt nie nosi tu przy sobie paszportu. Byłem na poczcie, wziąłem formularze, przejrzałem warunki. Odwiedziłem miejski cmentarz, szukałem zmarłych mężczyzn w moim wieku, myślałem, że mógłbym złożyć podanie na ich nazwisko. Ale w tych czasach człowiek nigdy nie wie, kiedy jest bezpieczny; może zmarli są już w jakimś komputerze.

- Jak się naprawdę nazywasz? - szepnęła. - Kim jesteś? Kim?

Przeżył chwilę cudownego uspokojenia, gdy złożył jej najcenniejsze

szy dar.

- Pine. Jonathan Pine.

Cały dzień spędzili nago, a gdy deszcz ustał, przepłynęli łódką na wysepkę pośrodku jeziora i pływali nago przy kamienistej plaży.

- Za pięć tygodni oddaje pracę magisterską - powiedziała.
- A potem?
- Żeni się z Yvonne.
- A potem?
- Praca z Indianami w głuszy. - Powiedziała mu gdzie. Odплыnęli

daleko od brzegu.

- We dwoje? - spytał.
- Jasne.
- Jak długo?

- Parę lat. Zobaczymy, jak będzie szło. Chcemy mieć dzieci. Z sześcioro.

- Będiesz mu wierna?
- Jasne. Czasami.
- Kto tam żyje?
- Głównie Kri. On najbardziej lubi Kri. Całkiem dobrze mówi ich

językiem.

- A co z miesiącem miodowym?
- Z Thomasem? Jego zdaniem idealny miesiąc miodowy to obiady w McDonalddie i trening hokejowy na lodowisku.

- Podróżuje?
- Terytoria Północno-Zachodnie. Dystrykt Keewatin. Yellowknife. Wielkie Jezioro Niewolnicze. Norman Wells. Wszędzie jeździ.
- Chodziło mi o zagranicę.

Pokręciła głową.

- Nie w stylu Thomasa. Mówi, że w Kanadzie jest wszystko.
- Jakie wszystko?
- Wszystko, czego potrzebujemy w życiu. Wszystko jest tu. Po co jechać dalej? Mówi, że ludzie za dużo podróżują. Ma rację.
- Więc nie potrzebuje paszportu - stwierdził Jonathan.
- Spierdalaj. Wracamy na brzeg.

Ale gdy zrobili kolację i znów się kochali, zaczęła go słuchać.

* * *

Kochali się każdego dnia lub nocy. Nad samym ranem, gdy wracał z dyskoteki, Yvonne leżała, czekając na sygnał - przelotne muśnięcie

ręką po drzwiach. Podchodził do niej na palcach, a ona wciągała go na siebie. Był jej ostatnią szklanką wody przed pustynią. Uprawiali miłość niemal bez ruchu, bo każdy ruch na poddaszu roznosił się po całym domu niczym uderzenie bębna. Gdy zaczęła krzyczeć z rozkoszy, zakrył jej usta dłonią. Ugryzła go, zostawiając ślady zębów na kciuku.

- Jeśli twoja matka nas nakryje, wyrzuci mnie - powiedział.
- Mniejsza z tym - szepnęła, obejmując go mocniej. - Pójdę z tobą. - Wydawało się, że zapomniała wszystko, co opowiedział jej o swoich planach.

- Potrzebuję więcej czasu - upierał się.
- Na załatwienie paszportu?
- Dla ciebie - odparł, uśmiechając się w ciemności.

Nienawidziła, gdy odchodził, ale nie miała śmiałości go zatrzymać. Madame Latulipe zaglądała na poddasze o najdziwniejszych porach dnia i nocy.

- Śpisz, *cocotte**? Jesteś szczęśliwa? Zostały tylko cztery tygodnie do ślubu, *mon p'tit chou***.

* Kureczko.

** Koteczku.

Pewnego razu, gdy matka się zjawiała, Jonathan leżał obok Yvonne w ciemności, ale na szczęście madame Latulipe nie włączyła światła.

Pojechali błękitnym pontikiem Yvonne do motelu w Tolerance i dzięki Bogu kazał jej wyjść z domku samej, bo gdy szła do samochodu, nadal niosąc na sobie zapach Jonathana, zobaczyła Mimi Leduc uśmiechającą się do niej od ucha do ucha z sąsiedniego miejsca parkingowego.

- *Tu fais visite au show*?* - wrzasnęła Mimi, opuszczając szybę.
- Mhm.
- *C'est super, n'est-ce pas? Tas vu le little black dress? Tre's low, tre's sexy***?

- Mhm.

- Kupiłam ją! *Toi aussifaut l'acheter! Pour ton trouss - eauuu!****

* Byłaś na pokazie?

** Znakomity, no nie? Widziałaś tę czarną sukieneczkę? Bardzo nisko wycięta, bardzo sexy?

*** Też ją powinnaś kupić! Do twojej torebki - uch!

Kochali się w pustym pokoju hotelowym, gdy matka robiła zakupy w supermarkecie, i kochali się w garderobie. Ogarnięta seksualnym szaleństwem stała się nieostrożna. Uzależniła się od ryzyka. Całe dni wypatrywała chwil, podczas których mogli być razem.

- Kiedy pójdziesz do księdza? - spytał.
- Kiedy będę gotowa - odparła z pokrętną godnością, prawie jak Sophie.

Zdecydowała, że weźmie się do tego następnego dnia.

Stary proboszcz Savigny nigdy nie zawiódł Yvonne. Od dzieciństwa przychodziła do niego ze swoimi troskami, triumfami i tajemnicami. Gdy ojciec jej przyłożył, to właśnie stary Savigny opatrzył siniaka na oku i przemówił do rozsądku. Kiedy matka doprowadzała ją do szafu, stary Savigny śmiał się i mówił, że po prostu wychodzi z niej głupia baba. Kiedy Yvonne zaczęła sypiać z chłopcami, nigdy nie kazał jej wziąć na wstrzymanie. A gdy straciła wiarę, był smutny, ale nadal odwiedzała go każdego niedzielnego wieczoru po mszy, na którą już nie uczęszczała, zaopatrzona w coś, co zdołała gwizdnąć z hotelu: butelkę wina lub, jak tego wieczoru, szkockiej.

- *Bon, Yvonne!* Siadaj. Mój Boże, oczy błyszczą ci jak gwiazdy. Jezus Maria, co tam mi przyniosłaś? To ja winienem przynosić prezenty pannie młodej!

Wzniósł toast na jej cześć, usiadł wygodnie w starym fotelu, wpatrując się w wieczność łzawiącymi starymi oczami.

- W *Espérance* jesteśmy zobowiązani do wzajemnej miłości - zaczerpnął gdzieś ze środka swojej nauki dla przyszłych małżeństw.

- Wiem.

- Zaledwie wczoraj wszyscy byliśmy tu sobie obcy, każdy tęsknił za swoją rodziną, krajem, każdy trochę bał się głuszy i Indian.

- Wiem.

- Więc zbliżyliśmy się do siebie. I kochaliśmy się nawzajem. To było naturalne. To było konieczne. I poświęciliśmy naszą wspólnotę Bogu. I naszą miłość Bogu. Staliśmy się Jego dziećmi na pustkowiu.

- Wiem - powtórzyła Yvonne, żalując, że w ogóle przyszła.

- I dzisiaj jesteśmy dobrymi mieszczanami. *Espérance* wydoroślało. Jest dobre, jest piękne, jest chrześcijańskie. Ale nudne. Jaki jest Thomas?

- Thomas jest wspaniały - odparła, sięgając po torebkę.

- Ale kiedy go do mnie przyprowadzisz? Czy to z powodu matki nie pozwalasz mu przyjechać do *Espérance*? Jeśli tak, to chyba czas poddać go próbie ognia?! - Roześmieli się razem. Stary Savigny miewał takie przebliski intuicji i uwielbiała go za nie. - To musi być nie byle jaki chłopak, że złapał taką dziewczynę jak ty. Kocha cię do szaleństwa? Pisz do ciebie trzy razy dziennie?

- Thomas jest trochę zapominalski.

Znów roześmieli się zgodnie, podczas gdy stary proboszcz powtarzał „zapominalski” i kręcił głową. Otworzyła torebkę, wyjęła dwa zdjęcia w folii i wręczyła mu jedno. Potem podała leżące na stole stare okulary w stalowych oprawkach. Potem czekała, podczas gdy on przyglądał się fotografii.

- To jest Thomas?! Boże mój, co to za śliczny chłopak! Nic mi nie mówiłaś! Zapominalski? Ten mężczyzna? Toż on wymiata! Twoja matka kłękłaby u stóp takiego mężczyzny!

Nadal podziwiając zdjęcie Jonathana na odległość wyciągniętego ramienia, manewrował nim, podstawiając pod światło padające z okna.

- Szykuję mu niespodziankę na miesiąc poślubny - powiedziała. - Nie ma paszportu. Chcę mu go wręczyć w zakrystii.

Starzec już grzebał w kieszeni włóczkowej kamizelki, szukając długopisu. Podała mu swój przygotowany. Odwróciła fotografię i obserwowała, jak z dziecięcym zapałem potwierdza ich autentyczność mocą swojego urzędu - osoby duchownej uprawnionej przez władze Quebecu do udzielania małżeństw. Z torebki wyjęła niebieski formularz paszportowy, „Formularz A dla osób powyżej 16, roku życia”, i wskazała księdzu miejsce, w którym musiał się podpisać jako świadek osobiście znający składającego podanie.

- Ale jak długo go znam? Nigdy na oczy nie widziałem tego drania!

- Wpisz po prostu „zawsze” - powiedziała Yvonne i patrzyła, jak wpisuje: *la vie entière*.*

* Przez całe życie.

„Tom - zatelegrafowała triumfalnie tego wieczoru. - Trzeba do kościoła dostarczyć Twój akt urodzenia. Prześlij ekspresem do Babette. Kochaj mnie. Yvonne”.

Gdy Jonathan musnął ręką jej drzwi, udała, że śpi, i ani drgnęła. Lecz gdy stanął przy jej pościeli, podniosła się i uściskała chciwiej niż kiedykolwiek.

- Zrobiłam to - powtarzała szeptem. - Mam to! Uda się!

Wkrótce po tym zdarzeniu, też wczesnym popołudniem, madame Latulipe złożyła zapowiedzianą wcześniej wizytę przeogromnemu komisarzowi w jego wspaniałym biurze. Przywdziała fiołkoworóżową suknię, być może na znak częściowej żałoby.

- Angélique... - powiedział komisarz, podsuwając jej krzesło. -

Moja droga... Zawsze do twoich usług.

Podobnie jak proboszcz, komisarz był starym kowbojem. Podpisane fotografie na ścianach ukazywały go w kwiecie wieku, czy to w futrach prowadzącego psi zaprzęg, czy to jako samotnego bohatera w głuszy ścigającego konno przestępcę. Ale te pamiątki wyświadczały komisarzowi niedźwiedzią przysługę. Dziś pokryte siwym zarostem podbródki zniekształcały niegdyś monarszy profil. Wyświecona brązowa koszula opinała się nad skórzanym pasem mundurowym na wielkim jak piłka brzuchu.

- Któraś z twoich dziewcząt znowu wpakowała się w jakąś ka-bałę? - spytał z domyślnym uśmiechem.

- Dziękuję, Louis, nic mi o tym nie wiadomo.

- Ktoś gmerał w kasie?

- Nie, Louis, nasze rachunki są w całkowitym porządku, dzięki.

Komisarz rozpoznał ton i przygotował się do akcji.

- Miło mi to słyszeć, Angelique. Wiele słyszy się o takich sprawa-ch dzisiejszymi czasy. Dawniej takie rzeczy zupełnie nie mieściły się w głowie. *Un p'tit drink?**

* Łykniesz kropelkę?

- Dziękuję, Louis, to nie towarzyska wizyta. Żądam, żebyś przeprowadził dochodzenie w sprawie młodego mężczyzny, którego André zatrudnił w naszym hotelu.

- Co takiego zrobił ten mężczyzna?

- Problem raczej w tym, co zrobił André. Zatrudnił człowieka bez dokumentów. Był *naïf**

* Naiwny.

- André to gość z sercem na dłoni, Angelique. Dobry człowiek.

- Może ma za pojemne to serce. Tamten człowiek jest u nas już od dziesięciu tygodni i jego papierów jak nie było, tak nie ma. Postawił nas w sytuacji niezgodnej z prawem.

- Tu nie Ottawa, Angelique. Sama wiesz.

- Twierdzi, że jest Szwajcarem.

- No to może nim jest. Szwajcaria to miły kraj.

- Najpierw mówi André, że jego paszport jest u władz imigracyjnych, potem mówi, że jest przedłużany w ambasadzie szwajcarskiej, teraz znowu ma być u innych władz. Gdzie jest na-prawdę?

- No, ja go nie mam. Wiesz, jaka jest Ottawa. Tym ciotom trzeba trzech miesięcy na podtarcie dupy - rzekł komisarz, uśmiechając się szeroko z powodu trafności określenia.

Madame Latulipe nabrała kolorów. Nie dzięki uroczemu rumieńcowi. Na jej twarz wypełzły chorobliwe plamy furii, wprawiając komisarza w zdenerwowanie.

- On nie jest Szwajcarem! - oznajmiła.

- Skąd o tym wiesz, Angelique?

- Bo telefonowałam do ambasady szwajcarskiej. Powiedziałam, że jestem jego matką.

- I?

- I że zwłoka doprowadza mnie do wściekłości, bo mój syn nie ma pozwolenia na pracę, jego długi rosną, jest w depresji i jak nie mogę posiać paszportu, to muszą wydać dokument stwierdzający, że wszystko jest w porządku.

- Z pewnością wypadłaś na medal. Jesteś świetną aktorką. Wszyscy o tym wiemy.

- Nic o nim nie wiedzą. Nie mają żadnego Jacques'a Beauregarda, Szwajcara mieszkającego w Kanadzie. Zmyślił wszystko. To uwodziciel.

- Kto?!

- On uwiódł moją córkę Yvonne. Jest w nim zadurzona. To wyrafinowany oszust i zamierza odebrać mi córkę, ograbić mnie ze wszystkiego, z hotelu, spokoju ducha, naszego szczęścia, naszego...

Przygotowała całą listę rzeczy, z których Jonathan ją ograbił. Skompilowała ją, leżąc bezsennie w nocy, i wzbogacała o kolejne pozycje przy każdej nowej oznace obsesji córki na punkcie tego złodzieja. Pominęła tylko jedno przestępstwo - kradzież własnego serca.

10

Pas startowy wyglądał jak zielona wstęga rzucona na brąz mokradel Luizjany. Przy brzegu pasły się krowy, a białe czaple przysiadły na ich grzbietach, z wysoka przypominając spłachetki śniegu. Przy końcu wstążki stał zniszczony blaszany barak, niegdyś pełniący rolę hangaru. Od niego do drogi prowadził szlak w czerwonej glinie, ale Strelski nie był pewien, czy to właściwe miejsce, a może niezbyt mu się spodobało. Położył cessnę na skrzydło, zmniejszając wysokość, a następnie przeleciał po przekątnej nad bagnem. Z tylnego fotela Burr widział stary dystrybutor paliwa obok baraku i dalej zamkniętą bramę z drutu kolczastego. Nie dostrzegł znaku życia, dopóki nie zauważył świeżych śladów opon na trawie. Strelski dojrzał je w tym samym momencie i chyba mu się spodobały, bo pchnął manetki gazu, zawrócił i nadleciał od zachodu. Musiał powiedzieć coś Flynnowi przez interkom, bo Flynn uniósł poznaczone wątrobianymi plamami dłonie z pistoletu maszynowego leżącego na podołku i wykonał nietypowy dla siebie gest - wzruszył ramionami na latynoską modłę. Minęła godzina od wylotu z Baton Rouge.

Cessna dotknęła ziemi ze starczym stęknięciem i podskakując, potoczyła się wzdłuż grobli. Ani krowy, ani czaple nie zareagowały. Strelski i Flynn wyskoczyli na trawę. Grobla była wąskim pasem ziemi między parującymi błotnymi równinami, które kotłowały się, cmokając. Pośród oparów krążyły opasłe bąki. Flynn poprowadził ich do baraku, pistolet miał zwieszony na piersi, rozglądał się na wszystkie strony. Za nim szedł Strelski z teczką i wyciągniętym automatem. Za nimi podążał Burr uzbrojony wyłącznie w modlitwę, bo był słabo obeznany z bronią i nie cierpiał jej.

„Pat Flynn zaliczył północną Birnę” - opowiadał Strelski. „Pat Flynn zaliczył Salwador... Pat to ten nieprawdopodobny chrześcijanin...” Strelski lubił uderzać w ton zachwytu, mówiąc o Flynnie.

Burr zatrzymał się nad śladami opon i przypatrywał im się uważ-

nie. Samochód czy samolot? Zdał sobie sprawę, że nie da się tego odgadnąć, i zawstydził się głęboko, że od razu na to nie wpadł.

„Mówiliśmy Michaelowi, że jesteś ważnym Angolem - opowiadał jeszcze Strelski. - Jak ciotka Winstona Churchilla”.

„Ważniejszym” - poprawił Flynn.

- Jest ojciec Lucan i brat Michael - mówił Burrowi Strelski poprzedniej nocy, gdy siedzieli na werandzie domku plażowego w Fort Lauderdale. - Pat Flynn dyktuje warunki. Chcesz o coś spytać Michaela, najlepiej, żeby Pat to zrobił. Gość jest do wyrzygania i jest pierdolnięty w głowę. Zgadza się, Pat?

Flynn wielką dłonią zakrywa usta rozchylające się w gamoniowatym uśmiechu.

- Michael jest cudowny - oświadcza.

- I pobożny - mówi Strelski. - Michael jest wyjątkowo świętobliwy, zgadza się, Pat?

- Zgadza się, Joe - potwierdza Flynn. Następnie pośród chichotów Strelski i Flynn przedstawiają Burrowi historię brata Michaela, który został powołany przez Jezusa do dostąpienia wzniosłości przez koncertowe kapowanie, „historię - z naciskiem podkreśla Strelski - która nigdy by się nie wydarzyła, gdyby obecny tu agent Flynn przypadkiem nie wpadł na jeden weekend wielkopostny do Bostonu, szukając duchowej ucieczki przed ślubną małżonką i lecząc duszę za pomocą skrzynki irlandzkiego bushmillsa w towarzystwie paru podobnie abstynencko nastawionych facetów z seminarium”.

- Racja, Pat? - dopytuje się natarczywie Strelski, być może zaniepokojony, że Flynn zapadnie w drzemkę.

- Święta racja, Joe - przytakuje Flynn, popijając whisky i odgryzając wielki kęs pizzy. Łagodnym wzrokiem śledzi księżyc w pełni zachodzący nad Atlantykiem.

- I ledwo ten tu Pat i czcigodni braciszczowie uporali się z pierwszą butelką whisky, Leonardzie - kontynuuje Strelski - a tu wtacza się ojciec opat we własnej osobie, zapytując, czy agent nadzwyczajny Patrick Flynn ze Służby Celnej USA zdobyłby się na takie poświęcenie i posłużył mu radą w zaciszu prywatnego gabinetu?

A gdy agent Flynn miłosiernie przystaje na tę propozycję, w gabinecie ojca opata - powiada Strelski - zastaje siedzącego tego tyczkowatego chłopacznę z Teksasu, z uszami jak rakiетки pingpongowe, i okazuje się, że jest to ojciec Lucan z przybytku o nazwie Pustelnia pod Wezwaniem Krwi Przenajświętszej Dziewicy w No-

wym Orleanie, którą to pustelnią z przyczyn wiadomych tylko papieżowi opiekuje się opat z Bostonu.

I ten Lucan - kontynuuje Strelski - ten dzieciak z uszami jak rakiety pingpongowe i trądzikiem, ma za zadanie odzyskiwać zagubione dusze dla Błogosławionej Dziewicy siłą osobistego uświęcenia i przykładem jej apostołów.

W trakcie tych syzyfowych trudów - powiada Strelski (podczas gdy Flynn chichocze, potakuje zaczerwieniony i szarpie lok na czole jak jakiś kretyn) - Lucan wysłuchał spowiedzi bogatego penitenta, którego córka niedawno popełniła wyjątkowo obrzydliwe samobójstwo z powodu przestępczego stylu życia i rozpusty swojego ojca.

I ten sam penitent - powiada Strelski - w najwyższym wyrazie skruchy oczyścił w trakcie spowiedzi przed Lucanem duszę z rzeczy tak drastycznych, że biedny chłopiec wziął dupę w troki i co sił pognął do opata w Bostonie po poradę duchową i sole trzeźwiące. Penitent okazał się największym, kurwa, bandytą, na jakiego Lucan czy ktokolwiek inny trafił w całym swoim życiu...

Żal za grzechy u handlarza narkotyków, Leonardzie, to jak bardzo krótkie święto. - Strelski uderzył w nutę filozoficzną. Flynn spokojnie uśmiecha się do księżyca. - Skrucha, rzekłbym, to rzecz nieznaną. Zanim Patrick do niego dotarł, Michael już żałował chwili słabości, zasłaniał się pierwszą poprawką, piątą poprawką i chorą babcią. Poza tym wszystko, co powiedział, było nieoficjalne i należy to przypisać demencji i żalobie. Ale ten tu Pat - kolejne uśmiechy Flynna - siłą swojej wiary uratował sytuację. Dał Michaelowi dokładnie dwie możliwości. W kolumnie A było od siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu lat odsiadki. W kolumnie B była gra w jednej drużynie ramię w ramię z legionami Pana Boga, gwarancja amnestii i posuwanie pierwszoplanowych artystek z Folies Bergère. Michael całe dwadzieścia sekund poświęcił naradzie ze Stwórcą, przypomniał sobie o swoim poczuciu etyki i stwierdził, że coś mu każe postawić na kolumnę B.

Flynn stał w baraku, gestem zapraszając Burra i Strelskiego do środka. W cuchnącym nietoperzami wnętrzu panował żar jak w piecu. Na połamanym stole, drewnianej ławce i poprzewracanych plastikowych krzesłach wokół leżały nietoperzowe odchody. Nietoperze tuliły się do siebie jak wystraszone klauny, dwójkami i trójkami, zwisając głowami w dół z żelaznych dźwigarów. Roztrzaskane radio stało przy ścianie obok generatora z rządkiem starych śladów po kulach. Ktoś

doprowadził to miejsce do ruiny - uznał Burr. Ktoś powiedział: Jak już nie mamy więcej korzystać z tego miejsca, to nikt nie będzie korzystał, i rozwalił wszystko, co dało się rozwalić. Flynn ostatni raz rozejrzał się po otoczeniu i zamknął drzwi. Burr zastanowił się, czy to sygnał. Flynn zabrał ze sobą zielone spirale przeciw moskitom. Napisy na papierowej torbie głośniły: „Ratuj planetę. Nie bierz dzisiaj reklamówki”. Flynn zapalił spirale. Strużki zielonego dymu zaczęły sięgać blaszanego dachu, budząc poruszenie wśród nietoperzy. Hiszpańskie graffiti na ścianach obiecywały jankesom zagładę.

Strelski i Flynn usiedli na ławce. Burr balansował półdupkiem na połamanym krześle. Samochód - zdecydował. Te ślady opon zostawił samochód. Cztery jadące prosto koła.

Flynn umieścił karabinek na kolanach, położył palec na spuście i zamknął oczy, słuchając gaworzenia cykad. „Pas startowy zbudowali w latach sześćdziesiątych szmuglerzy marihuany - powiedział Strelski - ale był za mały na współczesne transporty. Dzisiejsi handlarze narkotyków używają transportowców 747 oznaczonych międzynarodowym kodem, ukrywają towar w oficjalnym ładunku i korzystają z najlepiej wyposażonych lotnisk. A na drogę powrotną napychają samoloty futrami z norek dla swoich dziwek i granatami rozpryskowymi dla swoich przyjaciół. Handlarze narkotyków nie różnią się od reszty facetów siedzących w transporcie. Nie cierpią robić trasy powrotnej na pusto”.

Minęło pół godziny. Burrowi zbierało się na wymioty od dymu spiralki. Upał panował tropikalny. Pot jak woda z prysznicą zlewał mu twarz, koszula nadawała się do wyżęcia. Strelski podał mu butelkę ciepłej wody, Burr wypił trochę i położył na czoło zmoczoną chusteczkę do nosa. Kapuś zakapował dalej i zostaniemy załatwieni - pomyślał Burr.

Strelski zdjął jedną nogę z drugiej, uwalniając ściśnięte jądra. Na kolanach trzymał automatyczną czterdziestkępiątkę, w aluminiowej kaburze na tyłce nosił rewolwer.

„Powiedzieliśmy mu, że jesteś lekarzem - mówił wcześniej Strelski. - Chciałem powiedzieć, że jesteś księciem, ale Pat by tego nie zdzierzył”.

Flynn zapalił kolejną spiralę, a potem równocześnie skierował lufę karabinu na drzwi i przesunął się bezszelestnie na bok. Burr nie zauważył, by Strelski się ruszył, ale gdy się odwrócił, stwierdził, że tamten przyłgnął do ściany. Pistolet wycelował w sufit. Burr nie zmienił pozycji. Grzeczny pasażer siedzi na dupie i trzyma głowę na kłódkę.

Otwarły się drzwi i czerwone światło słońca załało barak. Młody człowiek wsunął do środka jajowatą głowę pokaleczoną przy goleniu i rozejrzał się dokoła. Uszy jak rakiety pingpongowe - rzeczywiście. Wystraszone oczy przyjrzały się im po kolei, najdłużej zatrzymując się na Burze. Głowa znikła, drzwi pozostały uchylone. Usłyszeli przytłumiony okrzyk: „Kto?” lub „Co?” i uspokajający szept w odpowiedzi. Drzwi otwarły się szerzej i do środka wkroczył oburzony doktor Paul Apostoł alias Apo, alias Apetycik, alias brat Michael. Mniej było w nim penitenta, a więcej niziutkiego generała, który utracił wierzchowca. Irytacja Burra znikła, a zastąpiło ją oczarowanie.

Oto Apostoł - pomyślał - który siedzi po prawej ręce karteli. Oto Apostoł, który pierwszy przyniósł nam wiadomość o planie Ropera, który współpracuje z nim, zasiada przy jego stole, imprezuje na jego jachcie i w wolnym czasie go zdradza.

- Poznaj lekarza z Anglii - rzekł z godnością Flynn, wskazując Burra.

- Witam - rzekł Apostoł urażonym tonem. - Trochę klasy wprowadzi miłą odmianę. Z całego serca podziwiam pański wspa-
niały kraj. Wielu moich przodków pochodzi z brytyjskiej szlachty.

- Sądziłem, że to byli greccy bandyci. - W Strelskim obecność Apostoła rozbudziła zajadłą wrogość.

- Ze strony matki - kontynuował Apostoł. - Moja matka była spokrewniona z diukiem Devonshire.

- No nie gadaj - odrzekł Strelski. Apostoł go nie słuchał. Mówił do Burra.

- Jestem człowiekiem z zasadami, doktorze. Wierzę, że pan, Brytyjczyk, to doceni. Jestem również dzieckiem Maryi, mam zaszczyt radować się wskazówkami jej żołnierzy. Nie osądzam innych. Doradzam stosownie do faktów, które się mi podaje. Sugeruję, jak należy postąpić, opierając się na mojej wiedzy prawnej. Potem odchodzę.

Upał, smród, cykady - wszystko stało się nieważne. To była praca. Rutynowa sytuacja: agent prowadzący odprawę swojego kontaktu w dowolnej kryjówce na świecie; Flynn ze swoim irlandzkim akcentem prostego gliny, Apostoł ze swoją zaczepną precyzją prawnika. Schudł - pomyślał Burr, wspominając zdjęcia, zauważając ostry zarys podbródka, wpadnięte oczy.

Strelski przejął pistolet maszynowy i ostentacyjnie odwrócił się plecami do Apostoła, kontrolując wzrokiem otwarte drzwi i pas star-

towy. Lucan siedział spięty u boku swojego penitenta, z przechyloną głową, uniesionymi brwiami. Ubrany był w dżinsowy strój, ale Apostoł przyszedł jak na rozstrzelanie; w białej koszuli z długimi rękawami i płóciennych czarnych spodniach, na szyi miał złoty medalik z Maryją podnoszącą ramiona. Tupecik czarnych falujących włosów, za duży na jego głowę, był umiejętnie rozwichrzony. Burrowi przyszło do głowy, że omyłkowo wybrał niewłaściwy rozmiar.

Flynn przeprowadzał inwentaryzację: pod jaką przykrywką wybrałeś się na to spotkanie, czy ktoś widział cię, jak wyjeżdżasz? O której musisz wrócić do zwykłych zajęć, kiedy i gdzie spotkamy się następnym razem? Co się stało w biurze z Anette, która jak mówisz, jechała za tobą swoim samochodem?

W tym momencie Apostoł zerknął na ojca Lucana, który nadal wpatrywał się w przestrzeń.

- Przypominam sobie sprawę, o której mówisz. Jest rozwiązana - powiedział Apostoł.

- Jak? - spytał Flynn.

- Ta kobieta interesowała się mną w sensie romantycznym. Namawiałem ją, by dołączyła do naszego kręgu modlitewnego, a ona błędnie oceniła moje intencje. Złożyła przeprosiny, ja je przyjąłem.

Ale tego było już za dużo dla ojca Lucana.

- Michael, to jest rozmijanie się z prawdą - rzekł surowo, odejmując długą dłoń od policzka. - Michael robił ją w konia, Patricku. Najpierw posuwa Anette, potem posuwa jej współlokatorkę. Anette robi się podejrzliwa, więc stara się go sprawdzić. Co w tym nowego?

- Czy mogę usłyszeć następne pytanie? - uciął Apostoł. Flynn położył na stole i włączył dwa dyktafony.

- Czy sprawa z black hawkami nadal jest aktualna? - zapytał.

- Patricku, nie słyszałem tego pytania - odparł Apostoł.

- Ale ja słyszałem - ostro wtrącił się Strelski. - Czy kartelom wciąż, kurwa, zależy na śmigłowcach bojowych? Tak czy nie! Jezu!

Burr widywał już rozgrywki z dobrym i złym gliną. Ale obrzydzenie Strelskiego było niepokojąco autentyczne.

- Dbam o to, żeby nie przebywać w pomieszczeniu, gdy omawiane są tego rodzaju sprawy - odparł Apostoł. - Żeby użyć nad wyraz trafnego określenia pana Ropera, jego rzemiosło polega na tym, żeby dopasować but do nogi. Jeśli wizja pana Ropera jest niekompletna bez black hawków, zostaną dołączone.

Strelski z furją zapisał coś w notatniku.

- Czy ktoś zna datę sfinalizowania tej transakcji? - dopytywał się

natarczywie. - Czy mamy powiedzieć Waszyngtonowi, żeby sobie, kurwa, jeszcze rok poczekali?

Apostoł roześmiał się z pogardą.

- Pański przyjaciel musi powściągnąć swoje patriotyczne pragnienie natychmiastowej gratyfikacji, Patricku. Pan Roper podkreśla, że działa bez pośpiechu, i jego klienci zgadzają się z nim w pełni. „To, co rośnie powoli, wyrośnie wysoko” - mówi stare i sprawdzone hiszpańskie przysłowie. Moi klienci jako Latynosi mają bardzo dojrzały stosunek do czasu. - Spojrzał na Burra. - Wielbiciel Maryi jest stoikiem - wyjaśnił. - Ona ma wielu przeciwników. Ich szysterstwa uświęcają jej pokorę.

Wrócili do normalnych spraw. Gracze i skrzynki kontaktowe... towary zamówione lub dostarczane... pieniądze przechodzące przez karaibską pralnię... najnowsze plany budowlane kartelu w centrum Miami...

Wreszcie Flynn uśmiechnął się zapraszająco do Burra:

- Cóż, doktorze, czy coś budzi pańskie zainteresowanie na tyle, że wraz z obecnym tu bratem Michaeliem chciałby pan to przeanalizować?

- Tak, Patricku, jak najbardziej - rzekł uprzejmie Burr. - Jako osoba nieznaną bratu Michaelowi i oczywiście bardzo przejęta wysokim poziomem jego współpracy w tej sprawie chciałbym wpierv zadać kilka ogólnych pytań, jeśli można. Bardziej związanych, powiedzmy, ze szkieletem niż z wypełnieniem.

- Ależ proszę najuprzejmiej - odrzekł ochoczo Apostoł, zanim Flynn zdążył otworzyć usta. - Zawsze miło stawić czoło angielskiemu dżentelmenowi w intelektualnym starciu.

„Zacznij ogólnie i dochodź do sedna powoli - radził Strelski. - Owiń to w tę waszą brytyjską watę”.

- No cóż, dla mnie, krajana pana Ropera, tkwi w tym wszystkim jakaś zagadka, Patricku - powiedział Burr do Flynnna. - Na czym polega sekret Ropera? Co on ma takiego, czego innym brakuje? Izraelczycy, Francuzi, Kubańczycy, wszyscy proponowali kartelowi ciężkie uzbrojenie i wszyscy poza Izraelczykami odeszli z niczym. Jak panu Richardowi Onslowowi Roperowi udało się przekonać klientów brata Michaela, żeby kupili sobie porządną armię, jak osiągnął sukces tam, gdzie wszyscy inni zawiedli?

Ku zaskoczeniu Burra pomarszczone oblicze Apostoła pojaśniało, a on sam rozpląnął się w zachwycie:

- Doktorze, pański krajana, pan Roper, to nie zwykły sprzedawca. To czarodziej, proszę pana. Wizjoner i śmiałek. Ludzie tańczą tak, jak

on im zagra. Pan Roper jest cudowny, bo nie mieści się w żadnym szablonie.

Strelski rzucił pod nosem przekleństwo, ale nie zatrzymało ono tyrady Apostoła.

- Spędzać czas z panem Onslowem Roperem to zaszczyt, proszę pana, to święto. Wielu ludzi, przychodząc do moich klientów, pogardza nimi. Płaszczą się, przynoszą podarunki, schlebiają, ale nie są szczerzy. To sępy szukające łatwego zarobku. Pan Roper potraktował moich klientów jak równych sobie. Jest dżentelmenem, ale nie snobem. Pan Roper pogratulował im bogactwa. Wykorzystania kapitału, którego dostarczyła natura. Umiejętności, odwagi. „Świat jest dzunglą” - powiedział. Jedyne pytanie brzmi: kto jest drapieżcą? Potem zaprosił ich na pokaz filmowy. Bardzo profesjonalny, bardzo kompetentnie zmontowany film. Niezbyt długi. Niezbyt specjalistyczny. Po prostu odpowiedni.

A ty nie opuściłeś pomieszczenia - pomyślał Burr, obserwując Apostoła puchnącego z dumy podczas tej opowieści. - Zostałeś tam, na jakimś ranczu albo w którymś apartamencie, w otoczeniu dziwek i wieśniaków w dżinsach i z uzi, rozwalony na kanapach obitych lamparcią skórą, wśród telewizorów wielkości ekranów kinowych i shakerów z litego złota. Ze swoimi klientami. Urzeczony angielskim czarusem i jego seansem filmowym.

- Pokazał nam brytyjski oddział specjalny nacierający na Ambasadę Irańską w Londynie. Pokazał nam amerykańskie oddziały specjalne, Delta Force, podczas szkolenia w dżungli i promocyjny film najnowszego i najinteligentniejszego uzbrojenia na świecie. Potem znów zapytał nas, kto jest drapieżcą w tej dżungli i co się stanie, kiedy Amerykanom wreszcie znuży się rozpylanie herbicydów nad uprawami boliwijskimi i przejmowanie pięćdziesięciu kilogramów w Detroit, a zdecydują się wyrwać moich klientów z łóżek, przewieźć skutych w łańcuchach samolotami do Miami i poddać hańbie jawnej rozprawy wedle prawa Stanów Zjednoczonych, tak jak postąpiono z generałem Noriegą. Zapytał ich, czy to słuszne i naturalne, że ludzie tak bogaci mają być niezabezpieczeni. „Nie jeździecie starymi samochodami. Nie nosicie starych ubrań. Nie uprawiacie miłości ze starymi kobietami. To dlaczego odmawiacie sobie bezpieczeństwa, które zapewnia najnowsze uzbrojenie? Macie tu odważnych chłopaków, dzielnych chłopaków, widzę to po ich twarzach. Ale szacuję, że wśród nich znajdziemy niewielu nadających się do oddziałów bojowych, które proponuję wam stworzyć”. Następnie pan Roper opisał im swoją znakomitą korporację, Ironbrand. Wskazał na jej wiarygod-

ność i różnorodność oferty, jej flotyllę tankowców i urządzenia transportowe, wybitne osiągnięcia w handlu minerałami, drewnem i maszynami rolniczymi. Doświadczenie w dyskretnym przewozie pewnych materiałów. Jej powiązania z uslužnymi funkcjonariuszami w najważniejszych portach świata. Jej twórcze wykorzystanie przedsiębiorstw zarejestrowanych w rajach podatkowych poza granicami USA. Taki człowiek mógłby spowodować, że przesłanie Maryi jaśniałoby w najciemniejszej czeluści.

Apostoł przerwał, lecz tylko po to, by napić się wody ze szklanki, którą ojciec Lucan nappełnił z plastikowej butelki.

- Minęły dni walizek wypakowanych studolarówkami - mówił dalej. - Włączonych do rentgena przemytników z wysmarowanymi oliwą prezerwatywami w żołądkach. Samolocików narażających się na zestrzelenie nad Zatoką Meksykańską. Pan Roper i jego koledzy oferowali nienastęrczający kłopotu, bezpośredni przerzut ich produktu do rozwijających się rynków środkowej i wschodniej Europy.

- Narkotyki - wybuchł Strelski, nie mogąc dłużej znieść niedopowiedzeń Apostoła. - Produkt twoich klientów, Michaelu, to narkotyki! Roper sprzedaje broń za rafinowaną, oczyszczoną, dziewięćdziesięćdziewięćoprocentową kokainę! Całe góry gówna! Zamierza przewieźć je do Europy, wyładować, truć dzieciaki, rujnować ludziom życie i zarobić miliardy! Zgadza się?

Ten wybuch nie zdołał wytrącić Apostoła z równowagi.

- Pan Roper nie zażądał zaliczki od moich klientów, doktorze. Sfinansuje całą swoją część transakcji własnymi środkami. Nie wyciągał ręki po pieniądze. Zaufanie, jakim ich obdarzył, przekroczyło standardy. Jeśli go oszukają, zapewnił ich, to mogą zniszczyć jego dobre imię, doprowadzić do bankructwa jego korporację i na zawsze odstraszyć inwestorów. Niemniej zaufał moim klientom. Uznał ich za uczciwych ludzi. Największym błogosławieństwem, powiedział - najlepszym zabezpieczeniem przed niespodziewanym - jest finansowanie całego przedsięwzięcia z góry z własnej kieszeni, aż do dnia rozliczenia. Tak wyglądała jego propozycja. Zaufał im bezgranicznie. Pan Roper posunął się dalej. Podkreślił, że nie ma zamiaru konkurować ze stałymi europejskimi odbiorcami moich klientów. Włączy się w sieć, całkowicie dostosowując się do życzeń moich klientów. Gdy tylko dostarczy towar temu, kogo oni wyznaczą na odbiorcę, uzna swoje zadanie za skończone. Jeśli moi klienci nie są skorzy wskazać nikogo imiennie, pan Roper z przyjemnością zaaranżuje dostawę na okaziciela.

Apostoł wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę do nosa i otarł pot,

który zebrał się pod tupecikiem.

Teraz! - pomyślał Burr w tej przerwie. Start!

- Czy przy tej rozmowie był obecny major Corkoran, Michaelu? - zapytał niewinnie Burr.

Niespokojna twarz Apostoła od razu się zachmurzyła. Ton głosu stał się szczekliwy i oskarżycielski.

- Major Corkoran, podobnie jak lord Langbourne, był bardzo aktywny. Major Corkoran był uczynny. Obsługiwał projektor i pełnił honory gospodarza, zabawiał panie, podawał napoje i tworzył miłą atmosferę. Kiedy moi klienci na w pół żartobliwie zaproponowali, by major Corkoran pozostał jako zakładnik aż do zakończenia transakcji, panie bardzo ciepło przyjęły ten pomysł. Gdy ja i lord Langbourne sporządziliśmy ogólne zarysy umowy, major Corkoran wygłosił żartobliwą mowę i z wielkim rozmachem złożył podpis w imieniu pana Ropera. Moi klienci uwielbiają odrobinę błazenady, która równoważy ciężar trosk szarego dnia. - Sapnął z oburzeniem i rozchylił, piąstkę ukazując różaniec. - Na nieszczęście, doktorze, ulegając naleganiom Patricka i jego tutejszego przyjaciela o niewyparzonym języku, pokusiło mnie, by oczernić majora Corkorana w oczach moich klientów do takiego stopnia, by entuzjazm wobec niego zmaleł. To niechrześcijańskie postępowanie, proszę pana. To jest głoszenie fałszywego świadectwa i potępiam je. Podobnie ojciec Lucan.

- To jest wręcz główniane! - narzekał Lucan. - Uważam to nawet za nieetyczne. Nie jest tak?

- Czy zechciałbyś, proszę, Michaelu, opowiedzieć mi dokładnie, jakie opinie krzywdzące majora Corkorana usłyszeli do tej pory twoi klienci?

Apostoł wysunął głowę do przodu. Przypominał oburzonego kurczaka. Żyły na szyi nabrzmiały mu jak postronki.

- Proszę pana, nie odpowiadam za to, co moi klienci mogli usłyszeć z innych źródeł. Jeśli chodzi o to, co ja sam im powiedziałem, to powiedziałem im dokładnie to, co moi... - Wyglądało na to, że nagle zabrakło mu określenia na ludzi, którzy się nim posługiwali. - W miarę swoich umiejętności adwokata służyłem moim klientom radą, informując o pewnych domniemanych okolicznościach z przeszłości majora Corkorana, które jeśli są prawdziwe, podważają jego użyteczność jako strony umowy.

- Jakie to okoliczności?

- Zobowiązano mnie do poinformowania ich o jego

nieunormowanym trybie życia, nadużywaniu alkoholu i narkotyków. Ze wstydem przyznaję, że powiedziałem im również, że jest niedy-skretny, co w najmniejszej mierze nie pokrywa się ze znanymi mi faktami. Nawet podchmielony jest ostoją dyskrecji. - Z oburzeniem kiwnął głową w kierunku Flynna. - Dano mi do zrozumienia, że celem tego obrzydliwego manewru jest pozbycie się majora Corkorana, który pełni rolę figuranta, i wystawienie w ten sposób pana Ropera bezpośrednio na strzał. Czuję się w obowiązku poinformować pana, że nie podzielałem optymizmu tych dżentelmenów w odniesieniu do tej sprawy, a nawet gdyby było na odwrót, uważałbym takie postępowanie za niegodne prawdziwego żołnierza Maryi. Jeśli major Corkoran zostanie wykluczony przez kontrahentów, pan Roper znajdzie sobie innego sygnatariusza.

- Czy wedle pańskiego rozeznania pan Roper jest świadom rezerwy pańskich klientów wobec majora Corkorana? - spytał Burr.

- Proszę pana, nie jestem aniołem stróżem pana Ropera ani aniołem stróżem moich klientów. Nie informują mnie o swoich rozterkach. Szanuję to.

Burr wsunął rękę pod przepoconą kurtkę i wyciągnął zwiotczałą kopertę. Gdy ją rozrywał, Flynn swoim najdobitniejszym irlandzkim akcentem wyjaśnił, co zawiera:

- Michaelu, doktor przyniósł tu ze sobą wyczerpującą listę występków majora Corkorana przeciw dobrym obyczajom, zanim został zatrudniony przez pana Ropera. Większość tych incydentów to akty lubieżności. Ale mamy także kilka przypadków wandalizmu w miejscach publicznych, jazdę po pijanemu, nadużywanie narkotyków, kilkudniowe niestawianie się do pracy plus sprzeniewierzenie funduszy wojskowych. Jako strażnik interesów swoich klientów jesteś tak przejęty pogłoskami szerzącymi się na temat tego biedaka, że z własnej inicjatywy wszcząłeś dyskretne śledztwo w Anglii i oto, na co natrafiłeś.

Apostoł już protestował.

- Proszę pana, jestem cieszącym się poważaniem członkiem palestry Florydy i Luizjany i byłym przewodniczącym Izby Adwokackiej Okręgu Dade. Major Corkoran nie jest dwulicowy. Nie dam się wykorzystać do wrobienia niewinnego człowieka.

- Siadaj na dupie, kurwa - rozkazał mu Strelski. - A z tą izbą adwokacką to sranie w banię.

- On zmyśla - powiedział Burrowi zrozpaczony Lucan. - W głowie się nie mieści, co on wyrabia. Za każdym razem kiedy coś mówi, zaraz dodaje coś wręcz przeciwnego. Nawet kiedy podaje przykład

prawdy, ona okazuje się kłamstwem. Nie wiem, jak go z tego wyciągnąć.

Burr wtrącił spokojną prośbę:

- Może byśmy ustalili kwestie terminów, Patricku - zasugerował.

Wracali do cessny. Flynn znowu prowadził, broń miał przewieszoną przez pierś.

- Myślisz, że się udało? - spytał Burr. - Naprawdę myślisz, że się nie połapał?

- Jesteśmy za głupi - powiedział Strelski. - Po prostu durne gliny.

- Jesteśmy dupki - przytaknął pogodnie Flynn.

Jonathanowi wydało się, że pierwsze uderzenie spadło na niego we śnie. Usłyszał chrzęst kości szczęki, zobaczył gwiazdy, a po nich długi błysk kurtyny świetlnej. Zobaczył wpatrzoną w niego wykrzywioną twarz Latulipe'a i cofnięte prawe przedramię szykujące się do ponownego ciosu. Ten zamach jak młotkiem przy wbijaniu gwoźdźcia i wystawienie się na kontrę były ze wszech miar głupie. Usłyszał pytanie Latulipe'a i zdał sobie sprawę, że słyszy je po raz drugi.

- *Salaud!** Kim jesteś?

* Łajdaku!

Potem zobaczył skrzynki z pustymi butelkami, które pomógł Ukraińcom poustawiać na podwórku tego popołudnia, i usłyszał podkład do striptizu dochodzący przez drzwi wyjścia ewakuacyjnego dyskoteki. Zobaczył sierp księżycy wiszący w otoczce blasku nad głową Latulipe'a. Przypomniawszy sobie, że pryncypał poprosił go, żeby wyszedł na moment na dwór. I chyba powinien oddać Latulipe'owi cios lub przynajmniej zablokować drugie uderzenie, ale obojętność czy też jakieś poczucie rycerskości powstrzymały mu dłoń, więc drugi cios trafił go dokładnie w to samo miejsce co pierwszy i przez krótką chwilę wydało mu się, że jest znów w sierocińcu i po ciemku wpadł na hydrant. Lecz albo twarz mu już zdrętwiała, albo nie był to prawdziwy hydrant, bo drugiego uderzenia nie odczuł nawet w połowie tak dotkliwie jak pierwszego, choć przecięło mu kącik ust i krew zaczęła spływać ciepłym strumykiem po podbródku.

- Gdzie twój szwajcarski paszport? Jesteś Szwajcarem czy nie? Gadaj! Skąd jesteś? Pieprzysz życie mojej córce, okłamujesz mnie, doprowadzasz moją żonę do szaleństwa, jesz przy moim stole, kim jesteś? Czemu kłamiesz?

Tym razem, kiedy Latulipe cofnął pięść, Jonathan kopniakiem podciął mu nogi i rzucił na plecy, uważając jednocześnie, by złagodzić upadek, bo nie było tu miękkiego materaca kołysanej wiatrem trawy Lanyon; podwórko było wylane dobrym kanadyjskim asfaltem.

Lecz Latulipe niezrażony poderwał się zrećcznie na nogi, wykręcił Jonathanowi ramię i wyprowadził go siłą przez zapluty zaułek biegnący z tyłu hotelu, od lat służący za nieformalny pisuar męskiej części populacji miasta. U wylotu zaułka stał jeep cherokee Latulipe'a. Kiedy szurając butami, szli w jego kierunku, Jonathan słyszał pracujący silnik.

- Do środka! - rozkazał Latulipe. Otworzył drzwi od strony pasażera, choć nie umiał zmusić Jonathana, by wszedł, wiedząc, że w każdej chwili mógłby powalić pryncypała nogą; na dobrą sprawę pewnie mógłby go zabić kopnięciem w głowę, gdyż szerokie słowiańskie czoło Latulipe'a znajdowało się akurat na odpowiedniej wysokości, by Jonathan dosięgnął skroni. W blasku wewnętrznego oświetlenia jeepa zobaczył swoją torbę imigranta z Trzeciego Świata leżącą na tylnym siedzeniu.

- Zapnij pas! Już!!! - krzyknął Latulipe, jakby zapięcie pasa bezpieczeństwa miało zapewnić posłuszeństwo konwojowanego.

Ale Jonathan i tak był posłuszny. Samochód ruszył, ostatnie światła Espérance znikły z tyłu. Zanurzili się w ciemność kanadyjskiej nocy i jechali przez dwadzieścia minut, zanim restaurator wyciągnął paczkę papierosów i cisnął w kierunku Jonathana. Ten poczęstował się i skorzystał z zapalniczki samochodowej. Potem zapalił papierosa dla Latulipe'a. Za szybko gwiazdy kołysały się na ogromnym niebie.

- Więc? - rzekł Latulipe, usiłując zachować agresywny ton.

- Jestem Anglikiem - odparł Jonathan. - Pokłóciłem się z jednym takim. Okradł mnie. Musiałem się wynosić. Trafiłem tu. Przypadek.

Wyprzedził ich samochód, ale nie był to błękitny pontiac.

- Zabiłeś go?

- Tak mówią.

- Jak?

Strzałem w twarz - pomyślał. Z shotguna. Zdradziłem go. Rozplątałem jego psa od pyska po ogon.

- Podobno miał skręcony kark - odparł tym samym wymijającym tonem co poprzednio, bo ogarnęła go absurdałna niechęć do pomnażania kłamstw.

- Czemu nie zostawiłeś jej w spokoju? - z tragicznym wyrzutem naciskał Latulipe. - Thomas to dobry człowiek. Przed nią cała przyszłość. Jezu Chryste.

- Gdzie ona jest?

W odpowiedzi Latulipe jedynie gniewnie przelknął ślinę. Jechali na północ. Od czasu do czasu Jonathan widział w lusterku wstecznym reflektory. To były światła ścigającego ich wozu, te same za każdym

zerknięciem.

- Jej matka poszła na policję - powiedział Latulipe.

- Kiedy? - spytał Jonathan. Chyba powinien spytać: dlaczego? Jadący za nimi samochód się zbliżał. Trzymaj się z tyłu - pomyślał Jonathan.

- Sprawdziła cię w ambasadzie szwajcarskiej. W ogóle tam o tobie nie słyszeli. Zrobisz to znowu?

- Co zrobię?

- To, co temu facetowi, który cię okradł. Skręcisz kark.

- On rzucił się na mnie z nożem.

- Wezwali mnie. - Latulipe powiedział to tak, jakby był to kolejny policzek. - Policjanci. Chcieli wiedzieć, co z ciebie za facet, czy rozprowadzasz narkotyki, masz dużo rozmów zamiejscowych, kogo znasz. Biorą cię za Ala Capone. Nie za wiele się tu dzieje. Dostali zdjęcie z Ottawy, wygląda trochę jak twoje. Powiedziałem im, żeby poczekali do rana, kiedy goście w hotelu śpią.

Dotarli do skrzyżowania. Latulipe zjechał na pobocze. Mówił bez tchu jak posłaniec, który przebiegł daleki dystans:

- Tutaj uciekinierzy kierują się na północ albo na południe. Najlepiej jechać na zachód do Ontario. Nie wracaj, rozumiesz? Nigdy. Jak wrócisz, to... - Wziął kilka oddechów. - Może wtedy ja zabiję.

Jonathan chwycił torbę i ruszył w ciemność. Powietrze pachniało deszczem i szyszkami sosnowymi. Samochód minął ich i przez moment zrobiło się niebezpiecznie, gdy pokazały się tylne tablice rejestracyjne jej pontiaca. Ale Latulipe nie odrywał oczu od Jonathanana.

- Masz swoją zapłatę - powiedział, ciskając mu zwitek dolarów.

Wróciła drugą stroną szosy i dotarła do niego, przejechawszy pas zieleni. Siedzieli w samochodzie przy włączonym świetle. Brązowa koperta leżała nieotwarta na jej kolanach. Imię nadawcy było wydrukowane w rogu: „Bureau des passeports, Ministère des Affaires Extérieures, Ottawa”. Zaadresowana do pana Thomasa Lamonta, na ręce Yvonne Latulipe, Le Château Babette. Do Thomasa, który mówi, że w Kanadzie jest wszystko.

- Dlaczego mu nie oddałeś? - spytała.

Jedną stronę twarzy miał nabrzmiałą, nie mógł podnieść powieki. Z tego się utrzymuję - pomyślał. - Z masakrowania twarzy.

- Był tylko zły - powiedział.

- Chcesz, żebym cię gdzieś zabrała? Podwieźć cię? Podrzucić?

- Dam sobie stąd radę.
- Chcesz, żebym coś zrobiła?

Pokręcił głową. Powtórzył gest, aż upewnił się, że go widziała. Podała mu kopertę.

- Co było lepsze? - spytała ochryple. - Rżnięcie czy paszport?
- Jedno i drugie było wspaniałe. Dzięki.
- Przestań! Muszę wiedzieć! Co było lepsze?

Otworzył drzwi, wysiadł i w blasku wewnętrznej żaróweczki zobaczył, że Yvonne uśmiecha się promiennie.

- Mało nie zrobiłeś mnie w konia, masz pojęcie? Niech cię Bóg skarże, małoś mnie nie przerobił! Jesteś świetny na jedno popołudnie, Jonathan. Na dłuższą metę Thomas jest sto razy lepszy.

- Miło mi, że pomogłem.
- Więc jak ci było? - domagała się odpowiedzi, nadal się uśmiechając. - No już. Skala od jednego do dziewięciu. Pięć? Sześć? Zero? No, jak to, Jezu, nie notujesz sobie?

- Dzięki - powtórzył.

Zamknął drzwi i w blasku nieba ujrzał, jak jej głowa opada i podnosi się, gdy wyprostowała ramiona i przekręciła kluczyk w stacyjce. Czekala chwilę przy pracującym silniku, wyęzając wzrok przed siebie. Nie potrafił się ruszyć. Nie potrafił się odezwać. Wjechała na jezdnię i przez pierwsze kilkaset metrów albo nie pamiętała o włączeniu świateł, albo miała je gdzieś. Zdawała się kierować w ciemności kompasem.

„Zabiłeś tę kobietę?”

„Nie. Ale ożeniłem się z nią dla paszportu”.

Zatrzymała się ciężarówka i przez pięć godzin jechał z Murzynem imieniem Ed, który miał kłopoty z hipoteką i musiał je detalicznie wyliczyć. Gdzieś między nie wiedzieć czym a nie wiedzieć czym Jonathan zadzwonił pod numer w Toronto i słuchał wesolutkich ploteczek telefonistek, gdy łączyły go poprzez leśne ostępy wschodniej Kanady.

- Mam na imię Jeremy i jestem przyjacielem Philipa - powiedział to, co zwykł mówić z automatu co tydzień wszędzie tam, gdzie się zatrzymywał. Czasami słyszał zestawianie połączenia. Czasami zastanawiał się, czy w ogóle jest łączony z Toronto.

- No dzień dobry, Jeremy! A może dobry wieczór? Życie daje ci w kość, stary?

Aż do dzisiaj Jonathan wyobrażał sobie kogoś pełnego życia. Tym razem miał wrażenie, że rozmawia z kimś takim jak Ogilvey, sztucznym i nadętym.

- Powiedz mu, że mam swój cień i jestem w drodze.
- No, to pozwól, że złożę ci gratulację w imieniu firmy - odparła kopia Ogilveya.

Tamtej nocy śnił o Lanyon i czajkach tłoczących się na klifie, unoszących się setkami, machających godnie skrzydłami, a potem nurkujących spiralnym lotem, aż zaskakiwał je nieoczekiwany o tej porze roku wschodni wiatr. Widział ponad pięćdziesiąt zdechłych czajek znoszonych na pełne morze. I śnił, że pikowały za jego zachętą, a on dał im umrzeć, gdyż wybrał się na poszukiwanie najgorszego człowieka na ziemi.

Takie powinny być kryjówki - pomyślał Burr. Już nigdy blaszanych baraków pełnych nietoperzy wśród bagien Luizjany. Żegnajcie, jednopokojowe mieszkania w Bloomsbury, śmierdzące skwaśniały mlekiem i papierosami poprzedniego lokatora. Od tej pory będziemy spotykać się z naszymi kontaktami właśnie tu, w Connecticut, w domach z białym oszalowaniem, jak ten, z paroma hektarami lasu i gabinetem zastawionym oprawionymi w skórę książkami o moralności niebotycznie bogatych. Była tam tablica do koszykówki, ogrodzenie pod napięciem odstraszaające sarny, a gdy zapadł zmierzch, włączono elektryczną lampę przeciw insektom. Wabiła je obrzydliwym purpurowym blaskiem, a potem z głośnym trzaskiem poddawała kremacji. Burr uparł się, że zajmie się grillem, i kupił mięso w ilości dla kilku pułków. Zdjął krawat, marynarkę i polewał trzy wielgachne steki jadownicie czerwonym sosem. Jonathan w kąpielówkach wylegiwał się obok basenu. Rooke przyleciał z Londynu dzień wcześniej, siedział na leżaku i palił fajkę.

- Czy ona nie wygada? - spytał Burr.

Żadnej odpowiedzi.

- Spytałem, czy ona nie wygada?
- Czego? - odparł Jonathan.
- O paszporcie. Jak uważasz?

Jonathan z powrotem skoczył do basenu i przepłynął kilka długości. Burr czekał, aż Jonathan wyjdzie. Wtedy postawił pytanie po raz trzeci.

- Nie powinna - odrzekł Jonathan, energicznie wycierając ręcznikiem głowę.
- Czemu? - spytał Rooke zza kłębow fajkowego dymu. - Zwykle wygadują.
- Czemu miałyby to zrobić? Ma Thomasa - odparł Jonathan.

Znosili jego małomówność przez cały dzień. Prawie całe przedpołudnie chodził samotnie po lesie. Kiedy pojechali na zakupy, siedział samotnie w aucie, podczas gdy Burr buszował w supermarkecie, a Rooke poszedł do Family Britches kupić stetsona dla syna.

- Wyluzuj trochę, co? - powiedział Burr. - Łyknij szkockiej albo coś innego. To ja. Burr. Usiłuję oszacować ryzyko.

Jonathan przyrządził mu dżin z tonikiem i sobie nalał to samo.

- Jak w Londynie? - spytał.

- Normalnie. Jak w ścieku - odparł Burr. Kłęby dymu unosiły się znad mięsa. Odwrócił je i polał sosem spalenizną.

- A co z tym starym księżulkiem? - zawołał Rooke z drugiej strony basenu. - Przeżyje drobny szok, kiedy zobaczy, czyjej fotografii nie podpisał, co?

- Ona mówi, że się nim zajmie - wyjaśnił Jonathan.

- To musi być niezła dziewczyna - powiedział Rooke.

- Zgadza się - rzekł Jonathan i znów skoczył do wody. Pływał z jednej strony basenu na drugą jak człowiek, który nigdy się nie oczyści.

Zjedli kolację przy wtórze denerwującego bzyczenia lampy dokonującej kolejnych egzekucji. Burr uznał, że steki wyszły niezłe. Być może mięso było tak dobre, że nie dało się go zupełnie spartolić. Od czasu do czasu rzucał nad świecznikiem ukradkowe spojrzenia na Jonathana, który gawędził z Rookiem o objeździe Kanady na motocyklu.

Otwierasz się - stwierdził z ulgą. Dochodzisz do siebie. Po prostu potrzebna ci była chwila rozmowy z nami.

Zasiedli w salonie, Rooke w swoim najśmielszym nastroju. Napalił w kozie, a na stole rozłożył listy referencyjne z hymnami pochwalnymi na cześć niejakiego Thomasa Lamonta i zestaw prospektów jachtów motorowych przygotowany przez pośredników.

- Ten nazywa się „Salamander” - rzekł. Jonathan zaglądał mu przez ramię, a Burr obserwował ich z głębi pokoju. - Czterdzieści metrów długości, właścicielem jest jakiś bandyta z Wall Street. Nie ma teraz kucharza. Ten nazywał się „Persephone”, ale nikt z taką forszą nie wie, jak się to wymawia, więc nowy właściciel przechrzczył ją na „Lolite”... Ma sześćdziesiąt metrów, dziesięcioosobowa załoga plus sześciu ochroniarzy, dwóch kucharzy i majordomus. Szukają majordomusa i naszym zdaniem pasowałbyś tam idealnie. - Fotogra-

fia tryskającego energią, uśmiechniętego mężczyzny w stroju do tenisa. - Ten człowiek to Billy Bourne. Prowadzi agencję załogową w Newport w Rhode Island. Obaj właściciele to jego klienci. Powiedz mu, że umiesz żeglować, gotować, i daj referencje. Nie będzie ich sprawdzał, a zresztą ludzie, którzy niby je napisali, są po drugiej stronie globu. Billy'ego interesuje tylko, czy znasz się na robocie, czy można cię nazwać, jak się to mówi, „cywilizowanym”, i czy jesteś notowany na policji. Znasz się, można cię nazwać i nie jesteś. To znaczy, Thomas nie jest.

- Czy Roper też jest klientem Billy'ego? - tym razem Jonathan ich wyprzedził.

- Pilnuj własnego nosa - odezwał się z kąta Burr i wszyscy się roześmieli. Ale ten wesoły śmiech krył prawdę, której byli świadomi; im mniej Jonathan wiedział o Roperze i jego sprawkach, tym mniej było prawdopodobne, że się zdradzi.

- Billy Bourne to twoja karta atutowa, Jonathanie - powiedział Rooke. - Dbaj o niego. Kiedy tylko dostaniesz zapłatę, nie zapomnij posłać mu prowizji. Kiedy dostaniesz nową robotę, nie zapomnij zadzwonić do Billa i powiedzieć mu, jak leci. Graj uczciwie z Billym, a Billy otworzy przed tobą każde drzwi, jakie tylko zechcesz. Każdy, kogo Billy kocha, odwzajemnia się tym samym.

- To ostatni etap kwalifikacji - dodał Burr. - Po niej czeka cię już tylko finał.

Następnego dnia, po tym jak Jonathan rano popływał w basenie i wszyscy byli świeży i wypoczęci, Rooke wyjął swoją czarodziejską skrzynię - tajny radiotelefon nadający na zmiennych zakresach. Najpierw poszli do lasu i bawili się w chowanego, na zmianę ukrywając i znajdując radio. Między sesjami szkoleniowymi Rooke kazał Jonathanowi dzwonić do Londynu, nadawać i odbierać, aż poznał system na wylot. Pokazał mu, jak wymienia się i ładuje baterie, jak kradnie się prąd z sieci. A po radiotelefonie Rooke zaprezentował kolejne чудо: superminiaturowy aparat fotograficzny udający prostą zapalniczkę, nie tylko zrozumiałą w obsłudze dla idioty, ale robiący całkiem niezłe zdjęcia. W sumie spędzili trzy dni w Connecticut, więcej, niż Burr zaplanował.

- Mamy ostatnią szansę, żeby to obgadać - powtarzał Rooke'owi, jakby w ten sposób dało się usprawiedliwić zwłokę.

Co obgadać? Po co? Burr w głębi duszy czekał na obowiązkową scenę. Potem przyznał się do tego przed samym sobą. Tymczasem, jak to często bywało w przypadku Jonathana, nie miał pojęcia, jak ona wypadnie.

- Woltyżerka ciągle pewnie trzyma cugle - powiedział, licząc, że w ten sposób poprawi humor Jonathanowi. - Jeszcze nie spadła z siodła.

Lecz wspomnienie Yvonne nadal musiało zbyt ciężko mu ciążyć, bo tylko uśmiechnął się słabo.

- Tam było jakieś bara-bara między nim a tą Sophie w Kairze, cholera, dobrze wiem - powiedział Burr Rooke'owi, kiedy lecieli do Anglii.

Rooke skrzywił się z dezaprobatą. Nie pochwalał okazjonalnych przeblysków intuicji Burra, podobnie jak potępiał szkalowanie dobrego imienia niezującej kobiety.

- Kochana Katie jest zła jak wściekła suka - oświadczył dumnie Harry Palfrey, siedząc nad whisky w salonie Goodhew w Kentish Town. Był siwy, zniszczony, miał pięćdziesiąt lat, nabrzmiałe wargi pijaka i zaszczuty wzrok. Nosił czarną kamizelkę, jak adwokaci. Przyjechał prosto z pracy z Domu za Rzeką. - Wraca concorde'em z Waszyngtonu, a Marjoram jedzie po nią na Heathrow. Szykuje się narada wojenna.

- Dlaczego Darker sam nie pojedzie?

- Lubi się zabezpieczać. Jeśli wyśle zastępcę, Marjorama, może powiedzieć, że jego samego tam nie było.

Goodhew miał już jakieś pytanie na końcu języka, ale uznał, że lepiej nie przerywać wywnętrzającemu się Palfreyowi.

- Katie mówi, że kuzyni obudzili się z ręką w nocniku. Uznali, że Strelski przerobił ich na szaro w Miami, a ty i Burr dopomogliście mu i jeszcze dołożyliście swoje. Mówi, że jak stanie nad brzegiem Potomacu, to widzi dym bijący z Kapitolu. Mówi, że wszyscy opowiadają o nowych parametrach i wielkiej próżni na własnym podwórku.

- Boże, jak ja nie cierpię „parametrów” - zauważył Goodhew, napełniając szklankę Palfreya, by zyskać na czasie. - Dziś rano „lapidarność” była najwyższą cnotą. I w oczach mojego pana wszystko „eskaluje”. Nic nie wzrasta, nie zwiększa się, nie rośnie, nie postępuje, nie idzie naprzód, nie mnoży się ani nie dojrzewa. „Eskaluje”. Zdrowko - powiedział, siadając.

Ale podczas tego utyskiwania zimny dreszcz przeszedł Goodhew, zjeżył mu włosy na karku i spowodował, że kilka razy z rzędu szybko kichnął.

- Czego oni chcą, Harry? - spytał.

Palfrey wykrzywił twarz, jakby mydło dostało mu się do oczu, i

pochylił usta nad szklanką.

- Pijawkę - powiedział.

12

Jacht motorowy pana Richarda Onslowa Ropera, „Iron Pasha”, pojawił się przy wschodnim cyplu Hunter's Island dokładnie o osiemnastej. Jego dziób sterczał wysoko jak u łodzi desantowej, odcinał się od bezchmurnego wieczornego nieba i szybko rósł, w miarę jak jednostka zbliżała się do Deep Bay, przecinając gładką taflę morza. W razie gdyby ktokolwiek wątpił, że to „Pasha”, załoga zarezerwowała już przez telefon satelitarny długą keję w porcie, okrągły stół na tarasie dla szesnastu osób na dwudziestą trzydzieści i później pierwszy rząd na wyścigach krabów. Omówiono nawet menu. Wszyscy dorośli lubią owoce morza. Frytki i kurczaki z grilla dla dzieci. I kucharz dostanie fioła, jeśli zabraknie lodu.

Był to martwy sezon, pora, w której nie widywało się wielu dużych jednostek na Karaibach poza wycieczkowcami z Nassau i Miami. Ale gdyby któryś z nich przybił do portu na Hunter's Island, nie zostałyby gorąco powitany przez Mamę Low, który lubił bogaczy z jachtów, a pospólstwa nie cierpiał.

Jonathan oczekiwał „Pashy” cały tydzień. Niemniej po tym, jak go zauważył, na kilka chwil uroił sobie, że wpadł w pułapkę, i rozważał, czy nie uciec w głąb lądu do jedyne go miasta albo czy nie porwać starego stateczku prowiantowego Mamy Low, „Hilo”, cumującego z wyrzuconym trapez niecałe dwadzieścia metrów od miejsca, w którym Jonathan wpatrywał się w morze, wyczekując „Pashy”. Dwa wysokoprężne silniki o mocy dwóch tysięcy koni - przypomniał sobie. Długi achterdek z lądowiskiem dla śmigłowca, wielkie stabilizatory Vospera, stanowisko hydroplanu na rufie. „Pasha” to była niechlacha łódeczka.

Ale rozeznanie w temacie nie łagodziło obaw. Aż do tej chwili wyobrażał sobie, że rusza na Ropera, a teraz Roper ruszał na niego. Najpierw myślał, że zemdleje, potem poczuł głód. Potem usłyszał

Mamę Low ryczącego, żeby zbierał swoją białą kanadyjską dupę, i przybiegł w podskokach. Poczłł się lepiej. Wrócił truchcikiem drewnianym pomostem, a następnie piaszczystą drózką do chaty. Swoboda zrodzona z bliskości oceanu wyrażala się w sposobie chodzenia Jonathana, oczy mu złagodniały, cera nabrała zdrowego blasku.

Wspinając się po pochyłości, ujrzał słońce wzbierające przed zachodem. Na jego obwodzie formowała się miedziana obręcz. Dwaj synowie Mamy Low toczyli sławny okrągły blat w górę kamiennej ścieżki na taras. Nazywali się Wellington i Nelson, ale dla Mamy Low byli to Thuk i Łzawe Oko. Thuk miał szesnaście lat i tonął w tłuszczu. Powinien siedzieć w Nassau i uczyć się, ale mu się to nie uśmiechało. Łzawe Oko był chudy jak patyk, palił marihuanę i nie cierpiał białych. Ta dwójka, chichocząc, zajmowała się stołem przez ostatnie pół godziny i nadal była w punkcie początkowym.

- Na Bahamach głupiejiesz, człowieku - wyjaśnił Thuk przechodzącemu Jonathanowi.

- To ty tak powiedziałeś, Thuk, nie ja.

Łzawe Oko obserwował go bez uśmiechu. Jonathan machnął mu leniwie ręką, gestem jakby mył szybę samochodu, i czuł, jak napięty wzrok Łzawego Oka odprowadza go w górę ścieżki. Jeśli kiedyś obudzę się martwy z poderżniętym gardłem, to będę to zawdzięczał tak zwanemu kordelasowi Łzawego Oka - pomyślał. Potem przypomniał sobie, że już nie spodziewa się obudzić zbyt wiele razy na Hunter's Island, martwy czy niemartwy. Kolejny raz zanotował w myślach pozycję „Pashy”. Jacht szykował się do zwrotu. Potrzebował dużo miejsca na wodzie.

- Panie Lamont, jesteś pan leniwym białym kanadyjskim mięczakiem, słyszysz mnie? Jesteś najbardziej leniwym białym mięczakiem, jakiego biedny czarnuch musiał kiedykolwiek zatrudnić, i Bóg mi świadkiem, że to prawda. Wcale już nie jesteś chory, Lamont. Powiem temu Billy'emu Bourne'owi, że po prostu jesteś, kurwa, leń!

Mama Low siedziała na werandzie obok wysokiej i bardzo pięknej młodej Murzynki w plastikowych wałkach na włosach, znanej wyłącznie jako panna Amelia. Pił piwo z puszki i wydierał się. Był „wysoki na sto czterdzieści kilo, szeroki na metr dwadzieścia i łysy jak kolano” - jak lubił o sobie mówić. Mama Low powiedział wiceprezydentowi Stanów Zjednoczonych, żeby się odpierdolił, Mama Low płodził dzieci aż w Trynidadzie i Tobago, Mama Low miał niewąską działkę w handlu nieruchomościami na Florydzie.

Nosił naszyjnik ze złotych czaszek na grubej szyi i gdy tylko słońce zaszło, wkładał nobliwy słomiany kapelusz z papierowymi różyczkami i napisem „Mama” wyszywanym nitką koloru morwy wokół denka.

- Zrobisz im dziś wieczór małży, panie Lamont? - wrzasnął tak głośno, jakby Jonathan był nadal nad brzegiem oceanu. - A może będziesz leżał, pierdział i zabawiał się tym swoim małym białym kutasiną?

- Zamówiłeś małże, Mama, będą małże - odparł wesoło Jonathan.

Panna Amelia długimi dłońmi pomacała włosy.

- A skąd to będziesz miał te małże?! Pomyślałeś o tym? Gównos pomyślał. W głowie to masz tylko pełno gówna białych ludzi.

- Kupiłeś ładny koszyk małży od pana Gumsa dziś rano, Mama. I piętnaście langust, specjalnie dla „Pashy”.

- Od pana Gumsa, tego szopa? Kupiłem? No, do diabła, może i kupiłem. To faszeryj je, słyszałeś? Bo tu zjedzie do nas państwo, angielscy lordowie i damy zjeżdżają, bogaci, mali, biali księżęta i księżne zjeżdżają, i zagramy im fajną muzyczkę czarnuchów, i damy posmakować autentico życia czarnuchów, tak, biały panie! - Pociągnął łyk piwa. - Tłuk, wepchniesz ten stół, kurwa, po tych schodach czy prędzej umrzesz ze starości?

Tak mniej więcej zwracał się Mama Low do swoich podkomendnych każdego wieczoru, gdy pół butelki rumu i zabiegi panny Amelii przywracały mu humor po próbach, na jakie wystawił go kolejny dzień w raj.

Jonathan poszedł do łazienki za kuchnią i włożył strój kucharza, wspominając Yvonne, co robił za każdym razem, gdy się przebierał do pracy. Jeżeli czasami czuł do siebie obrzydzenie, to już nie z powodu Sophie, lecz Yvonne. Kłęb nerwów w brzuchu miał siłę erotycznego napięcia. Swędziały go koniuszki palców, gdy siekał bekon i czosnek. Napięcie wyrażało się skurczami, które jak elektryczne wstrząsy przebiegały po plecach. Kuchnia lśniła czystością jak kambuz i panował w niej równie wzorowy porządek. Błaty ze stali nierdzewnej, stalowa zmywarka do naczyń Hobarta. Spoglądając w trakcie pracy przez zakratowane okna, śledził zbliżanie się „Iron Pashy”, jakby oglądał oprawione zdjęcia: maszt radarowy i antena satelitarna, potem szperacze Carlise and Finch. Dojrzał brytyjską flagę na rufie i złote zasłony w oknach luksusowej kabiny.

„Na pokładzie są wszyscy, których uwielbiasz” - powiedział Burr podczas rozmowy, którą Jonathan odbył podczas spaceru, telefonując

z trzeciego automatu po lewej na nabrzeżu Deep Bay.

Melanie Rose podśpiewywała do wtóru gospel dobiegającego z radia, równocześnie obierając nad zlewem słodkie ziemniaki. Melanie Rose uczyła w szkółce niedzielnej i miała dwie córki bliźniaczki z kimś imieniem Cecil - wymawianym „Siisill” - który trzy miesiące temu wykupił bilet tam i z powrotem do Eleuthery i jak dotąd nie wykorzystał drugiej części. „Siisill” być może wróci pewnego dnia i Melanie Rose żyła w radosnej nadziei, że to nastąpi. Tymczasem Jonathan Pine zajął miejsce Cecila jako drugi kucharz przy Mamie Low, a w sobotnie noce Melanie Rose pocieszała się O'Toolem, samotnym kawalerem, który sprawiał ryby. Dzisiaj był piątek, więc zaczęli okazywać sobie sympatię.

- Idziesz jutro na tańce, Melanie Rose? - zapytywał O'Toole.

- Jaki to sens tańczyć samej, O'Toole - prychnęła z pogardą Melanie Rose.

Wtoczył się Mama Low, usiadł na składanym fotelu i potrząsnął głową, jakby krążyła mu po głowie jakaś cholerna melodyjka, której nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć. Pewien Pers dał mu niedawno w prezencie różaniec błogości* i Mama międlil go na ogromnych palcach. Słońce prawie już zaszło. „Pasha” włączył na przywitanie syrenę.

* Naszyjnik z gładkich kamyków służący do rozładowania napięcia poprzez dotykanie czy pocieranie. Popularny zwłaszcza na Bliskim Wschodzie.

- Człowieku, ale z ciebie, cholera, wielki gość - szeptał z podziwem Mama Low, odwracając się i spoglądając na jacht przez otwarte drzwi. - Bez dwóch zdań jest z ciebie, kurwa, milionerski król, królewski władca Richard, kurwa, Onslow, kurwa, Roper, tak jest, panie szanowny. Panie Lamont, tylko się przyłóż dziś do roboty, zapamiętaj sobie. Inaczej pan i władca Roper da ci w dupę. A potem my, biedne czarnuchy, posilimy się tym, co zostanie z tej dupy, tak jak resztkami ze stołu bogacza.

- Z czego on ma forszę? - spytał Jonathan, uwijając się jak w ukropie.

- Roper? - zareagował ze wzburzeniem i niedowierzaniem Mama Low. - Chcesz powiedzieć, że nie wiesz?!

- Chcę powiedzieć, że nie wiem!

- No, jest pewne jak cholera, panie Lamont, że i ja nie wiem! I jest pewne jak cholera, że się nie spytam! Ma jakąś wielką firmę w Nassau, która przynosi same straty. Jak jakiś człowiek jest tak bogaty podczas recesji, to jest pewne jak cholera, że musi robić jakieś sakramenckie przekrety.

Niebawem Mama Low weźmie się za przyrządzenie pikantnego sosu chilli do raków. Wtedy w kuchni zapadnie groźna cisza. Jeszcze nie urodził się taki podkuchenny, który ośmieliłby się zasugerować, że żeglarze przyplývają do Hunter's Island z innego powodu niż sos chilli Mamy.

„Iron Pasha” wpłynął do portu, jego szesnastoosobowa ekipa wkrótce się zjawi, w kuchni panuje bitewna atmosfera, gdy pierwsi goście zajmują miejsca przy ostatnich stolikach. Koniec z przechwałkami, koniec z dokładaniem farby maskującej lub nerwowym sprawdzaniem broni. Oddział zamienił się w milczący zespół reagujący tylko wzrokiem i ciałem, ludzie obchodzą się jak niemi tancerze. Nawet Tłuk i Łzawe Oko zamilkli pod wpływem napięcia, jakie towarzyszy podniesieniu kurtyny przed kolejnym słynnym wieczorem u Mamy Low. Panna Amelia w plastikowych wałkach usytuowała się przy kasie i jest gotowa na przyjęcie pierwszego rachunku. Mama Low w sławnym kapeluszu jest wszędzie, to zagrzewa do boju swoje oddziały potokiem cichych inwektyw, to robi wypady na pierwszą linię frontu, obłudnie wdziecząc się przed znieawidzonym wrogiem, to znowu wraca do kuchni, gdzie zgrzytając zębami, rzuca rozkazy, co jest tym skuteczniejsze, że trzyma na wodzy swój tubalny głos.

- Śliczna biała pani przy ósemce to jakaś, kurwa, gąsienica. Nie będzie nic jadła, tylko, kurwa, liście sałaty. Dwie sałaty Mamy, O'Toole! A gówniarz przy szóstce nie będzie nic jadł, tylko, kurwa, hamburgery. Jeden gówniany hamburger i pierdolić! Co się wyprawia z tymi ludźmi, O'Toole? Zabrakło im już, kurwa, zębów? Nie jedzą żadnych ryb? Łzawe Oko, pięć 7upów i dwa poncze Mamy na jedynkę. Biegiem. Panie Lamont, rób dalej te małże, sześć tuzinów więcej nie będzie za dużo, słyszysz mnie, tylko na pewno zostaw szesnaście porcji dla „Pashy”. Od małży pracują jaja, panie Lamont. Panie i panowie będą rznąć się na potęgę przez te twoje małże. O'Toole, gdzie sos, wypileś go? Melanie Rose, skarbie, obróć ziemniaczki albo spalą ci się na węgiel pod samym nosem!

Wszystko to pod osłoną szesnaosobowego zespołu perkusyjnego z wyspy, który zasiadł na rozległym tarasie na dachu. Spocone twarze muzykantów błyszczą w świetle różnokolorowych żarówek, białe koszule żarzą się w stroboskopie. Chłopak imieniem Henry śpiewa kalipso. Henry odsiedział piątkę za rozprowadzanie koki i wrócił do domu, wyglądając jak starzec. Melanie Rose powiedziała Jonathnowi, że Henry już zupełnie nie nadaje się do kochania, zwłaszcza po

tamtych pobiciach. „Niektórzy miejscowi mówią, że to dlatego potrafi śpiewać tak wysoko” - rzuca ze smutnym uśmiechem.

To pracowita noc, najpracowitsza noc Mamy Low od tygodni, co wyjaśnia dodatkowe podniecenie. Pięćdziesięciu ośmiu gości do obsłużenia i szesnastu nadciągających na wzgórze - Mama Low wypatrył ich przez swoją lunetę - a przecież to nie sezon. Mija cała napięta godzina, zanim Jonathan może zrobić to, co lubi, kiedy zapada spokój: zlać głowę zimną wodą i ocenić swoich klientów przez judasza w wahadłowych drzwiach.

Ocena żołnierza zwiadu bezpośredniego. Analityczna, techniczna, gruntowna. I głębokie, skryte rozpoznanie przeciwnika, zanim w ogóle dojdzie do starcia. Jonathan potrafi to robić przez niekończące się dni, robił to z rowów, płotów, leżąc w stodołach, twarz i ręce mając pokryte farbą kamuflażową, wetknąwszy w mundur żywe gałązki. Robi to teraz: przyjdę po niego, jak będzie czas, nie wcześniej.

Najpierw port; podkova białych świateł i niewielkich jachtów, każdy to samodzielne ognisko rozpalone na szkle osłoniętej zatoki. Podnieś odrobinę wzrok i oto on: sam „Iron Pasha”, wystrojony na karnawał, zlany złotym blaskiem od dziobu do rufy. Jonathan odszukał wzrokiem sylwetki wartowników - jedna na przodzie, druga z tyłu i trzecia słabo widoczna w cieniu mostka. Brak wśród nich Frisky'ego i Tabby'ego. Mają dziś obowiązki na lądzie. Wzrok Jonathana przesuwają się taktycznymi skokami w górę piaszczystej ścieżki i przechodzi pod łukiem z wyrzuconego przez morze drewna, wyznaczającym granicę świętego królestwa Mamy Low. Bada oświetlone zarośla hibiskusa i poszarpane flagi Bahamów wiszące z piracką banderą. Zatrzymuje się przy parkiecie tanecznym, gdzie bardzo stare małżeństwo gładzi się nawzajem po twarzy koniuszkami palców. Jonathan zgadł, że to emigranci nadal niemogący się nadziwić temu, że przeżyli. Młodszy tancerze tulą się w nieruchomej ekstazie. Przy stole koło parkietu wypatrył parę twardzieli około czterdziestki. Szorty bermudy, torsy zapaśników. Energiczne ruchy przedramion. Czy to wy? - zapytał ich w myślach - czy może jesteście tylko kolejną parą Brytanów Ropera?

„Pewnie użyją cigarette - mówił Rooke. - To superszybki cichy ślizgacz”.

Ci dwaj mężczyźni pojawili się w nowej białej motorówce tuż przed zmierzchem. Czy była to cigarette czy nie, nie wiedział. Ale cechował ich spokój zawodowców.

Wstali, wyglądając szorty, i zarzucili torby na ramiona. Jeden z nich pożegnał Mamę Low rzymskim salutem.

- Proszę pana? Było klasa. Żarcie znakomite. Świetne.

Z rękoma zgiętymi w łokciach kroczyli w dół do łodzi piaszczystym szlakiem.

To nikt - zdecydował Jonathan. Para. Może. A może nie.

Przeniósł wzrok na stół, przy którym siedzieli trzej Francuzi i ich dziewczyny. Za bardzo pijani - zdecydował. Jak do tej pory dali wspólnie radę dwunastu ponczom Mamy i nikt nie wylał swojego do donicy z kwiatami. Skupił się na barze dla średniozamożnych. Na tle flag sygnałowych, łbów niebieskich merlinów i odciętych końcówek krawatów dwie Murzynki w kolorowych bawełnianych sukienkach gwarzyły z dwoma dwudziestoletnimi Murzynami. Może to wy - pomyślał. - Może dziewczyny. Może wszyscy czworo.

Kątem oka dostrzegł niską białą motorówkę wypływającą z Deep Bay na morze. Moi dwaj kandydaci wyeliminowani. Może.

Bezwiednie uniósł wzrok w kierunku tarasu, na którym najgorszy człowiek na świecie w otoczeniu najemników, błaznów, ochroniarzy i dzieci zabawiał się w swoim prywatnym Camelocie. Tak jak jego jacht zawładnął portem, tak osoba pana Richarda Onslowa Ropera zapanowała nad okrągłym stołem, tarasem i restauracją. W przeciwieństwie do swojej łodzi nie był ubrany na pokaz, ale miał swobodny przydziewek faceta, który założył byle co, by otworzyć drzwi znajomemu. Na ramiona narzucił granatowy sweter.

Niemniej on sprawował rządy - nieruchomością patrycjuszowskiej głowy, szybkością uśmiechu i błyskotliwością wypowiedzi, skupieniem, jakim darzyła go widowia, czy to gdy się odzywał, czy gdy milczał. Wszystko na stole i w okolicy - od zastawy, przez butelki, świece w zielonych słojach, twarze dzieci - odnosiło się do niego. Nawet żołnierz zwiadu bezpośredniego poczuł jego wpływ.

Roper - pomyślał. To ja, Pine, ten gość, co to radził ci nie kupować tych włoskich marmurów.

A kiedy to myślał, ogólny wybuch śmiechu zainicjowany przez Ropera i wyraźnie przez niego sprowokowany wzbil się ponad taras, gdy wyciągnął opalone ramię, podkreślając pointę, i uniósł głowę w kierunku kobiety, która siedziała naprzeciwko niego po drugiej stronie stołu. Jej niedbale rozrzucone kasztanowe włosy i nagie plecy to wszystko, co Jonathan mógł dojrzeć z tej odległości, ale od razu przypomniał sobie fakturę jej skóry pod szlafrokiem kąpielowym Herr Meistra, bezkresne nogi i zwoje biżuterii na przegubach i na szyi. Poczul dreszcz, który przeszedł go, gdy po raz pierwszy zatrzymał na

niej wzrok, i oburzenie, że ktoś tak młody i piękny może bezwolnie oddać się Roperowi. Uśmiechnęła się wówczas swoim uśmiechem komediantki - błazeńskim, krzywym, impertynenckim.

Opędzając się od myśli o niej, skupił się na liczeniu dzieci siedzących przy końcu stołu. „Langbournowie mają trójkę, McArthur i Danby po jednym - powiedział Burr. - Roper ściąga je dla rozrywki swojego Daniela”.

W końcu zjawił się sam Daniel, ośmioletni, rozczochrany i bładny chłopiec z mocno zarysowanym podbródkiem. I na Danielu zatrzymał się pełen winy wzrok Jonathana.

„Nie mogliśmy wykorzystać kogoś innego?” - spytał Rooke'a. Ale natrafił na żelazną ścianę.

„Daniel jest źrenicą oka Ropera - odparł Rooke, podczas gdy Burr wyglądał przez okno - po co wykorzystywać kogoś drugorzędnego?”

„Mówimy o pięciu minutach, Jonathanie - powiedział Burr. - Co to jest pięć minut dla ośmioletniego dzieciaka”.

Całe życie - pomyślał Jonathan, przypominając sobie kilka chwil z własnego życia.

Tymczasem Daniel jest pogrążony w poważnej dyskusji z Jed, której splątane kasztanowe włosy dzielą się na dwie mniej więcej równe części, gdy z uwagą pochyla się nad chłopcem. Płomyki świec obramowują złotem dwie twarze. Daniel ciągnie kobietę za ramię. Ona podnosi się, zerka na orkiestrę i woła do kogoś, kogo chyba zna. Zbierając luźną sukienkę, przenosi jedną nogę, potem drugą nad kamienną ławką, jak nastolatka przełaząca nad ogrodową furtką. Jed i Daniel ręka w rękę biegną w dół po kamiennych schodach. „Gejsza z wyższych sfer - powiedział Burr - nienotowana”. To zależy od tego, co się notuje - pomyślał Jonathan, patrząc, jak kobieta bierze Daniela w ramiona.

Czas się zatrzymuje. Orkiestra gra powolną sambę. Daniel obejmuje biodra Jed, jakby chciał w nią wejść. Powab jej ruchów jest niemal przestępczy. Zamieszanie przerywa marzenia na jawie Jonathana. Coś strasznego stało się ze spodniami Daniela. Jed trzyma je w pasie i śmiechem pomaga mu rozładować zażenowanie. Daniel zgubił guzik, ale Jed w natchnionym akcie improwizacji spina mu spodnie sześciocalową agrafką wyjętą z fartucha Melanie Rose. Roper stoi przy parapecie i patrzy na nich jak zadowolony admirał podczas inspekcji floty. Zauważając jego spojrzenie, Daniel puszcza Jeds na tyle, by pomachać dłonią po dziecinnemu, szeroko. Roper odpowiada,

unosząc kciuk. Jed posyła Roperowi całusa, potem bierze ręce Daniela i wraca do tańca, poddając chłopcu na głos rytm. Samba przyspiesza. Daniel się rozluźnia, wyczuwa melodię. Płynność ruchów bioder Jed jest zagrożeniem dla spokoju publicznego. Najgorszy człowiek na świecie ma nazbyt wiele szczęścia.

Wracając spojrzeniem na taras, Jonathan robi pobieżny przegląd reszty towarzystwa Ropera. Frisky i Tabby siedzą po przeciwnych stronach stołu. Frisky preferuje lewą stronę, Tabby kontroluje jedzących i parkiet. Obaj wydają się więksi, niż Jonathan ich zapamiętał. Lord Langbourne, blond włosy nadal związane w kitkę, rozmawia ze śliczną młodą Angielką, podczas gdy jego naburmuszona żona spogląda spode łba na tańczących. Po drugiej stronie stołu siedzi major Corkoran, były członek gwardii królewskiej, przyodziany w podniszczoną panamę z szeroką taśmą. Z galanterią rozmawia z niezgrabną dziewczyną ubraną w zapiętą pod szyję sukienkę. Dziewczyna krzywi się, czerwieni, chichocze, potem opanowuje się i z powagą wkłada do ust pełną łyżeczkę lodów.

Henry, trubadur impotent, rozpoczyna kalipso o bardzo-śpiącej-dziewczynie-która-nie-może-za-snąć. Na parkiecie Daniel wtula tors we wzgórek łonowy Jed, głowę w piersi, nie wypuszczając z uścisku jej bioder. Jed pozwala mu się kołysać w spokoju.

- Dziewczyna na szóstce ma cycuszki jak ciepłe szczeniaki - oświadcza O'Toole, trącając Jonathana w kręgosłup tacą zastawioną ponczem Mamy.

Jonathan po raz ostatni obejmuje długim spojrzeniem Ropera. Ten odwrócił twarz ku morzu, na którym blask księżycy ścieli się od oświetlonego jachtu po horyzont.

- Panie Lamont, śpiewaj alleluja, szanowny panie! - zawołał Mama Low, majestatycznie odpychając na bok O'Toole'a. Nałożył stare bryczesy i kask tropikalny, zaopatrzył się w swój sławny czarny kosz i bicz. Jonathan wyszedł za Mamą Low na balkon. W kucharskiej kurtce i czapce, biały jak cel tarczy strzelniczej, dzierżył mosiężny dzwon. Echa jeszcze szły ku morzu, gdy dzieci z towarzystwa Ropera przybiegły co tchu z tarasu, za nimi dostojniejszym krokiem zjawili się dorośli prowadzeni przez Langbourne'a i paru wiotkich młodzieńców z warstw społecznych grających w polo. Orkiestra dała tusz, zgaszono wokół pochodnie i kolorowe reflektory zabłysły na parkiecie tanecznym jak na lodowisku. Gdy Mama Low wszedł na środek

parkietu i strzelił z bata, Roper i jego otoczenie zasiedli na zarezerwowanych miejscach w pierwszym rzędzie. Jonathan zerknął ku morzu. Biały ślizgacz, być może klasy cigarette, znikł. Na pewno okrążył półwysep i popłynął na południe - pomyślał.

- Tu, gdzie stoję, tu dokładnie jest linia startowa! Każdy krab, który będzie chciał wyskoczyć przed pistoletem startowym, zalicza dziesięć batów na bank!!!

W zsuniętym na tył głowy kasku Mama Low prezentuje swoją sławną parodię brytyjskiego kolonialisty.

- To historyczne koło tu oto - wskazuje czerwony okrąg u swoich stóp - to meta. Każdy krab w tym koszu ma swój numer. Każdemu krabowi z tego kosza nogi wejdą w dupę albo gorzko tego pożałuje. Każdy krab, który nie dobiegnie do mety, idzie natychmiast do gara.

Kolejny trzask bicia. Śmiechy milkną. Na skraju parkietu tanecznego Tłuk i Łzawe Oko częstują darmowymi porcjami ponczu z dziecinnego wózka, który kiedyś służył samemu małutkiemu Low. Starsze dzieci siadły po turecku, dwaj chłopcy skrzyżowali ramiona, dziewczęta objęły kolana rękoma. Daniel oparł się o Jed, wsadził kciuk do ust. Roper stoi obok. Lord Langbourne robi zdjęcie z fleszem, co denerwuje majora Corkorana:

- Sandy, chłopie kochany, na litość boską, czy nie moglibyśmy raz utrwalić tego po prostu w pamięci? - burczy szeptem, który wypełniłby amfiteatr.

Księżyc wisi nad morzem jak różowy lampion. Światła portu podskakują i błyszczą w niespokojnym zakolu. Na balkonie, na którym stoi Jonathan, O'Toole kładzie właścicielską dłoń na tyłku Melanie Rose, która podkłada się usłużnie. Tylko panna Amelia w wałkach jest nieczuła na rozwój wydarzeń. W oprawie oświetlonego na biało kuchennego okna skupiona robi kasę.

Orkiestra gra kolejną melodię. Mama Low zgina się do czarnego plecionego kosza, łapie pokrywę i odrzuca. Kraby są gotowe do startu. Tłuk i Łzawe Oko porzucają wózek i wyruszają między widzów z bloczkami biletów.

- Wyścig na trzy kraby, bez handikapu! - Jonathan słyszy wrzask Tłuka.

Mama Low poszukuje wśród widowni ochotnika:

- Szukam! Szukam! - krzyczy rozzwierającym głosem katowanego Murzyna. - Ja szukam ślicznego, białego, czystego, chrześcijańskiego dziecięcia, które zna swój święty obowiązek względem tych

tępych krabów i nie będzie tolerowało żadnego szemrania ani sprzeciwów. Ty, mój drogi! Pokładam w tobie moje pokorne, nieśmiałe nadzieje!

Wskazuje batem na Daniela, który krzyczy trochę żartobliwie, a trochę szczerze, kryje twarz w sukience Jed, a potem ucieka w popłochu w głąb widowni. Ale jedna z dziewcząt już wyskakuje do przodu. Jonathan słyszy szaleńczy aplauz graczy w polo.

- Dobre zagranie, Sally! Daj im w kość, Sals! Super!

Nie opuszczając swojego punktu obserwacyjnego na balkonie, Jonathan przeczesuje wzrokiem bar, gdzie dwaj mężczyźni i dwie dziewczyny zbili się ciasno, pogrążeni po uszy w rozmowie, zdecydowanie ignorując parkiet taneczny. Wraca wzrokiem do widowni, orkiestry, niebezpiecznych plam ciemności leżących pośrodku.

Wyjdą z za tarasu - decyduje. Wykorzystają osłonę krzewów obok stopni. „Pamiętaj tylko, żeby stać na kuchennym balkonie” - powiedział Rooke.

Sally czy Sals pochyla głowę i zerka do czarnego kosza. Perkusista kolejny raz gra tusz. Sally śmiało sięga najpierw jedną, a potem drugą ręką do kosza. Przy wtórze histerycznych śmiechów wkłada głowę, prostuje się, trzymając po krabie w każdej ręce, i kładzie je jeden obok drugiego na linii startu, podczas gdy aparat Langbourne'a szemrze, wysuwa i chowa obiektyw, błyska. Dziewczyna nurkuje po trzeciego kraba, dostawia go na linię startu i skocznie wraca na swoje miejsce przy kolejnym szaleńczym aplauzie towarzystwa od gry w polo. Trębacz z dachu gra hejnał myśliwski. Jego echa nadal brzmią wokół portu, gdy wśród nocy rozlega się strzał z pistoletu. Zaskoczony Frisky opada do przysiadu, podczas gdy Tabby zaczyna odpychać widzów do tyłu, żeby mieć wolne pole ostrzału, choć nie wie, do kogo ma mierzyć.

Nawet Jonathan przez chwilę szuka strzelca, aż zauważa Mamę Low pocącego się pod tropikalnym kaskiem, z dymiącym pistoletem startowym skierowanym w nocne niebo.

Krabys ruszyły.

Potem, jakby nigdy nic, działo się to.

Żadnych formalności, żadnego cudu, żadnego zamieszania, żadnych krzyków - ledwo jakiś dźwięk poza lakonicznym rozkazem Ropera do Frisky'ego i Tabby'ego, żeby „stali bez ruchu i nic nie robili, jasne?”.

Jeśli już było w tym coś nadzwyczajnego, to nie hałas, lecz spokój. Mama Low przestał się wydzierać, orkiestra umilkła, a gracze w polo zaniechali szaleńczych wrzasków.

I ten spokój szedł powolną falą, jak wtedy gdy podczas próby orkiestry instrumenty przestają stopniowo grać, a najbardziej przejęci lub najbardziej obojętni muzycy grają jeszcze kilka taktów, zanim i oni ucichną. Przez chwilę do Jonathana docierały jedynie te odgłosy, które słyszy się na Hunter's Island, gdy ludzie przestają czynić wrzawę: nawoływania ptaków, cykady, plusk wody przy koralowcach za Penguin Point, rzenie dzikiego kuca z cmentarza, parę cichych stuknięć młotka, gdy jakiś ciężko pracujący człowiek walczy ze swoim sprzętem. Potem przestał słyszeć cokolwiek, cisza stała się ogromna i straszna, i Jonathan, dysponując rozległym widokiem z balkonu, spostrzegł dwóch barczystych zawodowców, którzy wyszli z restauracji wcześniej i odpłynęli nową białą cigarette, lecz teraz szli wzdłuż rzędów widzów jak zbierający na tacę w kościele, zgarniając kolekcję portfeli, portmonetek, torebek, zegarków i małych plików banknotów trzymanyh w tylnych kieszeniach.

I biżuterię, szczególnie biżuterię Jed. Jonathan akurat zdążył zobaczyć, jak nagie ramiona unoszą się do lewego ucha, potem do prawego, dłonie odsuwają włosy, jak pochyła się lekko. Potem sięgnęła do szyi, zdejmując naszyjnik, jakby zamierzała wejść do czyje-go łóżka. „Nikt już nie ma tak źle w głowie, żeby nosić biżuterię na Bahamach - powiedział poprzednio Burr - chyba że przypadkiem jest to dziewczyna Dicky'ego Ropera”.

I nadal żadnego zamieszania. Wszyscy znają zasady. Żadnych sprzeciwów, żadnego oporu, o nieprzyjemnościach mowy nie ma - a wszystko z tej przyczyny, że podczas gdy jeden ze złodziei trzymał otwartą plastikową teczkę, do której przyjmował ofiarę wiernych, jego współnik pchał zniszczony wózek z butelkami whisky, dzinu i puszkami piwa w pojemniku z lodem. A wśród piwa i butelek siedział ośmioletni Daniel Roper, jak Budda przeznaczony na ofiarę, z pistoletem przystawionym do głowy, przeżywając pierwszą z pięciu minut, o których Burr powiedział, że nie będą miały znaczenia dla chłopca w tym wieku - i być może Burr miał rację, bo Daniel uśmiechał się i podzielał rozbawienie tłumu znakomitym kawałem, wdzięczny za uwolnienie od tego straszego wyścigu krabów.

Ale Jonathan nie podzielał rozbawienia Daniela. Ujrzał natomiast światło bijące gdzieś wewnątrz jego czaszki, jak krwawy rozprysk furii. I usłyszał wezwanie do boju głośniejsze niż cokolwiek, co usłyszał od tamtej nocy, gdy opróżnił swojego hecklera w nieuzbrojonego

zielonego Irlandczyka, wezwanie tak silne, że przestał myśleć, jedynie działał. Przez wiele dni i nocy - raz świadomie, raz nieświadomie - zbierał siły na ten moment, rozkoszował się nim, bał się go i planował; jeśli zrobią to, logiczna reakcja będzie taka; jeśli oni są tutaj, właściwa pozycja będzie tam. Ale aż do tej chwili nie znał swoich uczuć. I niewątpliwie dlatego zareagował w sposób inny, niż zaplanował.

Cofnął się jak najgłębiej w cienie balkonu, zdjął czapkę kucharską i kurtkę, pobiegł w szortach do kuchni w kierunku kasy, przy której panna Amelia malowała paznokcie. Złapał jej telefon, podniósł słuchawkę do ucha i postukał w widełki na tyle długo, by ustalić to, co już wiedział, to znaczy, że linia została przecięta. Chwycił ścierkę, wskoczył na środkowy stół i zdjął jarzeniówkę oświetlającą kuchnię. Rozkazał panie Amelii zostawić kasę dokładnie w takim stanie, w jakim jest, i ukryć się na górze bez żadnego gadania, skarżenia się na ból brzucha, zabierania pieniędzy, bo inaczej napastnicy zabiorą się do niej. W blasku lamp łukowych z zewnątrz podbiegł do lady, na której trzymał zestaw noży, wybrał najtwardszy i pobiegł z nim nie z powrotem na balkon, ale przez pomywalnię do drzwi dla obsługi po stronie południowej.

Dlaczego nóż? - zastanawiał się, biegnąc. Dlaczego nóż? Kogo zamierzam pokroić nożem?

Ale nie odrzucił go, był zadowolony, że ma nóż, bo człowiek z bronią, jakkolwiek bronią, to dwa razy tyle co człowiek bez broni; patrz podręcznik.

Gdy tylko znalazł się na dworze, nadal biegł w kierunku południowym, schylając się i skacząc między agawami i kokkolobami, aż dotarł do krawędzi urwiska nad Goose Neck. Tam zdyszany i spocony ujrzał to, czego szukał: białą motorówkę cumującą po wschodniej stronie zatoczki, transport napastników. Ale nie zatrzymał się dla podziwiania widoków. Z nożem w ręce wrócił biegiem do nieoświetlonej kuchni. I chociaż wykonanie tego zadania nie zabrało mu więcej niż minutę, panna Amelia zdążyła ukryć się na górze.

Przez nieoświetlone okno kuchenne po północnej stronie Jonathan ocenił rozmiary postępów złodziei i chwalić Boga, w tym czasie udało mu się powściągnąć nieco pierwszy morderczy gniew, gdyż odzyskał ostrość widzenia i równomierny oddech. Znowu mniej więcej nad sobą panował. Ale skąd się wziął gniew? Z jakiejś mrocznej i dalekiej przeszłości. Rozrastał się i podnosił jak fala powodzi, ale jego pochodzenie było zagadką. I Jonathan nadal trzymał nóż. „Kciuk na górze, Johnny, jakbyś smarował masłem chleb... poruszaj ostrzem i obserwuj jego oczy... tylko nie za nisko, i odwracaj trochę uwagę

drugą ręką...”

Major Corkoran w swojej panamie znalazł krzesło i siedział na nim okrakiem, z ramionami złożonymi na oparciu, podbródkiem spoczywającym na ramionach, przyglądał się złodziejom, jakby to był pokaz mody. Lord Langbourne rozstał się ze swoim aparatem, ale ledwo człowiek z teczką wziął go do ręki, z irytacją odrzucił sprzęt jak rzecz bez wartości. Jonathan usłyszał wycedzone:

- Spierdalaj.

Frisky i Tabby stali jak opętani, sztywni i gotowi do działania zaledwie pięć metrów od swoich celów. Ale Roper wyciągniętym prawym ramieniem nadal ich powstrzymywał, nie spuszczać oczu z Daniela i złodziei.

Jed stała samotnie, bez biżuterii, na skraju parkietu, cała spięta, dłonie rozpostarte na udach, jakby z trudem się powstrzymywała, by podbiec do Daniela.

- Jeśli chodzi wam o pieniądze, możecie je wziąć. - Jonathan usłyszał Ropera mówiącego tak spokojnie, jakby miał do czynienia z nieposłusznym dzieckiem. - Chcecie sto tysięcy dolarów? Weźcie w gotówce, z jachtu, dajcie mi tylko chłopca. Policja nie będzie was ściagać. Dam wam spokój. Bylem tylko dostał chłopca. Rozumiecie, co do was mówię? Mówicie po angielsku? Corky, spróbuj do nich po hiszpańsku, dobrze?

Głos Corkorana posłusznie przekazał to samo w niezłej hiszpańszczyźnie.

Jonathan zerknął na stanowisko kasjera. Kasa panny Amelii stała otwarta. Na wpeł przeliczone kupki pieniędzy walały się na kontuarze. Spojrzał w dół na ścieżkę biegnącą zakosami od parkietu do kuchni. Była stroma i wyłożona nierówno kamieniami. Tylko wariat próbowałby pchać nią pełny wózek. Poza tym była jasno oświetlona, co znaczyło, że każdy wchodzący do ciemnej kuchni na chwilę zostanie oślepiiony. Jonathan wsunął nóż za pas i wytarł spocone dłonie o tył spodenek.

Napastnicy ruszyli w górę ścieżki. Sposób, w jaki trzymali zakładnika, miał podstawowe znaczenie dla Jonathana, bo od tego zależał plan akcji; jak go nazywał Burr, plan pozorów prawdopodobieństwa. „Słuchaj jak ślepiec, Johnny, patrz jak głuchy”. Ale nie przypominał sobie, by ktokolwiek doradzał mu, jak jeden człowiek z nożem do rozbierania mięsa ma uwolnić ośmioletniego zakładnika z rąk dwóch uzbrojonych bandytów i przeżyć.

Pokonali pierwszy zakos ścieżki. Poniżej nieruchomy tłum, twarze błyszczące w świetle łukowych żarówek. Śledził ich wzrokiem, nikt

nawet nie drgnął, Jed nadal stała z dala od innych, jej włosy w blasku lamp miały kolor miedzi. Jonathan już nie poznawał samego siebie. Koszmarne obrazy z dzieciństwa przesuwaly mu się przed oczami. Obelgi będące wstępem do czegoś gorszego, niewysłuchane modlitwy.

Najpierw szedł akwizytor, dwadzieścia metrów za nim wspólnik ciągnący Daniela za rękę. Chłopiec już się nie bawił. Akwizytor szedł długimi krokami, wypchana teczka zwisała mu u boku. Ale ten drugi poruszał się niezręcznie, stale odwracał się górną połową ciała, grożąc pistoletem to tłumowi, to chłopcu. Praworęczny - zanotował w pamięci Jonathan - gołe ramiona. Bezpiecznik odblokowany.

- Nie chcecie ze mną negocjować?! - Roper krzyczał do nich z parkietu. - Jestem jego ojcem. Czemu nie chcecie ze mną gadać? Ubijmy interes.

- Czemu nie weźmiecie dorosłego? - zawołała przestraszona Jed, ale wyzywająco rozkazującym głosem. - Cholerne bydlaki. Weźcie kogoś z nas. Weźcie mnie, jak chcecie. - A potem znacznie głośniej, gdy doszedł strach i gniew: - Oddajcie go, dranie!

Słyszac wezwanie Jed, porywacz Daniela gwałtownym ruchem odwrócił chłopca w jej kierunku, przyłożył mu pistolet do skroni i tępy warkotem z Bronxu wypuł tekst czarnego charakteru:

- Ktoś rzuci się na nas, ktoś wejdzie na ścieżkę, ktoś będzie próbował odciąć nam drogę, zabijam dzieciaka, jasne? Potem zabijam każdego. Sram na wszystko. Zabiję każdego. Więc się nie ruszać i mordy w kubel.

Krew pulsowała w wyciągniętych dłoniach Jonathana, każda opuszka palca swędziała. Czasem ręce chciały same ruszyć do działania i porwać go za sobą. Na drewnianej podłodze werandy rozległo się pospieszne tupanie. Drzwi kuchni otworzyły się gwałtownie, męska dłoń szukała wyłącznika światła, nacisnęła go. Bez skutku. Chrapliwy głos dyszał:

- Co jest, kurwa, Jezu Chryste, gdzie ta chujoza? Cholerny świat!!!

Krępa postać, potykając się, ruszyła do kasy i przystanąła w pół drogi.

- Jest tu kto? Kto tu? Gdzie to światło, kurwa?! Kurwa mać! Oż, kurwa!

Bronx - zanotował znów Jonathan przyklejony do ściany za drzwiami balkonowymi. Autentyczny akcent z Bronxu. Mężczyzna znów ruszył do przodu, wyciągając przed sobą teczkę i macając w powietrzu drugą ręką.

- Jak tu ktoś jest, niech wypierdala, jasne? To ostrzeżenie. Mamy dzieciaka. Ktoś zacznie się stawiać, upierdolimy dzieciaka. Nie ładować się nam w drogę.

Ale zdążył już znaleźć kupki banknotów i zgarniał je do teczki. Kiedy skończył, wrócił do otwartych drzwi, które były jedynym parawanem między nim a Jonathanem, i krzyknął do współnika:

- Schodzę do łodzi, Mike! Włączę silnik, słyszysz mnie? Jezu, kurwa! - narzekał, jakby spotkało go jakieś nieszczęście. Rzucił się przez kuchnię ku drzwiom do pomywalni, otworzył je kopnięciem i pospieszył ścieżką biegnącą do Goose Neck. W tym samym momencie Jonathan usłyszał mężczyznę imieniem Mike zbliżającego się ze swoim zakładnikiem, Danielem. Jonathan jeszcze raz otarł dłonie o szorty, wyciągnął nóż zza pasa i przełożył go do lewej ręki, ostrzem w górę, jakby chciał rozplatać brzuch od dołu. W trakcie tych czynności usłyszał chlipnięcie Daniela. Jedno zduszone lub przytłumione chlipnięcie, tak krótkie, że chłopiec musiał zapanować nad sobą, niemal zanim się wymknęło. Jedno półchlipnięcie zmęczenia, zniecierpliwienia, znudzenia lub frustracji, takie jakie można usłyszeć od każdego dziecka, czy to biednego jak mysz, czy bogatego jak księżę, którego trochę boli ucho albo które nie chce iść spać, zanim mu ktoś nie obieca, że przyjdzie i go utuli.

Lecz dla Jonathanana był to płacz z jego dzieciństwa. Rozlegał się w każdym ohydny korytarzu, drewnianym baraku, sierocińcu, pokoiu u przyszywanej ciotki. Powstrzymał się jeszcze chwilę, wiedząc, że ciosy zyskają na tej chwili zwłoki. Wsunął nóż za pas. Poczul zwolnienie akcji serca. Czerwona mgła zasłoniła mu oczy, stał się lekki jak piórko i niewyciężony. Ujrzał Sophie, jej nietkniętą twarz, uśmiechniętą. Usłyszał kroki dorosłego, za którym niechętnie, szurając butami, sunął ktoś mniejszy, gdy porywacz Daniela schodził po dwóch stopniach z balkonu i kierował się do wyłożonej płytkami podłogi kuchni, ciągnąc za sobą chłopca. Kiedy stopa mężczyzny dotknęła płytek, Jonathan wyszedł zza drzwi, dwoma rękoma złapał ramię trzymające pistolet i złamał je, wykręcając jednym wściekłym ruchem. Równocześnie krzyknął; wydał przeciągły, oczyszczający krzyk, żeby wezwać pomoc, sterroryzować, położyć koniec zbyt wielkiej, zbyt długiej cierpliwości. Pistolet zagrzechotał na płytkach i Jonathan kopnął go daleko. Pociągnął mężczyznę z uszkodzoną ręką do drzwi, rzucił się na nie całym ciałem i powtórnie złamał rękę, tym razem o ościeżnicę. Człowiek imieniem Mike też wrzasnął, ale zamilkł, gdy Jonathan przyłożył ostrze noża do spoconej szyi.

- Cholera, człowieku! - szepnął Mike porażony bólem i szokiem.

- Coś ty mi, kurwa, zrobił? Ja pierdołę! Coś ty, świr czy jak? Jezu!

- Wracaj biegiem do mamy - powiedział Jonathan do Daniela. - Pyskaj. Już, gazem.

I pomimo wszystkiego, co w nim szalało, dobrał te słowa starannie, wiedząc, że a nuż ktoś go z nich odpyta. Bo skąd byle kucharczyna miałaby wiedzieć, że Daniel ma na imię Daniel albo że Jed nie jest jego matką, albo że prawdziwa matka Daniela jest kilka tysięcy kilometrów stąd w Dorset? Gdy je wypowiadał, zdał sobie sprawę, że Daniel już go nie słucha, ale patrzy obok w kierunku drugich drzwi. I że akwizytor, usłyszawszy wrzask, wraca z pomocą.

- Chuj złamał mi rękę, kurwa! - wył mężczyzna zwany Mikiem. - Puść mi rękę, kurwa, ty pierdolony świrze! On ma nóż, Gerry! Uwważaj na niego, kurwa. Mam złamaną rękę, kurwa. Złamał mi dwa razy, kurwa. On nie żartuje. To świr!

Ale Jonathan trzymał go za tę rękę, która prawdopodobnie była złamana, i nadal przyciskał nóż do spoconej szyi. Mężczyzna odchylił daleko w tył głowę, otworzył usta, jakby siedział na fotelu u dentysty, spocone włosy opadały mu na twarz. I mając oczy zasłonięte czerwoną mgłą, Jonathan zrobiłby wszystko co konieczne, bez skrupułów.

- Zejdz schodami - powiedział do Daniela spokojnie, by go nie przestraszyć. - Idź ostrożnie. Marsz. Już.

Na co w końcu Daniel raczył łaskawie opuścić kuchnię. Obrócił się na pięcie i niepewnymi krokami schodził w dół ku światłom łukowych żarówek i zamarłemu tłumowi, machając ręką nad głową, jakby chciał potwierdzić swój wyczyn. I ten pocieszający obraz pozostał w pamięci Jonathana, gdy mężczyzna zwany Gerrym uderzył go kolbą pistoletu, potem uderzył jeszcze raz nad prawym policzkiem i okiem, a potem jeszcze, gdy Jonathan w zwolnionym tempie opadł na podłogę w zawojach krwi Sophie. Kiedy spoczął na ziemi w pozycji płodowej, Gerry poczęstował go na dokładkę kilkoma kopniakami w krocze, zanim złapał swojego współnika, Mike'a, za zdrowe ramię i przy wtórze kolejnych wrzasków i przekleństw pociągnął przez kuchnię do drzwi w głąbi. Jonathan z satysfakcją zauważył, że wypchana teczka leży niezbyt daleko, bo Gerry wyraźnie nie był w stanie zająć się Mikiem i łupem jednocześnie.

Zatupotały znowu kroki, rozległy się inne głosy i przez nieprzyjemną chwilę Jonathan pomyślał, że tamci zdecydowali się wrócić i poczęstować go kolejną dawką, ale w pomieszaniu źle ocenił pochodzenie tych odgłosów, bo to nie jego wrogowie stali teraz wokół i wpatrywali się w niego, lecz jego przyjaciele; wszyscy ci ludzie, za których walczył i za których niemal poległ: Tabby i Frisky, Langbo-

urne i gracze w polo, stare małżeństwo, które gładziło się nawzajem po twarzach podczas tańca, i czworo młodych Murzynów z baru, potem Tłuk i Łzawe Oko, Roper i Jed z małym Danielem wciśniętym między nich. I płacząca panna Amelia, płacząca jak najęta, jakby Jonathan jej też złamał rękę. I Mama Low ryczący na pannę Amelię, żeby się, kurwa, zamknęła, i panna Amelia krzycząca: „ten biedny Lamont!”. A Roper usłyszał to i wniósł sprzeciw.

- Dlaczego, u diabła, ona mówi na niego Lamont? - narzekał, przechylając głowę to na jedną stronę, to na drugą, by lepiej przyjrzeć się twarzy Jonathana pod warstwą krwi.

- To Pine z Meistra. Ten nocny lokaj. Anglik. Poznajesz go, Tabby?

- To on, szefie - potwierdził Tabby, klęcząc przy Jonathanie i mierząc mu puls.

Kątem oka Jonathan dostrzegł przemieszczającego się Frisky'ego. Podniósł teczkę i zerknął do środka.

- Jest wszystko, szefie - uspokajał. - Jeśli nie liczyć zdrowia i życia, wszystko gra.

Ale Roper nadal pochylał się nad Jonathanem i to, co zobaczył, musiało zrobić na nim większe wrażenie niż biżuteria, bo nadal marszczył nos, jakby wino podeszło korkiem. Jed uznała, że Daniel dość się naoglądał, i poprowadziła go spokojnie w dół schodów.

- Słyszysz mnie, Pine? - spytał Roper.

- Tak - odpowiedział Jonathan.

- Czujesz moją rękę?

- Tak.

- Tu też?

- Tak.

- Jak jego puls, Tabby?

- Całkiem w porządku, zważywszy na okoliczności, szefie.

- Słyszysz mnie, Pine?

- Tak.

- Wszystko będzie dobrze. Pomoc w drodze. Dostaniesz najlepszą opiekę. Mówisz z łodzią, Corky?

- Jest połączenie, szefie.

Jonathan wyobraził sobie przelotnie majora Corkorana trzymającego przy uchu telefon bezprzewodowy; rękę wsparł na biodrze, łokieć miał odstawiony dla dodania sobie większej powagi.

- Odwieziemy go śmigłowcem do Nassau. Natychmiast! - mówił Roper szorstkim głosem przeznaczonym dla Corkorana. - Zawiadom pilota, potem zadzwoń do szpitala. Nie do tego dla ubogich. Do dru-

giego. Naszego.

- Prywatnego, Collins Avenue - powiedział Corkoran.
- Zarezerwuj mu pokój. Jak się nazywa ten nadęty szwajcarski chirurg? Ten, co ma dom w Windermere Cay, zawsze chce inwestować pieniądze w nasze przedsiębiorstwa?

- Marti - powiedział Corkoran.
- Zadzwoń do Martiego, kaź mu tam przyjechać.
- Zrobi się.
- Potem dzwoń do Straży Przybrzeżnej, na policję, załatw te wszystkie normalne idiotyzmy. Narób, kurwa, rabanu. Masz nosze, Low? Kaź przynieść. Jesteś żonaty, Pine, albo coś koło tego? Masz żonę albo kogoś?

- Czuję się dobrze, proszę pana.

Ale oczywiście to woltyżerka musiała mieć ostatnie słowo. Na pewno uczyła się zasad pierwszej pomocy w szkole zakonnej.

- Starajcie się jak najmniej go ruszać - mówiła komuś głosem, który dopływał do Jonathana przez sen.

13

Jonathan znikł z ich radarów; uznany za zaginionego, prawdopodobna ofiara bratobójczego ognia. Całe planowanie, słuchanie, wypatrywanie, cała domniemana maestria manipulacji - wszystko legło jak zmiażdżona limuzyna na poboczu drogi. Byli ślepi, głusi, ośmieszeni. Pozbawiona okien kwatera główna w Miami stała się nawiedzonym domem, a Burr przemierzał ponure korytarze jak człowiek ścigany przez duchy.

Jacht Ropera, samoloty, domy, helikoptery i samochody były pod stałą obserwacją, podobnie jak stylowa kolonialna rezydencja w centrum Nassau, w której Ironbrand Land, Ore & Precious Metals Company miało swoją prestiżową siedzibę. Podobnie pilnowano telefonów i linii teleksowych, macek Ropera rozchodzących się na cały świat; od lorda Langbourne'a w Tortola do szwajcarskich bankierów w Zug i na pół anonimowych współpracowników w Warszawie; od tajemniczego Rafiego w Rio de Janeiro do Miszy w Pradze, kancelarii holenderskich notariuszy w Curaçao i jak dotąd niezidentyfikowanego urzędnika rządowego w Panamie, który nawet telefonując ze swojego biura w pałacu prezydenckim, komunikował się bełkotliwym pomrukiem i używał pseudonimu „Charlie”.

Ale żaden z tych ludzi nawet nie pisał słowa o Jonathanie Pinie alias Lamont, ostatnio przebywającym na oddziale intensywnej terapii w prywatnym szpitalu w Nassau.

- Zdezzerterował - powiedział Strelskiemu Burr, zasłaniając usta rozcapierzoną dłonią. - Najpierw wariuje, potem ucieka ze szpitala. Za tydzień przeczytamy całą historię w niedzielnych dodatkach.

A przecież wszystko zaplanowano tak perfekcyjnie. Nie zdano się na żaden przypadek; od wypłynięcia „Pashy” z Nassau do inscenizowanego porwania u Mamy Low. Pojawienie się Roperowego towarzystwa i ich dzieci - czystej krwi angielskich nonszalanckich dwunastolatek, jedzących chipsy i konwersujących o zawo-

dach hippicznych, pewnych siebie wiotkich chłopców wymieniających niedbale uwagi tonem sygnalizującym, że mają wszystko gdzieś, rodziny Langbourne'a z naburmuszoną żoną i zbyt śliczną opiekunką do dzieci - ludzie Amata potajemnie serdecznie obserwowali, tropili i oglądali z obrzydzeniem. Niczego nie pozostawiono przypadkowi.

- I wiesz co? Te bogate dzieciaki podjeżdżają rollsami pod knajpę Joego i kupują sobie trawkę! - mówił Strelskiemu przez słuchawki oburzony Amato, świeżo upieczony dumny ojciec. Ta opowieść znalazła swoje miejsce w historii całej operacji.

Podobnie opowieść o muszlach. W przeddzień wypłynięcia „Pashy” jeden z bystrych młodzieńców Ironbrand - MacArthur, który zadebiutował w niemej grupie u Meistra - podczas rozmowy z podejrzanym bankierem z drugiej części miasta mówił:

- Jeremy, pomóż mi. Kto, na Boga, sprzedaje dziś muszle? Do jutra potrzebuję tysiąc sztuk tego cholerstwa. Jeremy, mówię poważnie.

Słuchacze rozgadali się w nietypowy sposób. „Muszle”? Jakie muszle? Pociski? Wyrzutnie pocisków woda-powietrze? Nigdzie w żadnym leksykonie ropermowy nie padało słowo „muszle”. Słuchaczy wybawił z czarnej rozpacz tego samego dnia MacArthur, wyjaśniając problem menadżerowi luksusowego sklepu w Nassau:

- Bliźniaczki lorda Langbourne'a mają urodziny w drugi dzień rejsu... szef chce urządzić szukanie muszli na jednej z bezludnych wysepek i dać nagrody za najlepszy zbiór... a że zeszłego roku nikt nie znalazł żadnych muszli, więc tym razem szef ani myśli ryzykować. Planuje noc wcześniej wysłać ochronę na brzeg, niech zakopie tysiąc muszli. Więc, panie Manzini, gdzie mogę kupić hurtowo muszle?

Zespół zrywał boki ze śmiechu po tej opowieści. Frisky i Tabby wyprawiają się nocą na bezludną plażę uzbrojeni w wory z muszlami? No, ludzie!

Przećwiczone każdy etap porwania. Najpierw Flynn i Amato przebrali się za żeglarzy i dokonali rozpoznania operacyjnego na Hunter's Island. Po powrocie na Florydę zrekonstruowano teren na wydmowym odcinku drogi wydzielonej dla nich w Fort Lauderdale. Ustawiono stoliki. Taśmami oznaczono ścieżki. Wzniesiono szałas imitujący kuchnię. Zebrano grupę gości restauracyjnych. Gerry i Mike, dwa czarne charaktery, byli zawodowcami z Nowego Jorku. Dostali rozkazy i mieli trzymać gęby na kłódkę.

Mike, kidnaper, był zwalisty. Gerry, akwizytor, był ponury i żwawy. W Hollywood nie załatwiliby tego lepiej.

- Czy dżentelmeni są już w pełni obeznani z rozkazami? - dopytywał się Irlandczyk Pat Flynn, mierząc wzrokiem kastet na

prawej ręce Gerry'ego. - Gerry, zależy nam tylko na paru przyjaznych kuksańcach. Wymagamy tylko drobnej kosmetyki oblicza. Potem prosimy o honorowe podanie tyłów. Czy wyraziłem się jasno, Gerry?

- Jasno jak słońce, Pat.

Potem przeszli do przeszkód, do „a-jeżeli”. Zadbano o wszystko. A jeżeli w ostatniej chwili „Pasha” nie zawinie na wyspę? A jeżeli zawinie, zacumuje, ale pasażerowie będą woleli zjeść kolację na pokładzie? A jeżeli przyplyną na brzeg na kolację, a dzieci - może ukarane za jakieś rozrabianie - będą musiały zostać na pokładzie?

- Módlmy się - powiedział Burr.

- Módlmy się - zgodził się z nim Strelski.

Lecz tak naprawdę nie uciekali się tylko do pomocy opatrności. Wiedzieli, że „Pasha” nigdy jeszcze nie przepłynął obok Hunter's Island, nie zawijając do portu, i oczywiście, że goście będą zobowiązani zachowywać się tak, jakby byli tam po raz pierwszy. Tego od nich oczekiwano. Wiedzieli, że w porcie jachtowym Low w Deep Bay na „Pashę” czeka zaprowiantowanie, i wiedzieli, że kapitan zwykł podpisywać rachunki z magazynów i restauracji Low, bo zawsze tak robił. Pokładali ogromną wiarę we wpływie, który Daniel miał na ojca. W ciągu ostatnich kilku tygodni chłopiec przeprowadził kilka bolesnych rozmów telefonicznych z Roperem o tym, jak koszarne jest przyzwyczajanie się do rozwiedzionych rodziców, i podkreślił, że przystanek na Hunter's Island to ważny etap niedalekiej wizyty.

- Naprawdę wyjmę kraby z koszyka w tym roku, tato - powiedział ojcu Daniel z Anglii zaledwie przed dziesięcioma dniami. - Już mi się śnią. Mamusia naprawdę jest ze mnie zadowolona.

Zarówno Burr, jak i Strelski w swoim czasie odbyli podobne denerwujące rozmowy z własnymi dziećmi i uznali, że Roper, chociaż nie zalicza się do tej klasy Anglików, która wysoko stawia dzieci na liście swoich priorytetów, prędzej skoczy w ogień, niż zawiedzie Daniela.

I mieli rację, absolutną rację. A gdy major zadzwonił do panny Amelii, rezerwując stół na tarasie, Burr i Strelski mogli się uściskać, chociaż zdaniem zespołu i tak przez ostatnie dni byli już połączeni wzajemnym uściskiem jak dwa szczeniaki podczas burzy.

Dopiero pół godziny przed północą w ten najważniejszy dzień poczuli pierwszy niepokój. Operację wyznaczono na 23.03, zaraz po rozpoczęciu wyścigu krabów. Napad, podejście do kuchni, zejście do Goose Neck nie zabrały podczas prób więcej niż dwanaście minut.

Dlaczego, na Boga, Mike i Gerry nie wysłali sygnału: „Misja zakończona sukcesem”?

Wtem rozległ się alarm. Stojąc z założonymi rękoma na środku centrum dowodzenia, Burr i Strelski słuchali odtwarzanego z taśmy głosu Corkorana. Przez łącza satelitarne sypały się rozkazy do kapitana łodzi, pilota helikoptera, szpitala w Nassau i wreszcie do doktora Rudolfa Martiego w jego domu w Windermere Cay. Już samo brzmienie tego głosu było ostrzeżeniem. Był zimny, płaski, jak głos dowódcy, którego oddział nadział się na ostrzał.

- Szef w pełni zdaje sobie sprawę, że nie pracuje pan w pogotowiu ratunkowym, doktorze Marti. Ale mamy tu pęknięcie kości skroniowej i złamanie łuku jarzmowego i zdaniem szefa konieczna jest operacja. A w szpitalu jest potrzebny lekarz, któremu można by powierzyć pacjenta. Szef chciałby widzieć pana w szpitalu, kiedy tam przyjedzie, i jest gotów hojnie wynagrodzić pańskie starania. Czy mogę mu przekazać, że pan tam będzie?

Pęknięcie kości skroniowej i złamany łuk jarzmowy? Konieczna operacja? Co, do diabła, narobili Mike i Gerry? Stosunki między Burrem i Strelskim stały się napięte, zanim reagując na telefon z Jackson Memorial Hospital w Miami, pojechali tam na sygnale, Flynn na siedzeniu obok kierowcy. Gdy się zjawili, Mike był jeszcze na stole operacyjnym. Gerry, z twarzą poszarzałą od gniewu, odpalał w poczekalni papierosa od papierosa, ubrany w granatową kamizelkę ratunkową.

- Kurwa, ten zwierz rozwalił Mike'a na drzwiach, kurwa - mówił.
- A co takiego zrobił tobie, Gerry? - spytał Flynn.
- Mnie? Nic.
- A co ty jemu zrobiłeś?
- Cmoknąłem go w dupę, kurwa. Jak ci się zdaje, palancie?

Na co Flynn poderwał w górę Gerry'ego, jakby był niegrzecznym dzieckiem, wymierzył mu siarczysty policzek i opuścił na krzesło do tej samej leniwej pozycji co poprzednio.

- Dowaliłeś mu, Gerry? - spytał łagodnie Flynn.
- Kutas dostał szmergla. Wczuł się w rolę. Przytknął, kurwa, Mike'owi nóż do gardła, złamał mu ramię na drzwiach, kurwa, jakby rąbał drewno.

Wrócili do dyspozytorni, aby posłuchać Daniela rozmawiającego przez łącza satelitarne „Pashy” z matką w Anglii.

- Mamuś, to ja. Nic mi nie jest. Naprawdę.
- Długa cisza, podczas której matka Daniela się budziła.
- Danielu? Kochanie, chyba nie jesteś w Anglii, prawda?

- Jestem na „Pashy”, mamuś.
- Danielu, zlituj się. Czy ty wiesz, która godzina? Gdzie jest twój ojciec?
- Nie wyjąłem krabów z kosza, mamuś. Dostałem cykora. Zrobiło mi się niedobrze. Nic mi nie jest, mamuś. Szczerze.
- Danny?
- Tak?
- Danny, o co chodzi?
- Tylko że byliśmy na Hunter's Island, rozumiesz, mamuś. Przyszedł taki pan, który śmierdział czosnkiem, i mnie uwięził, i inny pan, który zabrał Jed naszym jank. Ale kucharz mnie oswobodził i mnie puścili.
- Danielu, czy jest tam twój ojciec?
- Cześć, Paula. Przepraszam. Zależało mu na tym, żeby ci powiedzieć, że wszystko gra. Zostaliśmy sterroryzowani bronią przez dwóch bandytów w restauracji Mamy Low. Daniel był zakładnikiem przez dziesięć minut, ale włos mu z głowy nie spadł.
- Zaczekaj - powiedziała Paula.
- Roper, podobnie jak jego syn, czekał, aż ona się pozbiera.
- Daniel został porwany i uwolniony. Ale nic mu nie jest. Teraz mów dalej.
- Zaprowadzili go na górę do kuchni. Pamiętasz tę kuchnię na szczycie wzgórza?
- Czy to wszystko na pewno się stało? Wszyscy znamy opowieści Daniela.
- Tak, oczywiście, na pewno. Widziałem to.
- Bronią? Sterroryzowali bronią ośmioletniego chłopca i zaciągnęli go na górę???
- Liczyli na gotówkę w kasie. Ale tam był kucharz, biały, który ich dopadł. Jednego przetrącił, ale drugi wrócił i pobili go. W tym czasie Daniel uciekł. Bóg raczy wiedzieć, co by się stało, gdyby zabrali Daniela ze sobą, ale nie udało im się. Jest już po wszystkim. Nawet odzyskaliśmy łup. Dzięki Bogu, że kucharze są na świecie. Chodź, Dans, opowiedz mamie, jak dostałeś Victoria Cross za waleczność. Oddaję ci go.

Była piąta rano. Burr siedział przy swoim biurku w sali operacyjnej bez ruchu jak Budda. Rooke palił fajkę i zmagał się z krzyżówką w „Miami Herald”. Burr dopiero po kilku dzwonekach zdobył się na odebranie telefonu.

- Leonard? - odezwał się Goodhew.
- Cześć, Rex.
- Czy coś się stało? Myślałem, że do mnie zadzwonisz. Masz taki głos, jakbyś był w szoku. Więc jak, połknęli przynętę? Leonard?
- O, połknęli. Jak najbardziej.
- Więc co się stało? Nie słyszę, żebyś triumfował. Jakbyś był w żałobie. Co się stało?
- Po prostu usiłuję dojść, czy wciąż jeszcze trzymamy wędkę. „Pan Lamont jest na oddziale intensywnej terapii - powiedziano w szpitalu. - U pana Lamonta wszystko bez zmian”. Długo to nie trwało. Dwadzieścia cztery godziny później pan Lamont znikł.

Sam się wypisał? W szpitalu powiedziano, że tak. Czy doktor Marti przeniósł go do swojej kliniki? Na to wyglądało, ale tylko na krótki czas i klinika doktora Martiego nie informuje, gdzie udali się zwolnieni pacjenci. A gdy Amato dzwoni, podając się za dziennikarza, doktor Marti we własnej osobie odpowiada, że pan Lamont opuścił jego placówkę, nie zostawiając danych kontaktowych. Nagle niestworzone historie zaczynają krążyć po centrum operacyjnym. Jonathan przyznał się do wszystkiego! Roper przejrzał go i utopił w morzu! Na rozkaz Strelskiego obserwacja lotniska w Nassau została zawieszona. Strelski obawia się, że zespół Amata rzuca się już w oczy.

- Manipulujemy w ludzkiej naturze, Leonardzie - pociesza Strelski, usiłując ulżyć ciężarowi na duszy Burra. - Nie zawsze osiągamy doskonały efekt.
- Dzięki.

Przychodzi wieczór, Burr i Strelski siedzą w przydrożnej knajpie z grillem, trzymając telefony komórkowe na kolanach, jedzą żeberka i ryż Cajun, przyglądają się mijającej ich dobrze odżywionej Ameryce. Dostają wezwanie od nasłuchu telefonicznego i z pełnymi ustami pędzą na łeb na szyję do kwatery głównej.

Corkoran do sekretarza redakcji głównego dziennika na Bahamach:

- Kochasiu! To ja, Corky. Jak się mamy? Jak dziewczynki z baletu?

Wymiana poufanych sprośności. Potem sedno:

- Kochasiu, słuchaj, szef chce sprawie ukrećić łeb... bohater dnia powinien unikać reflektorów, są ku temu istotne powody... młody Daniel, bardzo wrażliwy chłopiec... wyrazi głębokiej wdzięczności,

twoja emerytura podskoczy niebotycznie. Co ty na „żart, który nie wypalił”? Możesz to wykorzystać, kochany?

Sensacyjny rabunek na Hunter's Island spocznie na wielkim cmentarzysku tematów na zawsze pogrzebanych przez Wyższe Władze.

Corkoran do biurka wyższego funkcjonariusza policji w Nassau, znanego z wyrozumiałości dla drobnych grzeszków bogaczy.

- Serdeńko, jak się mamy? Słuchaj, co do sprawy braciszka Lamonta, ostatnio odwiedzanego w szpitalu przez jednego z twoich mniej delikatnych braciszków... czy nie przeszkodziłoby ci skreślenie tej pozycji z menu? Szeף byłby całym sercem za nierozdmuchiwaniem sprawy, tak lepiej ze względu na stan zdrowia Daniela... nie zamierza wnosić oskarżenia, nawet gdybyś znalazł winnych, nie cierpi wrzawy... bądź błogosławiony... och, a tak przy okazji, nie wierz tym wszystkim gazetowym bzdurom, że akcje Ironbrand są niewarte papieru, na którym się je drukuje... szeף rozważa bardzo przyjemną dywidendkę na Gwiazdkę, wszyscy będziemy mogli sobie kupić troszkę tego, co najbardziej lubimy...

Silne ramię prawa zgadza się schować pazury. Burr zastanawia się, czy nie słucha nekrologu Jonathana.

Cała reszta świata milczy na jego temat.

Czy Burr powinien wrócić do Londynu? A Rooke? Logicznie rzecz biorąc, nie miało znaczenia, gdzie czepią się wątlej nitki nadziei - w Miami czy w Londynie. Nielogicznie rzecz biorąc, Burr musi być blisko miejsca, w którym widziano jego agenta po raz ostatni. W końcu posyła Rooke'a do Londynu i tego samego dnia zwalnia pokój w hotelu ze szkła i stali, by przenieść się do skromniejszych kwater w obskurnej części miasta.

- Leonard nie zdejmie włosienicy, dopóki się to nie wyjaśni - powiedział Flynnowi Strelski.

- Trudna sprawa - odrzekł Flynn, nadal dochodzący do siebie po tym, że jego agent został zmasakrowany przez owieczkę ofiarą Burra.

Nowa cela klasztorna Burra to pomalowane na pastelowe kolory pomieszczenie w stylu art déco, niedaleko plaży. Chromowa lampka przy łóżku ma kształt Atlasa dźwigającego kulę ziemską, szyby w stalowych ramach dygocą przy każdym przejeżdżającym samochodzie, a półprzytomny od narkotyków kubański ochroniarz w ciemnych okularach i z wielką giwerą wyleguje się w holu. Burr spał czujnie, trzymając telefon komórkowy na drugiej poduszce.

Raz o świcie, nie mogąc spać, wziął telefon i poszedł na spacer szerokim bulwarem. W morskiej mgle zamajaczyły regimenty krzewów koki, ale gdy ruszył ku nim, znalazł się na placu budowy pełnym kolorowych ptaków skrzeczących na niego z rusztowań i Latynosów leżących pokotem obok zaparkowanych buldożerów jak polegli na placu bitwy.

Nie tylko Jonathan znikł. Roper też zapadł się pod ziemię. Świadomie lub nie wymknął się obserwatorom Amata. Podsluch w kwaterze głównej Ironbrand w Nassau ujawnił jedynie, że szef wyjechał sprzedawać grunty - „sprzedawać grunty” w ropermowie oznaczało, że masz pilnować swojego cholernego nosa.

Koncertowy kapuś Apostoł przypierany do muru przez Flynna nie pomógł w niczym. Usłyszał piąte przez dziesiąte, że jego klient może ma konferencję w sprawach zawodowych na Arubie, ale on nie został na nią zaproszony. Nie, nie ma pojęcia, gdzie się podziewa pan Roper. Jest prawnikiem, nie agentem biura podróży. Jest żołnierzem Maryi.

Przyszedł kolejny wieczór i Strelski z Flynnem postanowili wyrwać Burra z jego nastroju. Zabrali go z hotelu z telefonem w dłoni, zmusili do spaceru w tłumie na nadmorskiej promenadzie. Zmusili go, by siadł przy stoliku w ogródku kawiarni, i poili drinkami z tequilą, na siłę wzbudzając zainteresowanie przechodniami. Na próżno. Przyglądali się umięśnionym Murzynom w różnokolorowych koszulkach, ze złotymi pierścieniami, kroczącym majestatycznie, żyjącym na wysokim poziomie. Ich panienki w opiętych minispódniczkach, kozakach do uda stąpały niepewnie na wysokich obcasach, ich ochroniarze z ogolonymi głowami nosili szare zawoje mułłów maskujące broń automatyczną. Obok przejechała na deskach banda skejtów i co mądrzejsze staruszki mocniej złapały torebki. Dwie stare lesby w słomkowych kapeluszach nie ugięły się i skierowały swoje pudelki prosto na rój chłopaków, zmuszając ich do zmiany kierunku.

Po nim przyplłynęła na wrotkach fala długoszyich modelek, co jedna to bardziej olśniewająca. Na ich widok Burr, który uwielbiał kobiety, ożywił się na moment, aby zaraz znów pogрузić się w melancholii i darennych rozważaniach.

- Hej, Leonard. - Strelski mężnie podjął jeszcze jedną próbę. - Zobaczmy, gdzie Roper robi piątkowe zakupy.

W wielkim hotelu, w sali konferencyjnej chronionej przez mężczyzn w marynarkach z watowanymi ramionami, Burr i Strelski wmieszali się w tłum kupujących wszystkich nacji, zachęcany do

wydawania pieniędzy przez zdrowo wyglądających młodzieńców z identyfikatorami przypiętymi do klap marynarek. Za młodzieńcami siedziały dziewczęta z katalogami. A za dziewczętami stały odgro-dzone taśmami koloru krwi ołtarze, na których umieszczono towary, każdy wypolerowany jak ukochana pamiątka, każdy gwarantujący, że człowiek, który go posiada, stanie się prawdziwym mężczyzną: od najbardziej ekonomicznych bomb rozpryskowych, poprzez wykonane całkowicie z plastiku, niewykrywalne automatyczne glocki, do ostat-niego krzyku mody w dziedzinie ręcznych wyrzutni raketowych, moździerz i min przeciwpiechotnych. A jeśli posiadasz umiejętność czytania, mogłeś się zainteresować dziełem o tym, jak zbudować na własnym podwórku wyrzutnię raketową albo z puszkii po piłkach tenisowych skonstruować tłumik jednorazowego użytku.

- Brakowało tylko dziewczyny w bikini wtykającej sobie w cipkę szesnastocalowe działo - powiedział Strelski, gdy wracali do centrali.

Nikt się nie zaśmiał.

Z nieba spada tropikalna burza, zasłaniając niebo i odcinając szczyty drapaczom chmur. Pioruny uruchamiają alarmy samochodów. Hotel drży i trzeszczy, resztki dziennego światła giną, jakby zepsuł się główny wyłącznik. Strugi deszczu siekają w parapety okien sypialni Burra, czarne uliczne śmieci suną z przemykającą białą mgiełką. Tafle ulewy szarpiają koronami palm, zgarniają z balkonów krzesła i rośliny.

Ale telefon komórkowy dzwoniący Burrowi przy uchu przeżył cudem ten atak.

- Leonard - mówi Strelski z hamowanym podnieceniem - przyjeżdżaj tu migiem. Mamy coś.

Światła miasta rozbłysły na powrót radośnie po darmowej łaźni.

Corkoran do sir Anthony'ego Joystona Bradshawa, zdemoralizowa-nego prezesa grupy podupadłych brytyjskich firm handlowych i sporadycznie dostawcy podejrzanych transportów broni dla mini-strów Jej Królewskiej Mości.

Corkoran dzwoni z Nassau, z mieszkania jednego z młodych bystrzak-ów z firmy Ironbrand, zakładając błędnie, że połączenie jest bez-pieczne.

- Sir Tony? Tu Corkoran. Człowiek od wszystkiego Dicky'ego Ropera.

- Czego, kurwa, chcesz? - Głos jest przytłumiony i zdradza pod-chmilenie właściciela. Echo dudni jak w łaźnicy.

- Z przykrością stwierdzam, że są sprawy niecierpiące zwłoki, sir Tony. Szef potrzebuje pańskich nieocenionych usług. Ołówcezek jest?

Podczas gdy Burr i Strelski słuchają skamieniali, Corkoran stara się wyrażać precyzyjnie:

- Nie, sir Tony, Pine. P jak „Piotr”, I jak „Irena”, N jak „Natalia”, E jak „Ewa”. Zgadza się. Imię Jonathan. Jak Jonathan. - Dorzuca parę nieszkodliwych szczegółów, jak data i miejsce urodzenia Jonathana, numer paszportu. - Szef chce znać od a do zet biografię ptaszka, sir Tony, najlepiej na wczoraj. I ani mru-mru. Prawdę mówiąc, ani mru-mru-mru.

- Co to za Joyston Bradshaw? - pyta Strelski, gdy wysłuchali rozmowy do końca.

Burr sprawia wrażenie, jakby budził się z głębokiego snu, i pozwala sobie na ostrożny uśmiech.

- Sir Anthony Joyston Bradshaw, Joe, to wiodące angielskie gówno. Jego finansowe wpadki są jedną z największych radości obecnej recesji. - Uśmiech Burra rośnie. - Nic dziwnego, że jest współnikiem w przestępczej działalności pana Richarda Onslowa Ropera. - Rozgrzewa się. - Prawdę mówiąc, gdybyśmy wspólnie, Joe, zbierali reprezentacyjną drużynę angielskich gówien, sir Anthony Joyston Bradshaw znalazłby się wśród wiodących zawodników. Cieszy się protekcją innych wysoko ustawionych angielskich gówien, z których część pracuje nie tak daleko od Domu za Rzeką. - Ulga rozświetliła ściągniętą twarz Burra. Wybuchnął śmiechem. - On żyje, Joe! Nikt nie interesuje się biografią zwłok, nie na wczoraj! Od a do zet, mówi. No cóż, trochę mu tej biografii przygotowaliśmy, a najlepszym jej dostawcą będzie, kurwa, Tony Joyston Bradshaw! Oni go chcą, Joe! Wsadził im nos do namiotu! Wiesz, co mówią Beduini? Nie pozwól wielbładowi wsadzić nosa do namiotu, bo zaraz będziesz miał w środku całego wielbłąda.

Ale gdy Burr się cieszy, Strelski zastanawia się już nad kolejnym praktycznym posunięciem.

- Więc Pat może ruszać? - pyta. - Chłopcy Pata mogą zagrzebać czarodziejskie pudło?

Burr od razu wytrzeźwiał.

- Jeśli tobie i Patowi wszystko pasuje, mnie też - powiedział.

Umówili się na następną noc.

Nie mogąc spać, Burr i Strelski pojechali do całodobowej budki z

hamburgerami o nazwie „U Murgatroyda” przy autostradzie nr 1, gdzie wisiał napis: NIE MA BUTÓW, NIE MA OBSŁUGI. Po zewnętrznej stronie mlecznych szyb siedziały w blasku księżyca nieobute pelikany, każdy na swoim pachołku przy drewnianym moło, jak pierzaste stare bombowce, które może już nigdy nie zrzucą żadnej bomby. Na srebrnej plaży białe czaple wpatrywały się tęsknie w swoje odbicia.

O czwartej nad ranem telefon komórkowy Strelskiego zapiszczał. Przyłożył go do ucha, powiedział:

- Tak. - I słuchał. W końcu powiedział: - Więc się trochę prześpijcie. - Zakończył połączenie.

Rozmowa trwała dwadzieścia sekund.

- Po sprawie - oświadczył Burrowi i upił łyk coli.

Burr dopiero po chwili uwierzył własnym uszom.

- Chcesz powiedzieć, że załatwili to? Zrobione? Ukryli to?

- Wylądowali na plaży, znaleźli szalę, zakopali skrzynkę, byli bardzo cisi, bardzo sprawni, wynieśli się raz-dwa. Teraz twój chłopak musi tylko jedno: mówić.

Jonathan znów leżał po wycięciu migdałków na pryczy w szkole wojskowej - z tym że teraz łóżko było wielkie i białe, poduszki miękkie z koronkowymi obszyciami jak w Meistrze, a pościel jeszcze w komodzie przełożono woreczkami z wonnymi ziołami.

Leżał w motelowym pokoju po przejechaniu z Espérance jednego odcinka ciężarówką, pielęgnował obolałą szczękę przy zasłoniętych storach, pocił się i gorączkował po rozmowie telefonicznej z bezimiennym głosem, któremu powiedział, że ma swój „cień” - z tym że teraz miał obandażowaną głowę, na sobie wyprasowaną bawełnianą pizamę, a na kieszeni monogram, który wciąż usiłował odczytać dotykami.

Nie „M” jak „Meister”, nie „P” jak „Pine” ani „B” jak „Beauregard”, ani „L” jak „Linden” i „Lamont”. Bardziej przypominało to gwiazdę Dawida ze zbyt licznymi ramionami.

Leżał na strychu Yvonne, słuchał w półmroku kroków madame Latulipe. Yvonne nie było, ale poddasze owszem - z tym że to poddasze było większe niż tamto i większe niż strych w Camden Town wymalowany przez Isabelle. W starym wazonie z Delft stały różowe kwiaty, na ścianie arras przedstawiający mieszane towarzystwo polujące z sokołem. Wentylator pod sufitem wirował statecznie.

Leżał obok Sophie w jej luksorskim apartamencie w Chicago House, podczas gdy ona mówiła o odwadze - z tym że zapach drażniący mu teraz nozdrza pochodził z potpourri, nie był waniliowy. „Powiedział, że muszę dostać nauczkę - mówiła. - Ale to nie mnie należy się nauczka. Należy się Freddiemu Hamidowi i jego okropnemu Dickiemu Roperowi”.

Dostrzegł żaluzje tnące promienie słońca na plasty i delikatną warstwę firanek z białego muślinu. Odwrócił głowę w drugą stronę i zobaczył srebrną tacę Meistra, na której stał dzbanek z sokiem pomarańczowym, kielich z rżniętego szkła i koronkowa serwetka do

przykrycia tacy. Tam gdzie kończył się gęsty dywan, ujrzał niewyraźny, zamazany obraz drzwi do łazienki. Na wieszaku wisiały złożone ręczniki od najmniejszego do największego.

Ale oczy zaszły mu łzami i drżał, tak jak wtedy, gdy miał dziesięć lat i przyciął palce drzwiami czyjegoś samochodu, i zdał sobie sprawę, że dotyka bandaża, bandaż przytrzymuje opatrunek na skroni, bo doktor Marti zoperował mu rozbitą głowę. Więc przewrócił głowę do pozycji, w której spoczywała, zanim rozpoczął obserwację żołnierza zwiadu bezpośredniego, i przypatrywał się wentylatorowi, aż gwiazdki bólu się rozpląnęły i żyroskop tajnego żołnierza, który miał w sobie, zaczął funkcjonować poprawnie.

„To będzie twój most graniczny” - powiedział Burr.

„Musimy nanieść trochę patyny - wyjaśniał Rooke. - Nie możesz po prostu wyjść do nich z chłopakiem na rękach w blasku reflektorów”.

„Pęknięcie kości skroniowej i złamanie łuku jarzmowego” - orzekł Marti. Uraz, osiem w skali Richtera, dziesięć lat w ciemnej izolatce.

Trzy pęknięte żebra, mogło być trzydzieści.

Ciężka opuchlizna jąder po próbie kastracji za pomocą podkutego buta wojskowego.

Bo wyglądało na to, że gdy już Jonathan stracił przytomność po ciosach pistoletem, mężczyzna zaatakował jego krocze, na wewnętrznej stronie uda pozostawiając - ku uciesze pielęgniarek - oprócz innych śladów idealnie dokładny odcisk buta numer czterdzieści sześć.

Biało-czarne postacie pojawiły się w jego polu widzenia. Białe kitle. Czarne twarze. Czarne nogi, białe skarpetki. Buty na gumie zapinane na rzepy. Początkowo myślał, że to jedna osoba, teraz wiedział, że jest ich kilka. Odwiedzały go jak duchy, bez słowa myjąc podłogę i ścierając kurze, zmieniając kwiaty i wodę do picia. Jedna nazywała się Phoebe i miała dotyk pielęgniarki.

- Cześć, panie Thomas. Jak się dzisiaj mamy? Ja jestem Phoebe. Miranda, schyl się jeszcze raz z tą miotłą i zmieć dokładnie pod łóżkiem pana Thomasa. Tak, szanowna pani.

Więc jestem Thomas - pomyślał. Nie Pine. Thomas. A może jestem Thomas Pine.

Znów zapadł w sen, a gdy się obudził, stał nad nim duch Sophie w luźnych spodniach, wysypywał pigułki do papierowego kubeczka. Pomyślał, że to musi być nowa pielęgniarka. Potem zobaczył szeroki pas ze srebrną klamrą i obłądną linię bioder, rozwichrzone kasztanowe włosy. I usłyszał głos dziedziczki-na-polowaniu, klasa sama dla

siebie, żadnego szacunku dla nikogo.

- Ależ Thomasia - protestowała Jed. - Ktoś musi cię strasznie kochać. Nie masz matki, dziewczyny, ojca, kumpli? Naprawdę nikogo?

- Naprawdę - upierał się.

- Więc kto to jest Yvonne? - spytała, przysuwając głowę na odległość parunastu centymetrów od jego głowy.

Wsunęła mu rękę pod plecy, drugą położyła na piersi i podniosła go do pozycji siedzącej. - Czy jest absolutnie fantastyczna?

- To była znajoma - odrzekł, wdychając zapach jej szamponu.

- No, to nie powinniśmy zawiadomić Yvonne?

- Nie, nie powinniśmy - odpowiedział zbyt ostro. Podała mu pigułki i szklankę z wodą.

- No cóż, doktor Marti mówi, że masz spać w nieskończoność. Więc nie myśl o niczym poza dochodzeniem do siebie, najwolniej na świecie. A co powiesz na jakieś rozrywki, książki, radio, coś w tym rodzaju? Może jeszcze nie teraz, ale za dzień albo dwa. Nic o tobie nie wiemy, poza tym że Roper mówi, iż jesteś Thomas, więc będziesz musiał nam mówić, czego chcesz. W głównej siedzibie jest wielka biblioteka z okropnie mądrymi książkami, Corky ci powie dokładnie z jakimi, i żądaj czego dusza zapagnie z Nassau. Dostarczymy ci. Musisz tylko krzyknąć. - I jej oczy tak wielkie, że można w nich utonąć.

- Dziękuję, krzyknę.

Położyła mu dłoń na czole, sprawdzając gorączkę.

- Nigdy nie zdołamy ci się odwdziżyć - dodała, nie cofając dłoni. - Roper, kiedy wróci, powie to wszystko znacznie lepiej niż ja, ale szczerze mówię: jesteś wielki. Co za odwaga - dorzuciła od drzwi.

- Kurwa - zaklęła wychowanka szkoły zakonnej, zahaczywszy kieszeń spodni o klamkę.

Zdał sobie sprawę, że to nie pierwsze ich spotkanie od chwili, gdy tu przybył, ale trzecie, i pierwsze dwa nie były snami.

Za naszym pierwszym spotkaniem uśmiechnęłaś się do mnie i było w porządku; nie odzywałaś się słowem, mogłem myśleć i coś się działo między nami. Odgarnęłaś włosy za uszy, miałaś na sobie bryczesy i dżinsową koszulę. Spytałem: „Gdzie jestem?”. Ty powiedziałaś: „Na Crystal. Wyspie Ropera. W domu”.

Za drugim razem czułem się niewyraźnie i myślałem, że jesteś moją byłą żoną, Isabelle, czekającą na wyjście na kolację, bo miałaś

na sobie zupełnie idiotyczne spodnie i żakiet ze złotymi obszyciami na klapach. „Gdybyś czegoś potrzebował, obok karafki z wodą jest dzwonek” - powiedziałaś. A ja na to: „Zadzwoń”. Ale myślałem: Czemu, do diabła, ubierasz się jak klaun?

„Jej ojciec zrujnował się, trzymając klasę - powiedział z pogardą Burr. - Podawał szlachetne bordo, nie mając czym zapłacić rachunku za prąd. Nie posłał córki do college'u dla sekretarek, bo uważał, że to poniżej jego godności”.

Leżąc na zdrowym policzku, odwrócony do gobelinu, Jonathan ujrzał damę w kapeluszu z szerokim rondem i bez zdziwienia rozpoznał w niej śpiewającą ciocię, Annie Ball.

Annie była dzielną kobietą i umiała dobrze śpiewać, ale jej mąż rolnik pił i nienawidził całego świata. Więc pewnego dnia Annie założyła kapelusz, posadziła obok siebie w furgonetce Jonathana, z tyłu zapakowała jego walizkę i powiedziała, że jadą na wakacje. Jechali do późnego wieczoru. Śpiewała przez drogę piosenki, aż zatrzymali się przed domem, na którego granitowym nadprożu wyryto CHŁOPCY. Ciocia Ball zaczęła płakać i dała Jonathanowi kapelusz na dowód, że niebawem wróci, i Jonathan poszedł na górę do sypialni pełnej chłopaków i powiesił kapelusz na oparciu łóżka, by ciocia Annie widziała, że tu śpi jej chłopiec. Ale ciocia nigdy nie wróciła, a gdy się rano obudził, chłopcy przymierzali na zmianę kapelusz. Więc walczył o niego, wygrywał z każdym, zawinął kapelusz w gazetę i wrzucił do okrągłej czerwonej skrzynki, nie podając adresu. Wolałby go spalić, ale nie miał kominka.

Tutaj też zjawiłem się nocą. Białym dwusilnikowym beechcraftem z niebieską kabiną. To Frisky i Tabby, a nie woźny z sierocińca, przeczesał mój bagaż, sprawdzając, czy nie mam czegoś niedozwolonego.

Zrobiłem mu to za Daniela - uznał.

Zrobiłem mu to, żeby przejść przez ten most.

Zrobiłem mu to, bo miałem dość czekania i udawania.

* * *

Jed znowu była w pokoju. Żołnierz zwiadu bezpośredniego nie miał co do tego wątpliwości. Nie z powodu zapachu jej perfum, bo nie używała żadnych, nie z powodu dźwięków, bo żadnych nie wydawała. I przez długą chwilę nie widział jej, więc to nie wzrokiem ją namierzył. W takim razie to musiał zadziałać szósty zmysł zawodowego

obserwatora, kiedy wiesz, że nieprzyjaciel jest obecny, ale jeszcze nie wiesz, skąd wiesz.

- Thomas?

Udając sen, słyszał, jak ona zbliża się na palcach. Miał wrażenie, że jest ubrana w coś jasnego, ma ciało tancerki i rozpuszczone włosy. Usłyszał ruch, kiedy odgarnęła włosy i zbliżyła ucho do jego ust, by usłyszeć oddech. Poczł ciepło jej policzka. Wyprostowała się i usłyszał kroki oddalające się korytarzem, potem te same kroki na zewnątrz, przecinające dziedziniec.

„Podobno kiedy przyjechała do Londynu, wystraszyła się - powiedział Burr. - Weszła w tłum zadzierających nosa gówniarzy z wyższych sfer i spaliła się wszędzie. Zwała do Paryża, żeby odzyskać równowagę psychiczną. Poznała Ropera”.

Słuchał kornwalijskich mew i przeciągłego echa w świecie za żaluzjami. Człł woń gnijących wodorostów i wiedział, że jest odpływ. Przez chwilę pozwolił sobie uwierzyć, że Jed zabrała go z powrotem do Lanyon i stoi bosa na deskach podłogi, robiąc przed lustrem te wszystkie rzeczy, które kobiety robią przed udaniem się na spoczynek. Wtedy usłyszał uderzenia piłek tenisowych i głosy nawołujących się, próżnujących Anglików i jeden z tych głosów należał do Jed. Słyszał kosiarkę do trawy i wrzaski kłótliwych, rozpuszczonych angielskich dzieci, i uznał, że to potomstwo Langbourne'a. Słyszał warkot silnika elektrycznego i uznał, że to włączono filtry oczyszczające wodę w basenie. Spał, poczuł zapach węgla drzewnego i po różowym blasku na suficie poznał, że to wieczór, a kiedy ośmielił się podnieść głowę, zobaczył sylwetkę Jed przed oknem ze spuszczo- nymi żaluzjami, oglądającą ostatnie chwile dnia, i światło wieczoru odsłoniło mu jej ciało ukryte pod strojem do tenisa.

- Słuchaj, Thomas, może przyłożyłbyś się trochę bardziej do jedzenia? - zaproponowała tonem pielęgniarki szkolnej. Musiała usłyszeć, jak unosił głowę. - Esmeralda zrobiła ci rosół na wołowinie i chleb z masłem. Doktor Marti polecał tosty, ale przy tej wilgotności wcale nie chcą być chrupkie. A może pierś kurczęcia albo szarlotka? Naprawdę, Thomas, możesz dostać wszystko czego dusza zapagnie - dodała, rwąc zdania, do czego zaczynał się przyzwyczajając. - Tylko gwizdnij.

- Dziękuję, zagwizdę.

- Thomas, to naprawdę dziwne, że nie masz nikogusieńko, kto by się o ciebie martwił. Nie wiem czemu, ale mam przez to straszne

wyrzuty sumienia. Nie masz nawet brata? Każdy ma brata.

- Przykro mi, nie mam.

- No, ja mam jednego boskiego brata i jednego absolutną świnię. Więc wychodzę na zero. Z tym że znacznie bardziej wolałabym ich mieć niż nie mieć. Nawet tę świnię.

Szła do niego z drugiej strony pokoju. Ona uśmiecha się cały czas - pomyślał w popłochu. Uśmiecha się jak w reklamie telewizyjnej. Boi się, że ją wyłączy, jeśli przestanie się uśmiechać. To aktorka poszukująca reżysera. Drobną blizną na podbródku, poza tym żadnych znaków szczególnych. Może jej też ktoś przyłożył. Koń ją kopnął.

Jonathan wstrzymał oddech. Dotarła do łóżka. Pochyliła się, przyciskając mu do czoła jakiś zimny kleisty plaster.

- Musi się podgrzać - powiedziała, uśmiechając się szerzej.

Przysiadła na łóżku w oczekiwaniu, tenisowa spódniczka rozchyliła się, nagie nogi beztrudnie skrzyżowane, mięśnie jednej łydki łagodnie się wypięły oparte na drugiej nodze. I całą skórę pokrywała lekka opalenizna.

- To się nazywa plaster do mierzenia gorączki - wyjaśniła teatralnym głosem idealnej hostessy. - Z jakiegoś wyjątkowego powodu w tym domu nie ma zwyczajnego termometru. Jesteś taką zagadką, Thomas. Gdzie są wszystkie twoje rzeczy? Tylko jedna mała torba?

- Tak.

- I koniec?

- Obawiam się, że tak. - Zejdź z mojego łóżka! Wejź do mojego łóżka! Przykryj się! Za kogo, do diabła, mnie bierzesz?

- Boże, ale szczęściarz z ciebie! - Tym razem mówiła tonem księżniczki krwi. - Czemu my tak nie możemy? Lecimy beechcraftem do Miami na jeden weekend i ledwo się nam udaje upakować nasze rzeczy w ładowni.

Biedaczyska - pomyślał i zauważył w nędzy i rozpacz: Ona mówi kwestiami ze sztuki. Nie słowami. Kwestiami. Komponuje różne wersje osoby, którą według siebie powinna być.

- Może powinniście skorzystać z tej waszej wielkiej łodzi - zasugerował żartobliwie.

Ale ku jego wściekłości nie reagowała na drwiny. Może wszystkie piękne kobiety są na nie odporne.

- Z „Pashy”? Och, to by trwało wieki - wyjaśniła łaskawie. Zerwała plastikowy pasek i podeszła do okna odczytać wynik. - Roper, niestety, wyjechał, sprzedaje grunty. Postanowił trochę zwolnić

tempo. Moim zdaniem to strasznie dobry pomysł.

- Czym on się zajmuje?

- Och, interesami. Prawdę mówiąc, prowadzi firmę. Kto nie prowadzi w dzisiejszych czasach? No, przynajmniej ma własną - dodała, jakby przeprasząc za to, że jej kochanek siedzi w biznesie. - Założył ją. Ale przede wszystkim to cudowny, kochany człowiek. - Obracała plaster w palcach, marszcząc czoło. - Poza tym ma masę gruntów, jest z tego całkiem sporo zabawy, chociaż nie widziałam żadnego. Są rozsiane po całej Panamie i Wenezueli w takich miejscach, że na piknik trzeba iść z obstawą. Inaczej wyobrażam sobie gospodarstwa wiejskie, niemniej to ziemia. - Zmarszczki się pogłębiły. - No cóż, wiemy, że masz normalną temperaturę, i wiemy, że jak to się zabrudzi, powinno być przetarte alkoholem. Corky mógłby nam to załatwić. Bez żadnych problemów. - Zachichotała i ujrzał i tę stronę jej osobowości: szalową dziewczynę, zawsze pierwszą do zrzucenia butów i pójścia w tany, kiedy przyjęcie się rozkręca.

- Już niedługo będę musiał się zmywać - powiedział. - Byliście strasznie uprzejmi. Dzięki.

„Zawsze stawiaj opór - doradził Burr. - Inaczej znudzą się tobą w tydzień”.

- Co?! - krzyknęła, układając wargi w idealne „O” i zastygając tak na moment. - O czym ty mówisz?! Nie ma mowy, żebyś w ogóle się stąd ruszył, dopóki Roper nie wróci, a doktor Marti powiedział dokładnie, że masz przed sobą całe tygodnie rekonwalescencji. Minimum tego, co możemy dla ciebie zrobić, to doprowadzić cię do formy. A zresztą wszyscy umieramy z ciekawości, jak, na Boga, mogłeś nadstawić karku u Mamy po tym, jak byłeś kimś zupełnie innym u Meistra.

- Nie sądzę, żebym był inny. Po prostu czułem, że wpadam w rutynę. Przyszedł czas wyrzucić sztuczkowe spodnie i powłóczyć się trochę.

- No, to tylko mogę powiedzieć, że cholernie fajnie, że włączyłeś się tam gdzie my - powiedziała wołtyżerka głosem tak głębokim, że na jego dźwięk pękłby popręg jej wierzchowca.

- A co z tobą? - spytał.

- Och, ja po prostu tu mieszkam.

- Cały czas?

- Kiedy nie jesteśmy na łodzi. Albo nie podróżujemy. Tak. Tu mieszkam.

Wyglądało jednak na to, że własna odpowiedź wprawiła ją w zakłopotanie. Pomogła Jonathanowi się położyć, unikając jego

wzroku.

- Roper chce, żebym skoczyła do Miami na kilka dni - powiedziała, wychodząc. - Ale Corky wraca i wszyscy wprost umierają z chęci, żeby rozpuścić cię jak dziadowski bicz, a gorąca linia do doktora Martiego jest stale czynna, więc nie sądzę, żebyś faktycznie się zmywał.

- No cóż, postaraj się tym razem nie brać za dużo rzeczy - powiedział.

- Och, zawsze się staram. To Roper nie może się obejść bez zakupów, więc zawsze wracamy z tonami ciuchów.

Wyszła ku jego głębokiej uldze. Zdał sobie sprawę, że nie wyczerpała go własna gra, lecz jej.

Obudził się na dźwięk przewracanych kartek. Daniel w szlafroku kąpielowym kucnął, wisząc pupą nad podłogą. Czytał dużą książkę w usłudze padającej strudze światła i Jonathan wiedział, że jest rano, bo przy łóżku czekały briozki, croissanty, biszkopt, domowy dżem, a także stał srebrny dzbanek z herbatą.

- Można złowić osiemnastometrową kałamarnicę - powiedział Daniel. - A co one w ogóle jedzą?

- Pewnie inne kałamarnice.

- Jak chcesz, mógłbym ci o nich poczytać. - Odwrócił kartkę. -

Naprawdę lubisz Jed?

- Naturalnie.

- Ja nie. Nie za bardzo.

- Dlaczego?

- Po prostu nie. Jest bez jaj. Wszyscy się zachwycają, że mnie uratowałeś. Sandy Langbourne mówi o zorganizowaniu zrzutki.

- Kim ona jest?

- To on. Prawdę mówiąc, to lord. Tylko że wisi nad tobą znak za pytania. Więc uznał, że lepiej zaczeka, aż wyjaśni się w jedną stronę albo w drugą. Dlatego panna Molloy mówi, że nie powinienem spędzać z tobą za dużo czasu.

- Kto to ta panna Molloy?

- Ona mnie uczy.

- W szkole?

- Prawdę mówiąc, nie chodzę do szkoły.

- Czemu?

- Bo mam tam przykrości. Roper ściąga mi do towarzystwa inne dzieci, ale ja ich nie cierpię. Kupił nowego rolls-royce'a do Nassau,

ale Jed woli volvo.

- A ty wolisz rolls-royce'a?
- Mhm.
- A co najbardziej lubisz?
- Smoki.
- Kiedy wrócą?
- Smoki???
- Jed i Roper.
- Powinieneś mówić na niego „szef.
- W porządku. Jed i szef.
- A w ogóle jak ty się nazywasz?
- Thomas.
- To nazwisko czy imię?
- Może być to albo to. Jak wolisz.
- To ani to, ani to. Roper tak mówi. Jest zmyślone.
- Sam ci to powiedział?
- Wpadło mi w ucho. Pewnie we czwartek. To zależy, czy zostaną na ochłaju u Apo.
- Kto to jest Apo?
- Taki obrzydliwy facet. Ma penthouse dla dziwki w Coconut Grove. Tam ją posuwa. W Miami.

Tak więc Daniel poczytał Jonathanowi o kałamarnicach, a potem o pterodaktylach, i gdy Jonathan zaczął drzemać, chłopiec poklepał go po ramieniu i spytał, czy może zjeść kawałek biszkopta i czy on też chciałby kawałek? Więc aby zrobić przyjemność Danielowi, Jonathan zjadł kawałek biszkopta, a gdy Daniel nalał mu niepewną dłońią herbaty, wypił też filiżankę letniego napoju.

- Dochodzimy do siebie, Tommy? Muszę przyznać, że pięknie cię załatwili. Kawałek profesjonalnej roboty.

To był Frisky siedzący na krześle tuż przy drzwiach, ubrany w T-shirt i białe płócienne spodnie. Nie miał beretty i czytał „Financial Times”.

Gdy pacjent odpoczywał, żołnierz zwiadu bezpośredniego wyteżał umysł.

Crystal. Wyspa pana Onslowa Ropera na Exumach, godzina lotu z Nassau według zegarka Frisky'ego noszonego na prawej ręce, na który Jonathanowi udało się spojrzeć, gdy lądowano go i wyładowywano z samolotu. Siedząc bezwładnie na tylnym fotelu, odzyskawszy jasność myślenia, którą jednak nie dzielił się z otoczeniem, obserwo-

wał w białym świetle księżycyca wysunięte jak jęczyczki puzzli rafy. Zbliżała się ku nim samotna wyspa, pośrodku której wznosiła się stożkowata góra. Dostrzegł równy oświetlony pas startowy wycięty w zboczu, z boku lądowisko dla helikopterów, zielony hangar i pomarańczowy maszt radiostacji. W stanie szczególnej czujności rozglądał się za skupiskiem zniszczonych chat niewolniczych, które zdaniem Rooke'a gdzieś tu się znajdowały, ale nie znalazł ich. Wylądowali i podjechał po nich džip, toyota z płóciennym dachem, prowadzony przez ogromnego Murzyna noszącego rękawice bez palców, idealne do bicia.

- Może siedzieć czy mam rozłożyć tylne fotele?

- Wystarczy, że pojedziesz ostrożnie i powolutku - odrzekł Frisky.

Ruszyli krętą polną drogą i sosny ustąpiły drzewom o ciemnozielonych liściach w kształcie serc, wielkich jak talerze. Droga wyprostowała się i w świetle reflektorów Jonathan zobaczył szyld: ZAKŁAD PRZETWÓRSTWA ŻÓŁWI PINDARA, a za szyldem ceglaną fabryczkę z zerwanym dachem i wybitymi oknami. Na poboczu kawałki bawełnianego płótna zwisały z krzaków jak stare bandaże. I Jonathan zapamiętywał wszystko po kolei, tak by na wypadek ewentualnej ucieczki rozpoznać wszystko w odwrotnej kolejności: uprawa ananasów, kępa bananowców, pole pomidorów, fabryka.

Przy płonącym białym księżycu ujrzał pole z drewnianymi kikutami przypominającymi nieskończone krzyże, potem kaplicę, wreszcie pokryty szalunkiem Przydrożny Kościół Boży. Skręcić w lewo przy Kościele Przydrożnym - pomyślał, kiedy skręcili w prawo. Wszystko było informacją, brzytwą, której mógł się uchwycić, walcząc o utrzymanie się na powierzchni.

Krąg tubylców siedział na drodze, pijąc coś z brązowych butelek. Kierowca wyminął ich z szacunkiem, unosząc rękę w milczącym pozdrowieniu. Toyota podskoczyła na drewnianym mostku i Jonathan zobaczył księżyc wiszący po prawej i Gwiazdę Polarną dokładnie nad mostkiem. Zobaczył iksory, hibiskusy i kolibra pijącego z brzegu kwiatowego kielicha, nie ze środka. Ale nie pamiętał, czy świadczy to o wyjątkowości ptaka czy rośliny.

Minęli bramę, która skojarzyła mu się z włoskimi willami nad jeziorem Como. Za bramą stał biały pawilon z zakratowanymi oknami i z reflektorami. Jonathan uznał, że jest to jakiś rodzaj wartowni, bo łązik zwolnił i dwaj murzyńscy strażnicy zrobili pobieżny przegląd pasażerów.

- To o jego przyjeździe mówił major?

- A co myślisz, kurwa? - spytał Frisky. - Że to arabski ogier?
- Tylko się pytam, człowieku. Nie ma co się wściekać. Co mu zrobili z twarzą?
- Przefasonowali.

Od bramy do rezydencji jechało się cztery minuty według zegarka Frisky'ego, przy prędkości mniej więcej piętnastu kilometrów na godzinę, ze względu na wyboje, i wyglądało na to, że toyota porusza się w lewo po łuku, z którego centrum dobiegał zapach słodkiej wody. Jonathan doszedł więc do wniosku, że jest to skręcający podjazd długości mniej więcej półtora kilometra, obiegający sztucznie stworzone jezioro lub lagunę. Podczas jazdy widział w oddali między drzewami światła i odgadł, że jest to płot graniczny z halogenami jak w Irlandii. Raz usłyszał tętent kopyt końskich dobiegający z ciemności.

Toyota minęła kolejny zakręt i zobaczył skąpaną w świetle fasadę palladiańskiego pałacu, z centralną kopułą i trójkątnym frontonem podtrzymywanym czterema kolumnami. Kopuła miała okrągłe okna mansardowe przypominające iluminatory i małą wieżę, która w świetle księżyca jaśniała jak biała kapliczka. Na szczycie wieżyczki tkwił wiatrowskaz przedstawiający dwa psy goniące oświetloną punktowcem złotą strzałę. „Rachunek za dom wynosi dwanaście milionów funtów, i to nie za całość - powiedział Burr. - Wyposażenie ubezpieczone na kolejne siedem, tylko od pożaru. Roper nie bierze pod uwagę, że może zostać okradziony”.

Pałac stał na trawiastej wyniosłości, niewątpliwie sztucznej. Przed nim rozciągał się teren wysypany żwirem, staw z marmurową fontanną zarosły liliami, schody z balustradą biegnące po okręgu od podjazdu do wysokiego wejścia z żelaznymi latarniami. Latarnie płonęły, fontanna tryskała, dwuskrzydłowe drzwi były ze szkła. Za nimi Jonathan zauważył lokaja w białej tunice stojącego w holu pod żyrandolem. Toyota jechała po żwirze, po brukowanym dziedzińcu przed stajniami, które pachniały zgrzanymi końmi, minęła eukaliptusowy gaj i oświetlony basen zaopatrzony po płytkiej stronie w zjeżdżalnię dla dzieci, dwa oświetlone ziemne korty tenisowe, boiska do krykieta i pole do golfa, minęła drugą bramę, mniej imponującą, ale ładniejszą, by zatrzymać się wreszcie przed sekwojowymi drzwiami.

I tam Jonathan musiał zamknąć oczy, bo głowa mu pękała, a ból w kroczu doprowadzał prawie do szaleństwa.

Poza tym należało wrócić do odgrywania osoby umierającej.

Crystal - powtórzył w myślach, gdy nieśli go tekową klatką scho-

dową. Crystal. Kryształ wielki jak Ritz.

I teraz w luksusowym odosobnieniu bezsenna część Jonathana nadal liczyła, notowała, uwieczniała każdy szczegół dla potomności. Słuchał płynącego przez cały dzień za żaluzjami potoku murzyńskich głosów i wkrótce rozpoznawał Gumsa, który naprawiał drewniane molo, i Earla, który obrabiał kamienie do skalnego ogródka i był zawziętym kibicem drużyny footballowej St. Kitts, i Talbota, który był żeglarzem i śpiewał kalipso. Słyszał pojazdy, ale ich silniki nie ryczały, więc zgadł, że to wózki na napęd elektryczny. Słyszał beechcrafta, latającego nieregularnie tam i z powrotem po niebie, i za każdym przelotem wyobrażał sobie Ropera w „połówkach” nad katalogiem Sotheby's, wracającego na swoją wyspę w towarzystwie Jed czytającej kolorowe magazyny. Słyszał dalekie rzenie koni i stukot kopyt w stajni. Od czasu do czasu dobiegało go basowe szczekanie brytana i ujadanie mniejszych psów. Mogło to być stado wyźłów. I powoli uświadomił sobie, że emblemat na koszuli to kryształ, co zapewne powinien zgadnąć od razu.

Zauważył, że jego pokój, choć taki elegancki, przegrywał z tropikami. Kiedy zaczął korzystać z łazienki, stwierdził, że wieszak na ręcznik, chociaż codziennie polerowany przez pokojówki, w nocy pokrywa się słonymi plamami. Uchwyty podtrzymujące szklaną półeczkę utleniają się, podobnie jak wkręty, którymi przymocowano ją do ściennych płytek. Niekiedy godzinami powietrze wisiało tak ciężko, że wentylator był bezsilny, i Jonathan czuł je na sobie jak mokrą koszulę odbierającą wolę.

I wiedział, że znak zapytania nadal nad nim wisi.

Pewnego wieczoru na wyspę przybył taksówką powietrzną doktor Marti. Spytał Jonathana, czy mówi po francusku, a on odparł, że tak. Więc gdy Marti badał głowę i krocze Jonathana, stukał go w kolana i ramiona gumowym młoteczką i zaglądał w oczy oftalmoskopem, Jonathan odpowiedział po francusku na wiele nie tak znowu banalnych pytań dotyczących jego osoby, wiedząc, że to egzaminowanie dotyczy innych spraw niż stan zdrowia.

- Ależ pan mówi po francusku jak Europejczyk, monsieur Lamont!
- Takiej wymowy uczono nas w szkole.
- W Europie?

- W Toronto.
- Ale co to była za szkoła? Mój Boże, tam musieli uczyć geniusze!

I tak dalej w tym stylu.

„Odpoczynek - zaordynował doktor Marti. - Odpoczynek i czekanie”. Na co? Aż mnie przyłapiecie?

- Dochodzimy trochę do siebie, no nie, Thomas? - spytał troskliwie Tabby z krzesła przy drzwiach.

- Troszkę.

- No i o to chodzi.

W miarę jak Jonathanowi przybywało sił, strażnikom przybywało czujności.

Ale o domu, w którym go trzymano, Jonathan nie dowiedział się niczego, chociaż wyteżał zmysły ile się tylko dało: żadnych dzwonek do drzwi, telefonów, faksów, kuchennych zapachów, urywków rozmów. Czuł woń pachnącej miodem pasty do mebli, środków owadobójczych, świeżych kwiatów, potpourri i - kiedy wiatr wiał w odpowiednim kierunku - koni. Czuł woń plumerii, skoszonej trawy i chloru z basenu pływackiego.

Niemniej sierota, żołnierz i hotelarz wkrótce uświadomił sobie coś znajomego z bezdomnej przeszłości - rytmu sprawnie funkcjonującej maszynierii, nawet wtedy gdy brakowało najwyższego dowództwa, by go wymóc. Ogrodnicy zaczęli pracę o wpół do ósmej i Jonathan mógł nastawiać według nich zegarek. Pojedynczy dzwonek ogłaszał przerwę o jedenastej i przez dwadzieścia minut nic ani drgnęło - ani kosiarka do trawy, ani kordelas. O pierwszej dzwonek odzywał się dwukrotnie i jeśli Jonathan wyteżył uszy, słyszał szemranie głosów tubylców ze stołówki pracowniczej.

Pukanie do drzwi. Frisky uchylił je i wyszczerzył zęby. „Corkoran jest zwyrodniały jak Kaligula - ostrzegł Burr - i sprytny jak stado małp”.

- Kochasiu - sapnął chrapliwy głos Anglika z wyższych sfer poprzez opary alkoholu z ostatniego wieczoru i cuchnące francuskie papierosy dzisiejszego poranka. - Jak się czujemy? Widzę, serdecznie, że nie narzekamy na brak różnorodności. Szkarłat Garibladiego już mamy za sobą, potem odcieniach wątrobianych, takiej jakby żółci, jak stare osłe szczochy. Czy można zaryzykować, że widać już ścieżkę powrotu do

zdrowia?

Kieszenie kurtki safari majora Corkorana były wypchane przyborami do pisania i męskimi śmieciami. Ogromne plamy potu sięgały spod pach do brzucha.

- Prawdę mówiąc, chciałbym niedługo wyjechać - powiedział Jonathan.

- Ależ nie ma przeszkód, serdeńko, kiedy tylko chcesz. Pogadaj z szefem. Jak tylko wróci. Właściwa pora i wszystkie takie tam. I jemy jak trzeba, i tak dalej, no nie? Nic bardziej nie uzdrawia niż sen. Widzimy się jutro. *Chuss**.

* Pa (niem.).

A kiedy zrobiło się jutro, znowu pojawił się Corkoran, wlepiając spojrzenie w Jonathana i dymiąc obficie papierosem.

- Frisky, kochasiu, bądź tak uprzejmy i spierdalaj.

- Się robi, majorze. - Frisky wyszczerzył zęby i posłusznie wyknął się za drzwi, podczas gdy Corkoran, kołysząc się jak kaczka, przeszedł przez zacieniony pokój do bujanego fotela i opadł na niego ze stęknieniem ulgi.

Przez chwilę zaciągał się papierosem, nie mówiąc słowa.

- Pet ci nie przeszkadza, co, kochasiu? Mózg nie pracuje, jak nie mam peta w palcach. Nie jestem uzależniony od zaciągania się i kopcenia. Muszę miedlić w palcach to kurewstwo.

„W pułku nie mogli go zdzierżyć, więc odsłużył nietypowo pięć lat w wywiadzie wojskowym - powiedział Burr. - Wszyscy wiemy, że trudno to tak nazwać, ale Corky odsłużył je godnie. Roper kocha go nie tylko za urodę”.

- Sami palimy, no, jak, serdeńko? W lepszych chwilach?

- Trochę.

- A czym zapełniamy te chwile, kochasiu?

- Gotuję.

- Nie słyszemy nas.

- Gotuję. Kiedy robię sobie urlop od hotelarstwa.

Major Corkoran wybuchnął entuzjazmem:

- Żeby nie skłamać, wypada powiedzieć, że tamtego wieczoru u Mamy, zanim uratowałeś potomka, uraczyłeś nas cholernie pysznym zarełkiem. Czy te duszone małże to była twoja osobista robota?

- Tak.

- Palce lizać. A co z tym ciastem marchewkowym? Tu trafiliśmy w dychę, mogę ci powiedzieć. Smakołyk szefa. Sprowadzony, no nie?

- Ja je zrobiłem.

- Powtórz, stary.

- Ja je zrobiłem.

Corkoranowi zabrakło słów.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś ciasto marchewkowe? Tymi malutkimi łąpkami? Kochasiu! Serdeńko! - Zaciągnął się papierosem, posyłając Jonathanowi przez kłęby dymu zachwycony uśmiech. - Pewnie zwędziłeś przepis Meistrowi. - Potrząsnął głową. - Absolutny geniusz. - Kolejne zaciągnięcie się do pępka papierosem. - A nie świsnęliśmy przypadkiem jeszcze czegoś Meistrowi, jak już przy tym jesteśmy, kochasiu?

Jonathan znieruchomiały na poduszce zdołał zachować również nieruchomość umysłu. Chcę doktora Martiego. Chcę Burra. Chcę się stąd wydostać.

- Rozumiesz, serdeńko, to pewien dylemat. Wypełniałem za nas ten formularz w klinice. Taki jest mój obowiązek w tym zakładzie. Wypełnianie urzędowych formularzy. Niewiele więcej umiemy, my, wojskowe typki, no nie? Proszę, proszę - pomyślałem. Ho, ho. Trochę dziwna sprawa. Jest mu Pine czy jest mu Lamont? To bohater, wszyscy o tym wiemy, ale nie można wpisać „bohater” tam, gdzie trzeba wpisać nazwisko faceta. Więc wpisałem: Lamont Thomas Alexander. Mam nadzieję, kochasiu, że postąpiłem jak należy? Urodzony kiedyś tam w Toronto. Jeśli chodzi o najbliższych krewnych, patrz strona trzydzieści dwa. Z tym tylko, że nie ma się nikogo. Sprawa zamknięta, pomyślałem. Jak o mnie chodzi, to kiedy facet chce się nazywać Pine, kiedy jest Lamont, albo Lamont, kiedy jest Pine, wszystko mi jedno.

Czekał, aż Jonathan się odezwie. I czekał. I znowu zaciągał się papierosem. I nadal czekał, bo Corkoran miał przewagę przesłuchującego, który dysponuje czasem do końca świata, żeby cię dopaść.

- Ale, wiesz, serdeńko, można by powiedzieć, że szef jest ulepiony z innej gliny - podjął wreszcie. - Szef wśród innych swoich zalet ma fioła na punkcie szczegółów. Zawsze taki był. Wykręcił do Meistra w Zurychu. Dokładnie rzecz biorąc, z automatu. Ze środka Deep Bay. Nie zawsze zabiega o widownię. „A jak się ma ten pański miły pan Pine dzisiejszymi czasy?” - pyta szef. No i staremu Meistrowi strzeliły podwiązki. - „Pine, Pine? *Gott im Himmel!* Ten drań okradł mnie z zimną krwią! Sześćdziesiąt jeden tysięcy czterysta dwa franki, dziewiętnaście centymów i dwa guziki do kamizelki skradzione z mojego nocnego sejfu”. Dobrze, że nie dowiedział się o cieście marchewkowym, bo oskarżyłby cię o szpiegostwo przemysłowe. Nadążasz, kochasiu? Nie nudzę cię, nie?

Czekaj - powtarzał sobie Jonathan. Oczy zamknięte, ciało rozluź-

nione. Głowa cię boli, zaraz zwymiotujesz.

Rytmiczne skrzypienie bujanego fotela przyspieszyło, a nagle zamarło. Jonathan poczuł bardzo bliską woń papierosa i zobaczył pochyloną masywną postać Corkorana.

- Kochasiu? Rejestrujemy moje sygnały? Będę szorstki, ale nie wydaje mi się, żebyśmy byli w tak złym stanie, jak udajemy. Łapiduch mówi, że znakomicie dochodzimy do siebie.

- Nie prosiłem cię, żebyś tu przychodził. Nie jesteś gestapo. Wyświadczyłem wam przysługę. Tylko zawieźcie mnie z powrotem do Lowa.

- Ale, kochanie, ty wyświadczyłeś nam ogromną przysługę! Szef jest zupełnie po twojej stronie. Ja też. Jesteśmy twoimi dłużnikami. Jesteśmy twoimi wielkimi dłużnikami. To nie w stylu szefa uchylać się od spłacenia długu. Bardzo się do ciebie przywiązał, jak ci wszyscy wizjonerzy, kiedy są wdzięczni. Nie cierpi być dłużny! Zawsze woli, kiedy ktoś ma u niego dług. Taka natura, rozumiesz. Jak to u wielkich ludzi. Więc odczuwa potrzebę odwdziżenia się. - Krążył po pokoju z rękami w kieszeniach, myśląc na głos: - Ale ma też niekiepski zamęt! Pod czaszką. No cóż, nie możesz mieć do niego pretensji, nie?

- Wynoś się. Zostaw mnie.

- Wygląda na to, że stary Meister podrzucił mu jakąś opowiastkę, z której wynika, że po włamaniu się do sejfu uciekłeś do Anglii i stuknąłeś jakiegoś faceta. Bujanie gości, mówi szef, to musiał być jakiś inny Linden, mój to bohater. Ale szef zaczyna sam niuchać tu i ówdzie, bo taki ma styl. I okazuje się, że stary Meister trafił w dychę. - Kolejne zaciągnięcie się papierosem ratujące życie Corkoranowi, podczas gdy Jonathan udaje trupa. - Szef naturalnie nikomu nie powiedział poza twoim unizonym sługą. Wielu gości zmienia w ciągu życia nazwiska, niektórzy robią to na okrągło. Ale stuknięcie faceta, no, to trochę bardziej intymna sprawa. Więc szef zatrzymuje ją dla siebie. Nie chce hodować żmii na własnym łonie. To naturalne. Kocha rodzinę. Z drugiej strony żmija żmii nierówna. Rozumiesz, o co mi chodzi. Być może należysz do gatunku niejadowitych. Więc wybrał mnie na swojego przedstawiciela i skierował do ciebie, żebym cię wyczał, podczas gdy on i Jed są zajęci własnymi sprawami. Jed to jego lepsza połowa - wyjaśnił. - Dziecko natury. Poznałeś ją. Wysoka dziewczyna. Eteryčna. - Potrząsał ramieniem Jonathana. - Zechciej się obudzić, kochasiu, dobrze? Chcę ci dodać ducha. Szef też. Tu nie Anglia. Światowi ludzie i wszystko takie tam. Daj spokój, panie Pine.

Ale choć ten apel był wsparty brutalnym zachowaniem, nie wzbu-

dził żadnego odzewu. Jonathanowi udało się zapaść w sen, sen -
ucieczkę mieszkańca sierocińca.

15

Goodhew nie powiedział nikomu poza żoną.

Nie miał nikogo innego, komu mógłby powiedzieć. Z drugiej strony taka koszmarne opowieść wymagała koszmarnej widowni, a niestety jego droga Hester była powszechnie uważana za najmniej koszmarne osobę na świecie.

- Ależ, kochanie, na pewno się nie przestyszałeś? - spytała z powątpiewaniem. - Wiesz, jaki jesteś. Dużo rzeczy słyszysz idealnie wyraźnie, ale dzieci muszą po kilka razy powtarzać ci to, co mówią w telewizji. W piątek podczas natężenia ruchu musiał być straszny hałas.

- Hester, powiedział mi dokładnie to, co ci powtórzyłem. Słyszałem to wyraźnie mimo ruchu, mówił mi w twarz. Dotarło do mnie każde słowo. Widziałem ruchy jego warg, kiedy mówił.

- Sądzę, że mógłbyś pójść na policję. Jeśli jesteś pewny. No cóż, naturalnie, że jesteś pewny. Tylko że moim zdaniem powinieneś porozmawiać z doktorem Prendergastem, nawet jeśli nic nie zrobisz.

Goodhew rzadko ogarniał gniew na towarzyszkę życia, ale tym razem poniosło go i wyszedł na długi spacer do Parliament Hill, żeby mu się przejaśniło w głowie. Niestety, nic mu się nie przejaśniło. Po prostu kolejny raz opowiedział sobie całą tę historię, jak zrobił to już sto razy wcześniej.

Piątek kończył się jak każdy inny piątek. Goodhew wcześniej przyjechał rowerem do pracy, bo jego szef lubił zamknąć sprawy całego tygodnia, zanim udał się na wieś. Goodhew o dziewiątej odebrał telefon od sekretarki swojego szefa z informacją, że konferencja zapowiadana na dziesiątą jest odwołana, bo pan minister otrzymał wezwanie z ambasady USA.

Goodhew przestał się dziwić tym wykluczeniom z narad z udziałem swojego szefa, więc wykorzystał przedpołudnie na odrobienie

zaległości; nie wyszedł na lunch, zjadł kanapkę przy biurku.

O wpół do czwartej sekretarka zadzwoniła z pytaniem, czy mógłby natychmiast zjawić się na górze. Goodhew usłuchał wezwania. Uczestnicy wystawnego posiłku, na który Goodhew nie został zaproszony, siedzieli porozrzucani po gabinecie jego szefa w pozach świadczących o sytym rozluźnieniu, wśród filizanek z kawą i aromatu cygar.

- Rex. Dobra robota - rzekł protekcjonalnie jego szef. - Usiądź, proszę. Kogo nie znasz? Wszystkich znasz. Fajnie.

Jego szef, młodszy od Goodhew o lat dwadzieścia, był bogatym awanturnikiem, miał gwarantowany mandat i przeszłość w drużynie rugby uniwersytetu Cambridge, co zdaje się stanowiło jego największe edukacyjne osiągnięcie. Miał również tępe spojrzenie, ale braki w wizjonerstwie nadrabiał ambicją. Barbara Vandon z ambasady amerykańskiej siedziała z jego jednej strony, a z drugiej Neal Marjoram z Zaopatrzenia Niebezpośredniego. Goodhew zawsze czuł do niego sympatię, być może z powodu zasług Marjorama w marynarce wojennej, szczerego spojrzenia i emanującej odeń uczciwości i spokoju. Prawdę mówiąc, Goodhew zawsze zachodził w głowę, jakim cudem człowiek, którego uczciwość biła w oczy, pełnił stanowisko zastępcy Geoffreya Darkera. Galt, kolejny człowiek Darkera, siedział tuż obok Marjorama i bardziej do niego pasował: za dobrze ubrany, za bardzo przypominał świetnie prosperującego handlarza nieruchomości. Trzecim członkiem delegacji z Domu za Rzeką była piękna Hazel Bundy. Miała wydatnie zarysowaną szczękę i jak głosiła plotka, dzieliła zarówno łóżko Darkera, jak i jego obowiązki. Ale Goodhew przyjmował za punkt honoru nigdy nie słuchać tego rodzaju pogłosek.

Jego szef wyjaśniał powód narady. W głosie ministra było o wiele za dużo nonszalancji.

- Nasza paczka, Rex, poszła z wycieczką obejrzeć maszynę łącznikową UK/US - opowiadał, wykonując cygarem szeroki łuk. - Szczerze mówiąc, doszliśmy do paru wysoce kłopotliwych wniosków i chcieliśmy zapoznać się z twoją opinią. Nieoficjalnie. Bez protokołów, bez karnej musztry. Dyskusja o zasadach. Wymiana poglądów. Odpowiada ci?

- Czemu miałoby nie odpowiadać?

- Barbara, kochanie...

Barbara Vandon była szefem amerykańskiej placówki w Londynie. Studiowała w Vassar, zimy spędzała w Aspen, lata na Martha's Vineyard. Niemniej z jej głosu przebijał ostry pisk osoby pokrzywdzonej przez los.

- Rex, ta sprawa z „Pijawką” przekracza ludzkie pojęcie - zawyła. - Traktuje się nas jak śmieci. Absolutnie. Prawdziwa gra toczy się tu, teraz i ma wymiar orbitalny.

Bezradność Goodhew niewątpliwie rzuciła się w oczy.

- Barbara uważa, że my i Langley jesteśmy zepchnięci na bok, Rex - wytłumaczył z boku Marjoram.

- Co za „my”?

- No, my. Dom za Rzeką.

Goodhew gwałtownie odwrócił się do swojego szefa.

- Mówiłeś mi, że to dyskusja o zasadach...

- Spoko, spoko! - Jego szef skinął cygarem w kierunku Barbary Vandon. - Dziewczyna jeszcze dobrze nie zaczęła. Nie gorączkuj się tak. Chryste.

Ale Goodhew niełatwo było zbić z pantałyku.

- Dom za Rzeką i Langley zepchnięte na bok w sprawie „Pijawki”? - z niedowierzaniem zwrócił się do Marjorama. - Dom za Rzeką nie jest nawet zaangażowany w sprawę „Pijawki”. Odpowiada tylko za dostarczenie wsparcia. „Pijawka” to sprawa Agencji Ochrony Porządku Publicznego.

- No cóż, to właśnie zdaniem Barbary powinniśmy przedyskutować - wyjaśnił Marjoram z takim dystansem w głosie, jakby chciał zasugerować, że niekoniecznie zgadza się z przedmówczynią.

Barbara Vandon wdarła się w ich wymianę zdań jak burza:

- Rex, musimy zrobić generalne, generalne to mało powiedziane, porządki, nie tylko w Langley, ale właśnie tu, w UK. - Wyglądało to na przygotowane wcześniej przemówienie. - Musimy rozebrać tę sprawę „Pijawki” do najdrobniejszej śrubki i zacząć od początku. Rex, Langley postawiono przed faktami dokonanymi. Nie tyle postawiono przed faktami dokonanymi, co odstawiono na boczny tor. - Tym razem Marjoram nie zaproponował swoich usług tłumacza. - Rex, nasi politycy tego nie kupią. Lada dzień się wściekną. Rex, mamy tu coś, czemu należy się przyjrzeć bardzo powoli, spokojnie i ze wszystkich stron. I co widzimy? To operacyjna umowa między... po pierwsze... bardzo skromną, bardzo młodą brytyjską agencją, wybac mi, doskonałą, pełną poświęcenia, ale skromną. I... po drugie... z bandą kowbojów Ochrony Porządku z Miami, bez pojęcia o geopolityce. To kwestia priorytetów. W tym wypadku tę listę ktoś postawił na głowie.

Goodhew poczuł, jak dopada go poczucie winy. Palfrey mnie ostrzegął, ale nie potraktowałem go poważnie. „Darker szykuje pucz, żeby odzyskać utracone terytoria, Rex - tak mówił. - Proponuje ukryć

się za amerykańską flagą”.

- Rex!!! - Barbara Vandon ryknęła tak przeraźliwie, że Goodhew zebrał siły w fotelu. - Mamy tu do czynienia z poważną geopolityczną zmianą na naszych tyłach, w Ameryce Łacińskiej i zajmują się nią amatorzy bez kwalifikacji do gry w tej lidze, uganiający się z piłką, chociaż powinni ją komuś podać, bo nie mają pojęcia o istocie rzeczy. Kartele zajmują się narkotykami, to po pierwsze. Jest problem narkotyków i są gdzieś ludzie, których zadaniem jest radzenie sobie z tym problemem. Zaakceptowaliśmy to, Rex. Zapłaciliśmy za to sporą cenę.

- Och, wyśrubowaną, z tego co się słyszy, Barbaro - przytaknął z powagą Goodhew. Ale po czterech latach w Londynie Barbara Vandon była głucha jak pień na ironię. Parła dalej.

- Kartele zajmują się paktowaniem między sobą, Rex, są miłe dla siebie, kupują poważne wyposażenie, szkolą ludzi, reorganizują się... Rex, to zupełnie inna broszka. Nie chodzi o to, że w Ameryce Południowej niewielu ludzi to robi. Tam reorganizacja oznacza sięgnięcie po władzę! Proste. To nie zadanie dla Ochrony Porządku. To nie zabawa w policjantów i złodziei, nie strzelanie w stopę. To geopolityka, Rex! I musimy doprowadzić do tego, żeby móc pójść na Kapitol i powiedzieć: „Chłopaki, rozumiemy wyższą konieczność. Rozmawialiśmy z Agencją Ochrony Porządku Publicznego, Agencja wycofała się grzecznie, Agencja zrobi, co do niej należy, kiedy czas dojrzeje, realizując swoje prawa i obowiązki. Tymczasem to sprawa geopolityczna, skomplikowana, ma wiele aspektów i dlatego też zgodnie z ustaleniami odpowiedzialność za to przypada Czystemu Wywiadowi, jesteśmy przygotowani do załatwiania skomplikowanych spraw, mamy do tego wypróbowanych i zaufanych profesjonalistów w Czystym Wywiadzie, działających w ramach geopolitycznych ustaleń”.

To był wyraźnie koniec, bo niczym aktorka zadowolona ze swojej roli odwróciła się prosto do Marjorama, jakby chciała spytać: „Dobrze wypadłam?”. Ale Marjoram okazał łaskawą pogardę wobec jej wojowniczego tonu.

- No cóż, uważam, że w tym, co mówi Barbara, jest wiele sensu - zauważył z typowym dla siebie uczciwym, prostodusznym uśmiechem. - Oczywiście, my nie będziemy stawać na drodze korekcie zakresu odpowiedzialności między służbami. Ale trudno stwierdzić, że decyzja w tej sprawie należała do nas.

Twarz Goodhew była jak wyciosana z kamienia. Złożył ręce przed sobą. Leżały martwo, odmawiając uczestnictwa w tej grze.

- Tak - zgodził się. - Wcale do was nie należy! Należy do Połączonej Komisji Koordynacyjnej i nikogo innego.

- Której twój szef jest szefem, a ty, Rex, sekretarzem, założycielem i głównym dobroczyńcą - Marjoram przypomniał mu z koleżeńskim uśmiechem - i jeśli mogę tak powiedzieć, moralnym arbitrem.

Ale Goodhew nie dawał się ugłaskać, nawet takiemu świetnemu rozjemcy jak Neal Marjoram.

- Korekta zakresu odpowiedzialności, jak ty to nazywasz, w żadnych okolicznościach nie leży w zakresie uprawnień rywalizujących agencji, Nealu - rzekł stanowczo. - Nawet zakładając, że Ochrona Porządku byłaby gotowa z własnej woli zejść z boiska, w co mocno wątpię, agencje nie są uprawnione do dzielenia zakresu odpowiedzialności między sobą bez porozumienia się z Komisją Koordynacyjną. Żadnych konszachtów na boku. To jedna z zasad, na których straży stoi Komisja Koordynacyjna. Spytaj jej przewodniczącego. - Tu ruchem ręki wskazał swojego szefa.

Przez chwilę nikt nikogo o nic nie pytał, aż Goodhew wydał z siebie niewyraźne burknięcie na tyle pojemne, że dowodziło zwątpienia i irytacji z równoczesnym dodatkiem niestrawności.

- No cóż, oczywiście, Rex - powiedział z nosowym zaśpiewem właściwym konserwatystom z ławy rządowej - jeśli nasi amerykańscy kuzyni chcąc nie chcąc są gotowi przejąć sprawę „Pijawki”, to my ze swej strony jesteśmy gotowi zastanowić się na spokojnie, czy przyjmujemy ich punkt widzenia. Prawda? Mówię „jeśli”, bo to nieformalna dyskusja. Jak do tej pory nic nie przeszło na formalną stronę siatki. Czy tak?

- Jeśli przeszło, to nie dotarło do mnie - odparł mu lodowato Goodhew.

- Przy tej szybkości, z którą te cholerne komisje pracują, i tak nie dostaniemy odpowiedzi przed Bożym Narodzeniem. Chcę powiedzieć, daj spokój, Rex, mamy kworum. Ty, ja i Neal. Pomyślałem, że możemy sobie z tym poradzić sami.

- Twój głos, Rex - rzekł przyjaźnie Marjoram. - Ty jesteś prawodawcą. Jeśli ty nie możesz tego odwrócić, kto może? To ty spisałeś umowę, którą przyjęliśmy na zasadzie analogii; Ochrona Porządku gra z Ochroną Porządku, szpieczy ze szpiegami, żadnych przeszczepów. Nazwaliśmy to „Lex Goodhew”, całkiem zresztą słusznie. Sprzedałeś to Waszyngtonowi, zdobyłeś posłuch gabinetu, przepchnąłeś. „Agencje rządowe w nowej epoce” - nie taki był tytuł twojego opracowania? My tylko godzimy się z nieuniknionym, Rex. Słyszałeś Barbarę. Mając wybór między łagodnym poślizgiem a

zderzeniem czołowym, zawsze optowałem za łagodnym poślizgiem. Nie chciałem, żebyś wpadł we własne sidła czy coś w tym rodzaju.

Goodhew do tej pory zdążył się już solidnie wściec. Ale był z niego zbyt stary wyga, żeby dać się ponieść emocjom. Odezwał się opanowanym głosem, patrząc przez stół na uczciwą twarz Neala Marjorama. Powiedział, że zalecenia Połączonej Komisji Koordynacyjnej co do przewodniczącego podjęto na zwykłym posiedzeniu, nie przy zwołanym ad hoc kworum. Powiedział, że Komisja Koordynacyjna zajęła oficjalne stanowisko, że Dom za Rzeką jest przeciążony i powinien raczej dalej delegować zadania, zamiast podejmować próby odzyskania dawnych wpływów, i że jak do tej pory pan minister, wypełniając obowiązki przewodniczącego, podzielał te poglądy - „chyba, że zmieniłeś je podczas lunchu”, zasugerował swojemu panu, który zachmurzony patrzył przez dym cygara.

Powiedział, że jeśli o niego chodzi, to wołałby rozszerzyć kompetencje Ochrony Porządku, by mogła skutecznie sprostać wyzwaniom. Zakończył, mówiąc, że skoro spotykają się nieoficjalnie, to osobiście uważa działalność Grupy Zaopatrzenia Niebezpośredniego za niewłaściwą w nowej epoce i uwłaczającą władzy parlamentu, i że na następnej naradzie Komisji Koordynacyjnej zamierza przedstawić formalny wniosek o zbadanie jej działalności.

Potem złożył nabożnie dłonie, jakby chciał powiedzieć „amen”, i czekał na eksplozję.

Nie nastąpiła.

Minister wyjął wykałaczkę zza dolnej wargi, nie odrywając uważnego spojrzenia od sukienki Hazel Bundy.

- Doobra. Okay - wycedził, nie patrząc nikomu w oczy. - Interesujące. Dzięki. Rozważymy to.

- Jest doprawdy o czym myśleć - przytaknęła żwawo Galt. I uśmiechnęła się do Hazel Bundy, która nie odpowiedziała mu uśmiechem.

Ale Neal Marjoram był wcieleniem dobrotliwości. Duchowy spokój zagościł na delikatnych rysach odzwierciedlających moralną szlachetność, fundamentalną cechę jego charakteru.

- Masz chwilę, Rex? - spytał cicho, gdy wychodzili.

I Goodhew, niech Bóg się nad nim zlituje, ucieszył się myślą, że po zdrowej dawce kompromisowych propozycji Marjoram zadaje sobie ten trud, by zostać jeszcze chwilę i zatrzeć wszelkie urazy, które mogły się zrodzić po którejkolwiek ze stron.

Goodhew szlachetnie zaproponował Marjoramowi swój gabinet, ale Marjoram był na to zbyt delikatny. Rex, potrzebujesz świeżego powietrza, żeby ochłonać. Przejdźmy się.

Było słoneczne jesienne popołudnie. Liście platanów mieniły się różem i złotem, zadowoleni turyści przechadzali się chodnikami przed Whitehall i Marjoram posiał im ojcowski uśmiech. Hester miała rację, piątkowy ruch w godzinie szczytu był bardzo intensywny. Ale słuch Goodhew nie ucierpiał z tego powodu.

- Kochana Barbara napięła się trochę - zauważył Marjoram.
- Ciekawe, kto jej w tym pomógł - odrzekł Goodhew.
- Powiedzieliśmy jej, że to nie wyrze na tobie żadnego wrażenia, ale chciała spróbować.
- Nonsens. Podjudziliście ją.
- No cóż, co mieliśmy zrobić? Przyjść do ciebie i zebrać: Rex, daj nam „Pijawkę”? To tylko jedna sprawa, na litość boską. - Doszli do Embankment, która najwyraźniej okazała się celem ich spaceru. - Wóz albo przewóz, Rex. Stanowczo jesteś zbyt świątobliwy. Tylko dlatego, że coś tam jest twoim dzieckiem. Zbrodnia to zbrodnia, szpieg to szpieg i jedno z drugim nigdy nie powinno mieć nic wspólnego. Kłopot z tobą polega na tym, że widzisz wszystko czarno-biało.
- Nie, Neal. Nie sądzę. Obawiam się, że nie widzę wszystkiego czarno-biało. Jeśli kiedykolwiek napiszę autobiografię, nazwę ją *Półśrodki*. Wszyscy powinniśmy być silniejsi. Nie bardziej giętki.

Rozmowa nadal kwalifikowała się jako koleżeńska; dwóch zawodowców wyjaśniało sobie różnice zdań nad Tamizą.

- Jedno jest pewne, trafiłeś na właściwy moment - pochwalił go Marjoram. - Całe to gadanie o „nowej epoce” przyniosło ci dużo punktów u naszych szefów. Goodhew, zwolennik społeczeństwa otwartego. Goodhew, dzielący się władzą z innymi. Rzygać się chce. Niemniej wykroiłeś sobie miluchny kawałek boiska, trzeba to przyznać. Masz zupełną rację, że nie chcesz go oddawać bez walki. Więc ile jest dla ciebie wart?

Stali ramię w ramię, wpatrzeni w Tamizę. Goodhew trzymał ręce na barierce i absurdalnie miał na nich kolarskie rękawiczki, bo ostatnio dokuczalo mu słabe krążenie krwi. Nie pojmując sensu pytania Marjorama, odwrócił się do rozmówcy, by go oświecić. Ale ujrzał tylko profil świętego błogosławiącego przepływające statki wycieczkowe. Następnie Marjoram również się odwrócił i stali twarzą w twarz, w odległości zaledwie trzydziestu centymetrów, i jeśli hałas ruchu samochodowego był uciążliwy, Goodhew zupełnie już przestał zwracać na to uwagę.

- Wiadomość od Darkera - rzekł Marjoram, nie przestając się uśmiechać. - Rex Goodhew wziął się do rzeczy, o których nie ma pojęcia. Sfery interesów, o których nie może wiedzieć, o których nie musi wiedzieć, sprawy wielkiej polityki, zaangażowana sama góra, takie tam gadanie. Mieszkasz w Kentish Town, no nie? Nędzny mały szeregowiec z firankami?

- O co chodzi?

- Właśnie przybył ci daleki wuj mieszkający w Szwajcarii. Zawsze podziwiał twoją uczciwość. W dniu, w którym sprawa „Pijawki” stanie się nasza, twój wuj umrze przedwczesną śmiercią, pozostawiając ci na własność siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Funtów, nie franków. Wolne od podatku. To spadek. Wiesz, co mówią chłopcy w Kolumbii? „Masz wybór. Albo będziesz bogaty, albo martwy”. Darker mówi to samo.

- Przepraszam. Nie jestem dziś zbyt lotny - powiedział Goodhew. - Czy równocześnie proponujecie mi łapówkę i grozicie mi śmiercią?

- Śmiercią twojej kariery na początek. Sądzę, że potrafilibyśmy cię utracić. Jeśli nie, będziemy musieli się zastanowić. Skoro to krępujące, nie odpowiadaj teraz. W ogóle nie odpowiadaj. Po prostu zrób to. Najpierw czyny, potem słowa: „Lex Goodhew”. - Uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Nikt ci nie uwierzy, no nie? Nie w twoich kręgach. Stary Rex tetryczeje... za długo na stołku... nie chciał nic powiedzieć. Jeśli pozwolisz, nie prześlę ci jutro notatki ze spotkania. Nie usłyszałeś ode mnie niczego. Ot, poszliśmy na miłą przechadzkę po kolejnej nudnej naradzie. Przyjemnego weekendu.

- Twoje założenie jest absurdalne - powiedział Burrowi Goodhew pół roku wcześniej, podczas jednej z ich kolacyjek. - Jest destruktywne, podstępne, nie będę się nad nim zastanawiał i zakazuję ci kiedykolwiek o nim wspominać. Tu jest Anglia, nie Bałkany, nie Sycylia. Możesz zatrzymać swoją agencję, Leonardzie, ale musisz raz na zawsze porzucić te fantazje jak z powieści gotyckiej, jakoby Grupa Zaopatrzenia Niebezpośredniego była przykrywką dla wielomilionowych machinacji Geoffreya Darkera i kliki oszukańczych bankierów, brokerów, pośredników i skorumpowanych funkcjonariuszy wywiadu po obu stronach Atlantyku.

Bo na tej drodze czyha szaleństwo - ostrzegął Burra. Teraz sam na nią wszedł.

Przez tydzień po rozmowie z żoną Goodhew z nikim nie dzielił się swoim sekretem. Człowiek, który nie ufa samemu sobie, nie ufa nikomu. Burr zatelefonował z Miami, donosząc o zmartwychwstaniu „Pijawki”, i Goodhew, jak potrafił najlepiej, podzielił jego euforię. Rooke przejął stery w biurze Burra przy Victoria Street. Goodhew postawił mu lunch w Athenaeum, ale nie poczynił żadnych zwierzeń.

Natomiast pewnego wieczoru złożył mu wizytę Palfrey i zawiłe opowiadał o Darkerze, który rozpytywał się wśród brytyjskich dostawców broni o wyposażenie użyteczne w „klimacie typu południowoamerykańskiego”, zaawansowane technologicznie. Użytkownik końcowy zostałby wskazany.

- Brytyjskie wyposażenie, Harry? To niepodobne do Ropera. On kupuje zagraniczne.

Palfrey pokręcił się, zaciągnął głęboko papierosem i chciał jeszcze whisky.

- No, prawdę mówiąc, mógłby to być Roper, Rex. To znaczy, jeśli chronił swój tyłek. To znaczy, jeśli to brytyjskie zabawki... no cóż, nasza pobłażliwość nie zna granic, jeśli wiesz, co mam na myśli. Głowa w piasek. Jeśli to brytyjskie. Naturalne. Jeśli to brytyjskie, to podrzucamy Kubie Rozpruwaczowi. - Zachichotał.

Wieczór był ładny i Palfrey chciał zażyć ruchu. Więc poszli aż do cmentarza Highgate i znaleźli ustronną ławeczkę.

- Marjoram chciał mnie kupić - wyrzucił po prostu z siebie Goodhew. - Za siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- Och, to do niego podobne - odparł bynajmniej niezaskoczony Palfrey. - Robią to za granicą. Robią w kraju.

- Był kij i była marchewka.

- Och, tak, tak to zwykle bywa. - Palfrey sięgnął po nowego papierosa.

- Kim oni są, Harry?

Palfrey zmarszczył nos, zamrugał kilka razy i wydawał się tajemniczo zakłopotany.

- To po prostu kilku sprytnych facetów. Dobre znajomości. Sam wiesz.

- O niczym nie wiem.

- Dobrzy funkcjonariusze operacyjni. Chłodne głowy, które przeżyły zimną wojnę. Boją się, że zostaną bez roboty. Sam wiesz, Rex.

Do Goodhew dotarło, że Palfrey opisuje własne kłopotliwe położenie i że mu się to nie podoba.

- Naturalnie, mają doświadczenie w fałszu i obłudzie -

kontynuował samorzutnie Palfrey, jak zwykle wygłaszając opinię serią rwanych, wyświechtanych zdań. - Wielbiciele wolnego rynku. U szczytu w latach osiemdziesiątych. Bierz, co dają, wszyscy to robią, nigdy nie wiadomo, gdzie wybuchnie następna wojna. Wszyscy zaszeregowani, nie mają dokąd pójść... sam wiesz. Naturalnie, wciąż mają władzę. Tego im nikt nie zabrał. Po prostu nie wiadomo, komu ją przekazać.

Goodhew się nie odezwał, więc Palfrey usłużnie kontynuował.

- Nie są źli, Rex. Nie powinno się ich zbyt surowo oceniać. Trochę zostawieni samym sobie w trudnej sytuacji. Nie ma już Thatcher. Nie ma już radzieckiego niedźwiedzia, z którym można by walczyć, w ojczyźnie za rogiem nie czai się żaden czerwony. Jednego dnia cały świat jest urządzony wedle ich życzeń, ci są dobrzy, ci źli. Następnego ranka budzą się i jest jakos... no cóż, sam wiesz... - Zakończył wzruszeniem ramion. - Nikt nie lubi próżni, no nie? Nawet ty nie lubisz próżni. No, lubisz? Powiedz uczciwie. Nie cierpisz.

- Przez próżnię rozumiesz pokój? - zasugerował Goodhew, unikając niezwykle starannie cenzorskiego tonu.

- W zasadzie nudę. Małość. Nigdy nikomu się nie przysłużyła, no nie? - Kolejny chichot, kolejny długi haust papierosowego dymu. - Parę lat temu to były najostrzejsze miecze zimnej wojny. Najlepsze fotele w klubie, takie tam. Trudno zatrzymać się w biegu, kiedy raz zostało się tak nakręconym. Zasuwa się dalej. Naturalne.

- Więc jacy oni są teraz?

Palfrey potarł nos grzbietem ręki, jakby go swędziało.

- Ja to tak naprawdę jestem niewidzialne ucho.

- Wiem o tym. Jacy są oni?

Palfrey odzywał się ogólnikami, być może po to, aby zdystansować się wobec własnych ocen.

- Zwolennicy Paktu Atlantyckiego. Nigdy nie ufali Europie. Europa to wieża Babel zdominowana przez Szwabów. Dla nich nadal liczy się tylko Ameryka. Waszyngton w dalszym ciągu jest ich Rzymem, nawet jeśli Cezar się nie spisuje. - Wiercił się zażenowany. - Zbawiciele planety. Rozgrywają światową grę. Chłopaki od światowego porządku, wpisali się na karty historii, zgarnęli bokiem kilka funtów, czemu nie? Wszyscy to robią. - Znowu się powiercił. - Trochę przegnili, wielkie mi halo. To wszystko. Trudno im się dziwić. Whitehall nie wie, jak się ich pozbyć. Każdy myśli, że muszą być przydatni dla kogoś innego. Nikt nie ma obrazu całości, więc nikt nie wie, że coś takiego nie istnieje. - Kolejne potarcie nosa. - Dopóki dogadzą amerykańskim kuzynom, nie przekraczają budżetu i

publicznie nie drą ze sobą kotów, mogą robić co im się żywnie podoba.

- W jaki sposób dogadzają kuzynom? - naciskał Goodhew, trzymając głowę w dłoniach, jakby pękała mu z bólu. - Bądź tak łaskaw i powiedz mi to bez owijania w bawełnę.

Palfrey mówił jak do krnąbrnego dziecka - z pobłażaniem, ale z nutą zniecierpliwienia:

- Staruszk, kuzyni mają prawo. Pilnują ich cerbery. Urządzają nieformalne sądy, wsadzają uczciwych szpiegów do ciupy, sądzą wyższych funkcjonariuszy. Brytyjczycy nie robią takich jaj. Wystarczy im Połączona Komisja. Ale tak z ręką na sercu, to większość z was jest całkiem porządna.

Goodhew uniósł głowę i złożył ją z powrotem w rękach.

- Jedź dalej, Harry.

- Prawdę mówiąc, to się zgubiłem.

- Jak Darker dogadza kuzynom, kiedy mają kłopoty ze swoimi cerberami?

Palfrey wkraczał w fazę oporu.

- No cóż. To przecież oczywiste. Jakiś waśniak w Waszyngtonie wyskakuje i mówi kuzynom: „Nie wolno wam zbroić Wozza-Wozza. Takie jest prawo”. Jasne?

- Jak do tej pory tak.

- „Tak jest!”, odpowiadają kuzyni. „Zrozumiano. Nie zbroimy Wozza-Wozza”. Godzinę później kręcą do braciszka Darkera. „Geoffrey, kochany chłopie, zrób nam przysługę, dobra? Wozza-Wozza potrzebuje trochę zabawek”. Wozza-Wozza jest zaembargowane, ale wszystkim to zwisa, skoro Ministerstwo Skarbu skasuje na tym kilka funciaków. Darker kręci do jednego ze swoich zaufanych członków rządu - Jaystona Bradshawa, Spikeya Lorimera, do ulubieńca miesiąca. „Wspaniałe wieści, Tony. Zielone światło dla Wozza-Wozza. Musisz to zrobić tylnymi drzwiami, ale postaramy się, żeby ci się nie zamknęły”. No i jest PS.

- PS?

Urzeczony niewinnością Goodhew, Palfrey posłał mu świetlisty uśmiech.

- Postscriptum, staruszk. Dosładcacz. „A skoro już o tym mowa, Tony, kochany chłopie, bieżący wskaźnik za pośrednictwo to pięć procent wartości, płatne na rachunek Funduszu Grupy Zaopatrzenia Niebezpośredniego na rzecz Wdów i Sierot w Banku Kanciarzy i Kuzynów, spółka z o.o., Liechtenstein”. To bułka z masłem, byłeś tylko nie był zobowiązany do udzielania wyjaśnień.

Słyszałeś kiedyś, żeby pracownik brytyjskich służb wywiadowczych został złapany z ręką w kasie? O brytyjskim ministrze postawionym w stan oskarżenia za łamanie zarządzeń obowiązujących w jego własnym ministerstwie?! Chyba żartujesz! Są ognioodporni.

- Czemu Czysty Wywiad chce „Pijawki”?

Palfrey spróbował się uśmiechnąć, ale bez skutku. Zaciągnął się więc tylko papierosem i podrapał w czubek głowy.

- Czemu oni chcą „Pijawki”, Harry?

Załamione oczy Palfreya zlustrowały ciemniejące drzewa w poszukiwaniu pomocy albo obserwatorów.

- Tego musisz się sam dowiedzieć, Rex. To przekracza zasięg moich możliwości. Prawdę mówiąc, twoich też. Wybacz.

Już wstawał, gdy Goodhew krzyknął na niego:

- Harry!

Wystraszony Palfrey rozdziawił krzywo usta, odsłaniając brzydkie zęby.

- Rex, na litość boską, ty nie masz pojęcia, jak się obchodzić z ludźmi. Ja jestem tchórzem! Nie wolno ci mnie przyduszać, bo inaczej się zablokuję albo zacznę zmyślać. Idź do domu. Wyśpij się. Jesteś za dobry, Rex. To cię wykończy. - Rozejrzał się nerwowo i chyba na moment się rozluźnił. - Kupuj brytyjskie, kochany. To klucz. Czy ty nie rozumiesz niczego złego?

Rooke siedział za biurkiem Burra przy Victoria Street. Burr siedział w centrum operacyjnym w Miami. Obaj ściskali słuchawki telefonów połączonych bezpieczną linią.

- Tak, Rob - powiedział radośnie Burr. - Potwierdzone i jeszcze raz potwierdzone. Zrób to.

- Chciałem tylko mieć absolutną pewność, jasne? - rzekł Rooke specjalnym tonem, jakiego używają żołnierze, żądając potwierdzenia rozkazów od cywilów. - Powtórz mi to jeszcze raz. Może być?

- Rozgłoś jego nazwisko, Rob. Wielkimi literami. Wszystkie jego nazwiska. Wszędzie. Pine alias Linden, alias Beauregard, alias Lamont, ostatnio widziany w Kanadzie z jakiejś tam okazji. Morderstwo, wielokrotna kradzież, przemyt narkotyków, wyłudzenie paszportu i bezprawne posługiwanie się nim, nielegalny wjazd do Kanady, nielegalny wyjazd, jeśli coś takiego miało miejsce, i wszystko, co będą w stanie wymyślić, żeby było to interesujące.

- A więc wielki szlem? - spytał Rooke nieczuły na jowialność Burra.

- Tak, Rob, wielki szlem. Bo „wszędzie” to znaczy wielki szlem, no nie? Międzynarodowy list gończy za panem Thomasem Lamontem, przestępcą. Mam ci go posłać w trzech egzemplarzach?

Rooke odłożył słuchawkę, podniósł ją i wybrał numer Scotland Yardu. Kiedy dotykał klawiszy, czuł dziwną sztywność ręki - tak jak wtedy, kiedy bawił się z niewypałami.

„A kiedy przejdzie ten most, spalimy go” - powiedział Burr.

16

- Kochasiu - zaproponował Corkoran, zapalając pierwszego cuchnącego papierosa tego dnia i balansując na kolanie porcelanowym kałamarzem pełniącym rolę popielniczki.

- Co powiesz na to, żebyśmy odsiali ziarna od szcurzych gó-wien?

- Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś stąd wyszedł - wygłosił przygotowaną wcześniej kwestię Jonathan. - Nie muszę z niczego się tłumaczyć i nie muszę za nic przeproszać. Zostaw mnie w spokoju.

Corkoran z ulgą opadł na fotel. Byli w sypialni sami. Frisky kolejny raz został wyproszony.

- Nazywasz się Jonathan Pine, dawniej pracownik u Meistra, w Queen Nefertiti i na innych targowiskach próżności. Ale teraz podróżujesz jako niejaki Thomas Lamont, posługując się autentycznym kanadyjskim paszportem. Z tym tylko, że akurat nie jesteś Thomasem Lamontem. Sprzeciw? Nie widzę.

- Uwolniłem chłopaka. Posklejaliście mnie. Dajcie paszport i wypuście mnie.

- A pomiędzy tym, jak byłeś J. Pine'em z Meistra i T. Lamontem z Kanady, że nie wspomnę o J. Beauregardzie, byłeś też Jackiem Lindenem z zapadłej Kornwalii. I jako wyżej wymieniony stuknąłeś swojego kumpla, niejakiego Alfreda alias Jumbo Harlowa, żeglarza z Australii, nad którym wisiało na antypodach sporo wyroków za przemyt narkotyków. Po czym zwiąłeś, zanim prawo zdążyło cię osiągnąć.

- Policja w Plymouth mnie poszukuje. Chce mnie przesłuchać. Nie postawiła mi żadnych zarzutów.

- A Harlow był twoim wspólnikiem w interesach - powiedział Corkoran, pisząc.

- Skoro tak twierdzisz.

- Przemyt narkotyków, serdeńko? - spytał Corkoran, unosząc

głowę.

- To było uczciwe handlowe przedsięwzięcie.

- Prasa twierdzi zupełnie inaczej. Nasze ptaszęta też inaczej ćwierkają. Jack Linden alias J. Pine, alias ty, szmuglował samodzielnie ładunek narkotyków z Wysp Normandzkich do Falmouth. Utrudzeni rybacy mówią, że to imponujący rejs. I brat Harlow, nasz współnik, zabrał narkotyki do Londynu, opylił i wycykał nas z należnego nam udziału. Co nam popsło humor. Zrozumiałe. Więc zrobiłeś to, co każdy z nas by zrobił, kiedy współnik zepsuje nam humor. Stuknąłeś go. Nie był to pokazowy zabieg chirurgiczny, którego należałoby się spodziewać, znając twoje potwierdzone umiejętności w tej dziedzinie, bo Harlow grubiańsko stawiał opór. Więc wszczałeś bójkę. I zwyciężyłeś. A kiedy zwyciężyłeś, stuknąłeś go. Górą nasi.

„Idź w zaparte - powiedział Burr. - Nie było cię tam, to było dwóch zupełnie innych ludzi, on uderzył cię pierwszy i sam się o to prosił. Potem niezdarnie ustąpił i niech myślał, że cię przejrzał”.

- Nie mają dowodu - odparł Jonathan. - Znaleźli trochę krwi; nie znaleźli ciała. Teraz, na miłość boską, wynoś się.

Corkoran sprawiał takie wrażenie, jakby zapomniał o wszystkim. Szczerzył zęby i wpatrywał się w przestrzeń, odszukując coś w pamięci, porzuciwszy wszelkie złe myśli.

- Znasz to o facecie składającym podanie o przyjęcie do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych? „Słuchaj no, Carruthers - oni na to - bużkę masz jak malowanie, ale nie możemy przymknąć oka na fakt, że miałeś niewąską odsiadkę za pederastię, podpalenie i gwałt...” Naprawdę tego nie znasz???

Jonathan jęknął.

- „Jest na to najprostsze w świecie wytłumaczenie - mówi Carruthers. - Kochałem dziewczynę, która nie chciała, żebym ją posuwał, więc przyłożyłem jej w głowę, zgwałciłem, przeleciałem jej starego i podpaliłem chałupę”. Musiałeś to słyszeć!

Jonathan zamknął oczy.

- „W porządku, Carruthers - mówią goście z komisji rekrutacyjnej. - Wiedzieliśmy, że jest na to jakieś rozsądne wytłumaczenie. Mamy taką propozycję. Trzymasz się i z dala od maszynistek, nie bawisz się zapalkami, dajesz nam całusa i możesz brać się do roboty”.

Corkoran naprawdę się śmiał. Zwały tłuszczu na szyi zaróżowiły się i zatrzęsły, łzy radości pociekły po policzkach.

- Wiesz, czuję się jak szmata, że ty tak leżysz - wytłumaczył. - I do tego jesteś bohaterem dnia! O ile łatwiej byłoby, gdybym mógł odegrać Jamesa Cagneya, trzymał cię pod mocną żarówką i prał

wibratorem. - Zapiał przesadnie modulowanym głosem jak policjant zeznający na sali sądowej: - „Poszukiwanego, wysoki sędzie, przypuszczalnie zdradza blizna na prawej ręce!” Pokaż - powiedział zupełnie innym głosem.

Jonathan otworzył oczy. Corkoran stał znowu przy łóżku. Uniesiony papieros trzymał jak niezdarnie wystruganą żółtą batutę. Spoczną ręką podniósł prawą dłoń Jonathana i przyglądał się szerokiej bliźnie biegnącej po jej grzbiecie.

- O rany - westchnął. - Tego to się nie zrobi przy goleniu, takiego czegoś na pewno.

Jonathan wyrwał dłoń.

- Wyciągnął na mnie nóż. Nie wiedziałem, że ma go przy sobie. Nosił go na łydce. Pytałem, co było na łodzi. Wtedy już wiedziałem. Zgadłem. Był z niego kawał chłopca. Nie mogłem się na niego po prostu rzucić, więc postawiłem na gardło.

- Dobre stare jabłko Adama, co? Awanturnik z ciebie, no nie? Miło pomyśleć, że Irlandia się na coś komuś przydała. To nie mógł być twój nóż, co, kochasiu? Wydaje się, z tego co się zewsząd słyszy, że masz dużą słabość do noża.

- To był jego nóż. Powiedziałem ci.

- Masz jakieś pojęcie, kto podrzucał Harlowowi narkotyki?

- Zielonego. Nic. Byłem tylko żeglarzem. Słuchaj, idź sobie, idź i nękać kogo innego.

- Byłeś mułem. My używamy terminu „muł”. Muł.

Ale Jonathan kontynuował atak.

- To wy tym się zajmujecie, prawda? Ty i Roper? Przemysłem narkotyków? Wspaniale. Cholera. Od producenta z dostawą do domu.

Opadł na poduszki, czekając na reakcję Corkorana.

A kiedy się jej doczekał, zaskoczyła go swoją energią, gdyż Corkoran, wykazując godną pozazdrosczenia sprawność, skoczył do łóżka i chwycił Jonathana za włosy, ciągnąc je z imponującą siłą.

- Ukochany - szepnął z wyrzutem. - Kochasiu. Naprawdę, kurwa, mali chłopcy w twojej sytuacji lepiej robią, trzymając język za zębami. My jesteśmy Ironbrand, Przedsiębiorstwo Dostawy Gazu, Prądu i Coca-Coli w Nassau, Wyspy Banana, pewni kandydaci do Nagrody Nobla w dziedzinie Niepokalanej Uczciwości. Pytanie, kim ty, kurwa, jesteś?

Ręka zwolniła chwyt na włosach. Jonathan leżał nieruchomo. Serce biło mu mocno.

- Harlow powiedział, że chodzi o odzyskanie długu - wychrypiął.

- Od goś, komu sprzedał jacht w Australii, a kto zwiął, nie płacąc.

Jumbo przez przyjaciół doszedł, że łódź jest na Wyspach Normandzkich. Tak powiedział. Gdybym mógł ją sprowadzić do Plymouth, moglibyśmy ją upłynnić i pozbyć się kłopotów. Wtedy to nie wydawało mi się taką bzdurą. Byłem głupcem, że mu uwierzyłem.

- Więc co zrobiłeś z ciałem, kochasiu? - dopytywał się po kumpłowsku Corkoran, wróciwszy na fotel. - Klasycznie? Do dołu z wapnem? Jak każe tradycja?

Zmień rytm. Zmusz go do czekania. Głos ochrypiły rozpaczą:

- Czemu nie wezwiecie policji, nie doprowadzicie do ekstradycji, nie zażądacie nagrody?

Corkoran zdjął zastępczą popielniczkę i położył na kolanach skórzaną teczkę w stylu wojskowym, w której były same faksy.

- A braciszek Meister? - dopytywał się. - Czym on cię obraził?

- Obrabował mnie.

- Och, ty biedna owieczko! Ofiario wyzysku... Ale jak?

- Każdy inny pracownik dostawał część napiwków. Zależnie od funkcji. Pod koniec miesiąca robiła się z tego całkiem spora sumka, nawet w przypadku nowo zatrudnionych. Meister powiedział mi, że nie musi płacić obcokrajowcom. Potem odkryłem, że innym obcokrajowcom płaci, tylko nie mnie.

- Więc skorzystałeś z dostępu do sejfu. No, Meister miał nie byle jakie szczęście, że też go nie stuknąłeś. Albo nie rozprułeś mu kałduna scyzorykiem.

- Pracowałem po godzinach. Na dziennej zmianie. W wolnym dniu robiłem inwentarz w piwnicy z winami. Wszystko za darmo. Nawet wtedy, kiedy zabierałem gości na przejażdżkę łódką. Zdzierał z nich kupę forsy i nie płacił mi ani centa.

- Kair też najwyraźniej opuściłeś w pewnym pośpiechu. Wygląda na to, że nikt nie wie dlaczego. Zauważ, nie ma podejrzenia o morderstwo. Żadnej plamy na naszej reputacji, zgodnie z tym, co mówią w Queen Nefertiti. A może po prostu nie dali nam cynku.

Jonathan miał już przygotowaną na tę okazję opowieść. Wypracował ją z Burrem.

- Wplątałem się w aferę z jedną dziewczyną. Była mężatką.

- Miała jakieś nazwisko?

„Broń swojej intymności” - powiedział Burr.

- Nie do twojej wiadomości.

- Fifi? Lulu? Pani Tutenchamon? Nie? No cóż, zawsze mogła skorzystać z jednego z twoich, no nie? - Corkoran leniwie przerzucał faksy. - A co z szanownym panem doktorem? Miał jakieś nazwisko?

- Marti?

- Nie ten doktor, głuptasku.
- To który? Jaki doktor? O co w tym chodzi, Corkoran? Czy stoję przed sądem za to, że uratowałem Daniela? Do czego dążysz?

Tym razem Corkoran cierpliwie czekał, aż burza ucichnie.

- Ten doktor, który pozszywał ci rękę na pogotowiu w Truro.
- Nie wiem, jak się nazywał. To był stażysta.
- Biały stażysta?
- Ciemny. Hindus albo Pakistańczyk.
- A jak my się tam dostaliśmy? Na pogotowie? Z naszą biedną krwawiącą łapką?

- Owinałem ją w parę ścierek i pojechałem dżipem Harlowa.
- Prowadząc lewą ręką?
- Tak.
- Niewątpliwie użyliśmy tego samego auta, żeby przerzucić ciało w inne miejsce? Policja znalazła ślady naszej krwi w tym aucie. Ale wygląda na to, że to był koktajlik. Było też trochę krwi Jumbo.

Czekając na odpowiedź, Corkoran zajmował się sporządzaniem krótkich notatek.

- Tylko podrzućcie mnie do Nassau - powiedział Jonathan. - Nie zrobiłem wam nic złego. Nie proszę o nic. Nigdy byście o mnie nie usłyszeli, gdybym nie był takim głupcem u Lowa. Nie potrzebuję od was niczego, nie proszę o nic. Nie chcę pieniędzy, nie chcę podziękowań, nie chcę waszych pochwał. Dajcie mi odejść.

Corkoran w zamyśleniu zaciągał się papierosem, przewracając kartki na kolanach.

- A co powiemy na to, żebyśmy dla odmiany zajęli się Irlandią? - zaproponował, jakby Irlandia była grą towarzyską na deszczowe popołudnie. - Dwaj kombatanci gwarzą o dawnych dobrych czasach. Jest coś przyjemniejszego?

„Kiedy dojdiesz do fragmentów rzeczywistych, nie spoczywaj na laurach - powiedział Burr. - Lepiej płacz się w wyjaśnieniach, trochę zapominaj, poprawiaj się, sprawiaj takie wrażenie, żeby myśleli, że tu mogą dopatrzeć się kłamstw”.

- A co w sumie zrobiłeś temu jełopowi? - pytał z zawodową ciekawością Frisky.

Był środek nocy. Frisky wyciągnął się na progu na rozkładanym materacu, przysłoniętą lampką nocną i stos czasopism pornograficznych miał koło głowy.

- Któremu jełopowi? - spytał Jonathan.

- Temu, który pożyczył sobie małego Danny'ego na wieczór. Darł się jak zarzynana świnia w tej kuchni, musieli go słyszeć w Miami.

- Pewnie złamałem mu rękę.
- Złamałeś? Myślałem, że ją bardzo powoli odkręcasz, i to pod prąd. A może jesteś jednym z tym amatorów japońskich sztuk walki?
- Po prostu złapałem i pociągnąłem - powiedział Jonathan.
- Rozpadła ci się w dłoni - rzekł ze zrozumieniem Frisky. - Zdarza się najlepszym z nas.

„Najbardziej niebezpieczne chwile przychodzą wtedy, kiedy potrzebujesz przyjaciela” - powiedział Burr.

I po Irlandii zapoznali się z - jak to nazywał Corkoran - „etapem lokaja wędrowniczka”, co oznaczało naukę w szkole gastronomicznej, potem okres, w którym był kuchcikiem, kucharzem i wreszcie zajął się hotelarstwem.

Z kolei Corkoran chciał się dowiedzieć o jego wyczynach w Château Babette, z których Jonathan zdał relację, skrupulatnie dbając o zachowanie anonimowości Yvonne, co i tak okazało się zbyt cenne, ponieważ Corkoran znał również ten wątek.

- Więc jakim cudem, na miłosierdzie Boże, udało się nam zahaczyć u Mamy Low, kochasiu? - spytał, zapalając kolejnego papierosa.
- Ten lokal to ulubiony wodopój szefa od niepamiętnych czasów.

- Po prostu jakoś pomyślałem sobie, że na kilka tygodni gdzieś się zaszyję.

- Chodziło ci o to, żeby się nie ujawniać?
- Pracowałem na jachcie w Maine.
- Mistrz ceremonii i sprzątaczką w jednej osobie?
- Majordomus.

Pauza, podczas której Corkoran grzebał w faksach.

- I?

- I zachorowałem, i trzeba mnie było odstawić na brzeg. Leżałem w hotelu w Bostonie, a potem zadzwoniłem do Billy'ego Bourne'a w Newport. Billy załatwia mi pracę. Powiedział, czemu, do diabła, nie posiedziałybym kilka miesięcy u Lowa. Odpocznę, będę gotował tylko obiady.

Corkoran podłubał palcem w zębach, wyjął to, czego szukał, i podniósł do światła.

- Na litość boską - jęknął Jonathan, jakby modlił się o sen.
- Teraz ta łódeczka, na której zachorowaliśmy, kochasiu. To byłaby „Lolita”, de domo „Persephona”, zbudowana w Holandii, własność Nikosa Asserkaliana, sławy rozrywki i kaznodziejstwa, kanciana-

rza. Sześćdziesiąt metrów kiczu. Nie Nikos, Nikos to karzeł.

- Nigdy go nie widziałem. Byliśmy wyczarterowani.
- Komu, serce moje?
- Czterem kalifornijskim dentystom i ich kobietom.

Jonathan z własnej woli podał kilka nazwisk, które Corkoran zapisał w swoim wystrzępionym notesiku, najpierw wygładziwszy go na okrągłym biodrze.

- Kupa śmiechu i zabawy? Miałeś trochę uciechy?
- Krzywda mi się nie działa.
- A im? - uprzejmie spytał Corkoran. - Włamanie do sejfu, skręcenie karku, cięcie nożem czy coś?

- Prawdę mówiąc, idź do diabła - zdenerwował się Jonathan.

Corkoran rozważył to zaproszenie i widocznie uznał je za dobry pomysł. Spakował papiery, opróżnił popielniczkę do kosza, robiąc straszny bałagan. Przyjrzał się sobie w lustrze. Wykrzywił się i usiłował przygładzić włosy, ale bez powodzenia.

- To jest, cholera, za dobre, skarbie - oświadczył.
- Co?
- Twoja opowiadka. Nie wiem czemu. Nie wiem o ile. Nie wiem gdzie. To chyba chodzi o ciebie. Przy tobie nie stoję na wysokości zadania. - Kolejne katastrofalne czochranie. - Ale ja i tak nie stoję na wysokości zadania. Jestem prostacką małą ciotą w dorosłym świecie. - Poszedł do łazienki się wysikać. - Tak przy okazji, Tabby przyniósł ci coś do ubrania - zawołał przez otwarte drzwi. - Nic porażającego, ale okryje twoją nagość, dopóki nie wpadnie tu jakiś Armani. - Spuścił wodę, wrócił do pokoju. - Jeśli o mnie chodzi, to prawdę mówiąc, wziąłbym cię na rożen - powiedział, zapinając rozporek. - Nie dawałbym ci jeść ani pić, wsadził kaptur na głowę i powiesił, kurwa, za łydki, aż prawda wypadłaby z ciebie siłą ciężenia. No, ale nie można mieć wszystkiego w życiu, no nie? Pa, pa.

Następnego dnia Daniel uznał, że Jonathan potrzebuje rozrywki.

- Jaki jest pierwszy objaw AIDS?
- Nie wiem.
- Pieczenie w odbycie i ciepły oddech na karku. Co przelatuje zółwiowi przez głowę, kiedy walnie go mercedes?
- Jakaś muzyka?
- Skorupa. Corky rozmawia z Roperem w gabinecie. Mówi, że posunął się najdalej jak mógł. Albo jesteś bielszy niż persil, albo jesteś największym naciągaczem w chrześcijańskim świecie.
- Kiedy wrócili?

- O świcie. Roper zawsze lata o świcie. Mówią o tym twoim znaku zapytania.

- Z Jed?

- Jed jeździ na Sarze. Zawsze na niej jeździ, kiedy tylko wróci. Sara ją słyszy i wpada w złość, jeśli Jed do niej nie przychodzi. Roper mówi na nie lilijki. Co to lilijka?

- Kobieta, która kocha kobietę.

- Roper rozmawiał o tobie z Sandym Langbourne'em, kiedy byli w Curaçao. Nikt nie mówi o tobie przez telefon. Cisza radiowa o Thomasie aż do odwołania. Rozkaz szefa.

- Może nie powinieneś tak dużo podsłuchiwać. Zmęczysz się.

Daniel wygiął się do tyłu, zadarł głowę i wrzasnął do wentylatora:

- Ja nie podsłuchuję! To nieuczciwe! Nawet nie próbowałem! Nic nie poradzę na to, że słyszę! Corky mówi, że jesteś niebezpieczną zagadką, to wszystko! To nieprawda! Wiem, że nieprawda! Kocham cię! Roper sam ci się przyjrzy i będzie wiedział, co ma myśleć!

Tuż przed świtem.

- Wiesz, jaki jest najlepszy sposób na to, żeby gość zaczął gadać? - zaferował z materaca przyjacielską radę Tabby. - Niezawodny? Stuprocentowy? Zabieg z oranżadą. Zatykasz mu usta, żeby mógł oddychać tylko przez nos. Albo mogła. Bierzesz lejek, jak masz pod ręką. I wlewasz oranżadę przez nos. Wali prosto w tablicę rozdzielczą, mózg ci się gotuje. Cholerne diabelstwo.

Dziesiąta rano.

Idąc niepewnie u boku Corkorana po zwirowym podwórku Crystala, Jonathan dokładnie sobie przypomniał, jak niemiecka ciotka Monikaniosła go na rękę przez główny dziedziniec Buckingham Palace w tym dniu, w którym odbierali medal nieżyjącego ojca. Jaki sens mają nagrody, kiedy jest się nieżywym? - zastanawiał się wtedy. I szkoła, kiedy jest się żywym?

Drzwi otworzył krępy murzyński służący. Nosił zieloną kamizelkę i czarne spodnie. Na przywitanie wyszedł pełen godności Murzyn kamerdyner w bawełnianej kamizelce w paski.

- Do szefa, proszę, Izaaku - powiedział Corkoran. - Doktor Jekyll i mister Hyde. Jesteśmy oczekiwani.

Ich kroki odbijały się echem przeogromnym holu. Marmurowe schody ze złotą poręczą pięły się ku kopule, przechodząc przez trzy podesty w drodze do błękitnego namalowanego nieba. Marmur, po

którym szli, był różowy i słońce odbijało się od niego różową mgłą. Dwaj naturalnej wielkości egipscy żołnierze strzegli łukowatego nadproża rzeźbionego w kamieniu. Przeszli pod nim i znaleźli się w galerii zdominowanej przez złotą głowę boga słońca Ra. Greckie popiersia, marmurowe głowy, dłonie, urny i kamienne tablice pokryte hieroglifami stały albo leżały w bezładzie. Szklane gabloty pod ścianami były zapchane posążkami. Ręczne napisy informowały o ich pochodzeniu: Afryka Zachodnia, Peru, okres prekolumbijski, Kambodża, kultura minojska, Rosja, Rzym, a w jednym przypadku po prostu - Nil.

„To rabuś” - powiedział Burr.

„Freddie lubi mu sprzedawać kradzione dzieła sztuki” - powiedziała Sophie.

„Roper niedługo sam ci się przyjrzy” - powiedział Daniel.

Weszli do biblioteki. Oprawione w skórę książki wypełniały regały od podłogi po sufit. Z boku stały spiralne schodki na kółkach poruszane automatycznie.

Weszli do więziennego korytarza między sklepieniami łukowato lochami. Z półmroku pojedynczych cel połyskiwały miecze, włócznie i maczugi, zbroje upozowane na drewnianych koniach, muszkiety, halabardy, kule armatnie i armaty w pancerzu morskich skorupiaków.

Minęli pokój bilardowy i dotarli do miejsca, które stanowiło drugi centralny punkt domu. Marmurowe kolumny podtrzymywały łukowy dach. Odbijał się w wyłożonym niebieskimi płytkami basenie, wokół którego była marmurowa hala. Na ścianach wisiały impresjonistyczne obrazy przedstawiające owoce, pola i nagie kobiety... czy to naprawdę Gauguin? Na marmurowej ławie dwaj młodzi mężczyźni w T-shirtach i szerokich spodniach noszonych w latach dwudziestych załatwiali interesy nad otwartą dyplomatką.

- Corky, cześć, jak tam? - zagaił jeden z nich.

- Cudownie - odparł Corkoran.

Zbliżyli się do dwuskrzydłowych drzwi z ciemnego brązu. Przed nimi siedział na krześle Frisky. Wyłoniła się stateczna kobieta. Niosła duży notatnik. Frisky udał, że podstawia jej nogę.

- Och, ty głuptasie - uradowała się stateczna niewiasta. Drzwi się zamknęły.

- Ależ to sam major! - zawołał żartobliwie Frisky, udając, że dopiero w ostatniej chwili dostrzegł ich przybycie. - Jak się dzisiaj miewamy, panie majorze? Cześć, Tommy. Tędy proszę.

- Ciul - powiedział Corkoran.

Frisky zdjął ze ściany słuchawkę domofonu i nacisnął klawisz.

Drzwi otworzyły się, ukazując pomieszczenie tak wielkie, tak wymyślnie umeblowane, tak skąpane w słońcu i ukryte w cieniach, że Jonathan miał wrażenie, iż nie wchodzi do niego, lecz wstępuje jak do nieba. Za ścianą z przyciemnianego szkła widać było taras z dziwnie uformowanymi białymi stolikami, z których każdy ocieniony był białym parasolem. Za nimi rozciągała się szmaragdowa laguna zamknięta wąską ławicą piasku i czarnymi rafami. Za rafami kotłował się otwarty ocean - jeziora postrzępionych lazurów.

Jonathan początkowo umiał zarejestrować tylko splendor pomieszczenia. Jego mieszkańcy, jeśli tacy istnieli, zagubili się między rozjarzoną jasnością i czernią. Potem, gdy Corkoran powiódł go w głąb, rozróżnił wymyślne złote biurko wykończone szylkretem i mosiądzem, a za nim tron z wolutami i bogato haftowaną tapicerką strzępiącą się ze starości. A obok biurka, w bambusowym fotelu z szerokimi poręczami i podnóżkiem, pólleżał najgorszy człowiek na świecie, ubrany w białe żeglarskie spodnie, espadryle i granatową koszulę z krótkim rękawem i monogramem na kieszonce. Miał założoną nogę na nogę, na nosie „połówki” i czytał coś z oprawionej w skórę teczki, opatrzonej tym samym monogramem co koszula. I uśmiechał się, czytając, bo uśmiech często gościł na jego wargach. Za Roperem stała sekretarka. Mogła być bliźniaczką pierwszej.

- Żadnego przeszkadzania, Frisky. - Rozkazał niepokojąco znajomy głos. Teczka zamknęła się z trzaskiem i została przekazana sekretarce. - Nikogo na tarasie. Co za osioł pływa motorówką w mojej zatoce?

- To Talbot. Doprowadza ją do porządku, szefie - powiedział z tyłu Izaak.

- Niech ją po prostu zostawi w spokoju. Corks, bąbelki. No, niech mnie szlag. Pine. Chodź tu. Dobra robota. Wręcz wyśmienita.

Wstał, okularki komicznie sterczały mu na czubku nosa. Złapał dłoń Jonathana i przyciągnął go do siebie, aż - jak u Meistra - naruszył jego strefę komfortu. I przyglądał mu się badawczo przez okulary. A gdy to robił, powoli uniośł dłonie ku policzkom Jonathana, jakby zamierzał go chlasnąć raz z jednej, raz z drugiej strony. I trzymał je tak bez ruchu, tak blisko, że Jonathan czuł ich ciepło, podczas gdy tamten kręcił głową, spozierając na niego z odległości kilkunastu centymetrów. Wreszcie chyba poczuł się zadowolony.

- Cholera, cudnie - oświadczył w końcu. - Dobra robota, Pine, dobra robota, Marti, dobra robota, pieniądze. Po to są. Przepraszam, że się nie było, kiedy przyjechałeś. Miało się trochę gruntu do opylenia. Kiedy było najgorzej? - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do

Corkorana, który zbliżał się po marmurowej podłodze, niosąc trzy oszronione srebrne pucharki Dom Perignon. - Oto on. Myślałem, że płyniemy statkiem na sucho.

- Chyba po operacji - powiedział Jonathan. - Dochodzenie do siebie. Jak wizyta u dentysty pomnożona przez dziesięć.

- Zaczekaj. To najlepszy kawałek.

Zdezorientowany przeskakiwaniem Ropera z tematu na temat, Jonathan nie zwrócił uwagi na muzykę. Ale gdy Roper wyciągnął rękę, nakazując milczenie, rozpoznał gasnące napięcie arii. Pavarotti śpiewał *La donna e mobile*. Wszyscy trzej stali bez ruchu, aż muzyka się skończyła. Potem Roper uniósł puchar i wypił.

- Boże, on jest wspaniały. Zawsze się to puszcza w niedzielę. Nigdy się nie daruje, no nie, Corks? Powodzenia, cholera.

- Powodzenia - rzekł Jonathan i też wypił. A równocześnie daleki odgłos pracy silnika motorówki ustał. Zapanowała głęboka cisza. Wzrok Ropera opadł na bliźnię na prawym przegubie Jonathana.

- Ilu na lunchu, Corky?

- Osiemnaścioro, do dwudziestu w porywach, szefie.

- Oboje Vincetti przyjeżdżają? Jeszcze się nie słyszało samolotu.

Tego ich czeskiego dwusilnikowca.

- Z tego co ostatnio słyszałem, lecą, szefie.

- Wizytówki, przypomnij Jed. I porządne serwetki. Żadnego czerwonego papieru toaletowego. I sprawdzić Vincettich. Tak czy nie. Pauli połączył się już co do tych stutrzydziestek?

- Ciągłe czekamy, szefie.

- No cóż, lepiej niech się, cholera, pospieszy, teraz albo nigdy. Proszę, Pine. Usiądź. Nie tu. Tu, tak żebym cię widział. I sancerre, powiedz Izaakowi. Raz przynajmniej zimne. Apo przefaksował już te poprawki do umowy?

- W twoich pismach przychodzących.

- Wspaniały gość - skomentował Roper, kiedy Corkoran wyszedł.

- Nie wątpię - zgodził się uprzejmie Jonathan.

- Uwielbia, kiedy się go bierze w obroty - dodał Roper, mrugając okiem jak jeden heteroseksualista do drugiego.

* * *

Roper kręcił kieliszkiem, obserwując z uśmiechem, jak wino krąży w koło.

- Możesz mi powiedzieć, czego chcesz? - zapytał.

- No cóż, chciałbym najszybciej jak się da wrócić do Mamy Low.

Jak tylko byłaby okazja, naprawdę. Wystarczyłby samolot do Nassau. Stamtąd dam sobie radę.

- Zupełnie nie w tym rzecz. Dużo szersze pytanie. W życiu. Czego chcesz, jaki masz plan?

- Nie mam planu. Nie w tej chwili. Nie mam celu. Biorę wolne.

- Gówno prawda. Nie do wiary. Nigdy w życiu nie odpoczywałeś, takie moje zdanie. Chyba ja też nie. Próbuję. Trochę gra się w golfa, popływa łódką, trochę tego i tamtego, pływania, pierdolenia. Ale cały czas maszyna ciągnie do przodu. U ciebie też. To mi się podoba. Żadnego wrzucania na luz.

Nadal się uśmiechał. Podobnie Jonathan, chociaż zastanawiał się, na czym Roper oparł swój sąd.

- Skoro tak pan mówi - powiedział.

- Gotowanie. Wspinaczka. Żeglowanie. Malowanie. Wojaczka. Małżeństwo. Języki. Rozwód. Jakaś dziewczyna w Kairze, jakaś w Kornwalii, dziewczyna w Kanadzie. Jakiś australijski handlarz narkotyków, którego zabiłeś. Nigdy nie ufa się facetowi, który mi mówi, że na niczym mu nie zależy. Czemuś to zrobił?

- Co?

Poprzednio Jonathan wzbraniał się przed wspomnieniem tego, jak Roper potrafi być czarujący. W sytuacji między-nami-mężczyznami Roper nie ukrywał, że możesz mu wszystko wyznać i jak skończysz, nadal będzie się uśmiechał.

- Nadstawiło się karku dla Daniela. Jednego dnia rozwała się łeb jakimś facetowi, drugiego dnia ratuje się łeb mojego chłopaka. Okradłeś Meistra, czemu nie okradłeś mnie? Czemu nie zażądałeś ode mnie pieniędzy? - Mówił prawie takim tonem, jakby został czegoś pozbawiony. - Zapłaciłbym ci. Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś, uratowałeś mojego chłopaka. Tam, gdzie w grę wchodzi mój chłopak, moja hojność nie zna granic.

- Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. Posklejał mnie pan do kupy. Zatroszczył się o mnie. Był dla mnie dobry. Po prostu wyjadę.

- W każdym razie, jakimi językami mówisz? - Roper sięgnął po kartkę papieru. Spojrzał na nią i natychmiast odrzucił.

- Francuskim. Niemieckim. Hiszpańskim.

- Większość lingwistów to durnie. Za cholerę nie mają nic do powiedzenia w jednym języku, to uczą się drugiego i za cholerę nie mają nic do powiedzenia w następnym. Arabski?

- Nie.

- Dlaczego nie? Byłeś tam dosyć długo.

- No, tylko strzępki. Podstawowe zwroty.

- Powinieneś znaleźć sobie Arabkę. Może znalazłeś. Czy poznałeś starego Freddiego Hamida, kiedy tam byłeś, mojego kumpla? Trochę dzikus. Musiałeś go znać. Do jego rodziny należał pub, w którym pracowałeś. Miał trochę koni.

- Był w zarządzie hotelu.

- Z tego co mówi Freddie, z ciebie zakonnik całą gębą. Pytało się go. Wzór dyskrecji. Czemu tam poszedłeś?

- Przypadkowo. Znalazłem tę ofertę na tablicy ogłoszeń w mojej szkole hotelarskiej w dniu matury. Zawsze chciałem poznać Bliski Wschód, więc się zgłosiłem.

- Freddie miał kochankę. Starszą od niego. Mądrą. Tak naprawdę to za dobrą dla niego. Wielkie serce. Często kręciła się z nim na wyścigach i w jachtklubie. Sophie. Poznałeś ją?

- Została zabita - powiedział Jonathan.

- Zgadza się. Tuż przed twoim wyjazdem. Poznałeś ją?

- Miała apartament na szczycie hotelu. Każdy ją znał. Była kobietą Hamida.

- Była twoją kobietą?

Jasne, mądre oczy nawet nie groziły. One oceniały. Proponowały koleżeństwo i zrozumienie.

- Naturalnie, że nie.

- Dlaczego „naturalnie”?

- To byłoby szaleństwo. Nawet gdyby ona tego chciała.

- Czemu miałyby nie chcieć? Gorącokrwista Arabka z czterdziestką na karku lubi skok w bok. Szczególnie z młodym chłopakiem. Na Boga, Freddie to nie Apollo Belwederski. Kto ją zabił?

- Kiedy wyjeżdżałem, ciągle toczyło się śledztwo. Nie słyszałem, żeby kogoś aresztowano. Uważano, że to jakiś złodziej. Nakryła go, więc ją zasztyletował.

- A to nie byłeś ty? - Czyste, mądre oczy zachęcające do wspólnej zabawy. Szeroki, łagodny uśmiech. Uśmiech jak u delfina.

- Nie.

- Na pewno?

- Plotkowano, że Freddie to zrobił.

- Ach, tak plotkowano? Czemu miałyby zrobić coś takiego?

- A może naprawdę to zrobił. Podobno jakoś go zdradziła.

Roper był rozbawiony.

- Ale nie z tobą?

- Niestety nie.

Uśmiech Ropera nadal był na swoim miejscu. Uśmiech Jonathana również.

- Wiesz, Corky nie może cię rozgryźć. Podejrzliwy gość ten Corky. Czuje od ciebie złe prądy. Mówi, że twoja biografia i ty sam macie się jak pięść do nosa. Co jeszcze narozrabiałeś? Chowasz jakieś trupy w szafie? Wywinąłeś numery, o których my nie wiemy? Policja nie wie? Stuknąłeś jeszcze kogoś?

- Nie wywijam numerów. Zdarzają mi się różne rzeczy i reaguję. Zawsze tak było.

- No, Chryste, ale „reagujesz”. Opowiedziano mi, że na życzenie gliniarzy musiałeś zidentyfikować ciało Sophie. Zgadza się?

- Tak.

- Paskudny obowiązek, co?

- Ktoś musiał to zrobić.

- Freddie był wdzięczny. Powiedział, że gdybym się kiedyś z tobą spotkał, mam ci podziękować. Oczywiście nieoficjalnie. Trochę się przejmował, że będzie musiał przyjść osobiście. To mogłaby być śliska sprawa.

Czy w Jonathanie w końcu ocknęła się nienawiść? W twarzy Ropera nic się nie zmieniło. Półśmiech ani się nie zwiększył, ani się zmniejszył. Widziany kątem oka Corkoran wszedł na palcach do pokoju i zasiadł na kanapie. W nieuchwytny sposób styl Ropera uległ zmianie. Zaczął grać pod publiczność.

- Ten statek, na którym przyłynął do Kanady - podjął ufnie, jak to on. - W ogóle się jakoś nazywa?

- „Star of Bethel”.

- Zarejestrowany w...?

- South Shields.

- Jak dostałeś koję? Niełatwo, no nie? Koją za friko na takiej zaplutej łajbie?

- Gotowałem.

Usytuowany w kulisie Corkoran nie potrafił zapanować nad sobą.

- Jedną ręką? - spytał z niewiarą.

- Nosilem gumowe rękawice.

- Jak dostałeś koję? - powtórzył Roper.

- Przekupiłem kuka i kapitan wziął mnie jako nadliczbowego.

- Nazwisko?

- Greville.

- Twój agent, Billy Bourne. Prowadzi agencję załogową w Newport w Rhode Island - kontynuował Roper. - Jak na niego wpadłeś?

- Każdy go zna. Spytaj kogokolwiek z nas.

- Nas?

- Marynarzy. Kucharzy takich jak ja.
- Masz ten faks od Billa, Corks? Lubił go, no nie? O ile pamiętam, same pienia?
- Och, Billy Bourne go uwielbia! - cierpko potwierdził Corkoran.
- Lamont nie jest w stanie zrobić nic złego. Gotuje, dogadza, nie kradnie sreber ani portfeli gości, jest, kiedy go potrzebujesz, znika, kiedy nie potrzebujesz, bije od niego niebiański blask.
- Ale czy nie sprawdziliśmy innych jego referencji? Nie były już tak sprytnie pomyślane, no nie?
- Żdziebełko zmyśłone, szefie - przyznał Corkoran. - Prawdę mówiąc, wytwór fantazji.
- Podrobiło się je, Pine?
- Tak.
- Ten gość, któremu rozwaliłeś ramię. Widziałeś go kiedyś wcześniej?
- Nie.
- Nigdy nie pływałeś razem z nim? Nie gotowałeś mu? Nie szmuglowałeś dla niego narkotyków?

W tych pytaniach nie kryła się żadna groźba i ich rytm nie ulegał przyspieszeniu. Przyjacielski uśmiech Ropera nie stracił blasku, chociaż Corkoran zerkał groźnie i drapał się za uchem.

- Nie - odrzekł Jonathan.
- Zabiłeś dla niego, kradłeś z nim?
- Nie.
- A dla jego kumpla?
- Nie.
- Wpadło nam do głowy, że może początkowo dostarczałeś im informacji i w ogniu wydarzeń zdecydowałeś się przejść na drugą stronę. Zastanawiało się, czy to nie dlatego tak go poturbowałeś. To by wskazywało, że jesteś bardziej papieski niż sam papież. Łapiesz, o co mi chodzi?
- To idiotyzm - warknął Jonathan. Zebrał siły. - Prawdę mówiąc, to obraźliwe. - I uderzając w grzeczniejszą nutę: - Uważam, że powinien pan to cofnąć. Czemu mam to znosić?

„Graj przegranego, ale zucha - powiedział Burr. - Nigdy nie padaj na kolana. On tego nie cierpi”. Ale wydawało się, że Roper nie słyszy protestów Jonathanana.

- W takiej sytuacji jak twoja, kiedy się ukrywasz, masz fałszywe nazwisko, powinno się unikać zadzierania z prawem. Lepiej wejść w łaski bogatego Brytyjczyka niż porywać mu chłopaka. Rozumiesz nasz punkt widzenia?

- Nie miałem nic wspólnego z żadnym z nich, mówiłem panu. Nigdy ich wcześniej nie widziałem ani o nich nie słyszałem. Odzyskałem pańskiego chłopaka, no nie? Nawet nie chcę nagrody. Chcę się stąd wydostać. To wszystko. Tylko zostawcie mnie w spokoju.

- Skąd wiedziałeś, że idą do kuchni? Mogli iść byle gdzie.

- Znali rozkład tego miejsca. Wiedzieli, gdzie jest trzymana gotówka. Oczywiście, że zrobili rozpoznanie. Na litość boską.

- Z twoją małą pomocą?

- Nie!

- Mogłeś się ukryć. Czemu tego nie zrobiłeś? Nie ładować się w kłopoty. Tak myślałaby większość facetów nawiewających przed prawem, no nie? Sam nigdy nie nawiewałem przed prawem.

Jonathan milczał przez długą chwilę, westchnął i zrobił taką minę, jakby nie miał sił walczyć z szaleństwem swojego gospodarza.

- Zaczynam żałować, że tego nie zrobiłem - powiedział i przybrał zrezygnowaną pozę.

- Corks, co z butelką? Nie wypięło się jej, no nie?

- Tu jest, szefie.

Z powrotem do Jonathana:

- Chcę, żebyś się tu poszwendał, odetchnął, doszedł do formy, popływał, odzyskał siły. Zobaczysz się, co z tobą zrobimy. Może nawet znajdzie się dla ciebie jakieś zajęcie, coś wyjątkowego. Zależy. - Uśmiech urósł. - Rób nam ciasta marchewkowe. Może być?

- Obawiam się, że to nie to. Nie na tym mi zależy.

- Gówno prawda. Pewnie, że na tym.

- Gdzie pójdziesz? - spytał Corkoran. - Do Carlyle'a w Nowym Jorku? Ritza-Carltona w Bostonie?

- Po prostu pójdę swoją drogą - rzekł Jonathan uprzejmie, ale zdecydowanie.

Miał dosyć. Udawanie i prawda stały się jednym. Już przestał widzieć różnicę. Potrzebuję mojej własnej przestrzeni, mojej własnej organizacji czasu - mówił sobie. Rzygać mi się chce od bycia czyjąś marionetką.

Stał gotowy do wyjścia.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - narzekał zdumiony Roper. - Zapłacę ci. Niemało. Zapłacę ci górę forsy. Miły domek z drugiej strony wyspy. Niech bierze dom Woody'ego, Corky. Konie. Pływanie. Łódź w każdej chwili. Dokładnie to, co lubisz. W każdym razie, jakiego paszportu chcesz używać?

- Mojego - odrzekł Jonathan. - Na Lamonta. Thomasa Lamonta. - Odwrócił się do Corkorana. - Był w moich rzeczach.

Chmura zasłoniła słońce. W pokoju zapanował krótki sztuczny wieczór.

- Corky, uracz go złymi wieściami - rozkazał Roper, wyciągając rękę, jakby Pavarotti znów miał śpiewać.

Corkoran wzruszył ramionami i zdobył się na przepraszający uśmiech: „Nie zwalaj winy na mnie”.

- Tak, no cóż, chodzi o ten nasz kanadyjski paszport, kochasiu. Obawiam się, że należy do przeszłości. Spuszczony do niszczarki. W danej chwili wydawało się, że to słuszny krok.

- O czym ty mówisz?

Corkoran naciskał kciukiem wewnątrz dłoni, jakby ku swemu niemiłemu zdziwieniu wyczuł tam guz.

- Nie ma powodu się żołądkować, serce me. Zrobiło ci się przyśle. Twoją przykrywkę trafił kompletny szlag. Od kilku dni T. Lamont jest na każdej liście poszukiwanych w całym zachodnim świecie. Interpol, Armia Zbawienia, do wyboru, do koloru. Jeśli chcesz, pokażemy ci dowody. Czarno na białym. Przykro mi z tego powodu. To fakt.

- To był mój paszport!!!

Ta sama furia ogarnęła go w kuchni u Mamy Low, nieudawana, niepohamowana, ślepa... lub prawie ślepa. To było moje nazwisko, moja kobieta, moja zdrada, mój „cień”! Kłamałem dla tego paszportu! Oszukiwałem! Gotowałem, szorowałem gary, przepraszalem, że żyję, zabijałem dla niego!

- Załatwiamy ci nowy, coś czystego - powiedział Roper. - Choć tyle możemy dla ciebie zrobić. Corky, weź polaroida, zrób mu zdjęcie paszportowe. W dzisiejszych czasach musi być kolorowe. Niech ktoś lepiej zamaskuje te opuchlizny. Nikt inny nie wie, rozumiesz? Obstawa, ogrodnicy, pokojówki, stajenni, nikt. - Znacząca pauza. - Jed, nic. Jed trzyma się z dala od tego wszystkiego. - Nie powiedział, od czego wszystkiego. - Co zrobiłeś z tym motocyklem, którego używałeś w Kornwalii?

- Porzuciłem koło Bristolu - odparł Jonathan.

- Więc czemu go nie opyliłeś? - dopytywał się mściwie Corkoran. - Albo nie zabrałeś do Francji? Mógłbyś to zrobić, no nie?

- To był kamień u szyi. Wszyscy wiedzieli, że jeżdżę motocyklem.

- Jeszcze jedna sprawa. - Roper stał plecami do tarasu i palcem wskazującym jak lufą pistoletu dotknął czaszki Jonathana. - Na moim podwórku panuje absolutny porządek. Trochę kradniemy, ale między sobą gramy czysto. Uratowałeś mojego syna. Ale jeśli coś wywiniesz,

pożalujesz, żeś się urodził.

Słyszac kroki na tarasie, Roper odwrócił się gotów okazać gniew, gdyż nie zastosowano się do jego rozkazów, i zobaczył Jed wstawiającą wizytówki do srebrnych podstawek na stolikach. Kasztanowe włosy miała rozpuszczone na ramiona. Jej ciało z afektowaną skromnością otulał szal.

- Jeds! Wpadnij tu na chwilkę! Jest dla ciebie troszёнkę dobrych wieści. Nazywają się Thomas. Na czas jakiś dołącza do rodziny. Lepiej powiedz Danielowi, oszaleje z radości.

Zrobiła artystyczną pauzę. Podniosła głowę, odwróciła ją, obdarzając kamery swoim najpiękniejszym uśmiechem.

- O rany. Thomas! Super. - Brwi w górę. W oczach mgła rozkoszy. - To strasznie dobre wieści! Roper, czy nie powinniśmy tego jakoś uczcić?

Następnego dnia rano, tuż po siódmej, ale w kwaterze głównej w Miami mogła być północ. Te same jarzeniówki oświetlały te same pomalowane na zielono ceglane ściany. Mając po dziurki w nosie urządzonego w stylu art déco hotelu, Burr zaszył się w budynku.

- Tak, to ja - powiedział cicho do słuchawki czerwonego aparatu. - Po głosie poznaję, że to ty. Jak się masz?

Mówiąc to, uniół powoli rękę, wyprostował całą ku niewidocznemu niebu. Wszystko zostało wybaczone. Bóg jednak istnieje. Jonathan dzwonił do kontrolera ze swojej czarodziejskiej skrzynki.

- Nie wzięli mnie - oznajmił z satysfakcją Palfrey, gdy taksówką objeżdżali Battersea. Goodhew odebrał go przy Festival Hall. „Musimy to szybko załatwić” - powiedział wcześniej Palfrey.

- Gdzie?

- Do nowej komisji Darkera. Wymyślili sobie kryptonim „Okręt Flagowy”. Musisz być na liście załogi, inaczej nie masz prawa wstępu na Okręt Flagowy.

- A kto jest na tej liście?

- Nie wiadomo. Użyto szyfru kolorowego.

- To znaczy?

- Identyfikacja następuje za pomocą paska magnetycznego na oficjalnych przepustkach. Na Okręcie Flagowym jest coś takiego jak czytelnia. Idą tam, wsuwają przepustki do czytnika, system zwalnia drzwi. Wchodzą, drzwi się blokują. Siadają, czytają materiały, odby-

wają naradę. Drzwi się otwierają, oni wychodzą.

- Co czytają?
- Ostatnie założenia. Plan gry.
- Gdzie jest ta czytelnia?
- W innym budynku. Z dala od oczu ciekawskich. Jest

wynajmowana. Płacą gotówką. Bez rachunków. Pewnie na górnym piętrze jakiegoś banku. Darker uwielbia banki. - Mówił bez przerwy, jakby chciał jak najprędzej wyrzucić z siebie informacje i odejść. - Jeśli masz przepustkę na Okręt Flagowy, jesteś Marynarzem. To nowy żargon dla wtajemniczonych oparty na terminologii morskiej. Jeśli coś jest za mokre do upublicznienia, wedle regulaminu Okrętu Flagowego musi być utajnione. Albo coś jest zbyt marynarskie dla niemarynarzy. Albo ktoś jest szczurem lądowym, a nie wilkiem morskim. Tak właśnie mówią. Ten żargon broni dostępu do wewnętrznego kręgu.

- Czy wszyscy Marynarze są z Domu za Rzeką?
- Czysty wywiad, bankierzy, pracownicy służby cywilnej, paru posłów, paru producentów.

- Producentów?
- Wytwórców. Producentów broni. Na litość boską, Rex!
- Czy producenci to Brytyjczycy?
- Tak jakby.
- Czy to Amerykanie? Czy istnieją też amerykańscy Marynarze, Harry? Amerykański Okręt Flagowy? Amerykanie mają swój odpowiednik?

- Pasuję.
- Możesz podać mi jedno nazwisko, Harry? Choć jedną furtkę?

Ale Palfrey był zbyt zajęty, zbyt naciskany, zbyt spóźniony. Wyskoczył na chodnik, wrócił do taksówki po parasol.

- Spytaj swojego szefa - szepnął. Ale tak cicho, że głuchy Goodhew nie był absolutnie pewny.

Wyspa dzieliła się stroną Crystala i stroną osady - Crystalside i Townside - i chociaż dzielił je niecały kilometr w linii prostej, to mogłyby być osobnymi wyspami, gdyż między nimi dumnie rozsiadło się wzniesienie nazywane Górą Panny Mabel, najwyższe wzniesienie wszystkich okolicznych wysp, zresztą nic wielkiego, z fartuszkami mgły na wysokości brzucha, zniszczonymi chatami niewolników u stóp i lasami, przez które promienie słoneczne prześwitywały jak brząsk przez dziurawy dach.

Crystalside porastały łąki jak w angielskim hrabstwie, kępy magnolii z dala przypominały dęby; były tam angielskie ogrodzenia dla bydła, angielskie niskie murki i widoki na morze pomiędzy łagodnymi angielskimi wzgórkami sztucznie ukształtowanymi przez traktory Ropera.

Ale krajobraz Townside był surowy i smagany wiatrami jak Szkocja pod silną lampą słońca. Nieużytki na stromych zboczach objadanych przez kozy, blaszane sklepy, boisko do krykieta owiewane czerwonym kurzem, blaszany barak obok i nieustanny wschodni wiatr marszczący wodę Carnation Bay.

I wokół zatoki, w półksiężycu pomalowanych pastelowo domków, z których każdy miał ogródek na froncie i schodki prowadzące na plażę, Roper umieścił swój biały personel. Niewątpliwie z tych domków Dom Woody'ego był najbardziej pożądany, a to dzięki stylowej balustradce werandy i bezpośredniemu widokowi na Wyspę Panny Mabel pośrodku zatoki.

Kim była panna Mabel, Bóg jedynie wiedział, chociaż zostawiła swoje imię zarozumiałemu wzgórzcu, bezludnej wyspie, wymarłej pasiece, nieudanemu pomysłowi z przędzalnią bawełny i pewnemu wzorkowi koronki, którego nikt już nie umiał odtworzyć. „To była jakaś dobra starsza pani za niewolniczych czasów - odpowiadali wstydliwie tubylcy na pytania żołnierza zwiadu bezpośredniego. -

Najlepiej zostawić jej pamięć w spokoju”.

Ale każdy wiedział, kim był Woody. Był panem Woodmanem z Anglii, pośrednikiem majora Corkorana. Pojawił się z pierwszą falą, gdy pan Roper kupił wyspę. Był urokliwym przyjacielem tubylców aż do dnia, w którym szef rozkazał zamknąć go w domu, podczas gdy ochrona stawiała mu pewne pytania, a księgowi z Nassau ślęczeli nad księgami, badając machinacje Woody'ego. Cała wyspa wstrzymała wtedy oddech, bo w taki czy inny sposób cała uczestniczyła w przedsięwzięciach Woody'ego. Wreszcie po tygodniu wyczekiwania dwaj z ochrony odwieźli Woody'ego na pas startowy; musiał skorzystać z pomocy obu goryli, bo miał kłopoty z chodzeniem. Ścisłe rzecz biorąc, nie można by mieć pretensji do jego matki, gdyby mijając go na ulicy, nie poznała swego angielskiego chłopczyka. I od tej pory Dom Woody'ego ze stylową balustradką werandy i ładnym widokiem na zatokę stał pusty, jako przestroga dla każdego na wyspie. Bo chociaż szef był hojnym pracodawcą, dziedzicem i dobrym chrześcijaninem dla cnotliwych, nie wspominając o tym, że był także sponsorem i dożywotnim prezesem chłopięcego klubu krykietowego w Townside oraz miejscowego steel bandu, to nie ulegało wątpliwości, iż wydrze żywcem flaki każdemu, kto spróbuje go oskubać.

Trudno połączyć z zimną krwią role wybawcy, uciekającego mordercy, rekonwalescenta w gościnnym domu, mściciela Sophie i szpiega Burra, jednak Jonathan w miarę swoich ograniczonych możliwości dokonał tego z pozorną łatwością.

„Wyglądasz, jakbyś kogoś szukał - powiedziała Sophie. - Ale sądzę, że tą zagubioną osobą jesteś ty sam”.

Każdego ranka po joggingu i pływaniu wkłada T-shirt, tenisówki, płócienne spodnie i udaje się na dziesiątą do Crystalside. Spacer z Townside zabiera mu zaledwie dziesięć minut, jednak za każdym razem wyrusza jako Jonathan, a pojawia się jako Thomas. Szlak prowadzi go przecinką dla koni, jedną z kilku, które Roper kazał wyrębać u stóp Góry Panny Mabel. Ale przez większą część roku są to tunele osłonięte koronami drzew. Wystarcza krótki deszczyk, a stają się grząskie i ociekają wodą.

Czasami, gdy intuicja nie zawodziła Jonathana, spotykał Jed na Sarsze, arabskiej klaczy, wracającą z porannej przejażdżki w towarzystwie Daniela, polskiego koniuszego Clauda, ewentualnie kilku gości. Najpierw słyszał tętent kopyt i głosy dobiegające z wyższych partii lasu. Wstrzymywał oddech, podczas gdy towarzystwo stępa zjeżdżało krętą ścieżką aż do końca tunelu, gdzie konie, czując stajnię, wpadały

w kłus. Woltyżerka prowadziła, Claud jechał z tyłu, a rozpuszczone włosy Jed złociły się, czerwieniły w plamach słońca, tworząc absurdalnie piękny widok w połączeniu z białą grzywą Sary.

- Rany, Thomas, czyż nie jest absolutnie bosko? - Jonathan zgadza się, że jest absolutnie bosko. - Och, Thomas... Dan zadreślał nas, czy nie wziąłbyś go dziś na łódkę... on jest taki rozpuszczony... Och, wziąłbyś go, naprawdę? - wpada w ton niemal rozpaczliwy. - Ale poświęciłeś wczoraj prawie całe popołudnie na naukę malowania! Jesteś kochany. Mogę powiedzieć, że o trzeciej?

Przyjmij to jak gest przyjaźni - chciał jej powiedzieć. Masz rolę, więc skup się na niej. Ale Jed - jak powiedziała by Sophie - zajrzała mu w głąb duszy.

* * *

A innym razem, gdy wcześniej rano biegał wzdłuż brzegu, spotykał ubranego w szorty Ropera brodzącego boso w mokrym piasku na plaży; czasem biegał, czasem spacerował, czasem przystawał twarzą do słońca i wykonywał kilka ćwiczeń gimnastycznych, ale zawsze z pańskością, która cechowała wszystko, co robił. To moje wody, moja wyspa, mój piasek, mój rytm.

- Dzień dobry! Wspaniały dzień! - wołał, jeśli był w nastroju do wspólnej zabawy. - Biegamy? Pływamy? Rusz się, dobrze ci to zrobi.

Więc przez chwilę pływali i biegali ramię w ramię, odzywając się sporadycznie, aż Roper nagle brnął ku brzegowi, zabierał ręcznik i bez słowa, nie oglądając się za siebie, pospiesznie udawał się w kierunku Crystala.

Możesz swobodnie kosztować z każdego drzewa - powiedział Corkoran, gdy siedzieli w ogródku Domu Woody'ego, obserwując Wyspę Panny Mabel ciemniejącą przy zachodzie słońca. - Posługaczki, pokojówki, kucharki, maszynistki, masażystki, dama, która przychodzi obcinać pazury papudze, nawet goście są do twojego dyskretnego skubania. Ale jeśli tylko odważysz się kiedykolwiek użyć sam-wiesz-czego do zabawy z Najświętszą Panią Crystal, on cię zabije. Ja też cię zabiję. To tylko dla pogłębienia twojej wiedzy, kochasiu. Bez urazy.

- Ależ dziękuję, Corky! - powiedział Jonathan, zmieniając ostrzeżenie w żart. - Naprawdę bardzo dziękuję. Ty i Roper wyjący z żądy upuszczenia mi krwi dopełniacie mojego szczęścia. A tak przy okazji, gdzie on ją znalazł? - spytał, popijając piwo.

- Wedle legendy na aukcji koni we Francji.

Więc tak się to załatwia - pomyślał Jonathan. Jedziesz do Francji kupić konia i wracasz z wychowanką szkoły zakonnej, dziewczyną imieniem Jed. Łatwizna.

- Kogo miał wcześniej? - spytał.

Corkoran nie odrywał spojrzenia od bladego horyzontu.

- Masz pojęcie?! - narzekał zdumiony i sfrustrowany. - Znaleźliśmy kapitana „Star of Bethel” i nawet on nie potrafi udowodnić, że kłamiesz, kurwa, jak z nut.

Corkoran ostrzegał na próżno. Żołnierz zwiadu bezpośredniego był wobec niej bezbronny. Widział ją, gdy tylko zamykał oczy. Widział ją w rozświetlonym świecami wgłębieniu srebrnej łyżki Bulgari, w srebrnych lichtarzach Paula de Lamerie, które pojawiały się obowiązkowo na stole, gdy Roper wracał po sprzedaży gruntów, lub w pozłacanych lustrach własnej wyobraźni. Nienawidząc siebie, bada ją noc i dzień, aby znaleźć potwierdzenie jej obrzydliwości. Budzi w nim obrzydzenie i stąd budzi też pociąg. Karze ją za władzę nad nim - i karze siebie za uleganie tej władzy. „Jesteś jak pokój hotelowy! - wydziera się na nią. - Ludzie używają cię, płacą, a potem się wymeldowują!” A równocześnie ona go pochłania. Nawet jej cień szydzi z niego, gdy ona swobodnym krokiem przemierza rumieniące się marmury posadzek Crystala, żeby pływać, opalać się, nacierać oliwką, skłaniać w bok, w jedną stronę, w drugą, w przód, przyjmując równocześnie odwiedziny przyjaciółki, Caroline Langbourne, albo zachłystując się swoimi świętymi pismami eskapistki: „Vogue”, „Tatler”, „Marie-Claire” albo „Daily Express” sprzed trzech dni. A jej błazen, Corkoran, w panamie i spodniach z podwiniętymi nogawkami, siedzi trzy metry od niej, pijąc pimma.

- Czemu Roper już cię nie zabiera, Corks? - pyta leniwie znad magazynu jednym z kilkunastu tonów, które Jonathan zapamiętał ku wiecznemu potępieniu. - Zawsze to robił. - Odwraca stronę. - Caro, wyobrażasz sobie coś gorszego niż być kochanką ministra konserwatystów?

- Podejrzewam, że zawsze pozostaje jeszcze być kochanką ministra laburzystów - rzuca Caroline, która ma przeciętną urodę i zbyt nieprzeciętną inteligencję jak na zabawkę swojego męża.

I rozlega się śmiech Jed: dziki, głęboki śmiech, przy którym krztusi się, zamyka oczy i rozdziawia usta w szelmowskim rozbawieniu. Poza tym cholernie stara się być damą.

Sophie też była kurwą - myśli zawiedziony Jonathan. Różnica polega na tym, że o tym wiedziała.

Przyglądał się jej, gdy oplukiwała stopy pod elektronicznie sterowanym kranem; krok w tył, podniesienie stopy z pomalowanymi paznokciami, woda tryska, następnie druga stopa i drugie idealne udo. Potem podejście do basenu bez rozglądania się na boki i skok. Obserwuje ją, gdy skacze raz za razem. We śnie odtwarza tę powolną lewitację; ciało Jed powoli unosi się nieruchome, wyciągnięte jak struna i wpada do wody z chłupotem nie głośniejszym niż westchnienie.

- Och, no wejdźże, Caro! Jest bosko.

Obserwował ją we wszystkich nastrojach i humorach: Jed błazen - niezadara, ustawiona do uderzenia piłki, bez przerwy śmieje się i klnie na boisku krykietowym; Jed pani na Crystalu - promienieje przy kolacji, zabawia trio opasłych bankierów z City ogłuszającą paplaniną w stylu wiejskiej szlachty, każda stereotypowa fraza idealnie na swoim miejscu:

- Ale to przecież serce musi pękać, kiedy człowiek mieszka w Hongkongu i wie, że absolutnie wszystko, co się dla nich robi, wszystkie te superbudynki, sklepy, lotniska i wszystko, po prostu wszystko, pożrą te chińskie bestie. A co z wyścigami konnymi? Co się z nimi stanie? A z końmi? No, naprawdę!

Albo Jed zachowująca się zbyt infantylnie; widzi ostrzegawcze spojrzenie Ropera, kładzie rękę na ustach i mówi:

- Sza!

Lub Jed, gdy przyjęcie się kończy i ostatni bankier idzie już do łóżka; wchodzi ogromnymi schodami, kładąc głowę na ramieniu Ropera i rękę na jego pośladku.

- Byliśmy absolutnie nie do przebiccia, prawda? - mówi.

- Wspaniały wieczór, Jeds. Znakomita zabawa.

- A z nich nudziarze, no nie? - mówi z ogromnym ziewnięciem. - Boże, czasem tęsknię za szkołą. Jestem tak zmęczona dorosłością. Dobranoc, Thomasie.

- Dobranoc, Jed. Dobranoc, szefie.

Spokojny rodzinny wieczór w Crystalu. Roper lubi ogień, podobnie jak sześć spanieli, które leżą przed kominkiem, tworząc wzgórek obwisłych uszu: Danby i MacArthur przylecieli z Nassau obgadać interesy, zjeść kolację i odlecieć jutro o świcie. Jed przycupnęła na

krzeselku u stóp Ropera, uzbrojona w pióro i okrągłe złote okulary; Jonathan przysiągłby, że zerówki.

- Kochanie, czy musimy znowu zapraszać tego oślizgłego Greka i tę jego makaroniarę? - pyta, sprzeciwiając się włączeniu doktora Paula Apostoła i jego kochanki w skład zimowego rejsu „Iron Pashy”.

- Apostoła? Apetycika? - powtarza zdumiony Roper. - Oczywiście, że musimy. Apo to poważna sprawa.

- To nawet nie są Grecy, masz pojęcie, Thomas? Żadni Grecy. To nuworysze tureckiego, arabskiego i tym podobnego pochodzenia. Wszyscy porządni Grecy zostali zmieceni z powierzchni ziemi wieki temu. No, to mogą, cholera, mieć Brzoskwiniowy Apartament i obejść się prysznicem.

Roper się nie zgadza.

- Nie, nie mogą. Dostaną Niebieski Apartament i jacuzzi, inaczej Apo będzie mendził. On lubi ją mydlić.

- Może ją mydlić pod prysznicem. - Jed zdobywa się na pokazowy opór.

- Nie, nie może. Jest za mały. - Wszyscy śmieją się gromko, bo to szef powiedział dowcip.

- Stary Apo nie jest w żałobie, czy jak? - pyta Corkoran znad ogromnej szkockiej. - Myślałem, że przestał walić, kiedy córka skończyła ze sobą.

- Wtedy nie walił tylko ze względu na Wielki Post - mówi Jed.

Jej poczucie humoru i niewyparzony język działają hipnotycznie. Nikt, w tym ona sama, nie potrafi się oprzeć rozbawieniu, gdy ten głos Angielki wychowanej przez zakonnice mówi rynsztokowym językiem.

- Kochanie, co, do kurwy nędzy, nas obchodzą Donahue? Jenny była niewąsko wpierdzielona, ledwo weszła na pokład, a Archie zachowywał się jak totalny buc.

Jonathan spotkał się z nią wzrokiem i patrzył ze sztuczną obojętnością. Jed uniosła brwi i zareagowała na jego spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Za kogo, do diabła, się masz?”. Jonathan odparował z podwójną mocą: „A za kogo ty się masz dziś wieczór?! Ja jestem Thomas. Kim ty, do diabła, jesteś?!”.

Poznawał ją fragmentami. Wbrew sobie. Do nagiej piersi, którą z taką swobodą uraczyła go w Zurychu, dodał przypadkowy widok całego ciała w łazienkowym lustrze, gdy przebierała się po przejazdce konnej. Miała podniesione ręce, dłonie splecione na karku i robiła

jakieś okrężne ruchy biodrami, o czym musiała czytać w swoich magazynach. Natomiast Jonathan uczynił absolutnie wszystko, aby nie patrzeć w tym kierunku. Ale ćwiczyła tak każdego popołudnia i żołnierz zwiadu bezpośredniego nie mógł wечно się zmuszać do odwracania wzroku.

Znał na pamięć jej długie nogi, jedwabistą płaszczyznę pleców, zadziwiająco wyrazistość umięśnionych ramion, które dodawały jej wyglądu chłopczycy.

I był epizod, który Jonathan ledwo ośmielał się wspominać, gdy biorąc go za Ropera, zawołała: „Podaj mi ten cholerny ręcznik kąpielowy. Szybko!”. A ponieważ przechodził obok ich sypialni po przeczytaniu Danielowi *Takich sobie bajeczek* Kiplinga i ponieważ drzwi do łazienki były uchylone, i ponieważ nie zawołała konkretnie Ropera, i szczerze albo prawie szczerze uwierzył, że woła jego, i ponieważ prywatny gabinet Ropera po drugiej stronie sypialni był stałym obiektem zawodowej ciekawości żołnierza zwiadu bezpośredniego, lekko pchnął drzwi, jakby zamierzał tam wejść, i zatrzymał się metr od jej nieskazitelnego nagiego ciała, widzianego z tyłu, gdy stała, przyciskając myjkę do oczu, klnąc i starając się wytrzeć mydło. Jonathan uciekł z bijącym sercem i następnego dnia rano, ledwie się obudził, wyjął swoją czarodziejską skrzynkę i przez dziesięć minut mówił podekscytowany do Burra, ani razu nie wspominając o niej.

- Łazienka, garderoba, a po drugiej stronie garderoby jest ten gabinecik. Tam na pewno trzyma swoje prywatne dokumenty.

Burra od razu strach obleciał. Być może już na tym wczesnym etapie miał przeczucie katastrofy:

- Trzymaj się z dala od tego. To, cholera, zbyt niebezpieczne. Najpierw wejdź do rodziny, szpieguj potem. To rozkaz.

* * *

- Dobrze się czujesz? - spytał Jonathana Roper podczas przebieżki po plaży w towarzystwie spanieli. - Wracasz do zdrowia? Żadnych karaluchów? Uspokój się, Trudy, ty głupia dziwko! Podobno mały Daniel całkiem przyzwoicie wczoraj żeglował.

- Tak, podchodzi do tego naprawdę z sercem.

- Nie jesteś lewy, co? Corky myślał, że może jesteś trochę różowy.

- Dobry Boże, nie. Nigdy coś takiego mi do głowy nie wpadło.

Roper jakby tego nie słyszał.

- Widzisz, światem rządzi strach. Sprzedaż iluzji, dobroczynność to na nic. Nie w prawdziwym świecie. Kojarzysz? - Ale nie czekał na

to, by się dowiedzieć, czy Jonathan kojarzy czy nie. - Obiecaj gościowi, że zbudujesz mu dom, nie wierzy ci. Zagroź spalaniem chałupy, zrobi, co mu każesz. Takie jest życie. - Zatrzymał się, sprawdzając godzinę. - Jeśli paru gości chce prowadzić wojnę, nie będzie słuchać tłumu nieopierzonych pacyfistów. Jeśli nie chce, to bez znaczenia, czy ma łuki czy stingery. Takie jest życie. Wybacz, jeśli ci to sprawia przykrość.

- Nie sprawia mi przykrości. Czemu miałyby mi sprawiać przykrość?

- Powiedziałem Corky'emu, że jest workiem gówna. Kłopot z nim polega na tym, że czuje się niedoceniany. Lepiej obchodź się z nim w rękawiczkach. Nie ma nic gorszego niż przewrażliwiona ciota.

- Ale ja obchodzę się z nim w rękawiczkach. Nieustannie.

- Tak... No cóż. Pewnie nic na to nie poradzisz. A zresztą, jakie to, u diabła, ma znaczenie?

Roper wrócił do tego tematu kilka dni później. Nie do tematu Corkorana, ale do domniemanego przewrażliwienia Jonathana na punkcie pewnej sfery biznesu. Jonathan wszedł na górę do sypialni Daniela z propozycją popływania, ale nie zastał chłopca. Roper wyłonił się ze swoich apartamentów, dogonił Jonathana i zeszli razem.

- Broń idzie tam, gdzie władza - oświadczył bez żadnych wstępów. - Uzbrojona władza: oto co jest gwarancją pokoju. Nieuzbrojona władza nie przetrzyma pięciu minut. Pierwsza zasada stabilizacji. Zresztą na co ci to kazanie? Żołnierz, z żołnierskiej rodziny. Ale nie ma sensu pakować cię w coś, co ci nie leży.

- Nie wiem, w co mnie pan pakuje.

Przeszli wielki hol w drodze do patio.

- Nigdy nie sprzedawałeś zabawek? Broni? Materiałów wybuchowych? Zaawansowanej technologii?

- Nie.

- Nie wpadłeś na to? W Irlandii czy gdzie indziej? Na ten handel?

- Obawiam się, że nie.

Roper ściszył głos:

- Pogadamy o tym innym razem.

Zauważył Jed i Daniela siedzących przy stole na patio, grających w „L'Attaque”. On o tym z nią nie rozmawia - pomyślał ośmielony Jonathan. Dla niego jest również dzieckiem; przy dzieciach pewnych rzeczy się nie mówi.

Jonathan uprawia jogging.

Mówi dzień dobry salonowi kosmetycznemu „Bądź Sobą”, nie większemu niż domek działkowca. Mówi dzień dobry Dokowi Orędownika, gdzie kiedyś zdławiono niemrawą rebelię i gdzie teraz w zniszczonym katamaranie z miniaturowym wiatrakiem doładującym akumulatory mieszka ślepy rastafarianin Amos. Collie Domino śpi spokojnie na pokładzie. Dzień dobry, Domino.

Następnie ukazuje się osiedle z blachy falistej nazwane Miastem Muzyki Mechanicznej i Wokalnej, pełne kurcząt, juk i połamanych wózków dziecięcych. Dzień dobry, kurczaczki.

Ogląda się na kopułę Crystala wyrastającą ponad koronami drzew. Dzień dobry, Jed.

Nadal biegnąc pod górę, dociera do starych chat niewolników, gdzie nikt nie chodzi. Przy ostatniej chacie nie zwalnia, tylko biegnie przez rozwalone drzwi do zardzewiałej oliwiarki leżącej na boku w kącie.

Wtedy się zatrzymuje i słucha, i czeka na uspokojenie oddechu, i robi wymachy ramion dla rozluźnienia mięśni. Spomiędzy błota, starych szmat zrzuconych do oliwiarki wyciąga saperkę i zaczyna kopać. Słuchawki są w metalowym pudełku, ukrytym tu według dokładnych instrukcji Rooke'a przez Flynna i jego nocnych korsarzy. Podczas gdy Jonathan naciska biały przycisk, potem czarny i słucha świergotu urządzeń elektronicznych ery podboju kosmosu, tłusty brązowy szczur z ociężałą nonszalancją przechodzi po podłodze i jak staruszczyzna zdążająca do kościoła znika w sąsiedniej chacie.

- Jak się masz? - pyta Burr.

Dobre pytanie - myśli Jonathan. Jak się mam? Boję się. Mam obsesję na punkcie wołyżerki o ilorazie inteligencji 55, kiedy jest u szczytu formy, trzymam się pazurami życia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, co jak pamiętam, mi obiecywałeś.

Przekazuje najświeższe wieści. W sobotę przyleciał learem wielki Włoch nazywany Rinaldo i odleciał trzy godziny później. Wiek czterdzieści pięć lat, wzrost metr osiemdziesiąt pięć, dwóch ochroniarzy, jedna blond kobieta.

- Widziałeś oznakowanie samolotu?

Żołnierz zwiadu bezpośredniego nigdzie go nie zapisał, ale zna je na pamięć.

- Rinaldo ma pałac nad Zatoką Neapolitańską - mówi Jonathan. - Blondyna ma na imię Jutta i mieszka w Mediolanie. Jutta, Rinaldo i Roper zjedli sałatkę i rozmawiali w letnim domku, podczas gdy ochroniarze pili piwo i opalali się poza zasięgiem słuchu niżej na

wzgórzu.

Burr ma dokładniejsze pytania dotyczące piątkowej wizyty bankierów z City nazywanych tylko imionami. Czy Tom był tłusty, łysy i nadęty? Czy Angus palił faję? Czy Wally miał szkocki akcent?

Odpowiedź za każdym razem brzmi „tak”.

A czy Jonathan miał wrażenie, że załatwili interes w Nassau i potem przylecieli do Crystala? Czy po prostu zrobili trasę Londyn-Nassau, a potem Nassau-Crystal odrzutowcem Ropera?

- Najpierw załatwili interesy w Nassau. W Nassau załatwia się uczciwe transakcje. Do Crystala jedzie się na tajne ustalenia - odpowiada Jonathan.

Dopiero gdy Jonathan zakończył raport o gościach w Crystalu, Burr przechodzi do warunków pracy.

- Corkoran szpieguje mnie bez ustanku - mówi Jonathan. - Jakby nie mógł zostawić mnie w spokoju.

- Poszedł w odstawkę i jest zazdrosny. Tylko nie szarżuj. W żaden sposób. Słyszysz mnie? - Ma na myśli gabinet za sypialnią Ropera. Intuicja mu podpowiada, że tamto pomieszczenie nadal jest celem Jonathana.

Jonathan wkłada słuchawki do metalowego pudełka, pudełko do dziury. Przyklepuje ziemię, trochę rozrzuca, zagarnia nogą kawałki liści, szyszki sosnowe, suche jagody.

Zbiega w dół do Carnation Beach.

- Pozdrowienia! Panie Thomasie wspaniały, jak dziś panu na duszy?

To Amos ze swoją gigantyczną teczką. Nikt nie kupuje od Amosa, ale jemu to wcale nie przeszkadza. Niewielu przychodzi na plażę. Przez cały dzień siedzi wyprostowany na piasku, jarając trawę i wpatrując się w horyzont. Czasem otwiera teczkę i demonstrowuje swoje artykuły: naszyjniki z pereł, apaszki z jaskrawego materiału i porcje marihuany w pomarańczowej bibułce. Czasem tańczy, kiwa głową, uśmiecha się do nieba, podczas gdy Domino szczeka na swojego pana. Amos jest ślepy od urodzenia.

- Biegał pan już tam, wysoko na Górę Panny Mabel, panie Thomas? Łączył się pan z duchami voodoo, panie Thomas, kiedy pan tam biegał? Posyłał pan wiadomości tym duchom voodoo, panie Thomas, wysoko na Górze Panny Mabel? - Góra Panny Mabel miała w najlepszym razie dwadzieścia metrów wysokości.

Jonathan nadal się uśmiechał - ale jaki ma sens uśmiechanie się do ślepca?

- Och, pewnie. Pod samo niebo.

- Och, pewnie! O rany! - Amos wykonuje skomplikowany tańiec. - Nic nikomu nie powiem, panie Thomas. Ślepy żebrak nie widzi nic złego, nie słyszy nic złego, panie Thomas. I on nie śpiewa nic złego. On sprzedaje dżentelmenom apaszkę za słodkie dwudziestopięciodolarowe banknoty i idzie swoją drogą. Chce pan kupić swojej ukochanej znakomite, ręcznie tkane jedwabne fulary w wyśmienitym guście, panie Thomas?

- Amos - mówi Jonathan, kładąc mu rękę na ramieniu w imię przyjacielskich stosunków - gdybym palił tyle gandzi co ty, posyłałbym wiadomości Świętemu Mikołajowi.

Ale gdy dociera do boiska krykietowego, wraca na wzgórze i zmienia kryjówkę czarodziejskiej skrzynki na kolonię porzuconych uli. Dopiero później znika w tunelu prowadzącym do Crystala.

„Skup się na gościach” - powiedział Burr.

„Musimy mieć gości. Musimy mieć nazwisko i numer każdego, kto postawi stopę na wyspie” - powiedział Rooke.

„Roper zna najgorszych ludzi na świecie” - powiedziała Sophie.

Przyjeżdżali goście wszelkiej maści i w różnych celach; goście na weekend, goście na lunch, goście na kolację, na noc i odlatujący następnego ranka, goście zaledwie moczący usta w szklance wody, ale spacerujący z Roperem po plaży, podczas gdy ochrona szła za nimi w pewnej odległości, a potem szybko odlatujący, jak to ci, którzy mają robotę na karku.

Goście przylatujący samolotem, goście przyplływający jachtem; goście bez samolotu i bez jachtu, których musiał zabrać odrzutowiec Ropera lub, jeśli mieszkali na sąsiedniej wyspie, śmigłowiec Ropera z insygniami Crystala i w barwach Ironbrand - niebiesko-szary. Roper ich zapraszał, Jed witała i dbała o nich, chociaż wyglądało na to, że uważa za powód do autentycznej dumy, iż nie ma zielonego pojęcia o ich sprawach.

- A czemu miałabym mieć, Thomasie? - protestowała scenicznie zdławionym głosem po wyjeździe szczególnie okropnej pary Niemców. - Wystarczy, że jedno z nas się tym zajmuje, to dość na cały dom. Już dużo bardziej wolałabym być jednym z inwestorów Ropera i móc powiedzieć: „Proszę, tu są moje pieniądze i moje życie. Tylko, do cholery, dobrze się nimi opiekuj”. Nie uważasz, że to jedyny sposób, Corky? Inaczej nigdy nie zasnąłabym spokojnie, no nie?

- Święta racja, serdeńko. Płyn z prądem, oto moja rada - powiedział Corkoran.

Ty głupia mała woltyzerko! - wściekał się na nią Jonathan, podczas

gdy nabożnie przytakiwał jej wywodom. Masz klapki na oczach i pytasz, czy to pochwalam!

Żeby ułatwić sobie zapamiętywanie, sporządził klasyfikację gości i każdą kategorię oznaczył w ropermowie.

Najpierw młodzi Danby i MacArthurowie, alias MacDanby, którzy zarządzali sprawami Ironbrandu w Nassau, chodzili do tego samego krawca, mieli ten sam bezklasowy akcent, wyrastali spod ziemi na gwizdnięcie Ropera i rozpływali się w tłumie gości, gdy Roper kazał im się rozplwać, po czym z pośpiechem wychodzili, bo inaczej nigdy nie zasiedliby o właściwej porze przy biurkach następnego dnia. Roper nie miał do nich ciepłości, Jonathan też nie. MacDanby nie byli sprzymierzeńcami ani przyjaciółmi Ropera. Byli jego przykrywką, zawsze szczebioczącą o transakcjach na rynku nieruchomości na Florydzie, skokach cen na giełdzie tokijskiej, i dostarczali Roperowi nudną skorupę budzących szacunek pozorów.

Po MacDanbych szli Stali Pasażerowie Ropera i żadne przyjęcie w Crystalu nie mogło się udać bez przelotnego zapoznania się ze Stałymi Pasażerami - takimi jak zawsze obecny lord Langbourne, którego naburmuszona żona zajmowała się dziećmi, podczas gdy on tańczył z nianią w zwartym uścisku; takimi jak uroczy, młody, utytułowany gracz w polo - Angus dla przyjaciół - i jego cudowna żona Julia, których wspólnym celem życiowym (poza krykietem u Sally, tenisem u Johna-i-Briana i czytaniem romansów nad brzegiem basenu) było przeczekiwanie w Nassau, aż będzie można bezpiecznie upomnieć się o dom w Pelham Crescent, zamek w Toskanii, posiadłość w Wiltshire cenioną pięć tysięcy za akr, z bajeczną kolekcją dzieł sztuki, i wyspę przy Queensland - wszystko będące na razie własnością jakiejś fiskalnej ziemi niczyjej, raju podatkowego. Do tego dochodziło parę setek milionów, by wszystko mogło się kręcić.

I Stali Pasażerowie mają zaszczytny obowiązek sprowadzania własnych gości:

- Jeds! Chodź tu! Czy pamiętasz Arna i Georginę, kumpli Julii, wspólna kolacja w Rzymie, luty? Restauracja rybna za Byronem? No, Jeds!

Jed dziwi się najurokliwszym zdziwieniem. Jed najpierw otwiera oczy z niedowierzaniem, bo poznaje, potem usta, ale na jedną sekundę udaje się jej powstrzymać radosne oszołomienie.

- Rany, Arno! Kochanie, ale schudłeś! Georgina, kochanie, co u ciebie? Super! Rany. Cześć!

I obowiązkowy uścisk dla każdego z nich, po czym następuje refleksyjne „Uhm”, jakby doznawała większej przyjemności, niż

powinna. I rozeźlony Jonathan parodiuje szeptem jej „Uhm”, przysięgając, że gdy następnym razem przyłapie ją na takim udawaniu, podskoczy i krzyknie: „Kamera, stop! Jeszcze raz, proszę, Jed, kochanie, tym razem na serio!”.

A po Stałych Pasażerach idą Królewscy tudzież Szlachetni; angielskie debutantki - wicehrabianki w eskorcie doszczętnie skretyniałych pociotków królewskich bękartów i nadzorujących policjantów; wiecznie wyszczerzeni Arabowie w jasnych garniturach, śnieżnobiałych koszulach i z wypolerowanymi noskami butów; brytyjscy pośledni politycy i eksdyplomaci dośmiertnie zdeformowani poczuciem własnej wartości; malezyjscy bonzowie z własnymi kucharzami; irakijscy Żydzi z greckimi pałacami i firmami na Tajwanie; brzuchaci Niemcy narzekający na Ossich; prostacy adwokaci z Wyoming, którym słoma z butów wychodzi; emerytowani, nieprawdopodobnie bogaci inwestorzy wyłuskani z wypasionych plantacji i bungalowów po dwadzieścia milionów dolarów sztuka, zapici starzy Tekszańczycy na żyłakowatych, patykowatych nogach, w koszulach w papugi, figlarnych kapelusikach słomkowych, zasysający tlen z małych inhalatorów; ich kobiety o wyrzeźbionych twarzach, których nie miały za młodu, z wciągniętymi brzuchami, wciągniętymi pośladkami i sztucznym blaskiem niepodpuchniętych oczu. Ale żadna operacja na świecie nie mogła uwolnić ich od cięższej niż kajdany starczej powolności, gdy zanurzały się w basenie Crystalu po płytkiej stronie, ściskając drabinkę, by się nie rozpaść w szwach i nie zamienić w to, czym były, zanim dały nura do kliniki doktora Martiego.

- Boże mój, Thomas - szepcze zduszonym głosem Jed, gdy niebieskowłosa austriacka księżna bez tchu dopływa pieskiem do zbawczego brzegu. - Ileż ona twoim zdaniem ma lat?!

- To zależy, o który kawałek pytasz - mówi Jonathan. - Uśredniając, pewnie koło siedemnastu. - I uroczy śmiech Jed, prawdziwy śmiech, od którego cała się trzęsie, śmiech zrodzony na wolności, podczas gdy kolejny raz zagłąda Jonathanowi w głąb duszy.

Po Królewskich tudzież Szlachetnych idą drobne nienawiści Burra i prawdopodobnie również Ropera, bo nazywa je Zła Konieczne, a są to ubrani w prążkowane niebieskie koszule o białych kołnierzykach pucołowaci bankierzy z Londynu, o podwójnych nazwiskach, podwójnych podbródkach, a do kompletu odziani w dwurzędowe marynarki. Mówią z akcentem wskazującym na Eton, a w ślad za nimi ciągną księgowi o wyglądzie sutenerów („liczykrupy” - mówi na nich Roper), zdolni wydusić z każdego dobrowolne wyznanie za pomocą

oddechu cuchnącego potrawką z curry i zapoconych pach; ich głos brzmi jak formalne ostrzeżenie, że od tej chwili wszystko, co powiesz, może być zapisane, sfalszowane i użyte przeciw tobie.

A po nich ich niebrytyjscy odpowiednicy: Mulder, baryłkowaty notariusz z Curaçao z uśmiechem cwaniaka i zdradzającym pewnością siebie kaczkowatym chodem; Schreiber ze Stuttgartu, stale przepaszający za swój ostentacyjnie dobry angielski; Thierry z Marsylii, z zaciśniętymi ustami i sekretarzem ślicznym jak lalka; sprzedawcy obligacji z Wall Street, którzy nigdy nie zjawiali się w mniejszej obsadzie niż we czwórce, jakby tylko w grupie czuli się bezpieczni; i Apostoł, mały nachalny Amerykanin greckiego pochodzenia, z tupecikiem jak łapa czarnego niedźwiedzia, złotymi łańcuszkami, złotymi krzyżami i nieszczęśliwą wenezuelską kochanką, chwiejącą się za nim w niewygodnych szpilkach za tysiąc dolarów w drodze do upragnionego bufetu. Jonathan spotyka się wzrokiem z Apostołem. Odwraca się, ale jest za późno.

- My się znamy? Na pewno już się spotkaliśmy. Mam absolutną pamięć do twarzy - oświadcza Apostoł, zrywając czarne okulary i zatrzymując całą kolejkę przybyszów. - Nazywam się Apostoł. Jestem żołnierzem Boga, sir.

- Oczywiście, że go znasz, Apo! - zręcznie wcina się Roper. - Wszyscy go znaleźliśmy! Thomas. Pamiętasz Thomasa, Apo! Był nocnym recepcjonistą u Meistra. Wyruszył na zachód szukać szczęścia. Nasz kumpel z dawnych lat. Izaak, nalej doktorce jeszcze trochę szampana.

- Jestem zaszczycony, proszę pana. Proszę mi wybaczyć. Jest pan Anglikiem? Z Brytyjczykami łączy mnie wiele związków krwi. Moja babka była spokrewniona z diukiem Westminsteru, a mój wujek ze strony matki projektował Albert Hall.

- O mój Boże. To cudowne - mówi uprzejmie Jonathan. Wymieniają uścisk dłoni. Ręka Apostoła jest zimna jak skóra węża.

Spotykają się wzrokiem. Oczy Apostoła są nawiedzone i trochę szalone - ale kto nie jest trochę szalony w Crystalu w idealnie gwiazdzistą noc, kiedy Dom Perignon płynie jak muzyka?

- Pracuje pan dla pana Ropera? - nie ustaje Apostoł. - Włączył się pan do jednego z jego wielkich przedsięwzięć? Pan Roper jest człowiekiem o wielkiej potędze.

- Korzystam z gościnności jego domu - odpowiada Jonathan.

- To najwyższa przyjemność. Jest pan może przyjacielem majora Corkorana? Widziałem was kilka chwil temu wymieniających uprzejmości.

- Corky i ja to starzy kumple.

Lecz gdy grupa przechodzi dalej, Roper po cichu bierze Apostoła na bok i Jonathan słyszy dyskretnie wyszeptane słowa: „Mama Low”.

- Wiesz, w gruncie rzeczy, Jed - mówi zło o imieniu Wilfred, gdy wylegają się przy białych stolikach pod gorącym słońcem - my, Harvill Maverich, oferujemy te same usługi co kanciarze, ale bez kanciarstwa.

- Och, Wilfred, ależ to strasznie nudne. Gdzie biedny Roper znajduje adrenalinę?

I znów spotyka się wzrokiem z Jonathanem, siejąc poważne spustoszenie. Jak to się stało? Kto spojrzał pierwszy? Bo to nie poza. To nie zabawy z kimś w tym samym wieku. To jest patrzeć. I patrzeć w bok. I znowu patrzeć. Roper, gdzie jesteś, teraz, gdy cię potrzebujemy?

Wieczory ze złami nigdy się nie kończą. Czasami rozmowa zaczyna się w gabinecie przy brydżu albo przy tryktraku. Goście sami nalewają sobie drinki, mniej ważnym mówi się, że mogą sobie pójść pospacerować, drzwi gabinetu są pilnowane przez ochronę, służba wie, że ma się trzymać z dala od tej strony domu. Tylko Corkoran jest dopuszczany - ostatnio nie zawsze.

- Corky trochę wypadł z łask - wyznaje Jed Jonathanowi. Przygryza wargi i nie odzywa się więcej.

Bo Jed też dba o lojalność. Nielatwo zmienia obóz i Jonathan wie, że musi o tym pamiętać.

- Wiesz, przyjeżdżają do mnie kumple - tłumaczy Roper.

Dwaj mężczyźni są na kolejnej przechadzce. Tym razem jest wieczór. Rozegrali zacięty mecz w tenisa, ale nierozstrzygnięty. Roper nie zwraca sobie głowy liczeniem punktów, jeśli nie gra o pieniądze, a Jonathan nie ma pieniędzy. Być może z tego powodu rozmowa płynie bez zahamowań. Roper idzie blisko, nie zwraca uwagi na to, że ramieniem ociera się o ramię Jonathana, jak w Meistrze. Fizyczny kontakt jest mu obojętny jak sportowcom. Tabby i Gus podążają za nimi w pewnej odległości. Gus jest nowym gorylem, świeżym nabytkiem. Roper używa specjalnego głosu, udając facetów, którzy do niego przyjeżdżają:

- „Paaanie Ropeeer, daj nam pan najlepsze zabawki na świecie”.

- W swojej łaskawości robi pauzę, pozwalając Jonathanowi pośmiać się z tej parodii. - Więc ich pytam: „Najlepsze w porównaniu z czym,

chłopie? Z którym światem?”. Brak odpowiedzi. Są takie miejsca na Ziemi, że gdybyś tam dostarczył działą z wojny burskiej, to tubylcy od razu zostają cesarzami swojego kawałka dżungli i okolic. - Ręce niecierpliwym gestem unoszą się i łokieć szturcha żebra Jonathana. - Inne kraje, wory pieniędzy, świry na punkcie zaawansowanej technologii, nic innego ich nie zadowoli, muszą mieć to co sąsiad. Nie, nie to co sąsiad. Coś lepszego. Dużo lepszego. Chcą inteligentnej bomby, która wsiada do windy, wjeżdża na trzecie piętro, skręca w lewo, chrząka, rozpieprza pana domu, ale nie rusza telewizora. - Ten sam łokieć szturcha ramię Jonathana. - Nigdy nie wpadną na to, że do inteligentnej broni potrzebujesz inteligentnego osprzętu i facetów, którzy umieją to obsługiwać. Po co kupować ostatni model lodówki i wstawiać do swojego szafasu, jeśli brak w nim gniazdko elektrycznego, do którego mógłbyś ją podłączyć, no nie? O to chodzi, nie? No, jak?

- Oczywiście - odpowiada Jonathan.

Roper wbija ręce w kieszenie szortów i uśmiecha się leniwie.

- Kiedy byłem w twoim wieku, uwielbiałem zaopatrywać partyzantów. Ideały ważniejsze niż pieniądze... kwestia wolności. Dzięki Bogu, nie trwało to długo. Dzisiejsi partyzanci to jutrzejsi bogacze. Daj im Boże zdrowie. Prawdziwi wrogowie to rządy wielkich państw. Gdziekolwiek byś spojrzeł, rządy są przed tobą, sprzedają wszystko wszystkim, łamią własne prawa, podcinają sobie nawzajem gardła, popierają złą stronę, wyrównują to wsparciem dla dobrej strony. Rzeźnia. My, niezależni gracze, jesteśmy za każdym razem wpychani w kąt. Jedyne, co pozostaje, to być tam przed nimi, tłuc ich tak, żeby wyjść na remis. Można polegać tylko na tym, że się ma jaja i umie przewidywać. Łapówki, cały czas łapówki. Nic dziwnego, że niektórzy faceci wchodzą na zarezerwowane rynki. Jedyne sposoby na zrobienie interesu. Młody Daniel pływał dziś na żaglach?

- Opłynął całą Mabel Island. Ani razu nie tknąłem rumpla.

- Dobra robota. Zrobisz niedługo ciasto marchewkowe?

- Kiedy tylko pan zechce.

Gdy wstępują po stopniach do ogrodu, żołnierz zwiadu bezpośredniego zauważa Sandy'ego Langbourne'a wchodzącego do domku gościnnego, a w chwilę potem niańkę. Jest to afektowanie skromna osóbką, mniej więcej dziewiętnastoletnia, ale w tej chwili jest w niej coś ze złodziejki, jakby zamierzała obrabować bank.

Są dni, w których Roper jest na miejscu, i są dni, w których Roper

wyjeżdża sprzedawać grunty.

Roper nie uprzedza o swoich wyprawach, ale Jonathanowi wystarczy tylko zbliżyć się do głównego wejścia i już wie, który to z dni. Czy Izaak w swoich białych rękawiczkach sterczy w holu z kopolą? Czy MacDanby pałętają się w marmurowej sieni, przyglądając staroświecko eleganckie fryzury, i sprawdzają rozporki i krawaty? Sprawdzają. Czy na krześle obok wysokich drzwi z brązu siedzi ochroniarz? Siedzi. Prześlizgując się obok otwartego okna na tyły domu, Jonathan słyszy wielkiego człowieka, jak dyktuje:

- Nie, niech to szlag trafi, Kate! Skreśl ostatni akapit i napisz, że umowa stoi. Jackie, zajmij się listem do Pedra. „Drogi Pedro, rozmawialiśmy przed paroma tygodniami”, ple, ple. Potem spław go w diabły. Za mało, za późno, za wiele pszczoł wokół miodu, takie tam, dobra? I jeszcze jedno, Kate, dodaj to.

Ale zamiast dodać „to”, Roper przerywa, by zadzwonić do kaptana „Iron Pashy” w Fort Lauderdale w sprawie malowania kadłuba. Albo do koniuszego Clauda w sprawie rachunków za paszę. Albo do bosmana Talbota, bo molo w Carnation Bay jest w cholernym stanie. Albo do marszanda w Londynie - te zacie się prezentujące porcelanowe psy, które w przyszłym tygodniu będą wystawione u Bonhama, pasowałyby akurat do tych dwóch skierowanych ku morzu zakątek nowej cieplarni, pod warunkiem że nie będą zbyt jadowicie zielone.

- Och, Thomas, super! Jak się masz, głowa nie boli ani nic równie straszego? Och, to dobrze. - Jed jest w pokoju kredensowym, siedzi przy ślicznym biureczku w stylu Sheratona, omawia menu z panną Sue, gospodynią, i Esmeraldą, kucharką, pozuje wyimaginowanemu fotografikowi w „House & Garden”. Wystarczy jej tylko ujrzeć Jonathana w drzwiach, żeby stał się niezbędny: - Och, Thomas. Szczerze, co myślisz? Posłuchaj. Krewetki, sałatki, jagnię czy sałatki, krewetki, jagnię...? Och, jestem tak zadowolona, no cóż, tak właśnie myślałyśmy, no nie, Esmeraldo?... Och, Thomas, czy mogłybyśmy zaprząć twój mózg do pracy? Powiedz nam, czy sauternes pasuje do foie gras? Szef je uwielbia, ja nie cierpię, a Esmeralda całkiem rozsądnie proponuje, niech piją dalej szampana... Och, Thomas - tak zniża głos, że może udawać, iż służba nie słyszy - Caro Langbourne jest tak zdenerwowana. Z Sandy'ego znowu wylazła absolutna świnią. Zastanawiałam się, może mała przejażdżka jachtem podniosłaby ją na duchu, jeśli oczywiście masz siły. Jeśli będzie ci się za bardzo naprzykrzać, po prostu zatkaj sobie uszy, mógłbyś...? I Thomas, skoro już jesteś, czy mógłbyś spytać Izaaka, gdzie, do diabła, pochował składane stoły...? I Thomas, Daniel jest absolutnie

zdecydowany, żeby zrobić pannie Molloy niespodziankę - przyjęcie urodzinowe - uwierzyłybyś? Osiemnastego... jeśli by w ogóle coś ci wpadło do głowy, będę kochała cię po wieczne czasy...

Lecz gdy Ropera nie ma na miejscu, menu idą w ką, robotnicy śpiewają i śmieją się - i tak w duszy czyni Jonathan - a wszędzie się toczą wesole rozmowy. Brzęczenie pił taśmowych miesza się z rykiem niwelujących buldożerów, jęk wiertarek z dzwonieniem młotków pracowników budowlanych, gdy wszyscy starają się zdążyć przed powrotem szefa. I Jed, spacerując zamyślona z Caroline Langbourne po włoskich ogrodach lub siedząc z nią w nieskończoność w sypialni domku gościnnego, trzyma się na bezpieczny dystans i nie obiecuje kochać Jonathana nawet przez jedno popołudnie, co dopiero po wieczne czasy.

Bo złe stwory podnoszą łby w gniazdku Langbourne'ów.

„Ibis”, smukła nowa żaglówka, używana dla przyjemności gości Crystala, stoi bez ruchu. Caroline Langbourne siedzi na dziobie, wpatruje się w ląd, jakby nigdy nie zamierzała tam powrócić. Jonathan nie zawraca sobie głowy rumplem, tylko siedzi z zamkniętymi oczami na rufie.

- No cóż, możemy wziąć pagaje, możemy gwizdać, żeby wywołać wiatr - informuje ją leniwie. - Albo możemy popłynąć wplaw. Głosuję za gwizdaniem.

Gwizdże. Ona nie. Plusnęła ryba, ale wiatr się nie podnosi. Tyrada Caroline Langbourne jest skierowana ku połyskującemu horyzontowi.

- To bardzo dziwne uczucie obudzić się któregoś rana i zdać sobie sprawę - lady Langbourne, jak lady Thatcher, ma w zwyczaju nękać swoje wypowiedzi absolutnie dziwnym akcentem zdaniowym - że żyło się oraz spało, oraz dosłownie traciło życie, co dopiero swoje własne pieniądze, na kogoś, kto nie tylko miał cię gdzieś, ale za tymi całymi swoimi prawniczymi bredniami i hipokryzją jest autentycznym kanciarzem od stóp do głów. Gdybym powiedziała, co wiem, komukolwiek, a powiedziałam tylko Jed trochę, bo jest wyjątkowo młoda... no cóż... nie uwierzyliby w połowę. Ani w jedną dziesiątą. Nie daliby rady. Gdyby byli porządnymi ludźmi.

Żołnierz zwiadu bezpośredniego ma zamknięte oczy i szeroko otwarte uszy, podczas gdy Caroline Langbourne wylewa swoje żale. „I czasem, właśnie kiedy myślisz, że Bóg wlepi ci mandat, zmienia zdanie i funduje ci taką premię, że nie uwierzysz w swoje szczęście” - powiedział Burr.

W Domu Woody'ego Jonathan ma lekki sen i trzeźwieje momentalnie, słysząc szelest stóp przy frontowych drzwiach. Owija prześcieradło wokół bioder i na palcach schodzi na dół, gotowy popełnić morderstwo. Langbourne i niańka patrzą na niego przez szybkę.

- Nie masz nic przeciwko, żebyśmy cię wyrzucili na noc z łóżka? - cedzi przez zęby Langbourne. - W pałacu jest trochę zamieszania. Caro dała popalić, a teraz Jed ciosa szefowi kolki na głowie.

Jonathan śpi marnie na kanapie, podczas gdy na górze Langbourne i jego kochanka głośno sobie używają.

Jonathan i Daniel leżą na brzuchu, ramię w ramię, nad brzegiem strumienia, wysoko na Górze Panny Mabel. Jonathan uczy Daniela łowienia pstrągów gołymi rękami.

- Czemu Roper zre się z Jed? - pyta Daniel szeptem, aby nie ostrzec pstrąga.

- Nie odrywaj oczu od strumienia - szepcze w odpowiedzi Jonathan.

- Mówi, że powinna przestać słuchać tych wszystkich głupot wzgardzonej kobiety - mówi Daniel. - Co to znaczy „wzgardzona kobieta”?

- Łapiemy te ryby czy nie?

- Każdy wie, że Sandy rżnie wszystko, co chodzi, z wyjątkiem zegara, po co więc to całe zamieszanie? - pyta Daniel, niemal idealnie naśladowując głos Ropera.

Pomoc zjawia się w postaci tłustego niebieskiego pstrąga, który obojętny na cały świat, z pluskiem posuwa się wzdłuż brzegu. Jonathan i Daniel wracają między ludzi, niosąc swoje trofeum jak herosi. Ale brzemienista cisza wisi nad Crystalside; jest zbyt wiele tajemnic, zbyt wiele niepokoju. Roper i Langbourne polecili do Nassau, zabierając ze sobą niańkę.

- Thomas, nie daliście mu żadnych szans! - wykrzykuje Jed z nadmierną ekspresją, wezwana głośnymi okrzykami do podziwiania zdobyczy Daniela. Napięcie uwidacznia się na jej twarzy; nerwowe zmarszczki przecinają czoło. Dopiero w tej chwili dotarło do niego, że ona potrafi przeżywać poważny niepokój. - Gołymi rękami? Jak to jest możliwe? Daniel nie potrafi spokojnie usiedzieć u fryzjera, prawda, Dans, kochanie? Poza tym absolutnie nie cierpi robali. Dans, superowo. Brawo. Kapito.

Ale jej udawany dobry humor nie satysfakcjonuje Daniela. Ze smutkiem odkłada pstrąga na talerz.

- Pstrągi to nie robale. Gdzie jest Roper?
- Sprzedaje grunty, kochanie. Mówił ci.
- Mam dosyć tego sprzedawania gruntów. Czemu ich nie kupuje?

Co zrobi, jak mu nic nie zostanie? - Otwiera książkę o potworach. - Najbardziej lubię, kiedy jest Thomas i my. Tak jest bardziej normalnie.

- Dans, to szczyt nielojalności - mówi Jed i pilnie unikając wzroku Jonathana, spieszy do Caroline z kolejnymi wyrazami otuchy.

- Jeds! Przyjęcie! Thomas! Niech w tej cholernej dziurze zrobi się weselej!

Roper wrócił o świcie. Zawsze wraca o świcie. Przez cały dzień kuchnia dwoiła się i troiła, przybywały samoloty, dom gościnny zapełniał się MacDanbymi, Stałymi Pasażerami i Złami Koniecznymi. Iluminowany basen i żwirowany dziedziniec są świeżo sprzątnięte. Płoną osadzone w ziemi pochodnie i z głośników na patio sączą się upojnie nostalgiczne pienia ze sławnej Roperowej kolekcji starych płyt na siedemdziesiąt osiem obrotów. Dziewczeta skąpo odziane, Corkoran w panamie, Langbourne w białym smokingu i džinsach tańczą w ósemkę szkocki reel, zmieniają partnerów, klaszczą, piszczą. Skwierczy grill, płynie szampan, służba pomyka ręczo i uśmiecha się, duch Crystala powrócił. Nawet Caroline przyłącza się do zabawy. Jedynie Jed nie może wywikłać się z sideł smutków.

- Spójrz na to tak - powiada Roper, który nigdy się nie upija, ale to lepiej dla jego obowiązków gospodarza, do używającej niebieskiej płukanki do włosów angielskiej dziedziczki, która przepuściła w Vegas jednego wieczoru wszystko, co miała, kochany, pyszna zabawa, ale dzięki Bogu dom był w zarządzie powierniczym i dzięki Bogu za kochanego Dicky'ego. - Jeśli świat to kupa gnoju i zbudujesz sobie kawałek raj, a potem sprowadzisz do niego taką dziewczynę - Roper obejmuje ręką ramiona Jed - to moim zdaniem wyświadczasz przysługę staruszce Ziemi.

- Och, ależ Dicky, kochanie, ty nam wszystkim wyświadczyłeś przysługę! Dodałeś rumieńca naszemu życiu. Nieprawdaż, Jed, kochanie? Twój mężczyzna to prawdziwy cud. Masz ogromne szczęście, maleńka, i nigdy o tym nie zapominaj.

- Dans! Chodź tu!

Głos Ropera potrafi uciszyć wszystkich i wszystko. Nawet amerykańscy sprzedawcy obligacji przestają gadać. Daniel posłusznie truchta do boku ojca. Roper uwalnia Jed, kładzie dłonie na ramionach

syna i prezentuje go publice. Przemawia pod impulsem. Jonathan natychmiast zdaje sobie sprawę, że ta mowa jest adresowana do Jed. Służy za decydujący argument w jakimś sporze, który nie może być rozsądzony bez wsparcia przychylniej publiczności.

- Mieszkańcy Bonga-Bonga umierają z głodu? - pyta wyzywająco Roper uśmiechnięte twarze. - Nie ma zbiorów, rzeki wysychają, brak lekarstw? Góry zboża w całej Europie i Ameryce? Jeziora mleka nie do wypicia u nas, nikogo to nie obchodzi? Kto więc jest zabójcą? Nie faceci, którzy wytwarzają broń! To faceci, którzy nie chcą otworzyć drzwi od spiżarni! - Aplauz. Potem burzliwszy aplauz, kiedy rozumieją, że jest dla niego ważny. - Pacyfiści miotają się wściekli? Kolorowe dodatki gazet jęczą na nieczuły świat? Gówno prawda! Bo jeśli twoje plemię nie ma dość jaj, żeby pomóc samo sobie, im szybciej pójdzie na rzeź, tym lepiej! - Po przyjacielsku ściska Daniela. - Spójrzcie na tego faceta. Dobry ludzki materiał. Wiadomo czemu? Stój spokojnie, Dans. Bo pochodzi z długiej linii silnych ludzi. Przez setki lat silniejsze dzieciaki przeżywały, słabsze szły na dno. Tuzin dzieciaków? Silniejsze łączyły się z silniejszymi i splodziły jego! Spytajcie Żydów, mam rację, Kitty? - Kitty kiwa głową. - Siła, oto co nas wyróżnia. Za każdym razem najlepsi ze sfory. - Odwraca Daniela w kierunku domu. - Do łóżka, stary. Thomas zaraz przyjdzie i ci poczyta.

Przez chwilę Jed czuje się tak samo podniesiona na duchu jak reszta. Może nie dołącza się do aplauzu, ale sądząc po uśmiechu i po tym, jak ściska dłoń Ropera, jest jasne, że jego diatryba, chociażby na krótko, uwolniła ją od poczucia winy, wątpliwości, niepokoju czy czegoś tam, co w tych dniach zatruwa jej ustaloną przyjemność życia w idealnym świecie.

Ale niebawem w milczeniu wymyka się na górę. I już nie wraca.

Corkoran i Jonathan siedzą w ogrodzie Domu Woody'ego, piją zimne piwo. Wokół Wyspy Panny Mabel formuje się czerwona otoczka zmierzchu. Chmury kłębią się po raz ostatni, dzień zmienia dekorację, zanim skończy kolejne przedstawienie.

- Chłopak imieniem Sammy - powiedział rozmarzony Corkoran.
- Takie miał imię. Sammy.
- O co z nim chodzi?
- Łódź przed „Pashą”. „Paula”, niech nam Bóg pomoże. Sammy był członkiem załogi.

Jonathan zastanawiał się, czy zaraz nie usłyszy wyznań Corkorana

o utraconej miłości.

- Sammy z Kentucky. Majtek. Zawsze śmigał w górę i w dół masztu jak bohater *Wyspy skarbów*. Po co on to robi?, zastanawiałem się. Popisuje się? Robi wrażenie na dziewczętach? Na chłopakach? Na mnie? Dziwna sprawa. W tamtych czasach szef siedział w handlu towarami. Cynk, kakao, wyroby gumowe, herbata, uran, każde cholerstwo. Czasami nie spał przez całą noc. Transakcje terminowe, zakupy na zapas, sprzedaż na pniu, grał na zniżkę, na wyżkę. Naturalnie miało się poufne informacje, po co ryzykować. I ten mały Sammy zasuwiał w górę i w dół masztu. I skapowałem. No proszę, pomyślałem. Wiem, co ci chodzi po główce, syneczku drogi. Robisz to samo co ja ongi. Szpiegujesz. Oczekałem do wieczora, aż zarzuciliśmy kotwicę, jak zwykle, posłałem załogę na brzeg, jak zwykle. Potem znalazłem drabinę i wdrapałem się na maszt. Mało nie skręciłem karku, ale od razu znalazłem to zatknięte w kącie obok anteny. Z pokładu nie do wypatrzenia. Pluskwa. Sammy założył podsłuch na linii łączności satelitarnej szefa, śledził jego ruchy na giełdach. On i jego kumple na brzegu. Zainwestowali wszystkie oszczędności. Zanim go namierzyliśmy, z siedmiuset dolców zrobili dwadzieścia baniek.

- Co mu zrobiliście?

Corkoran potrząsnął głową, jakby był trochę smutny.

- Gnębi mnie, kochasiu - wyznał, jakby Jonathan mógł za niego rozwiązać ten problem - że za każdym razem, kiedy spojrzę w twoje niewinne oczęta, słyszę wszystkie dzwonki alarmowe, które mówią mi, że ty jesteś jak ten młody Sammy ze swoją śliczną dupcią śmigający w górę masztu.

Dziewiąta rano następnego dnia. Frisky przyjechał do Townside, siedzi w toyocie, naciska klakson dla zwiększenia efektu.

- Puszczamy pały, skarpetki wciągamy, Tommy, chłopcze, na paradę! Szef chce spokojnego w-cztery-oczy.

Wyyy-stąp i wyjmij palec z dupy!

Pavarotti zawodził na całego. Roper stał przed wielkim kominkiem, czytał jakiś dokument przez „połówki”. Langbourne rozwalił się na kanapie, jedną rękę wsparł na kolanie. Drzwi z brązu były zamknięte. Muzyka ucichła.

- Prezent dla ciebie - rzekł Roper, nie przerywając lektury. Ko-

perta adresowana do pana Dereka S. Thomasa leżała na biurku z szylkretu. Czując jej ciężar, Jonathan z niepokojem przypomniał sobie pobladłą Yvonne w pontiacu przy szosie.

- Będzie ci potrzebny - powiedział Roper, przerywając samemu sobie, żeby podsunąć Jonathanowi nóż do papieru. - Nie potnij go, bo drogie cholerstwo.

Ale Roper nie wrócił do lektury. Znad szkieł obserwował Jonathana. Langbourne również. Pod tym spojrzeniem dwóch par oczu Jonathan przeciął kopertę, wyjął nowozelandzki paszport ze swoim zdjęciem wypisany na Dereka Stephena Thomasa, dyrektora firmy, urodzonego w Marlborough, Wyspa Południowa, ważny przez trzy lata.

Patrząc na paszport i dotykając go, Jonathan poczuł przez chwilę śmieszne wzruszenie. Oczy zasły mu mgłą, ścisnęło go w gardle. Roper mnie osłania, Roper jest moim przyjacielem.

- Powiedziało im się, żeby wbili kilka wiz - mówił z dumą Roper - żeby go postarzyli. - Odrzucił na bok czytany dokument. - Nigdy nie ufaj nowemu paszportowi, takie jest moje zdanie. Wybieraj stare. Tak samo jak taksówkarzy w Trzecim Świecie. Coś w tym jest, że przeżyli.

- Dzięki - powiedział Jonathan. - Naprawdę dzięki. Jest cudny.

- Wszedłeś w skład maszynierii - powiedział Roper, głęboko przejęty własną szczodrobiwością. - Wizy prawdziwe. Paszport też. Nie kuś losu. Jak będziesz chciał odnowić, skorzystaj z jakiegoś ich konsulatu.

- I lepiej podpisz kurewstwo - wycedził Langbourne, świadomie kontrapunktując zadowolenie Ropera. - Najpierw kilka razy machnij autograf na próbę.

Obserwowany przez obu mężczyzn Jonathan pisał: „Derek S. Thomas” na kawałku papieru, aż byli zadowoleni. Podpisał się w paszporcie, Langbourne wziął książeczkę, zamknął i oddał Roperowi.

- Coś nie tak? - spytał Langbourne.

- Myślałem, że jest mój. Że mogę go zatrzymać - odparł Jonathan.

- Kto ci to, do diabła, powiedział?

- Jest dla ciebie robota, pamiętasz? - dodał Roper cieplejszym tonem. - Odwalisz robotę i możesz sobie spływać.

- Jaką robotę? Nic mi pan nie mówił.

Langbourne otwierał dyplomatkę.

- Potrzebujemy świadka - powiedział Roperowi. - Kogoś, kto umie czytać.

Roper podniósł słuchawkę telefonu i dotknął kilku przycisków.

- Panna Molloy? Tu szef. Zechciałabyś wpaść na chwilę do gabinetu?

- Co podpisuję? - spytał Jonathan.

- Jezu, kurwa, Pine - jęknął Langbourne. - Jak na mordercę uciekającego przed prawem jesteś cholernie wybredny, muszę powiedzieć.

- Dostajesz firmę do prowadzenia - powiedział Roper. - Trochę podróżowania. Trochę dreszczyku. Sporo trzymania gęby na kłódkę. Cały stos drobnych pod koniec dnia. Wszystkie długi zwracane z odsetkami.

Drzwi się otworzyły. Panna Molloy była wysoka, upudrowana i pod czterdziestkę. Przyniosła własne pióro w plastikowej obsadce, zawieszona na szyi na mosiężnym łańcuszku.

Pierwszy dokument - to zrzeczenie się wszelkich praw do przychodu, dochodu, wpływów lub aktywów zarejestrowanego w Curaçao przedsiębiorstwa Tradepaths Limited, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Podpisał go.

Następna była umowa o pracę z tym samym przedsiębiorstwem, na mocy której przyjmował na siebie wszystkie ciężary, długi, zobowiązania i odpowiedzialność wynikające z tytułu zajmowania stanowiska prezesa zarządu. Podpisał ją.

Trzeci dokument nosił podpis majora Lance'a Montague Corkorana, poprzednika Jonathanana na tamtym stanowisku. Były tam ustępy do podparafowania i miejsce na podpis.

- Tak, kochanie? - powiedział Roper.

Jed wkroczyła do pokoju. Wcześniej musiała przekonać Gusa, aby ją przepuścił.

- Mam na linii Del Oros - powiedziała. - Kolacja, pobyt i madżong w Abaco. Usiłowałam się z tobą połączyć, ale na centralce mówią, że nie przyjmujesz telefonów.

- Kochanie, wiesz, że nie.

Zimne spojrzenie Jed objęło całą grupę i zatrzymało się na Molloy.

- Anthea! - powiedziała. - A cóż oni z tobą wyprawiają? Chyba nie zmuszają cię do podpisania kontraktu małżeńskiego z Thomasem, co?

Panna Molloy spąsowiała. Roper niepewnie ściągnął brwi. Jonathan nigdy przedtem nie widział go zdezorientowanego.

- Thomas dołączył do załogi, Jeds. Słyszałaś. Dostaje kawałek kapitału. Będzie miał luz. Będzie miał szansę. Naszym zdaniem mamy wobec niego dług. Za wszystko, co zrobił dla Daniela, i tak

dalej. Mówiliśmy o tym, pamiętasz? Do diabła, w czym rzecz, Jeds? Tu chodzi o interesy.

- No cóż, to super. Gratulacje, Thomas. - Wreszcie spojrziała na niego. Jej uśmiech narzucał dystans, ale już nie był tak teatralny. - Tylko bardzo uważaj, żeby nie zrobić nic, na co nie masz ochoty, dobra? Roper jest strasznie przekonujący. Kochanie, mogę im powiedzieć, że tak? Maria tak wariuje na twoim punkcie, że na pewno złamiesz jej serce, jeśli się nie zgodzisz.

- Coś się jeszcze dzieje? - spytał Burr, gdy niemal w milczeniu wysłuchał relacji Jonathana z tych wydarzeń. Jonathan wyteżył pamięć.

- Langbourne'owie się kłócą, ale sądzę, że to normalne.

- Tak, podobno na świecie dzieją się takie rzeczy - powiedział Burr. Ale nadal zdawał się czekać na więcej.

- I Daniel wraca do Anglii na Boże Narodzenie - mówi Jonathan.

- Nic poza tym?

- Na razie.

Niezręczna sytuacja. Każdy czeka, by odezwał się ten drugi.

- No cóż, więc nie pływaj na głębokiej wodzie i bądź sobą - powiedział z niechęcią Burr. - I koniec z gadaniem o włamaniu się do jego sanktuarium, dobra?

- Dobra.

A jednak następuje jeszcze kolejna pauza, zanim odłożą słuchawkę.

To moje życie - powiedział sobie stanowczo Jonathan, zbiegając po wzgórzu. Nie jestem marionetką. Nie jestem niczym sługą.

18

Jonathan zaplanował swój zabroniony wypad do apartamentów Ropera, gdy tylko się dowiedział, że ten wyjeżdża sprzedać kolejne grunty i Langbourne będzie mu towarzyszył, a Corkoran zatrzyma się w Nassau, dogłądając interesów Ironbrand.

Utwierdził się w swoim zamiarze, dowiedziawszy się od Clauda, że rankiem po wyjeździe panów Jed i Caroline zamierzają zabrać dzieci na przejażdżkę kucami szlakiem wzdłuż wybrzeża. Wyjazd o szóstej, powrót do Crystal na solidny posiłek i pływanie, zanim rozpocznie się południowy skwar.

Od tego momentu podporządkował swoje działania jednemu celowi. W przeddzień wypadu zabrał Daniela na jego pierwszą trudną wspinaczkę po północnej ścianie Panny Mabel - w gruncie rzeczy był to mały kamieniołom wycięty w najbardziej stromej części wzgórka - co wymagało wbicia trzech haków i trawersu zabezpieczonego liną, zanim triumfalnie pojawili się na wschodnim końcu pasa startowego. Na szczycie Jonathan zebrał bukiet słodko pachnących żółtych frezji nazywanych przez tubylców morskimi kwiatkami.

- Dla kogo one są? - spytał Daniel, zapychając się swoim kawałkiem czekolady, ale Jonathanowi udało się wymigać od odpowiedzi.

Następnego dnia wstał jak zwykle wcześniej i przebiegł prosty odcinek szlaku wzdłuż wybrzeża, aby się upewnić, że wyprawa na kucykach wyruszyła zgodnie z planem. Zatrzymał się na wietrznej plaży przed Jed i Caroline. Claud i dzieci ciągnęli się z tyłu.

- Och, Thomas, czy jakimś cudem wybierasz się później do Crystala? - spytała Jed, pochylając się i głaszcząc swojego araba po szyi, jakby kręciła reklamę wyrobów tytoniowych. - Wspaniale. Czy byłbyś tak strasznie uprzejmy i powiedział Esmeraldzie, że Caro nie może jeść absolutnie żadnego nabiału?

Esmeralda znakomicie zdawała sobie sprawę, że Caroline nie może jeść nabiału, gdyż Jed powiedziała jej o tym w obecności Jona-

thana. Ale Jonathan zauważył, że ostatnio Jed zachowuje się zaskakująco. Jej uśmiechy były roztargnione, zachowanie bardziej sztuczne niż kiedykolwiek i rozmowy o bzdurach sprawiały jej trudność.

Jonathan pobiegł dalej, aż dotarł do swojej kryjówki. Nie odkopał słuchawek, ponieważ dziś był panem swojej woli. Ale zaopatrzył się w miniaturowy aparat fotograficzny udający zapalniczkę, a do aparatu dołożył pęk wytrychów, które nie udawały niczego, i ściskając je w dłoni, aby nie dźwięczały podczas biegu, wrócił do Domu Woody'ego, przebrał się i pobiegł tunelem w dżungli do Crystal, czując przedbitewny dreszcz na plecach.

- Co ty, kurwa, robisz z tymi morskimi kwiatkami, panie Thomas? - pogodnie zagadnął go strażnik przy bramie. - Byłeś na górze i rabowałeś biedną Pannę Mabel? No, cholerka! Hej, Dove, chodźże tu i wsadź swoją głupią gębę w te kwiatki. Wąchałeś kiedyś coś tak pięknego? Gównóś wachał! Tyś tylko wachał cipulkę swojej młodej pani.

Dochodząc do głównego budynku, Jonathan miał przyprawiające o zawrót głowy uczucie, że wrócił do Meistra. To nie Izaak, ale Herr Kaspar witał go przy drzwiach. To nie Parker stał na szczycie aluminiowej drabinki, zmieniając żarówki, ale Bobbi „złota rączka”. I to siostrzenice Herr Kaspara, nimfetki, leniwie spryskiwały środkiem owadobójczym potpourri. Złudzenie minęło i wrócił do Crystala. W kuchni Esmeralda prowadziła seminarium o sprawach światowej wagi z bosmanem Talbotem i Queenie z pralni.

- Esmeraldo, byłabyś tak dobra i znalazła mi na to wazon? Prezent dla Dana. Och, i panna Jed kazała ci przypomnieć, że lady Langbourne nie może jeść żadnego, ale to żadnego nabiału.

Powiedział to z tak łobuzerską miną, że jego słuchacze wybuchnęli niepohamowanym śmiechem, który dobiegał Jonathana, gdy z flakodem w ręce szedł marmurową klatką schodową, udając, że kieruje się do pokoi Daniela. Zatrzymał się przy drzwiach apartamentu Ropera. Z dołu nadal płynął strumień radosnego gwaru. Drzwi były uchylone. Pchnął je i wszedł do holu obwieszzonego lustrami. Drzwi w głębi były zamknięte. Przekręcił gałkę, myśląc o Irlandii i bombach pułapkach. Wszedł do środka, nic nie wybuchło. Zamknął drzwi i rozejrzał się, zawstydzony poczuciem ulgi.

Światło słoneczne przefiltrowane przez firanki leżało na białym dywanie jak mgła przy gruncie. Jedna strona ogromnego łoża, ta, na której sypiał Roper, nie była używana. Poduszki leżały nietknięte. Na stolicku piętrzyły się bieżące numery „Fortune”, „Forbes”, „The

Economist” i stare numery katalogów z domów aukcyjnych całego świata. Notatniki, ołówki, kieszonkowy dyktafon. Przenosząc spojrzenie na drugą stronę łóżka, Jonathan zauważył odcisk jej ciała, poduszki ubite, jakby rzucała się niespokojnie, czarny jedwab koszuli nocnej, magazyny z jej Utopii, stos albumów na niskim stolyczku: piękne domy, ogrody, piękne konie, kolejne konie, książki o arabach czystej krwi, angielskie przepisy kulinarne i jak nauczyć się włoskiego w osiem dni. Zapachy niemowlęce - zasyпка, pianą do kąpieli. Luksusowa wstęga wczorajszych ubrań rozrzucona byle jak na szezlongu; a poprzez otwarte drzwi łazienki widział wczorajszy kostium kąpielowy, trójkąty zwisające z wieszaka na ręczniki.

Wzrok rejestrował zwawiej, zaczął czytać jednym rzutem oka całe strony: jej toaletka załadowana pamiątkami z klubów nocnych, ludzie, restauracje, konie; zdjęcia śmiejących się, obejmujących osób, Roper w spodenkach kąpielowych, jego wyraźna męskość, Roper za kierownicą ferrari, za kierownicą wyścigowej motorówki, Roper w białej czapce z daszkiem i drelichach na mostku „Iron Pashy”; sam „Pasha” w wielkiej gali flagowej stojący majestatycznie w porcie nowojorskim, Manhattan w tle; książeczki zapalek, listy pisane dziewczęcą ręką wysypujące się z szuflady; dziecięcy notatnik adresowy z sentymentalnym zdjęciem wyźłów na okładce; zapiski ku pamięci na żółtych karteczkach przyklejonych do brzegu lustra: „Zegarek wodoszczelny na urodziny Dana?”, „Zadzwoń do Marie w sprawie pęciny Sary”, „S.J. Philips w sprawie spinek R.!”.

W pokoju jakby nie było powietrza. Jestem złodziejem grobów, ale ona żyje. Jestem w piwnicy Herr Meistra, ale przy włączonych światłach. Zwiewać, zanim mnie zamurują. Ale nie przyszedł tu po to, by uciec. Przyszedł tu po to, by się pogrążyć. W życiu ich obojga. Chciał poznać tajemnice Ropera, ale bardziej chciał poznać jej tajemnice. Chciał poznać sekret tego, co wiązało ją z Roperem, jeśli było coś takiego; sekret jej śmiesznych afektacji. I dlaczego zaglądasz w głąb mojej duszy? Postawił flakon na stoliku przy kanapie, wziął jedną z poduszek Jed, przyłożył do twarzy i poczuł zapach drewna z kominka śpiewającej ciotki Annie. Oczywiście. Tym się zajmowałaś wczoraj w nocy. Siedziałaś z Caroline przed kominkiem i rozmawiałyście, podczas gdy dzieci spały. Tyle do powiedzenia. Tyle do wysłuchania. Co mówisz? Czego słuchasz? I ten cień na twojej twarzy. Jesteś żołnierzem zwiadu bezpośredniego, twoje oczy zbyt długo zatrzymują się na wszystkim, w tym na mnie. Znowu jesteś dzieckiem, widzisz wszystko po raz pierwszy. Nic już nie jest ci znajome, na niczym nie możesz się oprzeć.

Pchnął lustrzane drzwi prowadzące do garderoby Ropera i wszedł nie do jej dzieciństwa, ale do swojego własnego. Czy mój ojciec też miał wojskowy kufer jak ten, z mosiężnymi uchwytami, za które można go było ciągnąć przez cypryjskie gaje oliwne? Ten składany stolik pod mapy sztabowe poplamiony atramentem i drinkami spijanymi po zachodzie słońca? Tę parę skrzyżowanych bułatów w pochwach wiszącą na ścianie? Lub te kapcie z wyszytymi monogramami przypominającymi herb pułkowy? Nawet rzędy szytych na zamówienie garniturów i smokingów, wiśniowych, czarnych, białych, szytych na zamówienie butów ustawionych na drewnianych prawidłach - z gienzy, lakierowanych - miały nieomylny wygląd umundurowania czekającego na sygnał do ataku.

Jonathan, znowu żołnierz, poszukał wrogich śladów: podejrzanych przewodów, kontaktów, czujników, jakiejś kuszącej pułapki, która mogła go posłać do królestwa niebieskiego. Nic. Tylko pamiątkowe szkolne fotografie sprzed jakichś trzydziestu lat, amatorskie zdjęcia Daniela, kupka drobnych w walutach kilku krajów, lista gatunkowych win z Berry Bros. & Rudd, roczny rachunek z londyńskiego klubu Ropera.

„Czy pan Roper często jeździ do Anglii?” - spytał Jed jeszcze u Meistra, podczas gdy czekali na załadowanie bagażu do limuzyny.

„Dobry Boże, nie - odparła. - Roper mówi, że jesteśmy strasznie mili, ale tam uznają nas za niebezpiecznych wariatów. A zresztą on nie może”.

„Czemu nie może?”

„Och, nie wiem. Przez podatki albo coś. Czemu go sam nie zapytasz?” - odpowiedziała zbyt lekko.

Stał przed drzwiami do gabinetu.

Serce labiryntu - pomyślał. Ostatni sekret to twój sekret? Ale kim jesteś? Nim, sobą czy nią?

Drzwi z drzewa cyprysowego osadzone w stalowej framudze. Słyszał z oddali rozmowę, odkurzacze, froterki.

Nie spiesz się - napomniał się żołnierz zwiadu bezpośredniego. Czas to ostrożność. Czas to niewinność. Nikt nie wejdzie na górę i cię nie przyłapie. Pościel jest zmieniana w południe, kiedy czyste prześcieradła i powłóczki mają szansę wyschnąć na powietrzu. Taki jest rozkaz szefa, starannie egzekwowany przez Jed. Jesteśmy posłuszni, Jed i ja. Praca naszych wychowawców, zakonników i mniszek, nie poszła na marne.

Spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte na klucz. Jeden

konwencjonalny zamek z długą wąską dziurką. Odosobnienie pokoju jest jego zabezpieczeniem. Każdy przyłapany w pobliżu będzie rozstrzelany na miejscu. Sięgnął po wytrychy i usłyszał głos Rooke'a: „Pierwsza zasada włamywacza - nigdy nie używaj wytrycha, jeśli możesz znaleźć klucz”.

Odszedł od drzwi i przesunął ręką po półkach. Podniósł róg dywanu, donicę, obmacał kieszenie najbliższego garnituru, potem kieszenie szlafroka. Podniósł kilka najbliższych butów i odwrócił je do góry podeszwą. Nic. Do diabła z tym.

Rozłożył wytrychy i wybrał najodpowiedniejszy. Za gruby. Wybrał drugi i już miał go wsunąć, gdy ogarnęła go groza ucznia, który zadrapał wypolerowaną mosiężną tarczkę dziurki od klucza. Wandal! Kto cię tak wychował! Opuścił ręce, wziął kilka długich oddechów, aby odzyskać operacyjny spokój, i zaczął raz jeszcze. Łagodnie wsunął... przerwa... łagodnie cofnął o milimetr... znowu wsunąć. Głaszcz ją, nie gwałć, jak to się mówi w wojsku. Słuchaj jej, wyczuwaj uścisk, wstrzymuj oddech. Obróć. Łagodnie... cofnij jeszcze o milimetr... teraz obróć mocniej... jeszcze trochę mocniej... Zaraz złamiesz wytrych! Zaraz złamiesz wytrych i ułamek zostanie w zamku! I wtedy zobaczysz!

Zamek ustąpił. Nic się nie złamało. Nic nie pękło. Nikt nie opróżnił magazynku hecklera w twarz Jonathanowi. Wyjął nietknięty wytrych, włożył do pokrowca, pokrowiec do kieszeni džinsów i usłyszał pisk hamulców toyoty zajeżdżającej na dziedziniec przed stajniami. Poczul zimno. Stało się. Żołnierz zwiadu bezpośredniego ukradkiem przysunął się do okna. Pan Onslow Roper nieoczekiwanie powrócił z Nassau. Gracze z drugiej strony granicy idą po broń. Ale to tylko chleb powszedni przyjechał z Townside.

Ale ładnie słuchałeś - powiedział sobie. Spokojne, czujne, wolne od paniki słuchanie. Tato byłby dumny ze swojego chłopca.

Był w jaskini Ropera.

„Ale jeśli się wyłamiesz, pożałujesz, żeś się urodził” - mówi Roper.

„Nie - mówi Burr. - I Rob też mówi nie. Jego sanktuarium jest nietykalne. To rozkaz”.

Nijakość. Żołnierska nijakość. Solidność i umiarkowanie przeciętnego człowieka. Żadnego tronu z wyszywanym obiciem, żadnego szybkretowego biurka, żadnej bambusowej kanapy długiej na trzy metry, z poduszkami, które natychmiast układają cię do snu, żadnych

srebrnych pucharków, żadnego katalogu Sotheby's. Po prostu nijaki, nudny gabinet do ubijania transakcji i zarabiania pieniędzy. Zwyczajne biurko z blatem pokrytym skajem, tacki na akta stojące nierówno. Fotel na giętych stalowych rurach. Jedno okrągłe mansardowe okno wpatrujące się jak ślepe oko we własny pusty kawałek nieba. Dwa motyle paziowate. Jak, do diabła, one się tu dostały? Bardzo głośna mucha. List leżący na stosie innych listów. Adres: Hampden Hall, Newbury. W podpisie: „Tony”. Temat: trudne warunki życiowe piszącego. Ton: jednocześnie błagalny i grożący. Nie czytaj go, sfotografuj. Spokojnie wyjął pozostałe papiery z półeczki, rozłożył je jak karty do gry licem do góry, wyjął podstawę zapalniczki, uzbroidł aparat i zerknął przez mikroskopijny okular. „Rozłóż palce obu rąk, żeby znać zasięg, i zagraj na nosie” - powiedział Rooke. Zagrał na nosie. Obiektyw był szerokokątny. Wszystkie papiery w kadrze. Namierz górę, namierz dół. Pal. Zmień papiery. Nie kapać potem na biurko. Znow zagraj na nosie, żeby sprawdzić zasięg. Spokojnie. Teraz tak samo spokojnie, nie ruszaj się! Stał nieruchomo przy oknie. Przeprowadź zwiad, ale nie za bardzo bezpośredni. Toyota odjeżdża, Gus przy kierownicy. Wracaj do pracy. Powoli.

Zakończył pierwszą półeczkę, odłożył papiery na miejsce, wziął papiery z drugiej. Sześć stron gęsto zapelnionych starannym roperpisaniem. Dowód koronny? A może długi list do eksmałzonki o Danielu? Ułożył je po kolei, od lewej do prawej. Nie, nie list do Pauli. Tu są nazwy i liczby, wiele jednych i drugich, napisanych na papierze milimetrowym piórem kulkowym, nazwy po lewej, liczby obok, każda cyfra starannie wpisana we własny kwadracik. Długi hazardowe? Rachunki domowe? Lista urodzin? Przestań myśleć. Szpieguj teraz, myśl potem. Cofnął się krok, otarł pot z czoła i odetchnął. W tej samej chwili go zobaczył.

Włos. Jeden długi, miękki, prosty, piękny, kasztanowy, rozciągnięty włos, który powinien leżeć w medalionie, miłosnym liściku lub na poduszce i pachnieć drewnem z kominka. Przez moment był wściekły, tak jak wściekli bywają podróżnicy, kiedy docierają do jakiegoś zakątka, w którym diabeł mówi dobranoc, i mają z tego tyle, że znajdują kociołek znieprawionego rywala. Okłamałaś mnie! Wiedziałaś dobrze, co on robi! Cackasz się z najbardziej drańską transakcją w jego karierze! Zaraz potem zrobiło mu się ciepło na sercu, bo Jed odbyła taką samą podróż jak on, nie korzystając z Rooke'a, Burra lub morderstwa Sophie.

A potem ogarnął go dziki strach. Nie o siebie, o nią. Że jest krucha, nieporadna. Bał się o jej życie. Ty cholerna idiotko - powiedział jej -

zostawiłaś tu podpis! Widziałaś kiedyś piękną kobietę ze zmasakrowaną twarzą? Psiaka rozprutego od łba do ogona?

Zwinął zdradziecki włos wokół koniuszka małego palca i wsunął do przepoconej kieszeni koszuli, odłożył drugi zestaw papierów na półeczkę i rozkładał trzeci, gdy usłyszał stukot końskich kopyt dobiegający z okolic stajni. Towarzyszyło mu strofowanie i protestujący dziecięcy głos.

Metodycznie odłożył papiery na właściwe miejsce i podszedł do okna. Z dołu doleciał tupot biegnących nóg, a potem rozległo się wycie Daniela wzywającego matkę, gdy jak burza pokonywał odległość od kuchni do holu. Jed wrzeszczała za nim. Na podwórku przed stajniami Jonathan ujrzał Caroline Langbourne i trójkę jej dzieci, Clauda trzymającego Sarę za uzdę i stajennego Donegala trzymającego kuca Daniela, Misia, który stał ze smutnie zwieszonym łbem, jakby zde gustowany całą aferą.

Bitewny żar.

Bitewny chłód.

W ojca się wdał. Żołnierski pogrzeb będzie miał.

Jonathan wsunął aparat fotograficzny do kieszeni dzinsów i sprawdził, czy przypadkiem nie zostawił śladów na biurku. Chusteczką do nosa wytarł blat, potem boki tacek na akta. Daniel wydzierał się głośniejsz od Jed, ale Jonathan nie mógł dosłyszeć, o co im chodzi. Na podwórzu jedno z małych Langbourne'ów uznało, że należy się dołączyć do chóru narzekań. Esmeralda wyszła z kuchni i mówiła Danielowi, żeby przecież nie był głuptasem, co tatuś powie? Jonathan wszedł do garderoby, zamknął drzwi, przekręcił wytrych w zamku, co zajęło trochę więcej, niż powinno, z powodu lęku przed zarysowaniem tarczki. Zanim dotarł do sypialni, słyszał Jed łomocącą po schodach butami do konnej jazdy, deklarującą każdemu chętnemu ją wysłuchać, że cholera, nigdy więcej nie zabierze Daniela na przejażdżkę! W życiu!

Jonathan zastanawiał się, czy schronić się w łazience, czy wrócić do garderoby Ropera, ale uznał, że chowanie się nie rozwiąże niczego. Opanowała go błoga ociężałość, pragnienie zakosztowania owoców zwłoki, przypominające kochanie się. Więc zanim Jed stanęła na progu w stroju do konnej jazdy, minus palcat i dżokejka, ale zarumieniona z gniewu i gorąca, Jonathan uplasował się przed stolikiem koło kanapy i układał morskie kwiatuszki, bo bukiet stracił nieco na harmonii podczas wnoszenia na górę.

Początkowo była za bardzo zła na Daniela, by cokolwiek mogło ją zaskoczyć. I zrobiło na nim wrażenie, że Jed pod wpływem złości zachowała się autentycznie.

- Thomas, naprawdę, jeśli masz choć cień wpływu na Daniela, to naucz go, żeby nie był taką absolutnie cholerną łajzą, kiedy się skaleczy. Jeden głupi, drobny upadek, nic się nie stało, ucierpiała tylko jego duma, i robi się absolutnie... Thomas, ale czego ty, kurwa, szukasz w tym pokoju?!

- Przyniosłem ci morskie kwiatuszki. Z naszej wczorajszej wspinaczki.

- Czemu nie dałeś ich panie Sue?

- Sam chciałem je ułożyć.

- Mogłeś je ułożyć i dać panie Sue na dole.

Spojrzała rozwścieczona na niezasłane łóżko. Na wczorajsze rzeczy rozrzucone na szezlongu. Na otwarte drzwi do łazienki. Daniel wydzierał się w dalszym ciągu.

- Zamknij się, Daniel!!! - Spojrzała z powrotem na Jonathana. - Thomas, prawdę mówiąc, z kwiatuskami czy bez, to masz, kurwa, tupet!

To był ten sam gniew. Po prostu przeniósłś go z Daniela na mnie - pomyślał, z roztargnieniem gmerając w kwiatach. Nagle wzbudziła w nim wielką opiekuńczość. Wytrychy ciążyły na udzie jak tona balastu, aparat fotograficzny w zapalniczce praktycznie wypadł z kieszeni koszuli, opowiadka o morskich kwiatuskach wykombinowana na użytek Esmeraldy stawała się bezsensowna. Ale myślał o przerażającej bezbronności Jed, nie o swojej własnej. Wycie Daniela ustało. Chłopiec sprawdzał, jakie wywarło wrażenie.

- Więc czemu nie wezwiesz ochroniarzy? - spytał w stronę kwiatów. - Przycisk alarmowy pod ręką, tu na ścianie. A jeśli wolisz, podnieś słuchawkę domofonu. Wykręć dziewięć i zapłacę odpowiednio za swoją, kurwa, bezczelność. Daniel nie robi sceny dlatego, że się skaleczył. Nie chce wracać do Londynu i nie chce dzielić cię z Caroline i jej dzieciakami. Chce cię dla siebie.

- Wynoś się.

Ale spokój i troska o Jed, które poczuł w sobie jednocześnie, dały mu nad nią przewagę. Skończyły się próby i strzelanie ślepakami. Nadszedł czas ostrej amunicji.

- Zamknij drzwi - rozkazał cicho. - Nie jest to dobry moment na rozmowę, ale muszę ci coś powiedzieć i nie chcę, żeby Daniel to usłyszał. Wystarczy mu to, czego się nasłucha przez ścianę sypialni.

Wpatrywała się w niego i widział, jak zmaga się z niepewnością.

Zamknęła drzwi.

- Mam obsesję na twoim punkcie. Nie mogę wyrzucić cię ze swoich myśli. Nie chcę powiedzieć, że jestem w tobie zakochany. Śpię z tobą, budzę się z tobą, nie mogę umyć zębów, żeby nie umyć też twoich, i przez większość czasu kłócę się z tobą. Nie ma w tym logiki, nie ma przyjemności. Nie udało mi się usłyszeć jednej twojej myśli, która byłaby coś warta, a większość tego, co mówisz, to afektowane brednie. A jednak za każdym razem kiedy myślę o czymś zabawnym, chcę, żebyś ty się z tego śmiała, i kiedy czuję się podle, chcę, żebyś właśnie ty podniosła mnie na duchu. Nie wiem, co w tobie jest takiego, jeśli w ogóle coś jest. I czy jesteś tu tylko dla rozrywki, czy dlatego, że jesteś do szaleństwa zakochana w Roperze. I jestem pewien, że sama tego nie wiesz. Myślę, że masz w głowie pomieszanie z poplątaniem. Ale to mnie nie odstrasza. Wcale. To budzi moje oburzenie, ogłupia, chętnie skrzyłbym ci kark. Ale biorę cię z dobrodziejstwem inwentarza.

To były jego słowa. Mówił we własnym i tylko własnym imieniu. Niemniej bezlitosna sierota, która w nim żyła, musiała przerzucić część winy na barki Jed.

- Być może nie powinnaś była opiekować się mną tak serdecznie. Nie powinnaś mnie podnosić, siedzieć na moim łóżku. Powiedzmy szczerze... to wina Daniela, bo dał się porwać. Nie, powiedzmy, że to moja wina, bo dałem się pobić. I twoja, bo robiłaś do mnie słodkie oczy.

Zamknęła te grzeszne oczy i przez chwilę wyglądała, jakby spała. Przeląkł się, że wymierzył jej zbyt mocny cios i wtargnął w nadgraniczny pas zagrabionej ziemi, strefę, za którą schronili się jedno przed drugim.

- To największa, kurwa, zuchwałość, jakiej w życiu zaznałam - odezwała się niepewnie po długim milczeniu.

Nie wybawiał jej z kłopotu.

- Thomas! - powiedziała, jakby wzywała ratunku. Ale nadal nie spieszył jej z pomocą. - Jezu, Thomas... o kurwa! Thomas, to dom Ropera!!!

- To dom Ropera i jesteś dziewczyną Ropera tak długo, jak długo będziesz mogła to znieść. Moje zmysły mówią mi, że już niedługo. Roper to przestępca. Caroline Langbourne niewątpliwie poinformowała cię o tym. To nie pirat ani szuler znad Missisipi, ani romantyczny awanturnik, ani odtwórca żadnej z ról, w których zdecydowałaś się go obsadzić, kiedyście się dobrali. On uprawia nielegalny handel bronią i ma przynajmniej trochę ludzkiej krwi na rękach. - I zachował się

skandalicznie. Jednym, jedynym zdaniem złamał wszystkie zasady Burra i Rooke'a. - Dlatego tacy ludzie jak ty i ja go szpiegują. Zostawiając po całym jego gabinecie takie ślady, że ślepy by zobaczył. Jed tu była. Jed Marshall, jej ślad, jej włos leży na jego dokumentach. On by cię za to zabił. On tak postępuje. Zabija. - Tym wyznaniem wymierzył jej na odlew policzek i czekał teraz na reakcję, ale tylko stała osłupiała. - Lepiej pójde i porozmawiam z Danielem. A tak w ogóle, co niby mu się stało?

- Bóg raczy wiedzieć.

Zrobiła coś dziwnego, kiedy wychodził. Nadal stała przy drzwiach i cofnęła się, przepuszczając go, co mogło być zwyczajną uprzejmością. Ale następnie, kierowana jakimś impulsem, którego prawdopodobnie nie potrafiłaby wytłumaczyć, sięgnęła tuż przed nim do gałki, przekręciła ją i pchnęła drzwi, jakby jego ręce zamieniły się w ołów i potrzebował pomocy.

Daniel leżał na łóżku z nosem w książce o potworach.

- Jed po prostu przesadziła - wyjaśnił. - Mnie tylko odbiło. A ona zaraz dostaje szału.

Nadszedł wieczór tego samego dnia i Jonathan nadal żył, niebo było na swoim miejscu, żadni goryle nie wypadli na niego spomiędzy drzew, kiedy wracał tunelem do Domu Woody'ego. Cykady cykały i łkały w tym samym rytmie, słońce znikło za Górą Panny Mabel, zapadł zmierzch. Poprzednio grał w tenisa z Danielem i dziećmi Langbourne'ów, pływał z nimi w pław i na żaglówce, słuchał opowieści Izaaka o drużynie Tottenham Hotspur, Esmeraldy o złych duchach i Caroline Langbourne o mężczyznach, małżeństwie i mężu.

- Thomasie, nie przeszkadza mi niewierność, tylko kłamanie. Nie wiem, dlaczego ci o tym mówię. Chyba tylko dlatego, że jesteś uczciwy. Nie dbam o to, co on o tobie mówi. Każdy z nas ma swoje kłopoty, ale potrafię rozpoznać uczciwego człowieka. Gdyby tylko mi powiedział: „Mam romans z Annabelle - czy ja kąś i n n ą , z którą akurat romansuje - i co więcej, będę n a d a l ciągnął ten romans”, no cóż, powiedziałabym: „W porządku. Jeśli tak ma być między nami, niech będzie. Tylko nie spodziewaj się wierności po mnie, skoro ty nie jesteś wierny”. Potrafiłabym z tym żyć, Thomasie. My, kobiety, musimy się godzić z czymś takim. T y l k o jestem taka wściekła, bo oddałam mu wszystkie pieniądze i praktycznie trzymałam go tyle lat, i pozwoliłam, żeby tatuś płacił za naukę dzieci, po czym okazało się, że on lata za każdą kurewką, którą los postawił na naszej drodze, i zostawia nas, no, nie bez pensa, ale n a p e w n o nieopływających dostatki.

Przez resztę dnia dwukrotnie zauważył Jed; raz w letnim domu, w żółtej lejbie, piszącą list, raz spacerującą za rękę z Danielem po plaży, brzeg spódnicy miała zatknięty za pasek. A gdy Jonathan wyszedł z domu i zatrzymał się celowo pod balkonem jej sypialni, usłyszał ją rozmawiającą przez telefon z Roperem:

- Nie, kochanie, nic mu się nie stało, to tylko zawracanie głowy. Bardzo szybko się opamiętał i namalował mi Sarę stojącą dęba ponad

dachem stajni. Super, oszalejesz, jak to zobaczysz...

Teraz mu powiesz - pomyślał. „To były dobre wiadomości, kochanie. Ale zgadnij, kogo przyłapałam na szperaniu w naszej sypialni, kiedy weszłam na górę...”

Dopiero gdy dotarł do Domu Woody'ego, czas stanął w miejscu. Zachował ostrożność, zakładając, że jeśli ochrona została postawiona w stan pogotowia, to zapewne zjawiała się wcześniej. Więc wszedł tylnymi drzwiami i zrobił inspekcję obydwu kondygnacji, zanim uznał, że może wyjść z aparatu małą kasetę z filmem, i za pomocą ostrego noża kuchennego ukrył ją w broszurowym wydaniu *Tessy d'Urberville*.

Po tym wydarzenia potoczyły się żwawiej.

Wykąpał się i pomyślał: O tej porze bierzesz prysznic i nikt nie poda ci ręcznika.

Zrobił sobie rosół z resztek kurczaka zostawionych przez Esmeraldę i pomyślał: O tej porze siedzicie z Caroline na patio, jedząc przyrządzonego przez Esmeraldę granika w sosie cytrynowym i słuchasz kolejnego rozdziału z życia Caroline, podczas gdy dzieci zajądają chipsy, lody, piją colę i oglądają *Młodego Frankensteina* w bawialni Daniela, a Daniel leży w sypialni za zamkniętymi drzwiami, czyta i nie cierpi całej tamtej bandy.

Potem poszedł do łóżka, bo wydawało mu się dobrym miejscem do rozmyślań o niej. I pozostał w nim do wpeł do pierwszej, kiedy to nagi żołnierz zwiadu bezpośredniego bezszelestnie wstał i sięgnął po stalowy pogrzebacz trzymamy pod łóżkiem. Wcześniej usłyszał ciche kroki za drzwiami.

Przyszli po mnie - pomyślał. Doniosła na mnie Roperowi i teraz szykuje się, żeby zrobić mi ten sam numer co Woody'emu.

Ale drugi wewnętrzny głos mówił co innego i tego właśnie głosu słuchał Jonathan, od kiedy Jed nakryła go w swojej sypialni. Więc zanim zapukała do frontowych drzwi, odłożył pogrzebacz i zawiął wokół bioder prześcieradło.

Ona też ubrała się stosownie do roli: w długą ciemną suknię i ciemną pelerynę i nie byłby zaskoczony, gdyby nasunęła kaptur jak Święty Mikołaj, ale nie nasunęła kaptura i malowniczo zwiął jej na plecach. Miała latarkę i gdy założył z powrotem łańcuch na drzwiach, skierowała ją w dół i szczelniej otuliła się peleryną. Stała twarzą do niego, krzyżując dramatycznie ręce na szyi.

- Nie powinnaś przychodzić - rzekł, szybko zaciągając zasłony. -

Kto cię widział? Caroline? Daniel? Nocna służba?

- Nikt.
- Na pewno cię ktoś widział. A strażnicy?
- Przeszłam na palcach. Nikt mnie nie słyszał.

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Nie dlatego, że posądzał ją o kłamstwo, ale z powodu okazanej przez nią szaleńczej bez troski.

- Więc co mogę ci zaproponować? - rzekł tonem sugerującym: skoro już przyszałaś.

- Kawę. Kawę, jeśli można. Nie musi być jakaś specjalnie parzona.

„Kawę, proszę. Egipską” - przypomniał obie.

- Oglądali telewizję - powiedziała. - Strażnicy. Widziałam ich przez okno.

- Jasne.

Postawił imbryk na kuchence, położył kilka sosnowych polan na kominku. Przez chwilę dygotała i przyglądała się ze zmarszczonym czołem trzeszczącemu drewnu. Rozejrzała się po pokoju, wyrabiała sobie pogląd na to, co ją otaczało, i na Jonathana; oceniła ogólną schludność i książki, które udało mu się zgromadzić, a także kwiaty, akwarelę Carnation Bay stojącą na kominku obok Danielowego rysunku pterodaktyla.

- Dans namalował mi Sarę - powiedziała. - Na przeprosiny.

- Wiem. Mijałem twój pokój, kiedy mówiłaś Roperowi. Co jeszcze mu mówiłaś?

- Nic.

- Na pewno?

Uniosła się:

- A co według ciebie miałam mu powiedzieć? Thomas myśli, że jestem głupią tanią dziwką?

- Tego nie powiedziałem.

- Gorzej powiedziałeś. Powiedziałeś, że mam w głowie pomieszanie z poplątaniem i że on ma ludzką krew na rękach.

Podał jej kubek kawy. Czarnej. Bez cukru. Wypiła trochę, trzymając kubek w obu dłoniach.

- Jak ja się w to, kurwa, wplątałam? - spytała. - Nie chodzi mi o ciebie. O niego. O to miejsce. O Crystala. O całe to gówno.

- Corky powiedział, że on cię kupił na aukcji koni.

- Żyłam na kocią łapę w Paryżu.

- Co robiłaś?

- Dawałam dupy takim dwóm facetom. Cała ja. Dawałam dupy zupełnie nie tym, którym powinnam, i olewałam tych, którzy byli w

sam raz dla mnie. - Pociągnęła łyk kawy. - Mieli mieszkanie przy rue de Rivoli. Wystraszyli mnie śmiertelnie. Narkotyki, chłopcy, dziewczyny, wóda, ja, wszystko. Raz przed południem obudziłam się i całe mieszkanie było zasłane śpiącymi ludźmi. Wszyscy padli. - Kiwnęła głową do własnych myśli, jakby mówiła: tak, to było to, punkt przełomowy. - Dobra, Jemima, nie czekaj, aż się Bozia do ciebie z góry uśmiechnie, wynoś się stąd. Nawet się nie spakowałam. Przeszłam przez tych śpiących i wybrałam się na aukcję arabów do Maison Lafitte, o której czytałam w „Trib”. Chciałam zobaczyć konie. Ciągle byłam trochę zaćpana i potrafiłam myśleć tylko o tym: o koniach. Zanim ojciec musiał wszystko sprzedać, zajmowaliśmy się właśnie końmi. Konie i modlitwa. Jesteśmy katolikami ze Shropshire - wyjaśniła ponuro, jakby spowiadała się z rodzinnej kłatwy. - Musiałam się uśmiechać, bo taki seksowny facet w średnim wieku powiedział: „Który ci się podoba?”. A ja powiedziałam który. Czułam się... lekka. Wolna. Wszystko to był film. Takie uczucie. W głowie mi się kręciło. No a on ją kupił. Kupił Sarę. Licytacja poleciała tak szybko, że nie nadażalam. Był z nim jakiś Pakistańczyk i jakoś razem licytowali. Potem po prostu odwrócił się do mnie i powiedział: „Jest twoja. Gdzie ci ją posłać?”. Zesztywniałam ze strachu, ale to była próba odwagi, więc sobie pomyślałam, że spróbuję. Zabrał mnie do sklepu na Champs Elysees i byliśmy tam tylko my. Postarał się, żeby przed naszym przyjściem usunęli hołotę. Byliśmy jedynymi klientami. Nakupił mi ciuchów za dziesięć tysięcy funtów i zabrał mnie do opery. Zaprosił mnie na kolację i opowiedział o wyspie Crystal. Potem wziął mnie do hotelu i zerznął. I pomyślałam: Jednym skokiem przebyłam przepaść. On nie jest złym człowiekiem, Thomas. On tylko robi złe rzeczy. On jest jak Archie kierowca.

- Kto to jest Archie kierowca?

Zapomniała na chwilę o Jonathanie, wpatrując się w ogień i popijając kawę. Przestała się trząść. Tylko raz skrzywiła się i objęła za ramiona, ale dręczyły ją wspomnienia, nie chłód.

- Jezu! - szepnęła. - Thomas, co ja robię?!

- Kto to jest Archie?

- Człowiek z naszego miasteczka. Kierowca karetki z miejscowego szpitala. Wszyscy uwielbiali Archiego. Przyjeżdżał na każdą gonitwę przelajową i zajmował się ludźmi, jeśli sobie coś zrobili. Zbierał ciała na zawodach hippicznych, wszystko robił. Dobry Archie. Potem kierowcy karetzek zastrajkowali, Archie pikietował pod bramą szpitala i nie wpuszczał ofiar wypadków, bo mówił, że kierowcy to łamistrajki. I pani Luxome, która sprzątała w Priors, umarła,

bo jej nie wpuścił. - Znowu przeszedł ją dreszcz. - Zawsze palisz na kominku? To trochę głupie w tropikach.

- W Crystalu macie kominki.
- On cię naprawdę lubi. Wiesz o tym?
- Tak.

- Jakbyś był jego synem czy coś. Ciągle mu mówię, żeby się ciebie pozbył. Czuję, że jesteś coraz bliżej, i nie mogłam cię zatrzymać. Dziwak z ciebie. On jakby tego nie widzi. Może nie chce widzieć. Podejrzewam, że to przez Dana. Uratowałeś Dana. Ale to nie może trwać wiecznie, no nie? - Upiła kawy. - Wreszcie myślisz: „Niech będzie, pierdolę to. Jeśli on nie widzi, co się dzieje pod jego nosem, to jego problem”. Corky go ostrzegał. Sandy też. On ich nie słucha.

- Czemu zaglądałaś mu do papierów?

- Caro powiedziała mi o nim tyle, że głowa boli. Bardzo boli. To nie było w porządku. Trochę wiedziałam już wcześniej. Wolałabym nie wiedzieć, ale się nie dało. Ludzie powiedzą coś na przyjęciu. Dan coś usłyszy. Ci okropni bankierzy się przechwalają. Nie potrafię osądzać ludzi. To nie mój styl. Zawsze uważam, że to ja jestem odpowiedzialna, nie oni. Kłopot w tym, że jesteśmy tacy cholernie uczciwi. Mój ojciec taki jest. Wolałby umrzeć z głodu niż oszukać urzędnika podatkowego. Zawsze płacił rachunki tego dnia, kiedy przyszły. Dlatego stał się niewypłacalny. Inni mu nie płacili, a skądże, ale nigdy tego nie zauważył. - Spojrzała na niego przelotnie, a potem uważniej. - Jezu - szepnęła znowu.

- Znalazłaś coś? - Pokręciła głową.

- Nie mogłam, bo jak? Nie wiedziałam, czego mam szukać. Więc pomyślałam: „Pierdolę” i spytałam go.

- Co?!

- Poszłam na całość. Pewnego wieczoru po kolacji powiedziałam: „Czy to prawda, że jesteś przestępcą? Powiedz. Jako twoja dziewczyna mam prawo wiedzieć”.

Jonathan wziął głęboki oddech.

- No, to było przynajmniej uczciwe - powiedział z ostrożnym uśmiechem. - Jak Roper to przyjął? Czy wyspowiadał się do końca, przysiągł, że nigdy już źle nie postąpi, zwałił wszystko na trudne dzieciństwo?

- Skamieniał.
- A co powiedział?
- Powiedział, że powinnam pilnować swoich spraw.

Jonathan miał trudności ze skupieniem się. Usłyszał strzępki rela-

cji Sophie o rozmowie z Freddiem Hamidem na kairskim cmentarzu.

- A ty powiedziałaś mu, że to owszem, jest twoja sprawa? - zasugerował.

- Powiedział, że nie zrozumiałabym, nawet gdyby mi wyjaśnił. Powinnam się zamknąć i nie mówić o sprawach, których nie rozumiem. A potem dodał, że to nie przestępstwo, to polityka. Spytałam: „Co nie jest przestępstwem? Co jest polityką? Powiedz mi najgorsze - prosiłam - do ostatniej linijki, niech wiem, w czym biorę udział?”.

- A Roper?

- Odparł, że nie ma ostatniej linijki. Że tacy ludzie jak mój ojciec właśnie myślą, że jest, i dlatego tacy ludzie jak mój ojciec zawsze są robieni w konia. Dodał, że mnie kocha i to musi wystarczyć. Więc się zezłościłam i powiedziałam, że to może wystarczyłoby Ewie Braun, ale mnie nie wystarczy. Myślałam, że mi przyłoży. Ale on przyjął to do wiadomości. Nic go nie zaskoczy, masz pojęcie? Wszystko to fakty. Jeden fakt więcej, jeden fakt mniej. I na końcu łańcuszka faktów postępujesz tak, jak nakazuje ci logika.

Tak właśnie postąpił z Sophie - pomyślał Jonathan.

- A co z tobą? - spytał.

- Co ma być ze mną? - Chciała koniaku. Nie miał koniaku, więc dał jej szkockiej. - To kłamstwo.

- Co jest kłamstwem?

- Moje życie. Ktoś mówi mi, kim jestem, ja mu wierzę i z tym żyję. Taka jestem. Wierzę ludziom. Teraz zjawiasz się ty i mówisz, że mam w głowie pomieszanie z poplątaniem, ale on nic takiego mi nie mówi. Mówi, że jestem jego lepszą połową. Ja i Daniel to wszystko, co ma dobre. Wyłożył to jasno pewnego wieczoru w obecności Corky'ego. - Łyknęła szkockiej. - Caro mówi, że on szmugluje narkotyki. Wiedziałaś o tym? Jakiś duży transport w zamian za broń i Bóg wie co jeszcze. To nie jest igranie z prawem. Ona twierdzi, że to nie ominiecie przepisów ani skręt puszczony po cichu w obiegu na przyjęciu. Tu chodzi o świadome, zorganizowane przestępstwo na wielką skalę. Ona twierdzi, że jestem dziewczyną gangstera; to kolejna wersja mojej osoby, z którą usiłuję dojść do ładu. W dzisiejszych czasach jak się jest mną, to człowiek co chwila ma niesamowite przeżycia.

Znów spojrzała na niego wprost, twardo.

- Siedzę w gównie po szyję - powiedziała. - Weszłam w nie z mocno zamkniętymi oczami. Zasluguję na wszystko, co mnie spotkało. Tylko nie mów mi, że mam w głowie pomieszanie z poplątaniem. Sama potrafię sobie wygłosić kazanie. W każdym razie, o co

tobie, kurwa, chodzi?! Też nie jesteś wzorem cnót.

- A według Ropera to o co mi chodzi?

- Jesteś w jakichś ciężkich kłopotach. Ale dobry z ciebie facet.

Roper wyprowadzi cię na spokojne wody. Ma po dziurki w nosie tego, że Corky nadaje na ciebie. - Znowu wybuchła: - No, ale z drugiej strony nie przyłapał cię na buszowaniu w naszej sypialni, no nie?! Może coś powiesz.

Odpowiedział po długiej chwili. Najpierw pomyślał o Burze, potem o sobie i wszystkich zasadach zabraniających mu mówić.

- Jestem ochotnikiem - oznajmił.

Skrzywiła się.

- Na usługach policji?

- Mniej więcej.

- Na ile to, co wiem o tobie, jest prawdziwe?

- Sam jeszcze nie wiem.

- Co mu zrobią?

- Złapią go. Postawią przed sądem. Wsadzą do więzienia.

- Jak można zgłosić się na ochotnika do czegoś takiego? Jezu.

Żadne szkolenie nie przewidywało takiej sytuacji. Dał sobie czas na myślenie. Milczenie, jak i odległość między nimi, raczej łączyło ich, niż dzieliło.

- To się zaczęło od dziewczyny. Od kobiety - poprawił się. - Roper i inny człowiek postarali się, żeby została zabita. Czuję się za to odpowiedzialny.

Zgarbiona, nadal szczerze owinięta peleryną, rozejrzała się po pokoju, a potem wróciła spojrzeniem do Jonathana.

- Kochałeś ją? Tę dziewczynę? Tę kobietę?

- Tak. - Uśmiechnął się. - Była moją lepszą połową.

Zastanowiła się nad tym, niepewna, czy to zaaprobować.

- Kiedy uratowałeś Daniela u Mamy, czy to było ustawione?

- W większości.

Patrzył, jak przebiega przez nią to wszystko: obrzydzenie, pragnienie zrozumienia, poplątane zasady moralne wpojone w dzieciństwo.

- Doktor Marti powiedział, że mało cię nie zabili - rzekła.

- Ja mało ich nie zabiłem. Straciłem panowanie nad sobą. To była ustawka, która wymknęła się spod kontroli.

- Jak ona się nazywała?

- Sophie.

- Muszę się o niej dowiedzieć.

Oznaczało to: tu, w tym domu, teraz.

Zaprowadził ją na górę do sypialni i leżeli obok siebie, nie dotykając się, podczas gdy on opowiadał jej o Sophie. Wreszcie Jed zasnęła, a on czuwał. Obudziła się i miała ochotę na wodę mineralną, więc przyniósł jej z lodówki.

O piątej, przed świtem, włożył strój do biegania, i poprowadził ją z powrotem przez tunel do wartowni, nie pozwalając zapalić latarki, ale każąc iść krok za sobą po lewej stronie, jakby była nieopierzonym rekrutem prowadzonym do walki. Przy wartowni zasłonił sobą okno i przeprowadził jedną ze swoich pogaduszek z Marlowem, nocnym strażnikiem, podczas gdy Jed prześliznęła się z tyłu. Miał nadzieję, że jej nie zauważą.

Jego niepokoju nie rozwiało to, że gdy wrócił do domu, zastał Amosa siedzącego na progu i domagającego się filiżanki kawy.

- Miałaś, panie Thomas, miłe, podnoszące na duchu przeżycia ostatniej nocy? - dopytywał się, wsypując cztery kopiaste łyżeczki cukru do filiżanki.

- To była noc jak każda inna, Amos. A jak u ciebie?

- Panie Thomas, od kiedy pan Woodman lubił zabawiać swoje przyjaciółki muzyką i miłym kochaniem, nie czułem o pierwszej w nocy w Townside świeżego zapachu drewna palonego na kominku.

- Według tego, co ludzie mówią, pan Woodman zrobiłby dużo lepiej, gdyby czytał umoralniające książki.

Amos dziko zarechotał.

- Panie Thomas, poza panem tylko jeden człowiek na tej wyspie przeczytał kiedykolwiek książkę. I jest ogłupiały od gandzi i zupełnie ślepy.

Tamtej nocy ku jego przerażeniu przyszła do niego znowu.

Nie miała na sobie peleryny, ale strój do jazdy konnej. Najwidoczniej uznała, że zapewnia jej jakiś rodzaj immunitetu. Był do głębi poruszony, ale niespecjalnie zaskoczony, gdyż do tej pory zauważył u niej pewne zdecydowanie, jakim charakteryzowała się Sophie, i wiedział, że tak jak nie udało mu się powstrzymać Sophie przed powrotem do Kairu i konfrontacją z Hamidem, nie uda mu się odesłać Jed. Więc ogarnął go spokój i dzielił go z nią. Wzięła go za rękę i zaprowadziła na górę. Okazała niepokojące zainteresowanie jego koszulami i bielizną. Coś było źle złożone, więc złożyła to lepiej. Coś się zgubiło, znalazła część do pary. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała bardzo mocno, jakby wcześniej zdecydowała, gdzie jest granica, do której może mu się oddać, ale dalej już nie. Kiedy przestali

się całować, zeszła na dół, ustawiła go pod lampą i dotykała czubkami palców jego twarzy, sprawdzając, czy to na pewno on, fotografowała wzrokiem, jakby robiła zdjęcia, które potem mogłaby ze sobą zabrać. Bezsensowność tego wszystkiego sprawiała, że przypomniał sobie stare małżeństwo emigrantów tańczące u Mamy Low w wieczór porwania, dotykające nawzajem z niedowierzaniem swoich twarzy.

Poprosiła o kieliszek wina. Siedli na kanapie, pijąc wino i delektując się spokojem, który jak się okazało, dzielili. Gestem kazała mu wstać i całowała go raz jeszcze, tuląc się do niego całym ciałem i wiele czasu poświęcając na patrzenie mu w oczy, jakby sprawdzała, czy ich wyraz jest szczery. Potem go zostawiła, gdyż jak się wyraziła, więcej by nie zniosła, zanim Bóg wytnie następny numer.

Po jej wyjściu poszedł na górę i obserwował ją z okna. Potem włożył swój egzemplarz *Tess* do dużej koperty, zaadresował na SEX SHOP, skrytka pocztowa w Nassau, numer podany przez Rooke'a w czasach młodości Jonathana. Wrzucił kopertę do skrzynki pocztowej na nadmorskim bulwarze. Następnego dnia poczta zostanie wyjęta, dostarczona do odrzutowca Ropera i przewieziona do Nassau.

- Samotność nam służyła, kochasiu? - zapytał Corkoran. Znowu siedział w ogródku Jonathana, pił zimne piwo z puszki.

- Jak najbardziej, dziękuję - odparł uprzejmie Jonathan.

- Tak słyszałem. Frisky mówi, że służyła. Tabby mówi, że służyła. Chłopcy przy bramie mówią, że służyła. Wygląda na to, że większość Townside uważa, że służyła.

- To dobrze.

Corkoran pił. Miał na sobie zniszczoną panamę i okropny garnitur, w którym urzędował w Nassau. Przemawiał w kierunku morza.

- I gromadka Langbourne'ów bynajmniej nam nie przeszkadzała?

- Udało się nam zrobić kilka wycieczek. Caroline jest trochę milkliwa, więc dzieciaki były bardzo zadowolone, że mogą się od niej uwolnić.

- Ale z nas dobry człowiek. Ale uczynny. Skarb prawdziwy. Zupełnie jak Sammy, a ja nawet tego gnojka nie posunąłem. - Nasunął kapelusz na czoło i zanucił: „Nieźła robota, o ile się uda”, jakby był Ellą Fitzgerald zawodzącą żalobnie. - Wiadomość od szefa do pana, panie Pine. Jesteśmy blisko godziny zero. Lada chwila trzeba będzie dać pożegnalnego całusa wyspie Crystal i wszystkiemu, co się na niej znajduje. Pluton egzekucyjny, zbiórka o świcie.

- Dokąd jadę?

Corkoran zerwał się na równe nogi i zszedł po schodach na plażę, jakby nie mógł dłużej znieść towarzystwa Jonathana. Podniósł kamyk i mimo tuszy odchylił się, by puścić kaczkę po ciemniejącej wodzie.

- Tam, kurwa, dokąd powinienem jechać! - wrzasnął. - Wskutek jakichś bardzo wyrafinowanych manewrów jakichś pieprzonych ciot nieprzyjaźnie nastawionych do sprawy! Podejrzewam mocno, że jesteś ich marionetką!

- Corky, ty myślisz dupą czy głową?

Corkoran rozważył pytanie.

- Nie wiem, serdeńko. Chciałbym, żeby tak było. Analnie. Żeby tak trafić w ten ciemny punkt. - Kolejna kaczka. - Ja, prorok wołający na puszczy. Szef, chociaż się nigdy do tego nie przyzna, to stuprocentowy, dokumentny romantyk. Wierzy w światłość na końcu tunelu. Kłopot w tym, że w takie samo światelko wierzy, kurwa, byle ćma. - Kolejny kamyczek, któremu towarzyszyło gniewne stęknienie spowodowane wysiłkiem. - Podczas gdy ten tu oto Corky jest zakamieniałym sceptykiem. I w mojej osobistej i zawodowej ocenie jesteś trucizną. - Kolejny kamyczek. I kolejny. - Mówię mu, że jesteś trucizną, a on mi nie wierzy! Wymyślił ciebie. Wyniosłeś jego dziecię z płomieni. Podczas gdy ten tu oto Corky dzięki pewnym bezimiennym osobom, podejrzewam, że twoim przyjaciołom, to przeterminowany towar. - Skończył piwo, cisnął puszkę na piasek i zajął się szukaniem kolejnego kamyczka. Jonathan podał mu go usłużnie. - No cóż, spójrzmy prawdzie w oczy, serdeńko. Ktoś pójdzie ździebełko w odstawkę, no nie?

- Myślę, że tak naprawdę to ktoś staje się ździebełko obłąkany, Corky.

Corkoran otrzepał ręce z piasku.

- Jezu, ta męka bycia przestępcą - narzekał. - Ludzie, hałas. Ten brud. Miejsca, w których nie ma się ochoty przebywać. Nie odnosisz podobnych wrażeń? Oczywiście, że nie. Jesteś ponad to. Wciąż to powtarzam szefowi. Czy słucha? Słucha, mój chodzący ideale?

- Nie mogę ci pomóc, Corky.

- Och, nie przejmuj się. Ja to uporządkuję. - Zapalił papierosa i zaciągnął się z rozkoszą. - I jeszcze jedno. - Machnięciem dłoni wskazał za siebie na Dom Woody'ego. - Dwie noce z rzędu, donoszą moi szpiedzy. Naturalnie, chciałbym coś szepnąć szefowi. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Ale nie mogę tego zrobić Najświętszej Panience na Crystal. Chociaż za innych nie ręczę. Ktoś wypapla. Zawsze tak się dzieje. - Wyspa Panny Mabel stała się czarną

wycinanką na tle księżycy. - Nigdy nie znosiłem wieczorów. Nienawidzę chujostwa. Zresztą jak o tym mowa, to poranków też nie znoszę. To tylko cholerne dzwony pogrzebowe. Jak jesteś Corkym, to w dobry dzień trafi ci się znośne dziesięć minut. Jeszcze jedno za królową?

- Nie, dzięki.

Zapowiadało się bardzo trudne rozstanie. Zebrali się o brzasku na pasie startowym Panny Mabel jak wielu innych uchodźców. Jed miała ciemne okulary i postanowiła nikogo nie widzieć. W samolocie, nadal nie zdejmując ciemnych okularów, siedziała skulona na tylnej kanapie pomiędzy Corkoranem a Danielem, podczas gdy Frisky i Tabby oskrzydłili Jonathana na przednim siedzeniu. Kiedy wylądowali w Nassau, przy bramce czekał MacArthur. Corkoran podał mu paszporty, w tym paszport Jonathana, i wszyscy przeszli odprawę bez żadnych pytań.

- Jed będzie miała mdłości - oświadczył! Daniel, kiedy wsiadali do nowego rollsa.

Corkoran kazał chłopcu się zamknąć.

Rezydencja Ropera reprezentowała styl neo-Tudor, była porośnięta bluszczem i odrobinę zaniedbana.

Po południu Corkoran zabrał Jonathana na wielkie szaleństwo zakupowe we Freetown. Był w zmiennym nastroju. Kilkakrotnie zatrzymywał się na drinka w obskurnych małych barach. Jonathan pił colę. Wydawało się, że wszyscy znają Corkorana, niektórzy trochę za dobrze. Frisky szedł za nimi w pewnej odległości. Kupili trzy bardzo drogie włoskie garnitury - „Spodnie muszą być wykończone na wczoraj, Clive, kochany, albo szef oszaleje!” - kilka koszul, skarpetki, dobrane krawaty, buty i paski, lekki granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, bieliznę, lniane chusteczki do nosa, piżamy oraz kosmetyczkę z delikatnej skóry z elektryczną maszynką do golenia i parą ładnych szczotek do włosów ze srebrnymi „T”. „Mój przyjaciel nie uznaje niczego, co nie ma T - no nie, serdeńko?” A gdy wrócili do rezydencji Ropera, Corkoran zakończył swoje dzieło, wyjmując portfel ze świńskiej skóry pełen najpopularniejszych kart kredytowych na nazwisko Thomas, czarną dyplomatkę z cielęcej skóry, złoty zegarek Piageta i złote spinki do mankietów z wrytymi inicjałami „DST”.

Więc gdy wreszcie wszyscy zebrali się w salonie na szampana, Jed i Roper olśniewający i rozluźnieni, Jonathan wyglądał jak ideał nowoczesnego młodego dyrektora.

- Co o nim sądzicie, kochani? - spytał Corkoran z dumą twórcy.

- Świetnie - powiedział niezbyt przejęty Roper.

- Super - dodała Jed.

Po szampanie wybrali się do restauracji „U Enza” na Paradise Island, gdzie Jed zamówiła sałatkę z homara.

* * *

I o to właśnie poszło. O jedną sałatkę z homara. Jed obejmowała Ropera za szyję, składając zamówienie. I obejmowała go nadal, gdy Roper przekazywał zamówienie właścicielowi. Siedzieli obok siebie, bo to był ich ostatni wspólny wieczór, a jak wszyscy wiedzieli, straszliwie się kochali.

- Kochani - rzekł Corkoran, wznosząc kieliszek w ich kierunku. - Idealna para. Piękna niewiarygodnie. Niech żaden człowiek nie waży się jej rozłączyć. - I osuszył kieliszek, podczas gdy właściciel, przerażony Włoch, zawiadomił, że niestety nie ma już sałatki z homara.

- Cielęcinę, Jeds? - zaproponował Roper. - *Penne* jest dobre? *Polio!* Zjedz *polio*. Nie, nie jedz. Dużo czosnku. Nie będzie można się do ciebie zbliżyć. Ryba. Przynies jej rybę. Chcesz rybę, Jeds? Solę? Jaką rybę chcesz?

- Każda ryba powinna przystać na tę ofiarę! - obwieścił Corkoran.

Jed poprosiła rybę zamiast homara.

Jonathan też zamówił rybę i ocenił, że jest wspaniała. Jed dodała, że jej jest fantastyczna. Podobnie postąpili MacDanby, niezwłocznie przyzwani, aby uzupełnić towarzystwo do liczby wymaganej przez Ropera.

- Nie wygląda mi na fantastyczną - powiedział Corkoran.

- Och, Corks, jest o niebo lepsza od homara. Numer jeden na mojej liście.

- Homar w menu, na całej wyspie kroku nie można zrobić, żeby nie nadepnąć na homara, czemu, do diabła, nie ma homara? - nie ustępował Corkoran.

- Po prostu dali plamę, Corks. Nie każdy może być takim geniuszem jak ty.

Roper był nieobecny duchem. Nie wynikało to z nieprzyjaznego nastawienia. Po prostu miał sporo rzeczy na głowie i trzymał rękę na kolanie Jed. Ale Daniel, który niebawem wracał do Anglii, zdecydował się stawić czoło roztertargnieniu ojca.

- Roperowi szykuje się zarobek na lewo - oświadczył w momencie niefortunnej ciszy. - Niedługo będzie termin tej jego hipertransakcji. Potem nikt nie będzie mógł go tknąć.

- Dans, przymknij się - zareagowała elegancko Jed.
- Co to jest: wisi na ścianie i wrzeszczy? - spytał Daniel. Nikt nie wiedział. - Dupa, nie alpinista.

- Dans, chłopie kochany, zamknij się - powiedział Roper. Ale Corkoran był złym duchem tego wieczoru i wziął się do opowiadania historyjki o swoim kumplu z firmy konsultingowej, Shortwarze Wilkinsie, który na początku wojny irańsko-irackiej prognozował klientom, że cała awantura skończy się w półtora miesiąca.

- Co się z nim stało? - spytał Daniel.

- Obawiam się, że został panem swojego czasu, Dan. Jest przeważnie zalany w pestkę. Wyciąga forsę od kumpli. Trochę jak ja za kilka lat. Pamiętaj o mnie, Thomas, kiedy będziesz przejeżdżał własnym rollsem i dojrzysz znajomą twarz w rynsztoku. Rzuć grosik przez wzgląd na dawne czasy, dobrze, serdeńko? Zdrowie, Thomas. Sto lat. Niech wszystkie twoje wcielenia żyją długo. Zdrówko.

- Twoje zdrowie, Corky - odrzekł Jonathan.

Któryś MacDanby chciał opowiedzieć swoją historyjkę o tym lub owym, ale Daniel znowu się wmieszał:

- Jak uratować świat?

- No, powiedz, serdeńko - rzekł Corkoran. - Umieram z chęci, żeby się dowiedzieć.

- Wymordować ludzkość.

- Dans, zamknij się! - powiedziała Jed. - Robisz się koszmarny.

- Ja tylko powiedziałem „wymordować ludzkość”! To dowcip! Nie potrafisz nawet zrozumieć dowcipu? - Uniósł obie ręce i wystrzelał z wymagowanego karabinu maszynowego wszystkich przy stole. - E!-e!-e!-e!-e! I już! Teraz świat jest bezpieczny. Nikogo nie ma.

- Thomas, weź Dansa na spacer - rozkazał głośno Roper. - Przyprowadź go, kiedy jego maniery ulegną poprawie.

Lecz gdy Roper to mówił - bez wielkiego przekonania, ponieważ był to wieczór pożegnalny Daniela i chłopiec zasługiwał na trochę pobłażliwości - obok przenoszono sałatkę z homara. Dojrzał ją Corkoran. Złapał za przegub kelnera Murzyna i przyciągnął go do siebie.

- Hej, człowieku! - zawołał zaskoczony kelner, a potem z baranym uśmiechem rozejrzał się w nadziei, że uczestniczy w jakimś dziwnym żarcie.

Właściciel pędził do nich przez salę. Frisky i Tabby, siedzący przy narożnym stoliku ochroniarzy, unieśli się i rozpięli marynarki. Wszyscy zamarli.

Corkoran stał. I z siłą, której nikt się po nim nie spodziewał, ściągał

w dół ramię kelnera. Biedak przechylił się mimowolnie, taca przekrzywiła się alarmująco. Twarz Corkorana była szkarłatna, podbródek podniesiony.

- Czy pan mówi po angielsku? - zapytał właściciela na tyle głośno, że słyszano go w całej restauracji. - Ja tak. Nasza dama zamówiła homara. Powiedział pan, że nie ma już homara. Jest pan kłamcą, sir. I obraził pan naszą damę oraz towarzyszącego jej dżentelmena. Bo homar był!

- Został wcześniej zamówiony! - zaprotestował właściciel, okazując niespodziewany hart ducha. - Było specjalne zamówienie. Dziesiąta rano dziś. Chce homara pan na pewno? Pan I zamówić homara. Puścić tego człowieka!

Nikt przy stole się nie poruszył. Wielkie przedstawienia narzucają własne reguły. Nawet Roper przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie miał pewności, czy interweniować.

- Jak się pan nazywasz? - spytał właściciela Corkoran.
- Enzo Fabrizzi.
- Zostaw go, Corks - rozkazał Roper. - Nie nudź. Nudzisz.
- Corky, przestań! - powiedziała Jed.
- Jeśli nasza dama ma na coś ochotę, panie Fabrizzi, czy na homara, czy na wątróbkę, czy na rybę, czy na coś bardzo zwyczajnego, jak stek albo kawałek cielęciny, pan ma jej to podać. Bo jak nie, panie Fabrizzi, to ja wykupię tę restaurację. Jestem niezmiernie bogaty. I będzie pan zamiatał ulice, podczas gdy ten oto pan Thomas będzie mijał pana swoim rolls-royce'em.

Jonathan, olśniewający w swoim nowym garniturze, wstaje przy końcu stołu i uśmiecha się uśmiechem hotelarza.

- Czas kończyć przyjęcie, nie sądzi pan, szefie? - mówi niesłychanie grzecznie, podchodząc spokojnym krokiem do Ropera. - Wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni podróżą. Panie Fabrizzi, nie pamiętam, kiedy jadłem lepszą kolację. Tak naprawdę to teraz przydałby się tylko rachunek. Może któryś z pańskich pracowników byłby tak uprzejmy go dostarczyć.

Jed wstaje do wyjścia, nie patrzy na nikogo. Roper zakłada szal na jej ramiona. Jonathan odsuwa krzesło i Jed uśmiecha się z dystansem, wyrażając wdzięczność. Któryś MacDanby płaci. Rozlega się stłumiony okrzyk, gdy Corkoran rzuca się na Fabrizziego, i wcale nie żartuje - ale Frisky i Tabby są pod ręką i powstrzymują go, co szczęśliwie się składa, bo kilku pracowników restauracji już płonie chęcią pomszczenia kolegi. Wreszcie wszyscy stają na ulicy, podjeżdża rolls.

„Nigdzie nie jadę - upierała się wcześniej, trzymając w dłoniach twarz Jonathana i wpatrując się w jego oczy samotnika. - Potrafiłam udawać poprzednio, potrafię teraz. Potrafię udawać, póki będzie trzeba”.

„On cię zabije - powiedział na to Jonathan. - Dowie się. Na pewno. Wszyscy mówią o nas za jego plecami”.

Ale ona, jak Sophie, myślała chyba, że jest nieśmiertelna.

Spokojny jesienny deszcz pada na otaczające Whitehall ulice, gdy Rex Goodhew idzie na wojnę. Też jest spokojny. W jesieni kariery, dojrzałe pewny swojej sprawy. Nic na pokaz, żadnych fajerwerków ani wielkich haseł. Spokojna wyprawa jego walecznej strony. Osobiście, ale i altruistyczna wojna przeciwko nomen omen Siłom Darkera*.

* Siłom Ciemności (*Darker* – dosł. mroczniejszy).

- Wojna na śmierć i życie - mówił żonie bez trwogi. - Moja głowa albo ich. Walka na noże w stylu Whitehall, musimy się mieć na baczności.

- Jeśli jesteś pewny, kochanie - odparła ona.

- Jestem pewny.

Każdy jego ruch jest starannie przemyślany. Żadnego pośpiechu, nic pochopnie, nic ukradkiem. Posyła jednoznaczne sygnały skrytym wrogom w Czystym Wywiadzie.

Niech mnie zobaczą, niech usłyszą, mówi. Niech zadrżą. Goodhew gra w otwarte karty. O tyle o ile. Nie tylko haniebna propozycja Neala Marjorama pchnęła Goodhew do działania. Tydzień temu mało nie zginął, jadąc rowerem do biura. Wybrał swoją ulubioną trasę widokową - najpierw ścieżką dla rowerzystów w kierunku zachodnim przez Hamstead Heath, potem przez St John's Wood i Regent's Park do Whitehall - i w pewnym momencie znalazł się pomiędzy dwiema furgonetkami o wysokich burtach, jedna brudnobiała z łuszczącym się napisem, którego nie zdołał odczytać, druga zielona i bez napisu. Jeśli hamował, one też hamowały. Jeśli mocniej naciskał na pedały, one przyspieszały. Początkowo zdezorientowany, szybko wpadł w gniew. Dlaczego kierowcy patrzyli na niego takim zimnym wzrokiem, a potem spoglądali na siebie, zbliżając się coraz bardziej, zabierając kolejny skrawek wolnej przestrzeni? Co robiła trzecia półciężarówka blokująca drogę ucieczki z tyłu?

Krzyczał: „Uwaga! Mińcie mnie!”, ale kierowcy ignorowali go. Samochód z tyłu dotknął zderzakami tych przed sobą. Szybę miał

zachlapaną, co uniemożliwiało rozpoznanie twarzy kierowcy. Boczne ciężarówki zbliżyły się tak bardzo, że gdyby Goodhew poruszył kierownicą, stuknęłyby o którąś.

Uniósłszy się nad siodełko, uderzył ręką o ścianę ciężarówki z lewej i odepchnął się od niej, łapiąc równowagę. Kamienna twarz w lusterku bocznym patrzyła obojętnie. W ten sam sposób zaatakował ciężarówkę z prawej. Zareagowała, nieznacznie się zbliżając.

Tylko światła na skrzyżowaniu uratowały go przed zgnieceniem. Ciężarówki zatrzymały się, ale Goodhew po raz pierwszy w życiu przejechał na czerwonym, ledwo wymykając się śmierci, gdy śmignął przed lśniącą maską mercedesa.

Tego samego dnia po południu Rex Goodhew sporządza nowy testament. Nazajutrz, używając zawodowych forteli, obchodzi nieruchawą maszynierię własnego ministerstwa - oraz sekretariatu swojego szefa - i rekwiruje część ostatniej kondygnacji, płataninę pokoiów poddasza przypominających sale muzealne, pełne sprzętu elektronicznego z zamierzchłych czasów, zainstalowanego na wypadek grożącej Wielkiej Brytanii lada dzień inwazji bolszewików. Prawdopodobieństwo tego wydarzenia minęło, ale szarych ludzi z administracji ktoś musiałby o tym poinformować i gdy Goodhew żąda poddasza na tajne cele, pomagają ochoczo. W ciągu jednej nocy przestarzały sprzęt wartości wielu milionów funtów trafia do Aldershot na złomowanie.

Następnego dnia mała ekipa Burra staje się lokatorem dwunastu zatęchłych pomieszczeń, dwóch nieczynnych toalet rozmiarów kortów tenisowych, ogołoconej sali łączności, osobnej klatki schodowej z marmurową balustradą i wytartym linoleum. Dostępem do tego wszystkiego bronią pancerne drzwi firmy Chubb z judaszem. Kolejnego dnia Goodhew nakazuje porządki elektroniczne i wszystkie linie telefoniczne dostępne Domowi za Rzeką zostają zlikwidowane.

Jeśli chodzi o wyciąganie publicznych funduszy z ministerstwa, to ćwierćwiecze, które Goodhew spędził pod flagą Whitehall, nie poszło na marne. Staje się Robin Hoodem biurokracji. Szarogęsi się na rządowych kontaktach i zaopatruje swoich nieobliczalnych podwładnych.

Burr potrzebuje trzech dodatkowych osób do obsługi biura i wie, gdzie je znaleźć?

- Zatrudnij je, Leonardzie, zatrudnij.

Informator ma coś ciekawego i trzeba wyłożyć parę tysiączków?

- Płać mu, Leonardzie, płac, daj tyle, ile chce.

Rob Rooke chciałby wziąć ze sobą parę obserwatorów do Cu-

ração?

- Para wystarczy, Rob? A nie lepiej dwie pary?

Małostkowe obiekcje Goodhew, kpiny, oskarżenia o szaleństwo znikają bez śladu. Wystarczy, że minie stalowe drzwi do nowego gniazda Burra na poddaszu, i persyflaż opada z niego jak peleryna. Każdego wieczoru na zakończenie oficjalnego urzędowania przybywa do, jak ją skromnie nazywa, wieczornej pracy i Burr tylko z najwyższym trudem znajduje tyle energii, by sprostać zapalom Goodhew. Ten się uparł, że zajmie najbardziej lichy pokój leżący na końcu opuszczonego korytarza, o oknach wychodzących na parapet skolonizowany przez gołębie. Ich gruchanie i turkotanie doprowadziłoby człowieka mniejszego formatu do szaleństwa, lecz Goodhew ledwo je słyszy. Postanowił nie wdziierać się na operacyjne terytorium Burra i wyłania się tylko po to, by zgarnąć kolejną porcję raportów lub zaparzyć filiżankę herbatki z głogu i wymienić uprzejme żarciki z nocną zmianą. Potem wraca do biurka i zapoznaje się z ostatnimi posunięciami nieprzyjaciela.

- Zamierzam zatopić ten ich „Okręt Flagowy” z całą załogą na pokładzie, Leonardzie - mówi Burrowi z nerwowym ruchem głowy, którego tamten nigdy przedtem u niego nie zauważył. - Kiedy skończę z Darkerem, nie zostanie ani jeden Marynarz. A twój zasrany Dicky Roper wyląduje za kratkami, zapamiętaj moje słowa.

Burr je zapamiętuje, ale nie jest pewien, w jakim stopniu okażą się prawdą. Nie chodzi o to, że wątpi w zdecydowanie Goodhew. Wierzy również bez zastrzeżeń w to, że ludzie Darkera prześladują, straszą albo nawet posyłają do szpitala swoich przeciwników. Burr od miesięcy starannie pilnuje tyłów. Kiedy to tylko możliwe, sam odwozi dzieci do szkoły i zawsze dba o to, aby ktoś odebrał je wieczorem.

Burr martwi się tym, że Goodhew nawet teraz nie jest świadom wielkości ośmiornicy. W jednym tylko tygodniu Burrowi trzykrotnie odmówiono dostępu do dokumentów, o których wie, że są w bieżącym obiegu. Trzy razy bezskutecznie składał zażalenie. Przy ostatniej okazji udał się osobiście do jaskini archiwisty MSZ.

- Lękam się, że został pan błędnie poinformowany, panie Burr - powiedział archiwista. Nosił czarny krawat właściciela zakładu pogrzebowego i czarne zarekawki na rękawach czarnej marynarki. - Wspomniana teczka została skierowana do zniszczenia wiele miesięcy temu.

- To znaczy, że została oznaczona kodem dostępu „Okręt Flagowy”. Czemu tego nie powiesz?

- Została...? Przepraszam pana, nie rozumiem. Czy zechciałby

się pan jaśniej wyrazić?

- Moja sprawa to „Pijawka”, panie Atkins. Osobiście założyłem teczkę, której się obecnie domagam. Jest tylko sześć teczek odnoszących się do „Pijawki”, założonych przez moje ministerstwo, z wzajemnymi odsyłaczami: dwie przedmiotowe, dwie organizacyjne, dwie osobowe. Żadna z nich nie istniała jeszcze półtora roku temu. Kto słyszał o tym, by archiwum autoryzowało zniszczenie teczek w półtora roku po założeniu?

- Przykro mi, panie Burr. Być może „Pijawka” to faktycznie pańska sprawa. Nie mam powodu panu nie wierzyć. Ale jak mawiamy w archiwum, mieć sprawę to jeszcze nie znaczy mieć teczkę.

Niemniej strumień wiadomości płynie w imponującym tempie. Zarówno Burr, jak i Strelski mają swoje źródła informacji:

Transakcja nabiera rumieńców... panamski łącznik wchodzi do gry... sześć zarejestrowanych w Panamie kontenerowców, wycarterowanych przez przedsiębiorstwo Ironbrand z siedzibą w Nassau, płynie przez południowy Atlantyk do Curaçao, spodziewana data przybycia - za osiem dni, licząc od dzisiaj. Wiozą pięćset kontenerów *loco* Kanał Panamski... w listy przewozowe wpisano części zamienne do ciągników, maszyny rolnicze, wyposażenie górnicze i różne artykuły luksusowe...

Starannie dobrani doradcy wojskowi - w tym czterech francuskich komandosów, dwóch izraelskich ekspułkowników z sił specjalnych i sześciu Rosjan po specnazie - spotkali się zeszłego tygodnia w Amsterdamie na pożegnalnej uczcie w najlepszej indonezyjskiej restauracji. Następnie polecili do Panamy...

Przez kilka miesięcy na targach zbrojeniowych krążyły opowieści o dużych zamówieniach na wyposażenie zgłaszanych przez podwładnych Ropera; teraz uzupełniono je o informację, która potwierdzała koncepcję, że Roper wprowadzi zmiany na listę zakupów. Brat Michael Strelskiego alias Apostoł rozmawiał z kolegą adwokatem o nazwisku Moranti reprezentującym interesy karteli. Wspomniany Moranti ma siedzibę w Caracas i jest uważany za główny filar chwiejnego aliansu między kartelami.

- Twój pan Roper staje się patriotą - oświadcza Burrowi Strelski, używając bezpiecznej linii telefonicznej. - Kupuje amerykański towar.

Burrowi zamiera serce, ale udaje, że go to nie obeszło.

- Jaki z niego patriota, Joe! Angol powinien kupować angielskie.

- Uczy kartele nowej zasady - mówi niezrażony Strelski. - Jeśli spodziewanym nieprzyjacielem jest Wuj Sam, najlepiej zrobią, kupując zabawki Wuja Sama. W ten sposób zyskują bezpośredni dostęp do części zamiennych, do broni pojmanego wroga, którą mogą wykorzystać, są zaznajomieni z techniką nieprzyjaciela. Brytyjski przenośny przeciwlotniczy zestaw rakietowy Starstreak, brytyjskie granaty rozpryskowe, brytyjska zaawansowana technologia to nieodrodna część całości. Jasne. Ale ich podstawowe zabawki muszą być wiernym odbiciem uzbrojenia spodziewanych wrogów. Trochę brytyjskiego, reszta amerykańskiego.

- A co na to kartele? - pyta Burr.

- Są wniebowzięte. Wniebowzięte amerykańską technologią. Brytyjską też. Wniebowzięte Roperem. Chcą wszystkiego, co najlepsze.

- Czy ktoś wyjaśnił, co spowodowało tę zmianę obiektu uczuć?

Pod beztróskim tonem Strelskiego Burr wyczuwa niepokój porównywalny z tym, jaki sam przeżywa.

- Nie, Leonardzie. Nikt, kurwa, nie podał najmniejszego wyjaśnienia. Przynajmniej nie podał go Agencji Ochrony. Nie w Miami. I chyba w Londynie też nie.

Ta relacja została potwierdzona dzień później przez handlarza w Belgradzie, obsługującego znajomego Burra. Sir Anthony Joyston Bradshaw, dobrze znany na co bardziej nielegalnych targowiskach jako sygnatariusz Ropera, zmienił poprzedniego dnia wstępne zamówienie wartości trzech milionów dolarów opiewające na czeskie kałasznikowy na podobne zamówienie obejmujące amerykańskie armality, przeznaczone teoretycznie dla Tunezji. Karabiny miały zaginać w transporcie i zostać skierowane jako maszyny rolnicze do Gdańska, gdzie zorganizowano magazynowanie i skąd miały popłynąć kontenerowcem pod flagą Panamy. Joyston Bradshaw wyraził również zainteresowanie brytyjskimi rakietami ziemia-powietrze, ale podobno zaśpiewał niebotyczną prowizję.

Ale gdy Burr ponuro rozważa tę zmianę, Goodhew sprawia wrażenie, jakby nie potrafił ocenić jej implikacji:

- Nie obchodzi mnie, czy kupują amerykańskie automaty czy chińskie rurki do strzelania grochem. Nie obchodzi mnie, czy oczyszczą magazyny brytyjskich producentów. Jakkolwiek na to patrzeć, to handel bronią, w którym środkiem płatniczym są narkotyki, i żaden sąd na ziemi go nie zignoruje.

Burr zauważył, że przy tych słowach Goodhew zaczerwienił się mocno i z trudem nad sobą panował.

Nadal napływają informacje:

Jak do tej pory nie udało się ustalić miejsca wymiany towarów. Tylko dwaj główni gracze poznają szczegóły z wyprzedzeniem...

Kartele wyznaczyły portowe miasto Buenaventura na zachodnim wybrzeżu Kolumbii jako miejsce odprawy ładunku i z praktyki wynika, że ten sam port będzie użyty jako miejsce przejścia przybyłego wyposażenia...

Dobrze uzbrojone, chociaż nieudolne oddziały armii kolumbijskiej na żołądź karteli zostały skierowane do rejonu Buenaventura dla ochrony transakcji...

Zgromadzono setkę ciężarówek wojskowych przy magazynach portowych - ale gdy Strelski zażądał zdjęć satelitarnych mogących potwierdzić tę informację lub jej zaprzeczyć, to wedle słów Burra uderzył głową w mur. Szpiegokrąki w Langley oświadczają, że Strelski nie ma uprawnień.

- Leonardzie, powiedz mi coś. Co w tym wszystkim, kurwa, znaczy „Okręt Flagowy”?

Burr ma zawroty głowy. W jego rozumieniu sprawa oznaczona „Okręt Flagowy” jest podwójnie zastrzeżona w Whitehall. Dostęp do niej nie tylko wymaga koniecznego pozwolenia; jest również oznaczona kryptonimem „Gwardia”, co znaczy: nie pokazywać Amerykanom. Więc jak, na Boga, baronowie Czystego Wywiadu z Langley, Wirginia, mogą mówić Strelskiemu, Amerykaninowi, że nie ma wstępu na „Okręt Flagowy”?

- „Okręt Flagowy” to tylko płot, żeby trzymać nas na dystans - grzmi Burr kilka chwil później w towarzystwie Goodhew. - Jeśli Langley o nim wie, dlaczego my nie możemy wiedzieć? „Okręt Flagowy” oznacza Darkera i jego przyjaciół z drugiej strony wody.

Goodhew nie reaguje na wzburzenie Burra. Pochyliła się nad mapami, wykreśla kursy kredkami, zaznajamia się z namiarami kompasu, długością postojów w podróży, formalnościami portowymi. Zagrzebuje się w dziełach poświęconych prawu morskemu i urąga wielkiemu znawcy prawa, z którym chodził do szkoły:

- Więc co wiesz na temat zakazu handlu na morzu, jeśli w twoim przypadku w ogóle można mówić o jakiejś wiedzy? - Piskliwy głos Goodhew dobiega Burra z końca korytarza. - Ależ oczywiście, że nie zamierzam płacić twoich absurdalnych honorariów! Zamierzam postawić ci bardzo marny lunch w klubie i dla dobra naszego kraju ukraść ci dwie godziny twojego znacznie przeszacowanego czasu pracy. Jak twoja żona wytrzymuje z tobą, od kiedy zostałeś lordem?... No cóż, przekaż jej moje wyrazy współczucia i widzimy się we czwar-

tek punkt pierwsza.

Za ostro zabierasz się do rzeczy, Rex, myśli Burr. Zwolnij. Jesteśmy jeszcze daleko od celu.

„Nazwiska, nazwiska i liczby” - powiedział Rooke. Jonathan dostarcza ich w obfitości. Niewtajemniczonym owoce jego wysiłków mogą wydać się na pierwszy rzut oka nieistotne: przezwiska podpatrzone na wizytówkach na stołach; fragmenty podsłuchanych rozmów prowadzonych półgębkiem; rzut oka na list leżący na biurku Ropera, notatki Ropera o tym, kto, ile, co i kiedy. Takie pojedyncze strzępki wypadały żałośnie obok robionych z ukrycia fotografii Pata Flynna przedstawiających byłych żołnierzy specnazu, obecnie najemników lądujących na lotnisku w Bogocie; lub obok jeżących włos na głowie opowieści Amata o potajemnych szaleństwach Corkorana w burdelach Nassau; lub przechwyconych przelewach bankowych wypływających z szanowanych instytucji finansowych i świadczących, że dziesiątki milionów dolarów trafiają na konta powiązanych z Roperem przedsiębiorstw zarejestrowanych w rajach podatkowych, w Curaçao.

Jednak raporty Jonathana ułożone w odpowiednim porządku dostarczały rewelacji równie sensacyjnych co każdy wielki zamach stanu. Po jednej nocy tej lektury Burr oświadczył, że dostaje choroby morskiej. Po dwóch Goodhew zauważył, że wcale się nie zdziwi, jeśli nagle wyczyta, że kierownik jego osobistego banku był widziany na wyspie Crystal z walizą pieniędzy klientów.

W zdumienie wprawiały ich nie tyle rozmiary ośmiornicy, co jej zdolność do penetrowania zakątków otaczanych największą czcią. W grę wchodziły instytucje, które aż do tej chwili nawet Burr uważał za nieskalane, o nazwiska poza wszelkimi podejrzeniami.

Goodhew czuł się tak, jakby oto na jego oczach do historii odchodziła cała chwała Anglii. Jadąc nad ranem do domu, przystawał, patrząc rozgorączkowany na parkujący radiowóz i zastanawiał się, czy jednak krążące co dzień opowieści o brutalności i skorumpowaniu policji nie są prawdą, a nie wymysłem pismaków i malkontentów. Wchodząc do klubu, zauważał wybitnego bankiera lub znajomego maklera i zamiast radośnie pomachać ręką w ich kierunku, jak zrobiłby przed trzema miesiącami, przyglądał się im spod byka z drugiej strony sali, pytając w myśli: Jesteś jednym z nich? A ty? A ty?

- Złożę *démarche* - oświadczył podczas jednego z ich trójkowych zebrań w środku nocy. - Zdecydowałem. Zwołam zebranie Komisji Koordynacyjnej. Zacznę od tego, że zmobilizuję MSZ, oni

zawsze się pałą do wojny z ludźmi Darkera. Merridew nas wesprze, a jego głos się liczy. Na pewno stanie po naszej stronie.

- A czemu miałby to zrobić? - spytał Burr.

- A czemu nie?

- Jeśli dobrze pamiętam, brat Merridew jest jednym z zarządzających u Jasona Wahole'a. Jason władował w przedsiębiorstwo w Curaçao jednorazowo pięćset obligacji na okaziciela warte pół miliona sztuka.

- Strasznie przepraszam, stary - szepnęła Palfrey z cieni, które zawsze zdawały się go otaczać.

- Za co, Harry? - spytał uprzejmie Goodhew.

Tamten przeniósł szaszczute spojrzenie z rozmówcy na drzwi wyjściowe. Siedzieli w pubie w północnym Londynie, niedaleko domu Goodhew w Kentish Town. Palfrey sam wybrał lokal.

- Za to, że spanikowałem. Że dzwoniłem do ciebie do biura. Za zamieszanie. Jakim cudem tak szybko się tu dostałeś?

- Rowerem, oczywiście. Co się stało, Harry? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Chyba nie nastawali też na twoje życie, prawda?

- Rowerem - powtórzył Palfrey. Łyknął szkockiej i natychmiast otarł usta chusteczką, jakby w poczuciu winy chciał usunąć ślady. - Rower, najlepszy sposób. Faceci na chodniku nie dotrzymają kroku. Faceci w samochodzie muszą objechać cały kwartał. Moglibyśmy pójść obok? Tam jest głośniejsze.

Usiedli w salonie gier, w którym mechaniczna muzyka zagłuszała konwersację. Dwóch muskularnych chłopaków ostrzyżonych po wojskowemu grało w bilard grzybkowy. Palfrey i Goodhew siedli obok siebie na drewnianej ławie.

Palfrey potarł zapalną i z trudem podniósł rękę, by zapalić papierosa.

- Robi się gorąco - szepnęła. - Burr jest blisko prawdy. Ostrzegłem ich, ale nie słuchali. Czas zdjąć rękawiczki.

- Ostrzegłeś ich, Harry??? - powiedział Goodhew, jak zawsze oszołomiony złożonością systemu zdrad Palfreya. - Kogo ostrzegłeś? Chyba nie Darkera?! Nie chcesz powiedzieć, że ostrzegłeś Darkera, prawda?

- Trzeba grać na obie strony, stary - powiedział Palfrey, marszcząc nos i nerwowo rozglądając się po barze. - To jedyny sposób na przetrwanie. Trzeba dbać o wiarygodność. I tu, i tu. - Gorączkowy uśmiech. - Mój telefon jest na podsłuchu - wyjaśnił, wskazując na swoje ucho.

- Kto go podsłuchuje?
- Geoffrey. Ludzie Geoffreya. Marynarze z „Okreću Flago-
wego”.
- Skąd wiesz?
- Och, znikąd. Nie mam pojęcia. Nikt nie ma. Nie w dzisiejszych
czasach. No chyba że to jakiś Trzeci Świat. Albo policja oficjalną
drogą. Inaczej nie ma jak. - Wypił i pokręcił głową. - Gówno wpadło
w wentylator, Rex. Sprawa się trochę rozrosła. - Znów pił. Małymi
łykami. - Na zdrowie - szepnął, zapominając, że już to mówił. - Dali
mi znać. Sekretarze. Starzy kumple z Wydziału Prawnego. Nie powie-
dzieli, rozumiesz. Nie musieli. Żadne: „Przepraszam, Harry, mój szef
założył podsłuch na twoim telefonie”. Wystarczy dać do zrozumienia.
- Dwaj faceci w skórach motocyklistów zaczęli grać w cymbergaja. -
Nie miałbyś nic przeciwko, żebyśmy poszli gdzieś indziej?

Naprzeciw kina była pusta trattoria. Dochodziło wpół do siódmej.
Włoski kelner ewidentnie nimi pogardzał.

- Chłopaki przeczesaly mi mieszkanie - powiedział Palfrey,
chichocząc, jakby powtarzał setny dowcip. - Niczego nie świsnęli.
Właściciel mi powiedział. Dwaj moi kumple. Odparłem, że dałem im
klucz.

- Dałeś?
- Nie.
- Dawałeś komuś innemu?
- No, wiesz. Dziewczynom i tak dalej. Większość z nich odda-
wała.
- Więc jednak ci grozili, miałem rację.

Goodhew zamówił dwie porcje spaghetti i butelkę chianti. Kelner
zrobił kwaśną minę i wrzaskiem przekazał zamówienie przez drzwi
do kuchni. Palfrey umierał ze strachu. Strach był jak prąd zimnego
powietrza. Opływał kolana i dusił oddech, zanim Palfrey zdążył się
odezwać.

- Prawdę mówiąc, trochę ciężko mi się otworzyć, Rex - wyjaśniał
przepraszająco. - Przypuszczam, że to nawyk całego życia. Jak się-
dziesz na tubce, nie wepchniesz pasty z powrotem. Kłopot. - Przysu-
nął usta do brzegu kieliszka, żeby wypić wino, zanim się rozleje. - Tak
się składa, że potrzebuję pomocnej dłoni. Przepraszam.

Jak to często bywało z Palfreyem, Goodhew miał wrażenie, że
słucha zniekształconych urywków jakieś transmisji.

- Nie mogę ci nic obiecać, Harry. Wiesz o tym. W życiu nie ma
nic za darmo. Wierzę w to głęboko i ty chyba też.

- Tak, ale ty masz jaja - zaprotestował Palfrey.

- A ty wiedzę - odrzekł Goodhew.

Tamten wybałuszył oczy w zdumieniu.

- Darker też tak powiedział! To jego słowa! Za dużo wiedzy. Niebezpiecznej wiedzy. To mój szkopuł. Jesteś fantastyczny, Rex. Cholerny jasnowidz.

- Więc gadałeś z Geoffreyem Darkerem. O czym?

- No, w sumie to on do mnie mówił. Ja tylko słuchałem.

- Kiedy?

- Wczoraj. Nie. W piątek. Przyszedł do mnie. Za dziesięć pierwsza. Właśnie wkładałem płaszcz. „Co robisz podczas lunchu?” Myślałem, że chce mnie zaprosić. „No cóż, umówiłem się niezobowiązująco w klubie - ja na to. - Mogę odwołać w każdej chwili”. On na to: „Dobrze. Odwołaj”. Więc odwołałem. Potem rozmawialiśmy. W moim pokoju. Nikogo poza nami. Nie dostałem nawet szklanki wody mineralnej ani sucharka. Wysokie umiejętności zawodowe, trzeba przyznać. Typowy Geoffrey.

Znowu wyszczerzył zęby.

- I co powiedział? - naciskał Goodhew.

- Powiedział - Palfrey wziął głęboki oddech, jak ktoś, kto zamierza na długo zanurzyć się pod wodę - powiedział, że czas, aby uczciwi ludzie przyszli partii z pomocą. Powiedział, że kuzyni potrzebują dokładnego wglądu w sprawę! W sprawę „Pijawki”. Mogą się zająć swoją Agencją Ochrony, to nie problem, ale liczą na to, że my zajmiemy się naszymi. Chciał mieć pewność, że może na mnie liczyć.

- A ty co?

- Że może. Na sto procent. Bo może. No nie? - Żachnął się. - Chyba nie sugerujesz, że powinienem mu powiedzieć, żeby się wypchał? Chryste!

- Oczywiście, że nie, Harry. Musisz robić to, co jest dla ciebie najlepsze. Rozumiem to. Więc powiedziałeś, że może na ciebie liczyć. Co on na to?

Palfrey znów się zjeżył.

- Chciał na środe, na siedemnastą, prawnej analizy umowy w sprawie podziału kompetencji między Domem za Rzeką a agencją Burra. Umowy, którą ci napisałem. Podjąłem się tego.

- I?

- I to wszystko. Środa, godzina siedemnasta to mój termin ostateczny. Załoga „Okreću Flagowego” spotka się następnego dnia. On potrzebuje czasu na przestudiowanie mojego raportu. Powiedziałem, że nie ma problemu.

Urwał na wysokiej nucie, unosząc równocześnie brwi, co zmusiło Goodhew do zastanowienia. U jego syna takie zachowanie znaczyło, że coś ukrywa. Podejrzał Palfreya o to samo.

- To wszystko?

- A co jeszcze miałyby być?

- Czy Darker był z ciebie zadowolony?

- Prawdę mówiąc, bardzo.

- Dlaczego? Tylko zgodziłeś się wypełnić rozkazy, Harry. Dlaczego miałyby być z ciebie zadowolony? Czy zgodziłeś się zrobić dla niego jeszcze coś? - Goodhew miał dziwne uczucie, że Palfrey zachęca go, by naciskał mocniej. - Może coś mu powiedziałaś? - Uśmiechnął się, ułatwiając tamtemu spowiedź.

Palfrey uśmiechnął się udęrczony.

- No, Harry... co takiego mógłbyś powiedzieć Darkerowi, czego on jeszcze nie wiedział?

Naprawdę się starał. Wyglądało to tak, jakby zawzięcie powtarzał rozbieg do tej samej przeszkody, wierząc, że wcześniej czy później ją pokona.

- Czy powiedziałaś mu o mnie? - zasugerował Goodhew. - Nie mogłeś. To byłoby samobójstwo. Powiedziałaś?

Palfrey pokręcił głową.

- W życiu - szepnął. - Słowo harcerza. Przez myśl mi nie przeszło.

- Więc co?

- Tylko teorie, Rex. Domniemania, to wszystko. Hipotezy. Reguły prawdopodobieństwa. Żadne sekrety, nic złego. Teorie. Czcze teorie. Gadu-gadu. Żeby czas szybciej mijał. Facet stoi w moim pokoju. Jest pora lunchu. On gapi się na mnie. Coś muszę mu powiedzieć.

- Teorie oparte na czym?

- Na opinii prawnej, którą ci przygotowałem. O tej sprawie karnej, którą wedle angielskiego prawa można wytoczyć Roperowi. Pracowałem nad tym w twoim pokoju. Pamiętasz.

- Naturalnie, że pamiętam. Jak wygląda twoja teoria?

- Jest ten amerykański tajny aneks, który wprawił wszystko w ruch, przygotowany przez ich agencję w Miami. Podsumowanie dotychczasowego materiału dowodowego. Strelski, tak się ten facet nazywa? Pierwszy ruch Ropera w kierunku karteli, ogólne tło transakcji, wszystko bardzo zawoalowane, bardzo ściśle tajne. Tylko do wiadomości Burra i twojej.

- I twojej, rzecz jasna - podsunął Goodhew, odchylając się od

niego w odruchu przeczuwanego obrzydzenia.

- Rozumiesz, grałem w tę grę. W tę, w którą musiałem zagrać, czytając taki raport. No cóż, wszyscy się w to bawimy, no nie? Nic się na to nie poradzi. Naturalna ciekawość. Nie można uciec od myśli... żeby namierzyć kapusia. Te długie chwile, kiedy w pokoju było tylko trzech ludzi. Czasem dwóch. Gdziekolwiek by byli, zawsze to niezawodne źródło informacji donosiło na nich. No cóż, wiem, że współczesna technologia to cuda na kiju, ale to byłoby absurdalne.

- Więc zidentyfikowałeś kapusia.

Palfrey był naprawdę dumny, jak człowiek, który wreszcie zdobył się na odwagę i wypełnił sumiennie swój obowiązek.

- I powiedziałaś Darkerowi, kogo zidentyfikowałeś - zasugerował Goodhew.

- Tego Greka. Z kartelami cacy-cacy, a kiedy tylko zniknął im z oczu, donosił Agencji. Apostoli. Prawnik jak ja.

Poinformowany tego samego wieczoru przez Goodhew o niedyskrecji Palfreya, Burr stanął przed dylematem, którego każdy kontroler agenta lęka się jak ognia.

Oczywiście w pierwszym odruchu zareagował od serca. W pilnym trybie przekazał Strelskiemu w Miami poufną informację, że ma powody przypuszczać, że „nieprzyjaźnie nastawieni Czyści są obecnie zorientowani co do tożsamości twojego brata Michaela”. Z szacunku dla żargonu amerykańskich szpiegokratów zmienił „zorientowani” na „świadomi” i posłał wiadomość. Powstrzymał się od sugestii, że za przeciek odpowiada strona brytyjska. Strelski sam może to sobie wydedukować. Gdy potomek wolnych tkaczy z Yorkshire wypełnił swój obowiązek wobec Strelskiego, siedział w stoickim spokoju na poddaszu, wpatrując się przez świetlik w pomarańczowe niebo nad Whitehall. Przestał tęsknie wyczekiwać sygnału, jakiegokolwiek sygnału od swojego agenta. Teraz obowiązkiem Burra było zadecydować, czy go wycofuje, czy ryzykuje kontynuację działań. Nadal rozważając tę kwestię, ruszył powoli długim korytarzem i z rękami w kieszeniach przysiadł na kaloryferze w pokoju Goodhew, podczas gdy gołębie wyklócały się na parapecie.

- Czy jesteśmy gotowi na najgorsze? - spytał Goodhew.

- Najgorsze będzie, kiedy posadzą Apostoła pod mocną żarówką i wyzna, że kazaliśmy mu zdyskredytować Corkorana jako sygnatariusza - powiedział Burr. - Wtedy namierzą mojego chłopaka, bo jest nowym sygnatariuszem.

- Kim są „oni” w tym scenariuszu, Leonardzie?
Burr wzruszył ramionami.
- To klienci Apostoła. Albo Czyści.
- Wielkie nieba, Leonardzie, Czysty Wywiad jest po naszej stronie! Dziela nas pewne różnice zdań, ale nie naraziliby naszego źródła informacji tylko z powodu wewnętrznej wojny między...
- Ależ naraziliby, Rex, naraziliby - rzekł łagodnie Burr. - Wiesz, oni tacy są. Tak właśnie postępują.

Burr znów siedzi w swoim pokoju, samotnie rozpatruje możliwości. Przy klasycznej zielonej stołowej lampce. Pod świetlikiem z widokiem na gwiazdy.

Roper... dwa tygodnie i mogę cię mieć. Znam nazwę statku, znam nazwiska, liczby i miejsca. Mam na ciebie paragraf, od którego nie wykupią cię wszystkie twoje przywileje, sprytni, dobrze poinformowani przyjaciele i żadna prawniczka sofistyka.

Jonathan: najlepsza wtyka, jaką kiedykolwiek miałem, jedyny, którego szyfru nigdy nie złamałem. Najpierw poznałem twoją nieodgadnioną twarz. Teraz znam cię jako nieodgadniony głos: „Tak, znakomicie, dziękuję, Leonardzie... no cóż, Corkoran poważnie mnie podejrzewa, ale biedaczysko nie może wykombinować o co... Jed? No cóż, nadal jest w łaskach, o ile to można ocenić, ale ona i Roper to czysty behawioryzm, koszmarnie trudno powiedzieć, co się dzieje u nich w środku...”

Czysty behawioryzm - pomyślał ponuro Burr. Mój Boże, i kto to mówi? I jak się do tego ma ta erupcja u Mamy Low?

Kuzyni nic nie zrobią - decyduje w odruchu optymizmu. Agent zidentyfikowany to agent pozyskany. Nawet jeśli uda im się zidentyfikować Jonathana, będą siedzieli na tyłkach i czekali, co przyniesie.

Kuzyni na pewno zareagują - powiedział sobie, kiedy wahadło nastroju wychyliło się w drugą stronę. Apostoła to dla nich towar zastępowalny. Jeśli kuzyni chcą zdobyć względy karteli, zrobią im prezent z Apostoła. Jeśli uznają, że jesteśmy zbyt blisko, zdemaskują Apostoła i pozbawią nas źródła informacji...

Opierając podbródek na dłoni, Burr zadziera głowę do świetlika, patrzy na jesienny brzask świtający między postrzępionymi brzegami chmur.

Przerwać akcję - zdecydował. Ukryć Jonathana w bezpiecznym miejscu, zrobić mu operację plastyczną, dać inne nazwisko, spuścić żaluzje i iść do domu.

I do końca życia zastanawiać się, który z sześciu statków czarterowanych obecnie przez Ironbrand niesie ładunek broni, jakiego świat nie widział?

I gdzie nastąpi wymiana towarów?

I jak obligacje wartości setek milionów funtów, może miliardów, znikły bez śladu w dobrze skrojonych kieszeniach anonimowych właścicieli?

I jak dziesiątki ton pierwszorzędnej rafinowanej kokainy nabytej po cenie producenta zrecznie zgubiły się gdzieś między zachodnim wybrzeżem Kolumbii a bezcłową strefą Colón, by pojawić się w sensownych ilościach, nigdy zbyt wiele naraz, na smętnych ulicach Europy Środkowej?

A Joe Strelski, Pat Flynn, Amato i ich zespół? Wszystkie te kilometry spędzone w siodle? Na nic? Dostarczone Czystemu Wywiadowi na talerzu? Nawet nie Czystemu Wywiadowi, ale jakimś ponuremu bractwu wewnątrz niego?

Odezwała się bezpieczna linia. Burr złapał słuchawkę. Rooke meldował się z Curaçao przez telefon polowy.

- Przed godziną wylądował jego odrzutowiec - oświadczył ze swoją wrodzoną niechęcią do używania nazwisk. - Nasz przyjaciel też tam był.

- Jak się prezentował? - spytał z wytęsknieniem Burr.

- Zdrowo. Nie widziałem żadnych blizn. Dobry garnitur. Eleganckie buty. Po obu stronach miał goryli, ale nie wyglądał na skrępowanego. Jeśli chcesz znać moją opinię, to był w szczytowej formie. Kazałeś zadzwonić, Leonardzie.

Burr spojrział wokół. Na mapy lądowe i morskie. Na zdjęcie lotnicze szlaków w dżungli obrysowanych na czerwono. Na stosy teczek zalegających na starym urzędniczym biurku. Wspomniał wszystkie pracowite tygodnie teraz wiszące na włosku.

- Kontynuujemy operację - powiedział.

Następnego dnia poleciał do Miami.

21

Przyjaźń między Roperem i Jonathanem, która - jak Jonathan teraz sobie uświadomił - pączkowała podczas tygodnia na Crystal, rozkwitła gwałtownie, ledwo odrzutowiec Ropera dostał pozwolenie na start z międzynarodowego lotniska w Nassau. Można by pomyśleć, że obaj mężczyźni zgodzili się poczekać na tę chwilę, w której zdjęli maski i okazali sobie sympatię.

- Chryste! - krzyknął rozradowany Roper, odpinając pas. - Kobiety! Pytania! Dzieci! Thomas, dobrze cię mieć na pokładzie. Megs, przynieś nam dzbanek kawy, kochanie. Za wcześnie na szampana. Kawy, Thomasie?

- Z wielką chęcią - odrzekł hotelarz. I dodał niezmiernie celnie: - Po tym przedstawieniu, jakie Corkoran urządził wczoraj, jestem gotów osuszyć cały dzbanek.

- Co miało znaczyć to gadanie, że będziesz miał rollsa?

- Nie mam pojęcia. Pewnie zdecydował, że zamierzam ukraść pański.

- Osioł. Siadaj tu. Nie czaj się z drugiej strony przejścia. Croisanty, Megs? Dżem porzeczkowy?

Meg była stewardesą z Tennessee.

- Kawa, gorące croissants, bułeczki, dżem, wszystko. Masz czasem to uczucie, Thomas? Wolny. Żadnych dzieciaków, zwierząt, służących, inwestorów, gości, wścibskich kobiet. Wróciłeś do swojego świata. Nieskrępowany. Jak człowiek pozwoli kobietom, żeby mu wlały na głowę, jest załatwiony. Megs, króliczku, zadowolona dzisiaj?

- Pewnie, że tak, panie Roper.

- Gdzie sok? Zapomniała o soku. Typowe. Zwolniona, Megs. Wywalona. Lepiej odejdz od razu. Skacz.

Meg, nic sobie z tego nie robiąc, wyjęła dwie tacki śniadaniowe, przyniosła świeży sok pomarańczowy, kawę, gorące croissants i dżem

porzeczkowy. Była kobietą koło czterdziestki, miała bliznę po zaję-
czej wardze i wyrazisty, choć nieco mroczny seksapil.

- Wiesz co, Thomasie? - rzekła. - On zawsze mi to robi. Jakby
musiał się napompować, zanim zainkasuje następny milion. Muszę
przyrządzić dżem z porzeczek, masz pojęcie? Siedzę w domu, robię
mu dżem. To wszystko, czym się zajmuję, kiedy nie latam. Pan Roper
nie weźmie do ust niczyjego dżemu, tylko mój.

Roper wybuchnął gromkim śmiechem.

- Następny milion? O czym ty, do diabła, mówisz, kobieto? Za
milion nie kupiłoby się mydła do tego samolotu! Najlepszy dżem
świata. Tylko dlatego ona tu jeszcze jest. - Wszystkimi palcami ści-
snął bułkę. - Dobrze żyć to obowiązek. W tym cała sprawa. Dobrze
żyć to najlepsza zemsta. Kto to powiedział?

- Kimkolwiek był, miał absolutną rację - rzekł lojalnie Jonathan.

- Ustanowić wysokie standardy i niech faceci starają się im
dorównać. Jedyne sposoby. Pieniądze idą w ruch, świat się kręci.
Pracowałeś w dobrych hotelach. Wiesz, jak to jest. Dżem do niczego,
Megs. Papka. Zgadza się, Thomas?

- Przeciwnie, niebo w gębie - odpowiedział stanowczo Jonathan,
puszczając oko do Meg.

Ogólny śmiech. Szef jest w świetnym humorze, podobnie Jona-
than. Nagle wydało się, że nic ich nie dzieli, nawet Jed. Złota koronka
obramowuje brzegi chmur, słońce leje blask do samolotu. Mogliby
podróżować do nieba. Tabby siedzi z tyłu. Frisky ulokował się blisko
przepierzenia, kontroluje wejście do kabiny pilotów. Dwaj MacDanby
siedli w środku samolotu, stukają w klawiatury laptopów.

- Kobiety zadają zbyt wiele pytań, zgadza się, Megs?

- Ja nie, panie Roper. Nigdy.

- Pamiętasz tę moją dziwkę, Megs? Ja szesnaście, ona trzydzie-
ści, pamiętasz?

- Pewnie, że pamiętam, panie Roper. Dała panu pierwszą lekcję
w życiu.

- Nerwy, rozumiesz. Dziewica. - Jedli, siedząc bokiem, aby
uniknąć patrzenia sobie w oczy w trakcie zwierzeń. - Nie ona. Ja. -
Następny ryk śmiechu. - Nie znałem rytuału, więc odgrywałem
grzecznego studencika. Zdecydowałem, że ona musi mieć problem.
„Biedaczynko, kiedy wszystko się tak popsulo?” Sądziłem, że zaraz
mi powie, że tatusia zżarł rak, a mamusia związała z hydraulikiem,
kiedy dziecko miało dwanaście lat. Patrzy na mnie. Zupełnie
nieprzyjaźnie. „Jak masz na imię?” - pyta. Taki staffordshire terier.
Duże dupsko. Wzrostu metr pięćdziesiąt. „Dicky”. „No, to słuchaj

mnie, Dicky - mówi. - Możesz mnie zerznąć i to kosztuje piątaaka. Ale od tego, co mam w głowie, to ty się odpiardol. Obcym wstęp wzbroniony”. Nigdy tego nie zapomniałem, no nie, Megs? Cudowna kobieta! Powinienem być się z nią ożenić. Nie z Megs. Z dziwką. - Jego ramię znowu otarło się o ramię Jonathana. - Chcesz wiedzieć, jak to działa?

- Jeśli to nie tajemnica państwowa.

- Operacja „Listek Figowy”. Ty jesteś listkiem. Marionetką, jak na to mówią Niemcy. Żart, bo nawet do marionetki ci daleko. Nie istniejesz. Tym lepiej. Derek Thomas, inwestor, zdrowy hetero, bystry, da się lubić, zdrow jak rydz. Porządne wyniki w pracy, żadnych trupów w szafie, dobre referencje. Więc jest Dicky i Derek. Może robiliśmy wcześniej interesy. To wyłącznie nasza sprawa. Idę do błaznów - brokerów, spekulantów, giętkich bankierów - i mówię: „Mam tu bardzo rozgarniętego gościa. Fantastyczny plan, szybki zysk, potrzebne poparcie, cicho sza! W grę wchodzi ciągniki, turbiny, części maszyn, minerały, ziemia, cholera wie co. Jak będziecie grzeczni, to wam go przedstawię. Jest młody, ustosunkowany, nie pytajcie z kim, bardzo pomysłowy, politycznie bez zarzutu, lubiany przez właściwych ludzi, życiowa szansa. Nie chcę, żebyście ją przegapili. Podwoicie forszę w cztery miesiące. Najpóźniej. Będziecie kupować papiery. Jak nie chcecie, nie marnujcie mojego czasu. Mowa o obligacjach na okaziciela, żadnych nazwisk, żadnej musztry w pełnym ekwipunku, żadnych powiązań z innymi firmami, w tym z moją. To kolejna transakcja z cyklu «zaufaj Dicky'emu». Wchodzę w to, ale jakby co, to mnie nie ma. Firma założona w takim miejscu, w którym nie trzeba przedkładać bilansu, żadnych powiązań z Brytyjczykami, z naszą kolonią, czyjś kłopot, nie nasz. Po załatwieniu transakcji firma przestaje handlować, daje się z nią spokój, zamyka rachunki, do zobaczenia w nieokreślonej przyszłości. Bardzo wąski krąg, najmniej facetów jak się da, żadnych głupich pytań, wóz albo przewóz, chciałoby się, żebyście weszli do wyborowej paczki”. Gra jak do tej pory?

- Uwierzą panu?

Roper się roześmiał.

- Niedobre pytanie. Czy łykną tę historyjkę? Czy sprzedadzą ją swoim inwestorom? Czy spodoba im się twój wygląd? Czy twoja buzia ładnie wypadnie na prospekcie? Graj dobrze naszymi kartami, za każdym razem odpowiadaj „tak”.

- Chce pan powiedzieć, że jest prospekt?!

Roper kolejny raz wybuchnął hucznym śmiechem.

- Ten facet jest gorszy niż baba, do cholery! - rzucił z zadowoleniem.

niem do Meg, gdy dolewała kawy. - Po co, dlaczego, jak, kiedy, gdzie?

- Ja nigdy tak nie postępuję, panie Roper - odparła z powagą Meg.

- Nigdy, Megs. Jesteś świetna.

- Panie Roper, pan znowu klepie mnie po pośladku.

- Wybacz, Megs. Musiałem pomyśleć, że jestem w domu. - Znowu do Jonathana: - Nie, nie ma prospektu. Metafora. Zanim wydrukujemy prospekt, to przy odrobinie szczęścia zwiniemy żagle.

Roper wrócił do briefingu, a Jonathan słuchał i odpowiadał z kokona swoich medytacji. Myślał o Jed i jej wizerunki były tak żywe, że to cud, iż Roper siedzący kilkanaście centymetrów obok nie ujrzał ich telepatycznie. Jonathan czuł jej dłonie na swojej twarzy, gdy go badała, i zastanawiał się, co zobaczyła. Przypominał sobie Burra i Rooke'a podczas treningu w Londynie i słuchając Ropera opisującego energicznego młodego członka zarządu, Thomasa, zdał sobie sprawę, że kolejny raz uczestniczy w manipulowaniu swoją osobowością. Roper powiedział, że Langbourne pojechał przodem, aby przetrzeć szlaki. Jonathan zastanawiał się, czy to nie odpowiednia chwila, aby ostrzec Ropera, iż Caroline gada za jego plecami. W ten sposób podniósłby swoją wartość. Potem uznał, że Roper i tak o tym wie; jakże inaczej Jed mogłaby mieć do niego pretensje? Rozwagał, a czynił to nieprzerwanie, niepojętą tajemnicę Roperowego poczucia dobra i zła i przypomniał sobie, jak Sophie uznała, że najgorszy człowiek na świecie to moralista, który nabrał szacunku do samego siebie, lekceważąc własne spostrzeżenia. „Niszczy, zdobywa wielką fortunę, więc uważa się za boga” - oświadczyła we wściekłym zdumieniu.

- Naturalnie, Apo cię rozpozna - mówił Roper. - Pomyśli, że to ten facio, którego poznał w Crystalu... dawniej pracował u Meistra... kumpel Dicky'ego. Nie widzę tu żadnego problemu. W każdym razie Apo jest po drugiej stronie.

Jonathan szybko odwrócił się do niego, jakby Roper mu o czymś przypomniał.

- Prawdę mówiąc, chciałem pana o coś spytać. Kim jest druga strona? Jasne, sprzedaje się wspaniale, ale kto kupuje?

Roper wydał udawany okrzyk bólu.

- Trafilo się nam, Megs! Nie ufa mi się! Szuka się dziury w całym!

- Ależ ja mu się zupełnie nie dziwię, panie Roper! Kiedy najdzie

pana chandra, robi się pan okropny. Okropny, nieszczerzy i bardzo, bardzo czarujący.

Roper zasnął, więc Jonathan też posłusznie drzemał, słuchając ćwierkotu laptopów MacDanbych, przebijającego się przez buczenie silników. Obudził się, Meg przyniosła szampana i kanapki z wędzonym łososiem, znowu rozmowa, znowu śmiech, znowu drzemka. Gdy się zbudził, okazało się, że samolot krąży nad holenderskim miasteczkiem dla lalek otulonym w biały opar gorąca. Poprzez niego zobaczył leniwe wybuchy artyleryjskiego ognia, gdy pochodnie rafinerii ropy naftowej w Willemstad spalały gazy zrzutowe.

- Popilnuję ci paszportu, Tommy, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział spokojnie Frisky, gdy szli przez lśniąca płytę lotniska. - Tylko na razie, dobra? A jak u ciebie z gotówką?

- Nie mam żadnej - odparł Jonathan.

- Och, no to dobrze. Nie musimy się przejmować. Tylko te karty kredytowe, które ci dał stary Corky, to bardziej na pokaz, wiesz, Tommy. Sprawią ci największą uciechę, jak nie będziesz ich używał, rozumiesz, o co mi chodzi?

Roper przeszedł już odprawę celną i ścisnął dłonie ludziom, którzy okazywali mu szacunek. Na pomarańczowej ławce siedział Rooke, czytał rozłożony „Financial Times” przez okulary w rogowej oprawie, których używał tylko do dali. Podróżująca grupa dziewcząt misjonerek, prowadzona przez mężczyznę bez nogi, śpiewała dziecięcymi głosikami *Jesu, Joy of Man's Desiring*. Widok Rooke'a sprowadził Jonathana na ziemię.

Ich hotel mieścił się w ustawionych w podkowie, krytych czerwoną dachówką budynkach na skraju miasta. Dysponował dwiema plażami i restauracją pod gołym niebem, z której roztaczał się widok na lekko wzburzone, szarpane wiatrem morze. Grupa Ropera rozbiła obóz w centralnym, najbardziej okazałym budynku, w wielkich pokojach na najwyższym piętrze. Roper w jednym narożnym apartamencie, a Derek S. Thomas, członek zarządu, w drugim. Salon Jonathana miał balkon zaopatrzony w stół i krzesła, w sypialni stało łóżko wystarczające dla czterech osób i poduszki, które nie pachniały dymem z kominika. Była tam butelka gratisowego szampana Herr Meistra i kiście gratisowych zielonych winogron, które Frisky zjadał garściami, podczas gdy Jonathan się rozpakowywał. I stał telefon, który nie był zakopany dwie stopy pod ziemią i zadzwonił, gdy Jonathan jeszcze nie rozłożył wszystkich rzeczy. Frisky obserwował go, gdy podnosił

słuchawkę.

Był to Rooke pytający o Thomasa.

- Przy telefonie - odrzekł Jonathan głosem idealnego członka zarządu.

- Wiadomość od Mandy. Idzie na górę.

- Nie znam Mandy. Kto to jest?

Pauza, podczas której Rooke z drugiej strony linii udaje, że sprawdza numer.

- Pan Peter Thomas?

- Nie, Derek. Inny Thomas.

- Proszę wybaczyć. Tamten musi być pod dwadzieścia dwa.

Jonathan odłożył słuchawkę i burknął: „Idiota”. Wziął prysznic, przebrał się i wrócił do salonu, w którym Frisky rozwalony w fotelu studiował hotelowe czasopismo przeznaczone do stymulacji erotycznej. Zadzwoił do pokoju numer dwadzieścia dwa i usłyszał Rooke'a mówiącego:

- Halo.

- Mówi Thomas z trzysta dziewiętnaście. Mam trochę prania. Wystawię za drzwi.

- Już idę - powiedział Rooke.

Jonathan poszedł do łazienki, wziął zwitek kartek z notatkami, który poprzednio wcisnął za spłuczkę, owinał go brudną koszulą, wrzucił koszulę, skarpetki, chustkę do nosa i majtki do plastikowej torby, załączył listę rzeczy i wywiesił wszystko na zewnątrz. Zamykając drzwi, ujrzał zmierzającą korytarzem Millie z grupy szkoleniowej Rooke'a w prostej bawełnianej sukience, do której przyczepiono identyfikator z napisem „Mildred”.

- Szef kazał się czymś zająć, dopóki nie będzie miał następnych poleceń - powiedział Frisky.

Więc Jonathan był zachwycony tym, że się czymś zajmują - Frisky uzbroidł się w telefon komórkowy, a Tabby dla wzmocnienia siły ognia włókł się z tyłu z ponurą miną. Lecz Jonathanowi mimo wszystkich obaw było tak lekko na sercu jak nigdy, odkąd wyruszył z Lanyon na swoją odyseję. Niewiarygodna uroda starych domów napełniła go radosną nostalgią. Pływający targ i pływający most zachwyciły go dokładnie tak, jak powinny. Z dziecięcą ciekawością, niczym zwolniony więzień, wpatrywał się w hałaśliwe tłumy zaróżowionych od słońca turystów i zachwycony wsłuchiwał się w kreolski papiamiento, urozmaicony holenderskimi naleciałościami. Znów był wśród prawdzi-

wych ludzi. Ludzi, którzy śmiali się, gapili, robili zakupy, tłoczyli się i jedli na ulicy słodkie bułeczki. Nie wiedzieli nic, absolutnie nic, o jego przedsięwzięciu.

Raz zauważył Rooke'a i Millie pijących kawę w ogródku kawiarnianym i ogarnięty zupełnie nowym nierozważnym nastrojem, puścił do nich oko. Raz rozpoznał mężczyznę imieniem Jack, który podczas szkolenia w Lisson Grove pokazywał mu, jak używać kalki maszynowej do sporządzania tajnej korespondencji. Jack, jak się masz? Rozejrzał się i to nie głowa Frisky'ego ani Tabby'ego kiwała się obok; w swojej wyobraźni zobaczył kasztanowe włosy Jed rozwiewane wiatrem.

„Nie rozumiem, Thomas. Czy kochasz kogoś z tego powodu, jak zarabia na życie? Nie kupuję tego”.

„A jeśli on rabuje banki?”

„Każdy rabuje banki. Banki rabują każdego”.

„A jeśli zabił twoją siostrę?”

„Thomas, na litość boską”.

„Gdybyś tylko mogła mówić mi «Jonathan»”.

„Dlaczego?”

„Tak się nazywam. Jonathan Pine”.

„Jonathan. Jonathan. Och, do diabła! To jakby mnie ktoś odesłał na linię startową i kazał powtarzać wszystkie przeszkody. Jonathan... Nawet mi się nie podoba... Jonathan... Jonathan...”

„Może z czasem zaczniesz mi się podobać”.

Po powrocie do hotelu zastali w holu Langbourne'a. Stał w środku gromady ubranych w ciemne garnitury inwestorów. Wyglądał na zagniewanego, tak jak mógłby wyglądać w chwili, w której dowiedział się, że samochód się spóźni, albo gdy ktoś odmówił pójścia z nim do łóżka. Dobry humor Jonathana tylko wzmógł jego irytację.

- Widzieliście gdzieś Apostoła? - spytał, nie trując się nawet przywitaniem. - Cholerny karzeł gdzieś wsiąkł.

- Ani śladu - odrzekł Frisky.

Z salonu w apartamencie Jonathana usunięto meble. Butelki Dom Perignon leżały w kubelku z lodem na naprędcie ustawionym stole. Dwóch bardzo powolnych kelnerów zdejmowało z wózka półmiski kanapek.

- Ściskasz dłonie - mówił mu wcześniej Roper - całujesz dzieci, tryskasz zdrowiem.

- A jeśli zaczną gadać ze mną profesjonalnie o interesach?

- Błądnów za bardzo pochłania liczenie pieniędzy, aby do tego doszło.

- Przyniescie trochę popielniczek - polecił Jonathan jednemu z kelnerów. - I pootwierajcie okna. Który z was jest tu szefem?

- Ja, proszę pana - powiedział kelner, który nosił imię Arthur.

- Frisky, daj Arthurowi dwadzieścia dolarów.

Frisky z niechęcią wręczył pieniądze.

Crystal bez amatorów. Crystal bez spojrzeń Jed rzucanych z drugiej strony pokoju. Crystal otwarty dla publiczności i wypełniony wpływowymi Złami Koniecznymi - tyle że dziś gwiazdą wieczoru był Derek Thomas. Pod łaskawym okiem Ropera oglądzone były nocny recepcjonista wymieniał uściski dłoni, uśmiechał się, udawał, że pamięta nazwiska, żartował, grał rolę gospodarza.

- Witam, panie Gupta, jak forma w tenisa? Och, sir Hector, jak miło znowu pana ujrzeć! Pani del Oro, co słyhać, jak się powodzi pani błyskotliwemu synowi w Yale?

Sypiący pochlebstwami angielski bankier z Rickmansworth wziął Jonathana na stronę i wygłosił kazanie na temat wartości wymiany handlowej na nowych rynkach. Dwaj dziobaci nowojorscy sprzedawcy obligacji słuchali obojętnie.

- Mówię ci wprost, nie wstydzę się tego, mówiłem to już przed tymi dżentelmenami i mówię to teraz. W tym dzisiejszym Trzecim Świecie ważne jest, na co się wydaje, nie skąd się czerpie. Inwestować, inwestować. Jedyna zasada tej gry. Poprawiać infrastrukturę, podnosić poziom życia społeczeństwa. Poza tym wszystko ujdzie. Mówię poważnie. Brad zgadza się ze mną. Solo też.

Brad mówił z tak ściśniętymi ustami, że Jonathan w pierwszej chwili nie zdał sobie sprawy, że to on się odzywa.

- Ty, hm, masz w ogóle jakieś doświadczenie, Derek? Jesteś, hm, inżynierem? Geologiem? Kimś w tym, hm, rodzaju?

- Prawdę mówiąc, moja specjalność to łódki - rzekł radośnie Jonathan. - Ale nie takie jak Dicky'ego. Żaglówki. Najbardziej lubię te do dwudziestu metrów.

- Łódki, hm? Uwielbiam. On, hm, lubi łodzie.

- Ja też - powiedział Solo.

Przyjęcie zakończyło się kolejną orgią uścisków dłoni. Derek, to było inspirujące. Jeszcze jak! Jak tylko będziesz chciał, masz robotę w Filadelfii... Derek, następnym razem będziesz w Detroit... Pewnie! Rozgrzany swoim wystąpieniem Jonathan stał na balkonie i uśmiechał się do gwiazd, czując woń ropy w wietrze ciągnącym od ciemnego morza. Co teraz robisz? Kolacja z Corkoranem i towarzystwem z

Nassau - Cynthią, która hoduje sealyham teriery, Stephanie, która przepowiada przyszłość? Omawiasz kolejne menu na zimowy rejs z niewiarygodnie wysoko opłacaną Delią, kucharką „Iron Pashy”, której wszyscy ci zazdroszczą? A może leżysz z głową na białej jedwabnej poduszce swojego ramienia, szepcząc: „Jonathanie, na litość boską, co ma zrobić dziewczyna?”.

- Czas na obrok, Tommy. Nie można pozwolić, żeby jaśniepaństwo czekali.

- Prawdę mówiąc, nie jestem głodny, Frisky.

- Nie sądzę, żeby ktoś był, Tommy. To jak chodzenie do kościoła. Rusz się.

* * *

Kolacja w starym forcie na wzgórzu z widokiem na port. Oglądane stamtąd Willemstad jest wielkie jak San Francisco i nawet szaroniebieskie zbiorniki rafinerii mają majestatyczny czar. MacDanby zamówili stół na dwadzieścia osób, ale zdołano zebrać tylko czternaście. Jonathan jest szaleńczo zabawny podczas przyjęcia; Meg, angielski bankier i jego żona zaśmiewają się do łez. Ale uwaga Ropera jest skupiona na czymś innym. Wpatruje się w port, gdzie wielki wycieczkowiec oświetlony sznurami żarówek płynie między kotwiczącymi statkami towarowymi ku dalekiemu mostowi. Czy Roper obserwuje go z zazdrością? Chce sprzedać „Iron Pashę”, kupić coś porządnych rozmiarów?

- Zastępczy adwokat w drodze, niech ich szlag - oświadcza Langbourne, kolejny raz wracając od telefonu. - Przysięga, że zdąży na spotkanie.

- Kogo przysyłają? - pyta Roper.

- Morantiego z Caracas.

- Tego bandziora. Co, do diabła, stało się z Apo?

- Powiedzieli mi, żebym spytał Jezusa. To miał być jakiś dowcip.

- Ktoś jeszcze zdecydował się nie przyjść? - pyta Roper, nie odrywając spojrzenia od statku.

- Wszyscy są na miejscu - odpowiada zwięźle Langbourne.

Jonathan słyszy tę wymianę zdań, podobnie jak Rooke siedzący z Millie i Amato przy stoliku obok stolika ochrony.

Cała trójka jest zagłębiona w przewodniku, udając, że rozważa, gdzie się wybrać jutro.

Jed dryfowała, co następowało zawsze, gdy w jej życiu zachodziło

jakieś rozdwojenie; dryfowała i dryfowała, póki kolejny mężczyzna, kolejne wariackie przyjęcie albo kolejne rodzinne nieszczęście nie popchnie jej w jakimś kierunku. Definiowała to różnie: jako przeznaczenie, schronienie, dorastanie, zabawę lub - co ostatnio było mniej wygodne - postępowanie po swojemu. I częścią dryfowania było to, że robiła wszystko jednocześnie, zupełnie jak chart, którego miała w dzieciństwie. Wierzył, że jeśli minie róg dość szybko, na pewno znajdzie coś do wystawienia. Ale cóż, chartowi wystarczyło, że życie jest zbiorem niepowiązanych ze sobą epizodów, podczas gdy Jed od bardzo dawna zastanawiała się, dokąd prowadzą epizody jej życia.

Więc w Nassau z chwilą wyjazdu Ropera i Jonathana zajęła się wszystkim, czym się zająć dało. Poszła do fryzjera i do krawca, zapraszała do domu dosłownie każdego, zapisała się na turniej tenisowy Windermere Cay, przyjmowała każde zaproszenie, kupiła teczki na akta, w których pomieści wszystkie ważne dokumenty podczas zimowego rejsu, zadzwoniła do głównej kucharki na „Pashy” i do gospodyni, ustalała menu i trasy, chociaż wiedziała, że Roper na pewno zmieni jej instrukcje, bo lubił sam podejmować ostateczne decyzje.

Ale czas ledwo płynął.

Przygotowała Daniela na powrót do Anglii, zrobiła mu zakupy i sprowadziła przyjaciół w jego wieku, chociaż Daniel ich nie cierpiał i mówił o tym głośno; zorganizowała im grilla na plaży, cały czas udając, że Corky jest takim samym fajnym kumplem jak Jonathan... Poważnie mówię, Dans, czy on nie jest pocieszny?!... i ze wszystkich sił starając się ignorować fakt, że od czasu, gdy przylecieli z Crystal, Corkoran był nadąsany, odęty i rzucał jej pompatyczne spojrzenia spod byka, dokładnie jak William, jej starszy brat, który rznął każdą dziewczynę w zasięgu wzroku, w tym wszystkie jej przyjaciółki, ale uważał, że młodsza siostra powinna zostać do śmierci dziewicą.

Ale Corkoran był jeszcze gorszy niż William. Obrał rolę przyzwoitki, psa podwórkowego i klawisza. Przewiercał wzrokiem jej listy, niemal zanim je otworzyła, kleił się do słuchawki podczas rozmów telefonicznych i usiłował wepchnąć się w każdy cholerny kącik jej rozkładu dnia.

- Corks, kochanie, straszny z ciebie nudziarz, sam wiesz. Przy tobie czuję się jak Maria Stuart. Wiem, że Roper chce, żebyś się mną opiekował, ale czy nie mógłbyś pójść sobie i zająć się własną osobą chociaż przez część dnia?

Corkoran jednak uparcie nie odstępował jej boku. Siedział w

salonie, nie zdejmując panamy, i czytał gazetę, podczas gdy telefonowała; włóczył się po kuchni, kiedy razem z Danielem robiła krówki; wypisywał naklejki na bagaż, z którym chłopiec miał wrócić do domu.

Aż w końcu, jak Jonathan, Jed wycofała się w głąb siebie. Przestała paplać, przestała się męczyć - poza chwilami, kiedy była z Danielem - udawaniem, iż jest w szczytowej formie, przestała liczyć godziny. Chodziła tylko na niewiarygodnie długie spacerunki po przestworzach swojego wewnętrznego „ja”. Myślała o ojcu, o jego poczuciu honoru, które zawsze uważała za coś bezużytecznego i przestarzałego, i doszła do wniosku, że tak naprawdę ta ramota znać dla niej więcej niż wszystkie wyniki z niej nieprzyjemności - sprzedaż obciążonego długami domu, koni, przeprowadzka rodziców do okropnego małego bungalowu w starej posiadłości i nieustanne utyskiwania wujka Henry'ego i całej reszty kuratorów.

Myślała o Jonathanie i usiłowała zrozumieć, co to dla niej znaczy, że pracuje nad doprowadzeniem Ropera do ruiny. Zmagala się - jak robiłby jej ojciec - z tym, co jest słuszne, a co niesłuszne w jej dwulicowości, ale naprawdę dochodziła tylko do jednego: Roper uosabiał katastrofalny błąd jej życia, natomiast Jonathan miał do niej jakieś braterskie prawo; jeszcze nigdy tak nie odczuwała. Nawet było jej miło, że Jonathan przejrzał ją na wskroś; założyła, iż dostrzegł również dobre elementy, które chciała wydobyć na światło dzienne, odkurzyć i z powrotem ich używać. Na przykład chciała, żeby ojciec wrócił. I chciała powrócić do katolicyzmu, chociaż za każdym razem gdy o nim myślała, czuła rozdarcie. Chciała poczuć pewny grunt pod nogami, ale tym razem była gotowa zapracować na niego. Nawet była gotowa słuchać grzecznie swojej cholerniej matki.

Wreszcie przyszedł dzień wyjazdu Daniela, na co czekała jak na zbawienie. Więc Jed i Corkoran wzięli Daniela, jego bagaż i pojechali rollsem na lotnisko, a gdy tylko się tam zjawili, Daniel od razu odczuł potrzebę samotnego powalęsania się po kioskach, aby kupić sobie słodczyce i coś do czytania, i zachowywał się tak, jak zwykli się zachowywać mali chłopcy, gdy wracają do swoich cholernych matek. Więc Jed i Corkoran czekali na niego na środku hali, oboje nagle nieszcześliwi na myśl o jego wyjeździe, tym bardziej że Daniel był bliski płaczu i nie miało to nic wspólnego z histerią. A potem ku swojemu zdziwieniu usłyszała Corkorana szepczącego konspiracyjnie:

- Masz swój paszport, serdeczko?
- Corks, kochanie, to Daniel leci, nie ja. Pamiętajsz?
- Masz go czy nie? Szybko!

- Zawsze mam go przy sobie.
- To leć z chłopakiem, serdeczko - namawiał, wyjmując chusteczkę i manewrując przy nosie, najwyraźniej starając się ukryć fakt, że rozmawia. - Hopsaj. Corks nigdy nic nie mówił. To wyłącznie twój pomysł. Miejsc w bród. Pytałem.

Ale Jeds nie hopsnęła. Nawet nie wzięła tego pod uwagę, co natychmiast niezmiernie jej się spodobało. W przeszłości miała skłonność najpierw hopsać, a potem zadawać pytania. Tego dnia odkryła jednak, że rozwiązała problem wcześniej; nie zamierzała nigdzie hopsać, jeśli hopsając, oddaliłaby się od Jonathana.

* * *

Jonathan śnił rozkosznie, gdy zadzwonił telefon, i nadal był pogrążony we śnie, gdy podniósł słuchawkę. Niemniej żołnierz zwiadu bezpośredniego reagował szybko i zrywając słuchawkę z widełek przy pierwszym dzwonku, równocześnie zapalił lampkę, po czym sięgnął błyskawicznie po notatnik i długopis, oczekując instrukcji Rooke'a.

- Jonathanie - powiedziała z dumą.

Zamknął powieki. Przycisnął słuchawkę do ucha, usiłując przygłuszyć głos Jed. Zdrowy rozsądek nakazywał mu powiedzieć: „Jaki Jonathan? Pomyłka” i odłożyć słuchawkę. „Ty mała kretyńko! - chciał wrzasnąć. - Mówiłem ci: nie dzwoń, nie szukaj kontaktu, tylko czekaj. A ty zadzwoniłaś, nawiązałaś kontakt i wybełkotałaś moje prawdziwe imię prosto w uszy podsłuchujących”.

- Na litość boską - jęknął. - Rozłącz się. Idź spać.

Ale przekonanie w jego głosie słabło i było za późno powiedzieć, że to pomyłka. Więc leżał ze słuchawką przy uchu, słuchał, podczas gdy Jed powtarzała jego imię: „Jonathanie, Jonathanie”; ćwiczyła, przyzwyczajając się do wszystkich jego odcieni, tak aby nikt nie cofnął jej na linię startową, zmuszając do powtórzenia wszystkich przeszkód.

Przyszli po mnie.

Godzinę później Jonathan słyszał, jak ktoś stara się cicho przejść za drzwiami. Usiadł. Usłyszał kroki. Stąpnęła stopa na ceramicznej płytce i wiedział, że to bosa stopa. Usłyszał stąpienie drugiej stopy na chodniku leżącym na środku korytarza. Światło pojawiło się i zgasło, gdy ktoś minął dziurkę od klucza. Wydawało mu się, że z lewa w prawo. Czy Frisky przygotowywał się, by wpaść z impetem? Poszedł po Tabby'ego, by razem to załatwić? Millie odnosiła pranie? Bosy

czyścibut zbierał buty? W tym hotelu nie czyszczono butów. Usłyszał trzask zamka po drugiej stronie korytarza i zrozumiał, że to bosa Meg wraca z apartamentów Ropera.

Nie poczuł nic. Żadnego potępienia, żadnej ulgi na sumieniu czy na duszy. „Rżnę” - powiedział Roper. I rznął. A Jed była pierwszą samicą w stadzie.

Patrzył na niebo jaśniejące za oknem, wyobrażał sobie jej głowę łagodnie odwracającą się ku jego uchu. Zadzwoił do pokoju numer dwadzieścia dwa, odczekał cztery dzwonki, zadzwonił jeszcze raz, ale się nie odzywał.

- Jesteś dokładnie na kursie - rzekł spokojnie Rooke. - Teraz posłuchaj.

„Jonathanie” - wspominał, słuchając instrukcji Rooke'a. „Jonathanie, Jonathanie, Jonathanie...”, kiedy to wszystko wybuchnie ci w twarz?

W kancelarii notariusza Muldera znajdowały się palisandrowe meble, plastikowe kwiaty i szare żaluzje. Wiele szczęśliwych twarzy holenderskiej rodziny królewskiej uśmiechało się ze ścian obłożonych boazerią, a notariusz Mulder uśmiechał się razem z nimi. Langbourne i adwokat Moranti siedzieli przy stole; Langbourne ponury jak zwykle, ale Moranti, czujny jak stary pointer, śledził każdy ruch Jonathana zmętniałymi piwnymi oczami. Był to siwy Latynos o dużej głowie, dziobaty na twarzy, liczący sobie sześćdziesiąt lat. Nawet się nie poruszając, wprowadzał do pokoju pewien niepokój; powiew sprawiedliwości ludowej, chłopskiej walki o przetrwanie. Raz sapnął wściekle i palnął wielką łapą o biurko. Ale chciał jedynie przysunąć bliżej dokumenty, by lepiej im się przyjrzeć. Potem je odsunął. Raz przechylił w tył głowę i zajrzał Jonathanowi w oczy, jakby szukał w nich kolonialnych sentymentów.

- Jest pan Anglikiem, panie Thomas?
- Nowozelandczykiem.
- Serdecznie witamy w Curaçao.

Mulder dla kontrastu był pulchny i jowialny. Gdy się uśmiechał, jego policzki błyszcząły jak czerwone jabłuszka. A gdy przestawał się uśmiechać, chciało się szybko podejść i zapytać czule, coż złego się wydarzyło. Ale jego ręka się trzęsła.

Dlaczego się trzęsła, kto sprawiał, że się trzęsła, czy trzęsła się z rozpusty, niedowładu, pijaństwa czy ze strachu - Jonathan nie wiedział. Ale trzęsła się, jakby była dłonią należącą do kogoś innego. Trzęsła się, gdy brała paszport Jonathana od Langbourne'a i kiedy pieczołowicie wpisywała fałszywe dane do formularza. Trzęsła się, gdy zwracała paszport Jonathanowi zamiast Langbourne'owi. Trzęsła się, gdy kładła dokumenty na stole. Nawet gruby palec wskazujący trząsł się, gdy wskazywał Jonathanowi miejsce, w którym miał notarialnie zrzec się swego życia, i miejsce, w którym wystarczyło

skreślić parafkę.

A gdy Mulder doprowadził do tego, że Jonathan podpisał każdy rodzaj dokumentu, o którym słyszał w życiu, i wiele takich, o których nie słyszał, trzęsąca się dłoń wyjęła obligacje na okaziciela, drżący stos solidnie wyglądających niebieskich dokumentów wypuszczonych przez wyłączną własność Jonathana, Tradepaths Limited, każdy arkusz numerowany, zaopatrzony w pieczęć i odbity z miedziorytu jak banknot, bo tym w teorii był, gdyż wzbogacał swojego posiadacza, nie ujawniając jego tożsamości. I Jonathan wiedział od razu - nie potrzebował niczyjego potwierdzenia - że obligacje są autorskiego projektu Ropera; dla szpanu, jak mawiał; dla podbicia otwarcia, żeby błaznów przytknęło.

Potem na kiwnięcie amorkowatej głowy Muldera Jonathan podpisał też obligacje jako jedyny sygnatariusz rachunku bankowego przedsiębiorstwa. I po tej miłej czynności podpisał wystukany na maszynie miłosny liścik do notariusza Muldera, potwierdzając, że zgodnie z lokalnym prawem czyni go stałym zarządzającym Tradepaths Limited.

I nagle było po wszystkim i pozostało im tylko uściśnąć dłoń, która wykonała tak wiele ciężkiej pracy. I zrobili to jak należy - nawet Langbourne - a Mulder, rumiany sześćdziesięcioletni uczeń, machał im pulchną łapką, gdy szli w dół schodów, szczerze obiecując, że będzie pisał co tydzień.

- Jeśli pozwolisz, Tommy, to tylko upomniałbym się o ten paszport - rzekł Tabby, puszczając oko.

* * *

- Ależ znamy się już z Derekiem, Dicky! - zapiał holenderski bankier do Ropera stojącego w miejscu, w którym znajdowałby się marmurowy kominek, gdyby w bankach w Curaçao były kominki. - Chyba nie tylko wczoraj wieczór. Rzekłbym, że jesteśmy starymi przyjaciółmi z Crystal! Nettie, podaj panu Thomasowi herbatę!

Na chwilę umysł żołnierza zwiadu bezpośredniego odmówił współpracy. Ale Jonathan przypomniał sobie wieczór w Crystalu, Jed siedzącą przy swoim końcu stołu w wydekoltowanej sukience z niebieskiego jedwabiu i w perłach kontrastujących z opalenizną i przypomniał sobie tego głupekowego bankiera, który teraz stał przed nim i zanudzał wszystkich swoimi koneksjami z najwybitniejszymi mężami stanu.

- Ależ oczywiście! Cieszę się, że cię znowu widzę, Piet - wykrzyknął z lekkim opóźnieniem uprzejmy hotelarz. A potem, jakby

widział ich po raz pierwszy w życiu, drugi raz w ciągu dwudziestu minut wymienił uściski dłoni z Mulderem i Morantim. Lecz wcale się tym nie przejął, gdyż zaczynał rozumieć, że w trupie, do której przystąpił, jeden aktor może grać wiele ról w jednym dniu roboczym.

Usiedli po wszystkich czterech stronach stołu. Moranti obserwował i słuchał jak sędzia sportowy, a bankier u szczytu stołu prowadził konwersację, ponieważ wyglądało na to, że uznał za swój pierwszy obowiązek zapoznać Jonathana z górą niepotrzebnych informacji.

- Kapitał akcyjny przedsiębiorstwa z siedzibą w rajach podatkowym Curaçao może być określony w dowolnej walucie - mówił. - Podmioty zagraniczne mają nieograniczone prawo własności akcji.

- Wspaniale - powiedział Jonathan.

Langbourne uniósł leniwe spojrzenie w jego kierunku. Moranti ani drgnął. Roper, który wznosił głowę i uważnie przyglądał się starym holenderskim stiukom na suficie, uśmiechnął się do siebie.

- Przedsiębiorstwo jest zwolnione z wszelkich podatków od zysków kapitałowych, podatków pracowniczych, podatków od darowizn i od nieruchomości. Nie podlega podatkowi giełdowemu i opłacie skarbowej naliczanej *ad valorem*.

- No cóż, to wielka ulga - rzekł tym samym entuzjastycznym tonem Jonathan.

- Pan Derek Thomas nie jest zobowiązany przepisami prawa do wyznaczania niezależnych audytorów - kontynuował z powagą bankier, jakby to nadawało mu wyższą godność monastyczną. - Pan Thomas może swobodnie zdecydować o przeniesieniu siedziby swojego przedsiębiorstwa na obszar pozostający pod inną jurysdykcją, zakładając, że w wybranym przez niego obszarze mają zastosowanie przepisy na to zezwalające.

- Nie omieszkać zwrócić na to uwagi - skomentował Jonathan i tym razem ku jego zaskoczeniu niewzruszony Moranti uśmiechnął się słonecznie i rzekł:

- Nowa Zelandia - jakby uznał, że ten kraj mimo wszystko jednak się do czegoś nadaje.

- Tytułem kapitału akcyjnego trzeba spłacić co najmniej sześć tysięcy dolarów amerykańskich, ale ten warunek został już spełniony - kontynuował bankier. - Naszemu tu oto czcigodnemu przyjacielowi Derekowi pozostało jedynie złożyć podpis na pewnych niezbędnych *pro forma* dokumentach. - Usta bankiera rozciągnęły się w uśmiechu jak gumowy pasek, gdy wskazał czarne wieczne pióro sterczące stalówką w dół w tekowej podstawce.

- Wybacz, Piet - rzekł Jonathan zaintrygowany, ale nadal

uśmiechnięty - nie złapałem tego, co powiedziałaś przed chwilą. O jaki dokładnie „warunek” chodzi?

- Twoje przedsiębiorstwo ma szczęście być w stanie znakomitej płynności finansowej, Derek - rzekł holenderski bankier swoim najbardziej swobodnym tonem.

- Och, cudownie. Nie miałem o tym pojęcia. To może pozwoliłbyś mi spojrzeć na stan konta.

Bankier w dalszym ciągu patrzył na Jonathana i jedynie ledwo dostrzegalnym skłonieniem głowy przekazał to pytanie Roperowi, który wreszcie oderwał wzrok od sufitu.

- Oczywiście, że może zobaczyć stan konta, Piet. Na litość boską, to przedsiębiorstwo Dereka, nazwisko Dereka na dokumentach, transakcja Dereka. Jak chce, dajcie mu zobaczyć konto, czemu nie?

Bankier wyjął z szuflady biurka wąską pomarańczową kopertę i położył ją na stole. Była otwarta. Jonathan uniósł skrzydełko i wysunął miesięczny wyciąg z konta informujący, że Tradepaths Limited z Curaçao ma obecnie na swoim rachunku sto milionów dolarów USA.

- Ktoś jeszcze chce to zobaczyć? - spytał Roper.

Moranti wyciągnął rękę. Jonathan podsunął mu wyciąg.

Moranti obejrzał go i podał Langbourne'owi, który zrobił znużoną minę i nie patrząc, oddał wyciąg bankierowi.

- Dajcie mu ten cholerny czek i skończmy z tym - powiedział, wskazując jasną głową na Jonathana, ale nadal siedząc do niego tyłem.

Urzędniczka, która stała w głębi pokoju z teczką pod pachą, ceremonialnie obeszła stół i dotarła do Jonathana. Teczka była skórzana, przeładowana tłoczeniami roboty miejscowych rzemieślników. Wewnątrz leżał czek Tradepaths wystawiony na okaziciela, opiewający na kwotę dwudziestu pięciu milionów dolarów USA.

- Śmiało, Derek, podpisz - powiedział Roper rozbawiony wahaniem Jonathana. - Nie ugryzie cię. Takie pieniądze to my zostawiamy kelnerowi, no nie, Piet?

Wszyscy się roześmieli poza Langbourne'em.

Jonathan podpisał czek. Urzędniczka włożyła go do teczki i zamknęła ją, jak nakazują dobre obyczaje. Była dziewczyną mieszanej krwi, bardzo piękną, z wielkimi zdziwionymi oczami, skromną jak zakonnica.

Roper i Jonathan siedzieli na kanapie w wykuszu, podczas gdy bankier i trzech prawnicy zajmowali się własnymi sprawami.

- Hotel w porządku? - spytał Roper.

- Znakomity, dzięki. Całkiem dobrze prowadzony. To piekło mieszkać w hotelach, jak się poznało ten biznes na wylot.

- Meg jest fajna.

- Meg jest wspaniała.

- To całe prawnicze zawracanie głowy jest dla ciebie przejrzyste jak błoto, nie?

- Niestety.

- Jeds przesyła pozdrowienia. Dans wczoraj zgarnął puchar na regatach małodatów. Jest wniebowzięty. Zabiera replikę do matki. Chciał, żebyś wiedział.

- To wspaniale.

- Myślałem, że będziesz zadowolony.

- Jestem. To triumf.

- No cóż, nie ostatni. Dziś wieczór kroi się coś dużego.

- Znowu przyjęcie?

- Tak to nazwijmy.

Należało dopełnić ostatniej formalności. Konieczne były magnetofon i przygotowany tekst. Urzędniczka obsługiwała magnetofon, bankier wprowadzał Jonathana w rolę.

- Normalnym głosem, Derek. Tak jak mówiłeś tu dzisiaj. To dla nas. Byłbyś uprzejmy?

Jonathan przebiegł wzrokiem dwie napisane na maszynie linijki, a potem odczytał je na głos:

- „Tu mówi twój przyjaciel, George. Dziękuję, że czuwałeś dziś w nocy”.

- I jeszcze raz, Derek, proszę. Może jesteś trochę zdenerwowany. Rozluźnij się troszeczkę.

Przeczytał po raz drugi.

- Jeszcze raz, Derek, proszę. Wydaje mi się, że jesteś trochę napięty. Może te wielkie sumy wytrąciły cię z równowagi.

Jonathan uśmiechnął się, jak umiał najmiej. Był tu gwiazdą, a od gwiazd oczekuje się trochę humorów.

- Prawdę mówiąc, Piet, wydaje mi się, że to było zupełnie przyzwoite, wystarczy.

Roper zgodził się z tym.

- Piet, zrzedzisz jak stara baba. Wyłącz cholerstwo. Chodźmy, signor Moranti. Czas na uczciwy posiłek.

Znów uściski dłoni; po kolei każdego z każdym, jak dobrzy przyjaciele w sylwestra.

- Więc do jakich wniosków doszedłeś? - spytał Roper z uśmiechem

delfina, wyciągnięty w plastikowym fotelu na balkonie apartamentów Jonathana. - Rozgryzłeś to? Czy wciąż za trudne?

To były nerwowe chwile. Chwile oczekiwania w ciężarówce, z zaczerwioną twarzą, wymiana błahych żartów miała utrzymać adrenalinę na wodzy. Roper oparł nogi o balustradę. Jonathan pochylił się nad szklanką, wpatrując się w ciemniejące morze. Nie było księżycy. Bryza marszczyła fale. Pierwsze gwiazdy prześwitywały przez zwały niebieskoczarnych chmur. Z tyłu w oświetlonym salonie Frisky, Gus i Tabby prowadzili przyciszoną konwersację. Tylko Langbourne, rozłożony malowniczo na kanapie i czytający „Private Eye”, wydawał się nieświadomy napięcia.

- Jest w Curaçao przedsiębiorstwo o nazwie Tradepaths mające sto milionów dolarów amerykańskich minus dwadzieścia pięć - powiedział Jonathan.

- Z tym że... - podsunął Roper.

Uśmiech rósł.

- Z tym że nie ma ani centa, bo Tradepaths jest wyłączną własnością Ironbrand.

- Nie, nie jest.

- Oficjalnie Tradepaths jest niezależnym przedsiębiorstwem, niemającym żadnego powiązania z innymi. W rzeczywistości jest na twoich usługach i nie wykona ruchu bez ciebie. Ironbrand nie może ujawnić, że inwestuje w Tradepaths. Więc Ironbrand pożyczka pieniądze inwestorów obłaskawionemu bankowi i tenże bank przypadkiem inwestuje te pieniądze w Tradepaths. Bank jest odłącznikiem. Po załatwieniu transakcji Tradepaths wypłaca inwestorom suty zysk, wszyscy idą szczęśliwi do domu, a ty zatrzymujesz resztę.

- Komuś dzieje się krzywda?

- Mnie. Jeśli się nie uda.

- Uda się. Komuś jeszcze?

Jonathan zdał sobie sprawę, że Roper domaga się od niego rozgrzeszenia.

- Komuś na pewno.

- Postawmy pytanie inaczej. Czy komuś dzieje się niezawiniona krzywda?

- Sprzedajemy broń, prawda?

- I co z tego?

- No cóż, zapewne jest sprzedawana po to, żeby zrobiono z niej użytek. A ponieważ transakcja jest utajniona, można z powodzeniem założyć, że broń sprzedaje się takim ludziom, którzy nie powinni jej dostać.

Roper wzruszył ramionami.

- Kto tak mówi? Kto decyduje, kto ma do kogo strzelać? Kto układa cholerne prawo? Wielkie potęgi? Jezu! - Wyjątkowo poruszony wskazał ciemniejące morze. - Nie zmienisz koloru nieba. Mówiłem już Jeds. Nie słucha. Nie można mieć do niej pretensji. Jest młoda, jak ty. Daj jej dziesięć lat, przejrzy na oczy.

Jonathan ośmielony przeszedł do ataku.

- Więc kto kupuje? - powtórzył pytanie stawiane w samolocie.

- Moranti.

- Nie, nie on. Nie wypłacił panu ani centa. Pan albo inwestorzy wyłożyliście sto milionów dolarów. Ile wyłożył Moranti? Sprzedaje mu pan broń. On ją kupuje. Więc gdzie są pieniądze? A może płaci panu czymś lepszym niż pieniędzmi? Czymś, co może pan sprzedać za dużo, dużo więcej niż sto milionów.

Twarz Ropera była maską rzeźbioną w mroku, ale widniał na niej wyraźny, bezbarwny uśmiech.

- Sam to robiłeś, no nie? Ty i ten kangur, którego zabiłeś. W porządku, zaprzeczasz. Nie widziałeś tego w odpowiednim rozmiarze, twoje zmartwienie. Zobacz to na dużą skalę albo w ogóle nie oglądaj, takie moje zdanie. Niemniej sprytny z ciebie gość. Szkoda, że nie spiknęliśmy się wcześniej. Mógłbyś mi się przydać w kilku innych miejscach.

W pokoju zadzwonił telefon. Roper odwrócił się gwałtownie i Jonathan, idąc za jego spojrzeniem, zdążył zobaczyć Langbourne'a stojącego ze słuchawką przy uchu. Rozmawiał i równocześnie patrzył na zegarek. Odłożył słuchawkę, spojrział na Ropera, pokręcił przecząco głową i wrócił do lektury na kanapie. Roper z powrotem ułożył się w plastikowym fotelu.

- Pamiętasz stary handel z Chinami? - spytał nostalgicznie.

- To chyba były lata trzydzieste dziewiętnastego wieku.

- Ale czytałeś o tym, no nie? O ile mi się zdaje, czytałeś o wszystkim.

- Tak.

- Pamiętasz, co te Angole z Hongkongu wozily rzeką do Kantonu? Omijając chińskie komory celne, tworząc imperium, budując sobie fortuny?

- Opium.

- Za herbatę. Opium za herbatę. Barter. Wracali do ojczyzny jako magnaci przemysłowi. Szlachectwo, chwała, cały ten kram. Jaka to, do diabła, różnica? Korzystaj ile wlezie! Nic więcej się nie liczy. Amerykanie o tym wiedzą. Czemu my nie? Proboszczowie o spiętych

pośladach co niedziela grzmią z ambony, stare lesbijki popijają herbatkę, wypylają biszkopcik, pani Iksińska biedaczka umarła na nie-wiedzieć-co? Pieprzyć to. To, kurwa, gorsze niż więzienie. Wiesz, o co Jeds mnie spytała?

- O co?

- „Ile jest w tobie zła? Powiedz mi to, co najgorsze!” Chryste!

- Co pan na to?

- „Cholera, za mało we mnie zła!”, powiedziałem jej. „Jestem ja i dżungla. Żadnego policjanta na rogu ulicy. Żadnej sprawiedliwości pilnowanej przez facetów w perukach znających się na prawie. Nic! Myślałem, że to ci się podoba”. Trochę nią wstrząsnęło. Dostała za swoje.

Langbourne stukał w szybę.

- Więc po co pan uczestniczy w naradach? - spytał Jonathan.

Wstali.

- Po co trzymać psa i czekać samemu?

Roper roześmiał się i poklepał Jonathana po plecach.

- Nie ufam żadnemu psu, dlatego, stary. Żadnemu mojemu psu. Tobie, Corky'emu, Sandy'emu - nie ufałbym żadnemu z was nawet w pustym kurniku. To nic osobistego. Taki już jestem.

Dwa samochody czekały wśród oświetlonych hibiskusów na podjeździe przed hotelem. Pierwsze było volvo prowadzone przez Gusa. Langbourne usiadł z przodu. Roper i Jonathan z tyłu. Tabby i Frisky jechali za nimi toyotą. Langbourne miał teczkę.

Gdy minęli wysoki most, zobaczyli niżej światła miasteczka i rozcinające je ciemne holenderskie kanały. Zjechali stromym podjazdem. Stare domy ustąpiły miejsca chatom. Nagle mrok stał się groźny. Jechali szosą po płaskim terenie, po prawej mieli wodę, po lewej oświetlone reflektorami kontenery ustawione po cztery jeden na drugim, oznaczone takimi napisami jak Sealand, Nedlloyd, Tiphook. Skręcili w lewo i Jonathan ujrzał niski biały dach oraz niebieskie słupki bramy. Zgadł, że to urząd celny. Zmieniła się nawierzchnia i koła zaturkotały.

- Zatrzymaj się przy bramie i zgaś światła - rozkazał Langbourne. - Wszystkie.

Gus zatrzymał się przy bramie i wyłączył światła samochodu. Frisky prowadzący toyotę zrobił to samo. Zamknięta biała brama stała przed nimi. Na niej widniały ostrzegawcze napisy po holendersku i angielsku. Potem światła bramy zgasły i wraz z ciemnością zapadła cisza. W oddali Jonathan zauważył surrealistyczny pejzaż: dźwigi,

wózki widłowe oświetlone wieloma lampami łukowymi, blade sylwetki wielkich statków.

- Pokażcie im dłonie. Nikt się nie rusza - rozkazał Langbourne.

W jego głosie zabrzmiał nowy, władczy ton. To było jego przedstawienie, bez względu na to, jakie ono było. Otworzył drzwi i poruszył nimi. Światło wewnętrzne mrugnęło dwukrotnie. Langbourne zamknął drzwi i znów siedzieli w ciemności. Opuścił szybę. Jonathan ujrzał wsuwającą się rękę. Białą, męską i bardzo silną. Należała do ramienia osłoniętego krótkim rękawem białej koszuli.

- Jedna godzina - powiedział Langbourne w ciemność.
- Za długo - zaprotestował chrapliwy głos z obcym akcentem.
- Zgodziliśmy się na jedną godzinę. Jedna godzina albo nic.
- Dobra, dobra.

Dopiero wtedy Langbourne podał kopertę przez okno. Zapaliła się latarka punktowa, zawartość koperty została szybko przeliczona. Biała brama przesunęła się w bok. Ruszyli z wyłączonymi reflektorami. Tuż za nimi podążała toyota. Minęli zabytkową kotwicę osadzoną w betonie i wjechali w uliczkę utworzoną przez wielokolorowe kontenery, każdy oznaczony kombinacją liter i siedmiu cyfr.

- Tu w lewo - rozkazał Langbourne. Skręcili w lewo, toyota też. Jonathan pochylił głowę, gdy ramię pomarańczowego dźwigu zawisło nad nimi.

- Teraz w prawo. Tu! - powiedział Langbourne.

Skręcili w prawo i z morza wyrósł czarny kadłub tankowca. Znowu w prawo, mijali pół tuzina cumujących statków. Dwa były wielkie i świeżo malowane. Reszta to były parszywe fidery. Z każdego zwisał oświetlony trap.

- Stój - rozkazał Langbourne.

Zatrzymali się. Nadal nie włączali świateł. Toyota siedziała im na zderzaku. Tym razem czekali tylko kilka sekund, zanim kolejna latarka zaświeciła w przednią szybę; czerwone światło, potem białe, znów czerwone.

- Otwórz wszystkie szyby - polecił Gusowi Langbourne. Znów zatroszczył się o ręce. - Na deskę rozdzielczą, żeby mogli je widzieć. Szefie, niech pan położy ręce na oparciu siedzenia przed panem. Ty też, Thomas.

Z niespotykaną potulnością Roper wykonał polecenie. Powietrze było chłodne. Woń ropy mieszała się z wonią morza i żelaza. Jonathan był w Irlandii. Był w dokach w Pugwash ukryty na brudnym frachtowcu, czekał na ciemność, aby przedostać się na brzeg. Dwie białe latarki pojawiły się po obu stronach samochodu. Strumienie światła

zbadaly ręce, twarze, podłogę samochodu.

- Pan Thomas z osobami towarzyszącymi - zapowiedział Langbourne. - Przyjechali na inspekcję ciągników, zapłacić drugą połowę.

- Który to Thomas? - zapytał męski głos.

- Ja.

Pauza.

- W porządku.

- Wszyscy wysiadają powoli - rozkazał Langbourne. - Thomas za mną. Gęsiego.

Ich przewodnik był szczupły, wysoki i wydawał się zbyt młody na to, by nosić hecklera, który zwisał mu przy prawym boku. Trap był krótki. Wchodząc na pokład, Jonathan znów zobaczył za czarną wodą światła miasta i płomienie rafinerii.

Statek był stary i mały. Jonathan ocenił go najwyżej na cztery tysiące ton, które dawniej służyły innym celom. W nadbudówce luku stały otworem drewniane drzwi. Wewnątrz, na ścianie, nad spiralnymi stalowymi schodkami świeciła się lampa. Przewodnik schodził pierwszy. Echo kroków przypominało grzechot ogniwi łańcucha. W słabym świetle Jonathan dokładniej przyjrzał się mężczyźnie, który ich prowadził. Miał na sobie dzinsy i tenisówki. Na czoło opadał mu blond kosmyk, mężczyzna odgarniał go do tyłu lewą dłonią. Prawą nadal trzymał na hecklerze, palec wskazujący otulał spust. Statek również odsłaniał coraz więcej o sobie. Był przystosowany do przewozu ładunku mieszanego. Pojemność około sześćdziesięciu kontenerów. Stara wysłużona balia typu ro-ro dobiegająca swoich dni. W razie niepowodzenia można było ją poświęcić.

Towarzystwo się zatrzymało. Przed nim stało trzech mężczyzn - białych, jasnowłosych, młodych. Za nimi widniały zamknięte stalowe drzwi. Jonathan ocenił intuicyjnie, że mężczyźni są Szwedami. Tak jak przewodnik nosili hecklery.

Dało się odczuć, że jest przywódcą. Świadczyła o tym swoboda, miejsce, które zajął, dołączając do swoich. I po groźnym uśmiechu.

- Co tam u arystokracji w dzisiejszych czasach, Sandy? - zawołał.

Jonathan nadal nie potrafił umiejscowić jego akcentu.

- Cześć, Pepe - odrzekł Langbourne. - Pierwszorzędnie, dzięki. Co u ciebie?

- Wszyscy studiujecie rolnictwo? Lubicie ciągniki? Części do maszyn? Chcecie uprawiać zboża, karmić wszystkich biednych ludzi?

- Weźmy się za robotę, kurwa - uciął Langbourne. - Gdzie Moranti?

Pepe szarpnięciem otworzył stalowe drzwi w tym samym momencie, w którym Moranti wyłonił się z cieni.

„Lord Langbourne ma szmergla na punkcie broni... - powiedział Burr. - Grał żołnierza-dżentelmena w kilku brudnych wojnach... szczyci się umiejętnościami zabójcy... w wolnych chwilach para się kolekcjonowaniem dzieł sztuki, jak Roper... humor im się poprawia, kiedy pomyślą, że przejdą do historii...”

Ładownia zajmowała większość statku. Pepe pełnił honory domu. Langbourne i Moranti szli obok, Jonathan i Roper za nimi, potem służba: Frisky, Tabby i trzej członkowie załogi z hecklerami. Dwadzieścia kontenerów przymocowano łańcuchami do podłogi. Umieszczone na zaczepach paski zdradziły Jonathanowi o wielu portach przeladunkowych: Lizbona, Azory, Antwerpia, Gdańsk.

- Ten nazywamy saudyjskie pudełko - oświadczył dumnie Pepe. - Otwiera się na bok, więc saudyjscy celnicy mogą wejść do środka i poszperać za gorzałą.

Pieczenie celne były zabezpieczone stalowymi sworzniami. Pepe odciął je cęgami.

- Nie przejmuj się, mamy zapasowe - powiedział Jonathanowi. - Jutro rano wszystko będzie jak należy. Celnicy się nie przyczepią.

Powoli opuszczono boczną ścianę kontenera. Broń narzuca swoją ciszę. To cisza przyszłych umarłych.

- Vulcany - mówił Langbourne gwoli oświecenia Morantiego. - Zaawansowana technologicznie wersja gatlinga. Sześć dwudziestomilimetrowych luf wystrzeliwuje trzy tysiące pocisków na minutę. Dzieło sztuki. Amunicja jest, następna w drodze. Każdy nabój wielkości twojego palca. Jedna seria robi hałas jak horda szerszeni. Śmigłowce i lekkie samoloty nie mają szans. Dziesięć sztuk. Nowiutkie. W porządku?

Moranti się nie odezwał. Tylko nieznaczne kiwnięcie głową zdradzało satysfakcję. Przeszli do następnego kontenera. Był ładowany od szczytu, co znaczyło, że zawartość dała się obejrzeć tylko w części. Ale to, co zobaczyli, było wystarczające.

- Sprężone działka przeciwlotnicze kalibru pięćdziesiąt - oświadczył Langbourne. - Mogą strzelać jednocześnie do jednego celu. Pojedyncza seria rozwała dowolny samolot. Można tym załatwić ciężarówkę, transporter opancerzony, lekko opancerzony transporter. Montowane na dwupółtonowym podwoziu, są ruchome i dają w dupę

aż miło. Nowiutkie.

Za Pepem przeszli na prawą burtę statku, gdzie dwaj ludzie ostrożnie wyjmowali wrzecionowaty pocisk z cylindra z włókna szklanego. Tym razem Jonathan nie potrzebował wiedzy Langbourne'a. Widział filmy pokazowe. Słyszał opowieści. „Jeśli IRA położy kiedyś na tym swoje łapy, szykujcie sobie trumny - obiecał maniak na punkcie bomb, starszy sierżant. - A położą. Zwężdżą je z amerykańskich składów broni w Niemczech, kupią za, kurwa, fortunę od Afgańców, Żydków albo Arabów czy kogo tam, komu Amerykańcy będą łaskawi je sprzedać. Są ponaddwiędkowe, ręcznie obsługiwane, wchodzą po trzy do skrzynki, to stingery z nazwy i stingery z natury*...”

* Stinger - dosł. żądło.

Oglądanie trwało. Lekkie działa przeciwczołgowe. Radiostacje polowe. Sprzęt medyczny. Mundury. Amunicja. Żelazne racje żywnościowe. Brytyjskie przenośne zestawy przeciwlotnicze Starstreak. Skrzynie produkowane w Birmingham. Stalowe kanistry produkowane w Manchesterze. Nie wszystko dało się sprawdzić. Za dużo ładunku, za mało czasu.

- Podoba się? - spytał cicho Jonathana Roper.

Ich głowy były bardzo blisko. Roper miał napięty i dziwnie zwycięski wyraz twarzy, jakby dowiódł swojej racji.

- Imponujące - odparł Jonathan, nie wiedząc, co innego miałby powiedzieć.

- Po trochę wszystkiego w każdym ładunku. W tym sztuka. Zgubi się statek, stracisz po trochu wszystkiego, nie całość jednego asortymentu. Rozsądne rozwiązanie.

- Chyba tak.

Roper go nie słyszał. Przeżywał swoje dokonanie. Przeżywał stan łaski.

- Thomas! - To Langbourne wołał z rufowej części ładowni. - Tutaj. Czas podpisywania.

Roper poszedł z nim. Na wojskowej podkładce Langbourne trzymał wypisane maszynowo pokwitowanie za turbiny, części do ciągników i ciężki sprzęt, zgodnie z załączonym wykazem, sprawdzonym i potwierdzonym przez Dereka S. Thomasa, prezesa Tradepaths Limited. Jonathan podpisał pokwitowanie, potem parafował wykaz. Dał podkładkę Roperowi, ten przekazał ją Morantiemu, ten wręczył ją z powrotem Langbourne'owi, a on podał ją Pepemu. Na półce przy drzwiach leżał telefon bezprzewodowy. Pepe podniósł go i wybrał numer przekazany przez Ropera na świstku papieru. Moranti

stał w pewnej odległości od nich, z rękoma zgiętymi po bokach i sterczącym brzuchem, jak rosyjski żołnierz na cenotafie. Pepe podał telefon Roperowi. Usłyszeli witającego się bankiera.

- Piet? - odezwał się Roper. - Mój przyjaciel chce ci przekazać ważną wiadomość.

Roper wręczył Jonathanowi telefon wraz z innym świstkiem papieru wyjętym z kieszeni, Jonathan spojrzął na papier, a potem odczytał głośno:

- Tu mówi twój przyjaciel, George. Dziękuję, że czuwałeś dziś w nocy.

- Zechciej dać Pepego do telefonu, Derek - rzeki bankier. - Chciałbym potwierdzić pewne miłe wieści.

Jonathan wręczył telefon Pepemu, który posłuchał, roześmiał się, przerwał połączenie i klepnął Jonathana po plecach.

- Hojny gość z ciebie!

Przestał się śmiać, gdy Langbourne wyjął z teczki zadrukowaną kartkę.

- Pokwitowanie - powiedział szorstko.

Pepe złapał długopis Jonathana i obserwowany przez wszystkich podpisał pokwitowanie dla Tradepaths Limited na sumę dwudziestu pięciu milionów dolarów amerykańskich, stanowiącą trzecią i przedostatnią wypłatę za dostarczenie turbin, części ciągników i ciężkiego sprzętu do Curaçao, zgodnie z załączonym kontraktem, na pokładzie parowca „Lombardy”.

Zadzwoiła o czwartej rano.

- Jutro przenosimy się na „Pashę” - powiedziała. - Ja i Corky.

Jonathan się nie odezwał.

- Mówi, że mam uciekać. „Niech szlag trafi rejs, zwiewaj, póki jest szansa”.

- Ma rację - szepnął.

- Zwiewanie nic nie da, Jonathanie. Niczemu nie służy. Oboje o tym wiemy. Tylko spotykasz siebie samego w następnym miejscu.

- Po prostu wynieś się. Byle gdzie. Proszę.

Znów leżeli nieruchomo jedno przy drugim na oddzielnych łóżkach, wsłuchując się nawzajem w swoje oddechy.

- Jonathanie - szepnęła. - Jonathanie.

23

Wszystko w operacji „Pijawka” szło jak z płatka. Tak powiedział Burr znad swojego brudnego szarego biurka w Miami. Podobnie uważał Strelski sąsiadujący z nim przez ścianę. Goodhew telefonujący dwa razy dziennie przez bezpieczną linię z Londynu nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- Władza poszła po rozum do głowy, Leonardzie. Teraz potrzeba nam tylko podsumowania.

- Jaka władza? - spytał podejrzliwy jak zawsze Burr.

- Chociażby mój szef.

- Twój szef...?!

- Zmienia poglądy, Leonardzie. Mówi o tym i wszelkie wątpliwości muszą rozstrzygnąć na jego korzyść. Jak mogę robić coś za jego plecami, skoro oferuje mi swoje pełne poparcie? Wczoraj przytulił mnie do serca.

- Miło mi słyszeć, że ma coś takiego.

Ale Goodhew ostatnio nie był w nastroju do takich żartów.

- Powiedział, że powinniśmy pozostawać w o wiele bliższych kontaktach. Wokół jest zbyt wielu ludzi, których nie można ruszyć. Powiedział, że w powietrzu unosi się woń zgnilizny. Sam lepiej bym tego nie określił. Chciałby zapisać się w historii jako ten, który nie obawiał się znaleźć źródła tego smrodu. Postaram się, by tak było. Nie wymienił „Okrętu Flagowego” z nazwy. Ja też nie. Czasem bardziej się opłaca zachować powściągliwość. Ale twoja lista, Leonardzie, zrobiła na nim wielkie wrażenie. Lista pomogła. To był nagi fakt, z którym trzeba się zmierzyć. Nie dało się go obejść.

- Moja lista...?!

- Tak, Leonardzie, lista. Ta sfotografowana przez naszego przyjaciela. Protektorów. Inwestorów. - W głosie Goodhew był błagalny ton, którego Burr wolałby nie usłyszeć. - Wyraźny dowód przestępstwa, na litość boską. Jak powiedziałeś: coś, czego nikt nigdy

by nie znalazł. Poza twoim przyjacielem. Leonardzie, jesteś rozmyślnie tępy.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że pokazałeś listę protektorów swojemu ministrowi?!

- Dobry Boże, nie cały materiał, jakżebym mógł? Tylko nazwiska i liczby. Naturalnie po odpowiedniej przeróbce. Mógłby pochodzić z monitoringu telefonicznego, mikrofonowego, skądkolwiek. Mogliśmy to zwinąć ze skrzynki na listy.

- Roper nie dyktował tej listy, nie czytał jej przez telefon. Nie wrzucił jej do skrzynki na listy. Zapisał ją w żółtym notatniku. Na całym świecie jest tylko jeden egzemplarz tej listy i tylko jeden człowiek ją sfotografował.

- Leonardzie, nie dziel włosa na czworo! Chodzi mi o to, że mój szef jest oburzony. Uważa, że podsumowanie jest blisko i muszą spaść głowy. Uważa... tak mówi i będę mu wierzył, dopóki nie udowodni mi się, że się mylę... że duma każe mu unikać spoglądania w twarz pewnym nieprzyjemnym prawdom, aż do chwili, w której zostaną mu podsunięte pod nos, Leonardzie, zresztą wszyscy tak postępujemy, i uważa, że nadszedł czas, w którym musi wstać z ławy rezerwowych i wejść do gry. - Bohatersko usiłował zdobyć się na dowcip: - Znasz jego słabość do metafor. Jestem zaskoczony, że nie dorzucił czegoś o nowych miotłach powstałych z popiołów.

Być może Goodhew spodziewał się wybuchu perlistego śmiechu, ale Burr nie spełnił tych oczekiwań. Goodhew wpadł w podniecenie:

- Leonardzie, nie miałem wyboru. Jestem sługą Korony. Służę ministrowi Korony. Moim obowiązkiem jest informowanie mojego szefa o przebiegu twojej akcji. Jeśli mój szef mówi mi, że przejrzał na oczy, nie mogę mu powiedzieć, że kłamie. Mam swoje poczucie lojalności, Leonardzie. Zarówno wobec moich zasad, jak wobec ciebie i wobec niego. Po jego naradzie z sekretarzem stanu jesteśmy umówieni na lunch we czwartek. Mam się spodziewać ważnych wiadomości. Liczyłem, że będziesz zadowolony, że nie będziesz stroił fochów.

- Kto jeszcze widział listę protektorów?

- Poza moim szefem nikt. Naturalnie zwróciłem mu uwagę na jej tajność. Nie można ciągle mówić ludziom, żeby trzymali gęby na kłódkę, nie można za często krzyczyć: „Wilk!”. Niewątpliwie jej istota zostanie przedstawiona sekretarzowi stanu na czwartkowej naradzie, ale możemy być pewni, że nie wyjdzie poza to grono.

Milczenie Burra stało się nieznośne.

- Leonardzie, obawiam się, że zapominasz o podstawowych

zasadach. Wszystkie moje wysiłki podczas ostatnich kilku miesięcy były poświęcone większej otwartości w nowej epoce. Tajność to przekleństwo brytyjskiego systemu. Nie będę zachęcał mojego szefa ani innych ministrów do ukrywania się za jej spódnicą. Wystarczy już to, co robią. Nie słucham cię, Leonardzie. Nie pozwolę ci wpaść znowu w te stare koleiny Domu za Rzeką.

Burr wziął głęboki oddech.

- Przekonałeś mnie, Rex. Zrozumiałem. Od tej chwili będę się stosował do zasad podstawowych.

- Miło mi to słyszeć, Leonardzie.

Burr odłożył słuchawkę. Potem zadzwonił do Rooke'a.

- Rex Goodhew nie dostaje od nas więcej bezpośrednio raportów „Pijawki”, Rob. Zarządzenie ze skutkiem natychmiastowym. Jutro potwierdzą pisemnie.

* * *

Niemniej wszystko poza tym szło jak z płatka i jeśli Burr nadal niepokoił się potknięciem Goodhew, to ani on, ani Strelski nie mieli poczucia nieuchronnego zagrożenia. To, co Goodhew nazywał podsumowaniem, Burr i Strelski nazywali trafieniem i teraz trafienie było ich szczytem marzeń. Chodziło o moment, w którym narkotyki, broń i gracje znajdują się w tym samym miejscu, zdobyte zostaną do wody transferu pieniędzy i - zakładając, że agenci będą mieli niezbędne pełnomocnictwa i pozwolenia - wyskoczą z krzaków i wrzaskną: „Łapy do góry!”, a czarne charaktery wykrzywią się w ponurym uśmiechu i powiedzą: „Ładnie zagrane, panie władzo”, a jeśli to będą Amerykanie, padnie: „Zapłacisz mi za to, Strelski, ty draniu”.

W każdym razie tak to sobie wspólnie w żartach wyobrażali.

- A niech sobie jadą z tym na koniec świata - upierał się Strelski na naradach, przez telefon, przy kawie, biegnąc plażą. - Im są dalej, tym mniej mają miejsc, w których mogą się skryć, tym bliżej jesteśmy Boga.

Burr przyznał mu rację. Łapanie złoczyńców nie różni się od łapania szpiegów: wystarczy tylko ustawione kamery, dobrze oświetlony róg ulicy, jeden człowiek w trenczu znający plan, drugi w meloniku z walizką pełną używanych banknotów. A potem, jeśli ci się poszczęści, masz czystą sprawę. Problem z operacją „Pijawka” brzmiał: Czyja ulica? Czyje miasto? Czyje morze? Czyja jurysdykcja? Gdyż jedna rzecz był jasna - ani Richard Onslow Roper, ani jego partnerzy handlowi z Kolumbii nie mieli najmniejszego zamiaru sfinalizować transakcji na amerykańskiej ziemi.

Kolejnym źródłem wsparcia i satysfakcji był nowy prokurator federalny przydzielony do sprawy. Nazywał się Prescott i okazywał większy zapał niż zwykły prokurator federalny. Był drugim zastępcą prokuratora generalnego i każdy, kogo Strelski odpytał na tę okoliczność, mówił, że Ed Prescott to najlepszy drugi zastępca prokuratora generalnego, jaki istnieje, po prostu najlepszy, Joe, wierz moim słowom. Naturalnie Prescottowie byli rodziną, która od pokoleń zaliczała Yale, i paru jej członków miało kontakty z Agencją - jakże inaczej? - a nawet krążyła plotka, której Ed nigdy wprost nie zaprzeczył, że jest on w jakiś sposób spokrewniony ze starym Prescottem Bushem, ojcem George'a Busha seniora. Ale Ed... no cóż, Ed miał w nosie takie rzeczy i dawał to jasno do zrozumienia. Był to poważny waszyngtoński gracz z własnym terminarzem, a gdy pracował, zostawiał parantele za drzwiami gabinetu.

- Co się stało z facetem, którego mieliśmy do zeszłego tygodnia?
- spytał Burr.

- Chyba zmęczył się czekaniem - odparł Strelski. - Ci faceci nie utrzymują się długo.

Burr, jak zawsze oszołomiony amerykańską szybkością zatrudniania i zwalniania, nie odezwał się więcej. Dopiero gdy było za późno, zdał sobie sprawę, że on sam i Strelski żywili podobne obawy, ale z wzajemnego szacunku nie chcieli ich zwerbalizować. Tymczasem, jak wszyscy inni, Burr i Strelski podjęli się niewdzięcznego zadania przekonania Waszyngtonu, by zezwolił zatrzymać na otwartym morzu parowiec „Lombardy” zarejestrowany w Panamie, płynący z Curaçao do strefy wolnocłowej Colón, o którym wiadomo było, że wiezie wyrafinowane uzbrojenie wartości pięćdziesięciu milionów dolarów, opisane w manifeście okrętowym jako turbiny, części ciągników i maszyny rolnicze. Tutaj znowu Burr winił samego siebie - jak winił samego siebie prawie za wszystko - za spędzenie zbyt wielu godzin w towarzystwie Eda Prescottta, czarującego nobliwymi, starokawalerskimi manierami w przestronnych biurach prokuratora w centrum miasta, i za spędzenie ich zbyt niewiele w centrum operacyjnym łączonego zespołu i przy biurku oficera prowadzącego sprawę.

Ale co innego miał zrobić? Fale radiowe między Miami i Waszyngtonem dniem i nocą rozgrzewały się do czerwoności od nadmiaru szyfrowanych połączeń. Przewalala się procesja ekspertów, mniej lub bardziej oficjalnych, i szybko zaczęły pojawiać się między nimi znajome twarze: Kochanej Katie z ambasady waszyngtońskiej, Mandersona, oficera łącznikowego marynarki wojennej, Hardacre'a z

wywiadu radiowego SIGINT i młodego prawnika z Domu za Rzeką, który podobno był szykowany na zastępcę Palfreya w roli prawnego doradcy Grupy Zaopatrzenia Niebezpieśredniego.

W niektóre dni można było odnieść wrażenie, że cały Waszyngton opustoszał i przeniósł się do Miami; w inne biuro prokuratora redukowało się do dwóch maszynistek i telefonistki, podczas gdy drugi zastępca prokuratora generalnego Prescott oraz jego personel ruszali do boju na Kapitol. I Burr, głuchy i ślepy na zawilosci zakulisowych walk w Ameryce, czerpał pociechę z tej gorączkowej aktywności, zakładając, zupełnie jak chart pięknej Jed, że tam, gdzie jest tyle wydarzeń i ruchu, na pewno jest też i postęp.

Więc naprawdę nie było żadnych wyraźnych znaków na niebie i ziemi, tylko drobne sygnały alarmowe, które są nieodłączną częścią każdej tajnej operacji; na przykład dokuczliwa konieczność dopominania się o tak podstawowe dane, jak konkretne monitoringi, zdjęcia satelitarne i raporty wywiadu terenowego dostarczane z Langley. Blokowały się gdzieś w kanale, który powinien znajdować ujście na biurku Strelskiego. Poza tym Burrowi i Strelskiemu doskwierało osobliwe wrażenie, którym jeszcze się ze sobą nie podzielili, że operacja „Pijawka” jest przeprowadzana w połączeniu z inną operacją, którą wyczuwali, ale jej nie widzieli.

Poza tym jedynym utrapieniem był jak zwykle Apostoł, który nie po raz pierwszy w swojej widowiskowej karierze koncertowego kapusia Flynna wykonał numer ze zniknięciem. I było to tym bardziej nużące, że Flynn polecał specjalnie do Curaçao, by Apostoł miał go pod ręką, i teraz siedział w drogim hotelu, czując się jak dziewczę, które podpiera ścianę na balu.

Ale nawet i tu Burr nie czuł podstaw do niepokoju. Szczerze mówiąc, jego zdaniem Apo miał powody do takiego zachowania. Zajmujący się nim ludzie mocno go naciskali. Być może za mocno. Przez wiele tygodni Apo wyrażał swoją niechęć i groził, że weźmie zabawki i pójdzie do domu, jeśli czarno na białym nie dostanie amnestii. Nic dziwnego, że w miarę jak robiło się coraz goręcej, wołał nie pchać się przed szereg i nie ryzykować kolejnego sześciokrotnego dożywocia za podżeganie i poplecznictwo w największym łączonym przemyśle narkotyków i broni w nowożytności.

- Pat właśnie dzwonił do ojca Lucana - zgłosił Burrowi Strelski. - Lucan nie miał od Apo znaku życia. Pat też nie.

- Pewnie chce mu dać nauczkę - zasugerował Burr.

Tego samego wieczoru dostali premię: monitoring zdobyty w czasie przypadkowego przesiewu telefonów z Curaçao:

Lord Langbourne do kancelarii adwokackiej Menez & Garcia, Cali, Kolumbia. Wspomniani mecenasowie byli współnikami doktora Apostoła i znanymi pełnomocnikami kartelu z Cali. Doktor Juan Menez odebrał telefon.

- Juanito? Mówi Sandy. Co się stało z naszym przyjacielem doktorem? Nie pokazał się.

Osiemnastosekundowa cisza.

- Spytaj Jezusa.

- Co to, do diabła, znaczy?

- Nasz przyjaciel jest osobą religijną, Sandy. Może poszedł do klasztoru.

I kolejny raz Burr i Strelski, jak potem przyznali, nie podzielili się ze sobą myślami.

Dalszy monitoring ujawnił gorączkowe wysiłki sir Anthony'ego Joystona Bradshawa, który starał się dodzwonić do Ropera z kolejnych automatów telefonicznych rozsianych po wiejskich obszarach Berkshire. Najpierw usiłował wykorzystać kartę magnetyczną wydaną przez AT & A, ale głos z taśmy powiedział, że wyczerpał już impulsy. Domagał się rozmowy z nadzorem, wymachiwał tytułem, bełkotał po pijacku i został uprzejmie, lecz stanowczo odprawiony. Biura Ironbrand w Nassau pomogły mu niewiele więcej. Za pierwszym razem telefonistka nie chciała przyjąć jego rozmowy na koszt abonenta, za drugim razem jakiś MacDanby przyjął ją, po czym natychmiast go spławił. Wreszcie przedarł się do kapitana „Iron Pashy”. Jacht stał obecnie w porcie na Antigui.

- No, to gdzie on jest? Próbowałem w Crystalu. Nie ma go w Crystalu. Próbowałem w Ironbrand i jakiś bezczelny bubek powiedział mi, że sprzedaje grunty. Teraz ty mówisz mi, że jest spodziewany?! Gównu mnie obchodzi, czy jest spodziewany! Jest mi potrzebny teraz, zaraz! Mówi sir Anthony Bradshaw! To pilna sprawa. Wiesz, co to znaczy „pilna sprawa”?

Kapitan zasugerował, by spróbował pod prywatnym numerem Corkorana w Nassau. Bradshaw już tego próbował i na nic się to zdało.

Niemniej gdzieś jakoś dopadł tego, kogo chciał, i porozmawiał z nim poza zasięgiem monitoringu agencji - jak dowiodły późniejsze wydarzenia.

Oficer dyżurny zadzwonił o świcie. Mówił z absolutnym spokojem operatora centrum kontroli lotów, w chwili gdy rakieta ma się zaraz

roztrzaskać w kawałki.

- Pan Burr? Mógłby pan natychmiast przyjechać? Pan Strelski jest już w drodze. Mamy problem.

Strelski wybrał się sam w podróż. Wolałby zabrać Flynna, ale Flynn nadal smucił się w Curaçao, a Amato go pocieszał, więc Strelski pojechał i w ich imieniu. Burr zaoferował swoje towarzystwo, ale Strelski miał pewne kłopoty z brytyjskim udziałem w tej całej sprawie. Nie chodziło o Burra - Burr był kumpel. Ale kumplostwo to czasem za mało. Jak w tym przypadku.

Więc Strelski zostawił Burra w kwaterze głównej z mrugającymi monitorami, ogłuszoną z wrażenia nocną zmianą i surowymi rozkazami, że nikomu nie wolno zrobić ruchu, w żadnym kierunku, ani Patowi Flynnowi, ani prokuratorowi, ani nikomu, aż sprawdzi tę całą sprawę i zadzwoni z wiadomością: tak czy nie.

- W porządku, Leonardzie? Słyszysz mnie?
- Słyszę.
- To dobrze.

Kierowca czekał na niego na parkingu - nazywał się Wilbur, miły facet, ale z tych, co to prochu nie wymyślą - i pojechali na sygnale przez puste centrum, co tak naprawdę wydało się Strelskiemu skończonym kretynizmem, bo czemu ma służyć ten pośpiech i to całe budzenie ludzi? Ale nie odezwał się słowem, bo w głębi serca wiedział, że gdyby siedział za kierownicą, zrobiłby to samo. Czasami takie rzeczy robi się z szacunku dla pasażera. Czasami robi się je, bo nic innego zrobić nie można.

Poza tym należało się spieszyć. Kiedy z twoim głównym świadkiem coś się dzieje, możesz spokojnie powiedzieć, że należy się spieszyć. Kiedy wszystko idzie trochę nie tak trochę zbyt długo; kiedy coraz bardziej jesteś spychany na margines, podczas gdy wszyscy wylazą wprost ze skóry, przekonując cię, że panujesz nad sytuacją - Chryste, Joe, co byśmy bez ciebie zrobili? - kiedy na korytarzach w ucho wpadło ci trochę za dużo dziwnych teoryjek dotyczących zarządzania... teksty o „Okręcie Flagowym”, które to wyrażenie nie jest już kryptonimem, lecz nazwą operacji... gadanie o „zmianie celów” i „zaprowadzeniu odrobiny porządku na własnym podwórku”... kiedy uśmiechnęło się do ciebie o jakieś pięć twarzy za dużo i dostałeś o jakieś pięć niesłuchanie użytecznych raportów wywiadowczych ponad plan i każdy z nich był gównem wart; kiedy nic się wokół ciebie nie zmienia, poza tym że świat, który uważałeś za swój, spokojnie

oddala się od ciebie, a ty masz takie uczucie, jakbyś był jedynym człowiekiem na tratwie płynącej w złym kierunku po leniwej rzece przepelnionej krokodylami - i Joe, na litość boską, Joe, ty jesteś po prostu najlepszym funkcjonariuszem, jakiego ma Agencja - no cóż, tak... Wtedy możesz spokojnie powiedzieć, że należy się spieszyć, żeby się, kurwa, dowiedzieć, kto komu i co zrobił.

Czasami człowiek sam widzi, jak przegrywa - myślał Strelski. Uwielbiał tenis i najbardziej uwielbiał, kiedy w telewizji dają zbliżenia facetów pijących colę między gemami i widzi się twarz zwycięzcy szykującego się do zwycięstwa i twarz przegranego szykującego się do przegranej. I przegrani wyglądali właśnie tak jak on teraz. Grali i dawali z siebie wszystko, ale w końcu wynik był taki a nie inny i jego wynik o świcie tego nowego dnia nie był wcale dobry. Wyglądało na to, że set i mecz są dla książąt Czystego Wywiadu po obu stronach Atlantyku.

Minęli hotel Grand Bay, ulubioną knajpę Strelskiego, kiedy potrzebna mu była wiara, że świat jest elegancki i spokojny, wjechali na wzgórze, minęli port, basen jachtowy i park, minęli elektronicznie sterowaną bramę z kutego żelaza prowadzącą do świata, w którym Strelski nigdy się nie znalazł - do sakramencko eleganckiego wieżowca nazywanego Słoneczne Polany, gdzie utuczeni na handlu narkotykami oszukują, rzną i żyją, mając pod ręką czarnych ochroniarzy i czarnych portierów oraz białe biurka i białe windy. Po minięciu tej bramy miało się uczucie, że wylądowałeś w świecie znacznie bardziej niebezpiecznym niż ten, przed którym miała ona chronić. Bo bogactwo w tym mieście łączy się z takim zagrożeniem, że aż dziw, iż wszyscy bogacze już dawno nie zostali znalezieni martwi w swoich królewskich łóżach.

Z tym że tego poranka podjazd był zapchany radiowozami, wozami transmisyjnymi telewizji, karetkami i całą tą aparaturą kontrolowanej hysterii, która niby ma zażegnywać kryzys, ale w gruncie rzeczy przydaje mu pompy. Wrzawa i oświetlenie wzmogły poczucie *déjà vu*, które prześladowało Strelskiego od chwili, gdy zachrypnięty policjant zadzwonił do niego z wiadomościami, „bo poinformowano nas, że interesuje się pan tym facetem”.

Nie ma mnie tu - pomyślał. Już kiedyś to śniłem.

Rozpoznał paru ludzi z Wydziału Zabójstw. Krótkie przywitania. Cześć, Glebe. Cześć, Rockham. Fajnie, że jesteś. Jezu, Joe, co tak późno? Trafne pytanie, Jeff; może ktoś chciał, żeby właśnie tak było. Rozpoznał ludzi ze swojej agencji. Mary Jo, którą kiedyś przeleciał ku obopólnemu zaskoczeniu po biurowym przyjęciu, i poważnego chło-

paka nazwiskiem Metzger, wyglądającego tak, jakby potrzebował świeżego powietrza, ale w Miami nie było czegoś takiego.

- Kto tam jest, Metzger?

- Policja zgoniła prawie wszystkich, których zna. Niemiła sprawa. Pięć dni bez klimatyzacji w nasłonecznionych pomieszczeniach to naprawdę obrzydliwe. Czemu oni wyłączyli klimatyzację? Poważnie, to przecież barbarzyństwo.

- Kto cię tu wezwał, Metzger?

- Wydział Zabójstw.

- Jak dawno?

- Godzinę temu.

- Dlaczego nie wezwano mnie, Metzger?

- Powiedzieli, że pan kontroluje działania operacyjne, ale zaraz pan przyjedzie.

„Powiedzieli...” - pomyślał Strelski. „Oni” posyłają kolejny sygnał. Joe Strelski: dobry funkcjonariusz, ale trochę za stary na prowadzenie spraw. Joe Strelski: zbytnio zramolały, żeby wziąć go na pokład „Okrętu Flagowego”.

Główna winda zabrała go na najwyższą kondygnację, nie zatrzymując się po drodze. Była to winda penthouse'u. Zmysł architekta był następujący: zjawiałeś się na podniebnej galerii będącej również pomieszczeniem ochrony i podczas gdy stałeś i zastanawiałeś się, czy zostaniesz rzucony psom na pożarcie, czy potraktowany wyszukaną kolacją i bujnych kształtów dziwką na deser, mogłeś podziwiać basen, jacuzzi, ogród na dachu, solarium, pierdolarium i inne urządzenia niezbędne do życia skromnemu adwokatowi zasuwającemu dla handlarzy narkotyków.

Młody gliniarz w białej maseczce poprosił Strelskiego o dokumenty. Strelski, nie strzegąc języka, pokazał legitymację. Gliniarz zaproponował mu maskę, jakby Strelski właśnie stał się członkiem tego samego klubu. A potem były światła fleszy i ubrani w kombinezony ludzie, których trzeba było obchodzić, i woń, która przez maskę stawała się jakoś jeszcze silniejsza. I było „Cześć” do Scrantona z Czystego Wywiadu i „Cześć” do Rukowskiego z biura prokuratora. I było zastanawianie się, jakim, kurwa, cudem Czysty Wywiad zdołał znaleźć się na miejscu zbrodni przed tobą. I było „Cześć” do każdego, kto wyglądał tak, jakby mógł ci zablokować drogę, aż jakimś sposobem przepchałeś się do najbardziej oświetlonej części domu aukcyjnego, bo na to by wyglądał zatłoczony apartament, gdyby nie smród; każdy był zajęty oglądaniem dzieł sztuki, robieniem notatek, kalkulowaniem cen i niewiele uwagi zwracano na cokolwiek innego.

Dotarłszy do celu, Strelski ujrzał nie wizerunki, nie figury woskowe, ale najoryginalniejsze oryginały ciała doktora Paula Apostoła i jego obecnej, a raczej świętej pamięci kochanki, oba rozebrane, bo tak Apostoł lubił spędzać swój czas wolny - zawsze na kolanach i zwykle na łokciach - jedno i drugie znacznie odbarwione, klęczące twarzą w twarz, z zawiązanymi przegubami rąk i nogami w kostkach, poderżniętymi gardłami i językami wyciągniętymi przez rozcięcia, co tworzyło, jak się to mówi, kolumbijski krawat.

Burr od momentu, w którym Strelski dostał wiadomość, na długo przedtem, zanim sam ją dostał, znał jej treść. Wystarczyło mu tylko ujrzeć to okropne zwiotczenie ciała Strelskiego, gdy wiadomość uderzyła go jak obuchem, i szybkość, z jaką jego oczy odszukały oczy Burra, a potem uciekły w bok, wołąc ich nie oglądać, podczas gdy słuchał dalej. Spojrzenie w oczy i spojrzenie w bok mówiły wszystko. Były jednocześnie oskarżycielskie i pożegnalne. Mówiły: „Ty mi to zrobiłeś, twoi ludzie”. I: „Od tej chwili siedzenie z tobą w tym samym pokoju będzie trudne”.

Strelski, słuchając, zrobił kilka notatek, a potem spytał, kto dokonał identyfikacji zwłok, i obojętnie dopisał coś jeszcze. Oderwał kawałek kartki i wsadził go do kieszeni. Burr podejrzewał, że zapisał na nim adres. Oceniając kamienny wyraz twarzy Strelskiego, uznał, że ten pojedzie na miejsce zbrodni i że była to zbrodnia straszna. Strelski wstał i zapinał kaburę pod pachą. Burr wyobraził sobie, jak za dawnych dni, w innych okolicznościach, spytałby go, po co mu broń przy oględzinach zwłok, a Strelski znalazłby jakiś dowcip wykpiwający Anglików i dalej byłiby przyjaciółmi.

Więc gdy Burr zapamiętywał sobie tę chwilę po wieczne czasy, to naprawdę spadła na niego wiadomość o dwóch zgonach: Apostoła i zawodowej przyjaźni dwóch agentów Agencji Ochrony Porządku Publicznego.

- Gliny mówią, że znaleziono trupa w apartamencie brata Michaela w Coconut Grove. Podejrzane okoliczności. Jadę to sprawdzić.

I ostrzeżenie udzielone wszystkim oprócz Burra, jednak skierowane bezpośrednio i w szczególności do niego:

- Może to być każdy. Jego kucharz, kierowca, brat, cholera wie. Nikt się nie rusza, dopóki się nie wyjaśni. Słyszycie mnie?

Słyszeli, ale, jak Burr, wiedzieli, że to nie kucharz Apostoła ani kierowca, ani brat. A teraz Strelski zadzwonił z miejsca zbrodni i potwierdził, że tak, to był Apostoł, i Burr robił to, co wcześniej

przygotował sobie w myślach, czekając na potwierdzenie, robił w takim porządku, jaki sobie zaplanował. Najpierw zadzwonił do Rooke'a z wieścią, że operację „Pijawka” należy natychmiast uznać za spaloną. W związku z tym należy niezwłocznie powiadomić Jonathana o wprowadzeniu w życie pierwszej fazy planu ewakuacyjnego. Ma uciec od Ropera i jego kompanii. Niech przywaruje, najlepiej w najbliższym brytyjskim konsulacie, a gdyby konsulatu zabrakło, na posterunku policji, gdzie winien oddać się w ręce władz jako ścigany kryminalista Pine, co zapoczątkowałoby błyskawiczną ekstradycję.

Ale wiadomość wyszła za późno. Zanim Burr odnalazł Rooke'a na siedzeniu pasażera w furgonetce obserwacyjnej Amata, dwaj mężczyźni podziwiali już odrzutowiec Ropera unoszący się wraz ze słońcem i odlatujący w kierunku Panamy. Szef wierny swoim przyzwyczajeniom odleciał o brzasku.

- Które lotnisko w Panamie, Rob? - spytał Burr z ołówkiem w dłoni.

- Wieża kontrolna otrzymała informację, że samolot leci do Panamy. Nie podano żadnych bliższych szczegółów. Lepiej spytaj kontrolę lotów.

Burr już to robił za pomocą innego telefonu.

Potem zadzwonił do Ambasady Brytyjskiej w Panamie i porozmawiał z sekretarzem do spraw ekonomicznych, który przypadkiem był również pracownikiem agencji Burra i miał kontakty z panamską policją.

W końcu porozmawiał z Goodhew i przekazał mu, że na ciele Apostoła znaleziono ślady wskazujące na to, że torturowano go przed śmiercią i ze względów operacyjnych należy przyjąć za pewnik demaskację Jonathana.

- Och, tak, no cóż, rozumiem - powiedział z roztargnieniem Goodhew. To wydarzenie nie zrobiło na nim wrażenia czy był w szoku?

- To nie znaczy, że nie możemy dopaść Ropera - upierał się Burr. Rozumiał, że dodając nadziei Goodhew, usiłuje sam sobie dodać odwagi.

- Zgadza się. Nie wolno ci popuścić. Liczy się dobry chwyt. Wiem, że cię na to stać.

Dawniej zawsze było „nas” - pomyślał Burr.

- Apostollowi to było pisane, Rex. To był kapuś. Żył na kredyt. Takie są reguły tej gry. Jeśli federalni cię nie dopadną, dopadną cię bandyci. Wiedział o tym przez cały czas. My powinniśmy ewakuować naszego człowieka. Możemy to zrobić. To nie problem. Przekonasz

się. Teraz tylko po prostu dzieje się dużo rzeczy naraz. Rex?

- Tak, jestem.

Burr usiłował odnaleźć się w panującym zamęciu, ale czuł przy tym gorączkową litość dla Goodhew. Rex nie powinien być skazany na takie okropności! On jest bezbronny, bierze sobie zbyt wiele do serca! Burr skonstatował, że w Londynie jest popołudnie. Goodhew był już po lunchu ze swoim szefem.

- No i jak poszło? Co to za ważna wiadomość? - spytał Burr, nadal usiłując wyciągnąć coś optymistycznego z rozmowcy. - Czy sekretarz stanu w końcu przechodzi na naszą stronę?

- O, tak, dziękuję ci, tak, było bardzo miło - odparł niezwykle uprzejmie Goodhew. - Klubowe jedzenie, ale po to człowiek zapisuje się do klubu.

Jest na środkach uspokajających - pomyślał Burr. Nie może się skupić.

- Na pewno ucieszy cię wiadomość, że powstaje nowy wydział. Komisja Kontrolna Whitehall, pierwsza tego rodzaju. Tak mi powiedziano. Zajmie się wszystkim, o co walczyłem. Zostanę przewodniczącym. Będę podlegał bezpośrednio sekretarzowi stanu. To naprawdę wspaniałe. Wszyscy dali swoje błogosławieństwo, nawet Dom za Rzeką obiecał pełne poparcie. Mam zrobić pogłębioną analizę wszystkich aspektów świata tajnych służb; chodzi o rekrutację, prostotę i skuteczność działania, kontrolę budżetu, podział zadań, sposoby rozliczeń. W grę wchodzi niemal wszystko, czego jak mi się wydawało, już dokonałem, ale mam to zrobić jeszcze raz, tylko lepiej. Zaczynamy od razu. Ani chwili do stracenia. Naturalnie oznacza to rezygnację z obecnych zajęć. Ale wyraźnie dał znać, że potem niemożliwe stanie się faktem i dostanę tytuł szlachecki, co bardzo ucieszy Hester.

Na drugiej linii odezwała się kontrola lotów. Odrzutowiec Ropera, zbliżając się do Panamy, zniżył się poza zakres pracy radaru. Można było tylko przypuszczać, że skręcił na północny zachód i poleciał w kierunku Wybrzeża Moskitów.

- Więc gdzie on jest, do diabła? - krzyknął zrozpaczony Burr.

- Panie Burr - powiedział chłopak imieniem Hank. - On znikł.

Burr stał osamotniony w pomieszczeniu nasłuchu w Miami. Stał tam tak długo, że pracownicy przestali go zauważać. Odwrócili się do niego plecami, zajęli swoimi panelami kontrolnymi i martwili się setką innych spraw. Burr miał na uszach słuchawki. A w przypadku

słuchawek rzecz polega na tym, że albo człowiek z nimi współpracuje, albo może sobie dać zupełny spokój; nie ma żadnego dzielenia się nimi, żadnego przekazywania materiału. Jesteś ty i sygnał. Albo brak sygnału.

- To dla pana, panie Burr - powiedziała mu krótko pracownica monitoringu, wskazując przełączniki na urządzeniu. - Wygląda na to, że ma pan tu kłopot.

Nie zdobyła się na więcej współczucia. Nie znaczy to, że była osobą niewspółczującą, skądże znowu. Ale profesjonalizm wymagał od niej zaangażowania się w inne sprawy.

Przesłuchał taśmę, ale był tak zestresowany i zamroczony, że niezupełnie chciał przyjąć do wiadomości to, co usłyszał. Nawet etykieta zbiła go dodatkowo z tropu. „Marshall w Nassau do Thomasa w Curaçao”. Tłumaczył to sobie z urzędowego na nasze i pytał się w myślach: Kim, do diabła, jest ten Marshall? I co, na Boga, robi, dzwoniąc do mojego agenta w środku nocy, właśnie wtedy, kiedy operacja zaczęła rozwijać skrzydła?

Bo kto, mając tak dużo innych spraw na głowie, wpadłby od razu na to, że jakiś „Marshall” to dziewczyna? I to nie jakaś dziewczyna, ale Jemima alias Jed, alias Jeds, dzwoniąca z rezydencji Ropera w Nassau?

Czternaście razy.

Między północą a czwartą nad ranem.

Z dziesięcio-, ośmiominutowymi przerwami między telefonami.

Pierwsze trzynastą raz uprzejmie prosiła telefonistkę hotelową o połączenie z panem Thomasem i po stosownych próbach dowiadywała się, że pan Thomas nie podnosi słuchawki.

Ale za czternastym razem jej wysiłki zostały wynagrodzone. Dokładnie za trzy minuty czwarta Marshall w Nassau uzyskuje połączenie z Thomasem w Curaçao. Dwadzieścia siedem minut obciąży Roperowy rachunek telefoniczny. Jonathan jest na początku wściekły. Słusznie. Ale potem mniej wściekły. I wreszcie, jeśli Burra słuch nie myli, zupełnie niewściekły. A przy końcu tych dwudziestu siedmiu minut słyhać tylko „Jonathanie... Jonathanie... Jonathanie...” i sporo sapania, i dyszenia, kiedy zasypiają, słuchając swoich oddechów.

Dwadzieścia siedem minut cholernej pustki kochanków. Między kobietą Ropera, Jed, a Jonathanem, moim agentem.

24

- Do Fabergé - powiedział Roper, gdy Jonathan spytał go, dokąd się wybierają.

- Do Fabergé - powtórzył Langbourne kącikiem ust.

- Do Fabergé, Thomasie - powiedział Frisky z bardzo miłym uśmiechem, kiedy zapinali pasy bezpieczeństwa.

- Słyszałeś o Fabergé, tym sławnym jubilerze, no nie? No, to tam się wybieramy na kilka miłych chwil odpoczynku i rozrywki.

Więc Jonathan pogrążył się w myślach. Od dawna wiedział, że należy do tych ludzi, którzy są raczej skazani na myślenie równoległe niż konsekwentne. Na przykład porównywał zieleń dżungli z zielenią Irlandii i uznawał, że dżungla bije Irlandię o kilka długości. Przypominał sobie, że jedną ze świętych zasad w śmigłowcach wojskowych jest siedzenie na hełmie, na wypadek gdyby niegrzeczni faceci na ziemi postanowili odstrzelić ci jaja. I że tym razem nie ma hełmu - jedynie dzinsy, tenisówki i zupełnie niezabezpieczone jaja. I jak za tamtych czasów wystarczyło mu tylko wejść do śmigłowca, aby poczuć napięcie przed bitwą jeżące włosy na karku, gdy po raz ostatni machał ręką Isabelle i przyciskał karabin do policzka. Teraz tak samo jeżyły mu się włosy na karku. A ponieważ śmigłowce napawały go lękiem, zawsze stawały się miejscem filozoficznych refleksji, i to tak staromodnych, że nigdzie indziej nie przychodziły mu do głowy. Takich jak: to podróż mojego życia, jestem w łonie, ale zmierzam ku śmierci. Takich jak: Boże, jeśli wyprowadzisz mnie stąd żywego, jestem Twój na... no, na wieki. Takich jak: pokój to więzy, wojna to wolność. Zawsze wstydził się tego przekonania i gdy go dopadało, szukał kogoś, kogo mógłby ukarać; kogoś takiego jak Dicky Roper, jego gniew. I myślał, że bez względu na to, do czego zmierza, teraz jest bliski celu, i że nie zasłuży na Jed ani ona nie jest warta zdobywania, a Sophie nie znajdzie ukojenia, dopóki on go nie znajdzie, bo jego poszukiwanie - zgodnie ze słowami starej piosenki - było

dla nich obojga i na wspólny rachunek.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na Langbourne'a studiującego przydługi kontrakt i jak w Curaçao zrobiło na nim wrażenie to, że Langbourne jednak budzi się do życia, gdy poczuje zapach kordytu. Trudno byłoby stwierdzić, że przez to bardziej lubił Langbourne'a, ale był zadowolony, iż coś w ogóle, nie licząc kobiet, potrafiło wyrwać go ze stanu rozleniwienia - nawet jeśli były to tylko zaawansowane techniki mordu.

- Thomasie, tylko nie pozwól, żeby pan Roper wpadł w złe towarzystwo - ostrzegła ze schodków samolotu Meg, gdy mężczyźni wrzucali bagaże do śmigłowca. - Wiesz, że o Panamie się mówi, że to Casablanca bez bohaterów. Nieprawda, panie Roper? Więc, proszę, tylko wy teraz nie róbcie z siebie bohaterów. Nikt tego nie doceni. Życzę miłego dnia, lordzie Langbourne. Thomas, miło było gościć cię na pokładzie. Panie Roper, to był nieprzyzwoity uścisk.

Wznosili się. I sierra wznosiła się razem z nimi, aż wlecieli w pierzaste chmury. Śmigłowcowi nie podobały się chmury i nie podobała się wysokość. Silniki rzeziły i rżały jak znarowiona stara szkapa. Jonathan założył plastikowe nauszniki i w nagrodę słyszał teraz wycie wiertła dentystycznego. Powietrze w kabinie z zimnego stało się nieznośnie zimne. Przeskoczyli nad strojnymi i śnieżnymi czapami i sfrunęli w dół jak nosek klonowy, aż znaleźli się nad garścią wysepek. Na każdej było kilka chat i czerwone koleiny. Znowu morze. Następna wyspa zbliżała się tak szybko i na tak niskiej wysokości, że Jonathan był przekonany, iż skupiska masztów kutrów rybackich poszarpią śmigłowiec na kawałki albo strącą go, a on, koziołkując, spadnie na śmigło.

Teraz lecieli skrajem lądu - po jednej stronie mieli morze, po drugiej dżunglę. Nad dżunglą - niebieskie wzgórza. Nad wzgórzami - białe obłoki dymu strzelniczego.

A w dole toczą się uporządkowane rzędy powolnych białych fal między jęzorami oszalałającej zieleni lądu. Śmigłowiec ostro się pochyla, jakby unikał ognia nieprzyjaciela. Równe kępy bananowców, przypominające pola ryżowe, myślą się z podmokłymi wrzosowiskami Armagh. Pilot leci wzdłuż piaszczystej żółtej drogi prowadzącej do zniszczonego obejścia, w którym żołnierz zwiadu bezpośredniego roztrzaskał twarze dwóch ludzi i zasłużył na toast swojego pułku. Zanurzyli się w dolinę w dżungli, otoczyły ich zielone ściany, a Jonathana ogarnęła straszliwa senność. Wznosili się w górę stoku, taras za tarasem, mijali zabudowania, konie, wioski, ich mieszkańców. Zawróćmy, już dosyć wysoko. Ale nie zawracają.

Wznoszą się, aż temperatura opada do zera i ślady życia w dole stają się niedostrzegalne. Tutaj, gdyby nawet rozbić się wielkim samolotem, dżungla wessałaby cię, zanimbyś uderzył o ziemię.

„Wygłąda na to, że oni wolą stronę Pacyfiku - wyjaśnił Rooke w Curaçao, osiem godzin i całe życie temu mówiąc przez telefon z pokoju numer dwadzieścia dwa. - Chłopakom od radaru zbyt łatwo śledzić stronę karaibską. Ale kiedy tylko znajdziesz się w dżungli, to i tak strona nie robi żadnej różnicy, bo przestajesz istnieć. Główny instruktor nazywa się Emmanuel”.

„To miejsce nawet nie jest zaznaczone na mapie - powiedział Rooke. - Nazywa się Cerro Fábrega, ale Roper woli mówić Fabergé”.

Roper zdjął opaskę z oczu i spoglądał na zegarek, jakby sprawdzał, czy lecą zgodnie z rozkładem. Opadali pionowo nad punktem zero. Białe i czerwone znaczniki lądowiska helikopterów ścigały ich w studnię ciemnego lasu. Uzbrojeni ludzie w panterkach wpatrywali się w górę.

„Jeśli zabiorą cię ze sobą, to dlatego, że nie ufają ci na tyle, aby cię spuścić z oczu” - przepowiedział Rooke.

I właśnie tak tłumaczył Roper przed wejściem na pokład „Lombardy”. Nie zostawił mnie nawet w pustym kurniku, dopóki moja podpisująca ręką nie złoży ostatniego podpisu.

Pilot wyłączył silniki. Krępy Latynos w tropikalnym mundurze pospieszył na przywitanie. W oddali Jonathan ujrzał sześć dobrze zakamuflowanych bunkrów pilnowanych przez dwójki wartowników, które musiały dostać rozkaz niewychodzenia zza osłony drzew.

- Cześć, Manny! - krzyknął Roper, z ulgą zeskakując na płytę lądowiska. - Umieram z głodu. Pamiętasz Sandy'ego? Co na lunch?

Szli ostrożnie ścieżką w dżungli. Roper prowadził, a przysadzisty pułkownik terkotał do niego bez ustanku, odwracał się całym ciałem, podnosił złożone dłonie i zmagał się z nim za każdym razem, gdy coś podkreślał. Blisko nich trzymał się Langbourne kroczący na lekko ugiętych kolanach, tak jak tego wymagały warunki w dżungli; potem szli instruktorzy. Jonathan rozpoznał dwóch gibkich Anglików, którzy zjawili się u Meistra, przedstawiając się jako Freddy i Lubbock, a których Roper nazywał brukselskimi chłopcami. Potem szli podobni do siebie kropka w kropkę dwaj ryży Amerykanie, pogrążeni w rozmowie z wyblakłym mężczyzną nazywanym Olafem. Po nich Frisky i dwaj Francuzi, których Frisky wyraźnie znał z innego epizodu swojej biografii. A za Friskym Jonathan, Tabby i chłopak imieniem

Fernandez ze szramą na twarzy i dwoma palcami u ręki. Gdybyśmy byli w Irlandii, uznałbym, że zajmujesz się rozbrajaniem bomb - pomyślał Jonathan. Ptaki krzyczały ogłuszająco. Żar palił za każdym razem, kiedy maszerujących dosięgało słońce.

- Jesteśmy w najbardziej górzystej części Panamy - powiedział Fernandez miękkiem, pełnym entuzjazmu głosem. - Nikt nie przejdzie tych okolic. Znajdujemy się na trzech tysiącach metrów, stoki są bardzo strome, sama dżungla, żadnych dróg, żadnych szlaków. Pojawiają się wieśniacy Terebeno, palą drzewa, robią jeden zasiew, odchodzą. Nie ma terroru.

- Wspaniale - mówi uprzejmie Jonathan.

Chwilowe zamieszanie i raz przynajmniej Tabby wprowadza ład szybciej od Jonathana.

- Gleby, Ferdie - poprawia go uprzejmie. - Nie *terra*. Gleba. Gleba jest za cienka.

- Wieśniacy Terebeno bardzo smutni ludzie, panie Thomas. Kiedyś walczyli ze wszystkimi. Teraz muszą brać żony z plemion, które im się nie podobają.

Jonathan wydawał współczujące dźwięki.

- Mówimy, że jesteśmy poszukiwacze złota, panie Thomas. Mówimy, że szukamy ropy. Mówimy, że szukamy złota. Mówimy, że szukamy *huaca*, złotej żaby, złotego orla, złotego tygrysa. My tu jesteśmy spokojni ludzie, panie Thomas.

Wybucha grzmiący śmiech, do którego Jonathan posłusznie też się przyłącza.

Zza ściany dżungli słyhać serię strzałów z karabinu maszynowego, po której następuje suchy trzask granatu. Potem chwila ciszy, zanim powróci bełkot dżungli. Jonathan przypomniał sobie, że tak bywało w Irlandii; po eksplozji zwykłe dźwięki ulegały zawieszeniu, aż można było znów się odezwać. Roślinność ich oplatała, znalazł się w tunelu na Crystal. Ocierały się o niego trąbkowate kielichy białych kwiatów, ważki i żółte motyle. Przypomniał sobie przedpołudnie, kiedy Jed włożyła żółtą bluzkę i zajrzała w głąb jego duszy.

Wrócił do czasu teraźniejszego, kiedy minął go biegnący w dół stoku oddział żołnierzy pocących się pod ciężarem wyrzutni rakietowych, pocisków do nich i maczet. Przewodził im chłopak o martwych niebieskich oczach, w miękkiem kapeluszu na głowie. Ale oczy jego żołnierzy, południowoamerykańskich Indian, pełne wściekłości i bólu, patrzyły daleko przed siebie, więc wszystko, co zostawili w pamięci Jonathana, to błaganie o zakończenie tej męki, widoczne na pokrytych kamuflażem twarzach, krzyżyki dyndające na szyjach i

woń potu bijącą z zabłoconych mundurów.

Wkroczyli w alpejski chłód i Jonathan przeniósł się w lasy nad Mürren, zmierzał do podnóża Lobhornu na jednodniową wspinaczkę. Poczul się bardzo szczęśliwy. Dżungla była kolejnym powrotem do domu. Ścieżka wiodła obok parujących wodospadów, niebo było zachmurzone. Kiedy przekraczali wyschnięte koryto rzeki, weterana wielu szkoleń wojskowych, ujrzeni liny, lonty, łuski, sieci, szerniałe krzewy i ślady wybuchów na pniach drzew. Podeszli w górę wzniesienia między trawą i skałą, dotarli na grzbiet i popatrzyli w dół. Obóz na pierwszy rzut oka wydawał się opuszczony. Dym bił z komina kuchni przy odgłosach płaczącej hiszpańskiej piosenki. Wszyscy sprawni ludzie są w dżungli. Tylko kucharze, kadra i chorzy mają prawo zostać.

- Za Noriegi ćwiczyło tu wiele oddziałów paramilitarnych - mówił na swój metodyczny sposób Fernandez, gdy Jonathan odwrócił się do niego. - Z Panamy, Nikaragui, Gwatemali, Ameryki, Kolumbii. Latynosi, Indianie, tu wszyscy bardzo dobrze trenowali. Żeby się bić z Ortegą. Żeby się bić z Castro. Żeby się bić z wieloma niedobrymi ludźmi.

Dopiero gdy zeszli w dół stoku i wkroczyli do obozu, Jonathan zdał sobie sprawę, że Fabergé to dom wariatów.

* * *

Najwyższy punkt obozu stanowiła trybuna do przyjmowania defilad. Za nią stał trójkątny biały mur upstrzony hasłami. Poniżej krąg budynków z pustaków. Funkcję każdego z tych budynków zdradzał paskudny malunek na drzwiach: kuchnię oznaczono półnągą kucharką, łaźnię kąpiącymi się nago, szpital pokrwawionymi ciałami. Poza tym zbudowano tam szkołę, gdzie prowadzono szkolenia techniczne i polityczne, dom tygrysa, dom węża, dom małpy, ptaszarnię i na małym wzniesieniu kaplicę, na której ścianach namalowano Pannę Marię z nosem jak kartofel i Dzieciątko, a wszystkich tych zabudowań pilnowali wojownicy z kałasznikowami. Pomiędzy domami stały sięgające do pasa, pomalowane posążki, wpatrujące się pokornie w wybetonowane ścieżki: tłusty kupiec w trójgraniastym kapeluszu, niebieskim fraku i kryzie; wymalowana elegancka dama z Madrytu w mantykę; młoda półnaga chłopka, Indianka, głowa uniesiona w strachu, otwarte oczy i usta, gdy gorączkowo kręci korbą czarodziejskiej studni. I sterczące z okien i sztucznych kominów domów ręce, stopy i twarze z różowego gipsu, złane krwią jak okaleczone członki ofiar odcięte podczas ucieczki.

Ale najbardziej zwariowana część Fabergé to nie były malunki na ścianach, posążki voodoo ani magiczne zaklęcia w indiańskich dialektach rozrzucone między sloganami po hiszpańsku albo kryty sitowiem Crazy Horse Saloon ze stołkami barowymi, szafą grającą i nagimi dziewczynami brykającymi na ścianach. Najbardziej zwariowany był ogród zoologiczny. Tu żyła oszalała puma, ledwo mieszcząca się w klatce obok ochłapu gnijącego mięsa. Tu żyły spętane jelenie i wsadzone do klatek drapieżne koty. Tu żyły papugi, orły, żurawie, kanie i sępy w brudnej ptaszarni, tłukące podciętymi skrzydłami i wznoszące wrzawę o zmierzchu. Tu żyły oniemiałe, zrozpaczone małpy w klatkach i stały rzędy zielonych skrzynek po amunicji przykryte drucianą siatką, każda skrzynka z innym rodzajem węża, by wojownicy nauczyli się odróżniać wroga od sojusznika.

- Pułkownik Emmanuel uwielbia zwierzęta - wyjaśnia Fernandez, prowadząc gości do kwater. - Żeby walczyć, musimy być dziećmi dżungli, panie Thomas.

Okna ich chaty również były zakratowane.

Wieczór w kantynie w Fabergé, miniatury odnaczeń zwisają na piersiach. Gościem honorowym pułku jest pan Richard Onslow Roper, nasz opiekun, dowódca, nasz ukochany towarzysz broni. Wszystkie głowy są zwrócone do niego i do już bynajmniej niezblazowanego lordziątka u jego boku.

Jest ich trzydziestu, jedzą kurczaki, ryż i piją coca-colę. Świeczki w butelkach, nie w lichtarzach od Paula de Lamerie, oświetlają twarze przy stole. Wygląda to tak, jakby dwudziesty wiek opróżnił swoją śmieciarkę z resztek wojowników i straconych spraw do obozu zwanego Fabergé; amerykańscy weterani, którym zbrzydła wojna, a potem pokój; Rosjanie ze specnazu, wyszkoleni do strzeżenia imperium, które znikło, zanim zauważyli, co się stało; Francuzi, którzy nadal nienawidzili de Gaulle'a za oddanie Afryki Północnej; chłopaki z Izraela, które nie znały nic prócz wojny, i chłopaki ze Szwecji, które nie znały nic prócz pokoju; Anglicy szukający wojskowej chwały, ponieważ ich pokolenie jakoś ominęła zabawa (gdybyśmy tylko mieli brytyjski Wietnam!); grupka milczących Niemców rozdartych między poczuciem winy za wojnę i jej powabem. I pułkownik Emmanuel, który wedle tego, co mówił Tabby, bił się w każdej brudnej wojnie od Kuby przez Salvador, Gwatemalę aż do Nikaragui i wszędzie pomiędzy, aby przypodobać się znieawidzonym jankesom; no cóż, teraz wreszcie Emmanuel trochę wyrówna rachunek!

I sam Roper - który zebrał ten upiorny legion na ucztę - przydujący nad nim jak jakiś geniusz. To komendant, to impresario, to sceptyk, to wróżka ojciec chrzestny.

- Mudże? - powtarza Roper, nawiązując wśród śmiechów do czegoś, co Langbourne powiedział o sukcesie amerykańskich pocisków Stinger w Afganistanie. - Mudżahedini? Odważni jak lwy, kompletni szaleńcy. - Gdy Roper mówi o wojnie, jego głos jest całkowicie spokojny i pojawiają się formy osobowe. - Wyskakiwali spod ziemi przed ruskimi czołgami, walili z dziesięcioletnich armalitów i na ich oczach pociski odbijały się od pancerza jak kamyki z procy. Dmuchawki na groch przeciw laserom, im było obojętne. Amerykanie przyjrzeni się temu i mówią: mudżahedinom potrzeba stingerów. Więc załatwiają im stingery. I mudżahedini dostają fioła. Rozwalają ruskie czołgi, zestrzelują śmigłowce bojowe. I co z tego? Powiem wam co! Ruscy się wycofali, nie ma Rusków, a mudżahedini mają stingery i rwą się do bitki. Więc wszyscy chcą stingerów, bo mudżahedini mają stingery. Kiedy mieliśmy łuki i strzały, byliśmy małpami z łukami i strzałami. Teraz jesteśmy małpami z pociskami wielogłowicowymi. Wiecie, czemu Bush poszedł na wojnę z Saddamem?

Pytanie jest skierowane do jego przyjaciela, Manny'ego, ale odpowiada amerykański weteran.

- Z powodu ropy, na litość boską.

Roper nie jest usatysfakcjonowany. Jeden z Francuzów robi drugie podejście.

- Dla pieniędzy! Żeby uchronić suwerenność Kuwejtu!

- Dla zdobycia doświadczenia - mówi Roper. - Bush potrzebował doświadczenia. - Wskazał palcem na Rosjan.

- W Afganistanie mieliście, chłopaki, osiemdziesiąt tysięcy otrząskanych w boju żołnierzy prowadzących współczesną wojnę elastyczną. Pilotów, którzy bombardowali prawdziwe cele. Szeregowych, którzy trafiali na prawdziwy ogień. Co miał Bush? Generałów weteranów z Wietnamu i bohaterów szczawików z Grenady, gdzie całość populacji liczyła trzech ludzi i kozę. Więc Bush poszedł na wojnę. Zabrudził sobie buciki. Wypróbował swoich chłopaków na zabawkach, które podrzucał Saddamowi jeszcze wtedy, kiedy za czarne charaktery robili Irańczycy. Duże brawko od elektoratu. Zgadza się, Sandy?

- Zgadza się, szefie.

- Rządy? Gorsze niż my. One załatwiają interesy, my wędrujemy na szafot. Widziałem to wiele razy. - Robi pauzę i być może uważa, że

dosyć się nagadał. Ale wszyscy pozostali są innego zdania.

- Szefie, opowiedz im o Ugandzie! Miał pan dużo do powiedzenia w Ugandzie. Nikt nie śmiał pana tknąć. Idi Amin jadł panu z ręki. - To Frisky woła z odległego krańca stołu, gdzie zasiada między starymi przyjaciółmi.

Jak muzyk niepewny, czy dać bis, Roper się waha i wreszcie postanawia spełnić prośbę.

- No cóż, Idi miał zdrowo nasrane w głowie, bez wątpienia. Ale lubił poczuć silną rękę. Każdy oprócz mnie sprowadziłby Idięgo na manowce, opyliłby mu wszystko, o czym tamten marzył, i jeszcze trochę. Ja nie. Ja dopasowuję but do nogi. Idi gdyby mógł, toby kupił atomówkę na bazanty. Byłeś tam, McPherson.

- Idi to był oryginał, szefie - mówi Szkot, który siedzi obok Frisky'ego i niemal się nie odzywa. - Bez pana byśmy nie dali rady.

- Śliskie miejsce Uganda, mam rację, Sandy?

- Jedyne kraj, w którym widziałem faceta wsuwającego kanapkę w cieniu wisielca - odpowiada ku powszechnej uciesze lord Langbourne.

Roper imituje głos z jądra czarnej Afryki.

- „A chodźże, Dicky, obejrż se, co ta twoja broń wyprawia”. Nie poszedłem. Odmówiłem. „Nie, panie prezydencie, dziękuję. Niech pan robi ze mną, co chce. Dobrych ludzi jak ja jest mało”. Gdybym był jednym z jego chłopaków, zarabiałby mnie na miejscu. Wybałuszył oczy aż miło. Drze się na mnie. „Twój obowiązek jest iść ze mną!” - mówi. „A nie”, ja na to. „Gdym sprzedawał panu papierosy zamiast zabawek, nie zabierałby mnie pan do szpitala, żebym siedział przy łóżku chłopaków umierających na raka płuc, no nie?” Rzęził jak zatkany spływ, ten drogi Idi. Ale trudno powiedzieć, żebym kiedykolwiek zaufał temu jego śmiechowi. Śmiech kłamie, i to bardzo. Zastłania prawdę. Nigdy nie ufam facetowi, który dużo dowcipkuje. Śmieję się, ale mu nie ufam. Mickey to był kawalarz. Pamiętasz Mickeya, Sands?

- Och, aż za dobrze, cholera, dziękuję uprzejmie - cedzi przez zęby Langbourne i kolejny raz zdobywa uznanie całej sali; ci angielscy lordowie to klasa sama dla siebie, trzeba im to przyznać!

Roper czeka, aż śmiech opadnie.

- Pamiętasz te wszystkie wojenne żarty, które Mickey opowiadał? Znał ich na kopy. O najemnikach noszących naszyjniki z ludzkich uszu i tym podobne?

- Ale nie na wiele mu się to przydało, no nie? - mówi lord ku zachwytowi wielbicieli.

Roper odwraca się do pułkownika Emmanuela.

- Mówiłem mu: „Mickey, nie igraj z losem”. Ostatni raz spotkałem się z nim w Damaszku. Syryjczycy za bardzo go kochali. Myśleli, że jest ich panaceum, że nie ma rzeczy, której by im nie dostarczył. Gdyby chcieli zestrzelić księżyc, Mickey dostarczyłby im sprzęt. Dali mu ten wielki luksusowy apartament w centrum, zawiesili na oknach aksamitne zasłony, nie przebił się promyk słońca, pamiętasz, Sandy?

- Wyglądało jak pierdolnik dla marokańskich pedałów - mówi Langbourne.

Wszyscy pokładają się ze śmiechu. I znowu Roper czeka, aż zrobi się zupełnie cicho.

- Jak wchodziłeś do tego biura ze słonecznej ulicy, robiłeś się ślepy. Specjalnie dobrani ochroniarze w przedpokoju. Sześciu albo ośmiu. - Ruchem ręki wskazuje siedzących przy stole. - Jeśli dacie wiarę, to jeszcze gorsi niż niektórzy z tych facetów.

Emmanuel śmieje się serdecznie. Langbourne odgrywa dla nich Mickeya, podnosi brew. Roper kontynuuje:

- I Mickey przy swoim biurku, ma trzy telefony, monologuje do dyktafonu. „Mickey, nie oszukuj się - ostrzegłem go. - Dzisiaj jesteś gościem honorowym. Sprawisz im zawód, a jesteś nieżywym gościem honorowym”. Złota zasada w tamtych czasach: nigdy nie zakładać biura. Wystarczy, że założysz biuro, jesteś na celowniku. Zamontują podsłuch, będą czytać twoje dokumenty, przeszukiwać szuflady, a kiedy przestaną cię kochać, będą wiedzieli, gdzie cię znaleźć. Przez cały czas obsługi rynków nigdy nie miałem biura. Żył się w parszywych hotelach, pamiętasz, Sandy? Praga, Bejrut, Trypolis, Hawana, Sajgon, Tajpej, cholerny Mogadisz. Pamiętasz, Wally?

- Pewnie, szefie - odpowiada głos.

- Książkę potrafiłem czytać tylko wtedy, gdy zaszywałem się w którejś z tych dziur. Z zasady nie znoszę pasywności. Po dziesięciu minutach czytania muszę się zerwać i coś zrobić. Ale tam, zabijając czas w tych zaplutyh miastach, czekając na transakcje, nie pozostawało nic innego, jak się dokulturalniać. Ktoś kiedyś pytał mnie, jak zarobiłem pierwszy milion. Byłeś przy tym, Sands. Wiesz, o kim mowa.

„Siedząc na dupie w Koziej Wólce - powiedziałem. - Nie płaci ci się za transakcję. Płaci ci się za tracenie czasu”.

- A gdzie jest teraz Mickey? - pyta Jonathan nad stołem.

Roper spogląda w sufit, jakby mówił: „Tam”.

Na Langbourne spoczywa obowiązek doinformowania zebranych.

- No cóż, nigdy nie widziałem takich zwłok - powiada z rodza-

jem niewinnego zdumienia. - Musieli się nim zajmować dobrych kilka dni. Naturalnie wszystkich robił w konia po równo. Wpadł przez młodą damę w Tel Awiwie. Trochę za bardzo ją polubił. Ktoś mógłby powiedzieć, że zasłużył sobie na to. Ale ja sądzę, że byli dla niego nieco za surowi.

Roper wstaje, przeciąga się.

- Cała ta sprawa to jak polowanie na jelenia - oświadcza z zadowoleniem. - Idziesz na przełaj, męczysz się. Sprzęt ci ciąży, nogi ci się płaczą, idziesz dalej. I któregoś dnia dostrzeżesz przeblysł tego, czego szukasz, i jak ci się cholernie poszczęści, masz szansę na strzał. Właściwe miejsce. Właściwa kobieta. Właściwe towarzystwo. Inni faceci kłamią, dygocą, oszukują, szachrują z kosztami, czołgają się. Nam się udaje - i do diabła z tym! Dobranoc, chłopaki. Dzięki, kucharzu. Gdzie kucharz? Poszedł do łóżka. Mądry facet.

- Chcesz usłyszeć coś naprawdę zabawnego, Tommy? - spytał Tabby, kiedy kładli się spać. - Coś, co ci się naprawdę spodoba?

- Dawaj - mówi z grzeczności Jonathan,

- No, wiesz, że jankesi mają te AWACS-y w bazie sił powietrznych Howard na obrzeżach Panamy. Służą im do łapania handlarzy narkotyków. Wzlatują bardzo, bardzo wysoko i obserwują małe samolociki zasuważące wokół plantacji koki w Kolumbii. A że Kolumbijczycy to niegłupi goście, więc trzymają na stałe takiego facecika w kafejce naprzeciwko lotniska. Siedzi tam i pije kawkę. I za każdym razem kiedy AWACS jankesów startuje, wystarczy, że ten pacan złapie za słuchawkę i zadzwoni do Kolumbii, nadając handlarzom. To mi się podoba.

To była inna część dżungli. Wylądowali i obsługa naziemna dźwigiem przesunęła śmigłowiec między drzewa, gdzie pod siatkową osłoną stało kilka starych samolotów transportowych. Pas startowy wycięty wzdłuż prostego odcinka rzeki był tak wąski, że Jonathan do ostatniej chwili sądził, iż spadną prosto w wodospad, ale utwardzony tłucznem odcinek wystarczał na przyjęcie odrzutowca. Zabrał ich transporter opancerzony. Minęli strażnicę i napis WYBUCHY po angielsku, chociaż kto go mógł przeczytać i zrozumieć, pozostawało tajemnicą. Wschodzące słońce przemieniało każdy liść w klejnot. Minęli most pontonowy i jechali między głazami wysokości dwudziestu metrów, aż wjechali do naturalnego amfiteatru wypełnionego echami dżungli i odgłosem kotłującej się wody. Stok wzgórza tworzył trybunę. Z niej patrzyło się na nieckę łąki poprzecinaną kępami lasu i meandrami

rzeki, ozdobioną w centrum dekoracją filmową. Były tam zbudowane z bali domy i pozornie nowiutkie samochody zaparkowane przy krawężnikach: żółta alfa, zielony mercedes i biały cadillac. Flagi zwisały na dachach domów i gdy powiał wiatr, Jonathan zobaczył, że są to flagi narodów, które oficjalnie zdecydowały się zniszczyć przemysł kokainowy; amerykańska, brytyjska, niemiecka i - o dziwo - szwajcarska. Inne flagi wyraźnie dodano okazjonalnie: czerwona DELTA, czerwona DEA* i na małej białej wieżyczce samotnie KG Armii USA.

* DEA - Urząd ds. Walki z Narkotykami (USA).

Kilometr od tego sztucznego miasteczka, wśród gigantycznej pampasowej trawy i tuż przy korycie rzeki, zamarkowano lotnisko wojskowe z byle jakim pasem startowym, zielonym rękawem i zamaskowaną na zielono wieżą kontrolną z dykty. Dziurawe wraki samolotów zaścielały pas. Jonathan rozpoznał kilka DC-3, F-85 i F-94. A wzdłuż brzegu rzeki umiejscowiła się osłona lotniska: podstarzałe czołgi i leciwe transportery opancerzone pomalowane na szarozielono i oznaczone białą amerykańską gwiazdą.

Oslaniając oczy, Jonathan spoglądał na krawędź wzgórza po północnej stronie podkowy. Zespół kontrolny właśnie się zbierał. Figurki z białymi opaskami na ramionach i w stalowych hełmach mówiły do słuchawek, patrzyły przez lornetki i studiowały mapy. Wśród nich Jonathan rozpoznał Langbourne'a z końskim ogonem, ubranego w kamizelkę kuloodporną i dzinsy.

To dzień wymiany - pomyślał Jonathan.

To dzień ceremonialnego dania w kość żołnierzom, zanim Roperowi coś wpadnie do kieszeni.

„To strzelanie do glinianego kogucika, Tommy, chłopaczku” - powiedział Frisky z przesadną poufałością, którą ostatnio przejawiał.

„To demonstracja siły rażenia, żeby kolumbijscy chłopcy wiedzieli, co dostają za swoje sam-wiesz-co” - powiedział Tabby.

Nawet uściski dłoni były oszczędniejsze. Stojąc na końcu trybuny, Jonathan miał pełny widok na całą ceremonię. Przygotowano stół z bezalkoholowymi napojami, lód w kontenerach polowych, a gdy zjawiły się VIP-y, sam Roper podprowadził ich do stołu. Następnie Emmanuel i Roper przedstawili gości honorowych starszym stopniem instruktorom i po kolejnych uściskach dłoni zaprowadzili ich do rzędu składanych krzesełek z płóciennymi siedzeniami, na których gospodarze i goście zasiedli półkolem, rozmawiając ze skrupowa-

niem, jak mężowie stanu wymieniający uprzejmości pod obstrzałem fotoreporterów.

Ale to inni ludzie, ludzie siedzący z dala od łoża honorowej, w cieniu, przyciągali uwagę żołnierza zwiadu bezpośredniego. Przewodził im tłusty mężczyzna, który rozstawił szeroko kolana i zacisnął w kułak chłopskie ręce na udach. Obok niego tkwił żyłasty stary *banderillero*, tak chudy, jak gruby był jego towarzysz. Jedną stronę twarzy miał w białych bliznach, jakby pokłutą. W drugim rzędzie siedzieli napaleni, nadrabiający miną chłopcy. Jonathan widział przetłuszczone włosy, wyglansowane jak lustro skórzane buty, skórzane kurtki od Gucciego, jedwabne koszule, obfitość złota, zbyt wydatną wypukłość kurtek i zbytnią żądzę mordu na ich spiętych półindiańskich twarzach.

Ale Jonathan nie ma już czasu na baczłą obserwację. Od północy nadlatuje dwusilnikowy transportowiec. Jest oznaczony czarnym krzyżem i Jonathan od razu wie, że dzisiaj czarny krzyż to dobrzy faceci, a biała gwiazda - źli faceci. Odsuwają się boczne drzwi i na tle bladego nieba rozkwita seria spadochronów, a Jonathan obraca się i koziółkuje razem z nimi, gdy w jego umyśle toczy się korowód wspomnień z wojska, od dzieciństwa do terażniejszości. Jest na szkoleniu spadochronowym w Abingdon, zalicza pierwszy skok z gondoli balonu i myśli, że śmierć i rozwód z Isabelle nie muszą być jednym i tym samym. Jest na pierwszym zwiadzie, przecina otwartą przestrzeń w Armagh, przyciska karabin do kamizelki kuloodpornej i wierzy, że wreszcie jest synem swojego ojca.

Nasi spadochroniarze łądają bezpiecznie. Dołącza do nich druga i trzecia seria. Jedna drużyna przemyka od czaszy do czaszy, zbiera wyposażenie i zapasy, podczas gdy druga zapewnia ogień osłonowy. Bo jest przeciwnik. Jeden z czołgów na skraju lotniska już strzela do żołnierzy - to znaczy jego lufa pluje dymem, a zakopane ładunki wybuchają wokół spadochroniarzy, gdy z pośpiechem biegną do pampasowej trawy, żeby się schronić.

Potem nagle czołg przestaje strzelać i już nigdy nie wystrzeli. Spadochroniarze dali mu radę. Wieżyczka jest skrzywiona, czarny dym bucha z wnętrza, jedna gąsienica strzeliła jak pasek od zegarka. Pozostałe czołgi po kolei szybko zostają załatwione w ten sam sposób. A po czołgach przychodzi kolej na samoloty - ślizgają się i toczą po pasie startowym, aż przechylone nieruchomieją na zawsze.

Lekka broń przeciwczołgowa - myśli Jonathan - skuteczny zasięg: dwieście do trzystu metrów; ulubiona broń oddziałów desantowych.

Kotlina pęka na nowo, gdy zaczyna się opóźnione przeciwnatarcie

i z budynków wali ogień karabinów maszynowych. Równocześnie żółta alfa budzi się do życia i zdalnie sterowana gna drogą, usiłując zbiec. Tchórze! Strachajły! Dranie! Czemu nie zostaniecie i nie walczyście? Ale czarne krzyże już znalazły na nią sposób. Vulcany zaczynają ostrzeliwać pozycje nieprzyjaciela: spomiędzy traw, seriami po dziesięć i dwadzieścia pocisków wskaźnikowych, tną pustaki, wybijają tyle dziur, że z domów robią się gigantyczne tarki do sera. Równocześnie serie z vulcanów unoszą alfę nad drogę i ciskają na stos suchego drewna. Sąg wybucha i zajmuje się płomieniem.

Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, oto nowe zagraża naszym bohaterom! Najpierw wybucha ziemia, potem szaleństwo ogarnia niebo. Ale nie lękajcie się, kolejny raz nasi żołnierze są gotowi! Czarnymi charakterami są drony. Sześć luf vulcanów może unieść się pod kątem osiemdziesięciu stopni. Osiągają ten kąt. Pracuje radar odpowiedzialny za namierzenie celu, zapas amunicji wynosi dwa tysiące pocisków i ubywa go seriami po sto, tak głośno, że twarz Jonathana krzywi się z bólu i ręce zaciskają się na uszach.

Dron, puszczając kłęby dymu, rozlatuje się i jak strzępy zwęglonego papieru opada dostojnie w głębinę dżungli. Na widowni nadszedł czas na kawior z białą serwowany w wyłożonych lodem miseczkach, schłodzone mleko kokosowe, kilkunastoletni rum panamski i szkocką single malt z lodem. Ale nie na szampana - jeszcze nie. To nie koniec przedstawienia.

* * *

Zawieszenie broni dobiega końca. Podobnie lunch. Wreszcie można zająć miasteczko. Dzielny pluton naciera z traw na budynki znienawidzonych kolonistów, strzela i ściąga ogień. Ale główne natarcie to pozór. Gdzie indziej dochodzi do ataków mniej widowiskowych, ale skuteczniejszych. Piechota morska z uczernionymi twarzami płynie rzeką na pontonach, ledwo widoczna wśród trzcin. Inni, w specjalnych ubiorach bojowych, przekradają się pod KG Armii USA. Nagle, na umówiony znak, obie drużyny atakują, ciskają przez okno granaty, skaczą za nimi w płomienie, opróżniają magazynki broni automatycznej. W kilka sekund wszystkie samochody są unieruchomione lub opanowane. Znienawidzone flagi opresorów idą w dół i zastępuje je nasz czarny krzyż. Zwycięstwo jest druzgocące, całkowity triumf, wszyscy nasi żołnierze to supermeni!

Ale czekajcie! Co to? Bitwa jeszcze nie jest wygrana.

Uwagę Jonathana przyciąga warkot samolotu i znów spogląda ponad grzbiet wzgórze, na którym w napięciu siedzi nad mapami, przy

radiach zespół kontrolny. Biały odrzutowiec - cywilny, błyszczący świeżą farbą, nieoznaczony, dwusilnikowy, w kabinie wyraźnie widać dwie osoby - prześlizguje się nad samym szczytem wzgórza, nurkuje i przelatuje nad miasteczkiem. Co on tu robi? Czy to część pokazu, czy DEA naprawdę zleciała przyjrzeć się zabawie? Jonathan szuka wzrokiem kogoś, kogo mógłby o to zapytać, ale oczy wszystkich, tak jak jego, są wpatrzone w samolot i każdy wydaje się równie głęboko zdumiony jak on.

Odrzutowiec odlatuje, w miasteczku panuje spokój, ale na grzbiecie wzgórza kontrolerzy nadal czekają. Jonathan zauważa w trawie pięciosobową grupę szturmową i rozpoznaje wśród niej dwóch bliźniaczych amerykańskich doradców wojskowych.

Biały odrzutowiec powraca. Prześlizguje się nad granią, ale tym razem ignoruje miasteczko i lekko się unosi. Wtem z traw słychać wściekły długotrwały syk i odrzutowiec znika.

Nie pęka, nie odlatuje mu skrzydło, nie koziołkuje nieprzytomnie w dżunglę. Słychać syk, następuje eksplozja, widać kulę ognia, która znika tak szybko, że Jonathan zastanawia się, czy nie uległ złudzeniu. A po tym widać maleńkie, mieniające się płatki poszycia samolotu, złoty deszcz rozplývający się w powietrzu. Stinger zrobił, co do niego należało.

Przez straszną chwilę Jonathan naprawdę wierzy, że pokaz skończył się ofiarami w ludziach. Na widowni Roper i czcigodni goście ściskają się i składają sobie nawzajem gratulacje. Roper łapie butelkę Dom Perignon i wyciąga korek. Pułkownik Emmanuel mu pomaga. Prześlizgując się wzrokiem po grzbiecie wzgórza, Jonathan widzi rozradowanych członków zespołu kontrolnego, gratulujących sobie, ściskających dłonie, mierzwiących sobie nawzajem włosy, poklepujących się po plecach. Langbourne jest w tej grupie. Dopiero gdy Jonathan spogląda wyżej, widzi dwa białe obłoczki spadochronów kilometr dalej na linii lotu odrzutowca.

- Podoba się? - wyszeptał mu do ucha Roper.

Jak nerwowo impresario kręcił się między widzami, zbierając opinie i gratulacje.

- Ale kim oni, na Boga, byli? - domagał się odpowiedzi Jonathan, nie dając się ugłaskać. - Ci zwariowani piloci? Co z samolotem? Tam poszło z dymem kilka milionów dolarów!

- Paru sprytnych Rusków. Szatany. Wśliznęli się na lotnisko w Cartagenie, zwinęli odrzutowiec, za drugim przelotem włączyli automatycznego pilota i wyskoczyli. Mam nadzieję, że ten biedaczyna właściciel nie będzie już potrzebował!

- To woła o pomstę do nieba! - oświadczył Jonathan, podczas gdy jego oburzenie ustąpiło miejsca rozbawieniu. - Najobrzydliwsza rzecz, jaką w życiu słyszałem!

Nadal się śmiał, gdy zauważył, że obserwuje go dwóch amerykańskich trenerów, którzy właśnie przyjechali dżipem z doliny. Ich podobieństwo było niesamowite: ten sam uśmiech na piegowatych twarzach, te same rude włosy i ten sam gest, z jakim opierając ręce na biodrach, przyglądali się z uwagą Jonathanowi.

- Jest pan Brytyjczykiem? - spytał jeden.

- Nie do końca - odparł uprzejmie Jonathan.

- Pan jest Thomas, no nie? - spytał drugi. - Ten Thomas Jakmutam albo Jakiśtam Thomas?

- Jakiśtam - przytaknął Jonathan jeszcze uprzejmiej, ale blisko stojący Tabby wyczuł napięcie w jego głosie, bo dyskretnie położył mu rękę na ramieniu. Było to nierozsądne ze strony Tabby'ego, bo żołnierz zwiadu bezpośredniego uwolnił go wówczas od ciężaru amerykańskich dolarów, których rulon spoczywał w bocznej kieszeni kurtki.

Lecz w tym samym przyjemnym momencie Jonathan rzucił niespokojne spojrzenie na Amerykanów podążających za Roperem. Rozczarowani weterani? Leczą urazę wobec Wuja Sama? To załatwcie sobie rozczarowane twarze - powiedział im w myśli - a przestańcie wyglądać tak, jakbyście jechali pierwszą klasą na koszt firmy.

Przejęty odręczny faks oznaczony BARDZO PILNE od sir Anthony'ego Joystona Bradshawa w Londynie, Anglia, do Dicky'ego Ropera, wysłany z listami na „Iron Pashę” na Antiguę, otrzymany o godzinie 9.20 i przekazany na odrzutowiec o godzinie 9.28 przez kapitana „Iron Pashy” z notatką, w której przeproszał, jeśli popełnił błąd. Pismo sir Anthony'ego okrągłe i niewyrobite, z błędami, podkreśleniami i od czasu do czasu osiemnastowiecznymi wywijkami. Styl telegraficzny.

Drogi Dicky,

co się tyczy naszej rozmowy sprzed dwóch dni, rozmawiałem na ten temat z Tamizą przed godziną i zapewniono mnie, że omawiania informacja jest dokumentem sporządzonym Twoją ręką i nie do podważenia. Poza tym jestem skłonny uważać, że nieżyjący doktor praw został wykorzystany przez nieprzyjazne elementy do pozbycia się naszego poprzedniego sygnatariusza na korzyść obecnego beneficjenta. Tamiza stosuje unik, zaleca Tobie to samo.

Biorąc pod uwagę ten ogrom pomocy, ufam, że pošlesz następne *ex grania* na ten sam bank co zawsze, żeby pokryć kolejne podstawowe koszty w Twoich najpilniejszych sprawach.

Pozdrawiam, Tony

Tę przechwyconą wiadomość, niepodaną do wiadomości Agencji Ochrony, Flynn uzyskał cichcem od informatora wewnątrz Czystego Wywiadu, informatora sprzyjającego sprawie. Flynn pogrążony w żalu po stracie Apostoła miał kłopoty z przełamaniem wrodzonej nieufności do Anglików. Ale gdy wypił pół butelki dziesięcioletniego bushmillsa, pokrzepił się na tyle, że wsunął dokument do kieszeni i kierowany w dużym stopniu instynktem, pojechał do centrum operacyjnego, gdzie przekazał go formalnie Burrowi.

Jed całe miesiące nie leciała zwyczajnym rejsiem i początkowo czuła się wyzwolona, jak podczas jazdy na górnej platformie londyńskiego autobusu po tych wszystkich okropnych przejazdach taksówką. Wróciłam do życia - pomyślała - wyszłam ze szklanej karocy. Ale gdy zażartowała z tego w towarzystwie Corkorana, który siedział obok niej podczas lotu do Miami, ten wyszydził jej protekcjonalność. To zaskoczyło ją i zraniło, bo nigdy poprzednio nie zachował się w stosunku do niej nieuprzejmie.

Na lotnisku Miami był tak samo niemiły, nakazał jej oddać paszport, gdy sam oddalił się po wózek bagażowy, a potem odwrócony do niej plecami rozmawiał z dwoma blondynami kręcącymi się przy stanowisku odprawy rejsu do Antigui.

- Corky, kim oni są, na Boga? - spytała go, gdy wrócił.
- To przyjaciele przyjaciół, moja droga. Dołączą do nas na „Pashy”.
- Przyjaciele jakich przyjaciół?
- Szefa, konkretnie.
- Corky, niemożliwe! To są jakieś zbiry!
- Jeśli chcesz wiedzieć, to dodatkowa ochrona. Szef uznał, że należy podnieść liczbę ochroniarzy do pięciu.
- Corky, po co, na Boga?! Zawsze trzech całkowicie mu wystarczało.

Potem spojrzała mu w oczy i przestraszyła się, bo była w nich żądza odwetu i triumf. I zdała sobie sprawę, że widzi Corkorana, jakiego nie знаła: zraniony dworzani przywrócony do łask, z długo pielęgno-

waną urazą, za którą odpłaci z nawiązką.

I nie pił w samolocie. Nowi ochroniarze lecieli z tyłu, ale Jed i Corkoran siedzieli w pierwszej klasie i mógł zalać się w trupa, czego zresztą się spodziewała. Jednak zamiast się upić, zamówił wodę mineralną z lodem i plasterkiem cytryny i siorbał ją, podziwiając swoje odbicie w szybie.

25

Jonathan również był więźniem.

Niewykluczone, że był nim zawsze, jak zasugerowała kiedyś Sophie. A może był nim od chwili, w której potajemnie przerzucono go na Crystal. Pozwalano mu jednak cieszyć się iluzją wolności. Aż do tej chwili.

Pierwsze ostrzeżenie pojawiło się w Fabergé, gdy Roper i jego towarzystwo zbierali się do odjazdu. Goście wyjechali wcześniej. Langbourne i Moranti udali się razem z nimi.

Pułkownik Emmanuel i Roper wymieniali ostatnie niedźwiedzie uściski, gdy ścieżką przybiegł młody żołnierz. Wołał i machał nad głową kartką papieru. Emmanuel wziął kartkę, rzucił na nią okiem i przekazał ją Roperowi, który wyjął okulary i oddalił się kilka kroków, aby zapoznać się z nią na osobności. Jonathan ujrzał, jak opuszcza go zwykle zobojętnienie i sztywnieje. Metodycznie złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- Frisky!
- Słucham, proszę pana!
- Na słowo.

Frisky, wygłupiając się, przemaszerował paradnym krokiem po nierównym gruncie do swojego pana i stanął na baczność. Ale gdy Roper wziął go za ramię i wyszeptał do ucha rozkaz, Frisky zapewne pożałował, że był tak cholernie zabawny. Weszli do samolotu, który przyleciał prawdopodobnie podczas pokazów. Frisky celowo wysforował się do przodu i bez ceremonii kazał Jonathanowi zająć miejsce obok siebie.

- Prawdę mówiąc, mam biegunkę, Frisk - powiedział Jonathan. - Sraczka po dżungli.

- Siedź, gdzie ci się, kurwa, każe - doradził mu zza pleców Tabby.

W samolocie Jonathan siedział między nimi i za każdym razem

gdy chodził do toalety, Tabby stał przy drzwiach.

Tymczasem Roper siedział samotnie przy przepierzeniu, nie dopuszczając do siebie nikogo poza Meg, która przyniosła mu świeży sok pomarańczowy i odebrany w trakcie lotu faks. Jonathan zauważył, że jest pisany odręcznie. Po przeczytaniu Roper złożył go i wsunął do kieszeni. Potem założył na oczy opaskę i wydawało się, że zasnął.

Na lotnisku w Colón, gdzie Langbourne czekał na nich z dwoma volvo, Jonathan znowu nieomylnie dostrzegł zmianę swojego statusu.

- Szefie. Muszę z panem pogadać. W cztery oczy - zawołał Langbourne z płyty lotniska, niemal w tej chwili, w której Meg otworzyła drzwi.

Więc wszyscy czekali na pokładzie, podczas gdy Roper i Langbourne konferowali przy trapie.

- Do drugiego samochodu - rozkazał Roper, gdy Meg pozwoliła reszcie pasażerów wysiąść. - Wszyscy.

- On jest chory na żołądek - ostrzegł na boku Langbourne'a Frisky.

- Pierdolić jego żołądek - warknął Langbourne. - Powiedz mu, żeby się powstrzymywał.

- Powstrzymuj się - powiedział Frisky.

Było popołudnie. Budka policjanta stała pusta, podobnie wieża kontrolna. Puste było również lotnisko, jeśli nie liczyć stojących rzędami obok szerokiego pasa startowego białych prywatnych odrzutowców z oznaczeniami kolumbijskimi. Langbourne i Roper wsiedli do pierwszego samochodu. W tej chwili Jonathan zauważył czwartego mężczyznę.

Miał na głowie kapelusz. Siedział obok kierowcy. Frisky otworzył tylne drzwi drugiego samochodu. Jonathan wsiadł do środka. Frisky za nim. Tabby zajął miejsce z drugiej strony Jonathan, zostawiając pusty fotel obok kierowcy. Nikt się nie odzywał.

Na wielkim billboardzie dziewczyna w wystrzępionych szortach obejmowała udami paczkę papierosów najnowszej marki. Na drugim lubieżnie lizała wyciągniętą antenę radia tranzystorowego. Wjechali do miasta i smród biedy wypełnił samochód. Jonathan przypomniał sobie Kair i siedzącą obok Sophie, podczas gdy ludzka nędzą grzebała w śmieciach. Na ulicach, które zapomniały o dawnej wzniosłości, między budami z desek i blachy falistej gniły stare drewniane domy. Ciuchy w jaskrawych kolorach schły na rozsypujących się balkonach. Dzieci bawiły się pod szerniałymi arkadami i puszczały okręciki z plastikowych kubków w otwartych ściekach. Z kolonialnych werand bezrobotni mężczyźni, czasem dwudziestu naraz, wpatrywali się bez

wyrazu w ruch uliczny. Z okien porzuconej fabryki setki nieruchomych twarzy robiły to samo.

Zatrzymali się na światłach. Lewa ręka Frisky'ego spoczywająca nisko za siedzeniem kierowcy wzięła na muszkę wymagowanego rewolweru czterech uzbrojonych policjantów, którzy zeszli z chodnika i zbliżali się do samochodu. Tabby od razu odczytał ten gest i Jonathan poczuł, jak opiera się mocniej o siedzenie i rozpina środkowe guziki kurtki.

Policjanci byli potężnie zbudowani. Nosili odprasowane jasnozielone mundury, ozdobne sznury, baretki medali i automatyczne walthery w lśniących skórzanych kaburach. Samochód Ropera stał sto metrów dalej. Światła zmieniły się na zielone, ale dwaj policjanci blokowali drogę, podczas gdy trzeci rozmawiał z kierowcą, a czwarty z chmurną miną zaglądał do środka. Jeden z tych na froncie oglądał opony volvo. Samochód zakołysał się, gdy inny sprawdził zawieszenie.

- Wydaje mi się, że ci dżentelmeni chętnie przyjęliby ładny prezent, no nie, Pedro? - zasugerował kierowcy Frisky.

Tabby poklepywał się po kieszeniach kurtki. Policjanci chcieli dwadzieścia dolarów. Frisky dał kierowcy dziesięć. Ten wręczył je policjantowi.

- Jakiś skurwiel gwizdnął mi gotówkę w obozie - powiedział Tabby.

- Chcesz wrócić i jej szukać? - spytał Frisky.

- Muszę do toalety - oznajmił Jonathan.

- Musisz sobie, kurwa, wsadzić korek - warknął Tabby.

Trzymając się blisko samochodu Ropera, wjechali w północnoamerykańską enklawę trawników, białych kościółków, kręgielni i spacerujących z wózkami żołnierskich żon w wałkach na głowie. Wjechali na ulicę nadbrzeżną, przy której stały różowe wille z lat dwudziestych z gigantycznymi antenami telewizyjnymi, strzeżone drutem kolczastym i wysokimi bramami. Obcy w pierwszym samochodzie szukał numeru domu. Skręcili na rogu i dalej szukali. Wjechali do trawiastego parku. Na morzu kontenerowce, wycieczkowce i tankowce oczekiwały swojej kolejki na wypłynięcie do kanału. Pierwszy samochód zatrzymał się przed starym domem obsadzonym drzewami. Kierowca zatrąbił. Drzwi domu się otworzyły i wąski w ramionach mężczyzna w białej marynarce lekkim krokiem pobiegł do furki. Langbourne opuścił szybę i krzyknął, żeby wsiadł do drugiego samochodu. Frisky sięgnął do drzwi pasażera i otworzył je. Jonathan przez krótką chwilę widział młodego intelektualistę o arabskich ry-

sach noszącego okulary. Zajął miejsce bez słowa.

- Jak biegunka? - spytał Frisky.
- Lepiej - odpowiedział Jonathan.
- No, to trzymaj tak dalej - powiedział Tabby.

Wjechali na prosty odcinek drogi. Jonathanowi przypomniała się szkoła wojskowa, kiedy zobaczył wysoki kamienny mur ozdobiony wypukłościami w kształcie grubych lin wznoszący się po prawej stronie. Był zwieńczony potrójnymi zwojami drutu kolczastego. Jonathanowi przypomniało się również Curaçao i droga do portu. Po lewej pojawiły się reklamy Toshiba, Citizen, Toylandu. Więc to tutaj Roper kupuje swoje zabawki - pomyślał absurdalnie Jonathan.

Ale mylił się. Tutaj inkasował należność za ciężką pracę i inwestowaną żywą gotówkę. Arabski student zapalił papierosa. Frisky zakaszła ostentacyjnie. Pierwszy samochód podjechał pod bramę i zatrzymał się. Drugi zrobił to samo.

Przy szybie kierowcy zjawił się policjant.

- Pasporty - powiedział kierowca, a Frisky podał mu swój i Jonathan. Arabski student podniósł głowę na tyle, by policjant go rozpoznał. Samochód przepuszczono. Wjechali do strefy wolnocłowej Colón.

Eleganckie witryny jubilerów i kuśnierzy przypominały hol u Herr Meistra. Na niebie lśnił blask marek handlowych z całego świata i jasnoniebieskich szyb banków. Wzdłuż ulic stały błyszczące limuzyny. Samochody dostawcze w jaskrawych kolorach cofały się, manewrowały i pluły spalinami na zatłoczone chodniki. Sklepom zakazano sprzedaży detalicznej, ale wszystkie prowadziły normalny handel. Panamczykom zakazano kupować, ale na ulicach kłębiło się od Panamczyków wszelkiej maści. Większość zjeżdżała taksówkami, bo taksówkarze mieli najlepsze układy przy bramie.

„Każdego dnia - powiedział Jonathanowi Corkoran - robotnicy oficjalnie zatrudnieni w strefie zjawiają się w pracy, nie mając nic na szyjach, nic na rękach i nic na palcach. Ale gdy nadchodzi wieczór, wyglądają, jakby szli na wesele - błyszczą naszyjniki, bransolety i pierścienie. Z całej Ameryki Środkowej przylatują klienci i nieniekajeni przez władze imigracyjne ani celne wydają dziennie miliony dolarów i składają do depozytu kolejne miliony na następne wydatki”.

Pierwszy samochód wjechał w ciemną ulicę magazynów. Posuwali się za nim zderzak w zderzak. Na przednie szyby spadły ciężkie krople deszczu. Obcy w kapeluszu siedzący w pierwszym samochodzie czytał nazwy i liczby:

Khan's Comestibles, Macdonald's Automotor, The Hoi Tin Food & Beverage Company, The Tel Aviv Goodwill Container Company, El Akhbar's Fantasias, Hellas Agricultural, Le Baron of Paris, Taste of Colombia Limitada, Coffe & Comestibles.

Potem sto metrów czarnego muru i jedna tablica: „Orzeł”. Tam wysiedli.

- Wejdziemy gdzieś? Może tam byłaby toaleta - powiedział Jonathan. - Znowu bardzo by się przydała - dodał na użytek Tabby'ego.

Rośnie napięcie, gdy stoją na nieoświetlonej ulicy. Zapada szybki tropikalny zmierzch. Niebo jest rozjaśnione kolorowymi neonami, ale w wąwozie murów i brudnych zaułków zalega już prawdziwy mrok. Oczy wszystkich są skupione na człowieku w kapeluszu. Frisky i Tabby stoją po obu stronach Jonathana, a Frisky trzyma go za ramię; dokładnie biorąc, nie ściskam cię, Tommy, tylko pilnuję, żeby nikt nie zginął. Arabski student dołączył do pierwszej grupy. Jonathan widzi, jak człowiek w kapeluszu znika w ciemnym wejściu do budynku. Langbourne, Roper i student idą za nim.

- Wio - mruczy Frisky.

Ruszają.

- Gdybyś tylko znalazł mi toaletę - mówi Jonathan. Dłoń Frisky'ego zaciska się na jego ramieniu.

W budynku, na końcu ceglanego korytarza obwieszonych plakatami lśni odbite światło. W mroku nie widać treści plakatów. Korytarz rozchodzi się na boki, oni skręcają w lewo. Światło staje się silniejsze, prowadzi ich do przeszklonych drzwi. Ich górną część zasłonięto sklejką, by uniemożliwić odczytanie napisu. Zapach artykułów zaopatrzenia statków przenika nieruchome powietrze: liny, mąka, smoła, kawa, olej lniany. Drzwi stoją otworem. Wchodzą do luksusowej poczekalni. Skórzane fotele, jedwabne sztuczne kwiaty, błyszczące czasopisma o Kolumbii, Wenezueli, Brazylii. A w kącie dyskretne zielone drzwi z sielankową parą spacerującą po wyłożonej płytkami ścieżce.

- Tylko szybko - mówi Frisky, popychając Jonathana. Ten każe swoim strażnikom czekać przez dwie i pół doprowadzające do szafu minuty, zgodnie z jego zegarkiem, podczas gdy siedzi na sedesie i szybko pisze na kawałku papieru listowego rozpostartego na kolanach.

Przechodzą do głównego biura. Jest wielkie i białe, nie ma okien.

Sufit podwieszany, halogeny, puste krzesła przy stole konferencyjnym, na którym pióra, notatniki i szklanki wyglądają jak nakrycie do kolacji. Roper, Langbourne i przewodnik stają po jednej stronie. Teraz okazuje się, że przewodnikiem jest Moranti. Ale coś zmieniło się w jego ciele, zjawił się pośpiech, napięcie lub nienawiść, a jego twarz zawziętością i posępnością przywodzi na myśl halloweenowe dynie. W głębi pomieszczenia przy drugich drzwiach stoi wieśniak, którego Jonathan pamięta z dzisiejszych pokazów wojskowych, a przy jego boku *banderillero* i jeden z bogato ubranych chłopców w skórzanej kurtce. Chłopak ściąga brwi. A przy ścianach następnych sześciu chłopców, wszyscy ubrani w dżinsy i lekkie buty na gumie, wszyscy szczupli i wyszkoleni po przedłużonym pobycie w Fabergé, wszyscy dyskretnie przyciskają do boków pistolety maszynowe Uzi.

Za nimi zamykają się drzwi, inne się otwierają i są to drzwi do prawdziwego magazynu; nie jest wyłożony stalowymi płytami jak ładownia „Lombardy”, to miejsce z pewnymi pretensjami do dobrego smaku. Podłoga jest z kamiennych płyt, żelazne filary rozchodzą się przy suficie jak palmy, z dźwigarów zwisają zakurzone lampy w stylu art déco. Po stronie przylegającej do ulicy widać szereg zamkniętych bram uchylnych. Jonathan nalicza ich dziesięć, każda ma własny zamek, numer, dok przeładunkowy i żuraw. Pośrodku hali spiętrzyły się w kubistyczne góry tysiące brązowych kartonów, przy nich stoją wózki widłowe, aby przewieźć je sześćdziesiąt metrów dalej do kontenerów. Gdzieś widać artykuły codziennego użytku; na przykład zbieraninę wielkich donic oczekujących na specjalne opakowanie, piramidę magnetowidów lub butelki szkockiej, które w poprzednim wcieleniu miały mniej szacowne etykiety.

Ale wózki widłowe, jak wszystko tutaj, stoją nieczynne; nie ma żadnych strażników, żadnych psów, żadnej sennej nocnej zmiany przy dokach załadunkowych ani sprzątaczkami zmiatającej podłogę; czuć tylko przyjazną woń towarów, słyszeć szuranie i pisk obuwia na kamiennych płytach.

Tak jak na „Lombardy” teraz protokół dyktował kolejność działań. Wieśniak szedł z Morantim, za nimi *banderillero* z synem, potem Roper, Langbourne i Arab, a wreszcie Frisky i Tabby z wciśniętym między nich Jonathanem.

I oto stała.

Ich nagroda, ich spełnienie marzeń. Najwyższa kubistyczna góra ze wszystkich, sięgająca dachu, otoczona własnym ogrodzeniem i

pilnowana przez krąg bojowców z pistoletami maszynowymi. Każdy karton numerowany, każdy karton z tą samą jasnokolorową naklejką uśmiechniętego kolumbijskiego chłopca zapychającego z pudłem kawy nad wielkim słomianym kapeluszem, modelowe szczęśliwe dziecko z Trzeciego Świata - idealne zęby, jaśniejąca uśmiechem twarz, nie zna narkotyków, kocha życie, podąża ku świetlanej przyszłości. Jonathan dokonał szybkiego obliczenia. Od lewej do prawej, z góry na dół. Dwa tysiące kartonów. Trzy tysiące... Umiejętności arytmetyczne zawiodły Jonathana. Langbourne i Roper zrobili krok naprzód. Twarz Ropera wsunęła się pod wyraźnie odcinającą się czaszę górnego światła i Jonathan ujrzał go takim, jakiego zobaczył po raz pierwszy w blasku żyrandoli u Herr Meistra - wysokiego i na pierwszy rzut oka szlachetnego, otrząsającego śnieg z ramion, witającego skinieniem ręki Fräulein Eberhardt, pirata giełdowego z lat osiemdziesiątych w każdym calu, chociaż były już dziewięćdziesiąte. „Koledzy zamówili tu u was pokoje. Całkiem sporo...”

Co uległo zmianie? Przez wszystkie te kilometry i cały ten czas - co się zmieniło? Czy włosy troszeczkę posiwiały? Uśmiech delfina zeszywniał o ułamek w kącikach ust? Jonathan nie dopatrzył się żadnej zmiany. Żaden ze sklasyfikowanych przez Jonathana sygnałów świadczących o nastrojach Ropera - oszczędne poruszenie dłonią, przyglądanie włosów falujących nad uszami, odchylenie głowy w zamyśleniu, gdy wielki człowiek był łaskaw coś rozważyć - nie wskazywał na najmniejszą zmianę.

- Fajsal, do stołu. Sandy, bierz kartony. Dwadzieścia, z różnych miejsc. Tam z tyłu wszystko w porządku, Frisky?

- Tak jest, sir.

- Gdzie jest, do diabła, Moranti? No, jest. Señor Moranti, bierzmy się za to.

Gospodarze utworzyli osobną grupę. Arab usiadł plecami do widowni i czekając, powymnował z kieszeni kurtki różne rzeczy. Czterech bojowców obstawiało drzwi. Jeden z nich trzymał telefon komórkowy przy uchu. Reszta szybko ruszyła do kubistycznej góry, minęła szpaler strażników, którzy stali, patrząc przed siebie jak na polowaniu, i trzymali pistolety maszynowe przy piersi.

Langbourne wskazał na karton w środku stosu. Dwaj chłopcy wyciągnęli go, unieśli niezapieczętowaną pokrywę. Student zanurzył w środku rękę i wyjął paczkę owiniętą w płótno workowe i plastik, ozdobiony powtarzającym się wizerunkiem szczęśliwego kolumbijskiego dziecka. Położył go przed sobą na stole i pochyliwszy się

nisko, zasłonił ciałem. Czas się zatrzymał. Jonathanowi przypomniał się ksiądz spożywający hostię i wino tyłem do wiernych, zanim rozda komunię. Student wszedł w fazę oddawania szczególnej czci, pochylił się jeszcze bardziej. Wyprostował się i z aprobatą kiwnął głową w kierunku Ropera. Langbourne wybrał kolejny karton. Chłopcy wyrwali go z góry, która zachwiała się i zastygła. Ten rytuał się powtórzył. I jeszcze raz. Sprawdzono w ten sposób może trzydzieści kartonów. Nikt nie poruszył bronią, nikt się nie odezwał. Chłopcy przy drzwiach stali nieruchomo. Jedyny hałas wywoływało szuranie kartonami. Student spojrział na Ropera i kiwnął głową.

- Señor Moranti... - odezwał się Roper.

Moranti wysunął się o krok, lecz się nie odezwał. Nienawiść w jego oczach była jak przekleństwo. Ale co było jej przedmiotem? Biali kolonialisci, którzy tak długo łupili jego kontynent? Czy on sam za to, że się poniżył i wziął udział w tej transakcji?

- Załatwione. Jakość w porządku. Sprawdźmy ilość, co?

Pod nadzorem Langbourne'a bojowcy załadowali na wózek widłowy dwadzieścia wybranych na chybił trafił kartonów i zawieźli je na wagę towarową. Langbourne odczytał ciężar z podświetlanej tarczy, policzył na kalkulatorze i pokazał go Roperowi, który chyba zaakceptował wynik, bo zawołał coś potwierdzająco do Morantiego, który odwrócił się na pięcie i z wieśniakiem u boku poprowadził procesję z powrotem do sali konferencyjnej. Ale Jonathan wcześniej zdążył zauważyć, że wózek zawozi ładunek do pierwszego z dwóch otwartych kontenerów przy rampie numer osiem i dziewięć.

- Znowu mnie bierze - powiedział Tabby'emu.

- Zaraz cię zabiję - powiedział Tabby.

- Nie, nie zabijesz go. Ja to zrobię - powiedział Frisky.

Pozostała robota papierkowa, za którą wyłączną odpowiedzialność ponosił prezes zarządu przedsiębiorstwa Tradepaths Limited z siedzibą w Curaçao, w asyście swojego radcy prawnego. Z Langbourne'em u boku i twarzą w twarz z drugą stroną transakcji pod kierownictwem Morantiego Jonathan podpisał trzy dokumenty, które potwierdzały chyba odbiór pięćdziesięciu ton wstępnie prażonego kolumbijskiego ziarna kawowego pierwszej klasy; potwierdzały autentyczność listów przewozowych, konosamentu i deklaracji celnej wyżej określonego ładunku zafrachtowanego na pokładzie „Horacio Enriques”, jednostki wycarterowanej przez Tradepaths Limited ze strefy wolnocłowej Colón do Gdańska, Polska, w kontenerach numer

179 i 180; i polecały kapitanowi „Lombardy”, obecnie stojącej w Panamie, zaokrętować nową kolumbijską załogę i niezwłocznie udać się do portu Buenaventura na zachodnim wybrzeżu Kolumbii.

Gdy Jonathan podpisał wszystko we wskazanych miejscach, odłożył pióro z lekkim stuknięciem i spojrzał na Ropera, jakby mówił: „Zrobione”.

Ale Roper, do niedawna jakże komunikatywny, zdawał się go nie widzieć i gdy ruszyli do samochodów, szedł, wyprzedzając wszystkich, skutecznie sugerując, że prawdziwy biznes dopiero ich czeka, co również od pewnego czasu pokrywało się z poglądami Jonathana, gdyż żołnierz zwiadu bezpośredniego wszedł w stan gotowości przewyższający wszystkie dotychczasowe. Siedząc między swoimi strażnikami, skoncentrował się na tajemnym celu jak na nowo odkrytym talencie. Miał gotówkę Tabby'ego i było tego w sumie sto czternaście dolarów. Miał dwie koperty przygotowane podczas nasiadówki w klozecie. W głowie miał numery kontenerów, numery listów przewozowych i nawet numer kubistycznej góry, gdyż zniszczona czarna tarcza wisiała nad nią jak tablica wyników krykieta w szkole wojskowej: przesyłka numer 54 w magazynie „Orzeł”.

Dojechali na ulicę nadbrzeżną. Samochód zatrzymał się przy krawężniku i arabski student wysiadł. Znikł w ciemności bez słowa.

- Obawiam się, że dochodzimy do przełomowego momentu - oświadczył ze spokojem Jonathan. - Za jakieś pół minuty przestanę odpowiadać za konsekwencje.

- Do kurwy nędzy - sapnął Frisky.

Samochód przed nimi już przyspieszał.

- Już czas, Frisky. Sam wybierz.

- Ty brudny skurwielu - warknął Tabby.

Machając rękami i wrzeszcząc: „Pedro!”, Frisky spowodował, że kierowca błysnął długimi światłami i samochód przed nimi się zatrzymał. Langbourne wychylił głowę na zewnątrz.

- O co, kurwa, tym razem chodzi?!

Oświetlona stacja benzynowa mrugała po drugiej stronie ulicy.

- Tommy znowu ma sraczkę - wyjaśnił Frisky.

Langbourne cofnął się do środka samochodu, skonsultował z Roperem i wychylił się znowu.

- Idź z nim, Frisky. Nie spuszczaaj go z oczu. Pospiesz się.

Stacja była nowa, ale toaleta nie dorównywała standardem reszcie urzędzeń. Znajdowała się tu jedna jedyna śmierdząca kabina zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet, z dziurą w podłodze. Podczas gdy Frisky czekał na zewnątrz, Jonathan wydawał wyraźne odgłosy męki i

kolejny raz używając nagich kolan jako podpórki, napisał swoją ostatnią wiadomość.

* * *

* * *

Bar Wurlitzer w hotelu Riande Continental w Panamie był bardzo mały i mroczny. W niedzielne wieczory zarządzała nim matrona o pyzaty obliczu. Gdy Rooke wreszcie zdołał dojrzeć jej rysy w ciemności, okazała się dziwnie podobna do jego żony. Przekonawszy się, że Rooke nie należy do klientów, których należy zabawiać rozmową, napełniła po raz drugi talerzyk orzeszkami i zostawiła mruka w spokoju nad wodą Perrier, a sama zajęła się na powrót horoskopem.

W holu amerykańscy żołnierze ubrani w mundury połowe trwonili smętnie czas wśród kolorowego rozgardiaszu panamskiej nocy. Krótkie schodki prowadziły do drzwi hotelowego kasyna, na których wisiał uprzejmy zakaz wnoszenia broni. Rooke dostrzegał widmowe postaci grające w bakarata i szarpiące dźwignie jednoręcznych bandytów. W barze niecałe dwa metry od miejsca, w którym siedział, rozpierały się organy Wurlitzera, przypominając Rooke'owi o dniach dzieciństwa, gdy organista w błyszczącej marynarce niczym za sprawą czarów wyłaniał się z podziemi sali kinowej i grał melodie, a publiczność nuciła do wtóru.

Rooke'a wszystko to średnio interesowało, ale człowiek, który czeka bez nadziei, musi się czymś zająć albo nachodzą go myśli zbyt ponure, aby były bezpieczne dla stanu jego zdrowia.

Najpierw ślęczał w swoim pokoju nad aparatem telefonicznym, bo obawiał się, że klekot wentylatora zagłuszy dzwonek. Potem wyłączył wentylator i spróbował otworzyć francuskie drzwi balkonowe, ale z via Espana napływał hałas tak koszmarny, że je zamknął i przez godzinę dusił się, nie mając powietrza ani z balkonu, ani z wentylatora, aż ogarnęła go taka senność, że prawie przysnął. Ostatecznie zadzwonił na centralkę i powiedział, że idzie nad basen i mają przełączyć tam każdą rozmowę. Gdy tylko dotarł nad brzeg basenu, dał *maître d'hôtel* dziesięć dolarów, informując, że gdyby ktoś pytał o pana Robinsona z numeru czterysta dziewięć, to niech recepcjonista, telefonistki i portier łaskawie pamiętają, że pan Robinson je kolację przy basenie, stolik numer sześć.

Potem siedział i wpatrywał się w podświetloną niebieską wodę pustego basenu, puste stoliki, w okna pobliskich wieżowców, telefon stojący w oddali na blacie basenowego baru, kuchcików przy *barbecue* przygotowujących mu stek i orkiestrę grającą rumbę tylko dla

niego.

Gdy stek podano, popijał go butelką perriera, bo chociaż przekonał się, że ma głowę równie dobrą jak każdy, to wiedział, że zaśnie na warcie, gdy tylko wypije alkohol, a przecież usiłował wykorzystać szansę jedną na tysiąc, że jego zdemaskowany agent w jakiś sposób da znak życia.

Okolo dziesiątej, gdy goście zaczęli się zjawiać przy stolikach, zląkł się, że siła oddziaływania dziesięciu dolarów osłabła. Więc zadzwonił na centralkę i przeszedł do baru, w którym siedział teraz. I był właśnie tam, gdy barmanka przypominającą mu żonę postawiła przed nim telefon i uśmiechnęła się smutno.

- Pan jest Robinson, czterysta dziewięć?

Potwierdził.

- Masz gościa, kochanie. To sprawa osobista, bardzo pilna. Ale to mężczyzna.

Był mężczyzną, był Panamczykiem, był drobny, azjatyckiego pochodzenia, miał gładką skórę, ciężkie powieki, czarny garnitur i unosiła się wokół niego atmosfera świętości., Jego garnitur lśnił jak paradny mundur, jak stroje noszone przez gońców i przedsiębiorców pogrzebowych. Miał falujące włosy, na marszczonej białej koszuli nie było plamki, a wizytówka, którą mogłeś nakleić na telefonie, informowała po hiszpańsku i angielsku, że nazywa się Sanchez Jesus-Maria Romarez II, szofer limuzyny oferujący usługi dwadzieścia cztery godziny na dobę, mówi po angielsku, lecz niestety nie tak dobrze, jak by sobie tego życzył señor; to angielski, powiedzmy, ludzi, a nie książek - tu uśmiech dezaprobaty - i szofer zawdzięczał go głównie amerykańskim i brytyjskim klientom, chociaż uczył się go też w szkole, jednak niestety w czasie krótszym, niż on sobie tego życzył, gdyż jego ojciec nie był bogatym człowiekiem, señor, ani nie jest nim Sanchez.

Po tym smutnym stwierdzeniu faktów Sanchez wlepił oczy w Rooke'a i przeszedł do rzeczy.

- Señor Robinson. Mój przyjacielu. Proszę, panie. Wybacz. - Sanchez włożył pulchną dłoń do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki. - Przyszedłem zainkasować od ciebie pięćset dolarów. Dziękuję panu.

Rooke tymczasem zaczął się już obawiać, że stał się ofiarą jakiejś zmyślnej pułapki na turystów, a za pretekst posłuży nabycie prekolumbijskiego dzieła sztuki albo noc z siostrą tego koszmarnego człowieczka. Ale człowieczek podał mu grubą kopertę z napisem

„Crystal” na klapce. Nad napisem widniało coś przypominającego diament. I z tej koperty Rooke wyciągnął odręczny list od Jonathana napisany po hiszpańsku, w którym autor życzył znalazcy radości z załączonych stu dolarów i obiecywał mu jeszcze pięćset, jeśli osobiście dostarczy drugą kopertę do rąk señor Robinsona w hotelu Riande Continental w Panamie.

Rooke wstrzymał oddech.

Kryjąc uniesienie, poczuł równocześnie nowy lęk - że Sanchez wymyślił jakiś idiotyczny plan, na przykład złożył list na noc do depozytu bankowego albo dał na przechowanie swojej *chiquita*, aby schowała go pod materacem, w razie gdyby *gringo* usiłował go odzyskać siłą.

- Więc gdzie jest ta druga koperta? - spytał.

Szofer położył rękę na sercu.

- Jest tu, w mojej kieszeni, señor. Jestem uczciwym kierowcą, señor, i kiedy zobaczyłem list z tyłu na podłodze mojego volvo, moją pierwszą myślą było pojechać z pełną prędkością na lotnisko, nie zważając na przepisy, owszem, w nadziei, ale niekoniecznie oczekując nagrody, gdyż klienci w moim samochodzie nie byli tej klasy co klienci mojego kolegi Domingueza prowadzącego pierwszy samochód, i oddać list do rąk własnych szlachetnego klienta, który był na tyle nieuważny, że go tam zostawił. Moi klienci, jeśli mogą tak powiedzieć, nie obrażając pańskich szanownych przyjaciół, byli znacznie skromniejsi - jeden z nich zachował się na tyle obraźliwie, że zwrócił się do mnie per „Pedro” - lecz gdy tylko, señor, przeczytałem napis na kopercie, zdałem sobie sprawę, że lojalność wymaga, bym postąpił inaczej...

Sanchez Jesus-Maria uprzejmie zahamował potok swojej narracji, podczas gdy Rooke poszedł do recepcji i wymienił czeki podróżne na sumę pięćciuset dolarów.

Na Heathrow była ósma rano, panowała mokra angielska zima, a Burr miał na sobie strój stosowny w Miami. Goodhew czekający niespokojnie przy bramce odprawy był ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy i miękką czapkę, którą wkładał, jeżdżąc na rowerze. Miał zdecydowany wyraz twarzy, ale zbyt błyszczące oczy. Powieka prawego oka Goodhew, jak zauważył Burr, lekko drżała.

- Jakież wiadomości? - spytał ostro Burr, gdy tylko wymienili uścisk dłoni.

- O czym? O kim? Nic mi nie mówią.

- O odrzutowcu. Jeszcze go nie namierzyli?

- Nic mi nie mówią - powtórzył Goodhew. - Gdyby twój człowiek zjawił się w błyszczącej zbroi w Ambasadzie Brytyjskiej w Waszyngtonie, też bym się nie dowiedział. Każda agencja posługuje się swoimi kanałami. MSZ. MON. Dom za Rzeką. Nawet rząd. Każdy właśnie jest w połowie drogi.

- Dwa razy zgubili ten samolot w ciągu dwóch dni - powiedział Burr. Szedł do sznura taksówek, nie wzięwszy wózka bagażowego. Ciężką walizkę niósł w ręce. - Za pierwszym razem to niedbałość, za drugim świadome działanie. Wyleciał z Colón o dwudziestej pierwszej dwadzieścia. Na pokładzie był mój chłopak, Roper i Langbourne. Podnieśli AWACS-a, mają radary na każdym atolu, wszystko, co tylko chcesz. Jak mogą zgubić odrzutowiec na trzynaście osób?

- Zostałem odstawiony na boczny tor, Leonardzie. Usiłuję trzymać ucho przy ziemi, ale zabrali mi ziemię. Pilnują, żebym cały dzień był zajęty. Wiesz, jak mnie nazywają? Rewizor wywiadu. Myśleli, że będę zadowolony z tego staroświeckiego tytułu. Jestem zaskoczony, że Darker ma poczucie humoru.

- Stawiają Strelskiemu wszystkie możliwe zarzuty - powiedział Burr. - Nieodpowiedzialne posługiwanie się danymi. Przekroczenie

uprawnień. Zbyttnia uprzejmość wobec Angoli. Praktycznie oskarżają go o morderstwo Apostoła.

- „Okręt Flagowy” - burknął pod nosem Goodhew, jakby wyjaśniał to, co słyszy.

Burr zauważył u niego zmiany. Na policzkach szkarłatne plamki. Dziwną bladość wokół oczu.

- Gdzie jest Rooke? - spytał? - Gdzie Rob? Już powinien wrócić.

- Jest w drodze, jak słyszałem. Wszyscy są w drodze. No właśnie.

Stanęli w kolejce do taksówek. Podjechał czarny wóz, policjantka kazała wsiąść Goodhew. Dwaj Libańczycy usiłovali się wepchnąć. Burr zablokował im drogę i otworzył drzwi taksówki. Gdy tylko ruszyli, Goodhew zaczął relacjonować słabym głosem. Mógłby opisywać wypadek drogowy, którego ledwo uniknął.

- Podział władzy między mniejsze agencje to „pieśń przeszłości”, mówi mój szef przy wędzonym węgorku. Prywatne armie to „tygrys wypuszczony z klatki”, mówi mi przy pieczystym. Małe agencje powinny utrzymać swoją autonomię, ale wpiery muszą przystać na „ojcowskie kierownictwo” Domu za Rzeką. Whitehall spłodziło nową ideę. Połączona Komisja Koordynacyjna nie żyje! Niech żyje Ojcowskie Przewodnictwo! Przy portu mówiliśmy o tym, jak „osiągnąć większą skuteczność”. Będę „osiągał większą skuteczność”, ale będę to robił pod „ojcowskim przewodnictwem”. To znaczy, będę tańczył tak, jak mi zagra Darker. Z pewnym wyjątkiem! - Nagle pochylił się do przodu, a potem odwrócił głowę i wpatrywał się prosto w twarz Burra. - Z tym wyjątkiem, Leonardzie, że nadal jestem sekretarzem Połączonej Komisji i będę nim dopóty, dopóki mój szef w swojej mądrości nie zadecyduje inaczej lub ja zrezygnuję. Są tam uczciwi ludzie. Liczyłem głosy. Kilka parszywych owiec nie czyni zarazy. Mojego szefa da się przekonać. Tu jest nadal Anglia. Jesteśmy uczciwym narodem. Od czasu do czasu coś może pójść nie tak, ale honor zatriumfuje i dobro zwycięży. Wierzę w to.

- Zgodnie z przewidywaniami broń na „Lombardy” jest amerykańska - powiedział Burr. - Kupują amerykańską i brytyjską, kiedy jest na poziomie. Do tego instruktaż. Do tego demonstracja klientom w Fabergé.

Goodhew sztywno odwrócił się do okna. Jakoś utracił płynność ruchów.

- Kraj producenta nie jest wskazówką - odparował z przesadną pewnością siebie osoby broniącej kiepskiej teorii. - To pośrednicy czynią tu zło. Wiesz o tym doskonale.

- Zgodnie z listami Jonathana w obozie było dwóch amerykańskich instruktorów. Mówi tylko o oficerach. Podejrzewa, że mają też kadrę podoficerską. Byli tam wysokoobrotowi jednojajowi bliźniacy, którzy okazali się na tyle źle wychowani, że spytali go o jego sprawy. Strelski mówi, że to muszą być bracia Yoch z Langley. Dawniej w Miami prowadzili rekrutację dla sandinistów. Amato trzy miesiące temu wypatrzył ich na Arubie pijących Dom Perignon z Roperem, podczas gdy podobno sprzedawał grunty. Dokładnie w tydzień później sir Anthony Joyston Bradshaw, nasz czcigodny szlachcic, zaczyna kupować za pieniądze Ropera produkty amerykańskie zamiast wschodnioeuropejskich i rosyjskich. Roper nigdy poprzednio nie zatrudniał amerykańskich instruktorów, nie ufał im. Dlaczego ich tam ściągnął? Dla kogo pracują? Przed kim odpowiadają? Dlaczego wywiad amerykański nagle zaczął odwalać taką fuszerkę? Skąd te wszystkie dziury na ekranach radarów? Dlaczego ich satelity nie zgłaszają tej całej wojskowej aktywności na granicy z Kostaryką? Śmigłowce bojowe, transportery opancerzone, lekkie czołgi. Kto rozmawia z kartelami? Kto wygadał im o Apostole? Kto powiedział kartelom, że mogą wziąć w obroty Apostoła, co w praktyce oznaczało pozbawienie agencji ich doskonałego człowieka?

Goodhew nadal wpatrywał się w okno i nie chciał słyszeć Burra.

- Leonardzie, załatwiał kryzysy pojedynczo - upierał się zdławionym głosem. - Masz statek pełen broni, mniejsza z tym skąd pochodzącej, płynący do Kolumbii. Masz statek pełen narkotyków płynący do Europy. Masz złoczyńcę do złapania i agenta do uratowania. Weź się za swoje sprawy. Nie pozwól sobie na odwrócenie uwagi. To był mój błąd. Darker... lista inwestorów... łącznicy z City... wielkie banki... wielkie instytucje finansowe... znowu Darker... puryści... nie pozwól, żeby to wszystko odwróciło twoją uwagę - nigdy nie osiągniesz celu, nigdy nie dadzą ci się złapać, zwariujesz. Trzymaj się tego, co możliwe. Wydarzeń. Faktów. Załatwiał kryzysy pojedynczo. Czy już nie widziałem tego samochodu?

- Jest godzina szczytu, Rex - powiedział łagodnie Burr. - Widziałeś je już wszystkie. - I dodał równie łagodnie, jakby pocieszał przegranego: - Mój chłopiec dopiął swego, Rex. Dokonał rzeczy niemożliwej. Mamy nazwy i numery statków, kontenerów, adresy magazynów w Colón, numery listów przewozowych, nawet kartonów, w których umieścili narkotyki. - Poklepał się po kieszeni na piersiach. - Nie przekazałem tego, żywa dusza o tym nie słyszała. Nawet Strelski. Tylko Rooke, ja, ty i mój chłopak. Tylko my wiemy. To nie operacja „Okręt Flagowy”. To wciąż operacja „Pijawka”.

- Zabrali moje akta - powiedział Goodhew, nadal nie słysząc. - Trzymałem je w sejfie w swoim pokoju. Znikły.

Burr spojrział na zegarek. Golenie w biurze. Nie ma czasu na jazdę do domu.

Burr zgłasza się po spłaty długów wdzięczności. Pieszko. Obchodzi złoty trójkąt tajnego nadświata Londynu - Whitehall, Westminster, Victoria Street. W granatowym płaszczu przeciwdeszczowym pożyczonym od stróża i cienkim jak papier brązowym garniturku, który wygląda, jakby właściciel nie zdejmował go do spania, co odpowiada rzeczywistości.

Debbie Mullen jest starą przyjaciółką z czasów Burra w Domu za Rzeką. Chodzili do tej samej szkoły podstawowej i triumfowali na tych samych egzaminach. Urzęduje w pokoju pół piętra niżej za niebieskimi stalowymi drzwiami z napisem NIE WCHODZIĆ. Za szklanymi ścianami Burr widzi urzędników obojga płci wpatrzonych w monitory i mówiących do telefonów.

- No, popatrzcie, kto to był na wywczasach - mówi Debbie, zerkając na jego garnitur. - Co się dzieje, Leonardzie? Słyszeliśmy, że zabierają ci twój mosiężny szyld i odsyłają cię z powrotem na tę stronę Tamizy.

- Kontenerowiec o nazwie „Horacio Enriques”, Debbie, zarejestrowany w Panamie - mówi Burr, dobitnie podkreślając swój rodzimy akcent z Yorkshire, aby wzmocnić więź między nimi. - Czterdzieści osiem godzin temu stał w strefie wolnocłowej Colón, kieruje się do Gdańska w Polsce. W mojej ocenie jest już na wodach międzynarodowych, płynie w kierunku Atlantyku. Z naszych informacji wynika, że wiezie podejrzany ładunek. Chcę, żeby został poddany monitoringowi lotniczemu i radiowemu, ale nie chcę, żebyś wydała nakaz. - Posyła jej swój dobry stary uśmiech. - Widzisz, Debbie, mam takie swoje źródło informacji. Superdelikatna sprawa. Superściśle tajna. Wszystko to musi być nieoficjalne. Możesz zachować się jak kumpel i zrobić to dla mnie?

Debbie Mullen ma śliczną buzię i zwyczaj dotykania zębów kłykiem palca wskazującego prawej ręki, kiedy się zastanawia. Być może robi to, aby ukryć swoje uczucia, ale nie potrafi ukryć wyrazu oczu. Najpierw otwierają się trochę za szeroko, a potem skupiają na górnym guziku obrzydliwej marynarki Burra.

- „Enrico” jaki, Leonardzie?

- „Horacio Enriques”, Debbie. Mniejsza z tym, kto to był. Statek

jest zarejestrowany w Panamie.

- Wydawało mi się, że tak mówiłeś. - Odrywa spojrzenie od marynarki i zanurza dłoń w stosie teczek z czerwonym paskiem, aż znajduje tę, której szuka, i podaje mu ją. Jest w niej jedna kartka niebieskiego papieru oznaczona tłoczeniami, herbem i ma stosowną ministerialną wagę. Jest opisana u góry „Horacio Enriques” i zawiera jeden akapit dużego druku:

Wyżej wymieniona jednostka, wchodząca w skład bardzo delikatnej operacji, może zostać przez Was zauważona, gdy zmieni kurs bez widocznej przyczyny lub wykona inne nieuzasadnione manewry na morzu lub w porcie. Wszystkie informacje, które otrzyma Wasza sekcja ze źródeł jawnych lub tajnych, odnoszące się do czynności wzmiankowanej jednostki, należy przekazać WYŁĄCZNIE I NIEWŁOČZNIE do Grupy Zaopatrzenia Niebezpośredniego, Dom za Rzeką.

Dokument jest opatrzony pieczęciami ŚCIŚLE TAJNE, OKRĘT FLAGOWY, GWARDIA. Burr oddaje teczkę Debbie Mullen i uśmiecha się smętnie.

- Wygląda na to, że zaszło pewne nieporozumienie - wyznaje. - Ale i tak w końcu wszystko wpadnie do tej samej kieszeni. Jak już przy tym jestem, masz coś o „Lombardy”, Debbie, też pływającej po tych samych wodach, najprawdopodobniej na drugim końcu Kanału? - Jej spojrzenie wraca do jego twarzy i tam się zatrzymuje.

- Jesteś Marynarzem, Leonardzie?

- A co byś zrobiła, gdybym powiedział „tak”?

- Zatelefonowałam do Geoffa Darkera i dowiedziałabym się, czy opowiesz bzdury, no nie?

Burr naprawdę wyłazi ze skóry, aby być miły.

- Znasz mnie, Debbie. W życiu nie udało mi się skłamać. A co wiesz o luksusowym jachcie o nazwie „Iron Pasha”? Własność angielskiego dżentelmena, wypłynął cztery dni temu z Antigui w kierunku zachodnim. Czy ktoś w ogóle prowadzi jego monitoring? Potrzebuję tego, Debbie. Jestem w rozpaczliwej sytuacji.

- Powiedziałeś mi to raz, Leonardzie, i ja też byłam w rozpaczliwej sytuacji, więc ci pomogłam. Wtedy nie wyrządziło to krzywdy żadnemu z nas, ale teraz sytuacja jest inna. Albo zadzwonię do Geoffreya, albo odejdziesz. Możesz wybierać.

Debbie nadal się uśmiecha. Burr też. Uśmiecha się wciąż, gdy idzie do końca ścieżki między urzędnikami i wychodzi na ulicę.

Londyńska wilgoć uderza go jak ospały cios i samokontrola ustępuje miejsca wściekłości.

Trzy jednostki. Każda, cholera, płynie w innym kierunku! Mój agent, moja broń, moje narkotyki, moja sprawa - a mnie wara od tego wszystkiego!

Ale zanim dotrze do wyniosłego biura Denhama, z powrotem przybiera srogą minę, którą Denham lubi u niego najbardziej.

Denham był prawnikiem i doradcą prawnym Grupy Zaopatrzenia Niebezpośredniego, zanim Darker uczynił z niej swoje dominium. Był pośrednikiem i przeciwieństwem Harry'ego Palfreya. Gdy Burr wszczął swoją krwawą batalię przeciwko działaniom nielegalnym, Denham popychał go do boju, wynosił rannego z pola walki i znowu wysyłał do bitwy. Gdy Darker z powodzeniem przeprowadził swój pucz i Palfrey podreptał za zwycięzcą, Denham włożył kapelusz i spokojnie przemaszerował na drugą stronę Tamizy. Ale pozostał orędownikiem Burra. Jeśli Burr miał kiedykolwiek jakiegoś sojusznika wśród władców Whitehall, to był nim Denham.

- Och, cześć, Leonardzie. Cieszę się, że zadzwoniłeś. Zamarzełeś? Obawiam się, że nie zapewniamy koców. Czasem mi się wydaje, że powinniśmy.

Denham grał fircyka. Był mizerny i tajemniczy, nosił gęstą chłopięcą czuprynę siwiejących włosów, wkładał dwukolorowe koszule pod koszmarne kamizelki i garnitury w szerokie paski. Ale w głębi duszy, jak Goodhew, był człowiekiem wstrzemięźliwym. Jego ranga pozwalała mu na olśniewający gabinet, tymczasem zajmował wysokie pomieszczenie z pięknymi gzymsami i porządnym umeblowaniem, ale przypominające klasę szkolną, a czerwony celofan pokryty grubym kurzem zasłaniał palenisko rzeźbionego kominka. Kartka bożonarodzeniowa sprzed jedenastu miesięcy pokazywała zaśnieżoną katedrę w Norwich.

- Poznaliśmy się. Guy Eccles - rzekł tegi mężczyzna z wystającą szczęką siedzący przy umieszczonym pośrodku stole, zajęty lekturą telegramów.

Poznaliśmy się - pomyślał Burr, odpowiadając kiwnięciem głowy. Jesteś Eccles z Łączności i nigdy za tobą nie przepadałem. Grasz w golfa i jeździsz jaguarem. Co ty, do diabła, robisz, wpychając się na moje umówione spotkanie?

Usiadł. Właściwie nikt mu tego nie zaproponował. Denham usiłował odkręcić kaloryfer pamiętający wojnę krymską, ale albo pokrętko zardzewiało, albo kręcił w odwrotnym kierunku.

- Przejdę od razu do rzeczy, Nicky, jeśli pozwolisz - powiedział Burr, świadomie ignorując Ecclesa. - Czas działa przeciwko mnie.

- Jeśli to chodzi o tę sprawę z „Pijawką”, Guy mógłby się bardzo przydać - powiedział Denham, porzucając walkę z pokrętem. Przyśiadł na krawędzi fotela. Zdawał się mieć opory przed zajęciem miejsca za biurkiem. - Guy od miesiący skacze do Panamy i z powrotem. Prawda, Guy?

- Po co? - spytał Burr.

- Turystycznie - odrzekł Eccles.

- Chcę nakazu aresztowania, Nicky. Chcę, żebyś poruszył niebo i ziemię. Po to jesteśmy w tym interesie, pamiętasz? Siedzieliśmy nocami, obgadując ten moment.

- Tak. Tak, zgadza się - rzekł Denham, jakby Burr przedstawił niezbity argument.

Eccles uśmiechał się do czegoś, co czytał w telegramie. Miał trzy tacki. Z pierwszej brał telegramy, które po przeczytaniu rzucał na jedną z pozostałych. Wyglądało na to, że takie ma dzisiaj zajęcie.

- Chodzi jednak o to, czy to w ogóle możliwe, prawda? - spytał Denham. Nadal siedział na brzegu fotela. Wyciągnął przed siebie długie nogi, długie ręce wbił w kieszenie.

- O to samo chodzi w moim memorandum. O to samo chodzi w opinii prawnej, którą Goodhew przedłoży rządowi, jeśli mu się to kiedyś uda. Tam gdzie jest chęć... pamiętasz, Nicky? Nie będziemy się ukrywać za argumentami... pamiętasz? Zgromadzimy przy stole wszystkie zainteresowane państwa. Postawimy się. Niech spróbują powiedzieć „nie”. Międzynarodowa wolnoamerykanka, tak to nazywałeś. Obaj tak to nazywaliśmy.

Denham podskoczył do ściany za biurkiem i pociągnął za sznur rozsuwający fałdy ciężkiej aksamitnej kurtyny. Ukazała się pokryta przezroczystą folią duża mapa Ameryki Środkowej.

- Myśleliśmy o tobie, Leonardzie - rzekł figlarnie.

- Mnie chodzi o działanie, Nicky. Sam wystarczająco dużo o sobie myślę.

Obok portu Colón przed sześcioma szarymi stateczkami był przypięty jeden czerwony. Od południowego krańca Kanału rozchodziły się ewentualne kursy na wschód i zachód Zatoki Panamskiej, oznaczone różnymi kolorami.

- Nie spoczywaliśmy na laurach, podczas gdy ty tak ciężko pracowałeś, zapewniam cię. Więc statek wypłynął. „Lombardy”, zawalony bronią. Mamy nadzieję. Bo jak nie, to jesteśmy w najbardziej przerażającym gównie z możliwych, ale to już inna historia.

- Czy to jego ostatnia znana pozycja? - spytał Burr.
- Och, tak sędzę - powiedział Denham.
- Na pewno ostatnia, którą my znamy - rzeki Eccles, opuszczając zielony telegram na środkową tackę. Mówił scotsem. Burr zapomniał o tym. Teraz sobie przypomniał. Jeśli jakakolwiek odmiana angielskiego drażniła mu ucho jak zgrzyt paznokci po tablicy, to z pewnością był nią scots.

- Młyny amerykańskich kuzynów miały ostatnio niezwykle wolno - zauważył Eccles, wsysając powietrze przez przednie zęby. - To ta Vandon, Bar-ba-ra. Wszystko musi dostawać w trzech egzemplarzach. - Wessał powietrze po raz drugi na znak potępienia.

Ale Burr nadal kierował swoje wypowiedzi tylko do Denhama, z obawy, że straci panowanie nad sobą.

- To są dwie osobne rzeczy, Nicky. „Pijawka” i reszta. Kuzyni sprowadzili amerykańską agencję ochrony na manowce.

- Ameryka Środkowa - odezwał się Eccles, nie podnosząc głowy - to folwark kuzynów. Kuzyni obserwują i słuchają, my korzystamy z profitów. Nie ma sensu szcuć dwóch psów za jedną łanią. To nieefektywne. Absolutnie. Nie w dzisiejszych czasach. - Cisnął telegram na tackę. - To naprawdę wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Denham zaczął mówić, zanim Eccles skończył. Wydawało się, że zależy mu na jak najszybszym wyrzuceniu z siebie tych słów:

- Więc przyjmijmy, że statek jest tam, gdzie go ostatni raz widziano - zaproponował entuzjastycznie, dziobiąc w rufę „Lombardy” patykowatym palcem. - Faktycznie ma kolumbijską załogę - to jeszcze niepotwierdzone, ale założmy, że tak jest - płynie w kierunku Kanału i Buenaventury. Wszystko dokładnie tak, jak przekazało twoje źródło informacji. Brawo dla niego czy dla niej, kimkolwiek jest. Jeśli sprawy potoczą się normalnym trybem, a można przyjąć, że „Lombardy” chce sprawiać całkowicie zwyczajne wrażenie, dopłynie do Kanału dzisiaj. Zgadza się?

Nikt nie odpowiedział: „Zgadza się”.

- W Kanale jest ruch jednokierunkowy. Przed południem w kierunku Panamy, po południu w stronę Colón. A może odwrotnie?

Weszła wysoka dziewczyna o długich kasztanowych włosach. Nie odzywając się słowem do nikogo, podwinęła spódnicę i siadła sztywno przed komputerem, jakby zabierała się do grania na harfie.

- Różnie to bywa - powiedział Eccles.

- Podejrzewam, że może w każdej chwili spierdzielić do Caracas - kontynuował Denham, nadal popychając „Lombardy” palcem do Kanału. - Przepraszam, Priscillo. Albo na północ do Kostaryki czy

dokądkolwiek indziej. Albo w dół, tędy i do Kolumbii od strony zachodniej, byle tylko kartele mogły zagwarantować bezpieczny port. One potrafią zagwarantować wiele rzeczy. Ale my nadal liczymy się z tym, że to będzie Buenaventura, bo tak nam powiedziałeś. Stąd kreski na mojej ślicznej mapie.

- W Buenaventura czeka na nią sznur wojskowych ciężarówek - powiedział Burr.

- Niepotwierdzone - wtrącił Eccles.

- Owszem, do cholery, potwierdzone - odparł Burr, nie podnosząc głosu ani o ton. - Dostaliśmy tę informację od nieżyjącego informatora Strelskiego via Moranti plus niezależne poświadczenie w postaci zdjęć satelitarnych przedstawiających jadące ciężarowi.

- Ciężarówki jeżdżą tą drogą tam i nazad przez cały czas - powiedział Eccles. Wyprostował obie ręce nad głową, jakby obecność Burra odbierała mu energię. - W każdym razie informator Strelskiego jest zdyskredytowany. Poważna szkoła myślowa głosi, że od początku był to worek gówna. Wszyscy ci kapusie zmyślają. Są przekonani, że to im zapewni większą obniżkę kary.

- Nicky - powiedział do pleców Denhama Burr. Denham pchał „Lombardy” do Zatoki Panamskiej.

- Leonardzie...

- Robimy abordaż? Wchodzimy na pokład?

- My, czyli Amerykanie?

- To bez znaczenia. Tak czy nie?

Kręcąc głową nad uporem Burra, Eccles ostentacyjnie złożył kolejny telegram na tackę. Dziewczyna przy komputerze wcześniej odgarnęła włosy za uszy i teraz uderzała w klawiaturę. Burr nie widział ekranu. Wystawiła koniuszek języka między zębami.

- Tak, no cóż, na tym polega to gówno, rozumiesz, Leonardzie - powiedział Denham, znów tryskając entuzjazmem. - Przepraszam, Priscillo. Dla Amerykanów, dzięki Bogu, nie dla nas. Jeśli „Lombardy” płynie przy brzegu - ramię w marynarce w paski wykonało łuk jak na kręgielni, aż dotknęło kursu, który był odbiciem falistej linii brzegowej między Zatoką Panamską a Buenaventurą - to o ile nam się wydaje, Amerykanie mogą jej naskoczyć. Przepłynie bezpośrednio z terytorialnych wód Panamy na wody terytorialne Kolumbii, rozumiesz, i biedni kochani Amerykanie nie będą mieli okazji na nią kuknąć.

- Czemu nie aresztować jej na wodach panamskich? Amerykanie siedzą w całej Panamie. Są właścicielami tego cholernego kraiku albo tak im się przynajmniej wydaje.

- Obawiam się, że jest wręcz przeciwnie. Jeśliby chcieli wdrzeć się na „Lombardy”, plując ogniem z coltów, musieliby podpłynąć za Marynarką Wojenną Panamy. Nie śmieję się.

- To Eccles się śmiał, nie ja.

- I żeby włączyć w to Panamczyków, muszą udowodnić, że „Lombardy” popełnił przestępstwo w myśl prawa panamskiego. Nie popełnił. Płynie tranzytem z Curaçao do Kolumbii.

- Ale jest wypchany, cholera, nielegalną bronią!

- Tak ty twierdzisz. Czy też twoje źródło informacji. I oczywiście wszyscy modlimy się żarliwie, żebyś miał rację. A raczej on lub ona. Ale „Lombardy” nie zagraża w niczym Panamczykom i tak się składa, że jest zarejestrowana w Panamie. A Panamczycy za skarby świata nie będą chcieli zademonstrować, że zapewniają tanią banderę, a potem zapraszają Amerykanów, żeby ją zdarli. Prawdę mówiąc, teraz strasznie trudno przekonać Panamczyków, żeby zrobili cokolwiek. Obawiam się, że cierpią na postnoriegalne obniżenie nastroju. Przepraszam, Priscillo. Przy czym jest to nie tyle obniżenie nastroju, co raczej ślepa nienawiść. Leczenie głęboko zranionej dumy narodowej.

Burr stał. Eccles przypatrywał mu się zaniepokojony z wyrazem twarzy policjanta, który dostrzegł zarzewie kłopotów. Denham musiał usłyszeć, że Burr wstaje, ale udał, że zajmuje się mapą. Priscilla przestała stukać w klawisze.

- Dobra, trzeba na niego wejść na wodach kolumbijskich! - niemal krzyczał Burr, stukając palcem w wybrzeże na północ od Buenaventury. - Nacisnąć rząd Kolumbii. Pomagamy im; uprzątnąć własne podwórko, pozbyć się przekleństwa karteli kokainowych, prawda? Rozwalamy za nich laboratoria rafinujące narkotyki. - Głos trochę mu się załamał. A może bardzo się załamał, ale do Burra docierało niewiele. - Kolumbijski rząd nie będzie zbyt uradowany widokiem broni, która ma zaopatrzyć nową armię karteli wpływającej do Buenaventury. Na litość boską, czy zapomnieliśmy o wszystkim, o czym rozmawialiśmy, Nicky? Czy wczoraj zarządzono utworzenie jakiegoś ściśle tajnego obszaru? Powiedz mi, że w tym gdzieś jest jakaś logika.

- Jeśli sądzisz, że możesz oddzielić rząd kolumbijski od karteli, to nie wiesz, gdzie żyjesz - odparł Denham z większą ostrością, niż można by go o to podejrzewać. - Jeśli mówisz, że można oddzielić przemysł narkotykowy od gospodarek Ameryki Łacińskiej, to bredzisz.

- Pierdolisz - poprawił go Eccles i nie przeprosił Priscilli.

- Tam wielu ludzi uważa uprawę koki za podwójne błogosławieństwo od Boga - rozpoczął pean samousprawiedliwienia Denham. - Nie tylko Wuj Sam samodzielnie podejmuje decyzję, żeby się zatruwać kokainą, lecz jeszcze jest ona źródłem bogactwa uciskanych Latynosów! Cóż może być jeszcze bardziej radosnego? Naturalnie Kolumbijczycy okażą się niestłuchanie chętni do współpracy z Wujem Samem w takim przedsięwzięciu. Ale może nie zdążą zablokować wyładunku. Należy się obawiać, że taka akcja będzie wymagać wielotygodniowych zabiegów dyplomatycznych, że wiele osób decyzyjnych okaże się przebywać na urlopie. I zażądają gwarancji zwrotu kosztów za ściągnięcie statku do portu. Trzeba będzie opłacić całe to wyładowywanie, nadgodziny, pracę w godzinach nocnych. - Siła jego kazania budziła spokój. Niełatwo jednocześnie wybuchać i słuchać. - I naturalnie będą chcieli odszkodowania, w razie gdyby „Lombardy” okazał się czysty. A jeśli nie okaże się czysty, w co oczywiście wierzę, to wybuchną niewyobrażalne kłótnie co do tego, komu przypadnie broń, gdy już ulegnie konfiskacie. I kto ma ją magazynować i odsprzedać kartelom, gdy cała wrzawa ucichnie. I kto tymczasem ma pójść do jakiego więzienia, na jak długo i z iloma dziwkami, które będą go pocieszać. I ilu bandziorów wpuści się z nim za kratki, żeby go strzegli, ile numerów telefonicznych dostanie, żeby prowadzić interesy, nakazywać skrytobójstwa i rozmawiać z dyrektorami swoich pięćdziesięciu banków. I kto zostanie opłacony, kiedy on uzna, że już dosyć odsiedział, co nastąpi po jakichś sześciu tygodniach. I kto zostanie zdegradowany, kto dostanie awans, a kto medal za męstwo, kiedy on ucieknie. Tymczasem takim czy innym sposobem twoja broń wyląduje bezpiecznie w rękach facetów, którzy przeszli instruktaż, jak jej używać. Witajcie w Kolumbii!

Burr znalazł w sobie resztki samokontroli. Był w Londynie. Na terenie mocarstwa robiącego dobrą minę do złej gry. Stał w uświęconej kwaterze głównej. Do samego końca nie wspominał o najbardziej oczywistym rozwiązaniu, być może dlatego, że wiedział, iż w tym świecie, w którym żyje Denham, najbardziej oczywiste rozwiązania są najrzadziej brane pod rozwagę.

- A więc dobra. - Grzbietem dłoni stuknął w środek Panamy. - Złapmy „Lombardy”, kiedy będzie płynął przez Kanał. Kanałem rządzą Amerykanie. Oni go zbudowali. A może mamy jeszcze jeden dobry powód, żeby siedzieć na dupie i nie kiwnąć palcem?

Denham okazał święte oburzenie.

- Och, mój drogi! Pogwałcilibyśmy najświętszy artykuł Traktatu

Kanału Panamskiego. Nikt, ani Amerykanie, ani nawet Panamczycy, nie ma prawa przeszukiwać statków. Nie można tego zrobić, dopóki się nie udowodni, że dana jednostka przedstawia fizyczne zagrożenie dla bezpieczeństwa Kanału. Podejrzewam, że gdyby była pełna bomb grożących wybuchem, miałbyś szansę wszcząć postępowanie. To musiałyby być stare bomby, nie nowe. Jeśli mógłbyś udowodnić, że faktycznie grożą eksplozją. Musiałbyś być tego pewien na sto dwa. Jeśli są właściwie zapakowane, jesteś bez szans. Potrafiłbyś to udowodnić? To zresztą i tak wyłączna sprawa Amerykanów. My, dzięki Bogu, ograniczamy się do obserwacji. Trochę naciskamy, kiedy jest to przydatne. Nie odbieramy im chwały, kiedy nie trzeba. Prawdopodobnie jeśliby nas poprosili, przesłalibyśmy Panamczykowi *démarche*. Współ z Amerykanami, rzecz jasna. Dołożylibyśmy kuksańca do ich kopniaka. Może gdyby Amerykanie wykręcili nam rękę, postawilibyśmy się Kolumbijczykom. W tym momencie nie mielibyśmy wiele do stracenia.

- Kiedy?
- Co „kiedy”?
- Kiedy spróbujecie zmobilizować Panamczyków?
- Może jutro. Może pojutrze. - Zerknął na zegarek. - Który jest dzisiaj? - Wydawało się, że woli nie wiedzieć. - Zależy, jak bardzo zajęci są ambasadorowie. Priscillo, zapomniałem, kiedy przypada karnawał? To jest Priscilla. Przepraszam, że nie przedstawiłem.

Stukając lekko w klawiaturę, Priscilla powiedziała:

- Jeszcze całe wieki.

Eccles zajął się kolejnymi telegramami.

- Przecież przeszedłeś przez to wszystko, Nicky! - Burr po raz ostatni apelował do znanego mu Denhama. - Co się zmieniło? Komisja Koordynacyjna odbyła masę narad poświęconych taktyce! Każdy cholerny rozwój wypadków miałeś opracowany na trzy sposoby! Pamiętasz? Widziałem harmonogramy. Ty i Goodhew ustaliliście to wszystko z Amerykanami. Plan A, plan B. Co się stało z tą całą pracą?

Denham był nieporuszony.

- Bardzo trudno negocjować hipotezę, Leonardzie. Szczególnie z Latynosem. Powinieneś sięść za moim biurkiem na kilka tygodni. Musisz mu przedstawić fakty. Latynos ani drgnie, dopóki nie zobaczy faktów.

- I nie drgnie, kiedy zobaczy - rzucił pod nosem Eccles.
- Zwróć uwagę - podjął zachęcająco Denham - że z tego wszystkiego, co się słyszy, kuzyni starają się jak mogą, żeby to wyszło. Te nasze mizerne wysiłki są psu na budę. I oczywiście Kochana Katie da

z siebie wszystko w Waszyngtonie.

- Katie jest fantastyczna - wtrącił Eccles.

Burr podjął ostatnią, koszmarne chybioną próbę. Popędliwość była wadą, nad którą czasem nie potrafił zapanować. Jak zwykle pożałował, że otworzył usta, gdy tylko to zrobił.

- A co z „Horacio Enriquesem”? - spytał podniesionym głosem. - To doprawdy drobiazg, Nicky, ale ten statek płynie do Polski i ma na pokładzie tyle kokainy, że cała Europa Wschodnia będzie naćpana po uszy przez pół roku.

- Obawiam się, że to nie ta półkula - powiedział Denham. - Spróbuj w Wydziale Północnym, piętro niżej. Albo w Urzędzie Celnym.

- Skąd masz pewność, że to ten statek? - spytał Eccles, znowu się uśmiechając.

- Z doniesień źródła informacji.

- Ten statek wiezie na pokładzie tysiąc dwieście kontenerów. Zamierzasz zaglądać do wszystkich?

- Znam numery - odparł Burr, nie wierząc we własne słowa.

- Chcesz powiedzieć, że twój informator je zna.

- To chcę powiedzieć.

- Zna numery kontenerów?

- Tak.

- No, to moje uznanie.

Burr aż do drzwi wejściowych przeklinał cały ludzki ród. Woźny podał mu list. Pochodził od innego starego przyjaciela, tym razem pracującego w Ministerstwie Obrony. Stary przyjaciel przekazywał wyrazy żalu. Z powodu nieprzewidzianego kryzysu nie może jednak stawić się w południe na obiecanie spotkanie.

* * *

Mijając drzwi Rooke'a, Burr poczuł zapach wody po goleniu. Rooke siedział sztywno wyprostowany za biurkiem, nieskazitelnie przebrany po podróży, czystą chusteczkę do nosa miał w rękawie, aktualny „Telegraph” leżał na tacce z bieżącymi pismami. Rooke mógłby wcale nie wyjeżdżać z Tonbridge.

- Telefonowałem do Strelskiego przed pięcioma minutami. Odrzutowca Ropera nadal nie ma - powiedział, zanim Burr zdążył zapytać. - Nadzór lotniczy przedstawił jakąś podejrzaną historię o radarowej czarnej dziurze. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to kit.

- Wszystko poszło tak, jak planowali - powiedział Burr. - Narkotyki, broń, pieniądze, wszystko zmierza ślicznie do miejsca

przeznaczenia. To sztuka osiągnięcia niemożliwego doprowadzona do perfekcji, Rob. Wszystkie słuszne pociągnięcia są nielegalne. Wszystkie podłości są jedyną logiczną drogą. Niech żyje Whitehall!

Rooke podpisał jakiś papier.

- Goodhew chce na dzisiaj podsumowania „Pijawki”. Trzy tysiące słów. Bez przymiotników.

- Gdzie oni go zabrali, Rob? Co mu teraz robią? Kiedy my tu siedzimy, martwiąc się o przymiotniki?

Z piórem w ręce Rooke nadal analizował leżące przed nim papiery.

- Ten twój Bradshaw fałszował rachunki - rzekł tonem członka klubu potępiającego kolegę. - Okradał Ropera, robiąc dla niego zakupy.

Burr zerknął Rooke'owi przez ramię. Na biurku leżała lista brytyjskiego i amerykańskiego uzbrojenia, nielegalnie nabywanego przez sir Anthony'ego Joystona Bradshawa dla Ropera. A obok leżało duże powiększenie fotografii zrobionej przez Jonathana, pokazujące kartkę z Roperowej szalki na akta w Crystalu, z notowanymi ołówkiem liczbami. Różnica w wysokości kilkuset tysięcy dolarów świadczyła o ukrytej prowizji Bradshawa.

- Kto to widział? - spytał Burr.

- Ty i ja.

- I niech tak zostanie.

Burr wezwał sekretarkę i z gniewnym animuszem podyktował jej znakomite podsumowanie sprawy „Pijawki”, nie stosując przymiotników. Wydał polecenie, że ma być informowany o wszystkich wydarzeniach, wrócił do żony i kochali się, podczas gdy dzieci rozrabiały na dole. Potem bawił się z dziećmi, podczas gdy żona się krzątała. Wrócił do biura i w ustroniu gabinetu przeprowadził analizę liczb przedstawionych przez Rooke'a, po czym zażądał zestawu przejętych faksów i rozmów telefonicznych między Roperem i sir Anthonyem Joystonem Bradshawem z Newbury w Berkshire. Potem wyjął pokaźnych rozmiarów teczkę personalną Bradshawa z materiałami sięgającymi do lat sześćdziesiątych, gdy ten był jednym z wielu rekrutów nielegalnego handlu bronią, krupierem z doskoku, utrzymankiem bogatych starszych kobiet i nielubianym, ale gorliwym informatorem wywiadu brytyjskiego.

Na resztę nocy Burr został przy swoim biurku przed głuchymi telefonami. Tylko Goodhew trzykrotnie telefonował, pytając o wiadomości. Dwa razy Burr odpowiadał: „Nic”. Ale za trzecim razem odwrócił role:

- Ten twój Palfrey też jakby trochę przestał nadawać, no nie,

Rex?

- Leonardzie, to nie temat na telefon.

Ale raz przynajmniej Burr nie był zainteresowany subtelnościami zabezpieczenia źródła informacji.

- Powiedz mi coś. Czy Harry Palfrey nadal podpisuje nakazy Domu za Rzeką?

- Nakazy? Jakie nakazy? Chodzi ci o nakazy założenia podsłuchu, przeglądania korespondencji, instalowania mikrofonów? Nakaz musi być podpisany przez ministra, Leonardzie. Wiesz o tym bardzo dobrze.

Burr pohamował niecierpliwość.

- Chodzi mi o to, czy Palfrey nadal jest tam specem prawnym. Przygotowuje opinie prawne, pilnuje dyrektyw?

- To jeden z jego obowiązków.

- I od czasu do czasu podpisuje nakaz. Na przykład gdy minister spraw wewnętrznych utknie w korku. Albo gdy nastąpi koniec świata. W sytuacjach podbramkowych jest upoważniony do postępowania zgodnie z własnym zdaniem i później załatwia to z ministrem. Zgadza się? A może sprawy uległy zmianie?

- Leonardzie, czy ty szukasz po omacku?

- Możliwe.

- Sprawy nie uległy zmianie - odparł Goodhew tonem hamowanej rozpacz.

- Dobrze - powiedział Burr. - Cieszę się. Dziękuję, że mi powiedziałeś. - I wrócił do obfitego rejestru grzechów Joystona Bradshawa.

Nadzwyczajna narada Połączonej Komisji Koordynacyjnej w pełnym składzie została zwołana na dziesiątą trzydzieści następnego dnia, ale Goodhew przybył wcześniej, by się upewnić, że wszystko w podziemnej sali konferencyjnej jest przygotowane jak należy. Rozłożył kartki z porządkiem obrad i protokołem poprzedniej narady. Życie nauczyło go, że zlecenie tych spraw innym służy twojej zgubie.

Jak generał przed decydującą bitwą swojego życia Goodhew spał lekko i świt powitał z jasnym widzeniem swego celu. Był przekonany, że jego żołnierzy jest legion. Przeliczył ich, zabiegał o nich i dla zapewnienia wierności przedstawił każdemu kopię swojej rozprawy przeznaczonej dla Komisji, a zatytułowanej „Nowa epoka”, w której jakże udatnie zademonstrował, że Zjednoczone Królestwo jest rządzone bardziej tajnymi metodami, ma więcej praw pozwalających na dławienie przepływu informacji i więcej niezliczonych sposobów ukrywania spraw państwa przed jego obywatelami niż jakakolwiek inna demokracja zachodnia. Ostrzegł w notatce wprowadzającej do raportu Burra, że Komisja stoi przed klasyczną próbą zamachu na jego uprawnienia.

Pierwszą osobą, która zjawiała się w sali konferencyjnej po Goodhew, był jego mdły szkolny kolega Padstow, ten, któremu specjalnie zależało na tańczeniu z najpospolitszymi dziewczynami, aby natchnąć je pewnością siebie.

- Słuchaj, Rex, czy pamiętasz ten osobisty, ściśle tajny i nie wiem jeszcze jaki list, który mi posłałeś, mówiący, żebym strzegł swojej dupy, gdy ten twój Burr wyczyniał brewerie w Kornwalii? Był do mojej osobistej wiadomości. - Padstow jak zwykle wyrażał się jak bohater P.G. Wodehouse'a cierpiącego na niedowład twórczy.

- Oczywiście, że pamiętam, Stanleyu.

- No cóż, nie masz przypadkiem kopii? Bo zupełnie nie jestem w stanie go zlokalizować. Przysięgłbym, że wsadziłem do sejfu.

- O ile pamiętam, list był pisany odręcznie - odparł Goodhew.
- Ale jakoś nie wpadło ci do głowy rzucić go do koparki przed wysłaniem?

Ich konwersację przerwało pojawienie się dwóch zastępców sekretarzy z Urzędu Rady Ministrów. Jeden posłał Goodhew pokrzepiający uśmiech, drugi, Loaming, był zbyt zajęty oczyszczaniem siedziska fotela z kurzu. Robił to chusteczką do nosa. „Loaming to jeden z nich, ma jakąś teorię głoszącą, że na świecie powinna istnieć klasa ubogich; ludzie myślą, że on żartuje” - powiedział Palfrey. Po nich zjawili się szefowie wywiadu wojskowego i szczyh z Łączności i Obrony. Po nich z kolei przyszedł Merridew z Wydziału Półkuli Północnej MSZ. Towarzyszyła mu poważna kobieta nazwiskiem Dawn. Starannie zadbano o przeciek mówiący o nowej nominacji Goodhew. Niektórzy z przybyłych wymienili z nim uścisk dłoni. Inni rzucali pod nosem niezręczne słowa zachęty. Merridew, który był napastnikiem flankowym w Cambridge, gdy Goodhew był łącznikiem ataku w Oksfordzie, posunął się do tego, że poklepał go po ramieniu - na co Goodhew zawołał z udawanym bólem:

- Och, och, chyba złamałeś mi rękę, Tony!

Ale wymuszony śmiech zgasł jak nożem uciał, gdy pojawił się Geoffrey Darker i jego pokrzepiający zastępca Neal Marjoram.

„Oni kradną, Rex - powiedział Palfrey. - Kłamią... spiskują... Anglia jest dla nich za mała... Europa to bałkańska wieża Babel... Waszyngton jest ich jedynym Rzymem...”

Narada się rozpoczyna.

- Operacja „Pijawka”, panie ministrze - oświadcza Goodhew tak oficjalnie, jak tylko on potrafi. Jak zwykle pełni funkcję sekretarza, jego szef jest przewodniczącym z urzędu. - Obawiam się, że wypadaloby rozwiązać kilka naglących spraw. Chodzi o działania bieżące. Sytuacja jest nakreślona w podsumowaniu Burra. Wedle naszych informacji nic się nie zmieniło, w każdym razie taki stan mieliśmy jeszcze godzinę temu. Należałoby poza tym ustalić kompetencje zainteresowanych wydziałów.

Jego szef najwyraźniej zareagował oburzeniem i urazą.

- Gdzie, do diabła, jest Agencja Ochrony Porządku Publicznego?
- narzeka. - Bardzo dziwne, prawda? To sprawa Agencji, a nikogo od nich nie ma.
- Z przykrością stwierdzam, że Agencja Ochrony jest w dalszym ciągu podagencją, chociaż niektórzy z nas starali się o nadanie jej

wyższego i niezależnego statusu. Na posiedzenia Komisji wzywani są jedynie przedstawiciele instytucji zarejestrowanych i szefowie wydziałów.

- No cóż, wydaje mi się, że powinniśmy mieć tu tego twojego Burra. Kompletna głupota, jeśli nie możemy z nim pogadać, skoro jest szefem tego cyrku i zna wszystko od podszewki. No nie? Hm, no nie?
- Rozejrzął się.

Goodhew nie spodziewał się tak pomyślnego zbiegu okoliczności. Wie, że Burr siedzi w odległości pięciuset metrów.

- Jeśli takie jest pańskie zdanie, panie ministrze, to proszę zezwolić mi wezwać Leonarda Burra na naradę i potwierdzić wpis do protokołu mówiący o stworzeniu precedensu, na mocy którego agencje zależne zaangażowane w sprawy istotne dla pańskiej Komisji można traktować jako zarejestrowane już w trakcie procedury rejestracyjnej.

- Sprzeciw - warknął Darker. - Agencja Ochrony to nadal najsłabsze ogniwo łańcucha. Jak wpuścimy Burra, to skończy się tak, że będziemy tu mieli każdą śmiechu wartą agencję rządową. Każdy wie, że te małe komórki są pazerne. Rozdmuchują afery i brak im uprawnień, żeby je zamknąć. Wszyscy zapoznaliśmy się z analizą Burra. Większość z nas zna sprawę z innego punktu widzenia. Porządek obrad zakłada, że mamy omówić zarządzanie i kontrolę. Najmniej nam potrzeba, żeby przedmiot naszej dyskusji siedział tu i słuchał, co mamy do powiedzenia na jego temat.

- Ależ, Geoffreju, to ty jesteś nieustannie przedmiotem naszej dyskusji - rzuca lekko Goodhew.

Minister rzuca pod nosem coś w rodzaju: „Och, w porządku, niech na razie zostanie, jak jest” i pierwsza runda kończy się remisem. Obaj protagoniści zainkasowali równą liczbę ciosów.

Gdy szefowie wywiadów lotnictwa i marynarki wojennej przez kilka minut opisują swoje sukcesy w śledzeniu „Horacia Enriquesa”, człowiek mógłby odnieść wrażenie, że słucha angielskiej muzyki kameralnej. Po złożeniu raportów z dumą puszczają w obieg powiększenia zdjęć.

- Wygląda mi na zupełnie zwyczajny tankowiec - mówi minister. Merridew, który nie cierpi szpiegokratów, przytakuje:

- I pewnie tak jest.

Ktoś kaszle. Skrzypi fotel. Goodhew słyszy nosowe rzenie na wyższej nucie, niż przewidywał. Ten znajomy odgłos oznacza wpływo-

wego brytyjskiego polityka sygnalizującego sprzeciw.

- Czemu to w ogóle spada nam na głowy, Rex? - chce wiedzieć minister. - Statek jest panamski. Płynie do Polski. Cargo z Curaçao. Odnoszę wrażenie, że to zupełnie nie nasza broszka. Każesz mi to dostarczyć na samą górę, pod numer dziesiąty na Downing Street. Pytam, dlaczego w ogóle tu siedzimy i się tym zajmujemy?

- Ironbrand to przedsiębiorstwo brytyjskie, panie ministrze.

- Nie, bynajmniej. Bahamskie. Bahamskie, no nie? - Niema scena, podczas której minister z manieryzmem typowym dla dużo starszego człowieka demonstracyjnie grzebie w podsumowaniu Burra. - Tak. Bahamskie. Tak tu jest napisane.

- Jego zarząd składa się z Brytyjczyków, ludzie popełniający przestępstwo to Brytyjczycy, materiał dowodowy przeciwko nim zebrała brytyjska agencja działająca pod egidą pańskiego ministerstwa.

- To przekażcie dowody Polakom i wszyscy możemy iść do domu - mówi bardzo zadowolony z siebie minister. - Moim zdaniem to wspaniały plan.

Darker uśmiecha się lodowato, podziwiając bystrość umysłu ministra, ale dodatkowo wykonuje bezprecedensowy krok i poprawia angielszczyznę Goodhew.

- Czy dałoby się użyć słowa „zeznania”, Rex? Zamiast „materiał dowodowy”? Zanim damy się ponieść retoryce?

- Nie ponosi mnie, Geoffreju, żadna retoryka, i nic, i nikt mnie nie poniesie - replikuje zbyt głośno Goodhew ku zażenowaniu jego popleczników. - A co do przekazania naszego materiału dowodowego Polakom, to Agencja Ochrony Porządku Publicznego zrobi to wedle swojego uznania i nie wcześniej, nim zapadną ustalenia, jak należy postąpić z Roperem i jego współnikami. Odpowiedzialność za przejęcie ładunku broni została już scedowana na Amerykanów. Nie proponuję scedowania reszty naszej odpowiedzialności na Polaków, dopóki nie otrzymam takich instrukcji od pana ministra. Mówimy tu o bogatym i dobrze zorganizowanym przestępczym konsorcjum w bardzo ubogim kraju. Przestępcy wybrali Gdańsk, bo sądzą, że będą tam mogli kontrolować władze. Jeśli mają rację, jest bez znaczenia, co powiemy polskiemu rządowi, ładunek i tak zostanie wyładowany i zdemaskujemy źródło informacji Burra, nie dostając nic w zamian poza tą przyjemnością, że ostrzeżemy Onslowa Ropera, iż jesteśmy na jego tropie.

- Może źródło informacji Burra już zostało zdemaskowane - sugeruje Darker.

- Zawsze istnieje taka możliwość, Geoffreyu. Agencja Ochrony ma wielu wrogów, również po drugiej stronie Tamizy.

Po raz pierwszy upiorny cień Jonathana pada na stół. Goodhew nie poznał osobiście Jonathana, ale wie wystarczająco dużo o wysiłkach Burra, by teraz czuć się za nie odpowiedzialny. I być może ta świadomość rozpala w nim oburzenie, bo kolejny raz na jego policzkach pojawia się zaskakujący rumieniec, gdy wraca do swojej sprawy, i jego głos brzmi trochę silniej niż zwykle.

- Według przyjętych zasad Komisji każda agencja, nawet najmniejsza, jest suwerenna w swojej sferze działania - mówi. - I każda agencja, nawet największa, jest zobowiązana do udzielania pomocy każdej innej agencji, nie naruszając jej praw i swobód. - W sprawie „Pijawki” - kontynuuje - ta zasada była nieustannie łamana przez Dom za Rzeką, który domagał się kontroli nad tą sprawą, utrzymując, że takiej kontroli nieustannie domaga się jego odpowiednik w Stanach Zjednoczonych...

Darker przerywa. Jego siłą jest to, że nie musi się rozpedzać. Umie zachować milczenie, pod którym płonie żywy ogień. Jego talent przechodzenia od obrony do natarcia, gdy wydaje się, że bitwa została nieodwołalnie przegrana, jest rozwinięty w najwyższym stopniu. A jego atak jest pierwszej wody i teraz właśnie to widać.

- Co rozumiesz przez „domaga się jego odpowiednik w Stanach Zjednoczonych”? - przerywa zjadliwie. - Kontrolę nad „Pijawką” Amerykanom zapewniliśmy! To ich operacja! Nie Domu za Rzeką. A dlaczego nie? Tu obowiązuje zasada analogii, Rex. Twoja własna pedantyczna zasada. Ty ją stworzyłeś! Teraz musisz się do niej stosować. Jeśli nasi amerykańscy kuzyni prowadzą operację „Pijawka” tam, tu powinien ją prowadzić Dom za Rzeką.

Zadawszy cios, opada na oparcie, czekając na sposobność zadania kolejnego. Marjoram czeka wraz z nim. I chociaż Goodhew udaje, że nic nie usłyszał, zajadła napaść Darkera naruszyła jego linie obronne. Zerka na Merridew, dobrego współnika, licząc, że ten coś powie. Merridew milczy. Goodhew odpiera atak, ale popełnia fatalny błąd. Odchodzi od ustalonego wcześniej planu i improwizuje.

- Lecz gdy zwracamy się do C z y s t e g o W y w i a d u - mówi, nadużywając ironicznego nacisku - by wyjaśnić nam, dla czego sprawę „Pijawki” należy odebrać Agencji Ochrony - rozgląda się gniewnie i widzi udawane znużenie swojego pana, który wpatruje się w białą ścianę - mówi się nam, żebyśmy zachowali tajemnicę. Słyszymy o „Okręcie Flagowym”, operacji tak tajnej, o zdawałoby się tak szerokim zasięgu, że może się dopuścić niemal każdego aktu

wandalizmu w kalendarzu służby cywilnej. Słyszymy o „geopolityce”! Słyszymy o... - Wydaje się, że chciałby uciec od rytmu swojej własnej retoryki, ale jest jak wystrzelony pocisk, który nie może już zawrócić. Jak Darker śmie tak na niego patrzeć? Ten uśmieszek Marjorama! Ci bandyci! - Słyszymy o „normalizacji”! O „reakcji łańcuchowej zbyt zawikłanej, żeby dała się opisać”! To „interesy, których nie można wyjawić”! - Słyszy drzenie swojego głosu, ale nie potrafi zamilknąć. Przypomina sobie, jak nalegał na Burra, żeby nie myślał takimi właśnie schematami. Ale jest bezradny. - I mówi się nam o jakiejś „szerszej perspektywie”, której nie potrafimy dostrzec, bo jesteśmy zbyt „maluczcy”. Innymi słowy, Czysty Wywiad musi połknąć „Pijawkę” albo niech wszystko szlag trafi! - Szumi mu w uszach, przed oczami zrobiło mu się czarno i musi przeczekać chwilę, zanim uspokoi oddech.

- W porządku, Rex - mówi jego szef. - Miło się przekonać, że jesteś w formie. Teraz do rzeczy. Geoffrey, przysłałeś mi notatkę. Twierdzisz, że ta cała sprawa z „Pijawką”, tak jak ją przedstawia Agencja Ochrony, to stek bzdur. Dlaczego?

- Dlaczego nie przekazano mi kopii tej notatki? - pyta nierozważnie Goodhew.

- „Okręt Flagowy” - przerywa głuchą ciszę Marjoram. - Nie masz przepustki na „Okręt Flagowy”, Rex.

Darker dorzuca dokładniejsze wyjaśnienie, które nie ma ulżyć bólowi Goodhew, lecz go zwiększyć:

- „Okręt Flagowy” to kryptonim amerykańskiego udziału w tym wszystkim, Rex. Żeby dopuścili nas do tej gry, musieliśmy się zgodzić na bardzo wąski krąg wtajemniczonych. Wybacz, ale tak to wygląda.

Głos zabiera Darker. Marjoram wręcza mu teczkę z aktami. Darker bierze ją, liże sztywny palec i przewraca kartkę. Darker ma wycucie czasu. Wie, kiedy oczy wszystkich są zwrócone na niego. Byłby świetnym kaznodzieją. Ma odpowiedni dar przeinaczania faktów, posturę i dziwnie wydatny tyłek.

- Czy pozwolił, że zadam ci kilka pytań, Rex?

- Śmiem twierdzić, że motto twojej agencji brzmi: tylko odpowiedzi są niebezpieczne, Geoffreyu - ripostuje Goodhew. Ale żartobliwy ton mu nie służy. Przez niego wychodzi na kłótlivego głupka.

- Czy ten sam informator, który powiedział Burrowi o narkoty-

kach, powiedział mu też o transporcie broni do Buenaventury?

- Tak.

- Czy ten sam informator rozpętał całą tę aferę? Doniósł o Ironbrand, wymianie narkotyków za broń, pomyśle całej transakcji?

- Ten informator nie żyje.

- Doprawdy? - Darker sprawiał wrażenie raczej zaciekawionego niż przejętego. - Więc to wszystko pochodziło od Apostolla, czy tak? Adwokat handlarzy narkotyków, który wygrywał jednych przeciwko drugim, żeby samemu wykupić się od więzienia?

- Ani myślę mówić o informatorach z nazwiska w taki sposób!

- Och, sądzę, że to zupełnie właściwe, skoro już nie żyją. Albo jeśli kłamią. Albo jedno i drugie.

Kolejna teatralna pauza, gdy Darker zastanawia się nad aktami wręczonymi przez Marjorama. Ci dwaj wykazują przedziwne podobieństwo.

- Czy więc to informator Burra przedłożył cały ten materiał, od którego włos się jeży, o domniemanym uczestnictwie pewnych brytyjskich instytucji finansowych w całej transakcji? - pyta Darker.

- Informator dostarczył te informacje i wiele innych. Uważam za niewłaściwą dalszą dyskusję o informatorach Burra - mówi Goodhew.

- O informatorach czy informatorze?

- Odmawiam dalszych odpowiedzi.

- Czy ten informator żyje?

- Bez komentarza. Żyje, tak.

- To on czy ona?

- Nie zamierzam uczestniczyć w tym przesłuchaniu. Panie ministrze, zgłaszam sprzeciw.

- Więc twierdzisz, że jeden informator lub informatorka doniósł o transakcji Burrowi, doniósł o narkotykach Burrowi, doniósł o broni Burrowi, o statkach, praniu pieniędzy i udziale brytyjskich finansistów. Tak?

- Pomijasz, jak podejrzewam celowo, że niemal na każdym kroku napływały równoległe informacje z licznych źródeł technicznych i wszystkie one potwierdziły materiały dostarczone przez informatora Burra. Niestety, odmówiono nam dostępu do większości informacji ze źródeł technicznych. Za chwilę zamierzam ustosunkować się formalnie do tej sprawy.

- „Nam” to znaczy Agencji Ochrony?

- W tym przypadku tak.

- Wiesz... kiedy się przekazuje wrażliwy materiał tym tak przez ciebie lubianym małym agencjom, nigdy nie wiadomo, czy jest on

zabezpieczony przed przeciekiem.

- A ja sądzę, że właśnie te małe agencje gwarantują dużo większe bezpieczeństwo niż ogromne agencje z wątpliwymi koneksjami!

Marjoram zastępuje Darkera, ale mógłby mówić dalej Darker, gdyż jego wzrok nie odrywa się od Goodhew, a głos Marjorama, chociaż bardziej jedwabisty, ma ten sam oskarżycielski ton.

- Niemniej zdarzały się przypadki, że nie było informacji równoległych - sugeruje Marjoram, posyłając wokół stołu niezwykle sympatyczny uśmiech. - Pojawiły się przypadki, gdy informator dostarczał raporty, że tak powiem, niepotwierdzone. Przekazywał sprawy, które w istocie były niesprawdzalne. Na zasadzie - macie, wiercie albo nie. I Burr wierzył. I ty też? Tak?

- Ponieważ ostatnio odmawialiście nam dostępu do tylu informacji równoległych, nauczyliśmy się obywać bez nich. Panie ministrze, czy to nie jest naturalne, że materiały dostarczane przez informatora nie są w całości weryfikowalne?

- Prawdę mówiąc, wszystko to wydaje mi się trochę akademickie - narzeka minister. - Możemy przejść do rzeczy, Geoffrey? Jeśli mam to przepchnąć do góry, będę musiał wiercić dziurę w brzuchu sekretarzowi stanu przed interpelacjami.

Marjoram uśmiecha się na znak zgody, ale nie zmienia taktyki na jotę.

- To dopiero informator, muszę powiedzieć, Rex. I to dopiero oszustwo, jeśli on wodzi cię za nos. Lub ona, przepraszam. Swoją drogą, gdybym ja miał doradzać premierowi, to nie jestem pewien, czy skorzystałbym z takiej okazji. Bezgraniczna wiara w agenta to znakomita rzecz podczas działań operacyjnych. Burr wykazywał jej trochę za dużo dawnymi czasy, kiedy pracował dla Domu za Rzeką. Musieliśmy go mitygować.

- Ten niewielki zasób wiedzy, jaki mam na temat informatora, przekonuje mnie całkowicie - odcina się Goodhew, tym bardziej się pogrążając. - Informator jest lojalny i osobiście poświęcił się ogromnie dla kraju. Lub poświęciła. Domagam się, aby go nadal słuchano i ufano dostarczonym przezeń informacjom.

Darker znowu przejmuje pałeczkę. Patrzy najpierw w twarz Goodhew, a potem na jego spoczywające na stole ręce. Ten zaś, coraz bardziej spięty, stwierdza z obrzydzeniem, że może Darker rozważy wyrwanie mu paznokci dla zabawy.

- No cóż, każdy uznałby to za dowód bezstronności - mówi Darker, zerkając na ministra, by się upewnić, że ten słyszał świadka, który sam się przyznał do winy. - Nie spotkałem tak grzmiącej deklaracji

ślepej miłości od czasu... - odwraca się do Marjorama - jakże było temu człowiekowi... temu zbiegłemu kryminaliście? Miał tyle nazwisk, że nie pomnę, które było właściwe.

- Pine - podsuwa Marjoram. - Jonathan Pine. Chyba nie miał drugiego imienia. Od miesiący jest za nim rozesłany międzynarodowy list gończy.

Znowu Darker:

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, Rex, że Burr słuchał tego Pine'a, co? Nie zrobisz nam tego. Nikt by nie dał mu się nabrać. Równie dobrze można by uwierzyć znajomemu pijaczkowi, kiedy mówi, że zabrakło mu na taksówkę.

Po raz pierwszy Marjoram i Darker uśmiechają się razem z lekką niewiarą na myśl, że ktoś tak bystry, jak drogi stary Goodhew, mógł popełnić tak horrendalną gafę.

Goodhew ma wrażenie, że jest sam w wielkim pustym holu, oczekując na jakąś odwiekaną publiczną egzekucję. Z daleka słyszy Darkera, który stara się go podeprzeć na duchu tłumaczeniem, iż w trakcie analizy działań operacyjnych, dokonywanej przez władze wyższe, służby wywiadowcze zachowują się całkowicie stereotypowo, zapewniając o wiarygodności swoich źródeł informacji.

- To znaczy, spójrzmy na to pod tym kątem, Rex... chciałbyś wiedzieć, czy Burr zdobył brylant czystej wody czy magazyn rupieci? Gdyby u Burra było krucho z informatorami, nie bardzo chciałbyś, nieprawdaż? Zapewne za jednym zamachem wybulił na gościa roczny budżet. - Zwraca się do ministra: - Oprócz innych talentów ten Pine prezentuje umiejętność fałszowania paszportów. Zgłosił się do nas półtora roku temu z opowieścią o ładunku wyrafinowanego uzbrojenia dla Irakijczyków. Sprawdziliśmy historyjkę, nie spodobała się nam i wskazaliśmy mu drzwi. Szczerze mówiąc, uznaliśmy, że może być trochę stuknięty. Kilka miesięcy temu wyskoczył w Nassau jako totumfacki Dicky'ego Ropera. Został tymczasowym guwernerem jego trudnego syna. W wolnych chwilach stara się upłynnić na bazarach wywiadu opowieści szkodzące Roperowi.

Zagłada do otwartej teczki, aby ani trochę nie odbiec od prawdy:

- Osiągnięcia podziwu godne. Morderstwo, wielokrotna kradzież, przemyt narkotyków i nielegalne posiadanie paszportów na różne nazwiska. Modlę się, żeby nie stanął przed sądem i nie powiedział, że zrobił to wszystko dla brytyjskiego wywiadu.

Palec wskazujący Marjorama pomaga, wskazuje zapis na dole

strony. Darker zauważa podkreślony ustęp i kiwnięciem głowy okazuje wdzięczność za przypomnienie.

- Tak, dotyczy go też ta dziwna historyjka. Pine w Kairze zetknął się z jakimś Freddie Hamidem, jednym z niesławnych braci Hamidów. Pine pracował w hotelu. Prawdopodobnie rozprawdzał narkotyki również dla Hamida. Nasz człowiek stamtąd, Ogilvey, powiada, że całkiem przekonująco przesłanki wskazują na to, że Pine zamordował kochankę Hamida. Chyba zatłukł ją na śmierć. Zabrał ją na weekend do Luksoru, a potem zabił w napadzie szału. - Darker wzruszył ramionami i zamknął teczkę. - Mówimy tu o człowieku, którego zachowanie dalece odbiega od normy, panie ministrze. Nie sądzę, żeby należało prosić premiera o autoryzowanie drastycznych działań opierając się na fabrykacjach Pine'a. Nie sądzę też, że pan powinien to robić.

Niektórzy patrzą na Goodhew, ale większość omija go wzrokiem, by nie czuł się zażenowany. Szczególnie współczuje mu Marjoram. Minister mówi, ale Goodhew jest zmęczony. Być może takie jest właśnie działanie zła - myśli Goodhew. Męczy cię.

- Rex, musisz bronić swojej pozycji w tej sprawie - kwęka minister. - Burr zawarł umowę z tym człowiekiem czy nie? Mam nadzieję, że ona nie ma żadnego związku z jego przestępstwami? Co mu obiecałeś? Rex, nakazuję ci zostać. Ostatnio zbyt często wywiad brytyjski angażował kryminalistów, godząc się na ich warunki. Tylko nie waz się sprowadzić tego człowieka do kraju, to wszystko. Czy Burr powiedział mu, dla kogo pracuje? Skoro już o tym mowa, to pewnie podał mu mój numer telefonu. Rex, wracaj. - Drzwi wydają się potwornie daleko. - Geoffrey mówi, że on był w jakimś oddziale specjalnym w Irlandii. Tylko tego nam było trzeba. Irlandczycy będą naprawdę wdzięczni. Na litość boską, Rex, dopiero zaczęliśmy tę naradę. Trzeba podjąć poważne decyzje. Rex, to zupełnie nie w twoim stylu. Rex, jestem człowiekiem bezstronnym. Do widzenia.

Powietrze na schodach zewnętrznych niesie błogosławiony chłód. Goodhew opiera się o ścianę. Prawdopodobnie się uśmiecha.

- Zapewne czeka pana przyjemny weekend? - zagaja woźny z szacunkiem.

Poruszony poczciwością tego człowieka Goodhew usiłuje się zdobyć na uprzejmą odpowiedź.

Burr pracował. Wewnętrzny zegar nastawił na czas środkowooatlantycki, duszą był z Jonathanem bez względu na to, jakim torturom ten był poddawany. Ale intelekt, wola i pomysłowość Burra skupiły się na pracy, którą miał przed sobą.

- Twój człowiek zawałił - podsumował Merridew, gdy Burr zadzwonił do niego z pytaniem, jak poszła narada Komisji. - Geoffrey przemaszerował po nim w podkutych butach.

- Udało mu się, bo jest cholernym kłamcą - orzekł oględnie Burr, na wypadek gdyby Merridew potrzebował nauki. Zaraz po tym wrócił do pracy.

Działał w trybie Domu za Rzeką.

Był znowu szpiegiem, pozbawionym skrupułów i skruchy. Sam decydował, co jest prawdą.

Posłał sekretarkę na łupieską wyprawę do Whitehall. Wróciła o czternastej, spokojna, ale lekko zdyszana, z papeterią, którą nakazał jej zwędzić.

- Do roboty - polecił. Wzięła notatnik.

Listy, które jej dyktował, były skierowane przeważnie do niego samego. Kilka do Goodhew, parę do jego szefa. Różniły się stylem: „Drogi Panie Burr”, „Mój drogi Leonardzie”, „Do Dyrektora Agencji Ochrony Porządku Publicznego”, „Szanowny Panie Ministrze”. W przypadku korespondencji na nieco wyższym szczeblu pisał odręcznie u góry „Drogi Taki-a-taki”, a u dołu załączał takie pożegnanie, jakie mu do głowy wpadło - „Twój”, „Oddany”, „Serdeczności”, „Z najlepszymi pozdrowieniami”.

Charakter pisma też ulegał zmianie, zarówno stopień nachylenia liter, jak i ich kształt. Zmieniały się również kolory atramentów i przybory do pisania, zależnie od korespondentów.

Podobnie się działo z oficjalnym papierem listowym. Im wyżej Burr wspinał się po drabinie ewolucyjnej Whitehall, tym papier był sztywniejszy. Do listów ministerialnych używał bładoniebieskiego z oficjalnym logo w nagłówku.

- Ile mamy maszyn do pisania? - spytał sekretarkę.

- Pięć.

- Używaj po jednej dla każdego korespondenta, a jednej dla nas - rozkazał. - Zawsze tej samej.

Już zanotowała to sobie ku pamięci.

Gdy znów został sam, zatelefonował do Harry'ego Palfreya do Domu za Rzeką. Był tajemniczy.

- Ale muszę mieć powód - zaprotestował Palfrey.

- Dostaniesz go, jak się zjawisz - odparł ostro Burr.

Potem zadzwonił do sir Anthony'ego Joystona Bradshawa w Newbury.

- No niedoczekanie, żebym miał słuchać od ciebie rozkazów, popierdoliło cię, na litość boską? - spytał z wyższością Bradshaw, zastanawiająco naśladując ropermowę. - Nie masz czym działać, zostały ci same niemrawe cioty.

- Masz tam być i koniec - rozkazał mu Burr.

Hester Goodhew zatelefonowała do niego z Kentish Town, mówiąc, że mąż zostanie w domu przez kilka dni, nigdy w zimie nie czuł się najlepiej. Po niej słuchawkę wziął sam Goodhew. Mówił jak zakładnik, który wcześniej przepróbował swój tekst.

- Leonardzie, nadal dysponujesz swoim budżetem do końca roku. Nikt ci go nie może zabrać. - Głos mu się załamał, co zabrzmiało strasznie. - Biedny chłopiec. Co mu zrobią? Myślę o nim przez cały czas.

Burr też, ale miał robotę do wykonania.

Pokój przesłuchań w MON jest biały, niewielki, oświetlony jak więzienie i sterylnie czysty jak więzienie. To ceglana klatka z zaciemnionym oknem i grzejnikiem elektrycznym, który śmierdział spieczonym kurzem, gdy tylko się go włączyło. Brak napisów na ścianach był niepokojący. Czekać, zastanawiałeś się, czy ostatnie zamalowano po egzekucji na tutejszym lokatorze. Burr celowo się spóźnił. Gdy wszedł, Palfrey usiłował spojrzeć na niego lekceważąco nad trzęsącą się gazetą i uśmiechnął się wymuszenie.

- No, przyszedłem - powiedział zadziornie. Wstał. Demonstracyjnie złożył gazetę.

Burr zamknął za sobą drzwi i starannie przekręcił zamek, postawił teczkę, zawiesił płaszcz na haczyku i bardzo mocno uderzył Palfreya otwartą dłońią w policzek, ale nie wkładając w to emocji, jakby robił to niechętnie. Mógłby tak policzkować epileptyka, żeby zapobiec atakowi padaczki, albo własne dziecko, żeby uciszyć wybuch hysterii.

Palfreyowi nogi podcięło i siadł na tej samej ławce, na której siedział wcześniej. Podniósł rękę do policzka.

- Zwierzę - wyszeptał.

Palfrey do pewnego stopnia miał rację, z tym że Burr panował nad swoim zezwierzęceniem. Był w naprawdę fatalnym nastroju, a ani najbliżsi przyjaciele, ani żona nie znali jego naprawdę fatalnego nastroju. Sam Burr nie za dobrze go znał. Nie usiadł, lecz przykucnął obok Palfreya, tak że ich głowy znalazły się w miłej bliskości. Żeby

pomóc Palfreyowi w słuchaniu, złapał obiema rękami za poplamiony drinkami krawat biedaka tuż przy węźle, robiąc z niego przerażającą pętlę.

- Byłem dla ciebie bardzo, bardzo miły, Palfrey. Aż do dzisiaj - rozpoczął wielką mowę, która wiele zyskała na tym, że była improwizowana. - Nie krzyżowałem twoich planów. Nie donosiłem. Patrzyłem z pobłażaniem, kiedy chodziłeś na paluszkach w tę i w tę przez Tamizę, spałeś z Goodhew, sprzedawałeś go Darkerowi, wygrywałeś jednych przeciwko drugim, tak jak zawsze. Nadal obiecuje się rozwód każdej poznanej dziewczynie? Rzecz jasna, że tak! Potem biegiem do domu odnowić małżeńskie śluby? Rzecz jasna, że tak! Harry Palfrey i jego poczucie przyzwoitości sobotniej nocy! - Burr zacieśnił katowski węzeł na jabłku Adama nieszczęśnika. - „Och, ileż rzeczy muszę zrobić dla Anglii, Mildred!” - zakrzyknął, odgrywając Palfreya. „Jakaż to cena dla mojego poczucia przyzwoitości, Mildred! Gdybyś знаła choć dziesiątą część tego, nie spałabyś przez resztę życia - chyba że oczywiście ze mną. Potrzebuję cię, Mildred. Potrzebuję twojego ciepła, twojej pociechy. Mildred, kocham cię...! Tylko nie mów mojej żonie, nie zrozumiałaby”. - Bolesne zaciśnięcie krawata. - Wciąż wciskasz ten cholerny kit, Harry? Z jednej strony granicy na drugą, sześć razy dziennie? Kapujemy, kapujemy tym, na których kapowaliśmy, i kapujemy tym pierwszym, że kapowaliśmy tym drugim, aż twój szcurzy łepiek kapusia wyjdzie twoją zdziwioną szcurzą dupcią? Jasne, że tak!

Ale Palfreyowi nie było łatwo udzielić racjonalnej odpowiedzi na te pytania, bo nieustępliwy, dwuręczny chwyt mocno zaciągał jedwabny krawat. Był to krawat szary, srebrzysty, przez co plamy były bardziej widoczne. Może służył Palfreyowi podczas jednego z jego wielu ślubów. Wydawał się niezniszczalny.

W głosie Burra zaczęło przebijać nieco żalu.

- Skończyły się dni kapowania. Statek i szcury zatoneły. Jeszcze jedno kapowanie i szlus. - Nie rozluźniając ani trochę chwytu na krawacie, przyłożył usta do ucha Palfreya.

- Wiesz, co to jest, Harry? - Podniósł szerszy koniec krawata. - To język doktora Paula Apostolla wyciągnięty przez gardło. Krawat kolumbijski. Zasluga kapowania Harry'ego Palfreya. Sprzedałeś Apostolla Darkerowi. Pamiętasz? Ergo sprzedałeś też Darkerowi mojego agenta Jonathana Pine'a. - Z każdym „sprzedałeś” pętla na szyi Palfreya zaciskała się mocniej. - Sprzedałeś Geoffreya Darkera Rexowi Goodhew, tylko że tak naprawdę to nie sprzedałeś, prawda? Udawałeś jedynie, a potem zrobiłeś podwójną woltę i tak naprawdę

sprzedales Rexa Goodhew Darkerowi. Co ci to daje, Harry? Przetrawianie? Nie stawiałbym na to. Z mojego podręcznika wynika, że jesteś winny sto dwadzieścia sztuk srebra z funduszu gadzinowego, a potem czeka cię tylko Judaszowe drzewo. Bo wiedząc to, co ja wiem, a czego ty nie wiesz, ale czego się dowiesz, oświadczam, że to jest twój absolutny koniec. - Rozluźnił uścisk i nagle się podniósł. - Możesz czytać? Oczy ci trochę wyszły z orbit. To groza czy skrucha? - Szybko podszedł do drzwi i złapał czarną teczkę. Była to teczka Goodhew. Odcisnęły się na niej rzemyki bagażnika roweru opasujące ją przez ćwierć wieku. Urzędowy herb się wytarł. - A może to alkoholowa ślepotą wpływa ostatnio na nasz wzrok? Siądź tam! Nie, tu! Światło jest lepsze.

I na „tam” i na „tu” miotał Palfreyem jak szmacianą lalką, łapiąc go pod pachy, podnosząc i usadzając, za każdym razem z wielkim rozmachem.

- Jestem dziś szorstki, Harry - wyjaśnił ze skruchą. - Musisz po prostu mnie znieść. Sądzę, że jest to spowodowane myślą o młodym Pinie, który siedzi tam przypiekany żywcem przez ludzi Dicky'ego Ropera. Chyba robię się za stary na tę robotę. - Cisnął na stół akta. Były opatrzone czerwoną pieczęcią OKRĘT FLAGOWY. - Te pisma, do których uważnej lektury cię zachęcam, mają cel następujący, Harry. Służą temu, żeby cię szczegółowo i ogólnie upierdolić. Rex Goodhew to nie żaden błazen, za którego go brałeś. Ma więcej pod swoją miękką czapeczką, niżbyśmy się mogli spodziewać. Teraz czytaj.

Czytał, ale nie była to łatwa lektura, o co postarał się Burr, gdy zadał sobie ten wielki trud, by pozbawić go spokoju ducha. I zanim Palfrey ukończył czytanie, zaczął płakać tak obficie, że łzy zatarły podpisy oraz „Drogi Panie Ministrze” i „Szczerze oddany”, zaczynając i kończąc sfalszowaną korespondencję.

Podczas gdy Palfrey nadal lkał, Burr przedłożył mu nakaz MSW, który jak do tej pory nie nosił niczyjego podpisu. Nie był to nakaz pełny. Był to jedynie nakaz wglądu. Upoważniał służby do zmiany połączeń trzech numerów telefonicznych, dwóch w Londynie i jednego w Suffolk. Ten zabieg miał spowodować przekierowanie wszystkich wywołań tych trzech numerów na czwarty numer, który zostanie podany w stosownym terminie. Palfrey wpatrywał się w nakaz, kręcił głową i usiłował zaprotestować wyschniętymi ustami.

- To numery Darkera. Na wsi, w mieście, w pracy. Nie mogę tego podpisać. On mnie zabije.

- Ale jak nie podpiszesz, to ja cię zabiję. Bo jeżeli podejmiesz

stosowne kroki i zabierzesz ten nakaz do właściwego ministra, tenże popędzi do swojego wujka Geoffreya. Więc my nie będziemy tak postępować, Harry. Ty osobiście nadasz moc prawną temu nakazowi, do czego jesteś uprawniony w nadzwyczajnych okolicznościach. I ja osobiście zaraz prześlę ten nakaz właściwym służbom, korzystając ze szczególnie godnego zaufania gońca. I ty osobiście zaraz rozpoczniesz cichy towarzyski wieczór z moim przyjacielem Robem Rookiem w jego gabinecie, żebyś nie uległ z przyzwyczajenia pokusie kapowania. A jeśli zaczniesz się stawiać w jakikolwiek sposób, mój dobry przyjaciel Rooke najprawdopodobniej przykuje cię do kaloryfera, gdyż jest z niego kawał chłopa. Odpokutujesz za wszystkie swoje grzechy. Proszę, skorzystaj z mojego pióra. O to chodzi. W trzech egzemplarzach, proszę. Wiesz, jacy są ci urzędnicy. Z kim rozmawiasz tam w podsłuchu ostatnio?

- Z nikim. Z Maisie Watts.

- Kto to jest Maisie, Harry? Ostatnio nie jestem na bieżąco.

- Królowa matka. Maisie wszystkim tam kręci.

- A jeśli Maisie wyszła na lunch ze swoim wujkiem Geoffreym?

- Gates. Mówimy na niego Pearly*. - Słaby uśmiech. - Pearly to

kawał chłopa.

* Aluzja do *Pearly Gates*, dosł. Perłowa Brama, w przenośni: bramy niebios.

Burr podniósł Palfreya i znowu go ciężko upuścił, tym razem przed zielonym telefonem.

- Dzwon do Maisie. Czy tak zrobiłbyś w nagłym wypadku?

Palfrey wyzapał coś w rodzaju potwierdzenia.

- Powiedz, że specjalny kurier wiezie bardzo ważny nakaz. Maisie ma się tym zająć osobiście. Albo Gates. Żadnych sekretarek, podwładnych, sprawdzania, uniesionych brwi. Żądasz niewolniczego, ślepego posłuszeństwa. Powiedz, że jest przez ciebie potwierdzony i piorunem wpłynie najwyższa ministerialna aprobata. Czemu kręcisz głową na to, co mówię? - Spoliczkował go. - Nie lubię, jak kręcisz głową na to, co mówię. Nie rób tego.

Palfrey, przykładając rękę do warg, zdobył się na łzawy uśmiech.

- Muszę być weselszy, Leonardzie, to wszystko. Zwłaszcza że to tak duża sprawa. Maisie lubi się pośmiać. I Pearly też. „Hej, Maisie! Ale się zdziwisz, jak to dostaniesz! Z krzesła spadniesz!” Wiesz, to sprytna dziewczyna. Nudzi się, nie cierpi nas wszystkich. Interesuje ją tylko, kto następnym w kolejce na gilotynę.

- To tak to rozegrasz, prawda? - rzekł Burr, kładąc dłoń na ramieniu Palfreya w przyjacielskim geście. - Tylko nie pogrywaj ze mną, Harry, żeby się nie okazało, że pójdziesz na gilotynę bez kolejki.

Nie mogąc się doczekać wykonania polecenia, Palfrey podniósł słuchawkę zielonego aparatu telefonicznego połączonego z wewnętrzną centralą Whitehall i pod baczny spojrzeniem Burra wystukał pięć cyfr, które każdy kapuś Domu za Rzeką wysysa z mlekiem matki.

Drugi zastępca prokuratora generalnego Ed Prescott był prawdziwym mężczyzną, jak to zwykle z mężczyznami po Yale z jego pokolenia bywa, i gdy Joe Strelski wszedł do jego białego gabinetu w centrum Miami po półgodzinnym sterczeniu w poczekalni, Ed przekazał mu wieści jak mężczyzna mężczyźnie, bez żadnego owijania w bawełnę, prosto z mostu, tak jak to lubią mężczyźni bez względu na to, czy mają w żyłach starą krew Nowej Anglii, czy są to zwyczajne pastuchy z Kentucky, jak Strelski. Bo szczerze mówiąc, Joe, te chłopaki mnie też wyrolowały; ściągnęły mnie tu z Waszyngtonu, żebym się tym zajął, kazały mi zostawić bardzo atrakcyjną robotę w czasie, kiedy każdemu, no, mówię każdemu, nawet tamtejszym gościom, potrzeba roboty... Joe, muszę ci się przyznać, ci ludzie nie byli z nami szczerzy. Więc docień fakt, że siedzimy w tym razem, bo mamy za sobą ciężki rok, ale zanim doprowadzę do porządku własne podwórko, to minie też ciężki rok. A w moim wieku... hm, do diabła, ile ja mam lat?

- Współczuję ci, Ed - powiedział Strelski.

I jeśli Ed Prescott wyczuł coś w jego tonie, wołał puścić go mimo uszu, co należy uczynić, gdy dwaj mężczyźni będą się nad jakimś wspólnym dylematem.

- Joe, ile dokładnie Angole powiedzieli ci o tym swoim tajniaku, tym Pinie, tym facecie, co miał masę nazwisk?

Strelski nie omieszkiał zauważyć czasu przeszłego.

- Niezbyt wiele - odparł.

- Więc ile? - spytał Prescott jak mężczyzna mężczyzną.

- Nie był zawodowcem. Raczej ochotnikiem.

- Sam się nawinał? Joe, nigdy nie ufałem gościom, którzy się nawinęli. Za czasów, w których Agencja robiła mi ten zaszczyt i konsultowała się ze mną sporadycznie, kiedy jeszcze trwała zimna wojna, co wydaje się wieki temu, zawsze doradzałem ostrożność wobec tych tak zwanych sowieckich zbiegów, którzy głosili, że robią

nam prezent ze swoich zasobów. Co oni jeszcze opowiedzieli ci o nim, Joe, a może otulili go pochlebny płaszczem tajemnicy?

Strelnski świadomie skrył się za kamienną maską. Z takimi ludźmi jak Prescott byłeś skazany na odpieranie ataków, zanim doszedłeś, co chcą usłyszeć. Wtedy albo się pękało, albo powoływało się na swoje konstytucyjne prawo do zachowania milczenia, albo mówiło się, że mogą się pocałować w dupę.

- Powiedzieli mi, że przerobili go trochę - odparł. - Postarali się o dodatki do życiorysu, żeby facet stał się bardziej atrakcyjny dla celu operacji.

- Kto ci to powiedział, Joe?

- Burr.

- Czy Burr powiedział ci konkretnie, jaka była istota tych dodatków, Joe?

- Nie.

- Czy Burr wyjaśnił, jaka część życiorysu faceta została wzięta z życia, a jaka z dupy?

- Nie.

- Pamięć to dziwka, Joe. Pomyśl, jak było. Czy powiedział ci, że przypisano temu facetowi morderstwo? Może niejedno?

- Nie.

- Przemyt narkotyków? W Kairze i w Anglii? Może też w Szwajcarii? Sprawdzamy to.

- Nie podawał konkretów. Powiedział, że dobrali facetowi życiorys, i teraz, kiedy miał ten życiorys, mogliśmy kazać Apostolowi nadawać na jednego z poruczników Ropera i mogliśmy się spodziewać, że Roper weźmie nowego faceta do podpisywania. On używa sygnatariuszy. Więc dali mu sygnatariusza. On lubi słabych ludzi, więc dali mu słabego.

- Więc Angole wiedziały o Apostole. Chyba nie byłem tego świadom.

- Pewnie, że wiedziały. Odbyliśmy z nim naradę. Burr, agent Flynn i ja sam.

- Czy to było mądre posunięcie, Joe?

- To była współpraca - odparł Strelnski twardszym głosem. - Współpracowaliśmy, pamiętasz? Trochę się to rozeszło w szwach. Ale wtedy jeszcze planowaliśmy wspólnie.

Czas zatrzymał się nieco, gdy Ed Prescott przechadzał się po swoim bardzo dużym gabinecie. Popołudniowe światło wpływające przez grube na dwa centymetry pancerne przyciemnione szyby wyglądało jak wieczorne. Dostępu intruzom broniły dwuskrzydłowe drzwi

pancerne. Strelski przypomniał sobie, że Miami przeżywało okres włamań do domów. Grupy zamaskowanych ludzi terroryzowały domowników, a potem zabierały to, co im się żywnie spodobało. Strelski zastanawiał się, czy pójdzie na pogrzeb Apostoła, który odbywał się po południu. Dzień jest jeszcze młody. Zobaczymy, co zadecyduje. Potem się zastanawiał, czy wróci do żony. Kiedy robiło się naprawdę parszywie, zawsze się nad tym zastanawiał. Czasem, będąc daleko od niej, czuł się jak na przepustce z więzienia. Nie była to wolność i niekiedy zastanawiał się poważnie, czy to coś jest lepsze niż brak przepustki. Myślał o Pacie Flynnie i zazdrościł mu spokoju ducha. Pat przywykł do tego, że jest wyrzutkiem, jak inni ludzie przywykają do sławy i pieniędzy. Kiedy się dowiedział, że nie musi sobie zawracać głowy przychodzeniem do roboty, aż ta sprawa się wyklaruje, podziękował, uściśnął wszystkim dłoń i wypił butelkę bushmillsa. Dzisiaj rano, nadal pijany, zadzwonił do Strelskiego i ostrzegł go przed nową formą AIDS, która dotknęła Miami. Nazywa się *hearing aids** i wywołuje ją słuchanie zbyt wielu waszyngtońskich dupków. Gdy Strelski spytał go, czy przypadkiem dowiedział się czegoś o „Lombardy” - na przykład czy ktoś go zatrzymał, zatopił lub aresztował - Flynn zaprezentował najlepszą parodię pedała ze Wschodniego Wybrzeża z dyplomem uczelni Ivy League.

* (ang.) dosł. aparat słuchowy.

- Ależ, Joe, ty wstręciuchu, skąd ci przyszło do głowy, żeby pytać o takie tajne sprawy, skoro nie masz pozwolenia na dostęp do tajnych materiałów?

Skąd, do diabła, Pat umie naśladować te wszystkie głosy? - zastanawiał się. Może jak zacznę obalać butelkę irlandzkiej whisky dziennie, też się w tym wyrobię.

Drugi zastępca prokuratora generalnego Prescott znów usiłował coś mu wmówić, więc Strelski uznał, że lepiej zrobi, jeśli się skupi.

- Burr wyraźnie nie był tak wylewny na temat swojego pana Pine'a, jak ty na temat doktora Apostolla, Joe. - Ta przygana ociekała jadem.

- Pine i Apostoł to całkowicie różni informatorzy. W żaden sposób nie można ich porównać - odparował Strelski. Z przyjemnością zdał sobie sprawę, że się rozluźnia. Pewnie pomógł mu dowcip Flynnna o *hearing aids*.

- Mógłbyś to trochę wyjaśnić, Joe?

- Apostoli to był zwyrodniały gad. Pine był... Pine był facetem honoru, który ryzykował dla słusznej sprawy. Burr bardzo mocno to podkreślał. Pine był pracownikiem operacyjnym, był kolegą, był kimś

bliskim. Nikt nie nazwałby Apo swoim bliskim. Nawet jego córka.

- Czy to nie Pine praktycznie zrobił inwalidę z twojego agenta, Joe?

- Działał w silnym stresie. To była inscenizacja. Może zareagował przesadnie, za bardzo wziął sobie do serca instrukcje.

- Czy Burr ci to powiedział?

- Tak usiłowaliśmy to wytłumaczyć.

- To szlachetnie z twojej strony, Joe. Agent zatrudniony przez ciebie zostaje tak pobity, że potem trzeba wydać na jego leczenie około dwudziestu tysięcy dolarów plus koszt trzymiesięcznego chorobowego, odszkodowania i sprawy sądowej, a ty mi mówisz, że jego napastnik może trochę przesadnie zareagował. Niektórzy z tych edukowanych w Oksfordzie Anglików potrafią być bardzo przekonujący w swoich argumentach. Czy Leonard Burr nigdy nie zrobił na tobie wrażenia obłudnika?

O każdym mówi w czasie przeszłym - pomyślał Strelski. O mnie również.

- Nie wiem, co to znaczy - skłamał.

- Niezbyt otwarty. Nieszczery. Moralnie dwuznaczny w pewien sposób.

- Nie.

- „Nie”? Nic więcej?

- Burr jest dobrym pracownikiem i porządnym człowiekiem.

Prescott udał się na następną przechadzkę po pokoju. Będąc porządnym człowiekiem, nie mógł sobie poradzić z brutalnymi prawdami życiowymi.

- Joe, w tej chwili mamy parę kłopotów z Angolami. Chodzi mi o sprawy podlegające Agencji. Pan Burr i jego poplecznicy obiecali nam świadka bez skazy w osobie pana Pine'a, wyrafinowaną operację, kilka wielkich głów na tacy. Poszliśmy na to. Wiele spodziewaliśmy się po panu Burze i panu Pinie. Muszę ci powiedzieć, że w zakresie spraw podlegających Agencji Brytyjczycy zawiedli nasze oczekiwania. Ich postępowanie ujawniło dwulicowość, dla niektórych z nas zaskakującą. Ale znaleźli się i tacy, z lepszą pamięcią, których wcale to nie zaskoczyło.

Strelski może byłby gotów przyłączyć się generalnie do tego potępienia Brytyjczyków, ale w tym konkretnym wypadku nie miał na to ochoty. Lubił Burra. To był gość, z którym można konie kraść. Nauczył się lubić Rooke'a, chociaż ten był trochę zasadniczy. Stanowili parę fajnych facetów i prowadzili dobrą operację.

- Joe, to twoje cudo... przepraszam, cudo pana Burra... ten czło-

wiek honoru, ten pan Pine, jest od wielu lat znany policji. Barbara Vandon w Londynie i jej przyjaciele w Langley dokopali się bardzo niepokojących faktów z przeszłości pana Pine'a. Wygląda na to, że to psychopata. Na nieszczęście Brytyjczycy zaspokoili jego apetyty. W Irlandii popełniono jakieś bardzo brzydkie zabójstwo, coś z bronią półautomatyczną. Nie doszliśmy do sedna sprawy, bo została wyciszona. - Prescott westchnął. Ileż to zła drzemie w człowieku. - Pan Pine zabija, Joe. Zabija, kradnie, sprzedaje narkotyki i jest dla mnie tajemnicą, czemu nie użył noża, który wyciągnął na twojego agenta. Pan Pine jest poza tym kucharzem, nocnym markiem, ekspertem walki wręcz i malarzem. Joe, to klasyczny zespół cech psychopaty fantasty. Nie lubię pana Pine'a. Nie zostawiłbym z nim swojej córki. Pan Pine miał psychopatyczny związek z dziwką handlarza narkotyków w Kairze i na koniec zatłukł ją na śmierć. Nie zaufałbym panu Pine'owi, gdyby miał być moim świadkiem, i mam najpoważniejsze z możliwych, mówię najpoważniejsze, obawy względem materiałów wywiadowczych, które poprzednio dostarczył. Widziałem je, Joe. Przeanalizowałem w wielu miejscach, w których jego oświadczenia są wyłącznymi i niepotwierdzonymi wskazówkami, jednak niezbędnymi do nadania naszej sprawie wiarygodności. Tacy ludzie jak pan Pine to wrzody na ciele społeczeństwa. Sprzedadzą własną matkę i równocześnie uważają się za Jezusa Chrystusa. Twój przyjaciel Burr jest może zdolny, ale to też ambitny człowiek, który urobi sobie dupę, żeby stworzyć własny oddział i wysłać go przeciwko wielkim graczom. Tacy ludzie są naturalnymi ofiarami fałszerzy. Nie wierzę, że pan Burr i pan Pine to dobrana para. Nie twierdzą, że świadomie współdziałali, ale ludzie związani tajnym porozumieniem mogą się tak nawzajem podkręcić, że zupełnie nie przejmują się prawdą. Gdyby doktor Apostoli nadal był z nami... no cóż, to prawnik i chociaż trochę zwariowany, to wierzę, że potrafiłby wyrzucić znakomite wrażenie na ławie przysięgłych. Sędziowie zawsze są skłonni okazać wyrozumiałość człowiekowi, który powrócił do Boga. Jednakże jest inaczej. Doktor Apostoli nie może już wystąpić jako świadek. - Strelski starał się wybawić Prescottta z kłopotu.

- To nigdy nie miało miejsca, tak, Ed? A może zgodzimy się, że cała sprawa to głodne kawałki? Nie ma żadnych narkotyków, żadnej broni, pan Onslow Roper nigdy nie łamał chleba z kartelami, pomyliły się nazwiska. Wybierz, co chcesz.

Prescott uśmiechnął się ponuro, jakby chciał powiedzieć, że chyba tak daleko się nie posunie.

- Mówimy o tym, co się da udowodnić, Joe. Takie jest zadanie

prawnika. Zwyczajny obywatel ma ten luksus, że może wierzyć w prawdę lub nie. Prawnik musi się zadowolić tym, co jest do udowodnienia. Tak to ujmijmy.

- Jasne. - Strelski też się uśmiechnął. - Ed, mogę coś powiedzieć?
- Wychylił się ze skórzanego fotela i rozłożył dłonie w geście wielkoduszności.

- Wal prosto z mostu, Joe.

- Rozluźnij się, proszę. Nie napinaj się. Operacja „Pijawka” jest zamknięta. Langley ją zabiło. Ty jesteś przedsiębiorcą pogrzebowym. Rozumiem to. Operacja „Okręt Flagowy” jest aktualna, ale ja nie mam do niej przepustki. Na mój gust, ty masz. Chcesz mi przykręcić śrubę, Ed? Już mi ją przykręcano. Nie musisz mnie w pierw zabierać na obiad. Przykręcano mi śrubę tyle razy, na tyle sposobów, że jestem weteranem w tej dziedzinie. Tym razem to Langley i kilku niedobrych Angoli. Nie wspominając o kilku Kolumbijczykach. Ostatnim razem to było Langley i jacyś inni niedobrzy, może Brazylijczycy, nie, cholera, to byli Kubańczycy, którzy wyświadczyli nam kilka przysług w mrocznych czasach. A jeszcze wcześniej to było Langley i kilku niezwykle bogatych Wenezuelczyków, ale wydaje mi się, że przy okazji było kilku Izraelczyków. Żeby nie skłamać, zapomniałem, a akta zginęły. I myślę, że była operacja „Niepokonany”, ale nie miałem do niej przepustki.

Był wściekły, ale równocześnie cudownie odprężony. Głęboki skórzaný fotel Prescottta idealnie nadawał się do tego, by zapadać się weń przez wieczność, wdychał luksusy miłego gabinetu na szczycie wieżowca, daleko od niedogodności, jakich nastęrcza masa ludzi płacząca ci się pod nogami albo widok nagiego kapusia klęczącego na łóżku z językiem wywalonym na klatkę piersiową.

- Poza tym chcesz mi jeszcze powiedzieć, Ed, że mogę wyczytnić najgorsze rzeczy, ale mam trzymać gębę na kłódkę - podjął Strelski. - Bo jak zacznę gadać, ktoś mi się dobierze do dupy i pozbawi mnie emerytury. A jakbym naprawdę się rozgadał, ktoś odstrzeli mi, kurwa, łeb. Rozumiem te sprawy, Ed. Pojąłem zasady. Ed, wyświadczysz mi przysługę?

Prescott nie przywykł słuchać bez przerywania i nigdy nie wyświadczył nikomu przysługi, jeśli nie mógł liczyć na odwzajemnienie. Ale gdy widział gniew, nie mylił go z niczym innym i wiedział, że gniew wyczerpuje się z czasem, czy to u ludzi, czy u zwierząt, więc uznał, że w tej sytuacji może przede wszystkim czekać, uśmiechać się i odpowiadać racjonalnie, jak wypadałoby w obecności szaleńca. Poza tym wiedział, grunt to zachować bezwzględny spokój. Zawsze

pozostawał czerwony przycisk pod blatem biurka.

- Jeśli będę mógł, Joe, oczywiście - odrzekł uprzejmie.
- Nie zmieniaj się, Ed. Ameryka potrzebuje cię takiego, jaki jesteś. Nie rezygnuj z żadnego wpływowego przyjaciela, z koneksji z Agencją ani z lukratywnych posad w zarządach przedsiębiorstw, które są na wyciągnięcie ręki dla twojej żony. Dbaj nam o porządek. Uczciwy obywatel już wie za dużo. Każdy przybytek wiedzy poważnie zagrazi jego zdrowiu. Zamiast mózgu telewizor. Pięć sekund na każdą sprawę, to wystarczy każdemu. Ludzi trzeba normalizować, Ed, nie destabilizować. I ty jesteś tym człowiekiem, który nam o to zadba.

Strelnski jechał ostrożnie do domu w zimowym słońcu. Gniew dodaje kolorytu oglądanemu światu i zaostrza kontury. Oto śliczne domki nad wodą. Białe jachty na końcu szmaragdowych trawników. Listonosz podczas południowej rundy. Czerwony ford mustang zaparkowany na podjeździe Strelnskiego. Strelnski poznał wóz Amata. Zastał go siedzącego na werandzie. Nosił czarny, żałobny krawat i pił colę wyjętą ze skrzynki z lodem. Obok na wiklinowej kanapie Strelnskiego sztywno leżał nieprzytomny Pat Flynn, tuląc do piersi butelkę dziesięcioletniego bushmillsa, ubrany w trzyczęściowy czarny garnitur jeszcze z Bogside.

- Pat znowu zażywał towarzystwa swojego byłego szefa - wyjaśnił Amato, zerkając na leżącego towarzysza. - Zjedli coś w rodzaju wczesnego śniadania. Kapuś Leonarda jest na pokładzie „Iron Pashy”. Dwaj faceci wytargali go z odrzutowca Ropera w Antigui, dwaj inni faceci wtargali go na pokład wodnopławca. Przyjaciół Pata cytują z raportów skompilowanych przez bardzo czyste osoby w Wywiadzie, które są zaszczycone posiadaniem przepustki na „Okręt Flagowy”. Pat mówi, że może chciałbyś przekazać o tym słówko swojemu przyjacielowi Lenny'emu Burrowi. Pat mówi, żebyś przekazał Lenny'emu wyrazy najwyższego szacunku. Poznanie pana Burra było dla niego przyjemnością mimo późniejszych kłopotów, powiedz mu.

Strelnski zerknął na zegarek i szybko wszedł do domu. Rozmowa przez ten telefon nie była bezpieczna. Burr od razu podniósł słuchawkę, jakby czekał.

- Twój chłopak wypłynął w rejs z bogatymi przyjaciółmi - powiedział Strelnski.

Burr z wdzięcznością powitał ulewny deszcz. Kilka razy zjeżdżał na

trawiaste pobocze i czekał, podczas gdy ulewa bębniła w dach. Burza łaskawie udzieliła chwilowego pardonu. Tkacz mógł powrócić na swój strych.

Wyjechał później, niż zamierzał.

- Uważaj - powiedział bez sensu, powierzając zmarniałego Palfreya opiece Rooke'a. Być może miał na myśli: uważaj na Palfreya. A może: dobry Boże, uważaj na Jonathana.

Jest na „Iron Pashy”, żyje - myślał podczas jazdy. Żyje, chociaż pewnie wolałby nie żyć. Przez jakiś czas w głowie Burra było tylko to jedno: Jonathan żyje, Jonathan jest torturowany, właśnie w tej chwili! Dopiero po tym, wydawałoby się, stosownym napadzie rozpaczy Burr był w stanie spożytkować niebłahe zdolności logicznego myślenia i ziarnko do ziarnka uzbierać żebraczy garnuszek pociechy.

Żyje. Z tego wynika, że Roperowi na tym zależy. W innym wypadku zabiłby Jonathana, ledwo ten podpisał ostatni kawałek papieru. Kogo w Panamie obeszłyby kolejne zwłoki porzucone na skraju drogi?

Żyje. Łajdak pokroju Ropera nie sprowadza ofiary na swój jacht wycieczkowy, by tam dokonać morderstwa. Zamierza zadać jej różne pytania, a jeśli chce później ją zabić, czyni to w przyzwoitej odległości od swojej łodzi, z szacunkiem należnym obowiązującym zasadom higieny i bacząc na wrażliwość swoich gości.

Więc o co Roper chce zapytać? Czego jeszcze do tej pory nie wie?

Może: ile istotnych szczegółów operacji Jonathan zdradził?

Może: co dokładnie grozi Roperowi? Śledztwo, zniweczenie jego wielkiego planu, demaskacja, skandal?

Może: czy osoby, które do tej pory mnie ochraniały, będą mnie nadal ochraniać? Czy też wymkną się na palcach tylnymi drzwiami, gdy tylko rozlegnie się alarm?

Może: za kogo ty się uważasz, że wślizgujesz się do mojego pałacu i wyciągasz spode mnie moją kobietę?

Sklepienie z koron drzew zamknęło się nad samochodem i Burrowi przypomniał się Jonathan siedzący w chacie w Lanyon nocą, kiedy wysłali go z misją. Trzyma list Goodhew przy lampie naftowej: „Jestem przekonany, Leonardzie. Ja, Jonathan. I będę przekonany jutro rano. Jak mam podpisać?”.

Podpisałeś o cholere i trochę za dużo - powiedział mu w myślach szorstko Burr. I to nikt inny, tylko ja cię do tego namówiłem.

Przyznaj się - błagał Jonathana. Wydaj mnie, wydaj nas wszystkich. My wydaliśmy cię, no nie? Więc odplać się nam i uratuj siebie. To nie tam jest wróg. Wróg jest tu, pomiędzy nami. Wydaj nas.

Odjechał piętnaście kilometrów za Newbury, sześćdziesiąt od Londynu, aż znalazł się w sercu angielskiej prowincji. Wspiął się na wzgórze i wjechał w aleję bezlistnych buków. Pola po obu stronach drogi były świeżo zaorane. Poczł woń kisonki i przypomniał sobie zimowe podwieczorki przy piecu w matczynej kuchni w Yorkshire.

Jesteśmy ludźmi honoru - pomyślał, wspominając Goodhew. Ludźmi honoru, Anglikami, z poczuciem autoironii i przyzwoitości, ludźmi z poczuciem wspólnoty i z dobrym sercem. Co się, do diabła, z nami stało?

Zniszczona wiata przystankowa przypomniła mu o blaszanym baraku w Luizjanie, miejscu spotkania Apostoła wydanego przez Harry'ego Palfreya Darkerowi, przez Darkera kuzynom i przez kuzynów Bóg wie komu. Strelski wziąłby pistolet - pomyślał. Flynn szedłby przed nami z pistoletem maszynowym. Szlibyśmy z bronią, bezpieczni dzięki niej.

Ale broń to nie odpowiedź - uznał. Broń to blef. Ja jestem blefem. Nie mam broni, nie mam pozwolenia na broń, jestem czczą pogróżką. Ale poza samym sobą nie mam nic innego, czym mógłbym zagrozić cholernemu sir Anthony'emu Joystonowi Bradshawowi.

Pomyślał o Rooke'u i Palfreyu siedzących bez słowa w gabinecie tego pierwszego, rozdzielonych aparatem telefonicznym. Po raz pierwszy niemal się uśmiechnął.

Zauważył drogowca, skrzył w lewo na nieutwardzoną drogę i ogarnęło go złudne wrażenie, że był tu kiedyś. Przeczytał w jakimś przemądrzałym czasopiśmie, że takie odczucia są efektem spotkania świadomości z podświadomością; wtedy doznajesz *déjà vu*. Nie wierzył w te brednie. Ich język doprowadzał go prawie do furii i teraz był bliski furii na samą myśl o nich.

Zatrzymał samochód.

Generalnie był zbyt bliski furii. Czekał, aż opadnie. Boże Wszechmogący, co się ze mną dzieje? Mogłem udusić Palfreya. Opuścił szybę, odchylił w tył głowę i łykał wiejskie powietrze. Zamknął oczy i stał się Jonathanem. Jonathanem ogarniętym niewyobrażalnym bólem, z odchylną do tyłu głową, niezdolnym do wyduszenia słowa. Jonathanem na mękach, prawie martwym i kochanym przez kobietę Ropera. Zamajaczyły przed nim kamienne słupki, ale nie widział na nich napisu „Lanyon Rose”. Zatrzymał samochód, podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił bezpośredni numer Geoffreya Darkera w Domu za Rzeką i usłyszał Rooke'a.

- Halo.

- Tylko sprawdzam - odparł Burr i wykręcił domowy numer

Darkera w Chelsea. Znowu usłyszał Rooke'a, burknął coś i rozłączył się.

Wykręcił numer Darkera na wsi. Ten sam rezultat. Nakaz zrealizowano.

Burr minął bramę i wjechał do zapuszczonego parku. Sarny martwo wpatrywały się w niego znad ogrodzenia. Chwasty gęsto zarosły trakt. Zabrudzona tabliczka głosiła: TOWARZYSTWO JOYSTONA BRADSHAWA, BIRMINGHAM. BIRMINGHAM było przekreślone. Pod spodem ktoś namazał błędnie słowo INFROMACJA i strzałkę. Burr minął mały staw. Po jego drugiej stronie na tle niespokojnego nieba zarysowała się sylwetka wielkiego domu. Jeszcze dalej w ciemności zbiły się w jedną masę zniszczone szklarnie i zaniedbane stajnie. Część stajni zamieniono kiedyś na biura. Zewnętrzne stalowe schody i ganki prowadziły do zamkniętych na kłódki drzwi. W głównym budynku oświetlona była tylko weranda i dwa okna parterowe. Wyłączył silnik i wziął czarną teczkę Goodhew z siedzenia pasażera. Zatrzasnął drzwi, wszedł po schodach. Z kamiennych odrzwi sterczała żelazna łapa. Pociągnął za nią, potem ją pchnął, ale nie drgnęła. Uderzył kołatką. Hałas zginął w szczekaniu psów i zachrypniętym męskim głosie, który szorstko nakazał:

- Cicho, zamknijcie się! Leżeć, do diabła! W porządku, Veronica, ja to załatwię. To ty, Burr?

- Tak.

- Sam jesteś?

- Tak.

Brzęk łańcucha sunącego po prowadnicy. Ruch ciężkiego zamka.

- Nie ruszaj się. Niech cię obwąchają - rozkazał głos.

Drzwi się otworzyły, dwa wielkie mastiffy obwąchały buty Burra, obsłiniły nogawki spodni i polizały ręce. Wszedł do przestronnego ciemnego holu cuchnącego wilgocią i popiołem drzewnym. Blade prostokąty wyznaczały miejsca, w których wisały kiedyś obrazy. Pojedyncza żarówka płonęła w żyrandolu. W jej blasku Burr ujrzał rozpustne oblicze sir Anthony'ego Joystona Bradshawa. Miał na sobie wystrzępiony smoking i koszulę frakową bez kołnierzyka.

Kobieta, Veronica, stała z boku w łukowatym przejściu. Siwa, stara, bez wieku. Żona? Niańka? Kochanka? Matka? Burr nie miał pojęcia. Obok niej stała dziewczynka. Miała jakieś dziewięć lat i nosiła granatowy szlafroczek ze złotą koronką na kołnierzu. Na kapturkach sterczały złote króliczki. Długie, jasne rozczesane włosy opadały dziewczynce na plecy. Wyglądała jak arystokratyczne dziecko francuskie w drodze na szafot.

- Cześć - zwrócił się do niej Burr. - Jestem Leonard.
- Do łóżka, Ginny - polecił Bradshaw. - Veronico, zabierz ją do łóżka. Muszę omówić ważne sprawy, kochanie, nie wolno nam przeszkadzać. Rozumiesz, chodzi o pieniądze. Rusz się. Daj nam całusa.

Czy „kochanie” było do Veroniki, czy do dziecka? Ginny i jej ojciec ucałowali się pod okiem Veroniki nieruszającej się z miejsca. Burr poszedł za Bradshawem do salonu długim, źle oświetlonym korytarzem. Zapomniał, że w wielkich domach czas płynie o wiele wolniej. Podróż do salonu trwała tak długo jak przejście przez ulicę. Przy kominku stały dwa fotele. Na ścianach widniały plamy wilgoci. Woda z sufitu kapiała do wiktoriańskich talerzy deserowych stojących na nagiej podłodze. Mastiffy ostrożnie ułożyły się przed kominkiem. Tak jak Burr nie spuszczały oka z Bradshawa.

- Szkocka? - spytał Bradshaw.
- Geoffrey Darker został aresztowany - powiedział Burr.

* * *

Bradshaw przyjął cios jak stary bokser. Wytrzymał go, ledwo się skrzywił. Stał nieruchomo, przymknięte, zapuchnięte oczy oceniały szkody. Zerknął na Burra, jakby oczekiwał dalszego ciągu ataku, a gdy Burr go nie ponowił, szurając, wystąpił pół kroku i wyprowadził seriami niegroźne kontry.

- Pierdoły. Kompletna bzdura. Kit. Kto aresztował Darkera? Ty? Ty byś nie aresztował pijanej kurwy. Geoffreya?! Nie odważyłbyś się! Znam cię. I znam też prawo. Jesteś wyrobkiem, płotką. Nawet nie z policji. Nie bardziej się nadajesz do aresztowania Geoffreya niż... - nie mógł znaleźć porównania - ...muchy - skończył słabo. Usiłował się zaśmiać. - Cholera, głupi tekst. - Odwrócił się do tacy z butelkami. - Chryste! - I potrząsnął głową na potwierdzenie tych słów. Nalał sobie szkockiej ze wspaniałej karafki, którą na pewno zapomniał sprzedać.

Burr nadal stał. Postawił tylko teczkę na podłodze.

- Jeszcze nie zwinęli Palfreya, ale jest na liście - kontynuował z kamiennym spokojem. - Darker i Marjoram zostali tymczasowo aresztowani do chwili przedstawienia zarzutów. Najprawdopodobniej jutro przed południem zostanie wydane oświadczenie, może po południu, jeśli uda się nam utrzymać prasę na dystans. Dokładnie za godzinę, chyba że wydam inne rozkazy, umundurowani funkcjonariusze policji przyjadą do tego domu wielkimi, bardzo błyszczącymi, bardzo hałaśliwymi samochodami i na oczach twojej córki i wszystkich innych osób, które są tu z tobą, zabiorą cię w kajdankach na komisa-

riat w Newbury, gdzie zostaniesz umieszczony w areszcie. Zajmiemy się tobą osobno. Dla pikanterii dorzucamy oszustwo. Oszustwa księgowo, świadome i systematyczne łamanie przepisów celnych i podatkowych, że nie wspomnę o współdziałaniu ze skorumpowanymi urzędnikami państwowymi i o kilku innych zarzutach, które radzimy ci przemyśleć, gdy będziesz się wylegiwał w celi, przygotowując się duchowo na siedmioletnią odsiadkę po złagodzeniu kary i próbie przerzucenia winy na Dicky'ego Ropera, Corkorana, Sandy'ego Langbourne'a, Darkera, Palfreya i każdego, kogo tylko będziesz nam mógł sprzedać. Ale, widzisz, ten rodzaj współpracy nie jest nam potrzebny. Bo Ropera też mamy w saku. Nie ma takiego portu na zachodniej półkuli, w którym nie czekałby na niego wielki krzepki facet z gotowymi papierami ekstradycyjnymi. Jedynym pytaniem pozostaje, czy Amerykanie dopadną „Pashę” na morzu, czy pozwolą im wszystkim na miłe wakacje, bo wygląda na to, że to są naprawdę ostatnie wakacje na długi, długi czas. - Uśmiechnął się. Mściwie. Szczerze. - Obawiam się, że raz wreszcie siły światła wygrały, sir Anthony. Jeśli zastanawiasz się, kto wchodzi w ich skład, to wiedz, że ja, Rex Goodhew i kilku całkiem sprytnych Amerykanów. Langley wyprowadziło w pole Darkera. Pewnie nie znasz Goodhew. No cóż, nie wątpię, że poznasz go na miejscu dla świadków. Z Rexa okazał się kawał aktora. Zarobiłby fortunę na scenie.

Burr patrzył, jak Bradshaw telefonuje. Wcześniej patrzył, jak grzebie na wielkim intarsjowanym biurku, rozrzucając rachunki i listy. Potem patrzył, jak podsuwa zużytą książkę telefoniczną do bladego światła zwykłej lampy i śliniąc palec, przewraca strony, aż dochodzi do litery „D”.

Potem patrzył, jak sztywnieje i zły, nadęty, zarozumiały krzyczy do telefonu:

- Z panem Darkerem, proszę. Panem Geoffreyem Darkerem! Sir Anthony Joyston Bradshaw chciałby z nim mówić w ważnej sprawie. Więc ruszaj z kopyta, dobrze?

Burr patrzył, jak pewność siebie opuszcza Bradshawa i usta zaczynają mu się rozchyłać.

- Kto mówi?! Jaki inspektor?! Co się dzieje? Dajcie mi Darkera. To pilne. Co?!

A gdy Burr usłyszał ze słuchawki pewny głos Rooke'a, z lekkim akcentem, zobaczył go oczyma duszy: Rooke w swoim gabinecie stoi przy telefonie, bo tak lubił rozmawiać, lewe ramię opuszczone wzdłuż boku, podbródek wysunięty - postawa defiladowa przy rozmowach telefonicznych.

I mały Harry Palfrey, trupio blady, przerażony i gotowy do współpracy, oczekuje na swoją kolej.

Bradshaw odłożył słuchawkę z ostentacyjną pewnością siebie.

- Włamanie do domu - oświadczył. - Policja na terenie posesji. Normalna procedura. Pan Darker pracuje do późna w swoim gabinecie. Skontaktowano się z nim. Wszystko w zupełnym porządku. Tak mi powiedziano.

Burr się uśmiechnął.

- Zawsze się to mówi, sir Anthony. Chyba nie spodziewasz się, że powiedzą ci, żebyś pakował manatki i zmykał?

Bradshaw wpatrywał się w Burra.

- Pierdoły - warknął, wracając do lampy i książki telefonicznej. - Cała ta sprawa jest gównem warta. To jakiś wygłup.

Tym razem dzwonił do biura Darkera i Burr widzi tę scenę w wyobraźni: Palfrey podnosi słuchawkę, bo wybiła godzina, w której odegra lojalnego agenta Burra; Rooke stoi przy nim, słucha, jego wielka dłoń spoczywa na ramieniu Palfreya, dodaje otuchy, a czyste, jasne spojrzenie towarzyszy Palfreyowi, gdy wygłasza swoje teksty.

- Potrzebny mi Darker, Harry - mówił Bradshaw. - Muszę z nim natychmiast rozmawiać. Absolutnie gardłowa sprawa. Gdzie on jest...? No, co to znaczy, nie wiesz...? Kurwa, Harry, co się z tobą dzieje...? Było włamanie do jego domu, policja tam jest, dzwoniła do niego, mówiła z nim, gdzie on jest...? Nie wciskaj mi tego gówna o operacji. Ja jestem operacja! To jest operacja! Znajdź go!

Przez długą chwilę Burr nic nie słyszał. Bradshaw przyciskał mocno do ucha słuchawkę. Zbladł i wystraszył się. Palfrey wygłasza swój wielki tekst. Szeptem, tak jak przećwiczył wcześniej z Burrem i Rookiem. Szepce go z przekonaniem, bo dla Palfreya ten tekst jest prawdziwy.

- Tony, wyłącz się, na litość boską! - nalega jęklwym głosem, trąc nos wolną ręką. - Bomba poszła w górę. Geoffrey i Neal siedzą w kłopotach po szyję. Burr i jego banda oskarżają nas o wszystko, co się da. Jacyś faceci łążą po korytarzach. Nie dzwoń więcej. Nie dzwoń do nikogo. Za drzwiami jest policja.

A potem, co najlepsze, Palfrey naciska widelki - albo Rooke robi to za niego - a Bradshaw zostaje jak słup soli z głuchą słuchawką przy uchu i otwartymi ustami, co pomaga w słuchaniu.

- Przyniosłem dokumenty, gdybyś chciał je przejrzeć - powiedział Burr lekkim tonem, gdy Bradshaw odwrócił się, by na niego spojrzeć. - Nie powinienem tego robić, ale muszę przyznać, że dostarczają mi nieco przyjemności. Mówiąc „siedem lat”, wykazałem

się pesymizmem. Jak ktoś pochodzi z Yorkshire, nie lubi przesady. Myślę, że raczej dostaniesz dziesięć.

Mówił głośniejsz, ale nie szybciej. Równocześnie wystudiowanymi ruchami rozpakowywał teczkę, jak magik zapowiadający wielkie widowisko. Czasami otwierał akta i zamierał, studiował jakiś list, zanim go odłożył. Czasami uśmiechał się i kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie do wiary”.

- Niesamowite, jak byle drobiazg może sprawić, że taka sprawa nabierze rozpędu w ciągu jednego popołudnia - rozmyślał w głos, mozoląc się z papierami. - Walimy prawdę kawa na ławę, ja, moje chłopaki i dziewczęta, i nikt nie chce nas słuchać. Za każdym razem walimy głową w mur. Mieliśmy dopracowaną do ostatniego szczegółu sprawę przeciwko Darkerowi od, och... - pozwolił sobie na kolejną pauzę, aby się uśmiechnąć - jak daleko sięgam pamięcią. Ja przynajmniej. A co do ciebie, sir Anthony, no cóż, ciebie mieliśmy chyba na celowniku od czasu, gdy chodziłem do podstawówki. Wiesz, ja naprawdę cię nienawidzę. Jest wielu ludzi, których chciałbym wsadzić za kratki i nigdy nie wsadzę, to prawda. Ale ty należysz do zupełnie osobnej kategorii. Należysz i należałeś. No cóż, tak naprawdę to wiesz o tym, no nie? - Kolejne akta zwróciły jego uwagę i pozwolił sobie na moment roztargnienia. - Nagle ni stąd, ni zowąd dzwoni telefon - w porze lunchu, ale na szczęście jestem na diecie - i ktoś, o kim w zasadzie nie słyszałem, mówi z biura prokuratora generalnego: „Hej, Leonardzie, może wpadłbyś do Scotland Yardu, wziął paru chętnych funkcjonariuszy i pojechał zdjąć tego faceta, Geoffreya Darkera? Już pora, żebyśmy oczyścili Whitehall, Leonardzie, pozbyli się tych wszystkich skorumpowanych urzędników i ich szemranych pośredników... takich ludzi, jak choćby sir Anthony Joyston Bradshaw... i dali przykład społeczeństwu. Amerykanie to robią, więc czemu my nie możemy? Czas pokazać, że nie zamierzamy zbroić przyszłych nieprzyjaciół...” te gadki szmatki. - Wyjął kolejne akta oznaczone ŚCIŚLE TAJNE, TYLKO DLA GWARDII i poklepał je z czułością. - Darker jest w tej chwili w dobrowolnym areszcie domowym. Tak to nazywamy. Tak naprawdę to czas spowiedzi, tylko że się tak na to nie mówi. Zawsze lubimy naciągać *habeas corpus*, kiedy mamy do czynienia z ludźmi z branży. Od czasu do czasu trzeba nagiąć prawo, inaczej nigdzie się nie dojdzie.

Za każdym razem blefuje się inaczej, ale zawsze niezbędny jest jeden element decydujący o współnictwie oszukującego i oszukiwanego,

mistyczny splot przeciwstawnych potrzeb. Dla człowieka, który znalazł się w konflikcie z prawem, może to być podświadoma potrzeba wyprostowania swoich ścieżek. Dla samotnego kryminalisty - potajemne pragnienie, aby dobić do stada, jakiegokolwiek stada, jeśli tylko zechce go przyjąć. A w przypadku starego playboya i łajdaka, Bradshawa - o to przynajmniej modlił się podniebny tkacz, obserwując swojego adwersarza, gdy czytał kolejne strony, cofał się, brał kolejne akta i znów czytał - tą przynętą, która wciągała go w pułapkę oszustwa Burra, był nawyk poszukiwania wyjątkowego traktowania za wszelką cenę, wypatrywanie najlepszej transakcji i zemsty na żyjących lepiej od niego.

- Na litość boską - jęknął w końcu Bradshaw, oddając Burrowi akta, jakby robiło mu się od nich mdło. - Nie ma potrzeby przesadzać. Trzeba znaleźć złoty środek. Musi jakiś być. Rozsądni ludzie nigdy nie mają z tym problemu.

Burr jakoś nie palił się do kompromisu.

- Och, sir Anthony, tu nie ma mowy o żadnym złotym środku - rzekł, odbierając akta i pakując je do teczki. Odżył w nim gniew. - Powiedziałbym, że jest to przesunięcie terminu imprezy do następnej okazji. Masz zadzwonić na „Iron Pashę” i zamienić dwa słowa z naszym wspólnym przyjacielem. Zrobisz to dla mnie.

- Dwa słowa na jaki temat?

- Powiedz mu, że gówno wpadło w wentylator. Powiedz mu to, co ci powiedziałem, co widziałeś, co zrobiłeś, co słyszałeś. - Wyjrzał przez niezastłonięte okno. - Widzisz stąd drogę?

- Nie.

- Szkoda, bo oni już tam są. Wydawało mi się, że moglibyśmy zobaczyć małe niebieskie światełko mrugające do nas z drugiej strony jeziora. Nawet z piętra się nie da?

- Nawet.

- Powiedz mu, że przejrzelismy cię na wylot, wykazałeś się nieostrożnością i prześledziliśmy waszych fałszywych odbiorców aż do źródła, i z zainteresowaniem śledzimy rejs „Lombardy” i „Horacia Enriquesa”, chyba że... Powiedz mu, że Amerykanie grzeją dla niego celę w Marion. Chcą przedstawić swoje zarzuty, chyba że... Powiedz mu, że jego potężni przyjaciele na dworze nie są już jego przyjaciółmi. - Wręczył Bradshawowi słuchawkę. - Powiedz mu, że się śmiertelnie boisz. Łkaj, jeśli jeszcze umiesz. Powiedz mu, że nie wytrzymasz w więzieniu. Niech cię znienawidzi za twoją słabość. Powiedz mu, że o mało nie zadusiłem Palfreya gołymi rękoma, ale to dlatego, że przez chwilę wziąłem go za Ropera.

Bradshaw oblizał wargi, czekał. Burr przeszedł przez pokój i zatrzymał się w mroku okna po drugiej stronie.

- Chyba że co? - spytał nerwowo Bradshaw.

- Wtedy powiedz mu to - podjął z wielką niechęcią Burr. - Wycofam wszystkie zarzuty. Przeciw tobie i przeciw niemu. Tym razem. Jego statki nie zostaną zatrzymane. Darker, Marjoram, Palfrey trafią tam, gdzie ich miejsce. Ale on, ty i ładunki nie. - Jego głos zabrzmiał mocniej. - I powiedz mu, że będę go ścigał na koniec świata, a się nie poddam. Że zanim umrę, odetchnę świeżym powietrzem. - Na moment zawiodły go nerwy, ale opanował się. - Ma na jachcie człowieka nazwiskiem Pine. Może o nim słyszałeś. Corkoran dzwonił do ciebie z Nassau, pytał o niego. Kapusie zza Tamizy grzebali w jego przeszłości, żebyś miał co donieść. Jeśli Roper w ciągu godziny od rozmowy z tobą puści Pine'a... - znowu zawiesił głos - zamknę sprawę. Ma moje słowo.

Bradshaw wpatrywał się w niego z mieszaniną zdumienia i ulgi.

- Jezu Chryste, Burr. Pine to musi być gość! - Radosne podejrzenie wpadło mu do głowy. - Słuchaj, chłopie, a może ty też przypadkiem chciałbyś wejść w ten interes, co? - spytał. Ale napotkał spojrzenie Burra i stracił nadzieję.

- Powiesz mu, że chcę też dziewczynę - dodał Burr tak, jakby niemal przyszło mu to do głowy w ostatniej chwili.

- Jaką dziewczynę?

- Pilnuj własnego cholernego nosa. Chodzi o Pine'a i dziewczynę. Całych i zdrowych.

Nienawidząc samego siebie, Burr zaczął dyktować numer satelitarnej łącza „Iron Pashy”.

Później, tej samej nocy, Palfrey szedł spacerem, nie zwracając uwagi na deszcz. Rooke wsadził go do taksówki, ale Palfrey zapłacił i wysiadł. Był gdzieś w okolicach Baker Street, tam gdzie Londyn zamienił się w jakieś arabskie miasto. W oświetlonych neonami oknach hotelików stały leniwe, chaotyczne grupki ludzi o ciemnych oczach. Mężczyźni przesuwali w rękach paciorki różańców, gestykulowali, podczas gdy dzieci bawiły się nowymi elektrycznymi kolejkami, a kobiety w chustach prowadziły rozmowy. Pomiedzy hotelami stały prywatne kliniki i Palfrey zatrzymał się w jasnym wejściu jednej z nich, być może zastanawiając się, czy się tam nie zgłosić, a potem zrezygnował i poszedł dalej.

Nie miał na sobie płaszcza ani kapelusza, nie niósł parasola. Przejeżdżająca obok taksówka zwolniła, ale roztargnienie na twarzy

Palfreya nie wypadło zachęcająco. Przypominał człowieka, który pomylił się w jakiejś podstawowej sprawie. Może chodziło o samochód - na której ulicy go zostawił? Może chodziło o żonę, kobietę - gdzie się umówili? Poklepał się po kieszeniach przemoczonej marynarki, jakby szukał kluczy, papierosów albo pieniędzy. Wszedł do pubu tuż przed zamknięciem, położył na stole pięćofuntowy banknot, wypił podwójną czystą whisky, wyszedł, zapominając o reszcie i mrucząc głośno: „Apostoł” - chociaż jedyny świadek, który potem to potwierdził, student teologii, myślał, że nieznajomy deklaruje się jako apostata. Znowu wchłonęła go ulica i poszukiwał swojego celu, prześlizgując wzrokiem po wszystkim, ale nie akceptując niczego - nie, to nieodpowiednie miejsce, nie tu, tu też nie. Stara prostytutka z tlenionymi włosami zawołała na niego pogodnie z wejścia budynku, ale pokręcił głową - ty też nie. Wciągnął go kolejny pub, właśnie gdy barman ogłosił, że przyjmuje ostatnie zamówienie.

- Gość nazwiskiem Pine - rzekł Palfrey, przepijając z roztargnieniem do jakiegoś człowieka. - Bardzo zakochany. - Ten wypił z nim w milczeniu, bo Palfrey wydał mu się trochę podłamany. Ktoś musiał mu poderwać dziewczynę - pomyślał. Nic dziwnego. Takiemu kurdupłowi.

Palfrey wybrał wysepkę, trójkąt ograniczony krawężnikiem i barierką, która wydawała się wahać, czy bronić ludziom wstępu do środka, czy chronić przed tym, co na zewnątrz. Ale wyglądało, że wysepka też nie jest ostatecznym celem jego poszukiwań, może była raczej czymś w rodzaju punktu obserwacyjnego lub orientacyjnego.

I nie skorzystał z bezpiecznego schronienia za barierką.

Inny świadek powiedział, że zachował się jak dziecko na boisku szkolnym; stojąc tyłem do barierki, przerzucił przez nią ramiona, a piętami wsparł się o krawężnik, tak że przez to wyglądał, jakby trzymał się nieruchomej karuzeli, i przyglądał się nocnym autobusom pospiesznie mijającym go w drodze do zajezdni.

Wreszcie jak ktoś, kto zorientował się w swoim położeniu, wyprostował się, aż przypominał starego żołnierza w Dzień Zwycięstwa, wybrał szczególnie szybko nadjeżdżający autobus i rzucił się pod koła. I na tej konkretnej prostej, o tej nocnej godzinie, gdy nawierzchnia w ulewnym deszczu zamieniła się w ślizgawkę, biedny szofer był doprawdy kompletnie bezradny. Palfrey na pewno nie miałby do niego najmniejszej pretensji.

W kieszeni znaleziono nieco sfatygowany testament. Sporządzony odręcznie, ale fachowo. Palfrey anulował wszystkie długi i wyznaczał Goodhew na wykonawcę swojej ostatniej woli.

„Iron Pasha”, tysiąc pięćset ton wyporności, siedemdziesiąt pięć metrów długości, zbudowany w 1987 roku ze stali przez holenderską firmę Feadship na zamówienie obecnego właściciela, projekt wnętrza Lavinci, Rzym, napędzany dwoma silnikami wysokoprężnymi o mocy dwóch tysięcy koni mechanicznych i wyposażony w stabilizatory Vospera, radarowy system łączności satelitarnej Inmarsat, w tym system antykolizyjny i radarowy system wczesnego ostrzegania - nie wspominając o faksie, teleksie, kilkunastu skrzynkach Dom Perignon i żywej choince w opakowaniu czekającej na uroczystości bożonarodzeniowe - wypłynął z Nelson's Dockyard, English Harbour na Antigui na Antylach, i z porannym pływem udał się na zimowy rejs wycieczkowy po Wyspach Zawietrznych i Grenadynach, a docelowo do Curaçao, mijając wyspy Blanquilla, Orchila i Bonaire.

Parę co znaczących nazwisk z modnego klubu Antigui, St. James Club, zgromadziło się na nadbrzeżu, żegnając jacht, rozbrzmiało wiele syren i gwizdków ze statków, gdy niezmiennie popularny międzynarodowy przedsiębiorca, pan Dicky Onslow Roper, i jego elegancko odziani goście stali na rufie swojej jednostki, machając na pożegnanie przy okrzykach: „Szczęśliwej drogi” i „Baw się dobrze, Dicky, zasłużyłeś na to”. Na maszcie trzepotała osobista bandera pana Ropera z wizerunkiem błyszczącego kryształu. Wielbicieli wytwornego towarzystwa zostali uraczeni widokiem takich znanych faworytów elity jak lord Langbourne (dla bliskich Sandy) pod ramię z żoną Caroline, co zaprzeczało plotkom o rozwodzie, i ołśniewającej panny Jemimy Marshall (dla przyjaciół Jed), stałej towarzyszką życia pana Ropera od ponad roku oraz sławnej pani domu na bajkowej wysepce Ropera na Exumach.

Pozostałą szesnastkę gości stanowiła starannie wybrana grupa międzynarodowych grubych ryb, w której znalazły się takie filary dobrego towarzystwa jak Petros (Party) Kaloumenos, który niedawno

starał się zakupić od greckiego rządu wyspę Spetsai, Bunny Saltlake, dziedziczka amerykańskiego imperium zup w puszkach, Geny Sandown, brytyjski kierowca wyścigowy, ze swą francuską żoną, amerykański producent filmowy Marcel Heist, którego jacht „Marcelinę” właśnie budowano w Bremerhaven. W grupie nie było dzieci. Goście, którzy nigdy poprzednio nie żeglowali na „Pashy”, najczęściej spędzali pierwsze dni, rozkoszując się jego luksusowym wyposażeniem: ośmioma kabinami, każda z wielkim podwójnym łóżem, sprzętem hi-fi, telefonem, kolorowym telewizorem, grafikami Pierre'a-Josepha Redoute i zabytkową boazerią; miękko oświetlonym edwardiańskim salonem z tapicerką z czerwonego pluszu, zabytkowymi stolikami do gry i osiemnastowiecznymi popiersiami z brązu na postumentach z drewna orzechowego, ustawionymi we wnękach; jadalnią z meblami z klonowego drewna i wizerunkami nimf w stylu Watteau; basenem, jacuzzi, solarium i urzędzoną w stylu włoskim rufą, na której spożywano nieformalne kolacje.

Ale o panu Dereku Thomasie z Nowej Zelandii redaktorzy rubryki towarzyskiej nie napisali ani słowa. Nie pojawił się w żadnym prospekcie reklamowym Ironbrand. Nie stał na pokładzie i nie machał dłonią przyjaciołom na brzegu. Nie stawił się na kolacji i nie zachwyił gości przy stole swoją wrażliwością. Przebywał w pomieszczeniu, które na „Pashy” było najbliższym odpowiednikiem piwnicy ze szlachetnymi winami Herr Meistra; skuty, zakneblowany, leżał w mroku, krwawił w samotności urozmaicanej wizytami majora Corkorana i jego asystentów.

Załoga „Iron Pashy” wraz z pozostałym personelem liczyła sobie dwadzieścia osób. Należał do nich kapitan, bosman, mechanik, jego pomocnik, kucharz dla gości i kucharz dla załogi, stewardesa i gospoia, czterech majtków i ochmistrz. Do tego dochodzili piloci - śmigłowca i wodnopłatowca. Ochrona została wzmocniona Argentyńczykami niemieckiego pochodzenia, którzy przylecieli z Jed i Corkoranem z Miami i podobnie jak jacht, którego strzegli, mieli oszałamiające wyposażenie. Tradycja piractwa w tym regionie bynajmniej nie wyginęła i arsenał zapewniał utrzymanie długiej wymiany ognia na morzu, odstraszenie natrętnej jednostki powietrznej lub zatopienie statku próbującego abordażu. Zbrojownia mieściła się w ładowni dziobowej, w której swoje kwatery miała również ochrona, za stalowymi wodoszczelnymi grodziami zabezpieczonymi dodatkowo kratą. Czy tam trzymano Jonathana? Po trzech dniach na morzu

Jed była o tym przekonana. Lecz gdy spytała Ropera, zdawał się jej nie słyszeć, a gdy indagowała Corkorana, zadarł głowę i ściągnął brwi z naganą.

- Niepewny grunt, kochana - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Radzę, pokazuj się, ale głosu nie zabieraj. Jedz, śpij i siedź cicho. Tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich. Nie powołuj się na mnie.

Przemiana, którą wcześniej zaobserwowała u Corkorana, była teraz całkowita. Szczurza gorączkowość zastąpiła poprzednią gnuśność. Uśmiechał się rzadko i wydawał cięte rozkazy męskim członkom załogi bez względu na to, czy byli pospolitej czy szczególnej urody. Przypiął baretki odznaczeń do spleśniałego smokinga i wpadł w manię wygłaszania bombastycznych tyrad na temat globalnych problemów, kiedy tylko nie było Ropera, żeby kazać mu się zamknąć.

Dzień przybycia Jed na Antiguę był najgorszym dniem w jej życiu. Do tej pory miała sporo najgorszych dni w życiu - za sprawą katolickiego wychowania miała ich całą masę. Był taki dzień, gdy matka przełożona weszła do dormitorium i kazała się pakować, a taksówka czekała już przy drzwiach. Tego samego dnia ojciec kazał jej udać się do jej pokoju, podczas gdy sam odbierał księżę nauki, jak ma pokierować szesnastoletnią początkującą dziwką, złapaną jak ją pan Bóg stworzył w szopie ogrodnika z wiejskim chłopakiem, który bardzo się starał ją zdeflorować, ale mu się nie udało. Był taki dzień w Hammersmith, gdy dwaj chłopcy, z którymi nie chciała pójść do łóżka, upili się i postanowili wspólnie zawalczyć o swoją sprawę, po czym kolejno trzymali Jed, gdy gwałcili ją na zmianę. I były te zbyt szaleńcze dni w Paryżu, zanim przeszła nad pokotem śpiących prosto w ramiona Dicky'ego Ropera. Ale dzień, w którym wkroczyła na pokład „Iron Pashy” w English Harbour, pobił wszystkie tamte na głowę.

W samolocie ignorowała zawołane obelgi Corkorana, kryjąc się za czasopismami. Na lotnisku w Antigui złapał ją brutalnie pod ramię, a gdy usiłowała się wyrwać, ścisnął ją jak szponami, podczas gdy dwaj blondyni deptali jej po piętach. W limuzynie Corkoran siedział z przodu, a chłopcy siedzieli zbyt blisko po obu stronach Jed. Gdy wchodziła po trapie na „Pashę”, cała trójka zbiła się wokół niej, niewątpliwie demonstrując Roperowi - jeśli się temu przyglądał - że wykonują rozkazy. Doprowadzona pod drzwi apartamentu szefa musiała czekać, aż Corkoran zastuka.

- Kto to? - spytał niecierpliwie ze środka Roper.
- Panna Marshall, szefie. Cała i stosunkowo zdrowa.

- Wprowadź ją, Corks.
- Z bagażem, szefie, czy bez?
- Z bagażem.

Weszła do środka. Roper siedział przy biurku, plecami do drzwi. I siedział tam nadal, podczas gdy steward zaniósł bagaże do sypialni i się wycofał. Czytał coś, sprawdzał, sunąc piórem po tekście w trakcie lektury. Był to kontrakt, cokolwiek. Czekala, aż skończy lub przerwie i odwróci się do niej, nawet wstanie. Nie. Doszedł do końca strony, skreślił coś, pomyślała, że parafkę, przewrócił stronę i czytał dalej. Był to gruby, wypisany maszynowo dokument, niebieski z czerwoną obwódką i pociągniętym na czerwono marginesem. Pozostało jeszcze całkiem dużo kartek. Pisze testament - zdecydowała. „I mojej byłej kochance, Jed, zostawiam absolutne gówno...”

Miał na sobie granatowy jedwabny szlafrok z szalowym kołnierzem i szkarłatną lamówką. Zwykle gdy go wkładał, znaczyło to, że będą się kochać albo właśnie to robili. Czytając, od czasu do czasu prostował ramiona, jakby wyczuwał, że Jed je podziwia. Zawsze był dumny z linii swoich ramion. Jed nadal stała. Dzielili ich odległość dwóch metrów. Jed miała na sobie džinsy, sweter do bioder i kilka złotych naszyjników. Lubił, gdy nosiła złoto. Dywan był ciemnobrązowy i nowiutki. Bardzo drogi, bardzo puszysty. Wybierali go razem, oglądając próbki przed kominkiem na Crystal. Jonathan służył radą. Po raz pierwszy widziała ten dywan w całej okazałości.

- Nie przeszkadzam ci? - spytała, gdy nadal nie odwracał głowy.
- W żadnym razie - odparł. Nie podniósł głowy znad papierów.

Przysiadła na brzeżku fotela, kładąc na kolanach torebkę z gobelinowej tkaniny. Roper był tak oszczędny w ruchach, mówił tak opanowanym głosem, że spodziewała się, iż lada chwila wstanie i ją uderzy, prawdopodobnie wszystko jednym ruchem, mocne uderzenie wierzchem dłoni przeniesie ją prosto w środek przyszłego tygodnia. Miała raz włoskiego chłopaka, który ukarał ją w ten sposób za strojenie sobie żartów. Siłą ciosu przeleciała przez cały pokój. Powinien ją obalić, ale poczucie równowagi nabyte podczas jazdy konnej pomogło i gdy tylko chwyciła swoje rzeczy z łazienki, siłą rozpędu wyniosła się z domu.

- Powiedziałem im „homar” - rzekł Roper, gdy tylko złożył kolejną parafkę na dokumencie. - Uznałem, że zasługujesz na homara po tym numerku Corky'ego U Enza. Homar może być?

Nie odpowiedziała.

- Chłopaki mówią mi, że trochę się kotłowałeś z naszym braciszkiem Thomasem. Podobało się? Przy okazji, naprawdę nazywa

się Pine. Dla ciebie Jonathan.

- Gdzie on jest?

- Tak sądziłem, że o to spytasz. - Odwrócił stronę. Uniósł rękę. Poprawił połówki na nosie. - Długo trwało, no nie? Szybkie numerki w letnim domu? Spuszczanie majtek w lesie? Cholernieście dobrzy oboje, muszę przyznać. Cała ta obsługa dookoła. Ja też niegłupi. Nic nie zauważyłem.

- Jeśli ci mówią, że spałam z Jonathanem, to nieprawda.

- Nikt nie mówił o sypianiu.

- Nie jesteśmy kochankami.

Pamiętała, że powiedziała to samo matce przełożonej, ale nie na wiele się to zdało. Roper przerwał czytanie, ale nie odwrócił głowy.

- Więc kim jesteście? - spytał. - Jeśli nie kochankami, to kim?

Jesteśmy kochankami - przyznała bezradnie. Nie sprawiało żadnej różnicy, czy byli kochankami w sferze fizycznej czy jakiejś innej. Jej miłość do Jonathana i zdrada Ropera były faktami dokonanymi. Reszta, tak jak w szopie, to szczegóły techniczne.

- Gdzie on jest? - spytała.

Zbytnio zaangażował się w lekturę. Poruszył ramionami, gdy dokonywał jakiejś poprawki swoim mont blankiem, piórem długości dzidy.

- Jest na jachcie?

Siedział nieruchomo jak posąg, milczał zamyślony jak jej ojciec. Ale ojciec martwił się, że świat chyli się ku upadkowi, i biedaczysko nie miał najmniejszego pojęcia, jak go przed tym upadkiem powstrzymać. Tymczasem Roper przykładał do tego rękę.

- Mówi, że zrobił wszystko sam - powiedział. - To prawda? Jed nic nie zrobiła. Pine jest be, Pine wszystko zrobił. Jed jest czysta jak łąza. Zresztą zbyt tępa, żeby zrozumieć, do czego to prowadzi. Wszystko jego robota.

- Jaka robota?

Roper odłożył pióro i wstał. Nadal omijał ją wzrokiem. Podeszedł do ściany pokrytej boazerią i nacisnął guzik. Odsunęły się drzwi barku. Otworzył lodówkę, wyjął butelkę Dom Perignon, odkorkował i nalał szampana do kieliszka. Potem, jakby idąc na kompromis, odezwał się do odbicia w lustrzanym wnętrzu barku, gdzie mogła się ujrzeć między rzędami butelek czerwonego wina, wermutów i campari.

- Pijesz? - spytał prawie czule, podnosząc butelkę szampana i proponując go odbiciu Jed.

- Jaką robotę? O co go podejrzewasz?

- Nie mówi. Pytano go, ale nie mówi. Co zrobił, dla kogo, z kim, dlaczego, od kiedy. Kto mu płaci. Nic. Mógłby sobie zaoszczędzić diabelnie dużo kłopotów, gdyby powiedział. Rycerski gość. Dokonałaś dobrego wyboru. Gratulacje.

- Czemu miałby zrobić cokolwiek? Co z nim wyprawiasz? Wypuść go.

Odwrócił się i podszedł do niej wreszcie, patrząc na nią wprost blądymi, wypłowiałymi oczami, i tym razem była przekonana, że ją uderzy, bo jego uśmiech był tak nienaturalnie spokojny, jego zachowanie było pełne tak wystudiowanej niedbałości, że musiał przeżywać coś innego, niż pokazywał na zewnątrz. Nadal miał na nosie okulary do czytania, więc żeby na nią spojrzeć, pochylił głowę. Jego uśmiech był uczciwy i bardzo znajomy.

- Chodzący ideał ten twój kochaś, co? Nieskalany jak biała lilia. Niepokalany. Gówno prawda, kochanie. Wziąłem go tylko dlatego, że jakiś najęty bandzior przytknął pistolet do głowy mojemu dziecku. Chcesz mi powiedzieć, że Pine nie brał w tym udziału? Powtórzę: gówno prawda, kochaneczko. Pokaż mi świętego, zapłacę za świeczkę. Wcześniej nie wypuszczę pieniędzy z kieszeni. - Fotel, który wybrała, był niebezpiecznie niski. Gdy Roper się nad nią pochylił, jego kolana znajdowały się na wysokości jej szczęki. - Myślałem o tobie, Jeds. Zastanawiałem się, czy jesteś aż taka głupia, jak udajesz? Czy ty i Pine nie trzymacie spóły? Kto kogo poderwał na tej aukcji koni, no? - Pociągnął ją za ucho, żartując sobie z niego. - Kobiety są cholernie zmyślne. Mądrale, mądralińskie. Nawet kiedy udają, że mają pusto w głowie. Starają się, żebyś myślał, że ty je wybrałeś, a faktem jest, że one wybrały ciebie. Jesteś wtyka, Jeds? Nie wyglądasz na wtykę. Wyglądasz, cholera, na piękną kobietę. Sandy myśli, że jesteś wtyką. Sam chciałby się z tobą pokotłować. Corks „nie byłby zaskoczony”, gdybyś była wtyką. - Uśmiechnął się głupawo: - A twój bogaty chłopak nie mówi nic. - Przy każdym słowie pociągał za ucho. Nie boleśnie. Żartobliwie. - Bądź z nami szczerą, Jeds, kochanie, co? Podziel się dowcipem. Bądź równa. Jesteś wtyką, no nie, skarbeczku? Wtyką ze śliczną dupą, tak?

Przesunął rękę do jej podbródka. Trzymając go kciukiem i palcem wskazującym, podniósł jej głowę i spojrzał w twarz. W jego oczach dostrzegła rozbawienie, tak często brane przez nią za dobroć, i kolejny raz pomyślała, że człowiek, którego kochała, był kimś, kogo złożyła z części, w które chciała uwierzyć, ignorując te, które jej nie odpowiadały.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała. - Dałam się pode-

rwać. Byłam przestraszona. Okazałeś się aniołem. Nigdy nie zrobiłeś mi krzywdy. Do tej pory. I dałam ci to, co miałam najlepszego. Wiesz, że dałam. Gdzie on jest? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.

Puścił ją i odszedł w głąb pomieszczenia, trzymając kieliszek w wyciągniętej ręce.

- Dobry pomysł, dziewczyno - rzekł z aprobatą. - Dobra robota. Pomóż mu prysnąć. Pomóż prysnąć swojemu kochasiowi. Włóż pilnik do bułki paryskiej. Podaj przez kratę w dniu widzenia. Szkoda, że nie wzięłaś ze sobą Sary. Moglibyście oboje odjechać w kierunku zachodzącego słońca. - Nie zmienił tonu, pytając: - Przypadkiem nie znasz faceta nazwiskiem Burr, nie, Jeds? Imię Leonard. Głupek z północy. Wiecznie spocony. Ewangelię zna na blachę. Pewnie mówił, że nazywa się Smith. Szkoda. Myślałem, że może go znasz.

- Nie znam nikogo takiego.

- Zabawne. Pine też nie.

Ubrali się do kolacji, stojąc do siebie plecami, wybierając starannie garderobę. Zaczęło się oficjalne szaleństwo ich dni i nocy na „Iron Pashy”.

Menu. Dyskusje ze stewardem i kucharzami. Pani Sandown jest Francuzką, stąd też kuchnia wszystkie jej opinie traktuje jak ewangelię, mimo że pani Sandown je tylko sałatki i przysięga, że zupełnie nie zna się na gotowaniu.

Pranie. Gdy goście nie jedzą, przebierają się, kąpią i kopulują, co oznacza, że każdego dnia muszą mieć czystą pościel, ręczniki, ubrania, serwety i serwetki. Życie jachtu stoi na jedzeniu i pralni. Cała sekcja pokładu służbowego jest zastawiona rzędami pralek, wirówek i żelazek. Dwie stewardesy obsługują te urządzenia od świtu do zmierzchu.

Włosy. Morski wiatr robi straszne rzeczy z włosami. O piątej każdego popołudnia pokład dla gości szumi suszarkami do włosów, które mają tę szczególną cechę, że psują się w połowie zabiegów. Stąd też punkt osiemnasta Jed może się spodziewać widoku rozsierdzonej półnagiej damy przemykającej z zamilkła suszarką. Pada: „Jeds, kochanie, nie dałoby się...?” - bo gosposia o tej porze dokonuje finalnego przeglądu stołu przed kolacją.

Kwiaty. Każdego dnia wodnopłat odwiedza najbliższą wyspę i przywozi kwiaty, świeże ryby, owoce morza, jajka, gazety i pocztę. Ale Roper najbardziej zwraca uwagę na kwiaty, „Iron Pasha” z nich słynie i widok zwiędniętych lub nieodpowiednio ułożonych kwiatów

może wywołać pod pokładem poważne wstrząsy.

Rozrywki. Gdzie wpadniemy, popływamy, ponurkujemy, kogo odwiedzimy, czy dla odmiany zjemy kolację na łądzie, pošlemy śmigłowiec lub wodnopłat po Kogoś, odstawimy Kogoś Innego na brzeg? Gdyż goście na „Pashy” nie są stałym zbiorem. Zmieniają się z wyspy na wyspę zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, wprowadzają świeżą krew, świeże banały, świeże sprawy związane z Bożym Narodzeniem. „Jestem potwornie do tyłu z przygotowaniami, kochanie, nawet nie pomyślałam o prezentach” i „Czy już nie czas, żebyście z Dickim pomyśleli o małżeństwie? Wyglądacie jak para gołąbeczków”.

I Jed w swoim szaleństwie ulega szaleństwu tego harmonogramu, czeka na okazję. Uwaga Ropera o pilniku w bułce nie była pozbawiona sensu. Jed dałaby się przelecieć wszystkim pięciu ochroniarzom i Langbourne'owi, i nawet Corkoranowi, gdyby miał na to ochotę, byle znaleźć się blisko Jonathana.

A gdy czeka, wszystkie rytuały jej uporządkowanego dzieciństwa i szkoły zakonnej - zasada „zagryź zęby i uśmiechaj się” - miażdżą ją w poniżającym uścisku. Gdy się do nich stosuje, nic nie jest realne, ale również nic nie wymyka się spod kontroli. Jest wdzięczna za oba te błogosławieństwa, a okazja przecież może się pojawić. Gdy Caroline Langbourne raczy ją rozprawą o przyjemnościach małżeństwa z Sandym, teraz gdy ta kurewka niańka została bezpiecznie odesłana do Londynu, Jed uśmiecha się marzycielsko i mówi:

- Och, Caro, kochanie, jestem tak strasznie szczęśliwa ze względu na was. I naturalnie ze względu na dzieci.

Gdy Caroline dodaje, że zapewne wygadywała jakieś absolutnie niestworzone rzeczy o transakcjach, które Dicky i Sandy właśnie prowadzą, ale mówiła to wszystko przez Sandy'ego i naprawdę musi przyznać, że widziała rzeczy czarniejszymi, niż są w rzeczywistości - i szczerze, jak człowiek może w dzisiejszych czasach zarobić na chleb, nie brudząc sobie troszkeńkę rąk? - Jed też jest z tego zadowolona i zapewnia Caro, że i tak nie pamięta słowa z tego, co Caro mówiła, bo kiedy mowa o interesach, to wszystko wpada jej jednym uchem, a wypada drugim, i dzięki za to Bogu...

A w nocy śpi z Roperem, czeka na okazję.

W jego łóżku.

Ubierając się i rozbierając w jego obecności, nosząc biżuterię od niego i bawiąc jego gości.

Zbliżenie najczęściej następuje o świcie, gdy jej wola, jak wola umierających, jest najsłabsza. On wyciąga rękę i ona z jakąś przerażającą ochotą od razu reaguje na wezwanie, mówi sobie, że czyniąc to, tępi kły oprawcy, ujarzmią go, przekupuje, zawiera z nim pokój, by ratować Jonathana. I czeka na okazję.

Bo przez cały czas w tym szaleńczym milczeniu, które oboje zachowują po pierwszej wymianie ognia, próbuje wykupić od Ropera właśnie to - szansę na przedarcie się przez jego strażę. Mogą śmiać się razem z czegoś tak niesłychanego jak zepsuta oliwka. Ale nawet podczas zmagani seksualnych nie wspominają o jednym temacie, który nadal ich łączy: o Jonathanie.

Czy Roper na coś czeka? Jed wierzy w to i sama czeka. Po co Corkoran pukałby o najdziwniejszych porach do paradnego apartamentu, wtykałby głowę, kręcił nią przecząco i znikał? W jej koszmarach sennych Corkoran gra rolę kata Jonathana.

Teraz wie, gdzie on jest. Roper jej nie powiedział, ale bawił się przednio, obserwując Jed, gdy krok po kroku zauważała tropy i składała je w całość. I już wie.

Najpierw zauważa dziwne grupki na dziobie łodzi, na dolnym pokładzie za kabinami gości: zwróciła uwagę na skupiska ludzi, na atmosferę wypadku. Nie potrafi dopatrzeć się niczego konkretnego, a zresztą ta sekcja zawsze była dla niej czymś dalekim. W dniach niewinności słyszała, że mówiono na nią „strefa ochrony”. Innym razem „izba chorych”. To jedyna część jachtu, która nie należy ani do gości, ani do załogi. A ponieważ Jonathan nie jest ani tym, ani tym, Jed uważa, że izba chorych jest dla niego odpowiednim miejscem. Szwendając się bez celu przy kuchni, Jed zauważa tacki z jedzeniem dla chorego, o którym nic nie wie. Gdy tacki idą na dziób, są pełne. Wracają puste.

- Czy ktoś jest chory? - pyta natarczywie Frisky'ego, zastępując mu drogę.

Frisky, którego nigdy nie cechowała uprzejmość, teraz jest bezczelny.

- A czemu miałyby być? - pyta zuchwale, niosąc tackę w górze jedną ręką.

- No to kto je papki, jogurty, rosoły z kurczaka? Dla kogo to?

Frisky udaje, że po raz pierwszy zauważa zawartość tacki.

- Och, to chodzi o Tabby'ego, panienko. - Nigdy wcześniej nie mówił do niej „panienko”. - Tabby'ego trochę zęby bolą. Na Antigui wyrwano mu ząb mądrości. Dużo krwawił. Jest na środkach

przeciwbólowych. Właśnie.

Zaczęła się domyślać, kogo odwiedza i kiedy. Rytuály, które reguluj jej życie, maj t zalet, że najmniejsza nieregularno zdarze na statku zwraca uwag; Jed wie instyktownie, czy sliczna filipinska stewardesa by w ozku kapitana, bosmana czy Sandy'ego Langbourne'a pewnego popoudnia, gdy Caroline opala si na rufie. Zauwayla, że to trzej zaufani Ropera - Frisky, Tabby i Gus - spi w kabinie nad schodkami do pomieszczenia, w którym, teraz wie, jest cela Jonathana. A Argentyczycy z drugiej burty moe maj jakie podejrzenia, ale nie s dopuszczeni do tajemnicy. I Corkoran - nowy, nadty, nadgorliwy Corkoran - odbywa tam przechadzki dwa razy dziennie, wyrusza uroczyty i wraca grubianski.

- Corky - zaklina go, liczc na star przyjaz. - Corky, kochanie, prosz... na lito bosk... jak on si ma, czy jest chory? Wie, że tu jestem?

Ale twarz Corkorana kryj cienie mroku, z którego si wynurzy.

- Ostrzegem ci, Jed. Daem ci szans - mwi z irytacj. - Nie suchalas mnie. Byas uparta. - I odchodzi swoj drog jak obraony wony.

Sandy Langbourne rwnie bywa tam gociem. Jed wybiera por po kolacji, podczas jego wieczornych oww na bardziej interesujce towarzystwo ni wasna ona.

- Sandy, ty draniu - szepce, gdy mija j spacerowym krokiem. - Ty doszcztnie zepsuty, cholerny gnoju.

Ten atak nie robi na Langbourne najmniejszego wraenia.

Jest zbyt pikny i zbyt znudzony, żeby si tym przejmowa.

I Jed wie, że rwnie Roper odwiedza Jonathana, bo jest niezwyajnie zamylony, gdy wraca z dziobu. Nawet gdyby nie widziaa go tam idcego, zgadaby po jego zachowaniu, skd wraca. Podobnie jak Langbourne lubi wieczory. Najpierw przechadzka po pokladzie, pogaduszka z kapitanem albo telefon do jednego z wielu maklerw, dealerw walutowych i bankierw na caym swiecie: moe by tak przyoy si mocno do mareczek, Bili?... do frankw, Jack?... do jenw, funta, escudo, malezyjskiego kauczuku, rosyjskich diamentw, kanadyjskiego zota? Potem stopniowo, mijajc te i inne przystanki, zdaj, jak sciagany magneem, w kierunku dziobu. I znika. A gdy si znw pojawia, ma zachmurzon twarz.

Ale Jed jest za mdra, aby baga, kac, krzycec czy robi scen. Doprowadzi do tego, że Roper stanie si niebezpieczny, moe tylko scena, bezpodstawne zagroenie dla jego szacunku wobec samego siebie, cholerna kobieta chlpica u jego stp.

I Jed wie, a przynajmniej myśli, że wie, iż Jonathan robi to, co robił w Irlandii. Zabija się własną odwagą.

Było tu lepiej niż w piwnicy Herr Meistra, ale było również dużo, dużo gorzej. Nie błądził między czarnymi ścianami. Ale to dlatego, że został do nich przykuty. Nie zapomniano o nim, o jego obecności wiedzieli kolejni opiekunowie. Ale ci sami opiekunowie zakneblowali mu usta gałganem z kozłej skóry i zakleili je przylepcem, i chociaż dali do zrozumienia, że usuną te niewygody, gdy tylko zasygnalizuje, że ma zamiar mówić, zademonstrowali mu już, iż sygnał dany beztrząsco wywoła fatalne konsekwencje. Od tej pory w sposób stanowczy trzymał się polityki całkowitego milczenia. Unikał nawet „dzień dobry” czy „cześć”, bo strasznie się bał, że chęć do zwierzeń, będąca choćby tylko częścią roli hotelarza, stanie się jego piętą achillesową i „cześć” zamieni się w „posłałem Rooke'owi numery kontenerów i nazwę statku” albo w jakieś inne wyznanie, które przyjdzie mu do głowy w chwili męki.

Ale jakiego wyznania się spodziewali? Co jeszcze chcieli wiedzieć, czego już nie wiedzieli? Wiedzieli, że mają wtykę i że większość historyjek o nim jest wymyślona. Jeśli nie wiedzieli, ile zdradził, wiedzieli wystarczająco wiele, by zmienić lub porzucić swoje plany, zanim będzie za późno. Więc skąd ten pośpiech? Skąd frustracja? Potem stopniowo, w miarę jak seanse stawały się coraz okrutniejsze, Jonathan zdał sobie sprawę, że uważają, iż mają prawo usłyszeć jego zeznanie. Szpiegował ich. Zdemarkowali go. Ich duma wymagała, by skazaniec przyznał się do winy.

Ale w swoich obliczeniach nie brali pod uwagę Sophie. Nie wiedzieli o jego Tajnej Wspólnicy. O Sophie, która przeszła to wszystko przed nim. I była tu teraz, uśmiechała się do niego nad kawą, egipską, proszę. Wybaczała mu. Zabawiała go, trochę uwodziła, zachęcała do życia przy świetle dnia. Gdy stłukli mu twarz - bili ją długo, starannie i ze straszliwym skutkiem - ponuro porównał jej twarz ze swoją i dla odwrócenia uwagi opowiedział jej o irlandzkim chłopcu i hecklerze. Ale nic ckliwego, absolutnie nie przepadała za ckliwością, nigdy nie uzalali się nad sobą ani nie tracili poczucia humoru. „Zabiłeś tę kobietę?” - kpi z niego, unosząc wyskubane brwi i śmiejąc się nisko, po męsku, jak to ona. Nie, nie zabił jej. To przedyskutowali już dawno temu. Posłuchała jego sprawozdania o kontaktach z Ogilveyem, dowiedziała się o wszystkim, to uśmiechając się, to krzywiąc z obrzydzeniem. „Myślę, że wypełnił pan swój

obowiązek, panie Pine - oświadczyła, gdy skończył. - Na nieszczęście ludzka lojalność jest jednotorowa i nie możemy być lojalni wobec wszystkich naraz. Jak mój mąż, wierzył pan, że jest patriotą. Następnym razem dokona pan lepszego wyboru. Być może dokonamy go wspólnie". Gdy Frisky i Tabby zajmowali się jego ciałem - przeważnie zakuwając je w różnych pozycjach, które wywoływały długi rozdzierający ból - Sophie przypominała mu, jak odebrano jej władzę w ciele; kruszono je pałką aż do całkowitej destrukcji. A gdy był głęboko na dnie na wół omdlały i zastanawiał się, jak wróci z tej rozpadliny, uraczył ją opowieścią o trudnych wspinaczkach, w Alpach Szwajcarskich - na północnej ścianie Jungfrau, kiedy to sprawy poszły bardzo złym torem i nocował przy wichurze wiejącej z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. I jeśli nawet Sophie była znudzona, nigdy tego nie okazała. Słuchała, jej wielkie piwne oczy nie odrywały się od niego, patrzyły z miłością i dodając odwagi: „Jestem pewna, że już nigdy nie sprzeda się pan tak tanio, panie Pine - powiedziała mu. - Nasze dobre maniery mogą czasem przesłonić odwagę. Ma pan coś do czytania podczas lotu do Kairu? Chyba będę czytała. To pomoże mi zapamiętać, że jestem sobą". A potem ku swojemu zaskoczeniu był z powrotem w małym mieszkaniu w Luksorze, przyglądał się jej, jak pakuje rzeczy osobiste, każdy przedmiot po kolei, z wielką rozwagą, jakby wybierała sobie towarzyszy na znacznie dłuższą podróż niż do Kairu.

I oczywiście to Sophie dodawała mu odwagi, żeby milczał. Czyż sama nie umarła, nie zdradzając go?

Kiedy zerwali plaster i wyjęli knebel, to idąc właśnie za radą Sophie, poprosił o osobistą rozmowę z Roperem.

- O to chodzi, Tommy - powiedział zmęczony Tabby, nie mogąc złapać tchu. - Pogwarzycie z szefem. A potem wszyscy razem wypijemy piwko jak za dawnych dni.

I Roper, gdy wreszcie uznał to za stosowne, zszedł do niego ubrany w strój żeglarza - nie zapomniał o białych butach z cieleńczej skóry na gumowej podeszwie, które Jonathan zauważył w garderobie na Crystal - i siadł daleko na fotelu. Jonathanowi przyszło do głowy, że teraz Roper po raz drugi widzi go ze zmiażdżoną twarzą i reaguje identycznie: marszczy nos, jakby krytycznie oceniał rozmiar zniszczenia i szansę przeżycia. Zastanawiał się, jak Roper patrzyłby na Sophie, gdyby widział, jak zatłuczono ją na śmierć.

- W porządku, Pine? - spytał uprzejmie. - Nie ma zastrzeżeń? Dobrze się tobą zajmują?

- Łóżka są trochę nierówne.

Roper roześmiał się dobrodusznie.

- Nie można mieć wszystkiego, jak sądzę. Jeds tęskni za tobą.
- To przyślij ją do mnie.
- Obawiam się, że to sceneria nie w jej guście. Dziewczyna od zakonnicy. Woli zaciszne kątki.

Więc Jonathan wyjaśnił Roperowi, że w trakcie początkowych rozmów z Langbourne'em, Corkoranem i innymi nieustannie wysuwano sugestie, że Jed była w jakiś sposób zaangażowana w działania Jonathana. I pragnie kategorycznie powiedzieć, że cokolwiek zrobił, zrobił to sam, bez żadnej pomocy Jed. I że przesadnie rozdmuchano parę towarzyskich wizyt w Domu Woody'ego, które miały miejsce, gdy Jed była śmiertelnie znudzona Caroline Langbourne, a Jonathan odczuwał samotność. Po tym wyraził żal, że nie może odpowiedzieć na żadne następne pytania. Roper, normalnie tak lotny, przez chwilę nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Twój ludzie porwali mojego chłopaka - odezwał się w końcu. - Podstępnie wkradłeś się do mojego domu, zabrałeś moją kobietę. Chciałeś rozpiżdzić mój biznes. Co, do diabła, mnie obchodzi, czy będziesz mówił czy nie? Nie żyjesz.

Więc to kara, nie po prostu wyznanie winy - pomyślał Jonathan, gdy znowu kneblowano mu usta. I jeśli było to możliwe, to jego poczucie pokrewieństwa z Sophie stało się jeszcze silniejsze.

„Nie zdradziłem Jed - powiedział jej. - I nie zdradzę, obiecuję. Będę nieugięty jak Herr Kaspar w sprawie swojej peruki”.

„Herr Kaspar nosił perukę?!”

„Co, nie opowiedziałem ci? Wielkie nieba! Herr Kaspar to bohater Szwajcarii! Zrezygnował z nieopodatkowanych dwudziestu tysięcy franków rocznie tylko dlatego, żeby być uczciwym względem samego siebie!”

„Ma pan rację, panie Pine - zgodziła się z powagą Sophie, gdy wysłuchiwała uważnie wszystkiego, co musiał jej opowiedzieć. - Nie wolno ci zdradzić Jed. Musisz być silny i nie wolno ci też zdradzić samego siebie. Teraz, proszę, połóż głowę na moim ramieniu, jak to robisz z Jed, i będziemy spali”.

I od tej pory, gdy padały pytania - to pojedynczo, to seriami - pozostawały bez odpowiedzi. Jonathan od czasu do czasu widywał Ropera w tym samym fotelu, z tym że już bez butów z białej cielęcej skóry. I zawsze stała za nim Sophie, nie jako znak zemsty, lecz po prostu przypominając Jonathanowi, że znajdują się w obecności najgorszego człowieka na świecie.

- Oni cię zabiją, Pine - ostrzegł parokrotnie Roper. - Corky'emu odbije i będzie po sprawie. Te cioty nigdy nie wiedzą, kiedy przestać. Moja rada, odpuść sobie, zanim będzie za późno. - Po czym rozsiadał się wygodnie z wyrazem bezradności na twarzy, która jest wspólna nam wszystkim, gdy nie możemy pomóc przyjacielowi.

Następnie powtórnie zjawiał się Corkoran i wychylając się z tego samego fotela, wystrzeliwał pytania jak rozkazy i liczył do trzech, czekając, aż Jonathan się do nich zastосуje. I na „trzy” Frisky i Tabby znowu brali się do roboty, aż Corkoran był zmęczony lub zaspokojony.

- No cóż, jeśli mi wybaczysz, serdeńko, wśliznę się w moje sari z cekinami, włożę rubin w pępek i wrzucę na ruszt kilka pawich języków - powiedział, gdy kłaniając się z afektowanym uśmiechem, szedł do drzwi. - Szkoda, że nie chcesz wziąć udziału w zabawie. Ale jeśli nie chcesz zarobić na swoją kolację, to co można na to poradzić?

Nikt, nawet Corkoran, nie zostawał długo. Jeśli człowiek nie chce mówić i trwa przy swoim, to wydarzenia nabierają pewnej monotonii. Tylko Jonathan błądzący z Sophie po własnym wewnętrznym świetle coś na tym zyskiwał. Nie posiadał niczego, czego by nie chciał posiadać, jego życie zostało uporządkowane, był wolny. Pogratulował sobie rezygnacji z instytucjonalnych zobowiązań. Ojciec, matka, sierocińce i śpiewająca ciotka Annie, kraj, przeszłość i Burr - wszystko zostało splecione z nawiązką. A co do rozmaitych kredytujących go kobiet, to nie mogły osiągnąć go swoimi oskarżeniami.

A Jed? No cóż, płacenie z góry za grzechy, które dopiero miał popełnić, było czymś absolutnie cudownym. Rzecz jasna, oszukał ją - afera u Mamy Low, przemknęcie do ich warowni, podawanie się za kogoś innego - ale miał poczucie, że ją uratował, co w zupełności zgadzało się ze zdaniem Sophie.

„A czy nie myślisz zbyt powierzchownie?” - spytał Sophie, tak jak to czynią młodzi mężczyźni zasięgający rad mądrych kobiet w sprawach uczuciowych.

Udała rozgniewaną.

„Panie Pine, czy ty przypadkiem trochę nie flirtujesz? Jesteś kochankiem, nie archeologiem. Twoja Jed ma nietkniętą duszę. Jest piękna, więc przyzwyczaiła się do tego, że mężczyźni się o nią dobiągają, adorują ją i od czasu do czasu wykorzystują. To normalne”.

„Nie wykorzystalem jej” - odparł Jonathan.

„Ale też się o nią nie dobiąłeś. Nie jest ciebie pewna. Przychodzi do ciebie, bo potrzebuje twojej aprobaty. Lecz ty jej tego skąpisz.

Dlaczego?”

„Ależ, madame Sophie, kim ona według ciebie jest dla mnie?”

„Łączy was wspólny wróg. To też normalne. To mroczna strona przyciągania. Oboje dostaliście to, co chcieliście. Teraz czas się dowiedzieć, co z tym zrobić”.

„Po prostu nie jestem na nią gotów. Jest banalna”.

„Ona nie jest banalna, panie Pine. I jestem pewna, że nigdy nie będziesz gotów na nikogo. Jednakże jesteś zakochany, i to się liczy. Teraz daj nam trochę pospać. Masz robotę do wykonania i będziemy potrzebowali wszystkich sił, jakie uda ci się zebrać, jeśli mamy zakończyć naszą podróż. Czy zabieg z napojem gazowanym był tak nieprzyjemny, jak Frisky zapowiadał?”

„Gorszy”.

Znowu mało nie umarł, a gdy się ocknął, Roper był tam i uśmiechał się z zainteresowaniem. Ale Roper nie był alpinistą i nie pojmował siły jego determinacji.

„Po cóż bym się wspinał, jeśli nie po to, żeby stanąć na szczycie?” - wyjaśnił Sophie. Z drugiej strony żyjący w jego duszy hotelarz darzył pełnym współczuciem człowieka, który odsunął od siebie wszelkie uczucia. Jonathan chciał wyciągnąć rękę do Ropera i w prawdziwym geście przyjaźni ściągnąć go w przepaść, żeby tylko szef miał pojęcie, co to jest. Ty, tak dumny z tego, że w nic nie wierzysz, i ja tu w dole, z nietkniętą wiarą we wszystko.

Potem drzemał chwilę, a gdy się zbudził, był w Lanyon i chodził po klifach z Jed, nie zastanawiając się już, kto będzie czekał na niego za rogami, ale zadowolając się sobą i nią.

Ale nadal nie chciał mówić z Roperem.

Jego odmowa stała się czymś większym niż przysięga. To był kapitał, źródło bogactwa.

Sam akt oporu dodawał mu nowych sił.

Każde słowo, którego nie powiedział, każda wstrząsająca nim pięść, stopa lub łokieć wyrwyjący ze snu, każdy nowy kolejny ból dostarczały mu świeżego zapasu energii gromadzonego na przyszłość.

Gdy ból stawał się nie do zniesienia, Jonathan miał wizje, w których wznosił się ku niemu, odbierał mu życiodajne moce i magazynował je.

I to się sprawdzało. Pod przykrywką udręki żołnierz zwiadu bezpośredniego w Jonathanie wysilił swoją inteligencję operacyjną i przygotował plan wykorzystania ukrytej energii.

Nikt nie nosi broni - pomyślał. Trzymają się zasady wszystkich do-

brych więzień. Strażnicy nie noszą broni.

Stało się coś przedziwnego.

Coś dobrego albo strasznego. Tak czy inaczej, było to decydujące, finalne, był to koniec takiego życia, jakie Jed знаła do tej pory.

Telefon obudził ich wczesnym wieczorem. „Rozmowa osobista, szefie, poufna - powiedział ostrożnie kapitan. - To sir Anthony, szefie, i nie jestem pewien, czy pan chce, żebym go połączył”. Roper stęknął i przewrócił się na bok, aby odebrać. Znow miał na sobie szlafrok. Leżeli w łóżku po tym, jak się kochali, chociaż, na Boga, było to coś bliższego nienawiści niż miłości. Stary apetyt Ropera na popołudniowe pieprzenie ostatnio powrócił. Jej apetyt również. Ich wzajemny apetyt na siebie zdawał się wzrastać odwrotnie proporcjonalnie do siły uczucia. Zaczęła się zastanawiać, czy seks ma w ogóle coś wspólnego z miłością.

- Rżnięcie ze mną to przyjemność - powiedziała mu potem, wpatrując się w sufit.

- O, tak - zgodził się. - Każdy ci to powie.

Potem ten telefon. Roper powiedział odwrócony plecami:

- Och, niech go szlag. Tak, odbiorę.

W miarę słuchania plecy mu zeszytywniały, pod jedwabiem napięły się mięśnie grzbietu, drgnęły niespokojnie pośladki, nogi się skuliły, chroniąc jądra.

- Tony, jesteś nieznośny. Znowu się napiłeś...? Kto?! No cóż, daj go. Dlaczego nie...? W porządku, mów, jeśli chcesz. Posłucham. Nie ma ze mną żadnego związku, ale posłuchać mogę... Nie opowiadaj mi tych łzawych historyjek, Tony, to mnie nie bierze... - Ale niebawem te kąśliwe przerywniki stały się coraz rzadsze, a odstępy między nimi zaczęły się wydłużać. Roper słuchał w kompletnej ciszy. Jego ciało było napięte i całkowicie nieruchome.

- Chwilę, Tony - rozkazał nagle. - Zaczekaj. - Odwrócił się do niej. Nie zadał sobie trudu, by zakryć dłońią słuchawkę. - Puść wodę

do wanny. Idź do łazienki, zamknij drzwi, odkręć kurki, już.

Więc poszła do łazienki, odkręciła kurki i podniosła tamtejszą słuchawkę, ale oczywiście usłyszała lejącą się wodę i ryknął: „Jeds, odłóż to!”. Więc przykręciła wodę do strumyczka i przycisnęła ucho do dziurki od klucza, aż drzwi walnęły ją w twarz i poleciała na podłogę z holenderskich płytek. Razem z Roperem niedawno uznali, że trzeba zmienić łazienkę. Płytki to była część nowego wystroju. Potem usłyszała, jak mówi:

- Jedź dalej, Tony. Drobne lokalne kłopoty.

Po tym mogła tylko słuchać, jak on słucha, ale to było wszystko.

Weszła do wanny i wspominała, jak kiedyś lubił kłaść się z przeciwnej strony i wsuwać jej stopę między nogi, podczas gdy czytał „Financial Times”, a ona w odpowiedzi laskotała go palcami nóg i usiłowała wywołać u niego erekcję. I czasami ciągnęła ją z powrotem do łóżka na jeszcze jedną rundę, mocząc pościel.

Ale tym razem tylko stał w drzwiach.

W szlafroku. Wpatrywał się w nią. Zastanawiał się, co z nią, do diabła, zrobić. I z Jonathanem. I ze sobą.

Na jego twarzy była kamienna maska trzymaj-się-ode-mnie-z-daleka, która pokazywała się tam bardzo rzadko i nigdy w obecności Daniela. Kiedy ją przywdziewał, niszczył wszystko, liczyło się tylko własne przetrwanie.

- Lepiej się ubierz - powiedział. - Corkoran będzie tu za dwie minuty.

- Po co?

- Ubierz się.

Wrócił do telefonu, zaczął wybierać numer, lecz zmienił zdanie. Odłożył słuchawkę na widełki z tak niezwykłym opanowaniem, że wiedziała, iż chce ją rozwalić na kawałki, i cały jacht na dodatek. Oparł ręce na biodrach i wpatrywał się w nią, podczas gdy się ubierała, jakby nie podobało mu się to, co na siebie wkładała.

- Lepiej włóż wygodne buty.

I wtedy serce stanęło jej w piersi, bo na pokładzie wszyscy chodzili w lekkich pantoflach albo boso, poza wieczorami, gdy kobiety wkładały buty na obcasie, z tym że nie wolno było używać szpilek.

Więc ubrała się i włożyła praktyczne sznurowane buty na gumie kupione u Bergdorfa podczas jednego z ich wypadów do Nowego Jorku, a gdy Corkoran zapukał do drzwi, Roper wziął go do salonu i mówił z nim sam na sam przez co najmniej dziesięć minut, podczas gdy Jed siedziała na łóżku i myślała o okazji, której do tej pory nie

znalazła, magicznym zaklęciu, które sprowadzi ratunek Jonathanowi i jej. Ale nic nie przyszło jej do głowy.

Fantazjowała o wysadzeniu w powietrze arsenału z ładowni dziobowej - numer z *Afrykańskiej królowej* - razem z całą łódką i wszystkimi na pokładzie, w tym z Jonathanem i nią samą; o zatruciu strażników albo dramatycznym wyjawieniu przestępstw Ropera przed zebranymi na kolacji gośćmi, czego kulminacją byłoby poszukiwanie ukrytego więźnia; lub po prostu o posłużeniu się długim nożem kuchennym i wzięciu Ropera jako zakładnika. Przyszło jej do głowy kilka innych rozwiązań, które tak dobrze sprawdzają się w filmach, ale załoga i obsługa obserwowały ją cały czas, kilkoro gości zauważyło jej zdenerwowanie, krążyły plotki, że jest w ciąży, i nie było ani jednego pasażera, który by jej uwierzył i kiwnął palcem. A nawet gdyby ich przekonała, że ma rację, nie okazałoby cienia zainteresowania.

Roper i Corkoran wyszli z salonu i Roper narzucił coś na siebie, ale wcześniej oczywiście rozebrał się do naga na ich oczach, nigdy mu to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, całkiem to lubił. Przez nieprzyjemną chwilę bała się, że z jakiegoś powodu zostawi ją samą z Corkoranem, i nie mogła wymyślić żadnego sympatycznego powodu. Ku jej uldze Corkoran ruszył z nim do drzwi.

- Zostań tu i czekaj - powiedział Roper, wychodząc. Przy okazji zamknął drzwi na klucz. Nigdy tego nie robił.

Najpierw siedziała na łóżku, potem leżała, czując się jak jeńiec, który nie wie, czy przedstawiciele słusznej czy niesłusznej sprawy będą atakować obóz. Ale ktoś będzie go atakował, tego była pewna. Nawet zamknięta wychwytywała napięcie w instrukcjach rzucanych przyciszonym głosem obsłudze, słyszała szybszy tupot lekkich kroków na korytarzu. Poczowała puls silników i jacht przechylił się trochę. Roper ustalił nowy kurs. Wyjrzała przez iluminator i zobaczyła, że horyzont się obraca. Wstała i ku swojemu zdziwieniu spostrzegła, że ma na sobie dzinsy zamiast jednego z miliondolarowych ciuchów, które Roper kazał jej nosić podczas rejsów, i przypomniała sobie czar ostatnich dni semestru, kiedy można się było wyzwolić z szarego szkolnego mundurka i w oczekiwaniu na tę cudowną chwilę, w której samochód rodziców podskoczy na „leżących policjantach” matki Angeli i zabierze cię do domu, włożyć coś tak niezwykle miłego jak bawełniany fartuszek.

Ale nikt nie powiedział jej, że wyjeżdża. To był jej własny pomysł i mogła jedynie mocno pragnąć, żeby przemienił się w rzeczywistość.

Zdecydowała się przygotować zestaw ucieczkowy. Jeśli były jej

potrzebne praktyczne buty, to muszą jej być potrzebne inne praktyczne rzeczy. Wyciągnęła torbę na ramię z górnej półki szafy i włożyła do środka kosmetyczkę, szczoteczkę do zębów i kilka zmian bielizny. Otworzyła szuflady komody i ku swemu zdziwieniu znalazła swój paszport - Corkoran musiał go dać Roperowi. Gdy doszła do biżuterii, zdecydowała się być wspaniałomyślna. Roper zawsze uwielbiał obsypywać ją biżuterią. O tym, co i z jakiej okazji powinna włożyć, decydował regulamin pana i władcy. Naszyjnik z różowych diamentów na pamiątkę pierwszego wspólnego wieczoru w Paryżu; szmaragdowa bransoleta na pamiątkę jej przyjęcia urodzinowego w Monako; rubiny na pamiątkę Bożego Narodzenia w Wiedniu. Daj sobie z nimi spokój - pomyślała, wdrygnąwszy się. Wspomnienia zostaw w szufladzie. A potem przyszło jej do głowy: Do diabła, to tylko pieniądze - i złapała kilka sztuk na opłacenie wspólnej przyszłości z Jonathanem. Ale gdy tylko włożyła klejnoty do torby, wyciągnęła je z powrotem i cisnęła na Roperową toaletkę. Nigdy więcej nie będę twoim manekinem do biżuterii!

Jednakże bez obiekcji skorzystała z kilku szytych na miarę koszul Ropera i jedwabnych spodenek, w razie gdyby Jonathan nie miał nic na zmianę. I dorzuciła espadryle od Gucciego, za którymi Roper przepadał. Sądziła, że będą w sam raz na Jonathana.

Na tym wyczerpała się jej odwaga i padła znowu na łóżko. To ponury żart. Nigdzie nie pojedę. Zabili go.

Jonathan zawsze wiedział, że gdy nadejdzie koniec - na jakikolwiek koniec się zdecydowali - zjawią się we dwóch. Na podstawie doświadczenia założył, że w tej dwójce będą Frisky i Tabby, bo kaci jak nikt inny mają swoje własne regulaminy: to moje zadanie, to twoje, najważniejsze zadania spadają na najważniejszych ludzi. Gus zawsze był pomocnikiem. We dwóch ciągnęli go do klozetu, we dwóch szorowali go gąbką, co zdawali się czynić ze względu na umiłowanie czystości, nie ze względu na niego. Nigdy nie zwlekali w Colón, gdy groził, że się zbruka. A gdy byli na niego źli, nigdy nie omieszkali mu przypomnieć, jaki z niego brudny mały drań. Nawet samo myślenie o tym, że narobi w spodnie, było cholerną samowolą.

Więc gdy Frisky i Tabby otworzyli gwałtownie drzwi, włączyli niebieskie światło awaryjne nad głową i leworęczny Frisky skierował się ku prawemu bokowi Jonathana, zostawiając lewą rękę swobodną na nagły wypadek, a Tabby ukląkł po lewej stronie przy głowie Jonathana - jak zwykle przebierał w kluczach, nigdy nie miał wcześniej

przygotowanego - wszystko było dokładnie tak, jak żołnierz zwiadu bezpośredniego przewidział, z tym tylko, że nie spodziewał się po nich takiej szczerości co do celu ich wizyty.

- Obawiam się, że wszyscy mamy cię po dziurki w nosie, Tommy. Szef szczególnie - powiedział Tabby. - Dlatego jedziesz w podróż. Wybacz, Tommy. Daliśmy ci szansę, ale okazałeś się uparty.

Co powiedziałwszy, kopnął go bez przekonania w brzuch, na wypadek gdyby Jonathan chciał się stawiać.

Ale widzieli, że tę fazę ma już dawno za sobą. Prawdę mówiąc, była taka niewyraźna chwila, w której Frisky i Tabby zastanawiali się, czy już na dobre nie przestał się stawiać, bo gdy ujrzeli, jak się osuwa na twarz, przekrzywiając na bok głowę i rozchylając usta, Frisky przykucnął, podwinął kciukiem powiekę Jonathana i zajął mu do oka.

- Tommy? Coś ty. Chyba nie chcemy opuścić własnego po grzebu, no nie?

A potem zrobili coś cudownego. Pozwolili mu leżeć. Rozpięli łańcuchy, wyjęli knebel i podczas gdy Frisky mył mu twarz gąbką i zakładał świeży plaster, ale bez knebla, Tabby ściągnął z Jonathana resztki koszuli i włożył czystą, najpierw jeden rękaw, potem drugi.

Ale chociaż Jonathan udawał sflaczałego jak szmaciana lalka, to tajny zapas energii przelewał się we wszystkie części ciała. Mięśnie potłuczone i na wpeł sparaliżowane więzami krzyczały, żeby ulżył im ruchem. Zmiażdżone dłonie i powykręcane nogi pałały żarem, zamglony wzrok przejaśniał się już w chwili, w której Frisky przecierał mu oczy.

Czekał. Wiedział, jaką przewagę daje dodatkowy moment zwłoki.

Uśpij ich czujność - myślał, kiedy go podnieśli.

Uśpij ich czujność - pomyślał znowu, zarzucając im ręce na ramiona i opadając całym ciężarem, gdy ciągnęli go korytarzem.

Uśpij ich czujność - myślał, gdy zgięty Frisky szedł pierwszy spiralnymi schodkami, a Tabby popychał go z tyłu.

O Boże - pomyślał, gdy zobaczył gwiazdy rozrzucone po czarnym niebie i wielki czerwony księżyc kołyszący się na wodzie. O Boże, podaruj mi ten ostatni moment.

Stali we trójkę na pokładzie jak gromadka krewnych i Jonathan słyszał muzykę Ropera z lat trzydziestych, dobiegającą z pokładu rufowego, i wesoły gwar rozmów, gdy zaczęła się wieczorna zabawa. Dziób łodzi był nieoświetlony i Jonathan zastanawiał się, czy zamierzają go zastrzelić, jeden strzał podczas muzycznego *forte*, kto to usłyszy?

Łódź zmieniła kurs. Zaledwie kilka mil dalej rozciągał się brzeg. Widział szosę, rzędy latarni poniżej gwiazd, bardziej przypominało to kontynent niż wyspę. A może to szereg wysp, kto może wiedzieć? Sophie, zróbmy to razem! Czas miło się pożegnać z najgorszym człowiekiem na świecie.

Jego strażnicy zatrzymali się na coś, czekając. Wisząc pomiędzy nimi, uczepony ich ramion Jonathan też czekał. Zauważył z przyjemnością, że krew znów sączy mu się z ust i wycieka spod plastra, co da podwójny efekt - odklei plaster i sprawi, że Jonathan będzie wyglądał na jeszcze bardziej pobitego, niż jest.

Wtedy ujrzał Ropera. Prawdopodobnie był tam przez cały czas i Jonathan nie zauważył go, bo biały smoking wtapiał się w biały mostek. Corkoran też tam był, ale Sandy Langbourne nie zdążył. Pewnie posuwał którąś pokojówkę.

A pomiędzy Corkoranem i Roperem widział Jed, a jeśli jej nie widział, to Bóg ją tam postawił. Ależ tak, widział Jed i ona widziała jego, nie widziała nikogo poza nim, ale Roper musiał jej powiedzieć, żeby była cicho. Miała na sobie zwyczajne dzinsy i żadnej biżuterii, co niezwykle go ucieszyło; naprawdę nienawidził tego, jak Roper obwiesza ją swoimi pieniędzmi. Patrzyła na niego i odpowiadał jej spojrzeniem, ale że miał rozbitą twarz, Jed nie mogła się w tym zorientować. Pewnie kiedy on tak jęczał uwieszony na Friskym i Tabbym, nie była w zbytnio romantycznym nastroju.

Jonathan zwisał jeszcze niżej, a jego strażnicy posłusznie przygarbili się i objęli go mocnej w pasie.

- Zdaje mi się, że to końcówka - bąknął Frisky.
- Czyja? - spytał Tabby.

I w tym momencie Jonathan zderzył ich głowy z największą siłą, jaką kiedykolwiek rozporządzał w życiu. Moc zrodziła się ze skoku, którym wybił się do wzlotu z więziennej nory. Przeniknęła jego barki, gdy rozwarł szeroko ramiona i złożył je w jednym, a potem drugim wielkim i straszliwym trzasku - skroń o skroń, twarz o twarz, ucho o ucho, czaszka o czaszkę. Przeniknęła jego ciało, gdy odrzucił od siebie obu mężczyzn, cisnął ich na pokład i kopnął dwukrotnie w głowy, najpierw w skroń, potem skrajem stopy w gardło. Zerwał plaster z twarzy i zrobił krok w przód ku Roperowi, który wydawał mu polecenia, tak jak to czynił u Meistra.

- Pine. Nie powinieneś tego robić. Nie zbliżaj się bardziej. Corks, pokaż mu broń. Wyszadzamy was na brzeg. Oboje. Zrobiłeś swoje i przegrałeś. Kompletna strata czasu, ta cała głupia gra.

Jonathan znalazł reling i ścisnął go obiema rękami. Ale to był tylko

odpoczynek. Nie osłabnięcie. Jonathan dawał swoim tajnym posiłkom czas na zgrupowanie.

- Cały towar jest już dostarczony, Pine. Rzuciłem im kilka statków, parę arestów, mniejsza z tym. Nie myślisz, że robię takie rzeczy sam, no nie? - Potem powtórzył to, co mówił Jed: - To nie przestępstwo, to polityka. Nie ma co się wywyższać. Taki jest świat.

Jonathan znowu ruszył ku niemu, chociaż stawał szeroko stopy i chwiał się. Corkoran przeładował broń.

- Możesz wracać do domu, Pine. Nie, nie możesz. Londyn wystawił cię do wiatru. W Anglii też jest za tobą list gończy. Zastrzel go, Corks. Celuj w głowę.

- Jonathan, stój!

To wołała Jed czy Sophie? Posuwanie się po prostej już nie szło mu łatwo. Chciałby wrócić do relingu, ale dotarł na środek pokładu. Szedł z wysiłkiem. Pokład się kołysał. Kolana słabły. Ale wola nie odpuszczała. Był zdecydowany osiągnąć nieuchwytnego, rozsmarować krew na białym smokingu Ropera, roztrzaskać rozciągnięte w delfinim uśmiechu usta. Niech krzyczy: „Zabijałem. Czyniłem zło, jest dobro i zło i ja jestem zły!”.

Roper liczył tak, jak Corkoran lubił liczyć. Albo liczył strasznie powoli, albo poczucie czasu Jonathana słabło. Usłyszał „raz”, usłyszał „dwa”, ale nie usłyszał „trzy” i zastanawiał się, czy jest to jakiś rodzaj śmierci; zastrzelili cię, ale żyjesz dalej dokładnie tak, jak żyłeś, tylko nikt nie wie, że wciąż tu jesteś. Potem usłyszał głos Jed i był w nim władczy ton, który zawsze szczególnie go irytował:

- Jonathan, na litość boską, patrz!

Głos Ropera zabrzmiał znowu jak odległa stacja radiowa złapana przypadkowo:

- Tak, patrz. Patrz tu, Pine. Patrz, co mam. Robię jej ten numer, który zrobiono z Danielem, Pine. Ale tym razem to nieudawane.

Udało mu się spojrzeć, chociaż widział wszystko jak przez mgłę. I zobaczył Ropera, który jak dobry dowódca wyszedł o krok przed swojego adiutanta i przyjął regulaminową postawę na baczność, z tym że jedną ręką trzymał Jed za kasztanowe włosy, a w drugiej miał pistolet, który przytknął do jej skroni - typowe dla starego Corky' ego, że po bożemu taskał wojskowego dziewięciomilimetrowego browninga. Potem Jonathan położył się na pokładzie czy upadł na pokład, i tym razem usłyszał Sophie i Jed wrzeszczące chórem, że ma nie mdleć.

Znaleźli mu koc, a gdy Jed i Corkoran postawili Jonathana, ona otuliła go jak pielęgniarka, powtórnie demonstrując umiejętności, które po raz pierwszy zdradziła na Crystal. Jed i Corkoran trzymali go, a Roper nie wypuszczał broni na wypadek powtórnego powrotu do życia. Zaciągnęli go do burty, mijając po drodze to, co zostało z Frisky'ego i Tabby'ego.

Corkoran kazał Jed zejść pierwszej i razem sprowadzili po trapie Jonathana. Gus w łodzi podał mu rękę. Ale Jonathan odmówił skorzystania z pomocy i w konsekwencji prawie wpadł do wody. Jed uderzyło to jako typowy przykład jego upor. Corkoran wtrącał się z jakimiś uwagami, że wyspa jest wenezuelska, ale Jed powiedziała mu, żeby się zamknął, co też uczynił. Gus usiłował poinstruować ją, jak zapalić silnik, ale znała się na silnikach równie dobrze jak on i powiedziała mu o tym. Jonathan, otulony w koc jak mnich, kucał na środku szalupy i balastował instynktownie. Oczywiście, ledwo widoczne pod obrzękami, podniósł na „Iron Pashę”, który jak wieżowiec górował nad ludźmi w łodzi.

Jed spojrzała na jacht i zobaczyła Ropera. Ubrany w biały smoking wpatrywał się w wodę, jakby coś w niej zgubił. Przez chwilę wyglądał dokładnie tak, jak podczas ich pierwszego spotkania w Paryżu - wypisz wymaluj zabawny angielski dżentelmen, idealny przedstawiciel swojego pokolenia. Znikł i wydało się jej, że słyszy muzykę z pokładu rufowego niosącą się po wodzie, gdy wrócił do tańca.

Nikt inny, tylko bracia Hoskenowie ujrzeli to pierwsi. Byli na morzu, wyciągali kosze na homary przy Lanyon Head. Pete to ujrzął i nie pisnął słówka. Na morzu nigdy nie otwierał gęby. Zresztą na lądzie też nie był przesadnie gadatliwy. To był dobry dzień na homara. Złapali cztery pięknotki, połów dziesięć funtów, jest się czym pochwalić.

Więc Pete i jego brat Redfers pojechali do Newlyn starą pocztową furgonetką, dostali gotówkę za homary, bo zawsze sprzedawali tylko za gotówkę. A w drodze powrotnej Pete odwrócił się do Redfersa i powiedział:

- No, to widziałeś z rana to światełko w chacie w Lanyon?

I okazało się, że Redfers też je widział, ale nie zwrócił na nie uwagi. Uważał, że to jakiś tutejszy hippie albo zwolennik New Age, czy jak tam na nich mówią, jeden z tych gości z kempingu w St. Just.

- Może jakiś urzędas z głębi lądu przyjechał i kupił dom - zasugerował Redfers po namyśle. - Dosyć nastał się pusty. Będzie z rok. Nikt tu nie wygrzebie takiej cholernej kupy forsy.

Pete'owi nie poszło to w smak. Ta sugestia wywołała w nim jakiś głęboki sprzeciw.

- Jak można kupić dom, jak się nie znalazło gościa, który jest właścicielem? - spytał ostro brata. - To dom Jacka Lindena. Nikt nie może kupić tego domu, chyba że znajdą Jacka Lindena.

- No to może Jack tam wrócił - zasugerował Redfers.

Tak też i Pete sobie myślał, ale nie powiedział tego na głos. Więc nachmurzył się i oświadczył Redfersowi, że dostał hysia.

Przez kilka następnych dni nie mówili o tym między sobą ani z nikim innym. Kiedy jest piękna pogoda, makrela i leszcz wypływają na powierzchnię i wie się, gdzie ich szukać, po co zawracać sobie głowę jakimś światłem na górze w sypialni Jacka Lindena?

Dopiero pewnego wieczoru tydzień później, gdy po raz ostatni rzucali okiem na płyczną parę mil na południowy wschód od Lanyon,

zawsze lubianą przez Pete'a, i poczuli zapach płonącego drewna idący z bryzą od ładu, niezależnie od siebie i bez słów podjęli tę samą decyzję, żeby przejść się, ot tak, Lanyon Lane i zobaczyć, kto tam, do diabła, mieszka - najpewniej ten śmierdzący stary włóczęga Głupi Jaś i jego cholerny kundel. Jeśli tak, to niech stamtąd zmyka. Jasiowi wara od domu Jacka Lindena. Nie wypada, żeby się tam ładował.

Na długo wcześniej, zanim doszli do frontowych drzwi, wiedzieli, że to nie Jaś ani nikt jemu podobny. Gdy Jaś ładował się do domu, nie zaczynał od strzyżenia trawnika przy frontowej ścieżce ani nie polerował klamki przy frontowych drzwiach, chłopcze. I nie wprowadzał ślicznej kasztanki do twojego padoku, niech to wszyscy diabli, chłopcze, była tak piękna, że prawie ci się zdawało, że się do ciebie śmieje! Jaś nie wieszał kobiecej bielizny na sznurze do bielizny, chociaż był trochę rąbnięty, to fakt. Ani nie stał jak cholerny myszółów w oknie salonu, bardziej cień niż człowiek, ale znajomy cień, mimo że stracił dużo na wadze, prowokował, żebyś wszedł na jego ścieżkę, żeby mógł ci nogi połamać, czego, cholera, mało nie zrobił Pete'owi Pengelly'emu, kiedy to chcieli pokłusować na lampę na zające.

Nim zawrócili jak niepyszni i czmychnęli Lanyon Lane, zauważyli, że zapuścił brodę; zmierzwioną, wielką brodę Kornwalijszyków, bardziej przypominającą maskę niż cholerny zarost. Niech nam Bóg pomoże! Jack Linden z jezusową brodą!

Ale gdy Redfers, który teraz starał się o Marilyn, zebrał się na odwagę i poinformował panią Trethewey, swoją przyszlą teściową, że Jack Linden wrócił do Lanyon, nie duchem, ale ciałem, zmyła mu głowę:

- Taki z niego Jack Linden jak ze mnie - odparowała.

- Więc nie opowiadaj głupstw, Redfersie Hosken. To džentelmen z Irlandii i jego pani. Będą hodować konie i malować obrazy. Kupili dom, spłacili długi i zaczynają nową kartę w swoim życiu. Czas najwyższy, żebyś zrobił to samo.

- Wyglądał mi na Jacka - powiedział Redfers z większym animuszem, niż rzeczywiście miał.

Pani Trethewey umilkła na chwilę, rozważając, czy może powinna się zwierzyć chłopakowi, którego tępota woła o pomstę do nieba.

- Dobrze mnie posłuchaj, Redfersie - powiedziała. - Jack Linden, który przyjechał tu jakiś czas temu, jest daleko za górami. A ta osoba, która mieszka w Lanyon... no cóż, gwarantuję ci, że może to być jakiś krewny Jacka, to niewykluczone. I ci, którzy nie poznali dobrze Jacka, może dostrzegą jakieś podobieństwo. Ale miałam tu policję, Redfer-

sie. Bardzo przekonującego dżentelmena z Yorkshire, słodki że do rany przyłóż, przyjechał z samego Londynu i mówił z pewnymi ludźmi. I ten, który pewnym z nas wydaje się Jackiem Lindenem, to niewinny nieznajomy dla tych, którzy są trochę mądrzejsi. Więc proszę cię, na przyszłość nie gadaj głupot, bo jeszcze możesz skrzywdzić dwie zacne duszyczki.

Podziękowania

Chciałbym wyrazić wdzięczność Jeffowi Leenowi z „Miami Herald”, Rudy'emu Maxowi, Robby'emu Swanowi, Jimowi Websterowi z Webster Associates, Edwardowi Nowellowi z Noweli Antiques, Billy'emu Coyowi z Enrona, Abby Redhead z ABS, Rogerowi i Annę Harris z Harris's Restaurant w Penzance, Billy'emu Chapple'owi z St Buryan i przyjaznym duszom z Agencji ds. Walki z Narkotykami oraz Ministerstwa Skarbu USA, które z oczywistych przyczyn nie mogą być tu wymienione.

Nie byłoby również właściwe, gdybym wymienił nazwisko byłego brytyjskiego żołnierza z Irlandii, który pozwolił mi spłądować swoje wspomnienia, czy nazwiska tych handlarzy bronią, którzy otworzyli przede mną drzwi, w przeciwieństwie do innych, którzy uciekali gdzie pieprz rośnie na odgłos moich kroków. Kierownictwo pewnego wielkiego hotelu w Zurychu, wierne swojej tradycji, okazało wielką wyrozumiałość wobec słabostek stałego gościa. Scott Griffn pilotował mnie w Kanadzie, Peter Dorman i jego koledzy w Chicago House w Luksorze okazali mi niezwykłą uprzejmość, otwierając mi oczy na wspaniałości starożytnego Egiptu. Frank Wisner pokazał mi Kair, jakiego nigdy nie zapomnę. Mnushinowie użyczyli mi swego kawałka raję, Kevin Buckley popychał mnie we właściwym kierunku, Dick Koster dał mi klucze do Fabergé, Gerasimos Kanelopulos rozpieszczał mnie w swojej księgarni, Luis Martinez ukazał mi magię Panamy. Jorge Ritter pokazał Colón i wiele więcej, Barbara Deshotels opiekowała się mną w Curaçao. Jeśli nie sprostalem ich gościnności i wskazówkom, sam ponoszę za to winę. Ze wszystkich tych, którzy cały czas wspierali mnie i dodawali otuchy, John Calley i Sandy Lean zasłużyli się tak bardzo, że trudno to wyrazić słowami. Niech więc tylko powiem, iż bez nich „Iron Pasha” nigdy nie wypłynąłby na szerokie wody.

O książkach i filmach

Film *Ze śmiertelnego zimna* (*The Spy Who Came Infrom the Cold*) był moim pierwszym kontaktem z branżą filmową i z perspektywy czasu - niezwykle udanym chrztem bojowym. Moja współpraca z reżyserem układała się wspaniale. Pozostawałem w przyjaznych stosunkach ze scenarzystą, dawnym instruktorem szpiegostwa w brytyjskiej szkole wywiadu z czasów II wojny światowej. Jak się okazało, facet wiedział o szpiegostwie znacznie więcej ode mnie. Filmowcy nie dokonali większych zmian w mojej powieści (dzisiaj nie stosuję już tego kryterium oceny), zaś moja rola sprowadziła się do wprowadzenia drobnych korekt do scenariusza oraz zaprzyjaźnienia się z Richardem Burtonem, aby kontrolować spożywaną przezń ilość alkoholu.

Film *Ze śmiertelnego zimna* przypominał obrazy wychodzące z dawnych studiów filmowych. Prawie wszyscy członkowie zespołu byli etatowymi pracownikami. Nocą przy ognisku starzy wyjadacze podejmowali mnie pikantnymi opowieściami o Clarku Gable'u i Dorothy Lamour. Reżyser, Ritt (Martin Ritt), był gniewnym lewicowcem, który nosił jeszcze niezaleczone rany z czasów czarnej listy Hollywood. Jawna niechęć, którą darzyli się reżyser i odtwórca głównej roli męskiej - Richard Burton jako nieodpowiedzialny sybaryta i Ritt jako człowiek zraniony, niezdolny do przebaczenia - wzmacniała poczucie wyobcowania Burtona i potęgowała siłę jego gry.

Podróż od książki do filmu przebiegła płynnie: mieliśmy jeden, choć nieco zawył wątek z bohaterem dokonującym zemsty i zmierzającym do samozgłady oraz niewinną bohaterkę czekającą z kolei na swój koniec. Ritt chciał wiernie sfilmować powieść i sprawił się znakomicie. Czy pisarz mógłby oczekiwać czegoś więcej? Branża filmowa zaliczała się bezsprzecznie do sektora usług. Ty pisałeś książkę, a oni ją filmowali i po robocie. A przynajmniej tak sądziłem w swojej niewinności.

Drugi kontakt z przemysłem filmowym, do którego doszło wkrótce po pierwszym, sprowadził mnie szybko na ziemię.

Książka, którą filmowano, moja pierwsza powieść, nosiła tytuł *Budzenie zmarłych (Cali for the Dead)*, ale właściciele studia uznali go za zbyt makabryczny dla kinowej publiczności, więc przechrzczono ją na *Śmiertelną sprawę (The Deadly Affair)*.

Choć budowa powieści bywa zwykle śliską sprawą, żywiłem słabą nadzieję, że twórcy filmu zdołają poprawić jej konstrukcję z moją niewielką pomocą. Okazało się jednak, że reżyser Sidney Lumet - ten od słynnych *Dwunastu gniewnych ludzi (12 Angry Men)* - nie miał najmniejszej ochoty, żeby się ze mną spotkać, a co dopiero porozmawiać o filmie, który zamierzał nakręcić. W roli agenta brytyjskiego wywiadu, George'a Smileya, któremu z przyczyn kontraktowych trzeba było zmienić nazwisko na Dobbs, obsadzono Jamesa Masona. Moim najbliższym kontaktem z planem filmowym było spożycie kanapek z ogórkiem z Masonem w restauracji hotelu Ritz na Piccadilly. Niestety, nie słyszałem, aby doprowadziło to do jakiegoś wielkiego przełomu. Kiedy film dotarł w końcu do kina w mojej okolicy, pewnego popołudnia kupiłem sobie bilet i obejrzałem go w samotności. Nie mogłem marzyć o lepszej obsadzie: James Mason, Maximilian Schell, Simone Signoret, Harry Andrews, Roy Kinnear - nie wspominając o pięknej i młodej skandynawskiej aktorce, która ku mojemu zaskoczeniu rozebrała się do naga, co w swingujących latach sześćdziesiątych było czymś w rodzaju obowiązkowego wyzwania. Jej widok zrobił na mnie tak wielkie wrażenie, że wyszedłem z kina, nie myśląc o niczym innym. Kiedy oprzytomniałem, doszedłem do wniosku, że film Lumeta przypomina zbiór ładnie nakręconych epizodów, które nie tworzą żadnej spójnej całości. Czy Lumet w ogóle czytał moją książkę? Może i tak. A może właśnie na tym polegał problem?

Chociaż od tego czasu piętnaście moich książek doczekało się adaptacji filmowej, proces przeniesienia powieści na ekran pozostał dla mnie równie nieprzewidywalny, co frustrujący i satysfakcjonujący. Widziałem, jak wymyśleni bohaterowie, których tworzyłem z miłością przez wiele lat, w ciągu jeden nocy zamieniali się w sztuczne atrapy. Albo jak płaskie, drugoplanowe postacie pojawiające się na

peryferiach jednej z moich powieści urastały jakby za sprawą czarów do ogromnych rozmiarów i powstawały na nowo. Bywało, że dramatyczne sceny z moich książek, nad którymi wyciskałem siódme poty, sypały się z powodu braku podstawowych umiejętności reżyserskich. Z drugiej strony byłem świadkiem, jak niektóre z najnudniejszych, najmniej udanych powieści ożywają pod wpływem znakomitej reżyserii i gry aktorskiej. Na początku było słowo. Od słowa zależy życie i śmierć pisarza. Jednak dla twórców filmu na początku był obraz. Ten stan rzeczy powoduje, że od czasu nakręcenia pierwszego filmu w historii ludzkości toczą się radosne twórcze zmagania.

Czego się nauczyłem? Ano tego, że marnuje czas autor, który idzie omawiać scenariusz, aby bronić swojej książki ni-czym pies obronny. Powody są tak oczywiste, że aż głupie. Aby przekształcić powieść w film, trzeba kilkunastu godzin cierpliwej lektury, a poznanie filmu wymaga stu niecierpliwych minut oglądania.

Większość pisarzy ma nadzieję, że główna fabuła ich powieści jakimś cudem ocaleje, a publiczność wyjdzie z kina, poznawszy kilka postaci i przeżywszy garść emocji, których doświadczył czytelnik nad książką.

Niestety trzeba uznać to oczekiwanie za zbyt wygórowane. Autor jest egotystą, który nie chce delegować swojego zadania. Tworzy własne postaci, ubiera je, udziela im głosu, obdarza pragnieniami, słabościami i dziwactwami. Wymyśla dla nich sceny, umieszcza w miejscu, na jakie mu przyjdzie ochota, we dnie lub w nocy, o dowolnej porze roku.

Może w jednej chwili być wszechwiedzącym głosem Boga, a w drugiej wkroczyć w ramy powieści i stać się jej częścią.

Co do kosztów, ryza papieru formatu A4 średniej gramatury kosztuje sześć lub siedem funtów. W moim przypadku dochodzi do tego jedynie ciągle rosnący koszt wkładów do długopisu. W przypadku filmu zabawa zaczyna się od mniej więcej dwudziestu milionów dolarów w górę.

Przyjrzyjmy się teraz nieszczęsnemu scenarzyście, który musi przygotować adaptację ponadczterystupięćdziesięciostronicowej powieści. Dyrektorzy studiów filmowych są zbyt wysoko opłacani, żeby czytać książki, więc podwładni dostarczają im tak zwanego zarysu fabuły, jak w żargonie filmowym nazywa się streszczenie.

Ale scenarzyście szkic fabuły nie wystarczy. Płacą mu (zwykle słono) za przebrnięcie przez całą książkę i skrupulatne oddzielenie ziarna od plew. Kiedy już to zrobi, producenci żądają, by zaordynował leczenie, czyli wytyczył marszrutę, którą w fazie pisania scenariusza niemal na pewno zignoruje. Może dlatego, że po początkowym impulsive zapomniał, co sam zaordynował. A może dlatego, że po przeprowadzeniu próby odkrył, iż leczenie przyprawia o taki sam zawrót głowy, co powieść w pierwotnym kształcie.

Istnieje jednak znacznie bardziej mroczny powód, dla którego scenarzysta może wybrać własną drogę. Zamiast dokonywać adaptacji skomplikowanej powieści, decyduje się nałożyć na nią lepszą, własną wersję - tę, którą latami nosił w głowie, ale nie wiedzieć czemu nigdy nie przeniósł jej na papier. Kilkakrotnie byłem świadkiem takich prób i zawsze kończyło się to łzami.

A zatem które z filmów opartych na moich książkach wspominam z przyjemnością, a nawet dumą? Dobra wiadomość jest taka, że złe filmy idą w zapomnienie po jednym dniu, w przeciwieństwie do złych książek (jeśli zdarzyło ci się napisać jedną lub dwie), które potrafią powrócić i prześladować autora jeszcze długo po tym, gdy uznał, iż o nich zapomniał. Zawsze znajdzie się przecież jakiś bystry nowy krytyk, który będzie obstawać, że najgorsza książka, jaką napisałeś, jest twoją najlepszą.

Które filmy wspominam z przyjemnością? I dumą? Film *Ze śmiertelnego zimna* dostarczył mi dumy, ale nie dostarczył przyjemności. Mój krótki kontakt z udręczonym, choć błyskotliwym i utalentowanym Richardem Burtonem pozostawił po sobie smutek, który pogłębiła przedwczesna śmierć aktora. Wrogi charakter jego relacji z Ritttem, mimo swojej twórczej przydatności, nie przybliżył mimo upływu czasu.

Filmy, które zapisały się najlepiej w mojej pamięci - choć może się to wydać nieco prostackie - to te, których kręcenie dostarczyło wszystkim najwięcej radości. Nie żebyśmy cały czas się śmiali, nie o taką radość mi chodzi. Miałem na myśli filmy, których reżyser, aktorzy i ekipa autentycznie cieszyli się tym, co robią, a nieuniknione konflikty i rywalizacja ustępowały wobec wspólnego, ważniejszego celu.

Pierwszym - i najważniejszym - z tych obrazów jest nakręcony dla BBC *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg (Tinker Tailor Soldier Spy)* z Alekiem Guinnessem w roli głównej, któremu w ciągu siedmiu mie-

sięcy zdjęć towarzyszyła narastająca fala niemal mistycznego entuzjazmu. Po zakończeniu zdjęć film pokazano wybranej publiczności w gmachu BAFTA - cztery odcinki przed lunchem i trzy po. Gdyby ktoś podłożył bombę pod budynkiem, stracilibyśmy połowę szefostwa brytyjskiego wywiadu. Film bardzo im się spodobał. Podobnie jak mnie. Spodobał się nawet Alecowi, który rzadko bywa zadowolony z efektów własnej pracy.

Dodam, że pełnometrażowy obraz *Szpieg* nakręcony na podstawie tej samej powieści z Garym Oldmanem jako agentem George'em Smileyem wzbudził, o dziwo, podobny entuzjazm u jego twórców.

Dopiero podczas kręcenia *Wiernego ogrodnika* (*The Constant Gardener*) poczułem - podobnie jak jego twórcy - znajomą starą frajdę. Pisałem tę książkę z radością: od pierwszych ukradkowych wypowiedzi niezadowolonych pracowników londyńskich firm farmaceutycznych, po poszukiwania prowadzone wśród białych kominów fabryk chemicznych Bazylei i wioski tubylcze w Kenii, gdzie młode matki, ledwie potrafiące czytać, nakłaniano do podpisywania „zgody”, która czyniła ich dzieci królikami doświadczalnymi.

Producent filmu, Simon Channing Williams, i nasz brazylijski reżyser, Fernando Meirelles, byli przekonani, że film ma coś ważnego do powiedzenia. Powiedzieli to z pomocą Ralpha Fiennesa oraz Rachel Weisz, a później założyli niezwykle potrzebną klinikę w Kiberze, dzielnicy slumsów w Nairobi, oraz niezwykle potrzebną szkołę nad brzegiem Jeziora Rudolfa. Obie placówki do dziś znakomicie funkcjonują. Scenariusz - raz dodając coś do mojej opowieści, innym razem coś ujmując - obrał własny osobliwy kurs, ale jakimś trafem główny zrab narracji ocalał, podobnie jak opisane w książce namiętności. Przy okazji Rachel Weisz otrzymała za swoją rolę zasłużonego Oscara.

Te dwa filmy pozostały do dziś szczytowym punktem w historii moich zmiennych kontaktów z branżą filmową.

Ogarnęły mnie złe przeczucia, kiedy usłyszałem, że trwają prace nad sześciogodzinną, uaktualnioną wersją *Nocnego recepcjonisty* (*The Night Manager*).

Pewnie byłem na swój sposób zaszokowany tym, że dwadzieścia lat temu zrezygnowałem na dobre z praw do sfilmowania tej powieści.

Sławny reżyser filmowy Sydney Pollack (*Tootsie*, *Pożegnanie z Afryką* itd.) zakochał się w mojej książce i przekonał właścicieli studia, aby kupili ją dla niego. Robert Towne (scenarzysta słynnego *Chinatown*) zgodził się napisać scenariusz, ale w jakiś tajemniczy sposób, którego do dziś nie umiem pojąć, nie doprowadził go do końca. Z rąk do rąk przechodziły duże sumy pieniędzy, prawa do filmu utkwily w sejfach Hollywoodu, a ja pogрузyłem się w stanie gderliwej żaloby, bo panowała powszechna zgoda, że powieść jest stworzona do sfilmowania.

Jak się to skończyło?

Z telewizyjnej wersji filmu byłem zadowolony. Do moich książek zwykle lepiej pasują formy dłuższe od filmu pełnometrażowego, a dzisiejsze seriale telewizyjne z Ameryki lub Skandynawii (rzadziej z Wielkiej Brytanii) wspinają się na nowe wyżyny.

Co jednak sądzić o pomysle przeniesienia do czasów współczesnych książki, którą napisałem niemal ćwierć wieku temu? Bez podróży Pine'a do północnego Quebecu? Bez wątku Ameryki Środkowej? Z moimi ukochanymi kolumbijskimi baronami narkotykowymi zastąpionymi przez watazków z Bliskiego Wschodu? I bez wartego miliardy dolarów luksusowego jachtu Richarda Ropera? Za to z nowym zakończeniem, „o którym jeszcze pogadamy”? Cóż to mogło oznaczać?

Aha, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Davidzie, zrobimy z twojego głównego śledczego kobietę. Nie będzie twoim Panem Burrem, ale naszą Panią Burr: przenikliwą i odważną, srogą i błyskotliwą, a do tego w zaawansowanej ciąży, w całym filmie. Przyznasz, że to zabawne, bo w życiu, jak w filmie, też będzie w ciąży.

Osobnik mniejszego formatu, taki jak ja, mógłby słusznie zapytać: Do cholery, dlaczego nie napiszecie własnej książki? Co pozostanie z mojej po tych wszystkich zmianach?

Odpowiedź okazała się zaskakująca: pozostało bardzo wiele, nawet nie śmiałem mieć nadziei, że zostanie aż tyle.

Weźmy Panią Burr. Zgoda, w książce była mężczyzną - twardym, ocieżałym, trzeźwo myślącym gościem, ale mimo wszystko facetem: wspomnieniem moich dawnych czasów w wywiadzie, kiedy agentki należały do rzadkości, a jeśli nie należały, to przynajmniej ja o nich nie słyshałem. Z drugiej strony, czy chcielibyśmy takiej sytuacji w 2015 roku? Jeden biały facet w średnim wieku toczący zmagania z innym białym w średnim wieku i wykorzystującym trzeciego, młod-

szego białego gościa w średnim wieku jako swoje narzędzie?

A co z agonią jachtu Richarda Ropera? Kochałem tę łajbę. W powieści poświęciłem jej dużo miejsca. Jacht był kwaterą główną Ropera. Dzięki temu trzymał się z dala od brzegu. Jacht czynił z niego mroczną wersję Latającego Holendra. Kiedyś gościłem na jachcie bardzo bogatego człowieka i obserwowałem, jak rządził z niego całym światem.

Jednak luksusowe jachty kosztują krocie, a na filmach - jeśli nie masz zamiaru ich zatopić - szybko stają się klaustrofobiczne. Dla potrzeb filmu znacznie lepiej było umieścić Ropera na słonecznej wyspie miliardera, z willą w stylu Wielkiego Gatsby'ego wielką jak pałac i mieniącymi się w słońcu domkami jego podwładnych.

Jeśli chodzi o Panią Burr, pewnie sam dzisiaj umieściłbym ją w powieści zamiast ociężałego małżonka. Jednak wtedy tego nie zrobiłem. Dziś mogłem ją jedynie ostrożnie zaprosić do rodziny i modlić się, żeby autor scenariusza, reżyser i producenci mieli dość rozumu, by stworzyć sympatyczną i wiarygodną postać.

Tak też uczynili. W tym miejscu pojawia się Olivia Colman.

Kiedy scenariusz pęczniał pod zręczną ręką Davida Farra (oglądałem i podziwiałem jego produkcje teatralne dla Royal Shakespeare Company w Stratfordzie), a ja nasłuchiwałem z oddali wiadomości o postępach w ciągu czterech miesięcy zdjęciowych i oglądałem urywki filmu, zacząłem odczuwać znajomy entuzjazm: motylki w żołądku, które zawczasu ostrzegają o nadciągającej euforii. Jeśli masz szczęście, z fragmentów filmu - materiałów z dnia zdjęciowego - zdołasz się dowiedzieć najwyżej jednej rzeczy: że trafił ci się reżyser, któremu możesz ufać. Susanne Bier natychmiast zdobyła moje zaufanie nie tylko tym, że było wiadomo, iż jest bardzo dobra i mogła się pochwalić Oscarem, ale dlatego, że od pierwszych klipów widać było jej staranny styl narracji. Po prostu wiedziałem, że mogę usiąść spokojnie obok niej, zamiast niecierpliwie czekać na jej potknięcie.

Stopniowo zaczął się też wyłaniać dramatyczny trójkąt, a może czworobok? Hugh Laurie jako Roper kontra Tom Hiddlestone jako Pine. Do tego, niczym wisienka na torcie, niezrównana Elizabeth Debicki jako Jed. A czwarta postać? Major Lance Corkoran (istny Jago lub jeszcze lepiej Bosola) grany przez Toma Hollandera, jak sam szatan z najlepszymi kwestiami.

Mogę się wypowiadać jedynie jako widz, bo nie jest to film oparty na książce, ale film filmowy, czyli taki, o który wszyscy się modlimy. Czuję, że tym razem naprawdę go dostaliśmy: film, który spełnia swoją rolę, otwierając moją powieść na wiele możliwości, których

wcześniej nikt nie dostrzegął - może nawet ja sam ich nie przeczuwałem. Uważam, że podobnie było z wersją *Druciarza, krawca, żołnierza, szpiega* nakręconą dla BBC, a później z *Wiernym ogrodnikiem*.

Kilka dni temu w końcu obejrzałem cały film - trzy godziny w ciągu jednego wieczoru i trzy następnego ranka. Najbardziej podobało mi się to, jak Susanne Bier drąży temat, kiedy inni reżyserzy dawno by go porzucili, oraz jak w wyniku dwukierunkowej interakcji między filmem i książką zaczynam dostrzegać w jej obrazie rzeczy, których ona sama mogła nie być świadoma, podobnie jak Bier odnalazła w mojej książce rzeczy, z których istnienia ja nie zdawałem sobie sprawy.

Na przykład czy zdawała sobie sprawę, że w jej filmie Richard Roper odnosi zwycięstwo, gdy idzie na dno? Przynajmniej dla mnie tak to wygląda. Nawet kiedy tłucze się z tyłu policyjnej furgonetki'-wiozą go na szubienicę czy do wodospadu Reichenbach? - staje się bohaterem, który co prawda popełnił wiele potworności, ale ostatecznie został oszukany.

Może Roper w interpretacji Hugh Lauriego bawił nas tak długo swoim chłodnym dystansem i inteligencją, ogładą i czystym złem, że nie chcemy pozwolić mu odejść? A może skłoniono nas do zastanowienia, czy Jonathan Pine nie jest przesadnie zadowolony z siebie w roli anioła zemsty? Czy wszystkie grzechy Pine'a nie równoważą się z przestępstwami Ropera?

Zadaję sobie pytanie, czy Susanne Bier naprawdę to wymyśliła. A może jest to wynik spotkania dwóch znakomitych angielskich aktorów, którzy podświadomie wykreowali aurę niepokonanych bohaterów, wrażenie złożoności, która przekracza granicę racjonalności i wkracza w sferę homoerotyzmu? Inaczej mówiąc, czy Pine i Roper od samego początku byli świadomi swoich celów? Momentami można odnieść wrażenie, że Roper wręcz cieszy się z tego, że uczestniczy we własnej zagładzie dla samej przyjemności przebywania z kimś równie inteligentnym i bezlitosnym jak on sam. Jakby był trochę zakochany we własnym kacie.

Czy naprawdę wplotłem to wszystko w moją powieść? Lubię tak sobie myśleć, ale gdyby okazało się inaczej, dziękuję realizatorom filmu, że zrobili to za mnie.

John le Carre, 2016

Z języka angielskiego przełożył: Zbigniew Kościuk